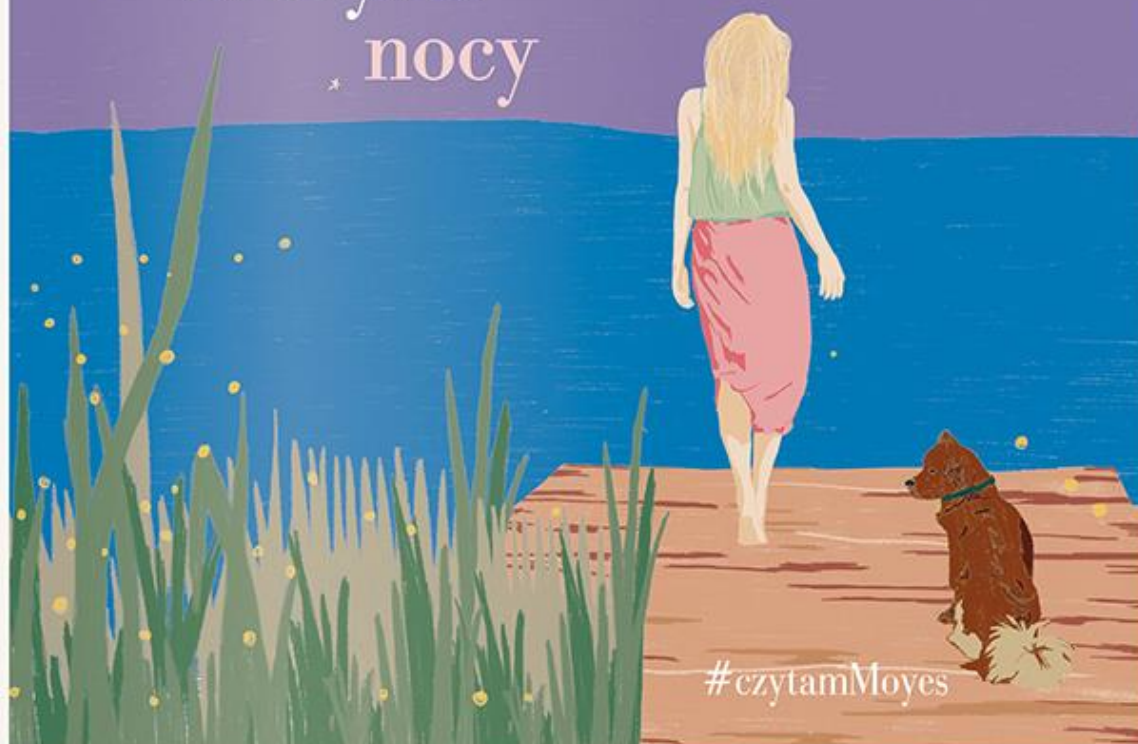


Powieść autorki bestsellerowych  
*Zanim się pojawiłeś i Kiedy odszedłeś*

JOJO

# MOYES

Muzyka  
nocy



#czytamMoyes

JOJO MOYES

# Muzyka nocy

*Tłumaczenie*  
*Monika Bukowska*

JEDNYMSŁOWEM  
**znak**

Kraków 2023

*Dla Charlesa  
i każdego, kto kiedykolwiek  
rozważał wpuszczenie do domu ekipy remontowej*

Te ociekające nieprzyzwoitym wręcz bogactwem domy, ta nienasycona walka i żądza posiadania, zawsze i za wszelką cenę, to pragnienie, aby mieć na własność, byle samemu nie być posiadany – to wszystko jest jak smok, który nas pożera.

D.H. Lawrence

*Dom hiszpański tak naprawdę nigdy nie był nasz. Teoretycznie owszem, stanowił naszą własność, ale posiadanie sugeruje pewien poziom kontroli, a nikt, kto nas znał – albo kto znał ten dom – nigdy by nie powiedział, że mieliśmy jakikolwiek wpływ na to, co się tam działo.*

*I pomimo tego, co widnieje na świstku papieru, nigdy nie towarzyszyło nam wrażenie, że naprawdę do nas należał. Od samego początku wydawał się zatłoczony. Człowiek niemal czuł, jak odbijają się w nim marzenia innych ludzi, czuł zazdrość, nieufność albo pragnienia, które wniknęły w te ściany. Jego historia nie była naszą historią. Nie łączyło nas z nim nic, nawet chęć posiadania go.*

*Kiedy byłam mała, myślałam, że dom to po prostu dom. Miejsce, w którym człowiek je, bawi się, klóci i śpi, cztery ściany, w których toczy się życie. Nie zastanawiałam się nad tym głębiej.*

*Znacznie później dowiedziałam się, że dom może być czymś o wiele więcej: ukoronowaniem naszych pragnień, odbiciem tego, jak postrzegamy siebie albo jak chcielibyśmy się postrzegać; że za jego sprawą ludzie potrafią się zachowywać w sposób kompromitujący lub zawstydzający. Dowiedziałam się, że dom – zlepek cegieł, zaprawy murarskiej, drewna, czasami przy tym mały skrawek ziemi – może się stać obsesją.*

*Kiedy stąd wyjadę, nie kupię mieszkania. Będę wynajmować.*

Laura McCarthy zamknęła drzwi kuchenne, przeszła nad leżącym na żwirze psem, który ślinił się przez sen, i żwawym krokiem podeszła do bramy na tyłach ogrodu. Otworzyła ją, przełożywszy tacę na jedną rękę, wślizgnęła się zwinnie przez szparę i wkroczyła do lasu, a potem ruszyła wzdłuż strumienia, który znowu wysechł, jak zwykle pod koniec lata.

Dwoma krokami pokonała prowizoryczny mostek z desek, który w zeszłym roku Matt przerzucił nad rowem. Wkrótce zacznie padać, znowu zrobi się ślisko i niebezpiecznie. W zeszłym roku kilka razy poślizgnęła się, przechodząc tędy, a raz cała zawartość tacy wylądowała w wodzie, stając się żerem dla jakiegoś niewidocznego stworzenia. Po drugiej stronie ziemia była wilgotna i kleiła się do butów. Laura ruszyła w kierunku polany.

Gdy wyszła z cienia, słońce wciąż przygrzewało, a dolina była skąpana w kojącym świetle późnego popołudnia, w którym widać było unoszące się pyłki. Laura dostrzegła drozda w oddali i słyszała osobliwe, opryskliwe trajkotanie szpaków, które podniosły się chmurą, a potem osiadły w odległym zagajniku. Poprawiła pokrywkę jednego z naczyń, niechcący uwalniając smakowity zapach pomidorów, który sprawił, że przyspieszyła kroku.

Dom, do którego zmierzała, nie zawsze był taki zniszczony, tak bezlitośnie ponury. Ojciec Matta opowiadał synowi historie o bankietach myśliwskich pod gołym niebem, o letnich wieczorach, kiedy z białych namiotów płynęła muzyka, elegancko ubrane pary siadały na wapiennym murku i piły poncz, a las tłumiał ich śmiech. Sam Matt pamiętał czasy, kiedy w stajni stały porośnięte lśniąca sierścią konie, których część trzymano tylko dla weekendowych gości, a miłośnicy wiosłowania mogli korzystać ze znajdującej się na brzegu jeziora przystani dla łódek. Dawniej często opowiadał jej te historie. Chciał, by dzięki temu utożsamiała to miejsce ze swoim domem rodzinnym, dawał do zrozumienia, że ich wspólna przyszłość będzie podobna do życia, które zostawiła za sobą. Być może pragnął w ten sposób odmalować obraz ich przyszłości. Uwielbiała te opowieści. Wiedziała dokładnie, jak ten dom będzie wyglądał, gdy urządzi go po swojemu – w głowie przystroiła już każde okno, odnowiła każdy centymetr podłogi. Miała wyryty w pamięci widok na jezioro z każdego pokoju wychodzącego na wschód.

Zatrzymała się przy bocznym wejściu i odruchowo sięgnęła do kieszeni po klucz. Dawniej zamykano te drzwi, ale teraz nie miało to większego sensu: wszyscy w okolicy wiedzieli, że w środku nie było niczego, co warto by ukraść. Dom osiadł, farba się łuszczyła, jak gdyby nie zależało jej już, by przypominać o chwalebnej przeszłości tego miejsca. Na parterze kilka okien, w których brakowało szyb, zabito deskami. Żwirowe podwórko zarosło pokrzywami, które boleśnie smagały jej łydki.

– Panie Pottisworth, to ja... Laura.

Odczekała, aż odpowie jej stęknienie na górze. Warto było poinformować staruszkę o swoim przybyciu – w nadprożu wciąż tkwił śrut, pamiątka z dnia, w którym Laura nie dopełniła obowiązku zaanonsowania się. Na szczęście, jak stwierdził jej mąż, stary cap zawsze miał kiepski wzrok.

– Przyniosłam panu kolację.

Kiedy wreszcie usłyszała wyczekiwane pozwolenie, weszła na górę. Drewniane schody skrzypiały pod jej stopami.

Była w dobrej kondycji i właściwie nie łąpała zadyszki, pokonując tyle stopni. Mimo to stała przez chwilę przed drzwiami sypialni, zanim je otworzyła. Gdy położyła dłoń na klamce, wydała z siebie coś w rodzaju westchnienia rezygnacji.

Okno było uchylone, ale i tak uderzył ją w nozdrza kwaśny odór starego, niemytego ciała

oraz towarzyszące mu zapachy zakurzonej tapicerki, kamfory i stęchłego wosku. O łóżko była oparta stara strzelba, a na małym stoliku stał kolorowy telewizor, który kupili mu dwa lata temu. Pokój, choć stary i zaniedbany, nie utracił do końca swojej wytworności, podkreślanej przez okno wykuszowe, które dzieliło krajobraz za oknem na równe części. Ale Laurze nie było dane na dłużej skupić uwagi na estetyce pomieszczenia.

– Spóźniłaś się – odezwała się postać leżąca w starym rzeźbionym mahoniowym łóżku.

– Tylko kilka minut – odparła pogodnie, nie dając się zbić z tropu. Położyła tacę na stoliku obok łóżka i wyprostowała się. – Nie mogłam się wyrwać z domu. Mama zadzwoniła.

– Czego znowu chciała? Nie powiedziałaś jej, że tu czekam i umieram z głodu?

Laura nie przestawała się uśmiechać.

– Może mi pan wierzyć lub nie, panie Pottisworth, ale nie rozmawiam tylko o panu.

– Pewnie za to rozmawiasz o Matcie. Co on teraz porabia? Matka dzwoniła do ciebie, żeby ci powiedzieć, że stać cię było na kogoś lepszego, co?

Laura odwróciła się do niego plecami. Jeśli lekko zeszywniała, staruszek tego nie zauważył.

– Jestem mężatką od osiemnastu lat – powiedziała. – Nie sądzę, by moja decyzja wzbudzała w niej jeszcze emocje.

Stary głośno pociągnął nosem.

– Co to takiego? Na pewno już wystygło.

– Potrawka z kurczaka i pieczone ziemniaki. Wszystko ciepłe. Niesione pod pokrywką.

– Na pewno są zimne. Lunch był zimny.

– Na lunch była sałatka.

Spod kołdry wyłoniła się pokryta plamami głowa z niewielką ilością siwych włosów. Gadzie oczy spoczęły na Laurze i się zwęziły.

– Dla kogo założyłaś takie obcisłe spodnie? Chcesz się popisać figurą?

– To džinsy. Wszyscy takie noszą.

– Chcesz po prostu, żebym się podniecił i żeby mnie zamroczyło od chuci. To wasz podstępny babski sposób, by mnie zabić. Kobiety takie jak ty nazywają czarnymi wdowami. Wiem takie rzeczy.

Nie skomentowała tego.

– Przyniosłam sos pieczeniowy do ziemniaków. Nalać panu na talerz?

– Wszystko ci się wylewa.

– Przecież nic się nie wylało.

– Przez dekolt. Wszystko ci się wylewa. Chcesz mnie uwieść?

– Panie Pottisworth, jeśli pan nie przestanie, nie będę panu więcej przynosić kolacji. Więc proszę przestać się gapić na mój dekolt. I to już.

– To nie powinnaś nosić takich wyciętych bluzek. Za moich czasów szanujące się kobiety zapinały się pod szyją. A pod spodem nosiły porządne staniki. – Podniósł się na poduszkach, wspomnienia wywoływały drzenie jego powykręcanych dłoni. – Ale i tak dało się przez nie wyczuć, co trzeba.

Laura McCarthy policzyła do dziesięciu, cały czas stojąc plecami do starego. Spojrzała ukradkiem w dół, próbując ustalić, jak dużo było widać, kiedy się nachylała. W zeszłym tygodniu mówił, że wzrok mu się pogarsza.

– Wysłałaś z lunchem swojego synka. Prawie się do mnie nie odzywał. – Staruszek zaczął jeść i w pokoju rozległo się siorbanie przypominające odgłos zatkanego odpływu.

– Nastolatki nie są zbyt gadatliwi.

– Jest po prostu nieuprzejmy. Powiedz mu to.

– Powiem. – Przeszła po pokoju, zebrała szklanki i kubki i położyła je na pustej tacy.  
– W ciągu dnia siedzę tu sam jak palec. Po południu odwiedził mnie tylko Byron, a on umie rozmawiać wyłącznie o żywo-płotach i królikach.

– Mówiłam panu, że powinien pan mieć kogoś z opieki społecznej, do sprzątnięcia i do pogadania przez chwilę. Nawet codziennie, gdyby pan chciał.

– Opieka społeczna... – Skrzywił się. Cienka strużka sosu spływała mu po brodzie. – Nie życzę sobie, żeby wtykali nos w moje sprawy.

– Jak pan chce.

– Nie masz pojęcia, jak ciężko jest, kiedy człowiek zostaje całkiem sam... – zaczął, a myśli Laury odpłynęły gdzie indziej. Na pamięć znała jego litanie żali: nikt nie rozumiał, jakie to przykre, kiedy człowiekowi nie został nikt z rodziny, jak trudno być przykutym do łóżka i bezradnym, zdanym na łaskę obcych... Słyszała to wszystko w tylu różnych wariantach tak wiele razy, że mogła wyrecytować to z pamięci.

– ...zostaliście mnie, biednemu, tylko ty i Matt. Nie mam nikogo, komu mógłbym przekazać swoje doczesne dobra... Nawet nie wiesz, jak strasznie boli samotność. – Jego głos przycichł, starszek był bliski łez.

Laura zmiękła.

– Mówiłam panu, że nie jest pan sam. Nie, póki my mieszkamy w sąsiedztwie.

– Okażę swoją wdzięczność, gdy odejdziesz. Wiesz to, prawda? Te meble w stodole po mojej śmierci będą twoje.

– Proszę tak nie mówić, panie Pottisworth.

– I to nie będzie wszystko, ja zawsze dotrzymuję słowa. Pamiętam, co dla mnie robiłaś przez te lata... – Zerknął na tacę. – To pudding ryżowy?

– To szarlotka z kruszonką.

Starszek odłożył nóż i widelec.

– Ale mamy wtorek.

– Wiem, ale upiekłam szarlotkę. Skończył mi się ryż na pudding, a nie miałam okazji podskoczyć do supermarketu.

– Nie lubię szarlotki.

– Lubi pan.

– Zapewne poczęstowałaś się jabłkami z mojego sadu.

Laura wzięła głęboki oddech.

– Na pewno nie jesteś nawet w połowie tak święta, jak udajesz. Założę się, że mogłabyś skłamać, jeśli bardzo by ci na czymś zależało.

– Kupiłam jabłka w supermarkecie – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Mówiłaś, że nie miałaś czasu tam pojechać.

– Kupiłam je trzy dni temu.

– To czemu nie kupiłaś wtedy ryżu? Co też twój chłop musi o tobie myśleć? Na pewno go zadowalasz na inne sposoby... – Uśmiechnął się lubieżnie oślinionymi ustami, odsłaniając dziąsła, a potem przyssał się do potrawki z kurczaka.

Kiedy wszedł do domu, Laura zdążyła już pozmywać naczynia, a teraz stała nad deską do prasowania, wściekle przyciskając żelazkiem kołnierzyki i mankiety jego koszul, tak by wyglądały nieskazitelnie.

– Wszystko w porządku, kochanie? – Matt McCarthy pochylił się, by ją pocałować, i zauważył jej zarumienione policzki oraz mocno zaciśniętą szczękę.

– Nie, do cholery, nic nie jest w porządku. Mam już tego dość.

Matt zdjął kurtkę, której kieszenie były wypchane taśmami mierniczymi i narzędziami,



i rzucił ją na oparcie krzesła. Był wykończony i konieczność uspokajania Laury zirytowała go.

– Pottisworth gapił jej się na biust – powiedział Anthony, uśmiechając się złośliwie.

Ich syn oglądał telewizję, trzymając nogi na stoliku; przechodząc obok, Matt zepchnął je ręką.

– Co takiego zrobił? – spytał zimno. – Zaraz tam pójde i się z nim rozmówię...

Laura energicznie postawiła żelazko na desce.

– Och, siadaj, na litość boską. Wiesz, jaki on jest. Zresztą nie o to chodzi. Po prostu każe mi biegać w tę i we w tę, jakbym była jego służącą. Dzień w dzień. Mam już tego po dziurki w nosie. Naprawdę.

Kiedy była wcześniej u niego i dotarło do niej, że staruszek nie da za wygraną, wróciła do domu i odgrzała mu pudding ryżowy z puszki. Klęła pod nosem, przechodząc znowu przez las w drodze do jego posesji z miską przykrytą złożoną ścierką.

– Jest zimny – powiedział staruszek, wkładając palec do puddingu.

– Wcale nie. Podgrzewałam go jakieś dziesięć minut temu.

– Jest zimny.

– Panie Pottisworth, nie da się przynieść jedzenia do pańskiego domu, nie tracąc przy tym choćby odrobiny ciepła.

Jego usta wykrzywiły się w dezaprobachie.

– Już nie mam na niego ochoty. Straciłem apetyt. – Jego oczy powędrowały na chwilę do niej i być może zauważył, jak jej policzek drgnął nerwowo.

W głowie mignęło jej pytanie, czy da się kogoś zabić tacą i łyżeczką.

– Połóż go tu. Może zjem potem. – Skrzyżował ramiona na piersi. – Jak już będę zdesperowany.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Anthony'ego.

– Mama mówi, że zadzwoni po opiekę społeczną. Uważa, że oni sobie z nim poradzą.

Matt, który już miał się usadowić na sofie obok syna, poczuł lekki niepokój.

– Nie wygłupiaj się. Umieszczą go w domu starców.

– No i co z tego? Ktoś inny będzie się musiał z nim użerać, sprawdzać jego nieistniejące odleżyny, prać mu pościel i zanosić mu dwa posiłki dziennie. Mnie to pasuje!

Matt się podniósł, nagle ożywiony.

– Przecież on nie ma pieniędzy, do cholery. Każą mu przepisać na nich dom, żeby zapłacić za opiekę, no nie? Myśl rozsądnie.

Laura odwróciła się do niego. Była atrakcyjną kobietą przed czterdziestką, szczupłą i zgrabną, ale teraz, z twarzą czerwoną i wykrzywioną gniewem, przypominała krnąbrne dziecko.

– Nie obchodzi mnie to. Mówię ci, Matt, mam tego po dziurki w nosie.

Matt natychmiast podszedł do niej i ją przytulił.

– Daj spokój, kochanie. On już ledwo zipie.

– Dziewięć lat, Matt. – Westchnęła w jego pierś. – Od dziewięciu lat jestem na każde jego skinienie. Kiedy się wprowadziliśmy, mówiłeś, że ma przed sobą góra rok.

– Ale pomyśl o tych pięknych terenach, o ogrodzie otoczonym murem, o stajni... Pomyśl o pięknej jadalni, którą zaprojektowałaś. Zobacz naszą szczęśliwą rodzinę stojącą w drzwiach tego domu... – Roztoczył przed nią tę wizję, by ponownie zakorzeniła się w jej wyobraźni. – Stary jest przecież obłożnie chory. Rokowania są coraz gorsze. Już nie pożyje długo, prawda? I kogo ma, nie licząc nas? – Pocałował ją w czubek głowy. – Dostaliśmy już zgodę banku na kredyt, a Sven przygotował plany. Pokażę ci je później, jeśli chcesz.

– Widzisz, mam? Jeśli spojrzeć na to z tej strony, nie zaszkodzi mu raz na jakiś czas pokazać dekolt, co nie? – Anthony zachichotał i krzyknął, gdy dostał wypraną koszulkę w ucho.

– Jeszcze tylko trochę – mruknął Matt niskim i ciepłym głosem. – Kochanie, dasz radę, prawda? – Poczul, jak żona mięknie, i wiedział, że ją przekonał.

Ścisnął ją w tali i zasugerował dotykiem, że później inaczej jej to wszystko wynagrodzi. Odpowiedziała mu podobnie, a on pożałował, że pozwolił sobie wcześniej na igraszki z barmanką z pubu Long Whistle. Obyś zdechł jak najprędzej, stary gnoju, powiedział w myślach do Pottiswortha. Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam.

Po drugiej stronie doliny w największej sypialni domu staruszek oglądał program komediowy. Po napisach końcowych sprawdził godzinę i cisnął gazetę na drugi koniec łóżka.

Z zewnątrz dobiegły go huczenie sowy i szczekanie lisa, który pewnie pilnował swojego terytorium. Zwierzęta i ludzie nie różnią się od siebie tak bardzo, gdy chodzi o zaznaczenie swojej obecności, pomyślał z rozbawieniem. Lis, który obsikiwał teren i walczył o niego, nie różnił się zbyt od Laury McCarthy, która dwa razy dziennie przychodziła tu z posiłkami, dbała o czystą pościel i tym podobne. Wszyscy w jakiś sposób znaczyli swoje terytorium.

Zachciało mu się czekolady. Ze zwinnością, która mogłaby zaskoczyć jego sąsiadów, wstał z łóżka i podszedł do kredensu, gdzie trzymał rozmaite smakołyki kupowane mu przez Byrona w mieście. Otworzył drzwiczki, zaczął macać za książkami i teczkami z dokumentami, aż znalazł gładkie plastikowe opakowanie. Zacisnął palce wokół tego, co w dotyku przypominało KitKata, i wyciągnął to, wyczekując rozkosznego smaku roztopionej czekolady w ustach i zastanawiając się, czy warto ponownie włożyć zęby.

Najpierw zamknął drzwi od kredensu. Lepiej, żeby Laura o niczym nie wiedziała i myślała, że jest bezradny. Kobiety takie jak ona muszą się czuć potrzebne. Uśmiechnął się do siebie szeroko na wspomnienie, jak jej poczerwieniały uszy, gdy skomentował jej obcisłe dżinsy. Łatwo ją było wyprowadzić z równowagi. To coś, na co warto było czekać cały dzień. Jutro poruszy temat jazdy konnej: że pewnie Laura robi to, bo ją to podnieca – to zawsze ją wkurzało.

Wciąż miał na ustach złośliwy uśmiech, kiedy wracając do łóżka, usłyszał melodię kolejnego ulubionego programu. Podniósł wzrok. Zatopiony w muzyce, nie zauważył miski z puddingiem ryżowym, która stała na podłodze, tam, gdzie ją wcześniej postawił. Jego koścista stopa wylądowała w niej piętą i stary poślizgnął się na deskach.

Przynajmniej takie wnioski wyciągnął koroner, który przedstawiał przed sądem ostatnie godziny życia Samuela Pottiswortha. Staruszek uderzył głową o podłogę na tyle mocno, że pewnie można to było usłyszeć dwa piętra niżej. Jednak, jak zauważył Matt McCarthy, tak głęboko w lesie, który tłumił wszelkie odgłosy, do nikogo to nie dotarło. Było to miejsce, gdzie mogło się zdarzyć niemal wszystko.

– Powiedz „proszę”.

Theresa spiorunowała go wzrokiem.

Matt odsunął się od niej i spojrzał jej w oczy. Z rozmazaną maskarą wyglądała trochę zdzirowato. Ale Theresa zawsze wyglądała trochę zdzirowato, nawet jeśli miała na sobie swoje najelegantsze ciuchy. To była jedna z tych rzeczy, które mu się w niej podobały.

– Powiedz „proszę” – powtórzył.

Zamknęła oczy, jak gdyby toczyła jakąś wewnętrzną walkę.

– Matt...

– Powiedz. „Proszę”. – Podniósł się na łokciach, tak że żadna część jego ciała nie dotykała jej, może z wyjątkiem stóp. – No, dalej – powiedział cicho. – Musisz poprosić.

– Matt, ja tylko...

– Proszę.

Theresa podniosła biodra, próbując dotknąć jego ciała, ale on odsunął się jeszcze dalej.

– Powiedz to.

– Och, ty... – Jęknęła, gdy pochylił głowę i przejechał ustami po jej szyi, obojczyku, wciąż trzymając resztę ciała z daleka. Łatwo było ją podniecić, łatwiej niż u większości kobiet utrzymać podniecenie. Zamknęła oczy i zaczęła pojękiwać. Czuł smak jej potu, chłodnej warstwy na jej skórze. Była w takim stanie od prawie trzech kwadransów. – Matt...

– Powiedz to – wymruczał, zbliżając wargi do jej ucha. Chłonał zapach jej włosów i kilku piżmowych nut. Tak łatwo byłoby odpuścić, poddać się namiętności. Ale lepiej było zachować trochę kontroli. – Powiedz to.

Theresa lekko uniosła powieki, a on zobaczył, że z jej oczu zniknęła wola walki. Rozchyliła usta.

– Proszę – wyszeptala. A potem chwyciła go mocno i porzuciła wszelkie pozory. – Och, proszę. Proszę. Błagam.

Trzy kwadranse. Matt zerknął na zegarek. A potem odepchnął się płynnym ruchem.

– Chryste, już tak późno? – Zlustrował podłogę w poszukiwaniu dżinsów. – Wybacz, skarbie. Muszę iść.

Włosy opadły Therese na twarz.

– Co? Nie możesz teraz iść!

– Gdzie są moje buty? Przysiągłbym, że je tu zostawiłem.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, jej skóra wciąż płonęła.

– Matt! Nie możesz mnie zostawić w takim stanie!

– A, tu są. – Matt wsunął buty, a potem cmoknął ją w policzek. – Muszę iść. Nie wyobrażasz sobie nawet, jakie by to było nieuprzejme z mojej strony, gdybym się spóźnił.

– Spóźnił się? Na co? Matt!

Matt mógł zostać dwie minuty dłużej. Ale chodziło o coś, co najwyraźniej niewielu mężczyzn rozumiało: czasami większą przyjemność sprawiała świadomość, że można coś mieć, niż samo posiadanie. Matt uśmiechał się szeroko, zbiegając lekko po schodach. Przez całą drogę do wyjścia słyszał, jak przeklinała.

\*

Pogrzeb Samuela Fredericka Pottiswortha odbywał się w wiejskim kościółku. Popołudnie było tak ciemne od złowieszczych chmur deszczowych, jakby wcześniej zapadła noc. Był

ostatnim z Pottisworthów. W związku z tym – albo właśnie dlatego – że nie był najzyczliwszym z ludzi, przyszło niewiele osób. Rodzina McCarthych, lekarz zmarłego, pielęgniarka środowiskowa i notariusz siedzieli w pierwszych rzędach, nieco rozproszeni, może po to, by długie drewniane ławki wyglądały na bardziej wypełnione, niż były w rzeczywistości.

Kilka rzędów dalej, pomny na swój status, siedział Byron Firth z psem leżącym nieruchomo u jego stóp, ignorując spojrzenia i pomruki starszych kobiet z ławki naprzeciwko. Był do tego przyzwyczajony. Przywykł już, że za każdym razem, gdy miał czelność pojawić się w miasteczku, towarzyszyły mu nieufne spojrzenia i szept, i już dawno nauczył się przyjmować to z kamienną twarzą. Poza tym miał na głowie ważniejsze problemy. Wychodząc z domu, podsłuchiwał, jak siostra rozmawia przez telefon ze swoim chłopakiem, i miał wrażenie, że mówi o przeprowadzce swojej i Lily. Nie stać go było na samodzielne opłacanie czynszu, a niewiele osób chciałoby mieszkać z nim i jego psami. Co gorsza, po śmierci staruszka najwyraźniej został bez pracy. Na razie płacono mu pensję z masy spadkowej, ale to nie potrwa wiecznie. Już przeglądał gazety w poszukiwaniu dorywczej roboty.

Kilka osób przyszło, by załapać się na stypę. Pani Linnet, miejscowa sprzątaczką, postanowiła sobie, że nigdy nie opuści porządnego pogrzebu. Potrafiła je uszeregować pod względem frekwencji, doboru hymnów i jakości parówek w cieście aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. Przywiodła ze sobą dwie starsze kobiety, dla których kiedyś pracowała. Chociaż nie znały pana Pottiswortha, wyjście do ludzi dobrze im zrobi, powiedziała wikaremu. Tym bardziej że państwo McCarthy mogli zapewnić dobry poczęstunek – pani McCarthy umiała robić wszystko tak jak trzeba. Takie jak ona zawsze umiały.

Na samym końcu siedzieli ściśnięci Asad i Henry, udając, że czytają ze śpiewnika.

– Popatrz, jak siedzą wystrojeni w pierwszym rzędzie, jak gdyby byli kochającą się rodziną – mruknął Henry pod nosem.

– Niech robią, co chcą, byle im było lżej na sercu – powiedział Asad. Był wysokim mężczyzną i musiał się schylać, by obaj mogli przeczytać słowa pieśni. – Ładnie dziś wygląda. To chyba nowy nabytek – skomentował płaszcz pani McCarthy skrojony w wojskowym stylu, z jasnoczerwonej wełny, dzięki czemu lśnił w mrocznym wnętrzu małego kościołka.

– Pewnie się spodziewają sporego przyływu gotówki. Słyszałem od niej wczoraj, że jej mąż wpłacił zaliczkę na jakiś nowoczesny model auta z napędem na cztery koła.

– Zasłużyła na to, przez tyle lat była na każde skinienie tego okropnego człowieka. Ja bym się tak nie poświęcił. – Asad pokręcił głową. Miał eleganckie rysy, zdradzające somalijskich przodków, i z jego twarzy przebijał lekki smutek.

Henry twierdził, że Asad niemal we wszystkich okolicznościach prezentował się z godnością. Nawet w piżamie z postaciami z kreskówki.

– Jak dla mnie tych okropnych facetów w jej życiu było dwóch. O którym teraz mówisz? – mruknął Henry.

Po odśpiewaniu hymnu rozległ się szelest i cichy stukot starych śpiewników uderzających o drewniane ławki, gdy zgromadzeni usiedli na ostatnią część nabożeństwa.

– Samuel Pottisworth – zaczął wikary – był człowiekiem... który przez całe życie pozostał wierny sobie – kontynuował, lekko się zacinając. – Był członkiem naszej parafii, który... mógł się pochwalić bardzo długim stażem.

– Państwo McCarthy od lat mieli oko na ten dom – powiedział cicho Henry. – Popatrz, jak stoi obok niej z miną niewiniątka.

Asad zerknął na niego zdziwiony, a potem spojrział na pierwszą ławkę.

– Wiesz, że był u Theresy z pubu niecałe pół godziny przed pogrzebem? – wyjaśnił Henry, krzywiąc się przy tych słowach. – Ted Garner wpadł po żelki owocowe, zanim

zamknąłem sklep. Mówił, że widział jego furgonetkę zaparkowaną przed jej domem.

- Może miał u niej jakieś zlecenie – próbował go bronić Asad.
- Słyszałem, że często goszczą u niej faceci. – Henry poprawił okulary do czytania.
- Może potrzebowała, by ktoś jej przetkał rury.
- A on podobno jest bardzo dobry w przetykaniu...

Obaj zaczęli chichotać, ale starali się uspokoić, zgromieni wzrokiem wikarego. Ogarnijcie się, mówiła jego mina. Nie utrudniajcie mi sprawy.

Asad się wyprostował.

- Nie żebyśmy lubili plotkować – wymruczał.
- Ależ oczywiście, że nie. To samo powiedziałem pani Linnet, kiedy wpadła po tabletki od bólu głowy. To już drugie opakowanie, po które przyszła w ciągu trzech dni. O nie, staruszeko, nie będziesz plotkować w naszym sklepie.

Wprawdzie był na pogrzebie, jednak Matt McCarthy miał problem z przywołaniem zasmuconej miny. Chciało mu się śmiać. Chciało mu się śpiewać. Rano jeden z dekarzy dwa razy zapytał go, z czego się tak cieszy.

- Wygrałeś na loterii czy co?
- Tak jakby – odparł Matt i zniknął po raz piętnasty, ze zwiniętymi planami w dłoni, by rzucić okiem na front domu.

Wszystko ułożyło się idealnie. Laura uwolniła się od tego starego capa – a Matt musiał przyznać, że zmartwił się tamtego wieczoru. Gdyby odmówiła gotowania dla Pottiswortha, nie mógłby z tym nic zrobić. W gruncie rzeczy wiadomość była tak wspaniała, że kiedy Laura zadzwoniła do niego, wstrząśnięta, i oznajmiła mu ten fakt drżącym głosem, postanowił być przy niej, gdy przyjedzie lekarz, by potwierdzić zgon. Laura objęła go mocno, przekonana, że Matt przyjechał, bo nie chciał, by sama przechodziła przez tę mękę, ale tak naprawdę chodziło o to, że gdzieś głęboko w środku – choć nigdy nikomu by się do tego nie przyznał – nie wierzył, że stary naprawdę nie żyje. I był przekonany, że jeśli sam tego nie dopilnuje, ten diabeł wstanie i oznajmi, że „nie pogardziłby pieczenią”.

Nabożeństwo dobiegło końca. Niewielka grupa żałobników wyszła na zewnątrz i zbiła się w ciasny krąg, rozglądając się od czasu do czasu i czekając na rozwój wydarzeń. Było jasne, że nikt nie będzie towarzyszył zmarłemu w drodze na cmentarz.

– To bardzo uprzejme z waszej strony, że zorganizowaliście pogrzeb pana Pottiswortha. – Pani Linnet położyła chudą rękę na ramieniu Matta.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić – odparł. – Pan Pottisworth był dla nas jak rodzina. Zwłaszcza dla mojej żony. Na pewno będzie za nim tęsknić.

– Niewiele osób mogłoby oczekiwać na starość takiej wspaniałomyślności od swoich sąsiadów – stwierdziła pani Linnet.

– Ciekawe, co też skłania ludzi do takich czynów? Był prawdziwym szczęściarzem.

Słowa te wypowiedział Asad Suleyman, jeden z niewielu mężczyzn w okolicy, którzy przewyższali Matta wzrostem. A zachowywał się tak, jakby przewyższał go nie tylko pod tym względem. Matt spojrział na niego surowo, ale twarz Asada, jak zwykle, była nieprzenikniona.

– Znasz przecież Laurę – odparł. – Pochodzi z rodziny, która przywiązuje ogromną wagę do tego, by wszystko było robione jak trzeba. Moja żona ma bzika na punkcie formy.

– Zastanawialiśmy się tylko, panie McCarthy... czy zamierzał pan upamiętnić pana Pottiswortha jeszcze w inny sposób... – odezwała się pani Linnet spod filcowego kapelusza. Za jej plecami dwie inne staruszki stały wyczekująco, przyciskając torebki do piersi.

– Upam...? Ach, oczywiście. Jesteście panie zaproszone. Przecież chcemy panu Pottisworthowi zgotować godne pożegnanie, prawda? A co z panem, panie Suleyman? Musi pan

jeszcze wrócić do sklepu?

– Na szczęście nie. – U jego boku pojawił się Henry Ross. – W środy zamykamy wcześniej. Nie mógł pan tego lepiej zaplanować, panie McCarthy. Z chęcią weźmiemy udział w... w upamiętnieniu.

– Jesteśmy do państwa dyspozycji. – Asad uśmiechnął się promiennie.

Matt nie mógł pozwolić, by cokolwiek zepsuło mu ten dzień, więc rzekł tylko:

– Fantastycznie. To teraz wszyscy jedziemy do nas i tam wzniesiemy za niego toast. Pójdę tylko powiedzieć wikaremu. Jeśli panie zaczekają przy moim samochodzie, to panie podwozę.

Dom, który Matt McCarthy wybudował – czy raczej wyremontował – za pieniądze żony, przerobiono ze znacznie mniejszej wozowni usytuowanej na skraju lasu, w miejscu, gdzie rozwidlała się droga wiodąca do domu hiszpańskiego. Z zewnątrz wpisywał się on w architekturę okolicy neogeorgiańską fasadą, wysokimi stylowymi oknami i elewacją pokrytą kamienną mozaiką. Wewnątrz jednak prezentował się bardziej nowocześnie – z oświetleniem punktowym, dużym otwartym salonem wyłożonym panelami oraz pokojem gier, w którym Matt grywał z synem w bilard jeszcze kilka lat temu.

Z trzech stron otaczała go otwarta przestrzeń, a od domu hiszpańskiego odgradzał go las. Od wsi Little Barton z pubem, szkołą i sklepem dzieliło go dwa i pół kilometra, ale długi, kręty trakt, który kiedyś zapewniał dobre połączenie z najbliższą główną drogą, teraz był zarosniętym leśnym duktem, wyboistym i zapuszczonym, więc Matt i jego żona musieli mieć samochód z napędem na cztery koła, aby wyjechać z domu bez obawy o podwozie. Od czasu do czasu Matt jeździł prawie kilo-metrową najgorszą częścią drogi, by kogoś odebrać – wcześniej bowiem dwa razy zdarzyło się, że wyrwało rurę wydechową z eleganckich, nisko zawieszonych samochodów jego gości, a Matt, który wiedział, jak się tworzy relacje biznesowe, nie lubił zaczynać spotkań od przeprosin.

Kilka razy myślał o tym, aby wysypać drogę kruszywem, ale Laura przekonywała go, że to kuszenie losu.

– Rób, co chcesz, kiedy dom będzie twój – powiedziała wtedy. – Nie ma sensu pakować pieniędzy na użytek innych.

Stolik był zastawiony dobrym winem – butelek było zdecydowanie za dużo, biorąc pod uwagę liczbę gości, ale Matt McCarthy nie chciał, by mówiono, że jest złym gospodarzem. A odrobina smaru ułatwiała kontakty towarzyskie. Wiedział o tym jak nikt inny.

– Widziałeś, jak spuszczano go do ziemi?

– Ktoś musiał się upewnić, że już nie wstanie. – Matt wręczył Mike’owi Toddowi, miejscowemu agentowi nieruchomości, duży kieliszek czerwonego wina.

– Czy Derek już przyszedł? Pewnie będzie chciał ze mną omówić wystawienie domu na sprzedaż, kiedy załatwi sprawy spadkowe. Działka sama w sobie jest fantastyczna, ale trzeba mieć mnóstwo kasy, żeby doprowadzić do porządku tę starą rudę. Ostatni raz byłem tam, ja wiem... ze cztery lata temu? I już wtedy ten dom się rozpadał.

– Nie jest w dobrym stanie, to fakt.

– Co jest napisane nad bramą? „Cave”? Uwaga, tak? Jak dla mnie pasuje.

Matt nachylił się w jego stronę.

– Na twoim miejscu jeszcze bym się tym nie ekscytował, Mike.

– Wiesz coś, o czym nie wiem?

– Powiedzmy, że sprzedaż tego domu jest bardziejprawdo-podobna.

Mike pokiwał głową.

– Wcale mnie to nie dziwi. No cóż... Twój dom oznacza dla mnie łatwiejszy zysk.

Pewnie będzie na niego wielu chętnych. Wiesz, że w którejś z gazet opisano naszą okolicę jako mającą ogromny potencjał?

– To będziesz miał mnóstwo pracy. Ale postarasz się dla mnie o dobrą cenę?

– Zawsze możesz na mnie liczyć, Matt, wiesz przecież. Ale pogadamy o tym później.

Pewna kobieta planuje kupno i przebudowę tej stodoły za kościołem. Czekają ją tam sporo roboty, a ja jej powiedziałem, że znam odpowiedniego człowieka. Pomyślałem, że możemy zrobić tak, by było to opłacalne dla nas obu. – Pociągnął spory łyk wina i cmoknął. – A poza tym, jeśli masz zamiar odnowić tę starą rudę, potrzebna ci będzie naprawdę kupa forsy.

Ciekawe, że na stypę przyszło o wiele więcej osób niż na pogrzeb, pomyślała Laura. Widziała, że niebo za oknem się roz pogodziło, i niemal czuła zapach zbutwiałego drewna z lasu. Wybrała się tam dzisiaj na spacer z psem i choć był dopiero wrzesień, w powietrzu dało się już wyczuć subtelną zmianę, która zwiastowała nadejście jesieni. Spojrzała na keks, który leżał na tacy na kuchennym stole, czekając na podanie. Jeśli goście się zasiedzą, a na to się zapowiadało, będzie pełniła funkcję gospodyni do wieczora. Ale tak to już jest w małych miejscowościach. Niewiele się tutaj działo, więc ludzie rzucali się na każde wydarzenie towarzyskie i próbowali wycisnąć z niego jak najwięcej. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała prosić kuzynów, by utworzyli dla niej sklep.

– Wszystko w porządku, ślicznotko?

Matt objął ją w pasie. Przez ostatni tydzień był uroczy, wesoły, odprężony i troskliwy. Chociaż Laura czuła się winna z powodu tej myśli, śmierć pana Pottiswortha okazała się dla nich prawdziwym błogosławieństwem.

– Zastanawiam się, kiedy będzie można się ich pozbyć – wymruczał.

– Starsze panie chyba wkrótce będą potrzebowały podwózki do domu. Pani Linnet pije trzeci gin i ma już głupawkę, a pani Bellamy chrapie na górze na stosie płaszczy.

– Zaraz zaczną się przystawiać do kuzynów.

Uśmiechnęła się i położyła na tacy nóż do krojenia ciasta, a potem odwróciła się twarzą do niego. Był tak samo przystojny jak w dniu, w którym go poznała. Dojrzałość i zmarszczki w kącikach oczu tylko dodawały mu uroku. Czasem ją to bolało, ale dziś, pod wpływem wina i doznanej ulgi, po prostu się z tego cieszyła.

– Wszystko się teraz zmieni, prawda? – spytała.

– O, tak. – Pochylił się i pocałował ją, a jej ręce zaczęły wędrować po jego ciele, czuła na sobie jego znajomy kształt, napięte mięśnie wyrobione od ciężkiej pracy. Pomyślała, że chyba nigdy nie była przy nim, nie czując choćby lekkiego pożądania. Odwzajemniła jego pocałunek, napór jego warg zapewnił jej przelotne, uspokajające poczucie własności. Te chwile sprawiały, że wszystko stawało się warte zachodu, dzięki nim czuła się tak, jakby Matt został jej przywrócony. Jakby wszystko, co działo się w przeszłości, było aberracją.

– W niczym wam nie przeszkodziłem?

Matt podniósł głowę.

– Jeśli do tej pory tego nie wiesz, Anthony, to nie wynios-łeś zbyt dużo z lekcji biologii.

Laura wysunęła się z objęć męża i podniosła tacę z ciastem.

– Rozmawialiśmy z tatą o przyszłości – powiedziała. – Jak dobrze się rysuje.

Były chwile, pomyślał Matt, poprawiając się dyskretnie, kiedy odczuwał zadowolenie z bycia mężem swojej żony. Obserwował ją, gdy wychodziła do salonu, i oceniał jej przymioty: wąska talia, zgrabne nogi, elegancki chód. W sumie niezła laska.

– Nie wychodzisz dzisiaj? – spytał syna. – Myślałem, że o tej porze już dawno cię nie będzie.

Dopiero po chwili zorientował się, że Anthony spogląda na niego jakoś inaczej – zwykle

robił wrażenie, jakby miał coś na sumieniu.

– Shane podwiózł mnie po treningu.

– To miło z jego strony.

– Widziałem twój samochód przed domem Theresy Dillon.

Matta lekko zbiło to z tropu.

– No i...?

– No i to, że nie jestem głupi. Mama też nie jest, nawet jeśli zachowujesz się tak, jakby była.

Radosny nastrój Matta prysł. Ale starał się zachować lekki ton.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Taaa, jasne.

– Czy ty mnie o coś oskarżasz?

– Powiedziałeś mamie, że przyjechałeś prosto ze składu materiałów budowlanych. To ponad dwadzieścia kilometrów w przeciwnym kierunku od kościoła.

A więc się wydało, pomyślał Matt. Jego gniew po części równoważyła duma, że jego syn nie jest głupi i nie boi się skonfrontować z ojcem. Że ma jaja.

– Posłuchaj, zasranej detektywie, wyjaśnię ci to, choć to w sumie nie twoja sprawa: zatrzymałem się tam, ponieważ Theresa zadzwoniła do mnie i poprosiła o wycenę montażu nowych okien, a sprawa była pilna.

Chłopak nic nie powiedział, tylko gapił się na ojca w sposób, który mówił, że mu nie uwierzył. Miał na głowie tę kretyńską wełnianą czapkę nasuniętą nisko na brwi.

– A po jej telefonie stwierdziłem, że do składu równie dobrze mogę pojechać jutro – dodał.

Anthony wbił wzrok w podłogę.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym potraktować twoją matkę w ten sposób? Po tym wszystkim, co robi dla tej rodziny i co robiła dla starego?

Możliwe, że zadziało: dojrzał niepewność w oczach syna. Ta instynktowna reakcja – nigdy się nie przyznawaj, nigdy nie próbuj się z niczego tłumaczyć – wyciągnęła go z Bóg wie ilu sytuacji podbramkowych.

– Nie mam pojęcia.

– No właśnie. Więc następnym razem pomyśl, zanim coś powiesz. – Teraz już miał kontrolę nad sytuacją. – Za dużo się włączysz po wsi. Mówiłem twojej matce, że trzeba cię było wychować w miejscu, gdzie coś się dzieje. Tutaj ludzie z nudów wymyślają różne bajki i fantazja ich ponosi. – Postukał go w głowę. – Na litość boską, posłuchaj, co wygadujesz! Zachowujesz się jak te stare wiejskie plotkary.

– Widziałem was już wcześniej razem, nie pamiętasz? – odparł z gniewem Anthony.

– Więc nie wolno mi już z nikim poflirtować, tak? Porozmawiać z ładną kobietą? Mam chodzić ze wzrokiem wbitym w ziemię, żeby przypadkiem na żadną nie spojrzeć? Może poproszę panią Linnet, żeby mi wydziergała burkę.

Anthony pokręcił głową.

– Posłuchaj, synu – kontynuował Matt. – Może i masz szesnaście lat, ale musisz jeszcze dorosnąć. Jeśli wydaje ci się, że twoja matka wolałaby mieć męża pantoflarza, to nie masz pojęcia o ludzkiej naturze. A teraz znajdź sobie coś pożytecznego do roboty, zamiast bawić się w detektywa. I umów się do fryzjera.

Kiedy wychodził z kuchni, trzaskając drzwiami, Anthony stał przygarbiony z miną człowieka pokonanego.

Popołudnie przestoczyło się w zmierzch, a potem w zmrok, gęsto utkany całun nocy



opadał coraz niżej, aż dom wraz z drzewami i polami spowiła nieprzenikniona czerń głębokiej wsi. Światło w oknach u McCarthych ukazywało żałobników, którzy nie przejawiali zbytnej chęci rozejścia się ani nawet najmniejszych oznak żałoby. Wraz z kolejnymi drinkami historie na temat Samuela Pottiswortha stawały się coraz mniej nabożne, aż w pewnym momencie rozmowy zeszyły na jego poszarzałe wełniane kalesony, które nosił nawet w lecie, i pikantne propozycje składane atrakcyjnej młodej pielęgniarki.

Nie do końca wiadomo, czyj to był pomysł, aby przenieść imprezę na jego posesję, ale w pewnym momencie wśród wzmożonej wesołości i wybuchów śmiechu wszyscy wyszli na zewnątrz. Laura, gdy zobaczyła, dokąd zmierza ta rozproszona grupa, podążyła za mężem.

Na zewnątrz było niezwykle ciepło, noc rozbrzmiewała nawoływaniami dzikich stworzeń i rozbłyskiwała chybotliwymi promieniami latarek. Las ożywiały dźwięki łapek przemykających w zaroślach, szelest pierwszych jesiennych liści pod stopami i piski starszych pań, które próbowały sobie utorować drogę w ciemności.

– A do tego przystawiał się do mojej żony – powiedział Matt. – Sprośny stary dziad. Uważajcie, panie, na tych deskach.

– Matt – odezwała się Laura, mijając go. – Przestań.

– Och, daj spokój, kochanie. Chyba nie będziesz nikomu wmawiać, że był aniołem. – Puścił oko do Mike’a Todda, który trzymał swój kieliszek wysoko w górze, jak gdyby się bał, że może wylać wino. – Wszyscy tutaj wiedzą, jaki był, co nie, Mike?

– Moim zdaniem to niestosowne – stwierdziła.

– Źle mówić o zmarłych? Ja tylko stwierdzam, jak było. Wszyscy stwierdzamy, jak było, co nie? Mówimy prosto z serca, prawda?

– Mimo to...

Przed nimi wyrósł dom oświetlony księżycowym blaskiem, który odbijał się blado od spokojnej tafli jeziora. W niebieskiej poświacie budynek wyglądał widmowo, mniej solidnie niż w świetle dnia, a mgła unosząca się nad ziemią sprawiała wrażenie, jakby dryfował w powietrzu. Wschodnią ścianę z czerwonej cegły zdobiły gotyckie okna, a późniejsze dobudówki z północnej i południowej strony wykończono typową dla Norfolk kamienną mozaiką. Nad ogromnym wykuszowym oknem, należącym do największej sypialni i wychodzącym na jezioro, wznosiły się dwa rzędy blanków. Był to okazały, ale nieładny budynek, dziwny i pełen sprzeczności, tak jak i jego poprzedni właściciel. Ale miał potencjał. Laurę przeszedł dreszcz. Wielki dom. Ten, który miała stworzyć na nowo, w którym miała spędzić resztę życia. Ten, który udowodni jej rodzicom i całej reszcie, że słusznie postąpiła, wychodząc za Matta.

– Popatrzcie na ten dom. – Dobiegł ją głos męża. – W ogóle o niego nie dbał.

– Pamiętam go z czasów, gdy należał do jego rodziców – powiedziała pani Linnet, ściskając mocno ramię Asada. – Był piękny i dobrze utrzymany. W ogrodzie stały kamienne pawie, po jeziorze pływały łódki, a na rabatkach rosły przepiękne róże. Które cudownie pachniały, nie tak jak te teraz.

– To musiało robić wrażenie – stwierdził Asad.

– W odpowiednich rękach ten dom może odzyskać świetność.

– Nie chciałabym tu mieszkać. Nie w tym miejscu, tak pośrodku lasu.

Laura spojrzała na męża, który stał nieco z boku, pogrążony w rozmyślaniach, z głową zadartą do góry. Pomyślała, że w jego twarzy jest coś spokojnego. Jak gdyby długo utrzymujące się napięcie zaczynało ustępować. Zastanawiała się, czy u niej widać to samo, ale uznała, że chyba nie.

– Tak przy okazji, Matt... – odezwał się cicho Derek Wendell, notariusz. – Mogę cię prosić na słówko?

– Czy opowiadałem wam, jak chciał sprzedać to dwunastohektarowe pole? To przy starej stodole? – Głos Mike’a, stojącego obok, rozbrzmiewał teatralnie w ciemności. – Dostał niezłą ofertę, sporo powyżej tego, czego się spodziewał. Wszystko już było nagrane, a potem spotkał się z kupcem u notariusza. – Zrobił pauzę dla dramatycznego efektu. – Ka-ta-stro-fa.

– Mów dalej, Mike – zachęciła go Laura, rozbawiona. Piła przez całe popołudnie, co rzadko jej się zdarzało. Zazwyczaj się ograniczała, nie lubiła się budzić z kacem.

– Dowiedział się, że nabywca jest Francuzem. A przynajmniej jego rodzice pochodzili z Francji, on sam mieszkał w Anglii od dwudziestu lat. I było po wszystkim. „Nie sprzedam mojej ziemi tchórzliwemu żabojadowi. Noga żadnego z tych plugawców nie postanie w domu moich przodków...” Cała ironia polegała na tym, że żaden Pottisworth nigdy nie walczył na wojnie. Wszyscy wykręcali się problemami ze zdrowiem albo pracowali w administracji.

– Nie kojarzę, żeby kiedykolwiek wyraził się o kimś dobrze – powiedział Matt, spoglądając na dom.

– Z pewnością o pani McCarthy. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła...

– Nie – odparł Matt. – Nawet o Laurze. Przynajmniej ja nie słyszałem.

Usadowił się na długim, niskim murku otaczającym posesję, przedzielonym schodkami prowadzącymi niegdyś do drogi. Siedział w pozycji zrelaksowanego właściciela, jak gdyby pozował do zdjęcia.

– Matt. – Derek Wendell pochylił się nad nim. – Naprawdę musimy porozmawiać.

Laura zauważyła wyraz jego twarzy wcześniej niż Matt. Nawet w stanie lekkiego zamroczenia dostrzegła w niej coś, co ją otrzeźwiło.

– Chodzi o testament, tak? Czy możemy porozmawiać o szczegółach później? – Matt poklepał go po plecach. – Nigdy nie odpoczywasz od pracy, Derek?

– Nie byłem w tym domu od trzydziestu lat – oznajmiła stojąca za nimi pani Linnet. – Ostatni raz na pogrzebie jego ojca. Trumnę ciągnęły dwa czarne konie, podeszłam do jednego, by go pogłaskać, i mnie ugryzł. – Wyciągnęła rękę. – Widzicie, do dzisiaj mam bliznę.

Ludzie mówili teraz jeden przez drugiego, bardziej zainteresowani opowiadaniem niż słuchaniem.

– Pamiętam tamten pogrzeb – powiedział Matt. – Stałem ze swoim ojcem na szczycie drogi dojazdowej. Nie chciał wejść za bramę, tylko czekał, aż kondukt pogrzebowy nas minie. Pamiętam, że płakał, mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło. Dziesięć lat po tym, jak go wyrzucili, zostawili bez dachu nad głową, bez niczego, on nadal płakał po tym starym.

Laura stała nieruchomo i patrzyła przed siebie. Derek, usiłujący zwrócić na siebie uwagę Matta, odwrócił się na chwilę twarzą do niej i nagle zrozumiała, co próbuje powiedzieć jej mężowi. Jej świat rozpadł się na kawałki. Zamrugła mocno, próbując przekonać samą siebie, że to, co zobaczyła, było skutkiem kiepskiego oświetlenia albo wypitego przez nią alkoholu. Ale wtedy Derek pochylił się i wyszeptał coś Mattowi do ucha, a po twarzy męża, która stężała, oraz jego słowach: „Co? Co?”, które wdarły się w pachnące wieczorne powietrze, wiedziała, że stary rzeczywiście pozostał wierny sobie, tak jak powiedział wikary. Nawet w chwili śmierci.

Trudno jej było grać na skrzypcach, kiedy płakała. Przy pochylonej głowie łzy zbierały się na chwilę w małym wgłębieniu między kanalikiem łzowym a nosem, a potem spływały po twarzy lub, co gorsza, na skrzypce, skąd trzeba je było szybko ścierać, by nie poplamiały instrumentu albo wręcz nie wypaczyły drewna.

Isabel przerwała, chwyciła dużą białą chusteczkę i usunęła kropelki z lśniącej powierzchni. Płacz i gra. Powinno się oddzielać jedno od drugiego. Ale tylko grając, mogła wyrazić, co czuje. To był jedyny czas, kiedy nie musiała udawać dzielnej, kiedy nie musiała być matką, synową, rozzamiętą pracodawczynią lub, nie daj Boże, „młodą wdową przyjmującą swój los ze stoickim spokojem”.

– Mamo! – Kitty wołała ją od kilku minut.

Isabel starała się ją ignorować, nie chciała zrezygnować z ostatnich taktów piątej symfonii Mahlera, nie była gotowa, by pójść na dół i wrócić do prawdziwego życia. Ale nawoływania Kitty były coraz głośniejsze i coraz bardziej natarczywe.

– Mamo!

Nie była w stanie dobrze grać, kiedy nie mogła się skoncentrować. Opuściła skrzypce, otarła oczy i siląc się na lekki ton, odkrzyknęła:

– O co chodzi?

– Przyszedł pan Cartwright!

Cartwright... Cartwright... Odłożyła skrzypce do futerału, a potem otworzyła drzwi od strychu i powoli ruszyła na dół. Nie kojarzyła nazwiska, chociaż możliwe, że знаła tego człowieka. Gdy Laurent żył, nie musiała pamiętać tylu nazwisk.

– Już idę! – odparła.

Cartwright. Pan Cartwright. Brzmiało to poważnie, biz-nesowo. Raczej nie był to jeden z sąsiadów. Ani żaden ze znajomych Laurenta, którzy wciąż wpadali do nich, zszokowani, jakby dopiero co się dowiedzieli, i których trzeba było pocieszać, tam, na jej sofie, jakby to ona musiała teraz dbać o uczucia wszystkich.

Ani żaden spośród jej znajomych, z których niewielu utrzymywało z nią kontakt, od kiedy musiała opuścić orkiestrę.

Cartwright. Zerknęła do salonu i z niejasnym uczuciem ulgi stwierdziła, że siedzący na sofie mężczyzna w ciemno-szarym garniturze i krawacie wygląda znajomo. Był na pogrzebie. Próbowwała zebrać myśli i zerknęła do kuchni, gdzie Kitty robiła herbatę.

– Czy Mary nie może się tym zająć?

– Ma dzisiaj wolne popołudnie. Mówiłam ci wcześniej.

– Och. – Ostatnio o wszystkim zapomniała. Kitty zaniósła herbatę panu Cartwrightowi, który z trudem podniósł się z niskiej sofy, wyciągając prawą rękę. Wyprostowany, w wypolerowanych butach, mocno kontrastował z panującym w salonie chaosem. Isabel zobaczyła nagle ten pokój oczami gościa. Na stołach leżały stosy książek i czasopism, na podłokietniku sofy maska halloweenowa i sterta prania. Jej majtki zsuwały się po oparciu w kierunku poduszek. Thierry, nie zważając na otaczający go bałagan, oglądał telewizję.

– Pani Delancey, mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę...

– Nie, nie. – Uspokoiła go gestem. – Miło pana widzieć. Byłam tylko... na gorze.

Kitty usiadła na czerwonym adamaszkowym fotelu i podkuliła nogi pod siebie. Materiał siedziska był tak postrzępiony, że szare wypełnienie wychodziło na zewnątrz – Kitty ukradkiem próbowała wepchnąć je z powrotem.

– Pan Cartwright przyszedł porozmawiać o pieniądzach – powiedziała. – Herbatę masz na stoliku, mamo.

– Oczywiście. Dziękuję. – Księgowy? Doradca finansowy? Notariusz? Zawsze Laurent załatwiał wszystko z takimi ludźmi. – Czy mam coś podpisać?

Pan Cartwright się pochylił, co nie było łatwe, ponieważ jego siedzenie znajdowało się dużo poniżej kolan.

– Nie do końca. Tak naprawdę... Może dobrym pomysłem byłoby odbyć tę rozmowę... gdzie indziej. – Zerknął znacząco na Thierry'ego, a potem na Kitty.

Thierry, urażony, wyłączył telewizor.

– Możesz oglądać telewizję w pokoju Mary, kochanie. Jes-tem pewna, że nie miałyby nic przeciwko temu.

– U niej pilot jest popsuty – powiedziała Kitty.

– No to... może...

Ale Thierry zdążył już wyjść.

– Ja tu zostanę – stwierdziła spokojnie Kitty. – Czasami łatwiej jest zapamiętać pewne rzeczy, jeśli słyszą je dwie osoby.

– Moja córka jest... bardzo dojrzała jak na swój wiek – dodała Isabel.

Widać było, że goście nie do końca to odpowiadają, ale najwyraźniej dotarło do niego, że nic z tym nie zrobi.

– Próbowałem się z panią skontaktować od wielu tygodni – zaczął. – Pomyślałem, że powinna pani mieć pełny obraz swojej sytuacji finansowej teraz, kiedy... yyy... sprawy już się ustabilizowały. – Zacerwienił się przy tym niefortunnym wyrażeniu. Otworzył aktówkę w sposób, który sugerował, że jest to jego ulubiony moment w pracy, wyciągnął plik dokumentów i zaczął je układać w równe prostokąty na stoliku do kawy. Przerwał, kiedy doszedł do wielkiego stosu.

– Mama nie przegląda poczty – wyjaśniła Kitty. – Czekamy, aż sterta urośnie na tyle, że wyrządzi jej krzywdę.

– Kitty, na pewno się tym zajmę. Tylko... mam pewne zaległości. – Isabel uśmiechnęła się z zakłopotaniem do pana Cartwrighta, który nie był w stanie ukryć swojego przerażenia na widok góry nieotwartych kopert.

– Pewnie dlatego nie dostał pan od nas odpowiedzi – dodała Kitty.

– Ze swojej strony... doradzałbym, żeby na nie zerknąć – powiedział ostrożnie. – Mogą tam być rachunki.

– Niech się pan nie martwi – odparła Kitty. – Otwieram wszystko z czerwoną pieczęcią, wypełniam czek, a mama je podpisuje.

Isabel dostrzegła dezaprobatę na jego twarzy. Widziała ją na twarzach innych matek, gdy mówiła, że niania u nich gotuje albo że nie zna imion kolegów ze szkoły swoich dzieci. Widziała ją na twarzach tych, którzy odwiedzali ją po śmierci Laurenta, kiedy okazywało się, w jakim stanie był teraz dom. Czasami widziała ją nawet u Mary, kiedy Isabel leżała w łóżku i wyła, zamiast pomagać w odprowadzaniu dzieci do szkoły. Tamten etap, kiedy czuła się na wpół obłąkana, kiedy widziała go w twarzach mijanych ludzi i wściekała się na Boga za to, że jej go odebrał, już minął. Ale droga wyjścia z żałoby wcale nie była łatwiejsza.

Cartwright wziął pióro i zamknął aktówkę.

– Niestety nie mam do przekazania dobrych wiadomości.

Isabel miała ochotę się roześmiać. Mój mąż nie żyje, chciała mu powiedzieć. Mój syn wciąż jest w szoku i nie odzywa się ani słowem. Moja córka w ciągu dziewięciu miesięcy postarzała się o dwadzieścia lat i nawet nie przyzna, że cokolwiek jest nie tak. Musiałam

zrezygnować z jedynej rzeczy, którą kocham robić, choć przysięgałam sobie, że nigdy do tego nie dojdzie, a tobie się wydaje, że możesz mi jeszcze przekazać złe wieści?

– Teraz, kiedy minęło już trochę czasu i, yyy, sprawy prawne zostały uporządkowane, przyjrzałem się dokładnie finansom Laurenta i okazuje się, że nie był on tak... rzetelny, jak mogło się wydawać.

– Rzetelny?

– Obawiam się, że nie zostawił wam takiego zabezpieczenia finansowego, jakiego mogłaby się pani spodziewać.

To nie żadna katastrofa, chciała mu rzec. Pieniądze nigdy nie miały dla mnie większego znaczenia.

– Ale mamy dom. I jego ubezpieczenie na życie. Nie może być tak źle.

Cartwright przeglądał trzymaną w rękę kartkę.

– Oto podsumowanie – powiedział. – Na górze po lewej widnieją jego aktywa, czyli to, co posiadał, a po prawej ma pani listę tego, co pan Delancey był winien innym, kiedy... odszedł.

– Umarł – poprawiła go. – Nienawidzę tego określenia – wymruczała, łowiąc karcące spojrzenie Kitty. – Umarł. Mój mąż... umarł.

Nie ma co owijać w bawełnę. To powinno brzmieć tak prosto i brutalnie, jakie było w rzeczywistości.

Mężczyzna siedział w milczeniu, podczas gdy Isabel próbowała zwałczyć gulę w gardle. Zaczerwieniona, wzięła do ręki kartkę.

– Przepraszam – powiedziała, lekko skołowana. – Nie znam się zbyt na liczbach. Mógłby mi pan to wyjaśnić?

– W najprostszych słowach, pani Delancey, pani mąż zaciągnął znaczne pożyczki pod zastaw tego domu, aby zapewnić rodzinie wysoki poziom życia. Liczył na to, że wartość waszej nieruchomości będzie nadal rosła. Jeśli tak się stanie, może się okazać, że sytuacja nie jest taka zła. Ale największy problem polega na tym, że kiedy przedłużył okres spłaty kredytu hipotecznego, nie zwiększył sumy ubezpieczenia na życie, aby pokrywała kredyt w nowej wysokości. A nawet spieniężył jedną z polis.

– Nowa praca – zaczęła niepewnie. – Twierdził, że nowa praca przyniesie spore zyski. Nie rozumiałam za bardzo, o czym mówił... Nigdy nie pojmowałam, czym się zajmował. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Wspominał coś o... wschodzących rynkach?

Gość patrzył na nią tak, jakby wszystko to było oczywiste i nie wymagało wyjaśnienia.

– Tyle że... Mógłby mi pan powiedzieć, co to wszystko dla nas oznacza?

– Na dom zaciągnięty jest kredyt hipoteczny. Wypłata ubezpieczenia na życie pokryje mniej niż połowę należnej sumy, co oznacza, że pozostaną jeszcze do spłaty znaczne raty, na które nie wiem, czy panią stać. Do tej pory ściągano je z waszego wspólnego konta oszczędnościowego, ale obawiam się, że nie zostało tam już dużo. Dostanie pani rentę po mężu i być może jakieś inne świadczenia, ale musi pani znaleźć sposób na spłatę reszty kredytu, jeśli chce pani zachować dom.

To było dla niej jak krakanie wrony: okropny, natrętny hałas. W pewnym momencie przestała słyszeć jego słowa, docierał do niej tylko specjalistyczny żargon. Ubezpieczenie. Płatności. Decyzje finansowe. Wszystkie te rzeczy, na których kompletnie się nie znała. Miała wrażenie, że zaczyna ją boleć głowa.

Wzięła głęboki oddech.

– Co wobec tego mogę zrobić, panie Cartwright?

– Co może pani zrobić?

– Wykorzystać jego inwestycje? Oszczędności? Musi być coś, co mogę sprzedać, by

spłacić hipotekę. – Nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej użyła tego słowa. Nigdy nie udawałam, że mam o tym jakieś pojęcie, poskarżyła się w myślach mężowi. To miało być twoje zadanie.

– Musi pani wiedzieć, że w ostatnich miesiącach pani mąż dużo wydawał. Kilka kont wyczyścił niemal do zera. Nie licząc środków z polisy na życie, wszelkie pozostałe pieniądze będą musiały zostać przeznaczone na spłatę długów na kartach kredytowych oraz zaległych alimentów na rzecz byłej żony. Jako jego małżonka nie będzie pani musiała płacić podatku spadkowego, ale sugeruję w międzyczasie ograniczyć wydatki do minimum.

– Na co tyle wydał? – spytała Kitty.

– Przypuszczam, że będziecie panie musiały przejrzeć jego wyciągi bankowe, żeby się tego dowiedzieć. Większość odcinków w książeczce czekowej nie zawiera żadnych informacji.

Isabel próbowała sobie przypomnieć, co robili w ostatnich miesiącach, ale podobnie jak w czasie pierwszych tygodni po jego śmierci okres ten rozmył się w jej pamięci. Lata spędzone z Laurentem stały się niewyraźnym ciągiem wspomnień. Mieli piękne życie, pomyślała tęsknie. Długie wakacje na południu Francji, posiłki w restauracjach kilka razy w tygodniu. Nigdy się nie zastanawiała, skąd brał na to pieniądze.

– Czy to oznacza rezygnację z prywatnej szkoły? I z niani?

Isabel niemal zapomniała o obecności Kitty. Teraz zobaczyła, że jej córka robiła notatki.

Cartwright odwrócił się do Kitty z ulgą, jak gdyby mówiła w jego języku.

– Tak, właśnie to bym zalecał.

– I mówi pan w zasadzie, że stracimy dom.

– Rozumiem, że twoja... że pani Delancey nie ma już... stałego dochodu. Pewnie lżej wam będzie finansowo, jeśli przeniesiecie się do tańszej okolicy i ograniczycie wydatki.

– Mielibyśmy opuścić ten dom? – powtórzyła Isabel, zszokowana. – Ale on należał do Laurenta. To tu wychowaliśmy dzieci. Wszędzie czuć jego obecność. Nie możemy go opuścić.

Na twarzy Kitty malowała się determinacja, tak jak w dzieciństwie, kiedy się skaleczyła i próbowała powstrzymać łzy.

– Kitty, kochanie, idź na górę – powiedziała Isabel. – Nie martw się. Ja się tym zajmę.

Po chwili wahania Kitty ruszyła do drzwi z podejrzenie uniesionymi ramionami. Cartwright odprowadzał ją wzrokiem, speszony, jakby to on był odpowiedzialny za jej ból.

Isabel odczekała, aż za córką zamkną się drzwi.

– Na pewno coś da się zrobić – rzekła stanowczo. – Zna się pan na pieniądzach. Na pewno mogę jakoś sprawić, by moje dzieci zostały blisko ojca. Uwielbiały go. Może nawet widywały go częściej niż mnie, bo dużo wyjeżdżałam. Nie mogę im tego zrobić, panie Cartwright.

Mężczyzna się zarumienił. Wbił wzrok w dokumenty i kilka z nich przełożył.

– Jest pan pewien, że nie zostawił żadnego majątku we Francji? – spytała.

– Obawiam się, że zostawił tam tylko długi. Wygląda na to, że przestał płacić byłej żonie prawie rok przed śmiercią. Jestem przekonany, że mamy tutaj dokładny obraz sytuacji.

Pamiętała, jak Laurent skarżył się na alimenty. Przecież nie mieli dzieci. Nie rozumiał, dlaczego „ta kobieta” nie mogła sama się utrzymać.

– Niestety, pani Delancey, naprawdę nie widzę żadnego sposobu na konwersję pani długów. Nawet jeśli odprawi pani nianię i przeniesie dzieci do szkoły publicznej, zostaną pani wysokie raty kredytu do płacenia.

– Sprzedam coś – stwierdziła. – Może miał jakieś wartościowe dzieła sztuki. W jego bibliotece może być kilka cennych starych tomów. – Jej wzrok spoczął na chaotycznie ułożonych, podniszczonych książkach w miękkiej oprawie i w duchu przyznała, że jest to mało

prawdopodobne. – Nie mogę narazić na to dzieci. Już i tak dosyć się wycierpiał.

– Nie chciałyby pani wrócić do pracy?

Nawet nie ma pan pojęcia, jak bardzo, odpowiedziała mu w myślach.

– Uważam, że teraz dzieci potrzebują mieć przy sobie... – przełknęła ślinę – jednego rodzica. A pieniądze, które zarabiałam w orkiestrze, nie wystarczyłyby na utrzymanie domu.

Cartwright mruzczał coś do siebie, przerzucając dokumenty.

– Jest jedna możliwość – powiedział wreszcie.

– Wiedziałam, że coś pan wymyśli – odparła z entuzjazmem.

Mężczyzna przebiegł palcem po swojej liście.

– Niestety nie ma tu żadnych papierów wartościowych, które mogłaby pani spieniężyć.

Ale o ile mi wiadomo, najcenniejszą rzeczą, jaką pani posiada, nie licząc domu, są... skrzypce.

– Co?

Sięgnął po kalkulator i zręcznie wszystko przeliczył.

– Dobrze kojarzę, że to guarneri? Ubezpieczyła go pani na sześciocyfrową sumę. Jeśli sprzeda go pani za taką kwotę, nie pokryje to wprawdzie czesnego, ale powinna pani zachować dom. – Pokazał jej kalkulator. – Liczę z prowizją, ale i tak powinna pani być w stanie spłacić kredyt hipoteczny z niewielką nadwyżką. Byłoby to mądre posunięcie.

– Miałabym sprzedać swoje skrzypce?

– To mnóstwo pieniędzy. A teraz ich pani potrzebuje.

Po wyjściu Cartwrighta Isabel poszła na górę i położyła się na łóżku. Wpatrywała się w sufit, przypominając sobie wszystkie te noce, kiedy czuła na sobie ciężar ciała Laurenta, wieczory spędzone na czytaniu i rozmowach o niczym, gdy nie wiedziała jeszcze, że takie przyziemne sprawy mogą być luksusem, oraz te chwile, kiedy stali nad pogrążonymi we śnie swoimi nowo narodzonymi dziećmi, wpatrując się w nie i w siebie nawzajem w zachwycie.

Przejechała ręką po jedwabnej kołdrze. Ta zmysłowa przyjemność wydawała się teraz bezsensowna. Sama kołdra, z jej intensywną czerwienią i ozdobnymi haftami, ostentacyjnie emanowała seksualnością, jak gdyby kpiąc z jej samotności. Otuliła się ramionami, starając się zagłuszyć ogarniający ją smutek, poczucie, jakby została pozbawiona części siebie; dopadało ją ono za każdym razem, gdy zostawała sama w tym wielkim łóżku.

Przez ścianę dochodził ją stłumiony dźwięk telewizora i wyobraziła sobie, jak jej syn siedzi przed ekranem, prawdopodobnie pochłonięty grą komputerową. Przez pewien czas miała nadzieję, że któreś z jej dzieci okaże zainteresowanie muzyką, ale podobnie jak ich ojciec nie miały do niej ani talentu, ani zamiłowania. Może to i dobrze, stwierdziła. Być może w tej rodzinie jest miejsce tylko dla jednej osoby, która żyje marzeniami. Laurent mnie rozpieszczał. Miałam szczęście, że dostałam od niego taką szansę.

Usłyszała, że Mary weszła do domu i przez chwilę rozmawiała z Kitty. Potem, wiedząc, że nie może dłużej tak leżeć, Isabel wstała, wygładziła pościel i powoli ruszyła na dół. Zastała Kitty siedzącą ze skrzyżowanymi nogami przy stoliku kawowym. Przed nią leżały listy posegregowane na mniejsze kupki brązowych lub ręcznie wypisanych kopert, podzielonych dodatkowo według adresatów.

– Mary pojechała do supermarketu. – Jej córka odłożyła kolejną kopertę. – Pomyślałam, że może lepiej otworzyć kilka listów.

– Ja to zrobię. Nie musisz mi pomagać, kochanie. – Isabel pochyliła się i pogłaskała córkę po głowie.

– Będzie łatwiej, jeśli obie się tym zajmujemy.

W jej głosie nie było pretensji, tylko rzeczowość, która wywołała w Isabel mieszaną wdzięczności i poczucia winy. Laurent nazywał Kitty swoją *vieille femme*, staruszką. Teraz,

uświadomiła sobie Isabel, jej piętnastoletnia córka, w tak wrażliwym okresie życia, naturalnie weszła w rolę osoby dorosłej.

– Wobec tego zrobię nam obu herbatę – powiedziała.

Mary była z nimi, od kiedy Kitty miała kilka lat. Czasami Isabel odnosiła wrażenie, że niania zna jej dzieci lepiej niż ona sama. Spokój i pragmatyzm Mary podtrzymywały ich na duchu przez ostatnich kilka miesięcy, jej równowaga emocjonalna stanowiła ostoję w nowej, surrealistycznej rzeczywistości. Isabel nie miała pojęcia, jak by sobie poradziła bez niani. Na myśl o gotowaniu i prasowaniu, zmienianiu pościeli i mnóstwie innych rzeczy, które Mary robiła codziennie, wpadała w rozpacz.

Muszę być silna, powiedziała sobie. Ludziom przytrafiają się gorsze nieszczęścia. Kto wie, może za rok znowu będziemy mogli się śmiać.

Kiedy wróciła z herbatą, pocałowała córkę w czubek głowy, wdzięczna, że ją ma. Kitty odpowiedziała jej bezwiednym uśmiechem i pomachała kopertą.

– To musimy zapłacić szybko. – Wręczyła matce zaległy rachunek. – Grożą, że odetną nam gaz. Ale na dole jest napisane, że można zapłacić przez telefon, jeśli ma się kartę.

Wyciąg z karty kredytowej, który Isabel właśnie otworzyła, informował ją, że od dwóch miesięcy nie spłacała kwoty minimalnej, więc do i tak już ogromnej należności musiała doliczyć sumę, którą uznała za absurdalną. Wepchnęła dokument na sam dół stosu. Nie mieli pieniędzy, tak jak powiedział Cartwright.

– Zajmę się tym – zapewniła córkę. Zapłaci rachunki. Znajdzie środki do życia. Wszystko będzie dobrze.

Co powinnam zrobić? – zapytała samą siebie. Jeśli wybiorę jedno, to może złamać moim dzieciom serce. Jeśli wybiorę drugie, to z pewnością złamię serce mnie.

– A tego nie kojarzę. – Kitty rzuciła jej grubą białą kopertę zaadresowaną eleganckim zamasztysem pismem.

– Odłóż to na bok, kochanie. Pewnie to od jakiegoś krewnego z Francji, który niedawno się dowiedział.

– Nie, jest zaadresowana do taty. I oznaczona jako „osobiste”.

– Odłóż ją zatem tutaj, do tych z drukowanym adresem. Wszystko, czym trzeba zająć się pilnie, przekaż mnie. Całą resztę na razie zostaw. Nie mam dziś na to siły. – Była taka zmęczona. Była zmęczona przez cały czas. Wyobraziła sobie, jak z ulgą zapada się w sfatygowane poduszki sofy, i zamknęła oczy.

– Wszystko się ułoży, mamo, prawda?

Isabel się wyprostowała.

– Och tak, wszystko będzie dobrze. – Potrafiła brzmieć przekonująco, kiedy chciała. Już się siliła na krzepiący uśmiech, gdy jej wzrok przykuła leżąca przed nią kartka z podpisem Laurenta. Wyobraziła sobie, jak podpisywał ten dokument, jak umieszczał na nim ten nonszalancki atramentowy zawijas, swoim zwyczajem nawet nie patrząc na papier. Nigdy już nie zobaczą jego dłoni, pomyślała. Tych mocnych palców, paznokci w kolorze muszelek. Nigdy nie poczują na sobie ich dotyku. Nigdy mnie nie obejmą. Po tych dziewięciu miesiącach znała już te chwile: ból po jego utracie uderzał w nią brutalnie, bez ostrzeżenia. W żałobie nie ma niczego subtelnego. Atakowała człowieka jak potężna fala, zalewała i groziła, że porwie go ze sobą. Jak te ręce mogły tak po prostu przestać istnieć?

– Mamo, musisz to zobaczyć.

Wykrzesła z siebie resztki sił, by skupić się na Kitty. Czuła się dziwnie, jakby nie potrafiła nadać twarzy wyrazu choć trochę przypominającego neutralny.

– Po prostu odłóż wszystkie rachunki na bok, kochanie. – Laurent, krzyczała w środku,



jak mogłeś nas zostawić? – Wiesz co, może skończymy to jutro? Czuję, że... mam ochotę na kieliszek wina. – Usłyszała, jak jej własny głos drży.

– Nie. Musisz na to spojrzeć. – Kitty machała jej listem przed oczami.

Kolejne oficjalne dokumenty do podpisu, stwierdziła Isabel. Jak mam dokonać tego wyboru? Dlaczego musimy poświęcać wszystko?

– Nie teraz, Kitty – odparła, próbując kontrolować głos.

– Ale popatrz. Tutaj. – Córka wepchnęła jej do rąk list napisany na maszynie. – Nie wiem, czy to jakiś żart, ale tu jest napisane, że ktoś zapisał ci dom.

– Czy to aby nie jest zbyt... radykalne?

Fionnuala miała przerwę w trakcie próby. Siedziały w filharmonii, w bistro, w którym kiedyś zjadły setki wspólnych posiłków, na tyle blisko sali koncertowej, by słyszeć strojenie kontra-basu i kilka eksperymentalnych dźwięków granych na oboju. W Isabel błogie poczucie przynależności walczyło z dotkliwym żalem, tym razem za dawnym życiem. Rok temu o niczym nie miałam pojęcia, stwierdziła, nie wiedziałam, co to prawdziwy ból. Odezwała się w niej teraz zawstydzająca zazdrość o przyjaciółkę, która perorowała, nieświadoma jej cierpienia. To ja powinnam być na jej miejscu i narzekać na dyrygenta, myślami wciąż tkwiąc w adagio.

– Nie boisz się, że możesz w ten sposób wylać dziecko z kąpielą? – dodała Fionnuala, popijając wino. – Boże, jakie to dobre.

Isabel pokręciła głową.

– Tak będzie lepiej dla dzieci. Piękny dom w małej wsi, dobra szkoła państwowa. Wiesz, jakie okropne są londyńskie parki. Mary ciągle powtarzała, że musiała przez pół godziny zbierać z trawy potłuczone szkło, zanim mogła się z dziećmi pobawić.

– Zastanawiam się tylko, czy nie powinnaś najpierw pojechać tam, by zobaczyć to miejsce, i dać sobie więcej czasu na decyzję.

– Ale my nie mamy czasu, Fi. Zostaliśmy bez grosza. A zresztą widziałam ten dom, dawno temu, kiedy byłam mała. Rodzice zabrali mnie tam na garden party. Pamiętam, że wszystko prezentowało się wspaniale. – Niemal przekonała samą siebie.

– Ale Norfolk? To nawet nie jest ta fajna część hrabstwa blis-ko morza. I to taka duża zmiana w życiu. Nie znasz tam nikogo. Nigdy nie przepadałaś za wsią. Nie kręca cię też polowania ani jazda konna, prawda? – Zapaliła papierosa. – Nie zrozum mnie źle, Isabel, ale mam wrażenie, że postępujesz trochę... impulsywnie. Powinnaś wrócić do pracy i zobaczyć, jak będziesz sobie wtedy radzić finansowo. Jestem pewna, że znalazły-by się dla ciebie dodatkowe zlecenia. Jesteś pierwszą skrzypaczką, na litość boską. Albo mogłabyś dawać lekcje.

Isabel uniosła brew.

– No dobra, uczenie nigdy nie było twoją mocną stroną – przyznała Fionnuala. – Ale to posunięcie naprawdę wygląda na ekstremalne... Co na to dzieci?

– Nie mają nic przeciwko – odpowiedziała bez wahania.

– Ale to jest nasz dom! Dom taty – rzekła Kitty. – Mówiłaś, że wszystko ogarniesz.

Zadziwił ją jej własny spokój. Laurent by mi wybaczył, powtarzała sobie Isabel. Nie prosiłby mnie o rozstanie ze skrzypcami, które mi podarował, nie po tym wszystkim, co już przesłałam.

– Dlaczego sama podejmujesz wszystkie decyzje? W tej rodzinie zostało nas troje, nie zauważyłaś? – kontynuowała Kitty tonem pełnym pretensji. Na jej twarzy wykwitły rumieńce. – Dlaczego nie możemy sprzedać tego nowego domu? Pewnie jest mnóstwo wart.

– Ponieważ... wtedy trzeba jeszcze zapłacić podatek od spadku, a reszta nie wystarczy na spłatę długów, rozumiesz? Nasz londyński dom jest znacznie więcej wart, a poza tym wszystko, co zarobimy na jego sprzedaży, pójdzie dla nas, nie dla urzędu podatkowego. – Jej głos

złagodniał. – Nie oczekuję, że to zrozumiesz, Kitty, ale twój ojciec... nie zostawił nam żadnych pieniędzy. Przeciwnie, zostawił długi. I musimy sprzedać ten dom, żeby przetrwać. Nie będzie tak źle. Będziesz mogła tu przyjeżdżać i widywać się ze znajomymi. A nowy dom jest spory, więc oni też będą mogli cię odwiedzać i zostawać na dłużej. Podczas wszystkich przerw szkolnych, jeśli będziesz chciała.

Twarz Thierry'ego nie wyrażała żadnych emocji.

– Po prostu nie mamy pieniędzy, kochani – powiedziała im, próbując przyciągnąć ich do siebie. – Musimy się przeprowadzić.

– Mimo to uważam, że popełniasz błąd – powiedziała Fionnuala, zanurzając w oliwie kawałek chleba, którym potem wytarła pusty talerz. – Wciąż jesteś w szoku i to nie jest czas na przeprowadzanie życiowych zmian.

Twarz Mary, kiedy Isabel oznajmiła jej swoją decyzję, sugerowała, że kobieta ma na ten temat takie samo zdanie. Ale Isabel musiała to zrobić, i to od razu. W przeciwnym razie groziło jej załamanie. Dom stanowił praktyczne rozwiązanie jej problemów. Był to jedyny sposób, aby ocalić coś z jej życia, aby przestał ją prześladować brak Laurenta. W chwilach gdy dawała się ponieść fantazji, wmawiała sobie, że to on zesłał jej ten dom, by odpokutować za swoje długi. A dzieci łatwo się adaptują, powtarzała sobie codziennie. Chociażby dzieci uchodźców, dyplomatów czy wojskowych. Oni ciągle się przeprowadzają. Poza tym jej dzieciom może być łatwiej z dala od wspomnień z dawnego życia. Może nawet jej samej będzie łatwiej.

– Słyszałem, że dom wymaga modernizacji – powiedział notariusz.

Poszła do niego osobiście; nie była w stanie uwierzyć, że to nie jakiś żart.

– Mieszkał w nim mój cioteczny dziadek, więc nie może być tak źle – odparła.

– Niestety wiem tylko to, co zapisano w dokumentach – rzekł – ale gratuluję pani. Z tego, co wiem, to jeden z najokazalszych domów w okolicy.

A ona otrzymała go jako jedyna żyjąca krewna poprzedniego właściciela, zgodnie z zasadami dziedziczenia.

– Bardzo ciężko pracowałam, by zostać pierwszą skrzypaczką. I jesteś w tym cholernie dobra – rzekła Fionnuala. – A do tego w takiej dziurze nigdy nikogo nie poznasz.

– Skąd ci przyszło do głowy, że kogoś szukam?

– Jeszcze nie teraz, rzecz jasna. Ale kiedyś... Posłuchaj, nie miałam na myśli...

– Nie – przerwała jej Isabel twardo. – Dla mnie liczył się tylko Laurent. Nie istnieje nikt, kto mógłby... – Nie dokończyła. A potem dodała: – To nowy początek – oznajmiła przyjaciółce. – Ten dom to początek nowego rozdziału.

– Tak, to chyba ważne – stwierdziła Fionnuala. Położyła rękę na dłoni Isabel i ścisnęła ją. – O cholera, muszę wracać. Wybacz, Isabel, ale Burton dyryguje, a sama wiesz, że zachowuje się jak palant, kiedy ktoś się spóźni.

Gdy Isabel sięgnęła po torebkę, Fionnuala powstrzymała ją:

– Nie, nie, ja stawiam. Jestem przy forsie, jutro nagrywamy muzykę do filmu. Cztery godziny siedzenia i czterdzieści minut grania. Kiedyś wyliczyłam, ile wychodzi za jedną nutę: coś niesamowitego. – Rzuciła pieniądze na rachunek. – Możesz przyrzędnąć dla mnie pieczeń, kiedy cię odwiedzę. Z własnoręcznie ustrzelonej kuropatwy. Zdziwisz mnie swoimi nowo odkrytymi talentami wiejskiej gospodyni. – Pochyliła się nad stołem, by uściskać przyjaciółkę. Potem cofnęła się i przyjrzała uważnie jej twarzy. – Jak myślisz, kiedy wrócisz do filharmonii?

– Nie mam pojęcia – odparła Isabel. – Kiedy dzieci... znowu będą szczęśliwe. Zresztą to tylko parę godzin pociągami od Londynu. Nie wyjeżdżamy przecież na Hebrydy Zewnętrzne.

– Ale nie zwlekaj zbyt długo. Tęsknimy za tobą. Ja tęsknię. Facet, który zajął twoje miejsce, jest beznadziejny. Gra ze spuszczoną głową i oczekuje, że będziemy robić to co on.

Wszyscy gapimy się na niego, jakby za pomocą języka migowego miał nam przekazać swoje zamiary. – Jeszcze raz objęła przyjaciółkę. – Och, Isabel, jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży z twoim nowym domem i całą resztą. Przepraszam, że wcześniej byłam taka mało wspierająca. Jestem pewna, że podjęłaś właściwą decyzję.

Owszem, pomyślała Isabel, kiedy jej przyjaciółka zniknęła w drzwiach z futerałem na skrzypce wetkniętym pod ramię. Najlepszą dla wszystkich.

Czasami nawet w to wierzyła.

Henry szturchnął Asada pod ladą, wskazując na zegarek. Pani Linnet kupowała herbatę w torebkach od prawie dwudziestu trzech minut. To był jej nowy rekord.

– Czy w czymś pani pomóc? – zapytał.

Kobieta przerwała swój monolog. Poruszyła w nim wątki – niekoniecznie w tej kolejności – telewizji przemysłowej, granitowych blatów kuchennych, sąsiadki ze zwicniętą nogą oraz kobiety, z którą kiedyś pracowała, a której bezpłodność ona sama przypisywała spaniu w rajstopach.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi z tą herbatą do twardej wody. Można jej używać tylko wtedy, kiedy ma się twardą wodę? Wiem, że u nas jest kamień. Cały czajnik mamy w kamieniu.

– W kamieniu? To musi być męczące – stwierdził Asad.

– Ale wzmacnia bicepsy – dodał Henry, próbując się nie roześmiać.

Stukanie deszczu o dach przybrało na sile, a cała trójka się wzdrygnęła, gdy po niebie przetoczył się grzmot.

– Właśnie miałem zrobić herbatę, dla pani również, więc może pani sama sprawdzić, jak smakuje ta do twardej wody. – Henry mrugnął do Asada i ruszył na zaplecze. – Oczywiście jeśli nie spieszy się pani zbytnio.

To było leniwe popołudnie. Z powodu ulewnego deszczu i ferii szkolnych mało kto do nich dziś zaglądał. Inni miejscowi sklepikarze narzekali na odpływ klienteli, którą zwabiły promocje supermarketów i możliwość dostawy do domu. Dla starszych właścicieli firmy „Suleyman & Ross”, którzy nie mieli kredytów, za to dzięki wieloletniej pracy w londyńskim City zapewnili sobie godziwą emeryturę, takie popołudnia były jednak okazją do spokojniejszych rozmów z klientami. Nie przeszli tego sklepu z myślą o dorobieniu się, ale ich niskie ceny, oryginalny asortyment i indywidualne podejście zapewniły im lojalność kupujących i, być może, uchroniły ich przed niechęcią tych, którzy początkowo nie byli zbyt przychylni mężczyznom określanym teraz dyplomatycznie – i wbrew zdrowemu rozsądkowi – jako „kuzyni”.

Witryna zaparowała, przesłaniając bezlitosne strugi deszczu. Asad włączył radio i otulił ich melodyjny jazz. Pani Linnet wydała z siebie okrzyk zadowolenia i zatrzepotała palcami.

– Och! – wykrzyknęła. – Uwielbiam posłuchać od czasu do czasu Dizzy’ego, ale mój Kevin nie znosi nowoczesnego jazzu. – Obniżyła głos konspiracyjnie. – Uważa go za zbyt... izotoniczny. Ale tacy jak ty są do niego stworzeni, prawda?

Nastąpiła cisza, która mogła trwać dłużej, gdyby nie uprzejmość Asada.

– Tacy jak ja?

Pani Linnet pokiwała głową.

– Ciemnoskórzy – wybąkała. – Macie... poczucie rytmu. No, w genach.

Asad namyślił się nad tym.

– To by wyjaśniało, pani Linnet, dlaczego w taki dzień jak dziś ledwo mogę się powstrzymać.

Deirdre Linnet z widoczną ulgą odwróciła się do drzwi.

Usłyszeli znajomy głos, który nakazał zatrzymać się psom, i do środka wszedł Byron Firth, zgarniając z włosów krople deszczu.

– Dzień dobry, Byron. – Asad się uśmiechnął.

– Dzień dobry. Muszę kupić kartkę – oznajmił nowo przybyły.

– Poszukaj w kącie – powiedział Asad. – Na jakąś konkretną okoliczność?

– To dla Lily – odparł tamten cichym głosem. – Mojej siostrzenicy. Na urodziny.

Miało się wrażenie, jakby sklep był dla niego za mały – chociaż mężczyzna nie był aż tak wysoki jak Asad – i że czuje się tu nieswojo, jakby chciał się stać niewidzialny. Może właśnie dlatego pracował w lesie, pomyślał Asad. Z dała od spojrzeń innych.

– Dzień dobry, panie Firth – odezwał się Henry, wychodząc z zaplecza z herbatą i mierząc wzrokiem ociekający sztormiak Byrona i jego zabłocone buty. – Widzę, że obcował pan z naturą. I chyba możemy ogłosić, że dzisiaj natura wygrała.

– Gdzie leżą ręcznie robione kartki, Henry? – Asad lustrował wzrokiem półki. – Mamy jeszcze jakies, prawda?

– Nie sprowadzamy już tych z wypisanym wiekiem – oznajmił Henry. – Czwórki i piątki schodziły szybko i zostawało nam mnóstwo jedenastek.

– A, tutaj. – Asad wyciągnął różową kartkę ozdobioną cekinami. – Robiła je kobieta, która mieszka po drugiej stronie miasta. Została nam ostatnia i koperta jest trochę pogięta, więc mogę ci dać pięćdziesiąt pensów zniżki.

– Dzięki. – Byron wręczył mu pieniądze.

Asad włożył kartkę do brązowej papierowej torebki, mężczyzna wetknął ją za pazuchę, skinął głową właścicielom i wyszedł.

Przez zaparowaną szybę widać było euforię psów, kiedy ich pan pochylił się, by je pogłaskać.

Pani Linnet studiowała etykiety z niezwykłą uwagą.

– Czy ten człowiek już sobie poszedł? – spytała, choć dobrze знаła odpowiedź.

– Tak, pan Firth opuścił już sklep – odparł Henry.

– Moim zdaniem nie powinniście obsługiwać jemu podobnych. Ten typ przyprawia mnie o dreszcze.

– Chciałabyś – wymruczał Henry.

– Nie sądzę, by odległa przeszłość pana Firtha powinna mieć wpływ na to, czy sprzedamy mu kartkę urodzinową dla siostrzenicy, czy nie – powiedział Asad. – Wobec nas jest zawsze uprzejmy, choć niezbyt rozmowny. Jako dobra chrześcijanka zapewne wie pani, co to skrucha i przebaczenie.

– Według mnie to dopiero początek. Wieści pójdą w świat – rzekła tajemniczo, stukając się w nos. – Zleci się tutaj wszelkiego rodzaju niepożądany element. Następni będą pediatrzy.

Henry zrobił wielkie oczy.

– Boże uchowaj.

Rozległ się dzwonek informujący o ponownym otwarciu drzwi. Do sklepu weszła nastolatka, miała może jakieś piętnaście czy szesnaście lat. Była przemoczona, nie miała płaszcz ani parasola. Wyglądała na nieco wymiętą, jakby miała za sobą długą podróż.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się, odsuwając włosy z oczu – ale czy wiecie państwo może, gdzie się znajduje... – spojrzała na kartkę – „dom hiszpański”?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Owszem, kochana – rzekła pani Linnet. – To niedaleko. – Najwyraźniej zapomniała o swoich wcześniejszych bólach. – Mogę spytać, kogo spodziewasz się tam zastać?

Dziewczyna spoglądała na nią zaskoczona.

– Stary pan Pottisworth niedawno zmarł – wyjaśniła pani Linnet. – Nikt tam teraz nie mieszka. Jeśli przyjechałaś na pogrzeb, dziecko, to obawiam się, że się spóźniłaś.

– Och, to wiem – powiedziała dziewczyna. – Wprowadzamy się tam.

– Gdzie? – Henry stanął w drzwiach zaplecza.

– Do domu hiszpańskiego. Ta młoda dama wprowadza się do domu hiszpańskiego. – Pani Linnet ledwo była w stanie opanować podniecenie, jakie wywołała w niej ta doniosła wiadomość.

Wyciągnęła rękę. – W takim razie będziemy prawie sąsiadkami, moja droga. Nazywam się Deirdre Linnet... – Próbowała dojrzeć coś przez zaparowaną szybę. – Przypuszczam, że nie przyjechałaś sama?

– Moja mama z bratem siedzą w samochodzie. Muszę szybko do nich wracać, bo czeka na nas furgonetka firmy przeprowadzkowej. Hmm... to gdzie to dokładnie jest?

Asad wskazał ręką na drogę.

– Skręćcie w lewo naprzeciwko znaków kierujących do farmy świń, na skrzyżowaniu w prawo, a następnie musicie jechać drogą gruntową, aż dotrzecie do znaku z napisem „Cave!”.

– „Uwaga” – Henry i pani Linnet wyjaśnili unisono.

– Mamy otwarte do piątej – dodał Asad – gdybyście czegoś potrzebowali. I uważajcie na drogę. Jest jakby... niedokończona.

Dziewczyna zapisywała na kartce informacje, powtarzając je:

– W lewo przy farmie świń, w prawo na skrzyżowaniu, potem drogą gruntową. Dzięki!

– Do zobaczenia – powiedział Henry, wręczając kubek herbaty pani Linnet.

Odprowadzali ją wzrokiem, gdy wychodziła ze sklepu. Odczekawszy chwilę dla przyzwoitości, podbiegli do okna i wytarli w zaparowanej szybie prześwit. Patrzyli przez niego, jak dziewczyna wsiada od strony pasażera do starego, dużego, poobijanego Citroëna. Za nim stała furgonetka, która blokowała prawie cały pas ruchu, a wycieraczki przedniej szyby co jakiś czas ukazywały trzech krzepkich mężczyzn siedzących w środku.

– I co wy na to? – odezwał się Henry. – Młodzi ludzie zamieszkają w tej starej posiadłości.

– Może i jest młoda – prychnęła pani Linnet z dezaprobatą – ale to nie usprawiedliwia chodzenia w butach w takim stanie.

– Buty mogą być najmniejszym z jej problemów – rzekł Henry. – Zastanawiam się, jakie powitanie zgotują im sąsiedzi.

Kitty siedziała w milczeniu, podczas gdy jej matka próbowała przejechać przez wyboistą drogę. Co jakiś czas patrzyła w lusterko wsteczne na furgonetkę, która kołysała się za nimi niebezpiecznie, i mruzczała pod nosem błagalne zaklęcia.

– Jesteś pewna, że to tędy? Tak powiedzieli? – spytała córkę po raz czwarty. – Nie kojarzę tej drogi.

– W prawo na skrzyżowaniu. Nawet to zapisałam.

Samochód się zatrząsł i przedni zderzak chrupnął przy wjeździe w kolejną koleinę z wodą. Kitty słyszała, jak koła buksują, a silnik piszczy w proteście, aż wreszcie znów ruszyli. Droga wiodła pośród wysokich sosen zasłaniających resztki południowego światła.

– Nie mogę uwierzyć, że to tu. Trzeba będzie wezwać traktor, żeby nas stąd wydostał.

Kitty cieszyła się w duchu, że droga jest tak koszmarna. Może dzięki temu jej matka zmieni zdanie w sprawie tej głupiej przeprowadzki. Od tygodni miała płonną nadzieję, że Isabel przyzna, że to był błąd, i że uda jej się jakoś tak ogarnąć finanse, by mogli zatrzymać dom. Ale nie. Kazała Kitty pożegnać się ze szkołą i znajomymi w środku wiosennego semestru i wyruszyć Bóg wie dokąd. I chociaż mama twierdziła, że wszyscy będą utrzymywać z nią kontakt, Kitty wiedziała, że po wyjeździe wypadnie z obiegu esemesów i plotek i przestanie dla nich istnieć. Nawet gdyby przyjeżdżała w odwiedziny co kilka tygodni, i tak będzie już na marginesie.

Wycieraczki pracowały z opóźnieniem i z każdym ruchem wydawały z siebie lekkie skrzypnięcie, jakby przychodził im on z wysiłkiem. Rok temu o tej samej porze byłam szczęśliwa, pomyślała Kitty. Zachowała swój pamiętnik z tamtego okresu i sprawdzała wszystko, co wtedy robiła, więc wiedziała, że tak właśnie było. Czasami dręczyła się jego czytaniem: „Tata odebrał mnie ze szkoły. Po kolacji ograłam go w szachy. Odcinek *Sąsiadów* był naprawdę

dobry”. Nieraz zastanawiała się, gdzie będzie za rok. Trudno było uwierzyć, że z powrotem w Londynie. A jeszcze trudniej, że będą szczęśliwi.

Thierry, siedzący z tyłu, podniósł na chwilę słuchawki.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała do brata.

– No, dalej, Dolores, wiesz, że dasz radę – mruknęła Isabel.

Kitty się skrzywiła. To było takie żenujące, kiedy mama zwracała się do samochodu po imieniu. Nagle wyjechali z lasu na dużą polanę.

– Tu jest jakiś znak. – Wskazała Kitty.

– „Cave!” – przeczytała Isabel. – Mmm... „Uwaga”.

– To tu – rzekła Kitty z ulgą w głosie. – Tak właśnie powiedzieli w sklepie.

Isabel zerknęła przez przednią szybę. Po lewej stronie stał zadbanej dwupiętrowy budynek pokryty kamienną mozaiką, który w niczym nie przypominał tego z fotografii. Samochód ruszył dalej, wyjeżdżając zza drzew, i wtedy przed nimi wyrósł on: trzypiętrowy dom z czerwonej cegły, o ścianach do połowy porośniętych bluszczem, z dachem otoczonym osobliwymi blankami. Wysokie frontowe okna wychodziły na ogród tak zarośnięty, że tylko żywość wskazywał granicę między nim a lasem. Dom był zlepkiem różnych stylów, tak jakby ten, kto rozpoczął jego budowę, znudził się pierwotnym projektem, albo zaadaptował go, gdy spodobało mu się coś innego. Elewacja była pokryta kamienną mozaiką, a w gotyckich łukach gnieździły się georgiańskie okna.

Citroën wjechał na podjazd i zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi.

– Okej – powiedziała Isabel. – To tutaj, kochani.

Według Kitty budynek wyglądał zimno, wilgotno i niegościnnie. Pomyślała z tęsknotą o ich domu w Maida Vale, zamożnej dzielnicy Londynu, o przytulnych pokojach, zapachach jedzenia, przypraw i perfum, o uspokajającym pomruku telewizora. To ruina, miała na końcu języka, ale nie powiedziała tego na głos. Nie chciała zranić uczuć matki.

– Nie wygląda zbyt hiszpańsko.

– Z tego, co kojarzę, miał być mauretański. I jest tu jezioro. Nie pamiętałam, że ten dom jest aż tak duży. Spójrzcie! – Isabel wyciągnęła ze schowka dużą kopertę. Pogrzebała w niej i wyjęła klucz razem z plikiem dokumentów. Obok samochodu rosła przedwcześnie rozkwitnięta ogromna magnolia, której blade kwiaty błyszczały w przyćmionym świetle jak białe latarnie.

– Według notariusza sprzedaliśmy dwadzieścia pięć hektarów, by zapłacić podatek od spadku, a osiem, by odłożyć trochę pieniędzy na konto bankowe. Ale zostały nam trzy hektary tam, po lewej... – Niebo ciemniało, więc trudno było zobaczyć coś za drzewami. – ...i przed domem. Więc wszystko, co teraz widzimy, te drzewa i jezioro, należy do nas. Rozumiecie? Posiadamy niemal to wszystko, co mamy przed oczami.

Cudownie, pomyślała Kitty. Błotnisty staw i przerażający las. Nie oglądałaś ostatnio żadnego horroru?

– Gdyby babcia wciąż żyła, posiadłość przypadłaby w spadku jej. On był jej bratem. Wyobrażasz ją sobie mieszkającą w takim domu? Po tym jej ciasnym mieszkanku?

Kitty pomyślała, że nie wyobraża sobie, by ktokolwiek mógł tu mieszkać.

– Ta woda – zachwycała się Isabel. – Och... to czysta magia. Tata pokochałby to jezioro. Chodziłby na ryby...

– Mamo, on w całym swoim życiu nigdy nie był na rybach – wtrąciła Kitty, podnosząc plastikową torbę leżącą u jej stóp. – Lepiej się zbierajmy. Furgonetka już przyjechała.

Thierry wskazał na las.

– Dobry pomysł, skarbie. Możesz się rozejrzeć po okolicy. – Isabel była wyraźnie

zadowolona, że Thierry wykazał zainteresowanie czymkolwiek. – A co z tobą, kochanie? Też chcesz poeksplorować?

– Pomogę ci wszystko ogarnąć – rzekła Kitty. – Thierry, włóż kurtkę i nie zgub się.

Trzask drzwi od samochodu jeszcze chwilę odbijał się echem po dolinie, gdy obie kroczyły po mokrym żwirze do drzwi frontowych.

Najpierw uderzył je zapach: zimna, stęchła woń długoletniego zaniedbania, subtelne nuty pleśni, wilgoci i zgnilizny mieszały się ze świeżym powietrzem, które wpadło z zewnątrz. Kitty z torbą przewieszoną przez ramię wdychała ten smród z przerażającą fascynacją i niedowierzaniem jednocześnie.

To przechodziło jej najgorsze wyobrażenia. Hall był wyłożony popękany linoleum, przetartym w pewnych miejscach, przez które przeświecała nieokreślona powierzchnia. Przez otwarte drzwi było widać pokój frontowy, którego ściany pomalowano we wzór pochodzący może z epoki wiktoriańskiej, oraz chwiejny malowany kredens, pasujący do kuchni z lat pięćdziesiątych. Dwa okna były pozbawione szyb i zabite deskami, więc z zewnątrz wpadało mało światła. Z sufitu zwisał goły przewód bez żarówki, a nawet bez osłonki.

To nie wyglądało na dom, w którym dałoby się mieszkać. Ani nawet na dom, w którym kiedykolwiek ktoś mieszkał. Teraz się przekona, pomyślała Kitty. Będzie nas musiała zabrać z powrotem do Londynu. Nie ma mowy, żebyśmy tutaj zostali.

Ale Isabel machnęła na córkę.

– Chodź, zobaczymy, jak jest na górze. A potem poszukamy kuchni i zrobimy herbatę.

Dwa górne piętra nie wyglądały lepiej. Kilka pomieszczeń sprawiało wrażenie, jakby przez lata nikt ich nie otwierał. W powietrzu unosił się charakterystyczny chłód, a gdzieś tapeta odchodziła pasami. Tylko dwa z pokoi wydawały się zdatne do zamieszkania: poźółkła od nikotyny największa sypialnia, w której wciąż stały łóżko, telewizor i dwie szafy z ubraniami przesiąkniętymi zapachem papierosów, oraz mniejszy pokój obok, urządzone w latach siedemdziesiątych, pewnie dwie lub trzy dekady później niż pozostałe. Przyległa łazienka miała popękane i pokryte zaciekami ściany, a z kranu trysnęła słonawa ciecz. Podłoga skrzypiała pod stopami, mysie odchody wskazywały na obecność gryzoni.

Musi przejrzeć na oczy, pomyślała Kitty na widok kolejnego horroru. Musi zobaczyć, że to się nie uda. Ale Isabel najwyraźniej tego nie dostrzegała. Od czasu do czasu mruzczała coś w stylu: „Tu i tam położy się nowe dywany...”, jak gdyby mówiła do siebie.

Kitty w całym domu doliczyła się trzech zardzewiałych kaloryferów. Na ostatnim piętrze brakujący fragment sufitu odsłaniał konstrukcję z belek i tynku, z której powoli i miarowo kapła woda, tworząc kałużę na dnie strategicznie umieszczonej blaszanej wanny.

Ale dopiero na widok kuchni zachciało jej się wyć. Jeśli to miało być serce domu, to ten dom był ewidentnie niekochany. Było to długie prostokątne pomieszczenie z brudnymi oknami po jednej stronie, ciemne i przesiąknięte smrodem stęchłego tłuszczu. Schodziło się do niego po kilku kamiennych stopniach z poziomu parteru. Obok zlewu stała stara kuchenka, której pokrywy na palniki były zmatowiałe, szare i lepkie od jakiejś niezidentyfikowanej substancji. Po drugiej stronie znajdowała się wolno stojąca kuchenka elektryczna, nie tak brudna, ale równie dawno nieużywana. Resztę wystroju stanowiło kilka mebli w stylu lat pięćdziesiątych, a na półkach biegnących wzdłuż ścian leżały rozmaite przybory kuchenne i opakowania jedzenia pokryte kurzem, mysimi odchodami oraz gdzieś pancerzykami prosionków.

– To jest urocze – odezwała się Isabel, przejeżdżając palcami po starym sosnowym stole stojącym na środku. – Nigdy nie mieliśmy naprawdę dużego stołu kuchennego, prawda, kochanie?

Z głębi domu dobiegł je głuchy odgłos, gdy mężczyźni z firmy przeprowadzkowej



wnosili jakiś nieokreślony mebel. Kitty wpatrywała się w matkę, jak gdyby ta postradała zmysły. Dom wyglądał jak ze strefy działań wojennych, a ona nawijała o sosnowym stole.

– Patrz – powiedziała Isabel, stojąc przed zlewem, kiedy kran z prychnieniem zbudził się do życia. – Zimna woda leci czysta. Na pewno smakuje wspaniale. Czy woda na wsi z założenia nie jest lepsza? Jestem pewna, że gdzieś o tym czytałam.

Kitty była zbyt wkurzona, by usłyszeć lekką nutę hysterii w głosie matki.

– Pani Delancey? – Najroślejszy facet z ekipy wszedł do kuchni. – Przenieśliśmy pierwsze rzeczy do frontowego pokoju, ale panuje tam spora wilgoć. Pomyślałem, że lepiej dopytam, zanim wniesiemy resztę.

Isabel patrzyła na niego, jakby nie rozumiała pytania.

– Dopyta pan o co?

Mężczyzna wetknął ręce do kieszeni.

– No... to nie jest najlepsze... nie wiedziałem, czy nie będzie pani chciała przewieźć mebli do magazynu. I zamieszkać gdzie indziej. Dopóki trochę pani tego nie ogarnie.

Kitty miała ochotę go uścisnąć. Wreszcie ktoś tutaj myślał rozsądnie.

– Wilgoć nie służy tym wszystkim starym meblom – dodał mężczyzna.

– Och, przetrwały kilkaset lat. Odrobina wilgoci im nie zaszkodzi – zbyła go Isabel. – Nie ma tu niczego, z czym byś-my sobie nie dały rady. Kilka farelek ogrzeje to miejsce.

Mężczyzna zerknął na Kitty. Zobaczyła ślad litości w jego oczach.

– Jak sobie pani życzy – odparł.

Kitty wyobraziła sobie, jakie zdumienie u niego i reszty ekipy musi budzić ta wariatka, która każe swojej rodzinie zamieszkać w wilgotnej ruderze, jednocześnie zachwycając się sosnowym stołem. Pomyślała o ich domach: przytulnych, z centralnym ogrzewaniem, miękkimi sofami i wielkimi telewizorami plazmowymi. Ale powiedziała tylko:

– To gdzie są rzeczy z kuchni? Lepiej od razu zabierzmy się do sprzątania.

– Rzeczy z kuchni? – powtórzyła matka.

– Środki czystości. I jedzenie. Przed naszym odjazdem położyłam dwa pudła przed drzwiami wejściowymi, żebyśmy je miały pod ręką.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Mielśmy to zabrać? – spytała Isabel.

Kitty powoli odwróciła się w jej stronę.

– O kurczę. Myślałam, że wystawiłaś je do wyrzucenia. Zostawiłam je przy kontenerach na śmieci.

Co teraz będziemy jeść? – Kitty miała ochotę na nią krzyknąć. Jak mamy przetrwać resztę dnia? Czy ona myślała kiedykolwiek o czym innym poza tą swoją głupią muzyką?

I dlaczego muszę to znosić? Odwróciła się, żeby matka nie zobaczyła, jak bardzo Kitty jej w tej chwili nienawidzi. Jej oczy napełniły się łzami frustracji, ale zwalczyła chęć, by je otrzeć. Nie chciała, by Isabel to dostrzegła. Marzyła o matce, która by była na wszystko przygotowana i umiała wszystko ogarnąć. Dlaczego nie jest choć odrobinę bardziej praktyczna? Poczła tęsknotę za ojcem, za Mary, która zobaczyłaby, jak jest naprawdę – czyli że ten budynek to wielka, absurdalna pomyłka – i powiedziała Isabel, że nie ma mowy, muszą wrócić do domu.

Ale teraz nie było tu żadnych dorosłych. Nie licząc Kitty.

– Skoczę po coś do sklepu – powiedziała. – Wezmę samochód.

Czekała w głębi duszy, aż jej matka zaprotestuje, powie, że pod żadnym pozorem nie pozwoli jej prowadzić. Może nawet zapyta, jak niby miałyby to zrobić. Ale Isabel była pogrążona w rozmyślaniach i Kitty, teraz już ocierając oczy jedną ręką, wyszła.

Isabel spojrzała na córkę, gdy ta wychodziła z pokoju, z każdym krokiem manifestując

swoje niezadowolenie. Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i dźwięk uruchamianego silnika. A potem odwróciła się do okna i na długo zamknęła oczy.

Deszcz przestał padać, ale złowieszcze chmury nadal wisały nisko, jakby niebo nie zdecydowało się jeszcze, czy ma odpuścić. Dotarcie do najwyższej położonego punktu drogi zajęło Kitty prawie dwadzieścia minut. Ojciec pozwalał jej jeździć tylko na krótkich trasach w czasie wakacji, na polach u znajomych lub prywatną drogą na plażę. Teraz samochód rzeził i ślizgał się w koleinach, a ona kurczowo ścisnęła kierownicę, modląc się, żeby koła nie utknęły w błocie w tym strasznym lesie. Ciągle przypominały jej się sceny z oglądanych w przeszłości horrorów i oczami wyobraźni widziała siebie biegnącą wśród drzew, ściganą przez potwory.

Kiedy dojechała na samą górę, zostawiła samochód i ostatnich pięć minut dzielących ją od wsi pokonała pieszo.

– Witamy ponownie. – Wysoki czarny mężczyzna uśmiechnął się do niej, gdy otworzyła drzwi. – Czy znaleźliście drogę?

– O tak, znaleźliśmy. – Kitty nie była w stanie ukryć zniechęcenia w głosie. Wzięła druciany koszyk i zrobiła rundę po sklepiku, delektując się ciepłem oraz zapachami chleba i owoców, którymi przesycone było powietrze.

– Pewnie nie tego się spodziewałaś?

Nie wiedziała, czy irytuje ją jego pytanie, czy ukryte w nim założenie, ale mężczyzna miał w sobie taką łagodność, że odpowiedziała szczerze.

– Dom jest okropny. – Westchnęła żałośnie. – Po prostu koszmarny. Nie mogę uwierzyć, że ktoś naprawdę tam mieszkał.

Mężczyzna pokiwał głową ze współczuciem.

– Wszystko wygląda gorzej w dni takie jak ten. Może bardziej ci się spodoba w lepszym świetle. Większość ludzi tak ma. Usiądź. – Wziął od niej koszyk. – Zawołam Henry'ego, żeby zrobił ci herbatę.

– Nie, nie, dziękuję. – Nagle stanęły jej przed oczami nagłówki z gazet informujące o zaginięciach młodych kobiet i zaczęła się zastanawiać, dlaczego ten człowiek jest dla niej taki miły. Nie wiedziała nic o tych ludziach. Nie przyszłoby jej do głowy przyjmowanie jedzenia czy picia od sklepikarza w Londynie. – Lepiej już sobie...

– Witamy ponownie. – Drugi mężczyzna, Henry, wyłonił się z zaplecza. – Jak wam idzie urządzenie? Potrzebujecie jakiejś pomocy? Możemy zamówić różne rzeczy, jeśli nie ma ich na półkach. Czego tylko wam trzeba. Wodery, ubrania wodo-odporne... Podobno w waszej okolicy mogą się przydać. – Mówił uprzejmym tonem i przyciszonym głosem, chociaż w sklepie nie było nikogo poza nimi. – Mamy bardzo dobre pułapki na myszy. Nie zabijają tych małych nicponi, tylko je łapią. Można je potem wywieźć parę kilometrów od domu i wypuścić gdzieś w lesie. – Zmarszczył nos. – Lubię sobie wyobrażać, że to dla nich taka wycieczka objazdowa. Odyseja dla gryzoni.

Kitty podniosła wzrok na tego pierwszego, który zaczął wkładać jej do koszyka świece i zapalki. Pomyślała o powrocie do domu przez ten las. Przypomniało jej się, jak tata podczas lekcji jazdy poprawiał jej kierownicę. Kilka razy po drodze myślała, że wybuchnie płaczem.

– Pierwsze zakupy są na nasz koszt – rzekł Henry. – Prezent na nowy dom, prawda, Asad? Ale jeśli go przyjmiesz, podejmujesz prawne zobowiązanie, by wpadać do nas na pogaduszki co najmniej trzy razy w tygodniu... – Puścił do niej oko.

Asad obejrzał się przez ramię.

– I słuchać Henry'ego, kiedy opowiada ci to, co w tej wsi uchodzi za nowiny.

– Jesteś okrutny.

Kitty usiadła i na jej twarzy pojawił się blady uśmiech, pewnie pierwszy tego dnia.

– Tak właściwie to z chęcią napiję się herbaty – powiedziała.

– To wszystko brzmi bardzo romantycznie – stwierdził Henry, kiedy zamykali sklep. – Zmarły mąż, brak pieniędzy, skrzypce... Nieco ciekawiej niż historia tej ostatniej rodziny, która wprowadziła się do wsi, Allensonów.

– Rzeczoznawca ubezpieczeniowy to bardzo pożyteczny zawód, Henry.

– Tak, wiem. – Henry przekręcił klucz dwa razy, a potem nacisnął klamkę, by sprawdzić, czy dobrze zamknął drzwi. – Ale trudno się nie zastanawiać, co ich tu czeka. Tym bardziej że McCarthy jest śmiertelnie obrażony.

– Chyba nie sugerujesz...

– Och, nie sądzę, żeby się do czegoś posunął, chodzi mi tylko o to, że mogą się czuć trochę odizolowani. To duży, stary dom w samym środku lasu.

– Gdy o nim pomyślę, robi mi się ciepło w sercu na myśl o naszym domku.

– I o centralnym ogrzewaniu.

– I o tobie.

Zerknęli na szczyt wzgórza, gdzie po horyzont ciągnął się rząd strzelistych sosen prowadzący do lasu, w którym zniknęła Kitty. Asad wyciągnął rękę, a Henry ją ujął. Gdy ruszyli do domu, dwie lampy uliczne w Little Barton akurat z migotaniem zbudziły się do życia.

O tej porze roku, gdy większość drzew była pozbawiona liści i tylko sosny pozostawały zielone, od McCarthy'ch można było dojrzeć dom hiszpański. Matt sączył szklanekę whisky i wpatrywał się w światło, które padało z okna na górnym piętrze starej rezydencji.

– Chodź do łóżka.

Laura z zachwytem patrzyła na umięśnione plecy męża, na doskonałą rzeźbę jego bicepsów, gdy podnosił szklanekę do ust. Matta czas się nie miał. Wciąż pasowały na niego te same ubrania, które nosił, kiedy się poznali. Niekiedy, patrząc na własne rozstępy i opadający biust, nienawidziła tego. Teraz poczuła iskrę pożądania i stwierdziła, że ma w życiu szczęście.

– No chodź, nie stój tam tyle. – Zsunęła ramięczko koszuli nocnej, które ześlizgnęło jej się uwodzicielsko na pierś. Od ostatniego razu minęło już kilka tygodni. Zawsze ogarniał ją lekki niepokój przy tak długiej przerwie. – Matt?

– I co oni z nim robią? – mruknął pod nosem, jakby do siebie.

Jego fatalny nastrój nie poprawił się ani odrobinę, a ona poczuła, jak narastają w niej rozpacz i irytacja, że jej mąż pozwala, by tamten dom wciąż rzutował na ich życie.

– Nie powinieneś się tym aż tak przejmować. Może zdarzy się jeszcze coś, co nam się nie mieści w głowach.

– Już się zdarzyło coś, co nie mieściło nam się w głowach – odpowiedział kwaśno Matt. – Stary gnojek zostawił go obcym. Oni nawet nie są stąd, na litość boską.

– Matt, jestem tak samo zła z tego powodu jak ty. W końcu to ja codziennie do niego chodziłam. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby ta sprawa zatrzymała mi resztę życia.

– Oszukał nas. Przez lata byliśmy na każde jego skinienie. Pewnie śmieje się z nas z góry, czy gdzie on tam jest. Tak jak ten cholerny stary Pottisworth śmiał się z taty.

– O nie, tylko nie to. – Westchnęła. Przeszła jej cała ochota na flirt. Jeśli Matt nie przestanie, będzie zbyt wkurzona, by uprawiać seks.

Ale jej mąż jakby jej nie usłyszał.

– Musiał planować to od miesięcy, może nawet od lat. Pewnie uknuł to razem z tamtymi.

– On o tym nie wiedział. Ani nikt inny. Ten człowiek był po prostu na tyle głupi, że nie napisał testamentu, więc dom przypadł jego jedynym żyjącym krewnym. I to wszystko.

– Pewnie zdradził im swój zamiar wiele lat temu. A tamci tylko czekali, aż wyciągnie kopyta. Może nawet opowiadał im o idiotach z sąsiedztwa, którzy koło niego skaczą. Musieli

mieć z nas niezły ubaw.

Pożądanie i złość rozdzielała jedynie cienka linia. Jak gdyby zakończenia nerwowe były gotowe na każdą ewentualność.

– Wiesz co? – rzuciła z gniewem. – Pewnie śmieje się z ciebie tam, w górze, że marnujesz życie, gapiąc się w okno jak nadąsane dziecko. Skoro tak cię to dręczy, to może pójdziemy tam jutro i dowiemy się, jakie mają plany?

– Nie chcę ich widzieć na oczy – odparł z zawziętością.

– Nie wygłupiaj się. I tak musimy ich kiedyś odwiedzić. To nasi najbliżsi sąsiedzi.

Matt tego nie skomentował.

Trzymaj go przy sobie, powiedziała do siebie Laura. Nie możesz mu dać wymówki.

– Posłuchaj – rzekła – może się okazać, że jednak go nie chcą, kiedy zobaczyli, ile trzeba w niego włożyć pracy. Sprzedali ziemię. Jeśli złożysz im propozycję kupna... Moi rodzice mogliby nam pożyczyć pieniądze. – Odrzuciła kołdrę na jego stronę. – No chodź, kochanie... Już i tak kupiliśmy większość gruntów i budynków w dobrej cenie. Spójrzmy na to optymistycznie. To przecież coś, prawda?

Matt odłożył szklankę. Ciężkim krokiem ruszył do łazienki, zatrzymując się tylko na chwilę, by krzyknąć do żony:

– A na cholerę nam ziemia bez domu?!

Isabel przemarzła na kość. Chyba nigdy nie było jej tak zimno. Chłód panujący w domu przenikał ją do szpiku, tak że cokolwiek robiła i na siebie narzuciła, nie była w stanie się ogrzać. W końcu, trzęsąc się, wstała po ciemku i założyła na piżamę ubranie. Następnie rozciągnęła na łóżku swój długi wełniany płaszcz oraz ubrania dzieci, które się do tego nadawały, i przykryła wszystko starą narzutą znaną w szafie. Cała trójka spała razem. Isabel, zmęczona wyładowywaniem rzeczy i sprawdzaniem, które pokoje nadają się do zamieszkania, zapomniała włączyć grzejnik w dużej sypialni, więc kiedy krótko po dziesiątej weszli na górę, licząc na błogi odpoczynek, przywitały ich przeciągi z niewidocznych szpar, wilgotna pościel i miarowy brzęk wody kapiącej z dachu do blaszanej wanny na ostatnim piętrze.

Spanie razem wydawało się najlepszym sposobem na utrzymanie ciepła. Przynajmniej tak sobie wmówili. Isabel, ułożona pomiędzy dziećmi, wiedziała, że potrzebują choć odrobiny matczynego ukojenia, a była to jedna z niewielu rzeczy, które mogła im dać sama jej obecność. Co ja takiego narobiłam? – pytała samą siebie. Wsłuchiwała się w grzechotanie szyb w oknach, w dziwne skrzypienie i jęki domu, w głośny tupot niezidentyfikowanych stworzeń na strychu. Na zewnątrz panowała nienaturalna cisza, brakowało jej uspokajających dźwięków samochodów przejeżdżających po ulicy czy kroków na chodniku. Rozległe jezioro i las tłumili wszelkie odgłosy. Ciemność była przytłaczająca, nie rozjaśniały jej światła z sąsiednich budynków ani lampy uliczne. To wszystko budziło pierwotny lęk i Isabel cieszyła się, że ma przy sobie dzieci. Czule pogłaskała je po twarzy, mogąc sobie na to pozwolić w czasie ich snu, po czym sięgnęła ponad głowę Thierry’ego, by sprawdzić, czy ma przy sobie futerał ze skrzypcami.

– Co ja takiego narobiłam? – wyszeptwała. Jej głos brzmiał nienaturalnie, jakby nie należał do niej. Usiłowała sobie wyobrazić Laurenta, usłyszeć, jak ją pociesza, ale kiedy nie chciał do niej przyjść, przeklęła siebie za tę przeprowadzkę i zapłakała.

Ranikiem rzeczywiście wszystko wyglądało lepiej. Kiedy Isabel się obudziła, dzieci nie było już w łóżku. Za oknem zrobiło się jasno, wszystko było skąpane we wczesnowiosennym świetle, które wydobywa piękno nawet z najbardziej ponurych krajobrazów. Wróble klóciły się hałaśliwie na żywopłocie, od czasu do czasu zrywały się, by przelecieć nad oknem, a potem znowu przysiadły. Z dołu dochodziły dźwięki radia i buczenie, które świadczyło o tym, że Thierry jeździł zdalnie sterowanym samo-choodem po niewytlumionych podłogach. Jej pierwszą przytomną myślą było: ten dom jest jak my. Osamotniony, porzucony. Teraz zaopiekuje się nami, a my przywrócimy go do życia.

Ta myśl skłoniła ją do wyjścia z łóżka. Następnie Isabel podjęła próbę umycia się w zimnej wodzie, ponieważ ani ona, ani Kitty nie zdołały ogarnąć starego i skomplikowanego systemu ogrzewania rur, i włożyła na siebie to samo, co miała na sobie tej nocy i poprzedniego dnia – nie była w stanie zlokalizować, w którym kartonie znajdują się jej ubrania. Powoli schodziła po schodach, obserwując niezliczone defekty, których nie zauważyła poprzedniego wieczoru: popękany tynk, spróchniałe ramy okienne, brakujące gdzieśdeski podłogowe... I wiele, wiele innych. Wszystko po kolei, powiedziała sobie, kiedy poczuła, że ją to przytłacza. Jesteśmy tutaj razem. I to jest najważniejsze. Kilka taktów muzyki zakradło się jej do głowy: początek symfonii *Z Nowego Świata* Dwořaka. Odpowiedni kawałek, dobry znak.

Kiedy doszła do kuchni, muzyka w jej głowie umilkła.

– Kitty! – wykrzyknęła Isabel.

Jej córka musiała być na nogach od dłuższego czasu. Półki zostały uprzątnięte, a blaty, choć nadal popękane i sfatygowane, lśniły czystością. Podłoga stała się o kilka odcieni jaśniejsza

niż wcześniej, a przez mleczne szyby w oknach widać było ogród. W zlewie, pełnym gorącej piany, moczyła się duża sterta przyborów kuchennych, a w rondlu na kuchence elektrycznej zaczynała wrzeć woda. Kitty układała na półkach ich jedzenie. Na blacie roboczym mruczało radio, a na stole stał kubek z herbatą. Isabel była zachwycona widokiem czystej kuchni, ale jednocześnie przerażona i winna, że spadło to na jej córkę.

– W tej komorze jest zimniej – powiedziała Kitty, wskazując na boczne drzwi. – Pomyślałam, że możemy tam wkładać rzeczy, które trzeba trzymać w chłodzie, dopóki nie założą nam gniazdka elektrycznego i nie włączymy lodówki.

– Nie wystarczy podłączyć jej do prądu?

– Nigdzie w kuchni nie ma gniazdka. Szukałam wszędzie. Aha, i położyłam tam pułapkę na myszy. Nie zabije ich, więc kiedy je złapiemy, wywieziemy je.

Isabel się wzdrygnęła.

– Chyba że Thierry będzie chciał je zatrzymać jako zwierzątka domowe – dodała Kitty.

Jej brat podniósł wzrok z nadzieją.

– Nie ma mowy – sprzeciwiła się Isabel.

– Nie mogę włączyć opiekacza, ale tu są płatki, mamy też chleb i masło. Dwaj faceci, którzy pracują w tutejszym sklepie, sami pieką chleb. Jest całkiem dobry.

– Domowy chleb. Brzmi wspaniale. – W gardle Isabel urosła gula. Laurent, byłbyś z niej taki dumny, pomyślała.

– Ale do kanapek mamy tylko dżem.

– Dżem będzie idealny – rzekła Isabel. – Kitty, piec dzięki tobie wygląda wspaniale. Może dzisiaj uda mi się go uruchomić. Wydaje mi się, że ogrzewa cały dom. – Myśl o ciepłe wywołała w niej uczucie podobne do głodu.

– Thierry już próbował – wyjaśniła Kitty – ale zmarnował całe pudełko zapalek i nic z tego nie wyszło. Aha, i telefon działa. Podano nam zły numer.

Isabel jeszcze raz rozejrzała się po swojej nowej kuchni.

– Telefon! Kitty, jesteś niesamowita.

– To tylko telefon. Nie ekscytuj się za bardzo. – Kitty nie pozwoliła się uściskać, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Dwie godziny później ich nastroje nie były już tak optymistyczne. Bojler uparcie odmawiał współpracy, przez co mieli w perspektywie kolejny dzień bez ogrzewania i ciepłej wody. Piec nie chciał działać, a pożółkłe instrukcje, które znaleźli w szufladzie, były niezrozumiałe, jakby rozrysowane dla innego systemu. Thierry poszedł po drewno do kominka, ale położył na palenisku wilgotne polana, które zaczęły dymić, wypełniając salon sadzą.

– Być może komin jest zapchany. – Kitty zakaszła, a wtedy na drewno spadło truchło gołębia. Wszyscy krzyknęli, a Kitty wybuchnęła płaczem. – Powinieneś wcześniej sprawdzić komin, ty głupku! – wrzasnęła na Thierry'ego.

– Wygląda na to, że on już wcześniej nie żył – wtrąciła się Isabel.

– Skąd to wiesz? Możliwe, że Thierry go zabił.

Thierry pokazał siostrze obraźliwy gest.

– Jak mogłeś być taki tępy, żeby użyć wilgotnego drewna?! – warknęła. – I rozniosłeś błoto po całym domu.

Thierry spojrzał na swoje zabrudzone buty.

– Nie wydaje mi się, żeby... – zaczęła Isabel, ale Kitty weszła jej w słowo:

– Nigdy byś tak nie zrobił, gdyby Mary tu była!

Thierry wypadł z pokoju jak burza, nie zważając na wyciągnięte w jego stronę ręce matki. Isabel zawołała go, ale odpowiedziało jej trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Kochanie, dlaczego jesteś taka niemiła? – zwróciła się do córki. „Gdyby Mary tu była”... Te słowa wciąż rozbrzmiewały jej w głowie.

– Och, to miejsce jest beznadziejne. Wszystko jest beznadziejne – rzuciła Kitty i tupiąc głośno, minęła matkę w drodze do kuchni. Nie było już śladu po radosnej gospodyni.

Isabel stała pośrodku zadymionego pokoju i ukryła twarz w dłoniach. Dawniej nie miała do czynienia z ich pyskówkami. Mary znała tysiące sposobów, by zająć dzieci albo przekonać je, by były wobec siebie miłe. Czy teraz, mając tylko matkę, kłóciły się częściej? A może kiedyś było tak samo, tyle że chroniono ją przed ich codziennymi sprzeczkami?

Wyszła na korytarz i zawołała:

– Thierry? Kitty?

Nie miała pojęcia, co im powie, jeśli przyjdą.

Kiedy jakiś czas później z wahaniem weszła do kuchni, zastała Kitty pochyloną nad leżącym na stole czasopismem, z kubkiem herbaty przed sobą. Jej córka podniosła wzrok, w którym malowały się hardość i poczucie winy. Na policzku miała ślady sady.

– Nie chciałam na niego naskoczyć.

– Wiem, kochanie.

– Wciąż przeżywa śmierć taty i całą resztę.

– Tak jak my wszyscy. Ale Thierry... okazuje to na swój sposób.

– Problem w tym, mamó, że to miejsce jest koszmarnie. Musisz to przyznać. Nie ma tu wody, nie ma niczego. Nie mamy jak się ogrzać ani umyć. Thierry zaczyna szkołę w poniedziałek. Jak zamierzasz wyprać jego rzeczy?

Isabel starała się przybrać minę, jak gdyby już o tym myślała.

– Będziemy korzystać z pralni samoobsługowej. Dopóki nie uda nam się podłączyć naszej pralki.

– Z pralni? Mamó, czy ty widziałaś tę wieś?

Isabel usiadła ciężko na krześle.

– No to podjadę do najbliższego miasteczka. Gdzieś musi być pralnia samoobsługowa.

– Ludzie już nie korzystają z takich miejsc. Wszyscy mają własne pralki.

– W takim razie wypiorę rzeczy w rękach i wysuszymy je suszarką do włosów.

– Nie możemy po prostu wrócić do domu? – spytała Kitty błagalnie. – Jakoś zdobędziemy pieniądze. Wezmę w szkole rok przerwy i będę pracować. Na pewno mogę coś zrobić. Damy radę.

Isabel poczuła się zupełnie bezradna.

– Będę bardzo, ale to bardzo pomocna – kontynuowała Kitty. – I Thierry też. Nawet klepanie biedy w naszym starym domu będzie lepsze niż to miejsce. Tu jest okropnie. To jak... rudera dla bezdomnych.

– Przykro mi, kochanie. To niemożliwe. Dom w Maida Vale jest już sprzedany. I im szybciej zaczniesz patrzeć na to miejsce jak na nasz nowy dom, tym lepiej dla wszystkich. Spróbuj dojrzeć jego piękno mimo tych wszystkich braków. Wyobraź sobie, jak może wyglądać. Posłuchaj. – Przybrała pojednawczy ton. – Każdy na początku ma problemy z aklimatyzacją w nowym otoczeniu. Wiesz co, wezwę hydraulika, żeby podłączył ciepłą wodę. I zadzwonimy po kominiarza. Ani się nie obejrzysz, a zapomnimy, jak ciężko nam tu było. – To był jakiś plan. – Telefon działa, więc zajmę się tym od razu.

Isabel uśmiechnęła się zachęcająco i wyszła z kuchni dziarskim krokiem. Sama nie wiedziała, czy spieszy jej się do działania, czy też ucieka przed miażdżącym rozczarowaniem malującym się na twarzy córki.

Pikowana wzorzysta kurtka matki błyszczała jakoś niestosownie w tym smutnym,

zrujnowanym domu. Kitty odłożyła czaso-pismo, oparła głowę na dłoniach i sprawdzała, czy końcówki włosów jej się nie rozdwiają. Kiedy się tym znudziła, zaczęła się zastanawiać, co jeszcze może zrobić w kuchni. Mama przesadzała z tym, jaka Kitty jest wspaniała, rozsądna i mądra. Nie wiedziała, że jej córka znajdowała sobie zajęcia, bo tylko to powstrzymywało ją od płaczu. Kiedy robiła coś konkretnego, mogła udawać, że to wszystko to przygoda. Widziała, że ma wpływ na otoczenie. Mogła, jak powiedziała by szkolny psycholog, przejąć kontrolę. Ale kiedy tylko przestawała, myślała o tacie, o ich londyńskim domu, o Mary, która przytuliła ich mocno i płakała, gdy się żegnali, jakby Kitty i Thierry byli jej własnymi dziećmi. I przez to wszystko miała ochotę krzyknąć na mamę, bo była ona jedyną osobą, która jej do tego pozostała. Ale nie mogła tego zrobić, bo mama wciąż była pogrążona w żałobie. A była bardzo wrażliwa, trochę jak dziecko, jak to ujęła Mary. Często zdarza się to ludziom, którzy mają talent artystyczny, powiedziała do Kitty pewnego wieczoru. Nigdy nie muszą dorastać. Cała ich energia idzie w sztukę. Kitty nie była w stanie stwierdzić, czy Mary mówiła to z przyganą.

Ale ich opiekunka miała rację. Kiedy Kitty była mała, nienawidziła skrzypiec matki tak bardzo, że często je chowała, po czym obserwowała z fascynacją zabarwioną poczuciem winy, jak Isabel przeszukuje cały dom, pobladała z niepokoju. Ich życie toczyło się pod dyktando skrzypiec. Nie wolno im było przeszkadzać mamie, gdy ćwiczyła, oglądać zbyt głośno telewizji ani wywoływać w niej poczucia winy, kiedy wyjeżdżała na tournée z orkiestrą. Kitty nie miała prawa buntować się przeciwko temu, że mama nigdy w nic z nimi nie grała ani nie pomagała jej w zadaniach, które wymagały użycia kleju lub rozerwanych kartonów, ponieważ musiała dbać o ręce. Wspomnienie z dzieciństwa, które najbardziej wryło jej się w pamięć, to jak siedziała pod drzwiami gabinetu i słuchała gry matki, bo dzięki temu czuła, że jest bliżej niej.

Wiedziała, że miała być jedynaczką, ponieważ Isabel nie była pewna, czy uda jej się pogodzić wychowanie dwójki dzieci z karierą muzyczną. I nawet kiedy na świat przyszedł Thierry, nieplanowany, mama nigdy nie pojawiała się na szkolnych wieczorkach ani meczach netballa, ponieważ musiała grać. Zrozumieją to, jak dorosną, mówił tata, jeśli będą mieli szczęście i odnajdą w życiu to coś, w czym będą naprawdę dobrzy. Mary była z nim na tylu szkolnych imprezach, że większość ludzi zakładała, że są z tatą małżeństwem.

Kitty poczuła przyływ dziecięcego rozżalenia. Nienawidzę tego domu, pomyślała. Nienawidzę go, bo nie ma tu taty ani Mary, a ja muszę tu udawać kogoś, kim nie jestem.

Hydraulik obiecał, że przyjdzie następnego dnia rano, ale zastrzegł, że policzy sobie za tę wizytę jak za nagłe wezwanie. Westchnął ciężko, kiedy Isabel powiedziała mu, że nie ma pojęcia, na czym polega problem, i że dom przez jakiś czas nie był zamieszkanym.

– Niczego nie gwarantuję – powtarzał – skoro to stare rury. Wszystko mogło się zapchać.

Isabel rozmawiała z nim uległym tonem, a potem była na siebie zła z tego powodu.

Kominiarz był bardziej przyjazny, gwizdnał, kiedy podała mu adres, i powiedział, że ostatnim razem czyścił te kominy prawie piętnaście lat temu.

– Stary był strasznym sknerą – stwierdził. – Z tego, co wiem, przez lata mieszkał w jednym pokoju. A cała reszta się sypała.

– Dom jest lekko... sfatygowany – przyznała Isabel. Podziękowała mu wylewnie, kiedy powiedział, że wpadnie jeszcze tego samego popołudnia.

– Mogę pani przywieźć trochę drewna. Obsługuję wiele domów w okolicy.

Perspektywa ognia podniosła Isabel na duchu. Kiedy odłożyła słuchawkę, zwróciła uwagę, że jej meble sprawiały w tym domu wrażenie małych i nielicznych, chociaż zgromadziła je tylko w kilku pokojach będących w użyciu. Ogień poprawi wszystkim nastroje, pomyślała.

Zastanawiała się, w jaki sposób ożywić ponury salon. Ogień na pewno pomoże, powinni mieć też jedno przytulne pomieszczenie, nawet jeśli trzeba będzie w tym celu opróżnić pozostałe.



Południowa część domu wydawała się nieco mniej wilgotna i niegościnna. Isabel zaczęła tu znosić różne rzeczy – dywan, dwa obrazy, mały stolik i wazon – i ozdobiła nimi pokój, aby go ocieplić i ożywić. Dywaniki nie pokryły całej podłogi, ale dzięki nim wydawała się ona mniej rozległa i zakurzona, zakryły też najgorsze dziury. Obrazy przysłoniły odpryskującą farbę na ścianach, a strategicznie ustawiony fotel zamaskował plamę wilgoci nad listwą przypodłogową. Potrząsnęła zasłonami i zakaszła, gdy wzbił się z nich kurz. Potem oceniła swoje wysiłki. Nie były to standardy Maida Vale, ale na początek było całkiem nieźle.

Zobaczyła za oknem Thierry’ego, jak wychodził spomiędzy drzew przy jeziorze. Jego mała, smutna postać w zielonej kurtce rzucała się w oczy na tle szarobrazowego krajobrazu. Trzymał w ręce duży kij, którym raz na jakiś czas wymachiwał w kierunku roślin. Szedł ze spuszczoną głową, a z jego ust wydobywały się kłęby pary. Kilka razy potarł rękawem oczy.

Jej małe sukcesy wydały się nagle pozbawione znaczenia. Przypomniały jej się słowa, które usłyszała od wiolonczelistki, kiedy była w ciąży z Kitty: dopóki jedno z twoich dzieci jest nieszczęśliwe, sama nie będziesz szczęśliwa. Muszę się mocniej postarać, powiedziała do siebie Isabel. Muszę z tego budynku zrobić prawdziwy dom, miejsce, które nie jest zdominowane przez defekty. Jestem wszystkim, co zostało tym dzieciom.

Kominiarz, pan Granger, przyjechał, tak jak zapowiedział, syknął, po czym od razu zabrał się do roboty i wyczyścił trzy kominy – zrobił przy tym tylko niewielkie zamieszanie i bałagan, biorąc pod uwagę ilość sadzy, którą usunął. Puścił oko do Thierry’ego i powiedział, że kominy są jak nos, trzeba je czyścić regularnie. Podkreślił swoje słowa, smarkając w chusteczkę, i pokazał im rezultat, na którego widok Kitty się skrzywiła, a Thierry się uśmiechnął.

Kiedy późne popołudnie powoli przechodziło w zmierzch, a pan Granger pokazywał dzieciom, jak się „rozpała w kominku jak należy”, Isabel poszła na górę. Poprzedniego wieczoru zauważyła drzwi prowadzące z ostatniego piętra na płaski dach zakończony blankami i w celu ich otwarcia przyniosła ze sobą duży pęk kluczy, który wisiał na dole w kuchni.

Planowała wyjść tylko na kilka chwil, by podziwiać widok z wysokości, zimny błękit i ciepły oranż wczesnowiosennego zachodu słońca odbijające się w tafli jeziora. Okolice domu była mniej przygnębiająca i bardziej zachęcająca niż jego wnętrze.

Stała tam przez chwilę, kiedy dotarło do niej, czego potrzebuje. Wślizgnęła się z powrotem do środka, wyjęła skrzypce z futerału i zabrała je na dach. Stała blisko blanków i wetknęła instrument pod brodę, nie wiedząc, co zamierza zagrać, dopóki nie zaczęła. Jej ręce poruszyły się do pierwszych taktów koncertu h-moll Elgara.

Kiedyś nienawidziła tego utworu, uważała go za zbyt sentymentalny. Wszyscy w orkiestrze zgodnie uznawali, że jest beznadziejnie długi i staromodny, ale teraz niespodziewanie do niej przemówił i domagał się, by go zagrała. I Isabel zatopiła się w nim. Minał niemal rok od twojej śmierci, powiedziała do Laurenta. Będę tu wychodzić i grać dla ciebie. Requiem dla tego, co oboje utraciliśmy.

Nuty zaczęły żyć własnym życiem, nabrały głębi i żarliwości i odbijały się echem po tej chłodnej krainie, niesione w miękkim, nieruchomym powietrzu na skrzydłach ptaków. Popępiała niewiele błędów, ale nie przejmowała się nimi. Nie potrzebowała nut ani żadnych wskazówek: koncert, którego nie grała od lat, dotarł do jej palców, jakby jej ciało go wcześniej zasymilowało. Kiedy zagrała oszałamiającą trzecią część, była już całkiem pogrążona w muzyce, zapomniała o całym świecie, nie istniało nic oprócz jej uczuć wibrujących w smyczku i w strunach. Laurent. Słyszała jego głos w melodii, zatracala się w technicznym aspekcie gry. Laurent. Tym razem nie płakała, mieściła w sobie wszystkie emocje – smutek, gniew, frustrację – przełożone na dźwięk, który przynosił jej ocalenie i pocieszenie.

Niebo ciemniało, powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Nuty biegły w stronę nieba,

rozciągały skrzydła i leciały: jak ptaki, jak nadzieje, jak wspomnienia. Laurent, powiedziała do niego. Laurent. Laurent... Dopóki jej słowa, a nawet sama myśl, nie utonęły w dźwięku.

Asad wniósł do środka skrzynkę z owocami, a Henry wybiegł z kasy, by przytrzymać mu drzwi.

– Dzwoniła pani Linnet – powiedział. – Mówiła, że ta nowa włączyła muzykę na pełną głośność i że słycać ją w połowie doliny. Żaliła się, że zagłuszyła jej ulubioną audycję w radiu, brzmiała jak podduszane koty w worku, i zastrzegła, że jeśli będzie się to powtarzać co wieczór, zgłosi to odpowiednim służbom. – Uśmiechnął się szeroko. – Była nieźle wkurzona.

Asad postawił skrzynkę obok półki z owocami.

– To nie było żadne nagranie. Dwa razy przerwała. Słuchałem jej, kiedy wyładowywali towar. Też usłyszysz, jeśli wyjdiesz na zewnątrz.

– Wciąż gra?

Asad gestem zachęcił go do wyjścia.

– Sam możesz posłuchać.

Obaj wyszli przed sklep. Niebo ciemniało, ulica była pusta. Okna domków, które stały w rzędzie po obu stronach drogi, rzucały długie prostokąty światła. Tu i ówdzie zaciągnano zasłony.

Henry pokręcił głową.

– Nic z tego – rzekł.

– Zaczekaj – odparł Asad. – Może wiatr zmienił kierunek. O, teraz... – Spojrzał Henry'emu w oczy. – Słyszysz?

Henry stał zupełnie nieruchomo, jak gdyby dzięki temu mógł lepiej wyłować dźwięki. A potem, kiedy dobiegły go odległe tony skrzypiec, na jego twarzy powoli rozciągnął się uśmiech. Obaj mężczyźni delektowali się tą niespodzianką w miejscu, w którym takie rzeczy rzadko się zdarzały.

Asad uśmiechał się, jakby przeniósł się gdzieś z dala od chłodnej angielskiej wsi.

– Myślisz, że zna motyw przewodni z *Kotów*? – odezwał się Henry, gdy muzyka ucichła. – Byłoby cudownie, gdyby mi go zagrała. Możemy zapytać, czy grywa na imprezach.

Worki ze śmieciami leżące pod jesionem kontrastowały z widokiem świeżej zieleni i rozkwitającego wokół życia. Dostrzegłszy je, Matt zwolnił i wyłączył silnik, przeklinając ludzi wyrzucających śmieci na dziko. Wysiadł z samochodu, zabrał worki i wrzucił je na tył furgonetki. Wszystko tu schodzi na psy, pomyślał z goryczą. Ludzie wolą tłuc się kilkaset metrów wybois-tą drogą niż pojechać na wysypisko. Uznał to za odpowiednie zwieńczenie tego dnia: wcześniej miał problemy w obu miejscach, w których jego firma przeprowadzała prace budowlane. Stolarz mało co nie odciął sobie kciuka i prawdopodobnie nie będzie w stanie pracować przez następnych kilka tygodni, a do tego Matt odebrał długi, pełen wyrzutów telefon od Theresy, która skarżyła się, że od półtora miesiąca nie poświęcił jej dość uwagi. Nie kumała, co się dzieje. Może mu jeszcze nieźle zatruć życie.

Właśnie wycierał ręce w szmatę, gdy to usłyszał: przeciągłą nutę, która rozległa się w dolinie, nieprzypominającą odgłosu dzikiego zwierzęcia ani ptaka, w każdym razie nie tutejszego. Stał nieruchomo, wyężdżając słuch, by się upewnić, czy dobrze usłyszał, i wtedy muzyka dobiegła wyraźniej. Jakiś klasyczny kawałek.

Matt był w zbyt podłym nastroju, by go to poruszyło. Głośna muzyka płynąca z domu hiszpańskiego, też coś.

– Tylko tego mi trzeba, do cholery – wymruczał, pakując się do samochodu. Sięgnął do stacyjki i patrzył gniewnym wzrokiem na odległy zarys domu, ledwo widoczny nad wierzchołkami drzew, czując znajomą gorycz, jaką wywoływał jego widok.

Ale zamiast zapalić silnik, po prostu siedział. I słuchał.

– Tu jest knot, widzi pani? To właśnie powinna pani zapalić. Otwiera się to małe okienko i przykłada zapalnik... Tak przynajmniej działa mój piec. Ten wygląda podobnie.

Pan Granger zaglądał do wnętrza, kiedy usłyszeli pukanie. Isabel, która przerwała grę, kiedy dzieci powiedziały jej, co robi kominiarz, zezłościła się, że ktoś jej przeszkadza właśnie w momencie, w którym miała poznać tajemnice bestii.

– Spodziewa się pani gości?

Isabel wytarła ręce o spodnie.

– Nikogo tu nie znam. Kitty? Thierry? – krzyknęła na górę. – Możecie otworzyć? A pan może mi wyjaśnić, co to znaczy, kiedy płomień pali się na żółto?

Nad nimi rozległy się ciężkie kroki i Isabel usłyszała, jak otwierają się drzwi frontowe, a potem, jak ktoś schodzi po skrzypiących schodach.

– Z kominem jest wszystko w porządku – powiedział pan Granger. – Gdy wsunę głowę tutaj, praktycznie widzę światło słoneczne. To nie powinno być problemem.

Drzwi od kuchni się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna w roboczym ubraniu, któremu z kieszeni wyblakłej kurtki w kolorze khaki wystawało kilka długopisów. Za jego plecami pojawiły się jej dzieci.

– Wszystko w porządku, Matt? – odezwał się kominiarz. – Jakoś rzadko kończysz przed zmrokiem. Przyszedłeś, by pomóc naszej nowej sąsiadce, co? Czekają tu sporo pracy, chłopie.

Po chwili wahania mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Isabel uściśniła ją, zaskoczona, jak szorstka była w dotyku.

– Dzień dobry – odezwała się, nieco udobruchana. – Isabel Delancey. A to moje dzieci, Kitty i Thierry.

– Matt McCarthy – przedstawił się. Najwyraźniej był świadomy własnej atrakcyjności. Przyszło jej do głowy określenie „samiec alfa”. Nie miała nawet pojęcia, skąd je zna.

– Pokazywałem im, jak się rozpala w piecu.

– A potem rozpalimy ogień w kominku w sypialni – powiedziała Kitty radośnie.

– Możemy to zrobić nawet w każdym pokoju, kochanie. – Isabel rzuciła jej pudełko zapalników. – Nagrzejmy ten dom porządnie.

– Nie tak szybko. Ma pani za mało drewna. W takim tempie pozbędzie się pani wszystkiego do wieczora. – Pan Granger zachichotał. – Widać, Matt, że są przyzwyczajeni do centralnego ogrzewania. Chyba stworzyłem tu dwójkę małych podpalaczy.

– Nie są państwo z okolicy?

Matt McCarthy przyglądał się jej uważnie i Isabel zaczęła się zastanawiać, czy ma gdzieś sadzę na twarzy. Zwalczyła chęć, by ją otrzeć.

– Nie – odparła i uśmiechnęła się, by ukryć zmieszanie. – Przeprowadziliśmy się z Londynu. Nie znamy się na takich sprawach jak rozpalanie ognia. Pan Granger nam pomaga.

– Sprawdzam ten stary piecyk – powiedział kominiarz. – Pani Delancey chce go włączyć. Podobno pojutrze mają wrócić przymrozki. Zamarzną wśród tych przeciągów.

– Tego pieca nie używano od lat – rzekł Matt McCarthy lekko przemądrzałym tonem.

– Ale nie wygląda, jakby coś z nim było nie tak.

– Napełniła go pani olejem?

– Olejem? – powtórzyła Isabel pytająco.

– Tak, olejem – potwierdził Matt McCarthy. – Opałowym.

– Ten piec potrzebuje oleju?

Pan Granger się roześmiał.

– Nie miałem pojęcia, że nie wlała pani oleju. No to tajemnica wyjaśniona. Myślała pani,

że na co on działa? Na powietrze?

– Nie wiem, nigdy nie używałam czegoś takiego. Na drewno? Na węgiel? Nawet się nad tym nie zastanawiałam – przyznała Isabel.

Skrzywiła się, kiedy pan Granger poklepał ją po plecach.

– Będzie go pani musiała zamówić. Polecam Crittendenów, proszę im powiedzieć, że to pilne. Poczekaj pani dzień czy dwa. Inni każą pani czekać tydzień.

– Co mam napełnić? – spytała. Chciałaby nie dawać aż tak po sobie poznać, że jest zielona w temacie.

– Zbiornik. – Był to pierwszy raz, kiedy na twarzy Matta McCarthy’ego zagościł prawdziwy uśmiech. Ale było w nim coś nie do końca przyjaznego.

Właśnie docierało to do niej, kiedy odezwał się znowu, tym razem cieplejszym tonem:

– Znajduje się za domem, w pobliżu stodoły. Ale niech najpierw pani mąż sprawdzi, czy nie przecieka. Jest trochę zardzewiały.

– Dziękuję – odparła nieco zbyt chłodno. – Ale jesteśmy tu tylko my.

– Nie podoba mi się, że zostawiam kobietę z dziećmi bez ciepłej wody. Tak nie powinno być. Ale przynajmniej będzie pani miała dzisiaj ciepło z kominka. – Pan Granger wytarł ręce i nałożył czapkę, gotowy do wyjścia.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała Isabel, szukając w torebce portfela.

– Na razie nie trzeba. Zobaczymy się pod koniec tygodnia, gdy już się pani ogarnie – rzekł kominiarz. – Mam coś do załatwienia w pobliżu, więc wpadnę w piątek rano. Sprawdzę, jak sobie pani radzi. I przywiozę całą przyczepę drewna, jeśli uda mi się zajechać pod pani dom. Im bardziej pani ogrzeje to miejsce, tym lepiej. Trzeba je trochę osuszyć. – Wskazał za okno na drzewa. – Raczej nie braknie pani opału na następny rok, prawda? Do zobaczenia, Matt. – Skinął głową, a potem ruszył po schodach, a Kitty i Thierry za nim.

Po jego wyjściu nastąpiła krępująca cisza. Świadoma opłakanego stanu kuchni oraz tego, że sama jest w nieładzie, Isabel poczuła się niezręcznie, tak jak często zdarzało jej się teraz, gdy otaczali ją mężczyźni. Jakby Laurent zabrał ze sobą warstwę jej skóry.

– A więc jesteśmy sąsiadami – powiedziała, starając się odzyskać rezon. – Pan pewnie mieszka w tym domu, który mijaliśmy po drodze. Napije się pan herbaty? Zaproponowałabym coś mocniejszego, ale nie mam pojęcia, gdzie co jest.

Matt McCarthy pokręcił głową.

– Mamy tu spory bałagan – kontynuowała Isabel. Mówiła zbyt szybko, tak jak często jej się zdarzało w towarzystwie ludzi, których cechowała niezwykła pewność siebie. – Będziemy musieli ogarnąć wszystko krok po kroku. Jak już się pan pewnie domyślił, nie jesteśmy zbyt praktyczni... Na pewno musimy się wiele nauczyć. – Odsunęła kosmyk długich włosów z twarzy. Sama słyszała nutę desperacji we własnym głosie.

Mężczyzna spojrział na nią uważnie.

– Jestem pewien, że da sobie pani radę – powiedział.

Laura dopiero co skończyła porządkowanie zamrażarki w garażu. Wytarła ręce o dżinsy i podeszła do furgonetki. Gdy Matt wysiadł, zaskoczył ją pocałunkiem w usta.

– Cześć – odezwała się. – Miałeś udany dzień?

– Nie bardzo – odparł. – Na szczęście się poprawia.

Boże, jak dobrze było zobaczyć uśmiech na jego twarzy. Laura chwyciła go za pasek i przyciągnęła do siebie.

– Może poprawię go jeszcze bardziej – powiedziała, a potem dodała: – Przygotowałam stek. W moim specjalnym sosie pieprzowym.

Wyraził zadowolenie niskim pomrukiem, który ona odczuła jako przyjemną wibrację na

skórze. Matt zamknął drzwi od samochodu, otoczył ją ramieniem i razem ruszyli w stronę domu. Laura ujęła jego dłoń i położyła na swoim obojczyku, pragnąc wydłużyć tę chwilę.

– Przyszły dwa czeku za robotę u Pinkertonów. Byłam w banku i przelałam te pieniądze na konto. Słyszałeś tę muzykę? Anthony myślał, że to lis złapany w pułapkę.

– Tak, słyszałem. Zresztą pojechałem do naszych nowych sąsiadów.

Laura potknęła się o starego psa, a ten wydał z siebie jęk protestu.

– Och, Bernie... – ofuknęła go, po czym zwróciła się do męża: – Pojechałeś tam?

– Pomyślałem, że nie zaszkodzi się przywitać. W końcu jesteśmy sąsiadami.

Czekała na jakiś zjadliwy komentarz, na pełne gorczy wydęcie warg. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet wzmianka o tamtym domu nie zepsuła mu humoru. Och, proszę, niech sprawy się odwróć, modliła się Laura. Proszę, niech się z tym pogodzi. Niech wróci jego dobry nastrój.

– Tak należało zrobić. Ja też wpadnę do nich w tym tygodniu. – Starła się nie pokazać po sobie obaw. – Muszę ci powiedzieć, Matt, że cudownie jest widzieć znowu, jak się uśmiechasz. Naprawdę cudownie.

Jej mąż pochylił się i pocałował ją w nos. Miał zimne usta.

– Sporo sobie przemyślałem – powiedział.

Niewiele osób z jej pokolenia mogło powiedzieć, że poślubiło swoją pierwszą miłość, ale już w chwili, kiedy Isabel Hayden poznała Laurenta Antoine'a Delanceya, wiedziała, że znalazła to, czego szukała. Ten wniosek, który przyszedł jej do głowy w czasie wykonywania koncertu na skrzypce i orkiestrę Brucha, był dla niej zaskoczeniem: nigdy nie czuła najmniejszego pociągu wobec poważnych bladych młodzieńców, którzy otaczali ją w szkole muzycznej. Zdążyła już stwierdzić, że pewnie nigdy nie wyjdzie za mąż, ponieważ to za bardzo odciągało od muzyki. Ale w trakcie solówki pomyślała o dystygowanym, rozczochranym mężczyźnie, który zabrał ją dzień wcześniej na kolację do Les Halles – do porządnej restauracji, nie do kawiarni. Powiedział jej, że nigdy nie był tak poruszony muzyką jak wtedy, kiedy usłyszał jej grę przed wejściem do stacji metra Clignancourt, a ona zdała sobie sprawę, że ten mityczny Jedyny, o którym tyle rozprawiły jej koleżanki, może naprawdę istnieć i może się pojawić w życiu w najdziwniejszym momencie, w najbardziej nieoczekiwany sposób.

Oczywiście nie obyło się bez przeszkód, które napotykają wszystkie dobre historie miłosne, takich jak: jego była żona, „neurotyczna” aktorka, z którą jeszcze nie całkiem się rozwiódł; obiekcje jej rodziców – miała dwadzieścia lat i była zbyt młoda, zbyt impulsywna na taką decyzję – oraz nauczycieli muzyki, którzy obawiali się, że skupi się na życiu rodzinnym i rozmieni talent na drobne. Nawet wikary stwierdził, że dwunastoletnia różnica wieku oraz różnice kulturowe między Francuzem a Angielką – sugerował przy tym, że Laurent może mieć kochanki i nie używać dezodorantu – mogą zagrozić trwałości tego małżeństwa.

Ale odpowiedzią Laurenta na to wszystko było wzruszenie ramion i namiętność do tej dziewczyny z lśniąca płataniną długich włosów, a Isabel przekonała się, w przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników, że małżeństwo nie musi prowadzić do rozczarowań, cynizmu czy kompromisów. Laurent ją kochał. Kochał ją, gdy zasypiała przy śniadaniu, bo przez całą noc szlifowała ostatnie takty jakiejś sonaty; kochał ją, gdy po raz kolejny posiłek, który mu przygotowała, był przypalony i mdły. Kochał ją, gdy spacerowali pod ramię po Primrose Hill, a ona nuciła mu swoje ulubione utwory i wymachiwała dziko rękami, imitując grę na bębnie basowym czy tubie. Kochał ją, gdy budziła go o trzeciej nad ranem, pragnąc mieć go w sobie i poczuć na ustach jego smak. Kupił jej guarneriego i zostawił na poduszce w hotelu, w którym zatracili się w pewien weekend, i śmiał się, kiedy na widok skrzypiec dosłownie zaparło jej dech w piersiach. Po prostu ją kochał.

Była w szoku, gdy okazało się, że zaszła w ciążę w trakcie ich miesiąca miodowego, nie wiedziała, czy jest gotowa na to, by dziecko przerwało ich romantyczną idyllę. Ale Laurent wyznał jej, że w pierwszym małżeństwie marzył o dzieciach, a ona, wciąż przepełniona namiętnością do niego, postanowiła spełnić to jego marzenie.

Ciąża przebiegła bez problemów, a Isabel, zdumiona głęboką miłością, jaką poczuła, gdy Kitty pojawiła się na świecie, starała się poświęcić wyłącznie macierzyństwu. To małżeństwo na to zasługiwało. Szło jej jednak fatalnie, nigdy nie udało jej się wdrożyć tajemniczej „rutyny”, o której mówiła pielęgniarka środowiskowa, nie była w stanie uporać się ze stosami zabrudzonych ubranek, nie umiała się też bawić z dzieckiem, do czego inne matki z taką łatwością się adaptowały. Był to jedyny moment w ich małżeństwie, kiedy się pokłócili. Ona była rozdrażniona, czuła się jak męczennica i łapała się na tym, że go o to obwinia.

– Wiesz, chciałbym, by ktoś mi przywrócił moją żonę – oznajmił pewnego wieczoru z istic paryską egzaltacją, kiedy ona wypomniała mu niepomnywane naczynia, uskarżała się na utratę wolności, wyczerpanie, brak ochoty na seks.

Rzuciła w niego wtedy elektroniczną nianią. Następnego dnia, kiedy zobaczyła odprysk w ścianie, wiedziała, że musi coś zmienić.

Laurent zapewnił jej pełne wsparcie.

– Nie stracisz w moich oczach, jeśli wrócisz do muzyki. To była jedna z tych rzeczy, dzięki którym się w tobie zakochałem.

I kiedy upewniła się kilka razy, że to nie tylko czcze słowa, że nie będzie żywił do niej o to urazy, znaleźli Mary. Isabel usprawiedliwiała zostawienie swojej pięknej córeczki, powtarzając sobie, że dzięki temu wszyscy będą szczęśliwsi.

Poza tym Kitty była takim dobrym dzieckiem. Gdyby była nieszczęśliwa z Mary lub nie umiała być z nikim innym niż z matką, czy uśmiechałaby się tak uroczo? Czy byłaby taka pogodna? Wszystko miało swoją cenę – była to jedna z rzeczy na temat macierzyństwa, których dowiedziała się najszybciej. A ceną było na przykład to, że Kitty najpierw biegła do Mary, kiedy się skaleczyła, nawet jeśli Isabel była w tym samym pokoju, albo to, że Laurent rozmawiał z małą o jej znajomych, których kojarzył, czy omawiał jakieś szkolne spotkanie, w którym uczestniczył. Ceną tą było także dojmujące poczucie winy, którego Isabel doświadczała w pokoju hotelowym kilkaset kilo-metrów z dala od dziecka, wiedząc, że jest chore, albo gdy znajdowała w walizce płaczliwe liściki: „Mamusiu, Kocham Cię i tęsknię, gdy Cię ma”. Ona także tęskniła za rodziną i dręczyły ją wyrzuty sumienia. Ale Laurent i Mary dali jej wolność bycia sobą, możliwość robienia rzeczy, które kochała. Z czasem, gdy poznawała inne matki, Isabel coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że była jedną z tych niewielu szczęściar, którym małżeństwo i macierzyństwo nie odebrały kreatywności. Ani, co najważniejsze, pasji.

Nie zawsze było łatwo. Laurent nadal uwielbiał jej impulsywność, pobbłażał jej szalonym zachowaniom – kiedy wyciągnęła dzieci ze szkoły, żeby się wybrać na lot balonem, albo kiedy wyrzuciła talerze, bo drażnił ją ich kolor, i zapomniała kupić nowe – ale złościł się, gdy czuł, że schodzi na drugi plan. Nauczyła się odczytywać sygnały zagrożenia, kiedy według niego była za bardzo pochłonięta muzyką. Był wtedy rozdrażniony, oznajmiał z przekąsem, że miło by było od czasu do czasu mieć żonę dla siebie. Potrafił rozpoznać, kiedy ona w myślach ćwiczy, nawet gdy udawała, że jest pochłonięta rozmową o tym, jak córce minął dzień. Była na tyle rozsądna, że zawsze dawała mu to, czego potrzebował, i zadawała pytania – jej zdaniem adekwatne – dotyczące jego pracy w banku inwestycyjnym, nawet jeśli nie do końca rozumiała odpowiedzi. Praca Laurenta była dla niej kompletną zagadką. Rozumiała jedynie, że zarabia wystarczająco, by pokryć wszystkie bieżące wydatki i okazjonalnie zabierać ich na wakacje, podczas których Isabel na dwa lub trzy tygodnie porzucała skrzypce, by spędzić czas z rodziną.

Największy kryzys przyszedł, kiedy okazało się, że jest w ciąży z Thierrym. Sześć lat po narodzinach Kitty spoglądała na niebieską kreskę, której nie spodziewała się zobaczyć, i wpadła w panikę na myśl o tym, co ją czeka. Nie mogła teraz mieć dziecka: właśnie dostała posadę pierwszej skrzypaczki w miejskiej filharmonii. Na wiosnę czekały ją koncerty w Wiedniu i Florencji. Dowiodła, że nie nadaje się do pełnoetatowego rodzicielstwa, nawet przy dziecku tak grzecznym jak Kitty.

Kilka razy rozważała nawet zatajenie tego przed Laurentem.

Zareagował tak, jak się spodziewała: był wniebowzięty, a potem przerażony, gdy powiedziała mu, co brała pod uwagę.

– Ale dlaczego? – zapytał. – Masz mnie i Mary do pomocy. Kitty marzy o braciszku lub siostrzyczce, tyle razy błagała nas o rodzeństwo.

– Umówiliśmy się, Laurent – odparła na to. – Oboje postanowiliśmy, że nie będziemy mieć więcej dzieci. Nie poradzę sobie z dwójką.

– Nie musisz sobie radzić nawet z jednym – odparował – a ja nigdy nie miałem nic

przeciwko temu. Ale nie możesz pozbawić mnie dziecka, a Kitty rodzeństwa, tylko dlatego, że psuje ci plany. – Jego mina mówiła jej, że musi się poddać. Prosił o tak niewiele.

Nigdy nie zwierzała się ze swoich mrocznych myśli, gdy mijały kolejne etapy ciąży, a data porodu zbliżała się nieuchronnie. I okazało się, że Laurent miał rację: kiedy Thierry się urodził, z rękami wyciągniętymi w proteście przeciwko swojemu przyjściu na świat, być może przeciwko temu, że był niechciany, pokochała go taką samą instynktowną miłością, jaką pokochała Kitty. I poczuła głęboką ulgę, gdy trzy miesiące później mogła wrócić do pracy.

Isabel owinęła szyję szalikiem i weszła w las, gdzie wilgotne liście trybuli i długa trawa oblepiały jej buty. Po raz pierwszy od wielu tygodni była sama. Dwie godziny wcześniej odprowadziła dzieci do szkoły: Thierry nie pozwolił się pocałować, ruszył do wejścia sztywno wyprostowany, szurając butami, a Kitty pomaszzerowała z typową dla siebie determinacją.

Marzyła o tym, by znowu zostać sama – Bóg jeden wie, jak bardzo pragnęła czasu dla siebie. Ale tęskniła za nimi. Bez hałasu i gwaru dzieci dom wydawał się smutny, zbyt przytłaczający. Po godzinie zdała sobie sprawę, że jeśli czegoś nie zrobi, pograży się w melancholii. Nie miała siły odpakowywać pozostałych rzeczy, przerastała ją syzyfowa praca, jaką było sprzątanie tego miejsca, więc postanowiła pójść na spacer. W końcu nie było takich problemów, których spacer by nie rozwiązał, jak często powtarzała jej Mary.

Stwierdziła, że pójdzie przez las do sklepu. Prosta czynność, taka jak kupienie mleka i czegoś na kolację, pozwoli jej się skupić. A potem przygotowuje gulasz lub pieczonego kurczaka na powrót dzieci ze szkoły.

Myśli o Laurencie napawały ją mniejszym smutkiem, gdy była poza domem. Po roku zauważyła, że zdarza jej się myśleć o nim w powiązaniu z tym, co kochała, a nie z tym, co straciła. Mówiono jej, że nie pozbędzie się smutku, ale z czasem łatwiej jej będzie sobie z nim poradzić.

Włożyła rękę do kieszeni i wdychała zapach budzących się do życia roślin, obserwowała cebulki puszczające kiełki pod drzewami lub wskazujące miejsce, gdzie kiedyś mogła być rabatka. Może stworzę tu ogród, pomyślała. Wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne: kopanie, wyrywanie i przycinanie nożycami były zbyt uciążliwe dla jej rąk. Ogrodnictwo od dawna znajdowało się na nieoficjalnej liście zajęć zakazanych dla skrzypków.

Dotarła do drzew i szła skrajem lasu, mając jezioro po lewej stronie. Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie widziała prześwit. Znalazła go i weszła w głąb. Po drugiej stronie natura była jeszcze bujniejsza niż wokół domu. Na chwilę się odwróciła: jego ciemnoczerwone mury i nieregularne okna nie patrzyły na nią ciepło i gościnnie. Jeszcze nie jej. Jeszcze nie dom.

Nie wolno ci tak myśleć, skarciła samą siebie. Jeśli zrobimy z niego nasz dom, to nim będzie. Mieli teraz ciepłą wodę, choć trochę to kosztowało, a w kilku pokojach panowało ciepło o lekko metalicznym zapachu. Hydraulik powiedział jej, że kaloryfery trzeba odpowietrzyć, ale był tak protekcyjny, że nie zapytała go, co to znaczy. Ponieważ w wannie w łazience było ogromne pęknięcie, musieli się myć w tej blaszanej, co Kitty codziennie rano oprostowywała.

Isabel stanęła, by przyjrzeć się ogromnym grzybom wyrastającym ze spróchniałego pnia drzewa, a potem spojrzała na zachmurzone niebo, które prześwitywało przez gałęzie układające się w misterne wzory. Powietrze było wilgotne, więc dmuchnęła w szal, delektując się ciepłem odbijającym jej się od skóry. Las pachniał mchem, wilgotnym drewnem i ściółką, zupełnie inaczej niż złowroga wilgoć domu, gdzie Isabel często zastanawiała się, co wokół nich gnije.

Usłyszała trzask gałązki i znieruchomiała; w jej umyśle mieszcucha błysnęły obrazy szalonych morderców z siekierami. Wstrzymała oddech i powoli obróciła się w stronę, z której dobiegł ją ten dźwięk.

Z odległości kilku metrów spoglądał na nią ogromny jeleń z uniesioną głową, jego lśniące



poroże przypominało płataninę nagich gałęzi w tle. Zamrugał kilka razy, z jego nozdrzy unosiły się cienkie smugi pary.

Isabel nie przestraszyła się, była zbyt oczarowana. Wpatrywała się w niego z zachwytem, zdumiona, że takie stworzenia wciąż żyją na wolności, że w tym gęsto zaludnionym kraju mogą się jeszcze błąkać swobodnie. Westchnęła. Być może ten delikatny dźwięk sprawił, że czar przysł, bo jeleń wybiegł na odkryty teren.

Obserwowała, jak się oddala. W jej głowie rozbrzmiała muzyka: *Akteon przemieniony w jelenia*. Zwierzę zwolniło, zawahało się i zakołysało głową, gdy jej umysł wypełniły otwierające symfonię von Dittersdorfa fanfary, symbolizujące młodych mężczyzn przybyłych na polowanie, oraz delikatne adagio, które przywoływało na myśl szemrzące strumienie i wiatr.

Nagle ciszę przerwał wystrzał. Jeleń ruszył przed siebie, potykając się na grząskim gruncie. Rozległ się kolejny strzał i Isabel, która najpierw skoczyła za drzewo, teraz wybiegła na otwartą przestrzeń, próbując ustalić ich źródło.

– Stać! – krzyknęła, odsuwając szal z twarzy. – Kimkolwiek jesteś! Nie strzelaj! – Serce waliło jej jak szalone. Próbowwała biec, ale wielkie grudy ziemi przykleiły jej się do podeszew. – Stać! – wrzasnęła z nadzieją, że niewidoczny myśliwy ją słyszy. Próbowwała zsunąć błoto z jednego buta czubkiem drugiego. Wydawało się, że jeleń uciekł, ale jej serce nadal biło w oczekiwaniu na kolejny strzał.

Wtedy właśnie zobaczyła mężczyznę, który zmierzał w jej kierunku, a błoto najwyraźniej mu nie przeszkadzało. Widziała jego strzelbę, teraz skierowaną ku ziemi, spoczywającą w zagięciu ramienia. Pociągnęła za szal, by nie zakrywał jej ust.

– Co pan wyprawia, na litość boską! – Pod wpływem szoku mówiła głośniejszym głosem, niż zamierzała.

Mężczyzna z zarumienionymi policzkami zatrzymał się przy niej, jakby nie spodziewał się, że ktoś mu przeszkodzi. Był prawdopodobnie niewiele starszy od niej, ale wzrost dodawał mu powagi. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy i twarz, której kolor i kontury świadczyły o tym, że dużo czasu spędzał na świeżym powietrzu.

– Strzelam. A jak się pani wydaje? – Był wyraźnie zszokowany jej obecnością.

Isabel udało się uwolnić nogę z błota, ale adrenalina wciąż krążyła jej w żyłach.

– Jak pan śmie! Kim pan jest, kłusownikiem?

– Kłusownikiem? Też mi coś!

– Zadzwoń na policję.

– I co im pani powie? Że próbowałem odstraszyć jelenia od upraw?

– Powiem im, że wdarł się pan na mój teren.

– To nie jest pani teren. – W jego akcencie słychać było lekko warkoczące „r”.

– A skąd pan to wie?

– To ziemia Matta McCarthy’ego. Aż do tamtych drzew. A on dał mi pozwolenie, bym się pozbywał stąd wszystkiego, co uznaję za niepożądane.

Isabel miała wrażenie, że mężczyzna spogląda znacząco na swoją broń.

– Czy pan mi grozi? – spytała.

Podążył za jej wzrokiem, a potem spojrział na nią, unosząc brwi.

– Czy ja pani grożę?

– Nie chcę, by używano broni w pobliżu mojego domu.

– Nie celowałem w tamtą stronę.

– Mój syn chodzi tutaj na spacer. Mógł go pan trafić.

Mężczyzna otworzył usta, po czym potrząsnął głową, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem przez pole, lekko przygarbiony. Rzucił jej jeszcze na odchodne:

– Wobec tego będzie go pani musiała nauczyć poszanowania granic, prawda?

Kiedy obserwowwała, jak odchodzi, przypomniła jej się ostatnia część symfonii von Dittersdorfa. Zwierzę było tak naprawdę młodym księciem zamienionym w jelenia, który zabłąkał się w lesie, i rozszarpały go jego własne psy.

\*

Asad sprawdzał jajka, z każdego pudełka usuwał jedno czy dwa i wkładał na ich miejsce inne. Ekologiczne jajka z pobliskiej farmy były znakomite, ale często pokrywała je „materia organiczna”, co niekoniecznie podobało się niektórym przewrażliwionym gospodyniom. Trzymał te brudne w rękach i już miał je wyczyścić, kiedy do środka weszła kobieta.

Stała przez chwilę w drzwiach, rozglądając się, jakby czegoś szukała. Miała na sobie długi niebieski aksamitny płaszcz, u dołu mocno ubrudzony błotem. Rodzinne podobieństwo powiedziało Asadowi, kim jest.

– Pani Delancey? Zaraz do pani podejść, muszę tylko to odłożyć.

Isabel szeroko otworzyła oczy ze zdumienia na dźwięk swojego nazwiska.

– Rzadko przychodzą do nas obcy – wyjaśnił, wracając do niej i wycierając ręce. – A córka jest do pani bardzo podobna.

– Och, Kitty. No tak.

Zawahał się.

– Czy wszystko w porządku? Wygląda pani na nieco... wystraszoną.

Podniosła rękę do twarzy. Miała piękne, jasne dłonie. Długie białe palce. Trzęsła się.

– Proszę mi powiedzieć – zaczęła – czy dużo osób w okolicy ma broń palną?

– Broń?

– Właśnie mi grożono... no, może nie grożono, ale stanęłam oko w oko z uzbrojonym mężczyzną na terenie, o którym myślałam, że jest prywatny.

– Czegoś takiego można się wystraszyć... owszem.

– Jestem lekko roztrzęsiona. Wcześniej nie zdarzało mi się spotykać ludzi z bronią. W sumie chyba nigdy wcześniej nie widziałam żadnej z bliska.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

Isabel opisała go.

– Brzmi jak Byron, nadzorca ziemi Pottiswortha. Teraz pracuje dla Matta. Ale wydaje mi się, że używa tylko wiatrówki.

– Matt McCarthy. – Kobieta się zamyśliła, a potem jakby uszło z niej powietrze.

– Właśnie miałem nastawić wodę – powiedział. – Myślę, że herbata z cukrem dobrze robi na szok. Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Asad Suleyman.

Obdarzyła go smutnym, słodkim uśmiechem, który wyrażał wdzięczność za tę propozycję. Chociaż jej typ urody nie należał do klasycznych, była bezsprzecznie piękna. A włosy, u większości ludzi starannie przycięte i farbowane, u niej prezentowały się absolutnie niezwykle.

– To pewnie on, co jest pocieszające. Ale nie podoba mi się, że ktoś z bronią włóczy się tak blisko nas. I trudno mi z tym, że nie mam pojęcia, gdzie kończy się moja ziemia, a zaczynają tereny pana McCarthy'ego.

Dardżyling. Wyglądała na kobietę, która lubi herbatę z Dardżylingu. Asad wręczył jej kubek i przechylił głowę.

– Nie pomyślała pani, żeby poprosić notariusza o akt notarialny?

– A pokaże mi go?

– Wydaje mi się, że tak.

– Bardzo dziękuję. Zupełnie się nie znam na takich rzeczach. Nie miałam wcześniej zbyt dużego doświadczenia... z ziemią.

Siedzieli w życzliwej ciszy, popijając herbatę. Asad spoglądał na nią ukradkiem, rejestrując szczegóły, o które potem może zapytać Henry. Oryginalnie ubrana – we wsi preferowano stonowane brązy i zielenie. Jasne, smukłe dłonie. Bez problemu mógł je sobie wyobrazić na jakimś magicznym instrumencie. Długa płatanina ciemnoblonde włosów, raczej nieuczesanych i niedbale związanych z tyłu – przeciwieństwo gładkiego boba na głowie córki. Oczy, które uciekały na bok, miały opadające kąciki, co mogło zdradzać niedawny smutek.

– Nie tego się spodziewałam – stwierdziła.

– Nie?

– Chodzi o pański sklep. Jest wspaniały. Ma pan tu rzeczy, na które miałabym ochotę. Szynka parmeńska! I bataty... Myślałam, że w wiejskich sklepikach można kupić tylko jabłka i ser w plasterkach i że sprzedają w nich grube kobiety w średnim wieku. Nie wysocy... – Urwała zmieszana.

– Czarni faceci – dokończył za nią. – Pochodzę z Somalii.

– W jaki sposób wylądował pan tutaj? – Zarumieniła się, jakby świadoma, że jej pytanie może zostać uznane za natrętne. – Przepraszam. Mało miałam ostatnio okazji do rozmowy.

– Nie ma za co przepraszać. Przyjechałem tu w latach sześćdziesiątych. Poznałem Henry'ego, mojego partnera, i kiedy mogliśmy sobie na to pozwolić, postanowiliśmy uciec z miasta. Tutaj życie jest spokojniejsze... lepiej służy mojemu zdrowiu. Jestem astmatykiem – wyjaśnił.

– Z pewnością jest tu spokojnie.

– A jak pani sobie radzi, pani Delancey? W takim dużym domu?

Sięgnął pod ladę po pudełko z herbatnikami, otworzył je i poczęstował ją. Wzięła jedno ciastko.

– Proszę mi mówić Isabel. Oswajamy się. Powoli. Ciepła woda i ogrzewanie to luksus. Dużo trzeba tam jeszcze zrobić. Mamy niewielkie oszczędności, ale nie zdawałam sobie sprawy ze skali tego, na co się porywamy. Na co ja się porywam – poprawiła się. – Dom bardzo się zmienił od czasów, gdy go ostatni raz widziałam.

Chciał coś rzec, ostrzec ją, że jej obecność mogła zaniepokoić nie tylko zarządcę terenu, że nie tylko mężczyźni z bronią powinna się wystrzegać. Ale wydawała się tak bezbronna, że nie miał serca dokładać jej zmartwień. W końcu niczego nie wiedział z całą pewnością.

– Będzie tu pani zawsze mile widziana, pani Delancey... to znaczy Isabel – powiedział. – Kiedy tylko będziesz miała ochotę wpaść do naszego sklepu, z chęcią wypiję z tobą herbatę. Z tobą i twoją rodziną. Chcemy, żebyś czuła się u nas jak u siebie.

– Nie zauważyłaś.

Matt podniósł wzrok znad piwa i napotkał spojrzenie zielonych kocich oczu Teresy. Była tak blisko, że czuł jej perfumy mimo silnych zapachów jedzenia i piwa dominujących w pubie.

– Czego nie zauważyłem?

– Że coś zmieniłam w wyglądzie. – Odchyliła się, trzymając ręce na barze i wyciągając przed nim pomalowane paznokcie. Za jej plecami dwóch młodych mężczyzn w dresach krzyczało z podekscytowaniem przed automatem do gry.

– Zrobiłaś sobie paznokcie?

W jej oczach błysnęła wściekłość.

– Nie!

Miała na sobie ten stanik z fioletową koronką. Wystawał z jej głębokiego dekoltu przy

każdym ruchu.

– Próbuje jeszcze raz – poleciła.

Dokładnie otaksował ją wzrokiem, tak jak się spodziewała.

– Nie musisz sprawdzać aż tak uważnie – powiedziała, udając obrażoną.

– A co, jeśli tak mi się podoba? – wymruczał.

– Próbuje dalej – rzuciła z gniewem, ale wiedział, że wyprowadził ją z równowagi. Theresę zawsze łatwo było odczytać.

– Schudłaś.

– Lizus.

– Nowa szminka?

– Nie.

Przełknął piwo.

– No to nie wiem. Nie jestem dobry w takie gierki.

Ich oczy się spotkały. Na pewno nie jesteś? – mówiło jej spojrzenie, a on przypomniał sobie, jak w zeszłym tygodniu wiła się pod nim w swojej sypialni. Poczł napięcie w kroczu i zerknął na zegarek. Powiedział Laurze, że będzie w domu na siódmą trzydzieści.

– Cześć, Matt.

Odwrócił się i ujrzał Byrona, który wspinał się na krzesło barowe obok niego.

– Co tam u ciebie? Piwko, co nie? – Byron kiwnął głową, a Matt rzucił Theresie: – Jedna stella.

– Poddajesz się? – spytała nadąsana.

– Czy człowiek nie może się w spokoju napić piwa? – Matt odwrócił się do Byrona. – Okej. Poddaję się. Zapomniałem nawet, jakie było pytanie.

– Chodzi o fryzurę – wyjaśniła, podnosząc rękę znad nalewaka. – Zrobiłam sobie refleksy. Dwa kolory. Patrz. – Podała kufel i pochyliła głowę, rozpościerając przed nimi włosy.

– Super – westchnął Matt lekceważąco, a gdy odeszła, spojrział na Byrona i przewrócił oczami, jak gdyby obaj cierpieli na skutek niezrozumiałego zachowania kobiet. – Co słyszać?

Byron łyknął piwa.

– Nie jest źle. Spryskałem łąkę w dolinie. Nie byłem pewny jakości gleby, ale całkiem porządnie to wygląda. Może leżenie odłogiem przez cały ten czas dobrze jej zrobiło.

– Świetnie. Dla mnie to bez znaczenia, stary, ale Laura się ucieszy.

– W kotlinie między szlakiem konnym a zagajnikiem mieszkają jelenie. Dzisiaj widziałem samca, a wczoraj kilka łani. Na razie odstraszyłem je paroma strzałami, ale na pewno wrócą.

– Dobrze zrobiłeś. Inaczej wszystko popodgryzają. Miej na nie oko.

– Twoja nowa sąsiadka zbeształa mnie za straszenie zwierząt.

– No co ty, poważnie?

– Wręcz oskarżyła mnie, że do niej strzelam. – Byron najwyraźniej był zakłopotany. – Nie wiem, czy tego nie rozdmucha. Powiniennem być jej powiedzieć, że to tylko wiatrówka.

Matt ryknął śmiechem.

– Ech, te mieszcuchy! Chce ratować jelenki Bambi, co? Och, jakie to rozkoszne.

Theresa wróciła za bar.

– Następnym razem, gdy ją zobaczysz – ciągnął Matt – powiedz, że założymy dla niej rezerwat przyrody. Może tam zagonić wszystkie króliki i jelenie z okolicy. Możemy jej nawet dorzucić w pakiecie kilka ptaków, powiedzmy: wrony i szpaki, do wykarmienia. Niech się bawi w Królową Śnieżkę, proszę bardzo.

Byron uśmiechnął się niepewnie, jakby nie czuł się dobrze z szyderstwem.

– Wiesz co – dodał Matt – może pogadamy później o tym, żebyś dla mnie pracował w większym wymiarze godzin... Ziemia Pottiswortha w ciągu najbliższego roku będzie pewnie wymagała sporo roboty i przydałaby mi się dodatkowa para rąk do pracy. Jesteś dwa razy większy od mojego syna. Wprawdzie nie ma to wiele wspólnego z leśnictwem, ale co powiesz na taką propozycję?

Byron się zarumienił i Matt domyślił się, że facet niepokoił się brakiem pracy bardziej, niż to po sobie pokazywał. Ta obawa plus jego przeszłość mogły zadziałać na korzyść Matta – raczej byłyby nadzorca nie będzie się domagał dużej pensji. Pottisworth pewnie płacił mu marne grosze.

– Byłoby... świetnie – odpowiedział Byron.

Matt złowił spojrzenie Theresy i bezczelnie puścił do niej oko. Zadzwoń do Laury, że się spóźni. Szkoda by było zmarnować taki wieczór. W końcu był w doskonałym humorze.

– Jak pani widzi, trzeba je jeszcze trochę podrasować, ale tak naprawdę płaci pani za potencjał. Zainteresowanie tą okolicą, jak pani wie, ostatnio rośnie. – Nicholas Trent uśmiechnął się zachęcająco do stojącej obok niego młodej kobiety, która uważnie przyglądała się pęknięciu biegnącemu zygzakiem od ramy okiennej w górę. – To pewnie trzeba będzie zagipsować – powiedział, podążając za jej wzrokiem. – Możemy za to trochę upuścić. A dekorator z pewnością sobie z tym poradzi.

Zerknęła do ogłoszenia i wymruczała coś do swojego partnera. A potem spytała:

– Gdzie jest trzecia sypialnia? Pokazał nam pan tylko dwie.

– Oto trzecia sypialnia. – Nicholas otworzył drzwi i poszukał kontaktu.

– To jest sypialnia? – spytał mężczyzna z niedowierzaniem. – Przecież tu nie ma okien.

Na to Nicholas nie miał dobrej odpowiedzi. Dawniej takie pomieszczenie opisano by jako dużą garderobę.

– Jest bardzo mała – rzekła kobieta.

– Owszem, jej powierzchnia jest niewielka – przyznał. Odważnie oświetlone małe pomieszczenie nie mogło mieć więcej niż metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia. – Ale trzeba przyznać, pani Bloom, że rzadko się spotyka tego typu mieszkanie z trzecim pokojem. Większość ma tylko dwie sypialnie. Przypuszczam, że ci szczęśliwcy, którzy mają trzeci pokój, używają go jako gabinetu, gdzie brak naturalnego światła nie jest tak dużym problemem. To jak, przejdziemy teraz do kuchni?

Pokazanie reszty tego mieszkania, mimo jego niewielkich rozmiarów, zajęło mu dwadzieścia minut. I przez cały ten czas Nicholas Trent słyszał siebie zachwalającego jego ograniczone zalety, a jego wewnętrzny głos sprzeciwiał się wszystkiemu, co mówił. To odrażające miejsce, chciał im powiedzieć. Znajduje się tuż przy ruchliwej ulicy, nad linią metra, pod trasą samo-lotów, przy ulicy, na której obu końcach mieszczą się meliny ćpunów. Całkiem możliwe, że budynek osiada, w pokojach, w których nie ma tłoczonych tapet, ciągnie wilgoć od ziemi, i nie ma w nim nic oryginalnego. Mieszkanie jest brzydkie, fatalnie zaprojektowane, źle zaadaptowane i niewarte jednej trzeciej swojej ceny wywoławczej.

Ale i tak nie miałyby to sensu. Wiedział, że do końca dnia para złoży ofertę i że pewnie nie będzie ona na tyle niska, by uniemożliwić negocjacje. Tak to właśnie teraz wyglądało. Mieszkania, które jeszcze pięć lat temu poszłyby za grosze, były kupowane na pniu przez ludzi gotowych zaciągnąć kredyty przyprawiające go o zawrót głowy.

Nie pamiętacie ostatniego krachu? – chciał ich zapytać. Nie wiecie, do czego was doprowadzi zaciągnięcie kredytu na takie mieszkanie? Nie widzicie, że zrujnuje wam to życie?

– Dużo osób ma pan jeszcze do oprowadzenia? – zapytał go mężczyzna.

– Dwie dziś po południu – odparł bez zastanowienia. To była standardowa odpowiedź.

– Odezwiemy się do pana. – Tamten wyciągnął do niego rękę.

Nicholas uścisnął ją z wdzięcznością. Niewielu ludzi podawało teraz dłoń, zwłaszcza agentom nieruchomości.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Jeśli to mieszkanie się sprzeda, na pewno znajdziemy panu coś lepszego.

Mężczyzna mu nie dowierzał. Na chwilę zmarszczył brwi, próbując rozgryźć, czy to tylko taka gadka marketingowa, czy jest w tym drugie dno. To właśnie robi z człowiekiem branża nieruchomości, pomyślał ze smutkiem Nicholas. Zmienia nas wszystkich w podejrzliwych głupców.

– To znaczy... wszystko zależy od państwa, rzecz jasna.

– Odezwiemy się do pana – powtórzył tamten.

Nicholas przytrzymał im otwarte drzwi od mieszkania i patrzył, jak odchodzą ze spuszczoneymi głowami, wyobrażając sobie swoje życie w tym miejscu.

– Twoja żona dzwoniła – powiedziała Charlotte z ustami pełnymi czegoś, co chyba było muesli. – Przepraszam, była żona – poprawiła się beztrząsco, rzucając w niego karteczką. – Nie lubię tego mówić. To jakoś smutno brzmi.

To rzeczywiście brzmiało smutno. Nie było to słowo, o którym człowiek sądzi, że kiedykolwiek może go dotyczyć. Były mąż. Taki, któremu się nie udało. Przegrana istota ludzka. Nicholas wziął kartkę i wepchnął ją do kieszeni spodni.

W biurze panował gwar. Derek, kierownik filii, pochylony nad biurkiem, rozmawiał przez telefon z jedną ręką wyciągniętą do góry. Paul, inny agent, zapisywał nowe instrukcje na tablicy wyników. Kobieta w średnim wieku rozmawiała z agentem do spraw wynajmu, od czasu do czasu siąkając w chusteczkę. Szklane drzwi zamknęły się za nim, wyciszając hałas z ulicy.

– A, i dzwonił Mike jakiś tam, by cię zaprosić na kolację. Mówił, że znacie się z dawnych czasów. Wspomniałam mu o twojej żonie, bo nie miał o niczym pojęcia, i powiedział, że bardzo mu przykro.

Nicholas usiadł za biurkiem. „Zadzwoń do pani Barr. Nie jest zadowolona z nowej ekspertyzy” – mówiła karteczka samo-przylepna.

– Mike jakiś tam.

– Powiedział, że mieszka w Norfolk. Ładnie tam.

– Gdzie dokładnie w Norfolk?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że wszędzie.

„Nabywcy wycofali się z Drew House przy podpisywaniu kontraktu. Zadzwoń pilnie do pana Hennessy’ego”.

Zamknął oczy.

„Kevin Tyrrell z Arbour Row 46 chce przełożyć oglądanie mieszkania, żeby mu nie przerywano meczu”.

Nicholas będzie musiał zadzwonić do wszystkich czterech potencjalnych kupców, których miał umówionych na ten wieczór. Wszyscy będą wkurzeni. Ale przecież nie można zakłócać Kevinowi oglądania rozgrywki piłki nożnej, prawda?

– Powiedział, że był na twoim weselu. Zabrzmiało bardzo stylowo, Nick. Nigdy nie mówiłeś, że miałeś wesele w Doddington Manor.

– Nicholas – poprawił ją. – Mam na imię Nicholas.

– Nicholas. Nie wiedziałam, że rodzina twojej żony jest taka bogata. To znaczy rodzina byłej żony. Potrafisz nieźle zaskakiwać. Niedługo się pewnie dowiemy, że mieszkasz przy Eaton Square.

Jej trajkotanie przerwał telefon.

Eaton Square. Kiedyś, na początku lat osiemdziesiątych, rozważał kupienie tam mieszkania. Jeszcze przed ostatnim boomem na rynku nieruchomości, kiedy w Londynie było mnóstwo obdrapanych miejsc, zniszczonych przez dziesięciolecia wynajmu. Miejsc idealnie nadających się do modernizacji, dzięki którym mógłby zbudować imperium. Ze wszystkich mieszkań, które oglądał pod kątem inwestycji, zapamiętał je dlatego, że miało własną salę balową. Apartament przy Eaton Square z własną salą balową. Ale zrezygnował z niego, sądząc, że zyski będą za małe.

Wciąż wspominał domy, których nie kupił, niepewne zyski, na które się nie odważył.

Westchnął. Pora zadzwonić do pani Barr. Jest nieźle wkurzona.

– Nick.

Derek pochylał się nad jego biurkiem, więc odłożył słuchawkę. Ten człowiek nie miał wycucia przestrzeni osobistej. Nachylił się nad nim tak bardzo, że można było nie tylko wyczuć, co ostatnio jadł, ale i jakiego proszku do prania używał. Nicholas przybrał minę jednocześnie zaskoczoną i pokorną.

– Tak?

– Dzwonili z centrali. Nie osiągamy założonych celów. Zarobiliśmy z prowizji o dwieście osiemdziesiąt tysięcy mniej niż filia przy Palmers Green.

– To niedobrze.

Nicholas odczekał chwilę.

– Musimy się poprawić. Nawet filia z Tottenham East nas dogania.

– Z całym szacunkiem, Derek, sfinalizowałem sprzedaż czterech mieszkań w tym tygodniu. – Nicholas starał się zachować spokój. – Moim zdaniem to całkiem nieźle jak na czyje-kolwiek standardy.

– Nawet ślepy i głuchy kaleka sprzedałby je przy obecnej sytuacji na rynku. Najlepsze kąski uciekają nam sprzed nosa, Nick. Powinniśmy lepiej docierać do klientów, sprzedawać lepsze mieszkania, zwiększać marże. I w ogóle bardziej się starać. Miałeś nam tutaj pokazać, na co cię stać. To kiedy wreszcie zaczniesz?

– Derek, wiesz równie dobrze jak ja, że ponad czterdzieści procent mieszkań w tej okolicy to dawne lokale komunalne. Nie dostaje się za nie dobrych cen ani marż.

– Więc komu przypada pozostałe sześćdziesiąt procent? Agencji Jacksonów. Tredwell Morrison. HomeSearch. Właśnie im. Powinniśmy przejmować ich udziały w rynku, Nick, zagarniać te nieruchomości dla siebie. Chcę widzieć tabliczki z napisem „Harrington Estates” w całym mieście.

Derek zaplótł ręce za kark, odsłaniając dwie wilgotne plamy pod pachami, i zaczął w takiej pozie przechadzać się po biurze. Wygląda jak wojowniczy pawian, pomyślał Nicholas. A potem szef odwrócił się i oparł dłonie na jego biurku.

– Jakie spotkania masz umówione na to popołudnie?

Nicholas otworzył swój kalendarz.

– Mam do załatwienia kilka telefonów, ale wizyta przy Arbour Row została przełożona.

– Tak, Charlotte mi mówiła. Wiesz co, Nick? Powinieneś wyjść na miasto i załatwić nam jakieś oferty.

– Nie rozumiem.

Derek sięgnął za jego plecy i wziął do ręki stos błyszczących kartek.

– Poroznosisz dziś po południu ulotki. Po lepszych ulicach. Laurel Avenue, Arnold Road i w pobliżu szkoły. Wydrukowałem je dziś rano. Zobaczmy, czy uda nam się przyciągnąć dzięki temu nowych klientów. – I rzucił je Nicholasowi na biurko.

Kątem oka Nicholas ujrzał, jak Paul, rozmawiając przez telefon, uśmiecha się złośliwie.

– Mam pychać ludziom ulotki pod drzwi?

– Paul i Gary mają kalendarz wypełniony po brzegi. A sam powiedziałeś, że jesteś dziś wolny. Nie ma sensu, żebyśmy płacili za to jakimś stażystą, skoro pewnie wyrzuci połowę ulotek do kosza i pójdzie na bilard. Nie, Nick. – Poklepał starszego kolegę po plecach. – Ty jesteś porządny. Wiem, że zrobisz to jak trzeba. – Wrócił do swojego biurka i znowu zaplótł ręce za kark, jak gdyby w geście zwycięstwa. – Poza tym nie zaszkodzi ci, jak trochę pochodzisz i zrzucisz parę kilogramów. Kto wie, może mi jeszcze podziękujesz.

Gdyby nie kazano mu roznosić ulotek, myślał potem Nicholas, pewnie nie przyjąłby zaproszenia Mike'a Todda na sobotnią kolację. Jego życie towarzyskie po odejściu Diany



zredukowało się niemal do zera, częściowo dlatego, że otrzymywał mniej zaproszeń – to ona była tą bardziej towarzyską – ale przede wszystkim dlatego, że nie chciał objaśniać swojej nowej sytuacji życiowej ludziom, których znał wcześniej. Widział na ich twarzach przerażenie pomieszane z litością, kiedy docierało do nich, jak nisko upadł. W oczach kobiet malowało się współczucie, gdy patrzyły na jego rzednące włosy; w oczach mężczyzn – skrępowanie, ledwo skrywane zniecierpliwienie i chęć, by jak najszybciej pójść w swoją stronę, jakby to, co go spotkało, mogło być zaraźliwe.

Od katastrofy minęły cztery lata i wiedział, że zmienił się fizycznie. Tamci pamiętali szyte na miarę garnitury, audi najwyższej klasy, luz i wdzięk. Człowieka sukcesu. Teraz widzieli faceta w średnim wieku, posiwiąłego od zmartwień, z bladą cerą, której nie dodawały już blasku wycieczki do Genewy i na Malediwy, pracującego w podrzędnej agencji nieruchomości w jednej z gorszych dzielnic Londynu.

– To jak, idzie pan na tę kolację? – spytała Charlotte, gdy odłożył słuchawkę. – Dobrze panu zrobi takie wyjście. – Ubrudziła się czekoladą na brodzie. Postanowił jej o tym nie mówić.

Tak więc znowu się w to wpakował. Podczas kolacji nie było szansy na uniknięcie pytań o jego życie, nie było rozpraszającej muzyki ani ekranu, przed którym mógłby siedzieć i udawać, że jest nim pochłonięty. W połowie drogi autostradą zastanawiał się, co mu strzeliło do głowy, że zgodził się przyjechać.

Wtedy przypomniał sobie czwartkowe popołudnie spędzone na włóczędce po zaśmieconych ulicach, gdy roznosił ulotki: posępny stukot skrzynek na listy, podejrzliwe szuranie poszarzałych firanek, odległe szczekanie wściekłych psów. Deszcz, który wsiąkał w jego niegdyś piękny wełniany garnitur. Ponurą świadomość, że w wieku czterdziestu dziewięciu lat tym właśnie było jego życie. Ciągłem rozczarowań i upokorzeń.

Mike całkiem dobrze się nadawał na towarzystwo dla niego. Nigdy nie odniósł spektakularnego sukcesu, więc raczej nie będzie boleśnie przypominał Nicholasowi o tym, co ten utracił. I widział się z Dianą tylko raz. To zawsze lepiej wróżyło. Nicholas z chrzęstem zmienił bieg w starym volks-wagenie, starając się nie myśleć o tym, jak płynnie jeździło się jego dawnym samochodem z automatyczną skrzynią, i zajął z powrotem środkowy pas.

Jego księgowy powiedział potem, że trzeba było mieć niezłego pecha, żeby pójść z torbami, kiedy rynek tak prosperował. Jego kompleksowe imperium zbudowane na kredytach hipotecznych, inwestycjach i wynajmie nieruchomości runęło jak domek z kart. Zaczęło się od kupna wolnostojącego domu z ośmioma sypialniami w Highgate, na który wpłacił bezzwrotną zaliczkę, aby ubiec innych mających na niego chrapkę inwestorów. Potem nie doszła do skutku sprzedaż domu w Chelsea, który wyremontował, więc był zmuszony pożyczyć resztę pieniędzy na zaliczkę. Nie wypaliły też dwie inne transakcje, gdy miał sfinalizować tamtą, więc musiał zaciągnąć pożyczkę pod zastaw dwóch swoich nieruchomości. Wciąż miał w pamięci noce spędzone w biurze, obliczanie i przeliczanie, zonglowanie kredytami bankowymi. Wszystko zaczęło się sypać, tracił kapitał własny na rzecz rosnących odsetek. I tak niemal w mgnieniu oka to, co wydawało się niezniszczalną fortecą zbudowaną na rentierstwie, legło w gruzach.

Kosztowało ich to własny dom. Diana właśnie skończyła dekorowanie pokoju dla dzieci, których jeszcze nie mieli. Przypomniał sobie, jak podniosła jasną głowę, gdy wyjaśniał, jak duże ma problemy, i co powiedziała z pięknym arystokratycznym akcentem: „Nie pisałam się na to, Nicholas. Nie pisałam się na bankructwo”. Gdyby słuchał wystarczająco uważnie, już wtedy usłyszałby w jej głosie pożegnanie.

W sumie i tak nie skończyło się najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności. O włos uniknął bankructwa, a po czterech latach wreszcie spłacił ostatni z większych długów. Bywały dni, kiedy wmawiał sobie, że znów jest na dobrej drodze. Miłą niespodzianką było otrzymanie

wyciągu bankowego z dodatnim saldem. Jednak stracił właściwie wszystko: domy, samochody, styl życia. Szacunek. Utracił Dianę. Ale ludzie podnosili się po większych ciosach. Powtarzał to sobie przez cały czas.

Ruch na drodze się zmniejszył, co świadczyło o tym, że Nicholas dotarł do prawdziwej prowincji. Pogłośnił radio, nie zważając na zakłócenia pochodzące z zepsutej anteny.

Był już na tyle blisko, że nazwa wsi pojawiała się na znakach drogowych. Nie odwiedzał Mike'a Todda od lat. Przypomnił sobie weekend spędzony w dużym starym domu z widocznymi krokwiemi: Mike chwalił się, że budynek postawiono dla właściciela ziemskiego, stąd wyższe sufity. A mimo to Nicholas kilka razy uderzył się w czoło.

Właśnie minął pierwszy znak wskazujący na Little Barton, kiedy lekki nacisk na pęcherz przeszedł w pilną potrzebę fizjologiczną. Nicholas marzył o stacji benzynowej, ale okolica wyglądała na odludną i nie był pewien, czy znajdzie tu choćby pub. Przejechał jeszcze trzy kilometry, ale stwierdził, że dłużej nie wytrzyma, i skręcił w lewo w jednopasmową drogę. Jeśli nie mógł skorzystać z toalety, to przynajmniej chciał załatwić potrzebę na osobności.

Pożałował tej decyzji niemal od razu. Nie mógł się zatrzymać, ponieważ wtedy nikt inny nie mógłby tędy przejechać. Musiał sunąć dalej, podskakując na wybojach, aż wreszcie znalazł miejsce, gdzie dało się przystanąć, gdzieś głęboko w lesie. Wskoczył z samochodu, zostawiając włączony silnik.

Gdy wreszcie nie musiał się powstrzymywać, ulga była ogromna. Odsunął się od drzewa i sprawdził, czy nie opryskał sobie butów, a potem wrócił do auta. Musiał ruszyć przed siebie, ponieważ w zasięgu wzroku nie było żadnego miejsca, gdzie dałoby się zawrócić. Klął, jechał dalej, starając się chronić zawieszenie samochodu przed najgorszymi wybojami, i przekonywał samego siebie, że to się musi wkrótce skończyć. Wszystkie drogi gdzieś się kończą.

Samochód zgrzytnął złowieszczo, gdy podwozie zahaczyło o wybrzuszenie. Następnym razem, stwierdził, nie będę się przejmował manierami i tak jak nieokrzesani kierowcy dostawczaków załatwię się przy drodze. Powiedział na głos: „Będę sikał na poboczu”, po czym zaczął się zastanawiać, czy to oznaka wyzwolenia, czy po prostu mu odbiło i mówi do siebie.

Ścieżka się rozwidlała, po lewej było widać zarys wozowni z białą elewacją frontową. Po prawej Nicholas dostrzegł między drzewami dwa różniące się stylem rzędy blanków i niezwykle majestatyczną fasadę z czerwonej cegły i kamiennej mozaiki. Wcisnął hamulec, silnik wrzucił na luz i przez chwilę wpatrywał się w tamtą stronę. Patrzył nie tylko na budynek, który – jak od razu zauważył – miał spore wady konstrukcyjne. Wyglądało to na przykład ekscentrycznej architektury z końca dziewiętnastego wieku, nieprzemysłowy projekt, który w zamierzeniu miał wzbudzać podziw, ale szybko okazał się niewypałem. Ale ten widok! Otoczony lasem dom sąsiedował z jeziorem. Zarośnięte trawniki i żywopłot nie były w stanie przyćmić piękna krajobrazu, wspaniałości tej klasycznej scenerii.

Jeziro było niesamowicie spokojne, odbijało się w nim szare niebo, a wąska zielona linia brzegowa sąsiedowała z pięknym starym lasem dębowo-sosnowym, którego wierzchołki stykały się z horyzontem odległej doliny, a kolory blakły w impresjonistycznej mgle. Zdawał się on jednocześnie ogromny i kameralny, dziki, ale z nutą konwencji, na tyle oddalony od drogi, by zapewnić mieszkańcom całkowite odosobnienie, ale z przyzwoitym dojazdem...

Nicholas wyłączył silnik i wysiadł, wsłuchując się w odległy trzepot skrzydeł dzikich gęsi i cichy szmer wiatru wśród drzew. Od lat nie widział tak niezwykłej scenerii. A domu nikt nie remontował od dziesięcioleci. Pomyślał, że jest mało prawdopodobne, by figurował w rejestrze zabytków. Nie było w nim widać symetrii ani powiązań z żadnym okresem historycznym. Była to mieszanka stylów, neomauretański potworek, którego wiek zdradzało jedynie widoczne zaniedbanie. Rzadko już spotykało się takie budynki, był mocno zaniedbany, a jednak miał

w sobie ogromny potencjał.

Nicholas zostawił samochód i podszedł bliżej, spodziewając się wściekłego szczekania psa lub krzyku oburzonego właściciela. Ale dom wydawał się pusty, a obecność intruza nie zwróciła niczyjej uwagi, nie licząc wróbli i wron. Brak samochodu na podjeździe sugerował, że nikogo tu teraz nie ma, więc Nicholas zajrzał przez okno do jednego z pokoi: w środku nie było mebli. Tylko na polach dało się zauważyć ślady ludzkiej aktywności – były czymś obsadzone, a żywopłoty starannie przycięte.

Gdy się później nad tym zastanawiał, nie potrafił stwierdzić, co go do tego skłoniło. Przez ostatnich kilka lat był ostrożny, nie przejawiał żadnej skłonności do ryzyka. Nacisnął jednak na klamkę, a gdy drzwi otworzyły się bez problemu, Nicholas Trent nie posłuchał zdrowego rozsądku. Nawet nie zawołał, by sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Po prostu wszedł do hallu. Oprawy oświetleniowe wyglądały jak pochodzące z lat trzydziestych dwudziestego wieku, a biurko widoczne przez drzwi – z kolejnej dekady. Wszedł do salonu, z którego najwyraźniej korzystano – stał tam fotel z Ikei – ale ogólnie pomieszczenie sprawiało wrażenie zaniedbanego. Przyjemne elementy architektury pokoi traciły znaczenie przez dziury w tynku, brakujące listwy przypodłogowe i wszechobecny zapach wilgoci. Na wysokich, niegdyś białych sufitach pojawiły się plamy w kolorze sepii. W oknach brakowało szyb, a ramy były przegniłe. Od czego byś zaczął? – zastanowił się Nicholas i niemal się roześmiał, tak absurdalne było to pytanie. Ponieważ takich domów już się nie spotykało. Zostały zburzone lub przebudowane lata temu na skutek działań spekulantów takich jak on. Po cichu wszedł po schodach i skierował się do otwartych drzwi. Prowadziły one do głównej sypialni, obszernego pokoju z widokiem na jezioro, z ogromnym wykuszem, z którego roztaczał się widok na całą okolicę. Zbliżył się do niego i wzięł głęboki oddech: długi, powolny i pełen satysfakcji. Próbował nie zwracać uwagi na słabą woń dymu papierosowego.

Nicholas Trent nie był marzycielem. Cała skłonność do fantazji opuściła go wraz z żoną. Ale kiedy tak stał, wpatrując się w jezioro i las oraz wsłuchując w zaskakującą ciszę panującą w domu, nie mógł się pozbyć myśli, że być może trafił tu z jakiegoś powodu.

Wtedy właśnie zobaczył walizkę, z której chaotycznie wysypywały się ubrania, książka i szczotka do włosów. Ktoś tu mieszkał. Te osobiste rzeczy sprawiły, że czar prysł. Jestem w czyjejs sypialni, pomyślał. Nagle poczuł się jak intruz, odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju, zbiegł po schodach i w mgnieniu oka znalazł się na zewnątrz. Nie odwrócił się, dopóki nie dotarł do swojego samochodu, a wtedy zatrzymał się i stał tak przez chwilę, spoglądając z oddali na dom i starając się wyrzeć ten widok w pamięci.

Ponieważ Nicholas Trent nie zobaczył tam na wpół zrujnowanej posesji. Zobaczył dwanaście pięciopokojowych domów o wysokim standardzie stojących nad brzegiem jeziora i dyskretnie wkomponowanych w krajobraz. Zobaczył apartamentowiec o nagrażanym modernistycznym designie, azyl na łonie natury dla klasy średniej, reklamowany w magazynie „Country Life”. Po raz pierwszy od pięciu lat Nicholas Trent zobaczył dla siebie przyszłość.

– Opowiedz mi coś o tej mauretańskiej posiadłości. – Silił się na swobodny ton, co nie przychodziło mu z łatwością, ale nie miał wyjścia. Raczej nikt nie wiedział o stanie tej nieruchomości więcej niż Mike Todd, który sprzedawał domy w tej okolicy od prawie trzydziestu lat.

Gospodarz wręczył mu szklankę brandy. Siedzieli przed kominkiem z wyciągniętymi nogami. Żona Mike’a, niezwyk-le zadowolona z życia kobieta, nalegała, aby sobie odpoczęli, a ona zajmie się kuchnią, po czym zostawiła ich samych. Nicholas nie był już w stanie dłużej się powstrzymać.

Mike rzucił mu pytające spojrzenie.

– Mówisz o domu hiszpańskim, tak? A o co chodzi?

– Jadąc do ciebie, skręciłem w złą stronę i wylądowałem w lesie. Zastanawiałem się, kto jest jego właścicielem. Dziwne miejsce.

– Szkaradne, chcesz powiedzieć. To ruina. – Mike pociągnął głęboki łyk brandy, a potem zamieszał ją w szklance. Okazało się, że jest znawcą alkoholu i przez większość posiłku rozplątywał się w zachwycie nad winami, z których żadne nie zrobiło wrażenia na Nicholasie. Teraz gość martwił się, że czeka go wykład o koniaku. Zapomniał, że Mike potrafi przynudzać.

– Jest w rejestrze zabytków?

– Ta rudera? Nie. Pominięto ją, gdy wpisywano na listę wszystkie stare domy w okolicy, bo jest tak głęboko w lesie. Ale przez lata niewiele wokół niej robiono. – Pociągnął nosem, delektując się aromatem brandy. – W sumie z tym miejscem związana jest ciekawa historia. Od wielu lat należało do Pottisworthów. Byli bardzo ważną rodziną w okolicy, ale bardziej interesowali się naturą niż architekturą, wiesz, ten typ, co to poluje i łowi ryby. A Samuel Pottisworth nie zrobił w tym domu nic przez pięćdziesiąt lat. Obiecał go Mattowi McCarthy'emu, mojemu kumplowi. On i jego żona całymi latami zajmowali się starym. Ale ostatecznie posiadłość przypadła jego jedynej żyjącej krewnej. Podobno wdowie.

– Emerytce? – Jeśli była starsza, pomyślał Nicholas z nadzieją, może nie chce sobie zawracać głowy takim domem.

– Nie, nie. Jest jakoś po trzydziestce, tak mi się wydaje. Ma dwoje dzieci. Wprowadzili się całkiem niedawno.

– Ktoś tam mieszka?

Mike zachichotał.

– Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem: to miejsce się rozpada. Ale Matt się wkurzył. Z tego, co wiem, sam chciał odnowić ten dom. Jego ojciec pracował tam przez wiele lat. Między jego rodziną a Pottisworthami było wiele animozji. Wydaje mi się, że chciał w ten sposób wyrównać rachunki. Waśnie między służbą a państwem, rozumiesz.

– Więc... co ona zamierza z tym zrobić?

– Kto to wie? Raczej nie nadaje się na wieś. Słyszałem, że jest nieco... – tu ściszył głos, jakby ktoś mógł go podsłuchać – ekscentryczna. Muzykalna. Znasz ten typ.

Nicholas pokiwał głową, chociaż nie miał pojęcia, o czym Mike mówi.

– Jeśli przyjechała z Londynu, to musi być dla niej prawdziwy chrzest bojowy.

Mike podniósł pękata szklankę do światła. Widok najwyraźniej go usatysfakcjonował.

– Ten dom to skarbonka bez dna – kontynuował. – Możesz w niego wpakować setki tysięcy funtów, a to będzie dopiero początek. Mimo to biedny Matt był mocno rozczarowany, gdy posiadłość trafiła w inne ręce. Niestety, zbyt mocno związał się z nią emocjonalnie. Popęłnił błąd, traktując tę sprawę osobiście. Jako agent nieruchomości dałem mu radę: „Zawsze znajdzie się jakiś inny dom”. Nikt nie wie o tym lepiej niż ty, prawda? A jak tam rynek w Londynie?

– Masz świętą rację. Zawsze znajdzie się jakiś inny dom – powtórzył Nicholas, zaciskając eleganckie dłonie na szklance. Ale on miał w głowie ten jeden: dom hiszpański.

Mieszanka ośmiu różnych perfum w jej centralnie ogrzewanym salonie wywoływała u niej mdłości. Laura lekko uchyliła okno, chociaż temperatura na zewnątrz wciąż była daleka od wiosennej. Obok niej na krzesłach ustawionych w okrąg siedziało siedem kobiet; niektóre z nich podwinęły nogi pod siebie, inne trzymały filiżanki z kawą na kolanach.

– Nie mogę uwierzyć, że ona jedna nie wiedziała. W przedszkolu wiedzieli o tym wszyscy.

– Raczej się z tym nie krył, co nie? Geraldine widziała, jak się całowali na parkingu dla nauczycieli. Na dodatek to szkoła pod patronatem kościoła, a to trochę kiepska reklama dla szóstego przykazania. – Annette Timothy podnosiła głos, wydłużając przy tym kościstą szyję.

– Chyba mówisz o siódmym. – Michelle Jones zawsze lubiła wtrącić swoje trzy grosze. – Szóste dotyczy zabójstwa.

– Jeśli dyrektorka szkoły wyznaniowej nie potrafi dać przykładu, to nie wiem, kto potrafi – ciągnęła Annette. – W każdym razie Bóg jeden raczy wiedzieć, co się stanie z biedną Bri-dget. Jest w opłakanym stanie. Chociaż jeśli mam być szczerą, myślę, że gdyby od czasu do czasu pomalowała usta, jej mąż może nie szukałby atrakcji gdzie indziej...

– I strasznie przybrała na wadze po ostatniej ciąży.

Laura się wyłączyła. Wyostrzony zmysł moralny – a po trochu dbałość o własny interes – sprawiały, że rzadko brała udział w takich dyskusjach, czy raczej podsumowaniu miejscowych skandali, które w Little i Long Barton uchodziły za rozmowę. Wprawnym okiem oceniła nieskazitelnie czys-ty salon, jak zwykle czerpiąc milczącą satysfakcję z widoku idealnie zaaranżowanego pokoju. Piwonie wyglądały przepięknie w porcelanowym wazonie. Pochodził on z biblioteki rodziców – Laura oczami wyobraźni wciąż widziała go u nich na kominku. Piwonie wygrały z liliami: ich zapach mógł być zbyt ciężki.

Matt nigdy nie zauważał takich rzeczy, chyba że coś nie grało – w chwilach jej buntu, jak je w duchu nazywała. Kiedy przyszedł do domu zbyt późno trzy razy z rzędu, postarała się, by nie mógł znaleźć czystych skarpetek. Albo nie nagrywała jego ulubionego programu telewizyjnego. To wystarczyło, by następnego ranka, wychodząc z domu, kręcił głową i mruczał pod nosem, że nie ma pojęcia, dokąd ten świat zmierza. Tak by było, gdybyś żył beze mnie, przekazywała mu bez słów. Świat, jaki znasz i lubisz, by się zawałił.

– Na którą godzinę kazałaś jej przyjść, Lauro?

Laura wróciła myślami do pokoju. Zobaczyła, że Hazel niemal skończyła kawę, więc wstała, by jej dorobić.

– Między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści.

– Jest już prawie jedenasta – westchnęła zbulwersowana Annette.

– Może się zgubiła. – Michelle uśmiechnęła się szeroko.

– Przechodząc na drugą stronę polnej drogi? Nie wydaje mi się. – Ton Annette wyrażał oburzenie. – Niezbyt to uprzejme z jej strony, prawda?

Laura i tak nie była pewna, czy tamta w ogóle się pojawi.

\*

– Poranne spotkanie przy kawie? – powtórzyła Isabel Delancey dwa dni wcześniej, kiedy Laura stanęła w jej progu.

– Będzie tylko kilka sąsiadek. Większość z nich ma dzieci. W ten sposób chciałyśmy cię przywitać.

Dziwnie było zobaczyć kogoś innego w domu Pottiswortha, w ich domu, ale tym, co najbardziej przykuło uwagę Laury, był wygląd tej kobiety. Był poranek w środku tygodnia, niemal wpół do dziesiątej, a pani Delancey miała na sobie żółty jed-wabny męski szlafrok, a do tego włosy w nieładzie, jak gdyby od kilku tygodni nie widziały szczotki. Możliwe, że niedawno płakała, albo miała oczy zapuchnięte od snu.

– Dziękuję – powiedziała po chwili. – To... to bardzo miło z pani strony. Co mam przygotować?

Za jej plecami Laura widziała suszarkę do bielizny z wilgotnymi, zmiętymi ubraniami. Wszystkie były różowawe, jak gdyby wyprały się z zabłąkaną czerwoną skarpetką.

– To znaczy?

– Na spotkanie przy kawie. Mam może coś zagrać?

Laura zamruwała.

– Zagrać? Nie, proszę po prostu przyjść. To bardzo luźne spotkanie, zupełnie nieformalne. Chcemy się w ten sposób zaznajomić. To w końcu mała i odludna wieś.

Kobieta spojrzała na opuszczone budynki gospodarcze przy domu i na jezioro, a Laura nagle nabrała podejrzania, że ta samotność jej odpowiada.

– Dziękuję – rzekła w końcu. – To miło, że pani o mnie pomyślała.

Laura nie chciała jej zapraszać. Chociaż ukrywała to przed Mattem – uważała, że bez sensu jest narzekać na rzeczy, na które nie mamy wpływu – nienawidziła nowej właścicielki niemal tak samo jak on. Fakt, że kobieta przyjechała z Londynu i że najwyraźniej niespecjalnie interesowała się tą ziemią, jeszcze wszystko pogarszał. Ale Matt uznał nagle, że powinny się zaprzyjaźnić.

– Wyciągnij ją z domu. Zbliź się do niej – nalegał.

– Ale możliwe, że nawet się nie polubimy. Kuzyni mówili, że ona jest nieco... inna.

– Wydaje się w porządku. Ma dzieci. To was łączy. Gdzie twoja gościnność?

– Nie rozumiem, Matt – zaprotestowała. – Jeszcze w zeszłym tygodniu jej nie znosiłeś, a teraz chcesz z nas zrobić najlepsze przyjaciółki.

– Zaufaj mi, Lauro – powiedział wtedy.

Kiedy się do niej uśmiechnął, zobaczyła w jego oczach wesołość.

– Wszystko się ułoży – zapewnił.

Zaufaj mi, pomyślała, napelniając ekspres do kawy. Ile razy to od niego słyszała?

– Myślicie, że ma pojęcie, na co się porywa? Michelle, podaj mi, proszę, to pyszne ciasteczko. Nie, to czekoladowe. Dziękuję.

– Dom jest w opłakanym stanie. Laura wie o tym najlepiej. Lauro, mówiłaś, że jest w opłakanym stanie, prawda?

– Tak – potwierdziła Laura, kładąc tacę na stolik i zabierając pustą filiżankę.

– Nawet nie mam pojęcia, co byś z nim zrobiła. To takie dziwne miejsce. Odizolowane i głęboko w lesie. Z twojego przynajmniej prawie można zobaczyć drogę.

– Założę się, że ta kobieta ma kupę kasy. Plusem takiego domu jest pewnie to, że nie ma tam już czego ratować i można po prostu zaszaleć. Zrobić szklaną dobudówkę czy coś w tym stylu.

– Ja bym zaczęła od zburzenia tych wszystkich budynków gospodarczych. I tak się zaraz rozpadną. To niebezpieczne, gdy po podwórku kręcą się dzieci.

Laura wiedziała, na jakie tory zejdzie rozmowa, jeszcze nim Polly Keyes się odezwała.

– Nie boli cię to, Lauro? Tyle się nachodziłaś wokół tego starego, a potem dom i tak przepadł komuś innemu. To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, że ją tu zaprosiłaś.

Była na to przygotowana.

– Ależ skąd – skłamała. – Nigdy za nim nie przepadałam. To Matt miał mnóstwo planów. Znać jego pomysły. Miałby tam pole do popisu. Komuś cukru?

Annette odłożyła filiżankę na spodek.

– Masz dobre serce. Kiedy budynek po plebanii przeszedł mi koło nosa, wyłam przez tydzień. Znałam każdy zakamarek tego domu. Czekałam na niego latami. Trafił na licytację, ale w agencji nieruchomości powiedzieli nam, że poprzedni właściciele wybrali Durfordów, mimo że oferowaliśmy więcej. Co mogliśmy zrobić? Oczywiście teraz jesteśmy bardzo zadowoleni z naszego domu. Zwłaszcza po rozbudowie.

Polly prychnęła.

– Moim zdaniem to było podłe ze strony Pottiswortha, żeby nic ci nie zostawić. Byłaś dla niego taka dobra.

Laura pragnęła zmienić temat.

– Zostawił nam parę drobiazgów, kilka mebli. Powiedział nam wiele lat temu, że będą nasze. Wciąż stoją w garażu. Matt chyba chce najpierw pozbyć się korników, zanim cokolwiek z nimi zrobimy. – Pomyślała o starym tandetnym biurku, teraz dyplomatycznie przykrytym narzutą. Uważała, że jest brzydkie, Matt również go nie chciał, ale powiedział, że pręcej padnie trupem, niż pozwoli, by ta kobieta dostała choć jedną rzecz, która jej się nie należy.

– Matt wybiera się tam, by pomóc jej ocenić, jakie prace są w domu niezbędne. W końcu zna go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Jak dla mnie oboje jesteście wspaniałomyślni, że zaprzyjaźniacie się z nią w tych okolicznościach. Och... och, ciii! Czy to dzwonek do drzwi? – pisnęła Polly z ekscytacją.

– Starajcie się nie wspominać przy niej zbyt często o waszych mężach, dziewczyny. Kuzyni mówili, że ostatnio owdowiała... – rzekła Annette, a po chwili dodała: – Nancy, ty możesz mówić o swoim. Nigdy nie masz o nim nic dobrego do powiedzenia.

Isabel Delancey weszła do przegrzanego pokoju i poczuła, jak osiem par oczu przewierca ją na wskroś. Zobaczyła w tych spojrzaniach, że wiedzą o jej wdowieństwie, że uważają jej ubranie za ekscentryczne i że potępiają jej spóźnienie. Była zdumiona, jak w ciągu ułamka sekundy człowiek może się poczuć osądzony. A potem te wszystkie oczy spoczęły na jej nogach. Jej ciemnoczerwone zamszowe botki pokryte były grubą warstwą błota.

– Och! – wykrzyknęła, zauważając ślady, które zostawiła. – Bardzo przepraszam. – Schyliła się, by ściągnąć buty, ale przeszkodził jej chór głosów.

– Ależ nie przejmuj się!

– Od czego są odkurzacze!

– Gdybyś tylko widziała, ile nanoszą moje dzieci!

Isabel została więc w butach, mimo że większość kobiet była bez nich, po czym zaprowadzono ją na wolne miejsce i usiadła. Uśmiechnęła się niepewnie, wiedząc już, że popełniła błąd, i żałując, że nie wymówiła się innym spotkaniem.

– Napijesz się kawy? – spytała Laura McCarthy z uśmiechem.

– Tak, poproszę – odparła cicho. – Czarną. Bez cukru.

– Zastanawialiśmy się, czy w ogóle przyjdiesz – odezwała się wysoka, przedwcześnie posiwiata kobieta z długą szyją. Brzmiało to trochę jak oskarżenie.

– Ćwiczyłam. Niestety często mi się zdarza stracić poczucie czasu. Bardzo przepraszam – zwróciła się do Laury.

– Ćwiczyłaś? – Kobieta o długiej szyi nachyliła się ku niej.

– Na skrzypcach.

– Fantastycznie. Moja Sarah bardzo lubi grać. Jej nauczyciel mówi, że powinna pomyśleć o szkole muzycznej. Od dawna się uczysz?

– Tak właściwie to... mój zawód.  
– Fantastycznie – stwierdziła niska kobieta. – Deborah strasznie by się chciała uczyć gry na skrzypcach. Może dasz mi swój numer?  
– Nie daję lekcji. Grałam w orkiestrze symfonicznej.  
Najwyraźniej myśl, że mogła mieć jakieś życie zawodowe, wprawiała je w osłupienie.  
– I masz dzieci?  
– Dwoje. – Boże, ale tu gorąco. – Córkę i syna.  
– A twój mąż? – Dwie kobiety spiorunowały wzrokiem pytającą.  
– Zmarł w zeszłym roku. W wypadku samochodowym.  
– Tak mi przykro – odparła tamta. – Straszna sprawa. – Po pokoju przeszły współczujące pomruki.  
– Jesteś bardzo odważna, że zaczynasz nowe życie w nowym miejscu.  
– To dobra okolica dla dzieci – zapewniła inna. – Mamy tu bardzo przyzwoitą szkołę.  
– A jak im się podoba nowy dom? To duże miejsce i jest tam tyle do roboty... a do tego, kiedy się nie ma...

W tym momencie zapewne liczyły, że Isabel się załamie. Gdyby przyznała, jak jest przybita stanem domu, jak nieszczęśliwe są jej dzieci, że męczy ją nie tylko brak męża, ale i lekkomyślność jej własnych działań, te zimne spojrzenia mogłyby złagodnieć. Kobiety zaczęłyby jej współczuć i dodawać otuchy. Ale coś w środku Isabel nie pozwoliło na to.

– Dzieci mają się dobrze – odparła. – Powoli się zadomawiamy. – Jej ton sugerował, że nie ma nic więcej do powiedzenia w tym temacie.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Rozumiem – rzekła siwowłosa kobieta. – To dobrze. Zatem witamy w naszej wsi.

Kiedy Isabel podnosiła filiżankę do ust, zauważyła dziwny grymas na twarzy Laury McCarthy, który szybko zniknął, a na uśmiech Isabel jej sąsiadka odpowiedziała jeszcze szerszym uśmiechem.

Byron Firth obiema rękami podniósł metalowy grot i mocno uderzył o pal, a gdy drewno weszło w ziemię, poczuł wibracje w całym ciele. Wbił już w ten sposób dwadzieścia dwa słupki, które połączone drutem, miały utworzyć płot wyznaczający granicę działki Matta McCarthy'ego. Maszyna mogłaby to zrobić dziesięć razy szybciej, ale jej wypożyczenie kosztuje, a Matt płacił mu tygodniową pensję i nie widział sensu, by wydawać więcej pieniędzy. Byron miał skończyć tę pracę do wieczora, ale ponieważ ziemia jeszcze nie odtajała po zimie, wiedział, że pod koniec dnia mięśnie będzie miał obolałe. Do tego chłopak jego siostry był stałym gościem w ich domu, więc raczej nie miał szans na kąpiel.

Oznajmiła mu, że wyprowadza się za cztery tygodnie. Wraz z Lily miała się przenieść do domu Jasona po drugiej stronie wsi.

– Wiedziałeś, że nie możemy wiecznie mieszkać razem – rzekła przepraszająco. – Zwłaszcza wśród tych wilgotnych ścian, biorąc pod uwagę zdrowie Lily. I przynajmniej znowu masz pracę. Znajdziesz sobie inne mieszkanie.

– Nie martw się, dam sobie radę – odparł. Ale zachował dla siebie informację, że w każdym miejscu, które oglądał, czynsz wynosił ponad dwukrotność tego, co mu płacił Matt. I że w jedynym mieszkaniu, na które mógł sobie pozwolić, nie pozwalano trzymać psów, a Meg miała się oszczędzić lada dzień. Człowiek z wydziału mieszkań komunalnych prawie się roześmiał, kiedy Byron chciał się tam zarejestrować. Działali na podstawie systemu punktowego, a on był sprawnym fizycznie, samotnym mężczyzną nieżyjącym z zasiłku, więc było to równie bezsensowne jak przeglądanie ogłoszeń o wynajmie w miejscowej gazecie.

– Wiesz, że jak dla mnie mógłbyś się tam przeprowadzić z nami. Ale Jason wołałby



chyba, żebyśmy zaczęli nowe życie sami...

– Nie marudź, Jan. Jason ma rację. Powinniście mieszkać razem jak rodzina. – Otoczył siostrę ramieniem. Nie chciał myśleć o tym, jak bardzo będzie tęsknił za siostrzenicą, za gwarem ich wspólnego życia. – Lily dobrze zrobi ojcowska opieka.

– A u ciebie wszystko w porządku... prawda? Teraz, kiedy wszystko jest... kiedy zaczniesz od nowa.

Byron westchnął.

– Jest okej. Potrafię o siebie zadbać.

– Wiem, że potrafisz. Chyba tylko... czuję się winna.

– To nie była w ogóle twoja wina. – Spojrzał jej w oczy, ale pewne rzeczy zawisły między nimi, niewypowiedziane.

– To wpadaj w niedzielę na obiad. Będę co tydzień robić porządną pieczeń. Okej?

Bach! Mrużąc oczy przed słońcem, Byron ponownie opuścił metalowy grot i wbił pal w ziemię. Myślał, by przenieść się gdzieś, gdzie czynsze nie rosły tak szybko. Ale w ogłoszeniach poszukiwano wykwalifikowanych zarządców gruntu, ludzi po studiach rolniczych. Nie miał szans w konkurencji z nimi, zwłaszcza ze swoją przeszłością. Poza tym znał tę okolicę i miał tu kontakty. A praca dla Matta McCarthy'ego była lepsza niż żadna.

Podniósł metalowy grot i już miał opuścić go na pal, gdy kątem oka dostrzegł po prawej stronie jakieś poruszenie. Przy żywopłocie stał kilkuletni chłopiec. Ten widok rozproszył uwagę Byrona, przez co jego kciuk wylądował między grotem a palem. Zaklął z bólu. Psy podskoczyły i zaczęły skamleć, a kiedy Byron z ręką wetkniętą między kolana podniósł wzrok, chłopca już nie było.

Isabel zwykle chodziła z wysoko podniesioną głową, prostowała się niemal przesadnie, kompensując w ten sposób lata wykręcania szyi przy skrzypcach. Ale dzisiaj, kiedy w drodze powrotnej do domu kroczyła omszałą ścieżką, było inaczej. Co ją napadło, żeby iść na to spotkanie? Po co wmawiała sobie, że ona i te kobiety mogą mieć sobie cokolwiek do powiedzenia? Reszta poranka minęła na straszliwie drętwej rozmowie. Laura wypytywała ją o dzieci, ale kiedy Isabel wyznała, jak bardzo tęskni za ich nianią, a potem, że nie umie gotować i że w ogóle kiepska z niej gospodyni, kobiety wydawały się rozczarowane. A Isabel, zamiast zachowywać się z pokorą, czuła narastający bunt. Stwierdziła, trochę nietaktownie, że prowadzenie domu nie daje jej satysfakcji, a im po tych słowach opadły szczęki, jak gdyby powiedziała, że jej popisowym daniem jest ludzkie mięso.

– Och, no cóż – rzekła jedna z kobiet, kładąc rękę na jej ramieniu – przynajmniej teraz, kiedy nie pracujesz, będziesz miała okazję naprawdę poznać swoje dzieci.

Isabel popchnęła drzwi, które zapomniała zamknąć na klucz. Wbiegła na górę i wyjęła skrzypce. Potem wróciła do kuchni, jedyne pomieszczenia, w którym było ciepło, i otworzyła nuty. Wbiła w nie wzrok i zaczęła grać; smyczek zgrzytał bez wdzięku po strunach, wydając dźwięki gniewne i chropowate. Zapomniała o wilgotnej kuchni, o praniu wiszącym na suszarce, o brudnych naczyniach po śniadaniu. Zapomniała o kobietach w tamtym domu i ich ledwie skrywanej niechęci, o nieprzeniknionej twarzy Laury McCarthy. Skupiła się tylko na muzyce, dopóki cała się w niej nie zatraciła, a napięcie nie opuściło jej ciała. Wreszcie, po kilku stronach nut, Isabel poczuła, że się odpręża.

Nie miała pojęcia, ile minęło czasu, zanim skończyła grę. Ściągnęła łopatki do tyłu, pokręciła szyją, rozciągając mięśnie, i zrobiła długi, powolny wydech. Kiedy za jej plecami rozległo się klaskanie, podskoczyła i błyskawicznie się odwróciła.

Matt McCarthy zrobił krok do przodu.

– Przepraszam, ale zostawiła pani otwarte drzwi, a nie chciałem przeszkadzać.

Isabel poczuła się obnażona, jak gdyby została przyłapaną na czymś, czego robić nie powinna. Położyła wolną rękę na szyi.

– Panie McCarthy...

– Matt. Możemy sobie mówić po imieniu? – zapytał, a gdy potwierdziła, skinął głową w stronę skrzypiec. – Zapominasz o wszystkim, kiedy grasz, prawda?

Odłożyła instrument na krzesło.

– To po prostu... mój zawód – odparła.

– Mam wyliczenia, o które prosiłaś. Pomyślałem, że możemy je teraz przejrzeć, jeśli masz pięć minut.

Na zewnątrz było zimno, a w środku panował taki chłód, że Isabel nie zdjęła płaszcza, ale Matt McCarthy miał na sobie tylko szary bawełniany podkoszulek. Wszystko w jego powierzchowności wskazywało na to, że jest odporny na temperaturę. Widok jego umięśnionego torsu sprawił, że Isabel pomyślała o Laurencie, co wprowadziło ją w konsternację.

– Zrobię herbatę – powiedziała.

– Lodówka wciąż nie działa? – Matt usiadł przy stole i skinął w stronę urządzenia, które nadal stało w głębi kuchni, odłączone od prądu i bezużyteczne.

– Nie ma tu gniazdka.

Podniosła przesuwne okno i wzięła jedną z butelek mleka stojących na parapecie.

– No tak. W kuchni niczego nie zmieniano chyba od kilku-dziesięciu lat.

Podczas gdy ona robiła herbatę, on wyciągnął notatnik i kalkulator, po czym nucąc pod nosem, zaczął przesuwać ołówkiem po rzędach liczb. Kiedy usiadła, podsunął jej swoje zapiski.

– Okej, od tego moim zdaniem trzeba zacząć. Najpierw powinnaś naprawić dach. W gruncie rzeczy wymaga on kapitalnego remontu, ale najważniejsze jest, by nic nie przeciekało. Wraz z materiałami załatwienie go będzie kosztować w granicach tej sumy... – Stuknął w notatnik. – Jeśli chodzi o wnętrze, sprawa jest bardziej skomplikowana. Wszędzie trzeba zrobić izolację przeciwwilgociową. Podłogi w salonie i jadalni trzeba podnieść, ponieważ drewno pod nimi może być spróchniałe. Przynajmniej osiem okien wymaga całkowitej wymiany, a w pozostałych należy wymienić spróchniałe części ramy. Do tego dochodzi elektryka. Na wszelki wypadek trzeba będzie wymienić całą instalację.

Isabel wpatrywała się w wyliczenia.

– Jest też kwestia konstrukcji budynku – kontynuował Matt. – Możliwe, że tył domu osiada. Jeśli tak jest, konieczne będzie położenie wzmocnień, chociaż można usunąć kilka drzew z tamtej strony i sprawdzić po kilku miesiącach, czy proces został zahamowany. To będzie cię kosztować... – Syknął, a potem uśmiechnął się pocieszająco. – Wiesz co, nie musimy o tym teraz rozmawiać.

Głos Matta docierał do niej coraz słabiej. To nie może być prawda. Isabel chciała w jego wyliczeniach przesunąć miejsca po przecinku w lewo.

– Ale nie widzę tu wyliczeń dotyczących ciepłej wody i centralnego ogrzewania. Potrzeba nam działającej łazienki.

Matt rozparł się na krześle.

– A, tak, ciepła woda. Wisienka na torcie. Pewnie już się domyślasz, że trzeba będzie wszystko rozkuć. Na dłuższą metę piec jest za słaby, aby zapewnić domowi ogrzewanie i ciepłą wodę. Trzeba kupić nowy bojler i kaloryfery, a do tego wymienić połowę rur. Taki dom niestety wymaga ogromnego nakładu pracy. To nie jest coś, co można zrobić na pół gwizdka.

Isabel kręciło się w głowie. Sama instalacja ciepłej wody pochłonie niemal wszystkie pieniądze ze sprzedaży domu w Maida Vale.

– Posłuchaj, możesz przejrzeć inne oferty – rzekł Matt, najwyraźniej wyczuwając jej

niepokój. – I porównać ceny, mnie jest wszystko jedno. Mam inne zlecenia. – Przejechał rękami po włosach. – Ale nie sądzę, żebyś znalazła kogoś, kto zrobi to po znacznie niższej cenie.

– Nie – powiedziała słabym głosem. – Nawet nie wiedziałabym, gdzie kogoś szukać. Więc... zabierzmy się teraz za najpilniejsze sprawy, a o resztę będziemy się martwić później. Wytrzymamy jeszcze jakiś czas bez porządnego ogrzewania.

Matt uśmiechnął się lekko.

– Isabel, to wszystko są pilne sprawy. Nawet nie wspomniałem o tynkowaniu, wymianie drewnianych części, nowych sufitach i malowaniu. – Pokręcił głową. – Właściwie trudno znaleźć jakieś miejsce w tym domu, które nie wymaga gruntownego remontu.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, a Isabel przyglądała się wyliczeniom.

– Trochę cię to zaskoczyło, co? – odezwał się wreszcie Matt.

Isabel powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Mój mąż zawsze zajmował się takimi sprawami – oznajmiła cicho. Wyobraziła sobie, że Laurent siedzi obok niej, przegląda wyliczenia i zadaje pytania. On by to ogarnął.

– Dla niego też by to było duże wyzwanie – rzekł Matt. – Nie umiem nawet powiedzieć, ile mieliśmy podobnych zleceń. Kiedy człowiek kupuje tak zaniedbany dom, remonty nigdy się nie kończą. Zawsze powtarzam, że to jak renowacja wieży Eiffla.

Isabel na chwilę zamknęła oczy. Czasami miała wrażenie, jakby wylądowała w jakimś obcym życiu.

– Upprzedzam cię tylko, że ten dom jest w naprawdę opłakanym stanie. Musisz się poważnie zastanowić, ile pieniędzy jesteś gotowa w niego wpakować. – Zmrużył oczy, jak gdyby przekazywał jej bolesną prawdę. – Nie mam pojęcia, w jakiej jesteś sytuacji finansowej – ciągnął – ale powinnaś też pomyśleć, czy masz na to energię. Mogę zdjąć z twoich barków większość ciężaru, ale i tak będziesz musiała się w ten remont mocno zaangażować. A jeśli nie jesteś osobą praktyczną...

Mogę stąd wyjechać, pomyślała Isabel. Mogę wystawić dom hiszpański na sprzedaż i wrócić do Londynu. Czy małe mieszkanie w stolicy byłoby takie złe? Czy ma znaczenie, że nie będą mieszkać w standardzie, do jakiego się przyzwyczaili?

Czubki drzew kołysały się delikatnie na tle szarego nieba. Nagle stanął jej przed oczami Thierry idący przez ogród z kijem w ręku. Spojrzała na skrzypce leżące na krześle, lśniące i wytworne, kontrastujące z ponurą kuchnią i stanowiące jej jedyną więź ze starym życiem.

– Nie – odparła. – Nie mogę zafundować dzieciom kolejnej przeprowadzki. I tak ostatnio ich życie wywróciło się do góry nogami. Jakoś musimy dać radę.

Matt wzruszył ramionami.

– Zajmiemy się tym, co najpilniejsze. – W głosie Isabel brzmiała coraz większa determinacja. – Dom stał tak długo, że chyba nie rozpadnie się na naszych oczach, prawda? – Spróbowała się uśmiechnąć.

Twarz jej gościa była tak nieprzenikniona, że trudno było stwierdzić, co myśli.

– Jak uważasz – powiedział i stuknął długopisem w stół. – Będę ciął koszty, gdzie tylko się da.

Przez kolejnych dwadzieścia minut chodził po domu z taśmą mierniczą i robił notatki. Tymczasem ona próbowała dalej ćwiczyć, ale nie była w stanie się skoncentrować. Odgłosy jego kroków i pogwizdywanie sprawiły, że czuła się dziwnie skrępowana, a jej gra stawała się chaotyczna i nierówna. W końcu Isabel wyszła z kuchni i zastała go zaglądnącego do komina w jadalni.

– Muszę iść po drabinę i rzucić na to okiem – powiedział. – Wydaje mi się, że jedna z nasad kominowych się obsunęła. Ale to nic wielkiego – dodał. – Nie wymaga nie wiadomo

czego. Możemy ją po prostu przykryć. Zrobię to za friko.

– To bardzo miło z twojej strony. Dziękuję – odparła Isabel.

– Dobra, będę się zbierał, muszę jechać po materiały. A jak ci się podobało spotkanie u nas dziś rano? – Skinął głową w stronę okna.

Isabel zapomniała, że Laura jest żoną Matta.

– Yyy... – zaczęła, wykręcając dłonie za plecami. – Yyy... to bardzo miło ze strony Laury, że mnie zaprosiła. – Poczowała, że nie udało jej się wykrzesać z siebie żadnego entuzjazmu.

– Kury domowe urządziły nad tobą sąd, co?

Isabel oblała się rumieńcem.

– Chyba... nie spodziewały się kogoś takiego jak ja.

– Nie daj się im. Nie mają nic lepszego do roboty niż obgadywać meble pozostałych. Banda wścibskich bab. Ciągle powtarzam Laurze, że spędza z nimi za dużo czasu. – Doszedł do drzwi. – Nie martw się tym wszystkim. Wrócę tu jutro z samego rana. Jeśli wyniesiesz swoje rzeczy z jadalni, zaczniemy tam od podłóg. Zobaczmy, co jest pod spodem.

– Dziękuję – powiedziała Isabel. Czowała wobec niego niewymowną wdzięczność. Na początku jego obecność nieco ją drażniła. Teraz już uspokajała.

– Nie ma sprawy – odparł i zsalutował na odchodne. – Od czego ma się sąsiadów?

Trudno o bardziej samotne miejsce niż puste małżeńskie łóże. Światło księżycy padało przez okno na sufit, a Isabel wsłuchiwała się w spokojne drzenie szyb w ramach i w odległe nawoływania dzikich zwierząt. Teraz już jej nie przerażały, ale też nie łagodziły poczucia, że jest jedyną osobą na świecie, która nie może zmrużyć oka.

Wcześniej, kiedy położyła się do łóżka, usłyszała płacz. Wstała, włożyła szlafrok i pospieszyła do pokoju Thierry'ego. Miał głowę zakrytą kołdrą i mimo próśb Isabel nie chciał spod niej wyjść.

– Powiedz coś, kochanie – szepnęła. – Błagam, powiedz coś.

Ale chłopiec milczał. A ona nie chciała go do niczego zmuszać. Dotknęła go i poczuła, jak jego ciałem wstrząsa szloch, aż wreszcie jego łzy stały się jej łzami. Położyła się obok niego i zwinęła w kłębek. Kiedy w końcu zasnął, zdjęła kołdrę z jego twarzy, pocałowała go w policzek i prawie niechętnie wróciła do swojego pokoju.

Stała tam teraz boso, czując pod stopami drewno podłogi, i wpatrywała się w osobliwie oświetlony krajobraz za oknem. Drzewa w oddali tworzyły głęboką purpurową czeluść i wydawało się, że cienie, ściany i słupy wokół domu poruszają się w półmroku. Coś ciemnego przemknęło przez ścieżkę i zniknęło w mroku. Zobaczyła go nagle, jak wyszedł pomiędzy drzew, z kurtką przewieszoną przez ramię, i ruszył w jej stronę. Ale zaraz zniknął – to tylko wyobraźnia płatała jej figle.

– Laurent – szepnęła, otulając się szlafrokiem, i weszła do zimnego łóżka. – Wróc do mnie.

Próbowała sobie wyobrazić, jak kładzie się obok niej, jak materac ugina się pod jego ciężarem i skrzypią sprężyny, a potem jak obejmuje ją w pasie. Jej własne dłonie na jedwabnym szlafroku były zbyt małe, zbyt delikatne. Z ich dotykiem nie wiązały się żaden ciężar, żadne znaczenie. Poczowała pustą przestrzeń pościeli i nieogrzaną poduszkę. Usłyszała ciszę pokoju, w którym nikt inny nie oddycha. A potem wyobraziła sobie Matta w domu po drugiej stronie drogi, jego silne ciało wtulające się w żonę, obejmujące ją ramionami, Laurę uśmiechającą się w półśnie. Widziała wszystkie pary leżące ze sobą i szepczące do siebie, ich splecione dłonie, skórę przy skórze. Nikt już nigdy nie dotknie mojej, pomyślała. Z nikim już nie zaznam takiej przyjemności. I ogarnęła ją fala tęsknoty tak silna, że myślała, że się udusi.

– Laurent – wyszeptała w ciemności. Z jej zamkniętych oczu popłynęły łzy i zaczęła

poruszać ręką po jedwabiu. – Laurent! – krzyknęła, gdy jej dłonie próbowały wyczarować muzykę z ciała, które nie chciało jej słuchać.

W tym samym czasie w lesie Byron przywołał Elsie, swoją terierkę, buszującą w zaroślach. Podniósł latarkę, omiatając promieniem ziemię i obserwując poruszające się cienie zwierząt czmychających w ciemność. Dowiedział się od chłopaków z pubu, że kłusownicy założyli w tej części lasu wnyki, i choć wiedział, że jego pies jest zbyt mądry, by się w nie złapać, chciał je zdjąć i uchronić przed tym inne zwierzęta. Człowiek nie zapomina widoku lisa lub borsuka, który utknął w sidłach i próbował sobie odgryźć łapę, aby się uwolnić. Poza tym przebywanie z psami było lepsze niż siedzenie w pustym domu i rozmyślanie o przyszłości.

Zadzwoił jego telefon, więc wyjął go z kieszeni. Zagwizdał na Elsie i przykucnął.

– Cześć, Byron. – Matt nawet się nie przedstawił. Jakby mu się wydawało, że jest jego panem, i to o każdej porze dnia i nocy.

– Cześć.

– Skończyłeś wbijanie pali?

Byron pokręcił obolałą szyją.

– Tak.

– To dobrze. Jutro pomożesz mi usunąć deski podłogowe w jadalni w domu hiszpańskim.

– W jadalni? – Zdziwił się Byron. – Przecież to jedyny przyzwoity pokój w tym domu. –

Po wsi krążył żart, że jedynym pomieszczeniem u Pottiswortha będącym w dobrym stanie było to, którego od dziesięcioleci nie używał.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Kto tak twierdzi?

– Kiedy bywałem u...

– Kto od lat pracuje w budowlance, Byron? Ty czy ja? Znasz się na problemach z drewnem? Nauczyłeś się tego w więzieniu?

– Nie.

– Spotkamy się tam o ósmej trzydzieści. I następnym razem, kiedy będę potrzebował twojej opinii w kwestiach budowlanych, sam o nią poproszę.

Obszar poza wąskim promieniem jego latarki był czarny jak smoła.

– Ty tu rządzisz, Matt – odpowiedział Byron.

Zamknął klappkę od telefonu, wsunął go głęboko do kieszeni i ruszył ciężkim krokiem w las.

Kitty siedziała w blaszanej wannie z podciągniętymi kolanami i karkiem opartym o zwinięty ręcznik. Materiał był mokry, ale tylko w ten sposób można było się tu zrelaksować, nie rozcinając sobie głowy. Trzeba też było podciągnąć kolana, żeby łydki nie zwisały nad brzegiem wanny, hamując krążenie. Niedaleko stał włączony grzejnik elektryczny, bo inaczej, kiedy woda ostygła, co następowało naprawdę szybko, dziewczyna drżałaby przez dwadzieścia minut po wyjściu z kąpieli. Mama ostrzegała ją, że może ją porazić prąd, ale biorąc pod uwagę stan domu, Kitty stwierdziła, że tutaj takie ryzyko wcale nie jest większe niż w jakimkolwiek innym pomieszczeniu.

Usłyszała na zewnątrz warkot silnika i uznała, że czas rozpocząć żmudny proces opróżniania wanny, którą oczywiście przepełniła. Pomyślała, że już nigdy nie będzie uważać wanny z odpływem za coś oczywistego: już samo to mozolne opróżnianie jej wiadrem, aż będzie na tyle lekka, by ją podnieść i przechylić, sprawiało, że odechciewało się kąpieli. Kiedy Kitty owijała się ręcznikiem, usłyszała na dole głos Matta. Mówił coś o śniadaniu, poprosił mamę o kawę i zaśmiał się z jakiegoś dowcipu, którego nie dosłyszała.

Większość ludzi narzeka na ekipę remontową w swoim domu. Kitty pamiętała, jak matki jej znajomych z dawnej szkoły narzekały na pył i kurz, koszty i bałagan. Mówiły tak, jakby to była męka, którą trzeba przetrwać z zaciśniętymi zębami. Jak operacja.

Minęło już prawie dziesięć dni i pomimo chaosu oraz tego, że musiała chodzić po schodach zygzakiem, by ominąć dziury, i że prawie każdą rozmowę przerywał ogłuszający dźwięk wrywanych desek lub uderzenia młotkiem, podobało jej się to. Fajnie było mieć w pobliżu innych ludzi, a nie tylko mamę, która i tak myślami zawsze błądziła gdzie indziej, czy Thierry'ego, który się nie odzywał.

Matt McCarthy zawsze rozmawiał z nią, jak gdyby była starsza, a ze szkoły kojarzyła jego syna. Tyle że miała problem z wejściem do jakiegoś pomieszczenia, jeśli był tam Anthony, ponieważ w jego obecności rumieniła się i zapominała języka w gębie. Żałowała, że nie ma tutaj jej znajomych, by jej powiedzieli, czy on rzeczywiście jest taki przystojny, czy tylko tak jej się wydaje.

Kiedy Matt i jego syn zjawili się pierwszego dnia, było jej wstyd, że Anthony widzi ich dom w takim stanie i pewnie sobie myśli, że zawsze żyli w takich warunkach. Chciała mu powiedzieć: „Kiedyś mieszkaliśmy w normalnym domu, no wiesz, takim z lodówką...”. Mama zaczęła wkładać rzeczy wymagające przechowywania w chłodzie do małych koszyków, które wieszała na murze za oknami kuchni, by nie dorwały ich lisy, a owoce do siatek na pomarańcze dla ochrony przed myszami. Kitty po części strasznie się to podobało, ponieważ z zewnątrz ich dom wyglądał bajkowo, trochę jak chatka Baby Jagi, ale też uważała to za upokarzające. Kto inny musiał wywieszać jedzenie na zewnątrz? Bała się, że Anthony powie coś w szkole i wszyscy będą się z niej śmiać, lecz jak dotąd nic takiego nie nastąpiło.

W zeszłym tygodniu Matt, kiedy dowiedział się, że Kitty i Anthony chodzą do tej samej szkoły, rzekł:

– Synu, może byś tak kiedyś zaprosił Kitty na jakieś wyjście? Mógłbyś ją zabrać do miasta, pokazać okolicę.

Tak po prostu. Jakby to nie było nic takiego. Anthony wzruszył ramionami na znak, że nie ma nic przeciwko, ale Kitty nie była pewna, czy to dlatego, że sam tego chciał, czy też pragnął zadowolić ojca.

– Pewnie po Londynie życie tutaj wydaje ci się trochę za spokojne – powiedział Matt,

kiedy przyniosła im herbatę.

Tak jakby każdy wieczór spędzała w klubie czy coś takiego. Mogłaby przysiąc, że Anthony uniósł brwi, przez co znowu się zarumieniła. Byron, który pomagał w domu tylko przez dwa dni, a potem wrócił do pracy na zewnątrz, prawie się nie odzywał. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się między nimi niezręcznie i nadawał się raczej do życia na łonie natury. Był wyższy niż Matt i całkiem przystojny, ale unikał kontaktu wzrokowego.

– Byron to straszna gaduła, co nie, stary? – żartował Matt, ale tamten tylko uśmiechnął się wymuszenie, jak gdyby wcale go to nie bawiło.

Mama na ogół chodziła spięta. Nie podobało jej się, że budowlańcy mieli ciągle włączone radio. Nie lubiła muzyki pop – tata twierdził, że słuchanie jej w tle to kolejna forma zanieczyszczenia środowiska – ale nie potrafiła poprosić, by ją wyłączyli. Musiała się też wyprowadzić z tej dużej sypialni, ponieważ pomieszczenie wymagało zbyt wielu prac remontowych, i zamieszkać w ciasnym pokoiku, więc chodziła na blanki, żeby ćwiczyć grę – twierdziła, że to jedyne miejsce, gdzie może znaleźć ciszę. Kiedy Kitty wychodziła przed dom i słyszała z góry skrzypce, a z dołu radio Matta, brzmiało to dla niej tak, jakby tych dwoje ze sobą rywalizowało.

Thierry zachowywał się, jakby to wszystko w ogóle go nie obchodziło. Większość czasu po szkole spędzał w lesie, a mama powiedziała, żeby mu na to pozwolić. Kitty próbowała go wypytywać, co tam porabia, ale on tylko wzruszał ramionami. Rozumiała wreszcie, dlaczego tak bardzo wkurzało jej rodziców, gdy sama tak robiła.

Piętro wyżej Matt McCarthy właśnie rozwinął plany architektoniczne, które Sven rozrysował dla niego półtora roku temu, i obrócił je do światła padającego z okna na półpiętrze. Zastanawiał się, które elementy tej starannie przemyślanej przebudowy może legalnie wykorzystać. Część, takie jak dobudówka z tyłu domu, na razie odpadała, ale inne, takie jak przeniesienie łazienki, odnowienie głównej sypialni i wymiana okien na wyższych piętrach, można było uznać za element zwykłego remontu. Nie było sensu zaczynać z kuchnią, dopóki nie będzie wiadomo, czy dostanie zgodę na dobudówkę, ale wcześniej trzeba było wykonać wiele podstawowych prac konstrukcyjnych. Można było śmiało powiedzieć, że czekają ich długie miesiące robót naprawczych. I to przy znacznych kosztach.

Wdychał znajomy zapach starego domu, niespodziewanie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Praca tutaj była przyjemnością. W tych murach poczuł, jakby odzyskał kontrolę nad swoim życiem i nad czymś, co zostało mu odebrane.

Zwinął plany i umieścił je starannie w kartonowej tubie, po czym nałożył na nią wieczko i wsunął ją z powrotem do torby. W tym samym momencie na schodach pokazał się Byron. Jak na tak rosnącego faceta poruszał się bardzo cicho – jak na gust Matta zbyt cicho.

– To jak – odezwał się Byron – od czego dzisiaj zaczynamy?

– Dobre pytanie. I milion możliwych odpowiedzi.

– Jak idzie remont domu? – spytał Asad, polerując jabłka miękką szmatką. Kitty siedziała na skrzynce przy lodówce i popijała herbatę. – Z tego, co widzę, Matt McCarthy spędza u was większość czasu.

– I jego syn. I Byron, ale on nie przychodzi codziennie.

– I widać już poprawę? Lepiej ci się mieszka?

– Tego bym jeszcze nie powiedziała. – Kitty zaciągnęła się zapachem: Henry piekł chleb z oliwkami, który roztaczał wspaniałą woń. Miała cichą nadzieję, że ją poczęstują. – Ale pozrywali wiele rzeczy.

– Słyszałem, że mało tam elementów, które warto zostawić. – Z zaplecza wyszedł Henry i ostrożnie włożył dwa bochenki do koszyka z chlebem. – Jest tam jeszcze coś godnego uwagi?

Kitty się skrzywiła.

– Nie mam pojęcia. Chyba że mówimy o pajakach. Znalaz-łam jednego w szufladzie na bieliznę. Był tak wielki, że myś-łam, że szuka skarpetek dla siebie.

Asad przechylił głowę.

– A jak się czuje mama? – spytał, jakby spodziewał się, że coś z nią mogło być nie tak.

– W porządku. Martwi się tylko, ile pieniędzy to wszystko pochłania. Mówi, że wszystko kosztuje o wiele więcej, niż się spodziewała.

– Przypuszczam, że Matt McCarthy nie jest tani – powiedział Henry z przekąsem.

– Mama mówi, że połowę z tego robi chyba z dobroci serca.

Henry i Asad spojrzeli po sobie.

– Matt McCarthy?

– Według niej mamy szczęście, że trafiliśmy na takich dobrych sąsiadów. Mówi, że gdyby to było w Londynie, bylibyśmy w poważnych tarapatkach. Matt robi wszystko, co w jego mocy, by ograniczyć koszty. – Przynęła się bliżej chleba. Śniadanie jadła już chyba wieki temu.

– Chcesz jeden bochenek? Możesz zapłacić następnym razem, kiedy przyjdiesz. – Asad wskazał na chleb.

– Naprawdę? Przyniosę pieniądze jutro. Nie miałabym siły przejść całej tej drogi po portfel. A mama nie pozwala mi jeździć samochodem.

Asad pokręcił głową, jak gdyby niepotrzebnie poruszała ten temat. Za to spytał:

– Powiedz mi, Kitty, czy Matt... wspominał coś o historii tego domu?

Kitty była zbyt pochłonięta skubaniem chleba, by zauważyć, jakie Henry posłał mu spojrzenie.

– Nie – odparła w roztargnieniu. Dlaczego wszyscy tutaj mieli obsesję na punkcie przeszłości?

– Jasne, niby po co – skwitował to Asad. – Czekaj, zapakuję ci ten chleb.

Byron ścinał drzewa w lesie niskopiennym już od prawie pół godziny, kiedy zorientował się, na co zerka Elsie. Była niespokojna od czasu, gdy w zeszłym tygodniu Meg, jego suka rasy collie, się oszczeniła, i tym właśnie tłumaczył sobie jej ciągłe skomlenie. Kiedy jednak ściał młody jesion i zawlókł go na stos drewna, mignęło mu przed oczami coś niebieskiego i zobaczył, co przykuło uwagę psa.

Chłopiec chodził za nim od kilku dni. Kiedy Byron doglądał młodych bażantów, naprawiał ogrodzenie elektryczne i teraz, kiedy przerzedzał las rosnący między domem Matta a hiszpańskim, odkrył, że ktoś podąża za nim jak cień. Chłopiec obserwował go przez piętnaście, dwadzieścia minut, na wpół zasłonięty przez drzewa lub krzewy, a potem zniknął, gdy Byron dawał choćby znak, że mógłby się do niego zbliżyć.

Dość szybko się zorientował, kto to taki. Teraz wrócił do pnia i wywiercił w nim kilka otworów, by potem zatruć korzenie. Jesiony bardzo szybko wypuszczały odrosty.

– Chciałbyś mi pomóc? – zapytał półgłosem, nie odwracając się. Odpowiedziała mu cisza. Byron wywiercił sześć kolejnych otworów, cały czas czując na sobie spojrzenie chłopca. – Nie ma sprawy. Ja też przez większość czasu nie mam ochoty na rozmowę.

Po chwili usłyszał za plecami ciche kroki.

– Nie głośzcz psa. Podejdzie do ciebie, gdy poczuje się gotowa. A jeśli chcesz mi pomóc, pozbieraj te mniejsze gałązki. Ale ostrożnie – dodał, kiedy chłopiec się schylił i zebrał całe naręczce.

Byron przeciągnął na pole trzy młode drzewa. Planował zabrać je później, a większe porąbać na opał. Ale nie było sensu tego robić, skoro nie wiedział, gdzie będzie mieszkał.



Pomyślał o stosie desek, które usunęli z podłogi domu hiszpańskiego i ułożyli w stos przy dużej stodole. Większość z nich, na ile się orientował, była w dobrym stanie, ale już się nauczył, że z Mattem nie ma co dyskutować.

– Po prostu rzuć je tam – powiedział, wskazując na stos drewna na skraju pola. Chłopiec przeciągnął drzewko po trawie i upuścił je ze stęknieniem.

– Pomożesz mi jeszcze?

Spod ciemnych rzęs spojrzali na niego poważne oczy. Mały skinął głową.

– Jak masz na imię?

Chłopiec wbił wzrok w ziemię. Elsie powąchała jego buty, a on spojrział na Byrona, jak gdyby czekał na pozwolenie, a potem schylił się i pogłaskał ją po głowie. Elsie przewróciła się na grzbiet, bezwstydnie odsłaniając różowy brzuch.

– Thierry – odpowiedział tak cicho, że Byron ledwo go usłyszał.

– Lubisz psy, Thierry? – Mówił swobodnym, spokojnym tonem.

Mały nieśmiało skinął głową. Elsie otworzyła szeroko pysk i wywiesiła język.

Byron widział chłopca wcześniej parę razy w domu, jak ten siedział przed grą komputerową – nawet tam przypominał cię. Nie miał pojęcia, dlaczego zagadał do dzieciaka. Był człowiekiem, który najlepiej się czuł we własnym towarzystwie.

– Pomożesz mi jeszcze z kilkoma drzewami, a kiedy skończymy, zapytam twoją mamę, czy możesz do nas przyjść i obejrzyć nowo narodzone szczeniaki. Co ty na to?

Uśmiech chłopca zupełnie go zaskoczył. Byron wrócił do ściętych drzew, niepewny, na co się właśnie pisał. Nie wiedział, czy chciał być do tego stopnia odpowiedzialny za czyjeś szczęście.

„Jasny jak nowy dzień”. To było ostatnie płynne zdanie wypowiedziane przez Thierry’ego. Jego głos rozchodził się po sali pewnie i donośnie, a gdy wygłosił ostatnią linijkę wiersza, uśmiechnął się. Za tę deklamację podczas występu klasowego zdobył nagrodę, a Isabel, której tym razem nie zatrzymały obowiązki zawodowe, siedziała na plastikowym krześle i mocno biła brawo, zastanawiając się od czasu do czasu, dlaczego miejsce obok niej pozostaje puste. Laurent przysięgał, że będzie punktualnie. Nie była zirytowana jego nieobecnością, tak jak inne kobiety, których mężowie się nie pojawili, tylko odzywała się w niej lekka duma, że choć raz to ona była tym rodzicem, który dotarł na szkolne przedstawienie.

– Świetnie mu poszło, prawda? – wymruczała Mary siedząca po jej drugiej stronie. Matka zajmująca miejsce przed nimi odwróciła się i uśmiechnęła szeroko.

– Znakomicie – odpowiedziała Isabel, cała rozpromieniona. – Po prostu znakomicie.

Gdy Thierry schodził ze sceny, złowiła jego spojrzenie, a on pomachał jej, starając się nie pokazać, jak bardzo jest z siebie zadowolony. Zastanawiała się, czy nie wstać i nie pójść za kulisy, żeby powiedzieć mu, jak jest z niego dumna, ale nie chciała okazać braku szacunku innym wykonawcom ani przeszkadzać siedzącym na widowni, pozostała więc na miejscu. Żałowała potem tej decyzji. Tak często żałowała, że nie dotarła do niego, zanim za kulisami pojawiła się policja, tak bardzo chciała usłyszeć jeszcze raz, jak mówi wiersz, który powtarzał tysiące razy. Usłyszeć ten piękny, beztronski głos ośmiolatka, którym utyskiwał na szkołę i cytował *Gwiezdne wojny*, którym domagał się słodyczy i odliczał dni do wieczora, kiedy jego najlepszy przyjaciel miał przyjść na wspólne nocowanie. Który ukradkiem mówił jej, że ją kocha, tak by nie słyszeli go koledzy. „Jasny jak nowy dzień”. A zamiast tego usłyszała kilka druzgocących zdań od posępnego policjanta. Tak, odpowiedziała, ściskając ramię Thierry’ego, jakby jej ciało rozumiało to, co nie docierało do jej umysłu. Tak, Isabel Delancey to ja. Co to znaczy, że miał wypadek?

– Przepraszam, nie rozumiem. – Isabel stała pośrodku kuchni z mężczyzną, który

przyprowadził Thierry'ego do domu. Miał zazielenione dłonie, a na kurtce kawałki kory. Powtórzyła jego słowa. – Chce pan zabrać mojego syna do siebie, by mu pokazać szczeniaki?

– Moja suka oszczeniła się w zeszłym tygodniu. A Thierry chciałby zobaczyć młode. – Wymawiał jego imię jak „Terry”.

– Pana szczeniaki.

Twarz Byrona pociemniała, kiedy zrozumiał podtekst jej pytania.

– Będą tam moja siostra i jej córka – wyjaśnił chłodnym tonem.

Isabel się zarumieniła.

– Wcale nie sugerowałam, że...

– Chłopak mi pomógł. Pomyślałem, że chciałby poznać moją siostrzenicę i zobaczyć małe pieski. – Jego głos stężał.

– Cześć, Byron. Skończyłeś?

Usłyszała za sobą Matta i podskoczyła. Był jednym z tych mężczyzn, którzy emanowali energią daleko poza granice swojej fizyczności.

Byron zacisnął szczękę.

– Wyciąłem jakieś czterdzieści drzewek, głównie jesionów. Lepiej, żebyś rzucił okiem na lasek, zanim wytnę więcej. – Wskazał na swojego psa, który wyszedł z kuchni. – Właśnie mówiłem pani Delancey, że jej syn mógłby obejrzeć moje szczeniaki. Ale to chyba nie był dobry pomysł.

Widziała, że jest wściekły. Przez dwa dni, kiedy pracował przy remoncie domu, prawie nie rozmawiali. Tylko skinął jej głową na powitanie, a ona, pamiętając ich wymianę zdań na temat broni, czuła się zbyt niezręcznie, by ponownie poruszyć ten temat.

Thierry spojrzał na matkę błagalnie.

– Jak dla mnie nie ma problemu – powiedziała niepewnie. Odsunęła się nieco na bok, by wpuścić Matta do kuchni.

– Twojemu synowi nic nie grozi z Byronem. Oglądanie szczeniaków oznacza tu coś innego niż w mieście. – Roześmiał się. – Musisz się w przyszłości wyrażać ostrożniej, Byron.

– Nawet przez chwilę nie myślałam, że... – Isabel przyłożyła rękę do szyi. – Byron, nie chciałam sugerować, że...

– Proszę się nie martwić – powiedział Byron i ruszył do wyjścia ze spuszczoną głową. – Najlepiej zostawić ten temat w spokoju. Muszę już iść. Do zobaczenia jutro, Matt.

Thierry pociągnął matkę za rękaw, ale mężczyzna już wyszedł. Chłopiec przez chwilę wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stał Byron, a potem rzucił matce wściekłe spojrzenie pełne rozczarowania i wybiegł z kuchni. Usłyszała tupot jego nóg biegnących aż do drzwi frontowych, które po chwili mocno trzasnęły.

– Nie słuchaj tego, co ludzie mówią o Byronie – powiedział Matt z dziwnym błyskiem w oku. – To porządny facet.

Isabel nawet nie zdążyła się zastanowić nad jego słowami, bo minęła go w pośpiechu, na schodach pokonała po dwa stopnie naraz i wybiegła jak burza przed dom. Byron maszerował w stronę żywopłotu.

– Byron! – krzyknęła. A kiedy się nie odwrócił, dodała: – Zaczekaj! Proszę!

Gdy go dogoniła, z trudem łapała oddech.

– Przepraszam – powiedziała. Jej buty zapadały się w błocie. – Naprawdę. Przepraszam, że cię obraziłam.

Jego twarz wyrażała raczej rezygnację niż złość.

– Pozwól Thierry'emu przyjść. – Opuściła ręce wzdłuż ciała. – Przechodzi teraz trudny okres. Nie mówi zbyt wiele. Tak właściwie to wcale się nie odzywa. Ale wiem, że naprawdę

chciałby zobaczyć twoje psy.

Terierka Byrona podbiegła na skraj ogrodu i czekała na niego niecierpliwie.

– Pójdę po niego – rzekła, biorąc jego milczenie za zgodę. – Na pewno zaraz go znajdzie. Jest tylko kilka miejsc, w których zwykle przebywa.

– Nie ma takiej potrzeby. – Byron skinął głową w stronę odległego żywopłotu, gdzie spomiędzy cisów prześwitywał niebieski sweterek. – I tak szedł za mną do domu.

Laura McCarthy użyła szóstego koloru z testera na fragmencie ściany w sypialni i odwróciła się. Niezależnie od tego, jakie światło wpadało do pokoju, nie wyglądało to dobrze. Żaden z kolorów nie pasował. Żadna z przyniesionych do domu próbek tkanin na nowe zasłony, żadna z jej ulubionych kombinacji. Postanowiła odświeżyć sypialnię, żeby odciągnąć myśli od utraty domu hiszpańskiego. Ale nie była w stanie odnaleźć w tym radości. To były te same stare ściany, a zasłony nie miały ozdobić wychodzących na jezioro ogromnych okien wykuszowych sypialni w domu hiszpańskim.

Pragnęła tego domu. Nie mówiła tego Mattowi, nie chcąc pogłębiać jego rozżalenia, ale miała poczucie, jakby ją z niego okradziono, jak gdyby w jej rodzinnym domu zamieszkał dziki lokator. Nie lubiła dramatyzować, ale czuła się niemal tak, jakby straciła dziecko. A próby udawania przed koleżankami, że to nie miało znaczenia, wymagały od niej nadludzkiego wysiłku. Miała plany na każdy kąt, wyraźnie widziała oczami wyobraźni, jak najlepiej urządzić każdy pokój. Mogła uczynić ten dom pięknym. Opłakiwała jednak nie tylko samo miejsce, ale i to, co mogło się w nim wydarzyć, jak przeprowadzka tam mogła wzmocnić ich rodzinę.

Laura westchnęła i zamknęła puszkę, a jej wzrok spoczął na pomalowanej w łaty ścianie. Dobiegły ją odległe dźwięki młotka, które oznaczały, że Matt pracuje w tamtym domu. Od kilku tygodni był pogodny, ale trochę nieobecny, jakby stale zaprzątnięty innymi sprawami. Tego ranka wręczył jej czek od tej całej Isabel Delancey.

– Lepiej go spieniężyć od razu, póki jest wypłacalna – powiedział radośnie.

Żywiła nadzieję, że to właśnie ta wizja, a nie coś innego, była powodem jego wesołości.

Ta kobieta była taka dziwna, taka nadwrażliwa. Najwyraźniej nie miała pojęcia o życiu na wsi ani o remontowaniu domu. Nie umiała nawet rozmawiać z ludźmi. Stała w pokoju Laury w tych dziwnych ubraniach, wyraźnie zakłopotana, i choć Laura odczuła satysfakcję, widząc, że tamta żałuje swojej decyzji, mimowolnie wyobrażała sobie, jak by to było być na jej miejscu, z dwójką dzieci, które musi wychowywać sama w tym domu. Wydawała się zagubiona, ale też dziwnie zawzięta, jakby mogła z byle powodu stanąć przeciwko nim. Kuzyni określali ją mianem „powiewu świeżości”, ale oni mówili dobrze o wszystkich, choć Laura podejrzewała, że nie zawsze robili to szczerze. Za każdym razem kiedy wchodziła do sklepu, brązowe oczy Asada patrzyły na nią spod opadających powiek tak, jakby sugerowały, że wie, co robi jej mąż, przez co czuła się zakłopotana. Uśmiechał się w sposób, który mógł wyrażać zarówno sympatię, jak i litość. Być może myślał o niej to samo co ona o Isabel Delancey podczas tego poranka na kawie. Matt nalegał wcześniej, by odwiedziła nową sąsiadkę, ale już przestał. Być może wyczuł jej niechęć. A ona uznała, że łatwiej jej nie spoufalac się z tą kobietą. Nie lubiła kłamać. Jeśli tamta zapytałaby ją, co tak naprawdę sądzi o tym domu, co, do licha, miałyby powiedzieć?

Z domu hiszpańskiego dobiegło ją skrzypnięcie, a zaraz potem stłumiony trzask i Laura zastanawiała się, co Matt teraz robi. Mówi, że w końcu dom i tak będzie nasz, pomyślała. Na tym muszę się skupić. Ta kobieta nie powinna tam mieszkać. A w miłości, na wojnie i w kwestiach mieszkaniowych wszystkie chwytły są dozwolone.

Laura McCarthy poprawiła zasłonę. Czekał na nią stos ubrań, a Ruby, ich sprzątaczką, nigdy nie potrafiła wyprasować koszul Matta tak, jak lubił.

Kiedy wiosna przeszła w lato, w codzienność Isabel wreszcie zakradła się pewna rutyna – nie taka, jakiej mogła się kiedykolwiek spodziewać, ale prawie nic w jej obecnym życiu nie przypominało tego, co mogłaby wcześniej przewidzieć. Najpierw rano odprowadzała dzieci do szkolnego autobusu. Po powrocie do domu piła kawę, ścieliła łóżka, szperała pod nimi w poszukiwaniu zabłąkanych skarpetek, zanosila kosz z brudnymi ubraniami do nowej pralki i gdy pogoda na to pozwalała, rozwieszała pranie na sznurze. Następnie sprzątała po śniadaniu, sprawdzała pocztę, zastanawiała się, co ugotować dzieciom na obiad, a potem zamiatała lub odkurzała ślady butów, które tworzyły ścieżkę wiodącą z i do domu.

Jeszcze później przygotowywała dla Matta i jego pomocnika pierwszy z wielu kubków herbaty i próbowała znaleźć odpowiedź na dziesiątki pytań, nad którymi do tej pory się nie zastanawiała: gdzie mają umieścić nowy kontakt? Jakie chce mieć oprawy oświetleniowe? W jakiej odległości wywiercić ten otwór? Wydawało jej się, że nigdy w życiu nie była tak znudzona, ale też nigdy wcześniej tak bardzo nie doceniała wysiłków podejmowanych przez Mary, kiedy ona zatracala się w muzyce. Cały czas z niecierpliwością czekała na jakąś spokojną godzinę, by móc poćwiczyć, na chwilę, by oczyścić umysł i przypomnieć sobie, że jest kimś więcej niż służącą.

Podejrzewała, że jej dzieci cieszą się z tej nowej matki. Potrafiła już ugotować kilka potraw, urządziła wschodnią część domu tak, że pomieszczenia, które nie były pokryte folią ani rusztowaniami, nabrały domowego charakteru. Pomagała im, w miarę możliwości, w zadaniach domowych. Stale była do ich dyspozycji.

Nie wiedziały jednak, jak męczyła ją ta niekończąca się praca. Nie zdążyła wyczyścić jakiegó powierchni, a ta znowu była brudna. W koszu na bieliznę ciągle pojawiały się nowe ubrania, nawet te ledwie noszone, więc wydzierała się na Kitty i Thierry'ego, nienawidząc przy tym swojego jędzowatego głosu. Pewnego razu, znudzona do granic możliwości obwieszaniem kolejnego sznurka praniem, po prostu postawiła kosz na ziemi i weszła do jeziora, zatrzymując się tylko po to, by zdjąć buty. Woda była tak oszałamiająco zimna, że zaparło jej dech w piersiach, i roześmiała się ze zwyczajnej radości, jaką dało jej to odczucie. Matt stał wraz z synem na rusztowaniu i obaj wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

– Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że mam się zająć łazienką? – zażartował Matt, a ona przytaknęła, szcękając zębami.

Czasami zastanawiała się, co by powiedział Laurent, gdyby zobaczył, jak szoruje w rękawicach gumowych patelnię, którą przypaliła. Albo jak wśród przekleństw pcha starą zardzewiałą kosiarkę, bezskutecznie próbując zaprowadzić porządek w ogrodzie. Od czasu do czasu wyobrażała go sobie, jak mąż siedzi w którymś pokoju i obserwuje ją z rozbawionym uśmiechem. „Alors, chérie! Mais qu'est-ce que c'est?”. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z rosnącą listą problemów związanych z remontem. Niemal za każdym razem, gdy spotykała Matta, dłuhał długopisem w spróchniałym drewnie albo rozcierał rdzawy osad między palcami. Dom był w jeszcze gorszym stanie, niż się spodziewała.

Każdy dzień przynosił jakąś przykrą niespodziankę: korniki w legarach, przeciekające rury, kolejny fragment dachu wymagający wymiany. Matt niechętnie mówił jej o problemie, a potem dodawał otuchy: „Nie martw się. Jakoś to obejdziemy”. Przy nim każda trudność wydawała się możliwa do pokonania, a jego spokój działał na nią jak balsam. Niewiele jest rzeczy, pocieszał ją, których nie widział wcześniej, a jeszcze mniej takich, których nie dałoby się naprawić. Do tej pory przekazała prawie połowę swoich oszczędności na materiały. Drewno,

kable, płyty izolacyjne i dachówki leżały w równych stosach w szopie, obok przepełnionych kontenerów na śmieci, tak jakby dom był składem budowlanym.

Matt uprzedził ją, że remont zajmie wiele miesięcy. „Postaramy się, żebyś tego nie odczuła”, powiedział. Po tygodniu wiedziała już, że to nie będzie możliwe. Pył gipsowy był wszędzie, wnikał nie tylko w każdą powierzchnię domu, ale i w ich ciała. Kitty miała ciągle zaczerwienione czy, a Isabel nieustannie kichała. Jedzenie musiało być przykryte, a co jakiś czas okazywało się, że w kolejnym pokoju brakuje podłogi albo drzwi są wyrwane z zawiasów.

– Przynajmniej oznacza to, że coś się dzieje, mamó – powiedziała Kitty, której o dziwo ten chaos nie martwił – i w końcu będzie to porządny dom.

Isabel starała się o tym pamiętać, kiedy patrzyła na to gruzowisko. I próbowała nie myśleć, czy aby pieniądze nie skończą się na długo przed tym, jak do tego dojdzie.

Isabel siedziała z podkulonymi nogami na sofie; przed sobą miała wielkie pudło rachunków i wyciągów bankowych. Od czasu do czasu marszczyła czoło, brała do ręki dwie kartki, jakby chciała je porównać, a potem w desperacji rzucała na podłogę. Kitty, biedząca się nad zadaniem domowym, próbowała ją ignorować. Thierry siedział w fotelu, pochłonięty grą komputerową, i poruszał jedynie kciukami. Na dole pan Granger wymieniał wkład kominowy. Na górze Matt, Byron i Anthony robili coś ważnego, a przynajmniej Kitty zakładała, że to coś takiego: od ich wiercenia trząsł się cały dom, a kłęby pyłu gipsowego spływały w dół po schodach niczym złowrogi oddech jakiejś demonicznej istoty. Do tego przez cały czas padał deszcz, a szare chmury wisiały nisko, co tylko potęgowało atmosferę przygnębienia panującą w tym i tak ponurym domu. W hallu i w sypialni woda kapała do wiader, wybijając melancholijny nieregularny rytm.

– O rany! – jęknęła Isabel, odsuwając od siebie pudło. – Nie mogę już patrzeć na kolejne rzędy cyfr. Nie jestem w stanie pojąć, jak twój ojciec to wszystko ogarniał.

– A ja bym chciała, żeby mi pomógł z tym zadaniem z matematyki – powiedziała Kitty ze smutkiem. – Nic z tego nie rozumiem.

Isabel wstała z sofy, podeszła do Kitty i zerknęła jej przez ramię.

– Och, kochanie, bardzo mi przykro, ale nie mam pojęcia. W tej rodzinie to twój tata był od myślenia.

W tym czasie Thierry zsunął się z krzesła i podeszedł do okna, po czym zaczął uderzać pięścią w ciężkie zasłony, z których wzbijały się tumany kurzu.

– Nie rób tak – skarciła go Kitty, poirytowana.

Thierry uderzył mocniej, jakby jej na złość. Kitty rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Mamó! – zaprotestowała. A kiedy ta nie zareagowała, krzyknęła: – Mamó! Popatrz, co on wyprawia!

Isabel podeszła do Thierry’ego, pogłaskała go po głowie bladą ręką i spoglądając do góry na czerwony aksamit, powiedziała:

– Są okropne, prawda? Powinam je porządnie wytrześć. Pozbyć się najgorszego.

– Och, tylko nie teraz – zaczęła Kitty, ale było już za późno.

Isabel żywołowo trzepała zasłony, posyłając na pokój wielkie kłęby kurzu, tak że aż Thierry zaczął kaszleć.

– Nie martw się – rzekła Isabel. – Zaraz potem poodkurzam.

– Nie mogę uwierzyć, że... – Kitty jęknęła, bo oto ciężki karnisz runął na podłogę wraz z dużą częścią ściany.

Isabel zakryła rękami głowę, żeby ochronić ją przed spadającymi kawałkami tynku. Zaraz potem osiadły zasłony, spowijając ją tkaniną. Na początku zapadła pełna przerażenia cisza, a gdy Kitty wpatrywała się w wielkie dziury nad oknem i prześwitujące przez nie cegły, Isabel zaczęła

chichotać.

– Mamo... coś ty narobiła? – Kitty podeszła bliżej, by ocenić straty.

Isabel otrzepała tynk z włosów.

– I tak były okropne.

– Owszem, ale przynajmniej mieliśmy jakieś zasłony. Teraz nie mamy żadnych. – Kitty pomyślała, że mama potrafiła być naprawdę wkurzająca. Podeszła do odtwarzacza CD.

– Trudno. To przecież tylko zasłony. Przez cały dzień tkwiłam w rachunkach i załatwiałam inne sprawy domowe. Mam już dość. Posłuchajmy sobie muzyki.

Na górze dudnienie ustało. O nie, westchnęła Kitty w duchu. Błagam, tylko nie teraz. Nie, kiedy jest tu Anthony.

– Mamo, muszę odrobić zadanie domowe.

– Ty też potrzebujesz rozrywki. Zerknę potem na to zadanie. Thierry, chodź tutaj i pomóż mi się wypłatać z tej zasłony. Wiem, do czego możemy je wykorzystać.

Isabel włączyła odtwarzacz i Kitty dobiegły pierwsze dźwięki *Carmen Bizeta*. O nie, pomyślała. Tylko nie to. Jednak Isabel już przykucała przy Thierryem, owijając sobie jedną z zasłon wokół pasa.

– Mamo, błagam cię... – jęknęła Kitty. Ale już po kilku taktach jej matka zatraciła się w muzyce, wirując w swojej nowej czerwonej szacie i zarzucając ją na ramię, gdy aria osiągała upojne wyżyny. Thierry podniósł drugą zasłonę i zaczął robić to samo, a jego usta układały się w słowa, których już nie wypowiadał na głos. Zirytowana Kitty ruszyła, by wyłączyć muzykę, ale zauważyła uśmiech matki na widok tańczącego brata i zrozumiała, że znalazła się w potrzasku. Stała z założonymi rękami, podczas gdy tamci tańczyli wokół siebie, udając, że śpiewają, i modliła się, by szybko skończyli, a w międzyczasie nikt nie zszedł na dół.

Oczywiście musiał się zjawić Anthony. Najpierw minął ich Byron, dźwigając na ramieniu stare deski. Anthony zszedł zaraz za nim, ale zatrzymał się w drzwiach, w wełnianej czapce naciągniętej nisko na czoło i z młotkiem w ręce, i rozejrzał się dookoła. Kitty złowiła jego spojrzenie i naszła ją chęć, by schować się pod sofę. To była chyba najbardziej żenująca sytuacja, jaka jej się w życiu przytrafiła. Wtedy zobaczyła go Isabel i z okrzykiem: „Hej! Anthony!”, rzuciła mu zasłonę. „Bawimy się w korydę!” – dodała, a Thierry uniósł dłoń nad głowę.

Kitty stwierdziła, że naprawdę chce umrzeć. To była jedna z ich ulubionych zabaw z ojcem. On wymachiwał rękami, ona i Thierry udawali, że na niego nacierają, po czym on schodził im z drogi. Mama nie powinna się bawić w korydę. To było nie w porządku. A Anthony pewnie rozpowie wszystkim w szkole, że są szaleni.

Chłopak jednak złapał zasłonę, odłożył młotek i już po chwili wymachiwał tą prowizoryczną mulecą przed Thierryem. Być może pod wpływem obecności Anthony’ego występ jej brata nabrał rozmachu. Gdy muzyka stawała się coraz bardziej żywiołowa, Thierry przestał zważać na dywany i stoliki i szarżował przez salon bez opamiętania, a Anthony kilkakrotnie przewracał się na sofę. Isabel stała w kącie i zwiłała się ze śmiechu. Thierry ryczał i uderzał stopą o ziemię niczym wściekły byk kopytem, a szeroko uśmiechnięty Anthony z wdziękiem odsuwał przed nim zasłonę. „Olé!” – wykrzyknął i Kitty zorientowała się, że mu w tym wtóruje. I po raz pierwszy od dawna, pośród tego hałasu, krzyków i ogólnego śmiechu, poczuła się szczęśliwa – naprawdę szczęśliwa. Isabel ponownie chwyciła zasłonę i wirowała z nią w rytm muzyki, a Kitty próbowała jej ją odebrać; ta szamotanina o kawałek sfatygowanej szkarłatnej tkaniny okazała się doskonałą zabawą. Właśnie wtedy na górze rozległ się niespodziewany huk, tak potężny, że podłoga pod nimi zadrżała, i wszyscy się zatrzymali. Płyta się zacięła, więc Isabel podeszła do odtwarzacza, by go wyłączyć.

– Co to było, u licha? – spytała, a wtedy rozległ się kolejny, słabszy huk, a po nim stłumiony okrzyk.

Zasłona powoli opadała u stóp Kitty. Wszyscy rzucili się pędem w stronę schodów, po czym zatrzymali się na półpiętrze. Z drzwi głównej sypialni wydobywały się kłęby gipsowego pyłu, a potem pojawił się w nich Matt, kaszląc i przecierając oczy.

– Chryste. Byliśmy o włos od tragedii – powiedział. – Gdyby to się stało kilka minut wcześniej, mogłoby spaść na Anthony’ego.

Anthony wpatrywał się w pokój. On również był w szoku, cały poszarzały – albo dlatego, że zbladł na ten widok, albo od osiadającego na nim pyłu. Isabel zakryła usta dłonią i weszła do środka, ignorując ostrzeżenie Matta. Kitty ruszyła za nią.

W sypialni nie było sufitu. W miejscu, gdzie do niedawna znajdowała się gładko otynkowana powierzchnia, ziała teraz poprzecinana belkami dziura, przez którą przeświecał strop pustego pomieszczenia na poddaszu. Na środku pokoju leżał wielki stos drewna i gruzu. Tam było łóżko mamy, pomyślała Kitty. To wszystko mogło się zawalić na nią.

– Zdejmowałem lampę, żeby sprawdzić instalację elektryczną – powiedział Matt – kiedy wszystko runęło z hukiem, belki i cała reszta. To mogło nas zabić. I nie tylko nas.

Do środka wparował pan Granger z zaczerwienioną twarzą.

– Dzięki Bogu, że nic wam się nie stało – wydyszał. – Myślałem, że cały dom się wali. Moje stare serce ciągle nie może się uspokoić.

– Czy nic nam już nie grozi? – spytała Isabel.

– Słucham? – spytał Matt.

– Czy to tylko to, spróchniałe belki? Nic innego nie powinno na nas spaść? – Wpatrywała się w niego intensywnie.

Matt nic nie powiedział.

– Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby strop runął ot tak – rzekł kominiarz.

– Ale to tylko tutaj, prawda? – dopytywała się Isabel. – Wszystko inne jest w porządku. To tylko ten pokój? – Kitty zobaczyła, że trzyma swoje skrzypce. Musiała je chwycić, kiedy myślała, że dom się wali.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Powiedz coś, Kitty prosiła w myślach Matta. Teraz.

– Powinno być w porządku – usłyszała z tyłu głos Anthony’ego. – Nie rozumiem tego. Wszystkie inne podłogi na górze są w dobrym stanie. Sam je sprawdziłem. To była tylko ta.

– Masz za mało doświadczenia, Anthony, żeby to wiedzieć na pewno – rzekł Matt.

– Ale daję głowę...

– Zacziesz wydawać gwarancje, co, synu? Czy masz absolutną pewność, że ten budynek ma solidną konstrukcję? – Wpatrywał się w Anthony’ego wyzywająco, sprawdzając, czy ośmieli się podważyć jego opinię.

– Co masz na myśli, Matt?

Zapadła cisza.

– Nie mogę ci nic obiecać, Isabel. – Pokręcił głową. – Mówiłem ci, co sędzę o tym domu. Nie mogę ci dać żadnej pewności.

Kitty już miała wrócić na dół, gdy usłyszała wybuch. Potężny huk odbił się od ścian.

– Co jest, na litość boską... – zaklęła Isabel.

Wszyscy na chwilę zamarli. A potem Matt, z włosami białymi od pyłu, rzucił się w stronę schodów, Kitty z matką za nim. O Boże, pomyślała. Ten dom nas wszystkich pozabija.

Wpadła na Matta przy wejściu do kuchni. Pośrodku stał Byron ze strzelbą na ramieniu, a kilka kroków od niego, tuż za drzwiami wiodącymi na zewnątrz, leżał martwy szczur.

– Do jasnej cholery, stary – westchnął Matt, wchodząc do kuchni. – Co tu się stało?

Jaskrawoczerwone wnętrzości szczura rozlewały się po popękany schodku. Byron również wydawał się zszokowany.

– Wszedłem tu tylko po kluczyki do furgonetki, a ten siedział tu sobie beczelnie.

– Fuj – jęknął Thierry, choć cały się ożywił.

Kitty gapiała się na zabite stworzenie, czując jednocześnie wstręt i litość. Mama zacisnęła rękę na jej ramieniu i wyprostowała się.

– Czyś ty oszalał? Co ci strzeliło do głowy, żeby sprowadzać broń do mojego domu? – wychrypiała.

– Wcale jej nie przyniosłem – zaproponował Byron. – Należała do Pottiswortha.

– Co? – Isabel zamurowała.

– Trzymał ją na tej szafce. Od wielu lat. – Byron wskazał na górę kredensu. – Myślałem, że o tym wiesz.

– Ale dlaczego strzelałeś?

– Bo to szczur. A co, zamierzałaś go stąd uprzejmie wyprosić? Szczurów z kuchni trzeba się pozbyć.

– Jesteś szalony! – krzyknęła Isabel i rzuciła się na niego. – Wynoś się z mojego domu!

– Mamo! – Kitty chwyciła ją za rękę.

Jej matka cała się trzęsła.

– Uspokój się, Isabel – odezwał się Matt. – Wszyscy jesteśmy teraz trochę podenerwowani.

– Ty mu to wyjaśnij – domagała się. – On pracuje dla ciebie. Powiedz mu, że nie wolno strzelać w czyimś domu!

Matt położył jej rękę na ramieniu.

– To akurat było tuż poza domem. Ale tak, masz rację. Byron, stary, trochę przegiąłeś.

Byron drapał się po karku.

– Przepraszam. Pomyślałem, że to niebezpieczne, kiedy w domu są dzieci. Tu nigdy nie było szczurów. Nigdy. Pomyślałem, że jeśli pozbędę się go od razu...

– Bezpieczniej było wypalić z broni w mojej kuchni?

– To nie było w kuchni – sprostował Byron. – Tylko w drzwiach.

Isabel gapiała się na martwe stworzenie, cała biała na twarzy.

– Niech się pani nie martwi. Nic się nie stało – powiedział pan Granger uspokajająco. – Uprzątnę to za panią. Chodź, chłopcze, podaj mi tę gazetę. A pani niech sobie teraz usiądzie i napije się herbaty. Jest pani w lekkim szoku. W tym domu nie można narzekać na nudę, co?

– Walące się sufity, szczury, broń? Co to za miejsce? – odezwała się Isabel, jakby do siebie. – Co ja, u licha, zrobiłam?

Kitty stała, wciąż jeszcze ciężko dysząc po tańcu, kiedy jej matka odwróciła się i wyszła powoli z kuchni, jakby nikogo tam nie było, przyciskając skrzypce do piersi.

Tego wieczoru muzyka, która niosła się po wodzie, była pełna furii. Nie miała w sobie nic ze swojego zwykłego melancholijnego piękna, lecz rozdzierała powietrze wściekłymi, poszarpanymi nutami.

Kitty leżała na łóżku, wiedząc, że powinna pójść na górę i porozmawiać z matką, ale nie była w stanie zbytnio się przejmować Byronem i jego głupim szczurem. Ciągle myślała o Anthonym trzymającym czerwoną zasłonę i o tym, jak się do niej uśmiechał, jakby wcale nie sądził, że jej rodzina jest szalona. Po raz pierwszy Kitty prawie się cieszyła, że tu przyjechała.

Henry i Asad wracali do domu i przystanęli, gdy ostatnia nuta wybrzmiała z gniewem.

– PMS – stwierdził ze znanstwem Henry.

– A co to za skrót? Piekielna muzyka skrzypcowa? – spytał Asad.



Po drugiej stronie drogi Laura McCarthy kończyła zmywać naczynia.

– Ten hałas – zaczęła, wycierając ręce w ścierkę – doprowadzi mnie do szaleństwa. Nie rozumiem, dlaczego las nie tłumi tego dźwięku tak jak tłumi wszystkie inne.

– Szkoda, że jej nie słyszałaś wcześniej – odparł Matt, którego przez cały wieczór nie opuszczała wesołość, nawet gdy usłyszał od żony, że w jej samochodzie trzeba wymienić dwie opony. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. A ty, Ant?

Anthony, ze wzrokiem wbitym w telewizor, bąknął coś niezrozumiale.

– To znaczy? – spytała Laura.

Matt otworzył puszkę z piwem.

– Wściekła się jak wariatka. Wprowadzimy się tam przed Bożym Narodzeniem. Zapamiętaj moje słowa. Jeszcze przed świętami.

Mało co może się równać z pięknem naturalnego krajobrazu Norfolk wczesnym latem, stwierdził Nicholas, pokonując ostatnie kilometry do Little Barton i mijając kamienne domki oraz rzędy sosen pozieleniałych jedynie na czubkach wiotkich pni.

Trzeba wprawdzie przyznać, że kiedy człowiek opuścił nieprzyjazne okolice północno-wschodniego Londynu, w porównaniu z nim prawie każdy krajobraz wydawał się zielony i malowniczy. Ale dziś, gdy już zostawił za sobą akweny, parki przemysłowe i smutne rzędy słupów elektrycznych wyznaczających obrzeża miasta, te bujne żywopłoty i przydrożna świeża zieleń niemal kłuły go w oczy swoją intensywnością. A Nicholas Trent był wrażliwy na symbolikę.

Bank okazał się skłonny wesprzeć go do pewnego stopnia i chciał zobaczyć szczegółowe plany.

– Dobrze cię widzieć – powiedział Richard Winters na jego widok, klepiąc go po plecach. – Nie poddałeś się, co?

Wielokrotnie powtarzał sobie, że właścicielka może nie chcieć go sprzedać. Że jest wiele innych miejsc, które równie dobrze mogą pasować do jego planów. Ale kiedy zamykał oczy, widział dom hiszpański i jego okolicę. Widział bajeczną dolinę, otoczoną scenerią tak zachwycającą, że trudno było uwierzyć, że nie jest dziełem wyobraźni rysownika.

I chociaż wiedział, że łatwiej byłoby mu wrócić do gry w branży, gdyby zabrał się za mniejszy projekt na terenie poprzemysłowym w mieście, już trzeci raz w tym miesiącu jechał w kierunku Little Barton. Żeby znów znaleźć się w miejscu, które pochłaniało jego myśli i które widział w pięknych, kolorowych broszurach ze swoich snów.

W pracy nic nie powiedział. Codziennie pojawiał się w agencji, punktualny i uprzejmy, i dalej stawiał czoła zestresowanym klientom, niezrozumiałym zmianom decyzji, umowom, które nie dochodziły do skutku, i nieosiągniętym celom biznesowym. Derek stawał się coraz bardziej opryskliwy – liczył na awans na kierownika regionu, ale nic z tego nie wyszło – i Nicholas wiedział, że każąc mu roznosić ulotki i posyłając go po kawę, próbuje wyładować na nim swoją frustrację. Ale już mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, cieszył się, że może przebywać poza biurem, z dala od irytacji z byle powodu i zjadliwej zazdrości, i pogрузić się w rozmyślaniach. W jego głowie aż się roiło od pomysłów.

– Skąd u ciebie taki dobry humor? – zapytała raz Charlotte, jak gdyby jego wyśmienity nastrój kłuł ją w oczy.

Dwanaście domów zasilanych energią odnawialną, z panelami słonecznymi i pompami ciepła, chciał odpowiedzieć. Do tego pięć domów o wysokim standardzie, każdy z przylegającym do niego terenem o powierzchni niemal pół hektara. I apartamentowiec najwyższej klasy, każde mieszkanie z przeszklonym frontem i spektakularnym widokiem na jezioro. Tak wiele możliwości, tak duży potencjał, a wszystko zależało od jednego: przekonania wdowy do sprzedaży.

Kiedys miałem niezłą gadkę, pomyślał Nicholas, zwalniając przed drogowskazem na Little Barton. Mógłbym nawet sprzedać lód Eskimosom. Dlaczego teraz miałyby mi się nie udać? Muszę tylko odpowiednio to przedstawić. Zbyt ni entuzjizm podczas prezentacji może wywołać u kogoś wrażenie, że trafiła mu się żyła złota. Zbyt niska oferta może zostać uznana za obraźliwą i uniemożliwić dalsze negocjacje.

Stwierdził, że nie ma sensu pokładać nadziei w jednej nieruchomości, niezależnie od jej potencjału. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że to droga do zguby. Wjechał do wsi i walczył

z samym sobą, próbując pohamować swój entuzjazm. Dziś nie odwiedzi tego domu. Spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej na jego temat, może pojeździ po okolicy, zajrzy do kilku agentów. W końcu to miejsce miało perspektywy. Stare, rozpadające się stodoły przekształcano w budynki mieszkalne, a domki dla służby przebudowywano, aby zaspokoić rosnący popyt. Zbada wszystkie inne możliwości i nie pozwoli, by jego serce zwyciężyło nad rozumem. Nie chciał rozbudzać w sobie nadziei, a potem doznać rozczarowania, gdy nic z tego nie wyjdzie.

Ale to było takie trudne.

Nicholas Trent siedział w aucie na cichej ulicy przez kilka minut. W końcu wysiadł z samochodu.

– To, co robi ten człowiek, jest niemoralne.

– Tego nie wiesz, Asad. Nie masz na to żadnego dowodu.

– Jakiego ty chcesz dowodu? – prychnął Asad, układając paprykę w stos na dziale warzywnym. Czerwona, żółta, zielona i tak po kolei. – Widać, że on rozwała ten dom od środka. Wystarczy, by przy niej wspomnieć, czym się teraz zajmuje jej mąż, a pani McCarthy oblewa się takim kolorem. – Uniósł czerwoną paprykę. – Ona doskonale zdaje sobie sprawę, co robi Matt. Pewnie oboje to ukartowali.

– Jej zakłopotanie o niczym nie świadczy. Wzmianka o domu może wywoływać u niej taką reakcję, bo tyle się narobiła wokół starego i nic za to nie dostała. – Henry pokręcił głową. – Tak naprawdę istnieje wiele powodów, dla których Laura McCarthy może się czuć niezręcznie, rozmawiając o swoim mężu, i ty dobrze wiesz, o czym teraz mówię.

– Ja tam swoje wiem. I ty też. Ten człowiek właściwie okrada panią Delancey. I robi to z uśmiechem na twarzy, udając dobrego samarytanina.

Słońce wpadało przez szyby sklepika, oświetlając wiadra z kwiatami zwiastującymi nadejście lata i kołyszącymi się wesoło na wietrze. Ale piwonie i frezje, widoczne przez nieskazitelnie czyste szyby, oraz doniczki z hiacyntami zdobiące parapety kłóciły się z ponurą atmosferą panującą wewnątrz. Henry patrzył, jak Asad się podnosi, i wsłuchiwał się w jego rżący oddech. Trawy zaczynały pylić i zawsze o tej porze roku astma Asada się nasilała.

– Moim zdaniem powinieneś przestać się tym przejmować – powiedział.

– A moim zdaniem – rzekł Asad ostentacyjnie – nadeszła pora, by ktoś się postawił Mattowi.

Drzwi się otworzyły i przy dźwięku dzwonka do środka wszedł mężczyzna. Koło pięćdziesiątki, klasa średnia, dobry garnitur, ocenił Henry. Na pewno zatrzymał się tu na chwilę i zaraz jedzie dalej.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Yyy... na razie się rozglądam. – Mężczyzna podszedł do działu z garmażerią. – Szukam czegoś na lunch.

– Z całą pewnością znajdzie pan coś odpowiedniego – zapewnił go Henry. – Proszę dać znać, kiedy się pan na coś zdecyduje. – Zostawił klienta i podszedł do Asada, który dopracował już wystawę z warzywami i teraz przekładał towary na półkach. – Ryby w puszkach – wyszeptał do niego – naprawdę nie muszą leżeć w kolejności alfabetycznej.

– To mnie niepokoi, Henry – powiedział również szeptem. – To mnie naprawdę niepokoi.

– To nie nasza sprawa. A mięso z kraba powinno stać koło sardynek.

– Kitty wpada codziennie i mówi, że Matt wyburzył jakąś ścianę albo że sufit się zawalił. Pani Delancey przychodzi błada ze zmartwienia o swoje finanse.

– Każdy, kto się zabiera za remont, wie, że to oznacza chaos i mnóstwo wydatków. Pamiętasz, jak to było, kiedy robiliśmy kuchnię.

– Ten dom przez pięćdziesiąt lat obywatel się bez remontów.

– No właśnie – mruknął Henry. – Pewnie dlatego teraz trzeba w nim wymienić wszystko.  
– Ona nie ma pojęcia o budownictwie. Nie zna się na niczym oprócz muzyki. I wciąż przeżywa śmierć męża. A on to wykorzystuje – mówił coraz bardziej podniesionym głosem.

– Ale my nie wiemy, co jest nie tak z domem. Sam powiedziałeś, że nikt tam nie zaglądał przez pięćdziesiąt lat. Kto wie, co Matt McCarthy tam zastał?

Asad zazgrzytał zębami.

– Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego fachowca, na pewno bym uwierzył, że dom wymaga takiego nakładu pracy. Ale nie w jego wypadku. – Odłożył puszkę sardynek na półkę.

Nieznamy klient przyglądał się chlebowi w koszyku.

– Ale powiedz mi, tak z ręką na sercu. Powiedz, że twoim zdaniem Matt McCarthy nie robi tego, by zdobyć dom. I że to nie jest jakiś rodzaj zemsty.

Henry wbił wzrok w ziemię.

– No i...? – dopytywał Asad.

– Tego nie jestem w stanie powiedzieć. Nie ufam mu, podobnie jak ty, ale to nie jest nasza sprawa. A mieszanie się w nią nie doprowadzi do niczego dobrego.

Umilkli, bo u boku Asada pojawił się klient. Mężczyzna posłał im uprzejmy uśmiech.

– Przepraszam, że przerywam panom rozmowę, ale chciałbym prosić o bułkę razową z kozim serem.

Henry szybko udał się za ladę.

– Oczywiście. Może dorzucić parę pomidorków koktajlowych? Są bardzo dobre.

Nicholas Trent wyszedł ze sklepu z brązową papierową torbą. Chociaż wcześniej był głodny, teraz stracił apetyt. Rzucił bułkę na siedzenie pasażera i ruszył przed siebie. W głowie mu szumiało, w żołądku czuł ścisk z podniecenia, kiedy szukał zarośniętej drogi obok farmy świń – drogi prowadzącej do domu hiszpańskiego.

„Wiosenny koncert”. Piękna kompozycja z frezji, narcyzów i hiacyntów, dostępna w kolorze białym, fioletowym lub blado-niebieskim, w formie bukietu lub wiązanki, a za dodatkową opłatą ułożona w szklanym wazonie. Ceny zaczynają się od nieco ponad trzydziestu funtów, bez uwzględnienia kosztów dostawy. Laura sprawdziła to w internecie. Kwiaty, które ucieszą twoje serce wiosną. Kwiaty, którymi można powiedzieć: dziękuję. Albo: myślę o tobie. Albo nawet: Kocham cię.

Kwiaty, których nie dostała.

Kwiaty, których koszt obciążył kartę kredytową Matta w zeszłym miesiącu.

Oczywiście nie widziała na oczy wyciągu bankowego – Matt nie był głupi i od dawna ukrywał przed nią wyciągi z kart kredytowych, a ona wiedziała, że używał karty służbowej do wszystkiego, co chciał przed nią ukryć. Ale zanim wyprała jego robocze dzinsy, sprawdziła kieszenie. Z jednej wypadł zmięty paragon wraz z kilkoma śrubkami i garścią drobnych. Wiedziała, że to numer jego karty, tak jak wiedziała o nim wszystko, co możliwe.

Nie wiedziała tylko, kto otrzymał te kwiaty.

Laura McCarthy szła leśną drogą, przed nią biegł pies, a po jej policzkach spływały łzy. Nie mogła uwierzyć, że Matt znowu to zrobił. Po tych wszystkich zapewnieniach i obietnicach... Myślała, że to już przeszłość. Udało jej się pozbyć niepokoju związanego z poczuciem, że mu nie wystarcza, że brakuje jej jakiejś nieokreślonej cechy i że zawsze powinna mieć się na baczności. Przestała postrzegać każdą napotkaną kobietę jako potencjalne zagrożenie.

Była taka głupia.

Wydmuchała nos. Nawet nie zauważała czaru pączkujących krzewów, narcyzów i dzwoneczków wyłaniających się z ziemi. Żołądek miała ściśnięty, czuła wściekłość, a w jej głowie kłębiły się oskarżenia. Widziała tylko twarz Matta wpatrującego się w jakąś inną

kobietę... Nie! Już od dawna wiedziała, że to droga do szaleństwa. Rozbrzmiewały jej w głowie ostrzeżenia matki, gdy zawierała to „nieodpowiednie” małżeństwo, że w razie problemów będzie mogła winić tylko siebie. Widziała swoją przyszłość: jak potulnie przymyka oko na zdrady męża, dopóki nie będzie on zbyt stary, by się ich dopuszczać.

– Pieprz się, Matt! – wykrzyknęła w las i zrobiło jej się trochę głupio, bo jej wychowanie i manieri zabraniały używania dosadnego języka.

Co powinna zrobić? Co może zrobić, skoro on ma w ręce wszystkie karty? Jak mógł tak postąpić, skoro ona tak bardzo go kochała i skupiała się na nim przez całe ich wspólne życie?

W głębi serca czuła, że coś jest nie tak. Był zbyt radosny, nieobecny duchem. Od prawie trzech tygodni nie chciał się kochać, a w przypadku Matta nie było wątpliwości, co to oznacza, choć zasłaniał się zmęczeniem albo oglądaniem do późna filmu, „który trzeba było obejrzeć”.

– O Boże... – Laura usiadła na pniu i zaczęła szlochać. Była twardą kobietą, ale ten świstek papieru ją pokonał. Jej małżeństwo było fikcją. Nie miało znaczenia, co mówił jej Matt: że to nie ma z nią nic wspólnego, że taki już jest. Nie miało znaczenia, że temu zaprzeczał. Kochała go, ale to nie miało sensu.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku?

Laura gwałtownie uniosła wzrok. Pięćdziesiąt metrów od niej stał mężczyzna w garniturze, a za nim jego samochód z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Odchylił głowę, jak gdyby chciał się jej lepiej przyjrzeć bez podchodzenia zbyt blisko. Bernie, jej pies, siedział u jego stóp, jak gdyby to nie Laura była jego panią. Wystraszona, zaczęła gorączkowo ocierać rękami twarz.

– O rany. – Wstała szybko, a jej policzki oblały się rumieńcem. – Już sobie idę. – Była przerażona, że ktoś ją widział w takim stanie. Tak niewiele osób zapuszczało się w ten las; zakładała, że będzie tu sama. Kiedy przeszukiwała kieszenie, usłyszała jego kroki. Wyciągnął w jej stronę chusteczkę.

– Proszę – powiedział. – Proszę ją wziąć.

Przyjęła ją niechętnie i przycisnęła do twarzy. Nikt już nie używa chusteczek do nosa z materiału, pomyślała. To ją w jakiś sposób uspokoiło, tak jakby osoba, która nosi takie przy sobie, nie mogła mieć złych zamiarów.

– Bardzo pana przepraszam – rzekła, próbując powstrzymać drżenie ciała. – Przyłapał mnie pan w nieodpowiednim momencie.

– Czy mogę... w czymś pani pomóc?

Zaśmiała się na samą myśl, że mogłoby istnieć coś, co by zaradziło na jej problem.

– Nie... nie – odparła.

Odczekał chwilę, aż otrze twarz. Płacz był dla Laury czymś obcym.

– Nie byłem pewien, czy mnie pani słyszy. Nie miałem pojęcia, czy ma pani te... – Pokazał, że chodzi mu o słuchawki. – Ludzie spacerujący z psem często je zakładają.

– Nie... – Rozejrzała się za Berniem, a potem już chciała mu oddać chusteczkę, kiedy uświadomiła sobie, że ta jest cała mokra. – Przepraszam. W takim stanie się panu nie przyda.

– Ach, to... – Machnął ręką, jak gdyby to było bez znaczenia.

Laura złapała psa za obrozę i stała przez chwilę z pochyloną głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Wobec tego zostawię panią w spokoju – rzekł tamten, choć wyraźnie nie kwapił się do odejścia – jeśli rzeczywiście wszystko jest u pani w porządku.

– Nic mi nie jest. Dziękuję. – Nagle przypomniała sobie, w jakim miejscu się znajdują. – Czy wie pan, że to prywatna droga? Szukał pan kogoś?

Teraz on wyglądał na zmieszanego.

– Ach. Prywatna droga. Musiałem źle skręcić. Tak łatwo się zgubić w lesie.

– I zaraz się kończy. Dokąd pan jedzie?

Wyglądał, jakby nie chciał się tłumaczyć. Wskazał na samo-chód.

– Szukałem po prostu jakiegoś urokliwego miejsca, by zrobić sobie przerwę na lunch. Mieszkam w mieście, więc właściwie wszędzie indziej mi się podoba. – Uśmiechnął się przepraszająco i tak szczerze, że Laura się odprężyła.

Spojrzała na porządną, choć nieco sfatygowany garnitur, na smutne, miłe oczy. Stwierdziła, że niepotrzebne się tym przejmując. Co ją to obchodzi? Jakże to ma znaczenie, biorąc pod uwagę, co wyprawia Matt?

– Znam takie ładne miejsce, gdzie może się pan zatrzymać na lunch, po drugiej stronie jeziora – powiedziała. – Jeśli zaparkuje pan samochód na skraju drogi, pokażę je panu. To tylko kilka minut spacerkiem.

Niedaleko stamtąd na nudnej lekcji historii Kitty rozmyślała intensywnie o czymś, czego się ostatnio dowiedziała. Starła się nie wyciągać pochopnych wniosków, jak nauczyła ją Mary, ale jakkolwiek by na to spojrzeć, informacja ta miała tylko jedno wyjaśnienie.

– Dzień dobry, pani Delancey. Cartwright z tej strony. Zastanawiałem się, czy przemyślała pani to, o czym rozmawialiśmy. Dostałem kolejny telefon od pana Frobishera, który jest wciąż zainteresowany obejrzeniem pani ge... guar... pani skrzypiec. Nie wiem, czy odebrała pani moje wcześniejsze wiadomości, ale moim zdaniem warto to rozważyć. Tak jak mówiłem, proponowana przez niego suma znacząco poprawiłaby pani sytuację finansową. To więcej niż dwukrotność tego, co zapłacił za nie pani mąż...

Znacząco poprawiłaby pani sytuację finansową. Kitty pamiętała tego mężczyznę z dużą łśniącą aktówką i jego zakłopotanie na widok sterty prania leżącej w salonie. Mama odprawiła ją, mimo że nie orientowała się w sprawach, o których mówił ten człowiek. I teraz Kitty zrozumiała dlaczego. Nie chciała, by jej córka wiedziała, że mają jakiś wybór. Okazało się, że te głupie skrzypce były dla niej ważniejsze niż szczęście własnej rodziny.

Nie mogła też liczyć na żadne wsparcie od Thierry'ego.

– Czy słyszałaś którąś z tych wiadomości? – spytała go w jego pokoju poprzedniego wieczoru, kiedy siedział przed jakąś apokaliptyczną grą komputerową, waląc w konsolę kciukami. – Czy wiedziałaś, że mama mogła sprzedać skrzypce?

Chłopiec wpatrywał się w monitor, jak gdyby nie chciał o niczym wiedzieć.

– Nie rozumiesz? Jeśli miała na nie nabywcę, Thierry, nie musieliśmy się przenieść do tej dziury. Moglibyśmy zachować nasz dom.

Thierry nie odrywał wzroku od komputera.

– Czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? Czy w ogóle obchodzi cię, że mama nas okłamała?

Wtedy zamknął oczy, jak gdyby miał jej kompletnie dość. Rzuciła mu w twarz, że jest świrem i atencjuszem, i poszła do swojego pokoju, by dalej to rozpamiętywać.

Mama domyśliła się, że coś jest na rzeczy. Przy kolacji ciągle wypytywała Kitty, co słyhać w szkole i czy u niej wszystko w porządku. Kitty była tak wściekła, że ledwo mogła na nią patrzeć. Umiała myśleć jedynie o tym, że dalej mogli mieszkać w Maida Vale. Mogli mieszkać w dawnym domu, z sąsiadami, których znali, chodzić do dawnej szkoły i może nawet dalej zatrudniać Mary, jeśli wystarczyłoby na to pieniędzy za skrzypce.

Potem Isabel oznajmiła, że postanowiła zacząć dawać lekcje, by trochę zarobić. Wywiesiła ogłoszenie w sklepie u kuzynów. Powiedziała „nie będzie tak źle” tyle razy, że Kitty wiedziała, jak bardzo się tego bała. Ale wciąż nie była w stanie czuć ani wdzięczności, ani współczucia. Ponieważ ta jej gadka o lekcjach znowu skierowała jej myśli na skrzypce.

– Czy ty nas kochasz? – spytała wyzywająco.

Jej matka była zszokowana.

– Jak w ogóle możesz pytać o coś takiego? Oczywiście, że was Kocham!

Nawet Kitty poczuła się winna, widząc jej minę.

– A co? – spytała Isabel. – Dlaczego w ogóle o to pytasz?

– Bardziej niż wszystko na świecie?

– Bardziej niż wszystko, co możesz sobie wyobrazić – powiedziała jej matka żarliwie i z przejęciem. Przytuliła ją po kolacji, jak gdyby na potwierdzenie swoich słów, ale Kitty nie była w stanie odwzajemnić jej uścisku, tak jak normalnie by to zrobiła. Ponieważ to były tylko słowa, prawda? Nie było wątpliwości, co kochała najbardziej. Gdyby te głupie skrzypce nie były ich jedyną nadzieją na poprawę losu, Kitty wyrzuciłaby je przez okno na piętrze.

Tego popołudnia wracała do domu z Anthonym. Spóźniła się na szkolny autobus, tak samo jak on, i dopiero kiedy dotarła do domu, pomyślała, że mógł to zrobić celowo. Teraz całkiem często ze sobą spacerowali, a Kitty była w jego towarzystwie znacznie śmielsza niż na początku. Całkiem fajnie się z nim rozmawiało, a idąc przez las, czuła się bezpiecznie, gdy był przy niej. Kiedy szła sama, zawsze wyobrażała sobie, że ktoś ją obserwuje zza drzew.

– Co byś zrobił, gdyby rodzice cię okłamali? – zapytała, kiedy zeszli na polną drogę.

Wracając ze szkoły, zwykle szli bardzo powoli, jak gdyby żadne z nich nie spieszyło się do domu.

– W jakiej sprawie?

Anthony wyciągnął w jej stronę opakowanie gumy do żucia i Kitty się poczęstowała. Nie była jednak pewna, czy chce mu powiedzieć.

– W bardzo ważnej – odparła wreszcie. – W takiej, która ma wpływ na całą rodzinę.

– Mój tata kłamie na okrągło – prychnął Anthony.

– A ty nic nie mówisz?

Chłopak cmoknął z irytacją.

– Rodzice tak już mają, że inne reguły stosują wobec nas, a inne wobec siebie.

– Mój tata taki nie był – rzekła Kitty i weszła na przewrócony pień. – Rozmawiał ze mną jak z dorosłą. Nawet gdy mnie ochrzaniał, brzmiało to tak... jakby po prostu chciał mi coś wyjaśnić. – Nie była w stanie mówić o nim dłużej, bo łzy napływały jej do oczu.

Odsunęli się, gdy na drodze pojawił się samochód, który mijając ich, zwolnił do minimum. Kierowca, mężczyzna w garniturze, podziękował im wyciągnięciem ręki.

Anthony odprowadził go wzrokiem, a potem wrócił na środek drogi, wzruszając ramionami.

– Mój tata kłamie każdemu prosto w twarz i zawsze uchodzi mu to na sucho – powiedział z goryczą. A potem zmienił temat. – W sobotę wybieram się ze znajomymi do kina. Masz ochotę do nas dołączyć? Jeśli nie masz innych planów.

Skrzypce od razu poszły w zapomnienie. Kitty rzuciła mu spojrzenie z ukosa. Anthony szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, jak gdyby dostrzegł tam coś niezwykle istotnego, na czym musiał się skupić.

– To nic takiego – dodał. – Zwykle spotkanie w grupie znajomych.

Gula w gardle Kitty nagle zniknęła.

– Jasne, czemu nie – odparła.

Nicholas Trent zamrugał, gdy wyjechał z lasu na ostre słońce, dotarł na szczyt polnej drogi i zasygnalizował skręt w prawo, by wrócić na główną. Biorąc pod uwagę, ile czasu zajął mu dojazd tutaj i jak długa wypadła mu przerwa na lunch, powinien od razu jechać do lokalnych agencji nieruchomości, tak jak zamierzał, jednak w rozterganiu ruszył w stronę autostrady.

W jego głowie za bardzo się kłębiło, by mógł myśleć jasno.  
I tym razem nie miało to nic wspólnego z domami.



Chłopiec leżał na plecach i chichotał, gdy puszyste pies-ki wspinały się na niego, wczepiając łapy w jego sweter. Dzieci w tym wieku same są jak szczeniaki, pomyślał Byron, oklejając kolejny karton. Mały przez większość przedpołudnia biegał po ogródku i gonił się z terierką, która ujadła podekscytowana. Tu, z dala od matki, zachowywał się inaczej. Chętnie się dowiadywał nowych rzeczy – jak naprawiać ogrodzenie, jak doglądać młodych bażantów, jakie grzyby są jadalne – a psy zalewał taką falą czułości, że obie suki, dotychczas przywiązane tylko do swojego pana, znalazły w nim nowy obiekt uwielbienia. Nie mówił wprawdzie zbyt wiele – dość trudno było wydobyć z niego zwykle „tak” lub „nie” – ale był nieco bardziej ufny.

Zachowanie Thierry’ego jak na chłopca w jego wieku było niepokojące. Kiedy Byron porównywał go ze swoją siostrzenicą Lily i jej gadulstwem, jej domaganiem się od innych uwagi i miłości, robiło mu się jakoś smutno. Podobno było to zrozumiałe u kilkulatek, który właśnie stracił ojca, dzieci różnie reagują na taką traumę. Podслуchał telefoniczną rozmowę jego matki ze szkołą, gdy przeciwstawiała się pomysłowi jakiegoś nauczyciela, by wysłać chłopca do psychiatry lub kogoś podobnego. „Rozmawiałam o tym z synem i odmówił. Chciałam mu na razie pozwolić, by radził sobie z problemami po swojemu” – rzekła. Zauważył, że choć mówiła spokojnym głosem, jej palce, zacisnięte na uchwycie szuflady, pobiełały. „Nie, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Z pewnością dam państwu znać, jeśli uznam, że potrzebuje specjalistycznej pomocy”. Przyklasnął jej w duchu: sam miał wrodzoną potrzebę prywatności, wolności od ingerencji i nadzoru. Ale trudno było się nie zastanawiać, dlaczego chłopiec jest taki zamknięty.

Wychylił się przez górną część dzielonych drzwi od kuchni.

– Zostaniesz chwilę sam na dole, Thierry? Muszę zabrać jeszcze kilka rzeczy z góry.

Chłopiec skinął głową, nawet na niego nie patrząc, więc Byron wspiął się po wąskich schodach, schylając głowę z przyzwyczajenia, i wszedł do sypialni. Dwie walizki, cztery duże kartonowe pudła i mnóstwo drobiazgów, a do tego kilka szczeniaków. Niewiele jak na dorobek życia, ale i niewiele rzeczy do przeprowadzki. Usiadł ciężko na łóżku, nasłuchując szczekania z dołu. Pokój nie należał do specjalnie ładnych ani luksusowych, ale przez ostatnich kilka lat Byron był tu szczęśliwy, mieszkając z siostrą i Lily. Nie przyprowadzał do domu kobiet – w tych nielicznych przypadkach, gdy odczuwał potrzebę damskiego towarzystwa, zawsze szły do niej – i dlatego jego sypialnia, pozbawiona kobiecej ręki, wyglądała bezosobowo jak pokój hotelowy. Jego siostra chciała uszyć zasłony i narzutę z jednego materiału – pewnie pragnęła, by w ten sposób poczuł, że ma dom. Powiedział jej jednak, żeby nie zwracała sobie głowy. I tak większość czasu spędzał na zewnątrz. Mimo to zdał sobie sprawę, że smutno mu opuszczać to miejsce.

Wynajmujący nie chcieli lokatorów z psami. Jedyne, który nie miał nic przeciwko temu, zażądał kaucji w wysokości półrocznego czynszu – „na wypadek gdyby zwierzęta wyrządziły szkody”. Była to astronomiczna kwota. Innemu przeszkadzały psy w domu. Byron wyjaśnił, że gdy tylko rozda młode, pozostałe dwa będą spały w samochodzie, ale właściciel mu nie wierzył. „Jaką mam gwarancję, że nie wpuścisz ich do środka po moim wyjściu?”

Tygodnie mijały, siostra się wyprowadziła, a za parę dni kończył mu się wynajem. Zastanawiał się, czy nie poprosić Matta o pożyczkę, ale nawet gdyby ten mu jej udzielił, coś w Byronie wzdragało się na myśl, by być jeszcze bardziej zależnym od tego człowieka.

– No i co teraz zrobimy, staruszko? – Pogłaskał Meg po głowie. – Mam trzydzieści dwa lata, nie mam rodziny, nie zarabiam nawet płacy minimalnej i niedługo będę bezdomny.

Pies wyglądał na smutnego, jakby i on pojmował ich niepewny los. Byron uśmiechnął się

i wstał, starając się nie myśleć o tym, co przed chwilą powiedział, ani jak bardzo ciążyła mu cisza w pustym domu. Nie chciał pozwolić, by rozpacz zagłuszyła jego determinację. Wiedział z przeszłości, jak łatwo takie myśli mogą zawładnąć człowiekiem.

Życie nie było sprawiedliwe i tyle. Świetnie zdawał sobie z tego sprawę Thierry, który w tak młodym wieku musiał przejść o wiele więcej niż on.

Byron zszedł na dół. Nadchodziła pora, by odprowadzić chłopca do domu. Dziś po południu wychodziła lokalna gazeta. Miał nadzieję, że znajdzie w niej coś dla siebie. Spojrzał na małego, zauważył jego radość i nagle poczuł zadowolenie, że może się na nim skupić.

– Chodź – powiedział do Thierry’ego, siłąc się na pogodny ton. – Jeśli będziesz grzeczny, poprosimy twoją mamę, żebyś mógł usiąść w koparce Steve’a, kiedy będziemy oczyszczać pole.

Isabel usłyszała ciche gwizdnięcie, gdy zeszła po schodach, i odruchowo złączyła rozchylony kołnierz bluzki. Matt, ze skórzanym pasem z narzędziami zawieszonym nisko na biodrach, wkładał po drugiej stronie korytarza kabel w szczelinę. Przy nim pracowało dwóch młodych mężczyzn, których widziała już kilka razy. Uśmiechał się do niej.

– Elegancko dziś wyglądasz. Wybierasz się gdzieś?

Isabel się zarumieniła i przeklęła się za to w myślach.

– Nie, nie – wymamrotała. – Wyrzebałam tylko tę starą bluzkę i postanowiłam ją założyć.

– Do twarzy ci w niej – powiedział. – Powinnaś się częściej ubierać w takie kolory. – Jeden z mężczyzn mruknął coś do niego, więc wrócił do pracy, a po chwili zaczął coś nucić pod nosem.

Wreszcie Isabel rozpoznała melodię. „Hey there, lonely girl... lonely girl...”

Miała ochotę się odwrócić; mimo to weszła do salonu, cały czas przytrzymując kołnierz. Matt już trzeci raz w tym tygodniu skomentował jej wygląd, ale trudno jej było uwierzyć, by ta bluzka zasługiwała na uwagę. Była to granatowa lniana koszula, stara i znoszona. Dostała ją wiele lat temu od Laurenta w czasie wycieczki do Paryża – było to jedno z wielu jej starych ubrań, które ostatnio znów zaczęły na nią pasować. Prawdę mówiąc, większość jej garderoby na niej teraz wi-siała. Od śmierci Laurenta nie miała apetytu. Czasami odnosiła wrażenie, że gdyby nie gotowała dla dzieci, żyłaby na herbatnikach i owocach. A do tego nie miała z kim pogadać o problemach z dziećmi, o złym nastawieniu Kitty, o milczeniu syna. Prawdopodobnie z nikim nie rozmawiała tyle co z Mattem.

– To co z łazienką? – zagadnął ją, stając w drzwiach. – Przenosimy ją? Lepiej będzie urządzić ją w trzeciej sypialni.

Usiłowała sobie przypomnieć przebieg ich wcześniejszej rozmowy.

– Czy nie mówiłaś, że to będzie więcej kosztować? – spytała.

– Owszem, trochę więcej, ale można by w tym miejscu zrobić garderobę i zostawić tylko umywalkę z toaletą, bo przełożenie instalacji wodno-kanalizacyjnej wcale nie będzie trudne. Moim zdaniem to o wiele lepsze rozwiązanie niż zostawić tu dużą łazienkę.

Przemyślała jego słowa, a potem potrząsnęła głową. Od kiedy zawalił się sufit, w czasie każdej rozmowy mimowolnie zerkała w górę.

– Nie mogę tego zrobić, Matt. Uważam, że wystarczy zainstalować w tej wannę.

– Wierz mi, Isabel, to naprawdę dobry pomysł. I dom zyskałby na wartości, mając porządną, dużą łazienkę i garderobę.

Potrafił być naprawdę przekonujący i domyślała się, że zwykle stawiał na swoim.

– Wiem, że dokładnie to przemyślałaś – powiedziała – ale nie tym razem. A tak w ogóle to chciałam z tobą porozmawiać o gniazdku w kuchni. Muszę podłączyć lodówkę, zanim zrobi się naprawdę ciepło.

– Ach, tak. Gniazdko. Nie jest to takie proste, jak się wydaje, ze względu na to, jak bieżą kable. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale coś wymyślę, nie martw się. A tak w ogóle to ładne masz dziś włosy.

Zerknęła do lustra i zastanowiła się, czy rzeczywiście wygląda dzisiaj jakoś inaczej. Już dwa razy to skomentował. Potem odwróciła się, wystraszona, że przyłapie ją na przyglądaniu się samej sobie. Bywały dni, kiedy wydawał się wszechobecny: wyskakiwał z pokoju, do którego miała wejść, nucił, gdy ćwiczyła grę na skrzypcach, robił sobie przerwę na kawę w kuchni, gdy gotowała, i komentował wiadomości w gazetach. Czasami jej to nie przeszkadzało.

– Mam też jedną niezbyt dobrą wiadomość. Znalazłem kolejne szczurze bobki, kiedy usuwałem starą listwę przypodłogową. Możliwe, że remont wykurzył je z kryjówki.

Przeszedł ją dreszcz. Od czasu tamtej sytuacji ze szczurem miała problemy ze spaniem.

– Czy powinnam wezwać kogoś do deratyzacji?

– Teraz nie ma sensu. Gdy podłogi są pozdejmowane, mogą się gdzieś poukrywać. Możliwe, że przychodzą z zewnątrz. Lepiej się tym zająć, gdy skończymy.

Isabel zamknęła oczy i wyobraziła sobie szczury, które w nocy wdzierają się do jej domu. Westchnęła ciężko, po czym sięgnęła po klucze i portfel.

– Matt, jadę na zakupy, niedługo wrócę! – krzyknęła. Sama nie wiedziała, dlaczego informuje go o swoich poczynaniach. Jeśli chciał wejść czy wyjść, korzystał z klucza, który leżał pod wycieraczką przy tylnym wejściu. Dowiedziała się o tym od niego kilka tygodni temu. Była w szoku, gdy okazało się, że wraz z dziećmi od miesiąca spała w domu, do którego każdy mógł bez problemu wejść. – Matt?

Nie słyszał jej. Gdy zamykała drzwi wejściowe, dobiegło ją gwizdanie z góry.

Dopiero po dziesięciu minutach stania w kolejce dotarła do bankomatu, głównie przez to, że staruszek przed nią czytał na głos każdą opcję, jaką oferował mu migoczący ekran.

– Dziesięć funtów, dwadzieścia funtów, pięćdziesiąt funtów, inne opcje... – mruczał. – Hm, ile mi właściwie potrzeba?

Isabel nie wyrażała zniecierpliwienia cmokaniem, jak ko-bieta stojąca za nią, mimo że padał deszcz, a ona nie wzięła parasola. Życie pokazało jej niedawno, jak łatwo mogą człowieka przerosnąć zadania, które innym wydają się proste. Za to zatrzymała go, gdy zostawił pieniądze w bankomacie, i z uśmiechem przyjęła jego podziękowanie.

Myślała jeszcze o staruszku i o tym, jak łatwo się zdekoncentrować, przez co dopiero chwilę po wpisaniu numeru PIN i kwoty do wypłaty zauważyła komunikat, który pojawił się na ekranie.

„Brak środków na sfinalizowanie transakcji” – głosił. „Skontaktuj się z najbliższym oddziałem banku”.

Wyszła z kolejki i weszła do środka. Kobieta przy okienku wzięła od niej kartę, wpisała coś do komputera, a następnie potwierdziła to, co oznajmił jej bankomat.

– Ma pani za mało środków na rachunku bieżącym – rzekła.

– A może mi pani powiedzieć, ile dokładnie mam? – poprosiła Isabel cichym głosem.

Kobieta postukała w klawiaturę, napisała jakąś kwotę na kartce i podsunęła ją jej.

– Ma pani debet na koncie. Jeśli przekroczy pani określony w umowie limit – przy tych słowach napisała kolejną kwotę – będą od tego naliczone odsetki.

Isabel rozpaczliwie szukała w pamięci, co takiego ostatnio kupiła, i przypomniała sobie nieplanowane zamówienie dachówek, nowe rury oraz oprawy oświetleniowe, które kosztowały dwa razy więcej, niż się spodziewała.

– Czy mogłaby pani przelać trochę pieniędzy z mojego konta oszczędnościowego na rachunek bieżący? Powinno tam coś być. Tyle, żeby nie była pod kreską.

Tamta wykonała polecenie i wręczyła Isabel kolejną kartkę, na której widniało podsumowanie jej oszczędności. Kwota była znacznie mniejsza od tej, której Isabel się spodziewała, ale kobieta, odwracając ekran w jej stronę uroczystym gestem, jak gdyby to było coś wyjątkowego, wskazała jej wszystkie transakcje z ostatniego miesiąca.

– Och... mam teraz w domu remont – wyjaśniła Isabel drżącym głosem.

Kobieta uśmiechnęła się do niej jakby ze współczuciem.

– Ciężka sprawa, prawda? – skomentowała.

\*

Isabel jechała do domu, przygnębiona, z ziemniakami i fasolką w puszcze zamiast pieczonego kurczaka i sałatki, które planowała kupić wcześniej. Aby poprawić sobie nastrój, włączyła leżącą w schowku starą kasetę Haendla. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad kosztami takich rzeczy jak jedzenie, ale teraz, w obliczu szybko kurczących się oszczędności, rozumiała, że musi ograniczać wydatki. Eliminując z menu mięso i ryby, mogła zaoszczędzić prawie dwadzieścia funtów tygodniowo na zakupach spożywczych, a koncentrat owocowy był znacznie tańszy niż naturalny sok. Poprzedniego wieczoru cerowała skarpetki Thierry'ego, choć dawniej wyrzuciłaby je i kupiła nowe. Gdy tak siedziała przy kominku i dziergała niczym prawdziwa gospodyni domowa, odczuwała wręcz medytacyjną przyjemność.

Ujechała kilkaset metrów polną drogą, kiedy Dolores, wykazując się doskonałym wyczuciem czasu, postanowiła zgasić resztki jej optymizmu. Silnik, który ostatnio z trudem odpalał – co Isabel uparcie ignorowała – odmówił posłuszeństwa, gdy auto wjechało w dużą kałużę na środku drogi. Wycieraczki szorowały po przedniej szybie, muzyka grała głośno, a Isabel przekręciła kluczyk, bezskutecznie próbując ponownie uruchomić samochód.

– Niech to szlag! – krzyknęła. Wsiadła z auta i ponownie zaklęła, gdy ugrzęzła stopą w zimnej, brudnej wodzie, po czym doczłapała do maski i z trudem ją otworzyła. Na wpeł osłonięta przed deszczem, wpatrywała się w silnik, nie mając pojęcia, czego szuka.

– Dlaczego? – jęknęła głośno. – Dlaczego teraz? Czy nie mogłaś mnie dowieźć do domu?

Kopnęła w nadkole, po czym wyciągnęła wskaźnik poziomu oleju – była to jedyna część w samochodzie, o której miała pojęcie. Ale kiedy już to sprawdziła, nic innego nie przyszło jej do głowy. Deszcz dalej lał się z szarego nieba, a ona miała ochotę przeklinać i na to.

Nie wiedziała nawet, czy chce wrócić do domu. W niektóre dni miała wrażenie, że ten budynek ją pożera, że została przez niego zniewolona i całą swoją energię poświęca na jego utrzymanie. Kiedyś miała głowę wolną od trosk, a teraz zajmowały ją decyzje, które zdawały się nie mieć końca – gdzie umieścić gniazdko, jakiego drewna użyć tu czy tam, jak wysokie mają być listwy przypodłogowe.

Starła się nie myśleć, co by było, gdyby Laurent żył. Bardziej przytłaczały ją drobne zmartwienia niż żałoba po nim: samochód, który nie chciał zapalić, wyciąg z konta bankowego, którego nie była w stanie zrozumieć, oceny dzieci, których nie mogła z nikim omówić, szczer w kuchni.

„Mam to gdzieś!” – miała ochotę rzucić w twarz robotnikom, którzy po raz piętnasty podchodzili do niej z pytaniami. Po prostu chce mieć dom, który będzie funkcjonował, nie absorbując moich myśli. Chce się zajmować muzyką, a nie izolacją.

– I chcę mieć samochód, który jest w stanie pojechać do sklepu i z powrotem! – wykrzyknęła. – Czy proszę o zbyt wiele? – Kopnęła w przednie koło, niemal rozkoszując się bólem, który przeszył jej stopę. – Nie chcę się męczyć z tym wszystkim! Chcę żyć tak jak kiedyś!

Wsiadła z powrotem do samochodu, woda z włosów kapała jej na ramiona. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów. Próbowała ocenić, czy więcej czasu zajmie jej powrót

do sklepu i wezwanie pomocy drogowej, czy pójście do domu – nie miała przy sobie komórki, bo tego ranka dała swój telefon Kitty, by poprawić córce nastrój – i obliczyła, że czeka ją piętnastominutowy spacer w deszczu bez względu na to, w którą stronę się uda. Zamknęła oczy: chciała, by muzyka przypomniała jej, że to też minie, że jej życie nie zawsze tak wygląda.

Kiedy uchyliła powieki, przez strugi deszczu na przedniej szybie dostrzegła czerwony kształt, który nadjeżdżał w jej stronę. Furgonetka Matta.

– Problemy z samochodem? – Zatrzymał się w niewielkiej odległości i wysiadł.

– Po prostu silnik zgasł. – Nie była w stanie ukryć ulgi na jego widok. – Nie wiem, co się stało.

Matt podniósł maskę i zajrzał pod nią. Przez otwarte drzwi z wnętrza auta dobiegały dźwięki Haendla.

– Nie umiesz żyć bez muzyki, co? – Włożył rękę do środka, podotykał części wokół silnika i cofnął dłoń. – Spróbuj odpalić. – Wsiadła do auta i przekręciła kluczyk. Nasłuchiwał, potem gestem nakazał jej ściszyć muzykę. – Jeszcze raz – powiedział i dodał po chwili: – Zaczekaj.

– Co takiego słyszysz? – spytała zaintrygowana. – Co takiego słyszysz, czego ja nie umiem wychwycić?

Wysiadła z samochodu. Głupio jej było siedzieć w suchym miejscu, kiedy on pracował w deszczu. Na jej widok Matt zdjął kurtkę i dał znak, żeby się nią okryła, po czym poszedł do swojej furgonetki, w której siedzieli jego pracownicy, i wyciągnął z niej szmatę. Wrócił do auta Isabel, wyciągnął ze środka kawałek gumy i wytarł go starannie, a następnie wyczyścił świece. Zanim skończył, jego szary podkoszulek był cały mokry, a włosy lśniły.

– Spróbuj teraz – powiedział. Isabel wróciła za kierownicę i mokrymi palcami przekręciła kluczyk. Silnik zamruczał posłusznie.

– Och! – wykrzyknęła zachwycona. Podskoczyła, gdy w oknie pojawiła się twarz Matta. Jego skóra błyszczała od deszczu.

– Kopułka aparatu zapłonowego – wyjaśnił, mrużąc oczy od kropel, które spływały mu po twarzy. – Lubię przemakać w samochodach tak nisko zawieszonych jak ten, zwłaszcza przy tych wszystkich kałużach. Przydałoby się to spryskać WD-40. Wiesz co, pojedę z tobą, a chłopaków poproszę, żeby zawrócili na górce i pojechali za nami. Chcę mieć pewność, że wrócisz do domu bez przygód.

Zanim zdążyła zaprotestować, wsiadł na miejsce pasażera i dał znak, żeby wyminęła jego furgonetkę. Czowała na sobie spojrzenia siedzących w niej robotników, doskwierała jej przy tym świadomość, że ma mokrą koszulę i mężczyznę tak blisko siebie.

– Możesz z powrotem włączyć muzykę – powiedział Matt.

Podkręciła ją trochę i triumfalny dźwięk klawesynu zalał wnętrze samochodu.

– Haendel – wyjaśniła, kiedy zauważyła, że spogląda na opakowanie kasy.

– Chyba żartujesz...

Zachichotała.

– Tak, tak, dobrze widzisz. To *Muzyka na wodzie*.

Odpowiedział jej gromki wybuch śmiechu.

Nie miała potem pewności, czy była to ulga, że samochód działa, czy rozpacz z powodu stanu finansów, czy też po prostu jakaś długo tłumiona emocja szukająca ujścia, ale kiedy ten stary, zawodny samochód odbił w stronę jej samotnego, przeciekającego domu pochłaniającego fortunę, jej chichot przybrał na sile i śmiała się tak bardzo, że aż łzy napłynęły jej do oczu i zaczęła się bać, że to może się źle skończyć.

Wjechała na podjazd, zatrzymała auto i uspokoiła się. Przy wyłączonym silniku i muzyce

cisza panująca w samochodzie nabrała nagle pewnego ciężaru.

Wpatrywała się w swoje ręce, w pociemniały materiał nasiąknięty deszczem, w wyraźny zarys piersi na wilgotnej koszuli. Czuła na sobie jego spojrzenie i próbowała zachować kamienną twarz.

– Miło widzieć, jak się uśmiechasz – powiedział cicho Matt.

Spojrzała w jego oczy, błękitne i poważne, jakby straciły zwyczajową pewność siebie.

Położył dłoń na jej ramieniu. Przebiegł ją dreszcz, ale on otworzył drzwi i wysiadł. Ruszył w deszczu do czekającej na niego furgonetki, a Isabel sięgnęła dłonią do swojego ramienia i dotknęła ciepła, które Matt tam pozostawił.

Nie znalazł niczego, na co mogłaby sobie pozwolić osoba zarabiająca nawet dwa razy tyle co on. Niczego dla kogoś, kto pragnął mieszkać w rozsądnej odległości od miejsca, w którym spędził większość życia. Byron siedział w swoim samochodzie, deszcz bił o szybę, z tyłu siedziały szczeniaki, które skomlały i warczały na siebie, a on przeglądał lokalne gazety w poszukiwaniu ogłoszenia mogącego mu zapewnić dach nad głową. Znalazł tam domy wysokiej klasy, mieszkania z dwiema sypialniami, zmodernizowane dawne domki dla służby. Ale nic dla człowieka o niskich dochodach i niewielkich oszczędnościach.

Kiedy Byron myślał o swoim koszmarnym położeniu, nie mógł w to uwierzyć. To jedna z tych rzeczy, o których człowiek myśli, że przytrafiają się innym. Ale przecież już kilka lat temu znalazł się w okolicznościach, których nigdy wcześniej nie brał pod uwagę. Jak brzmiało to powiedzenie? Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, opowiedz mu o swoich planach?

Byron nie miał już żadnych planów, pragnął jedynie znaleźć jakieś tymczasowe miejsce na nocleg. W desperacji pomyślał o oddaniu szceniąt do schroniska, aby łatwiej mu było znaleźć coś dla siebie. Ale były tak młode, że oznaczałoby to pozostawienie z nimi matki, a on nie mógłby znieść utraty ani Meg, ani Elsie. Były właściwie wszystkim, co mu zostało.

Brał pod uwagę poproszenie siostry, by przenocowała go na kanapie przez kilka tygodni, ale stwierdził, że to nie byłoby w porządku. Zaczynała nowy etap, a on był zbyt dumny, by sabotować początek jej prawdziwego rodzinnego życia. Miał znajomych we wsi, ale z nikim nie był na tyle blisko, by poprosić o taką przysługę. Odkrył, że w podobnej sytuacji znajdowała się cała grupa ludzi, nie prawdziwi bezdomni, ale niejako w okresie przejściowym: spali u znajomych na kanapach, w wolnych łóżkach, w przyczepach, aby zapewnić sobie dach nad głową przez kolejny tydzień. Mógłby pewnie zamieszkać trzysta kilometrów stąd, na wybrzeżu, w domku rodziców, który kupili na emeryturze, ale co by mu z tego przyszło? Nie miał pracy, a ich dom, z nieskazitelnie czystymi podłogami i dywanami oraz mnóstwem bibelotów, nie był miejscem dla niego ani dla psów. Nie miał też sumienia prosić ich o pieniądze; wiedział, że sami mają niewiele.

Poza tym myśl o przyznaniu się, jak nisko upadł – o rozczarowaniu ich po raz drugi – była nie do zniesienia. Nikt nie chciał określać się mianem bezdomnego i Byron wolał, by inni nie postrzegali go w ten sposób. Ogarnęła go rozpacz. Myślał nad tym tak długo, aż niebo pociemniało, a sfrustrowane przebywaniem w zamknięciu psy zaczęły skomleć.

Wreszcie uruchomił silnik i odjechał.

Było już ciemno, gdy zaparkował swojego starego land rovera na polanie przy klatkach dla bażantów. Wybrał to miejsce, ponieważ ziemia ta należała do Matta i obecność jego samochodu nie będzie rodzić pytań. Była już prawie ósma. Włożył szczeniaki do kartonu, a potem przewiesił torbę przez ramię i z dwoma dorosłymi psami u boku ruszył w drogę.

Byron znał ten teren tak dobrze, że nie potrzebował latarki. Przez wiele lat przemierzał go prawie codziennie, wychował się w okolicy, więc potrafił pokonać każdą koleinę i każdą zwałoną gałąź lekko i pewnie jak kozica. Szedł w gęstym mroku, pod osłoną drzew. W lesie od czasu do

czasu rozlegało się odległe pohukiwanie sów albo rozpaczliwy krzyk zająca schwytanego przez drapieżnika, ale on nie słyszał niczego poza szeptem deszczu i własnym miarowym krokiem.

W końcu zobaczył światła. Zatrzymał się na skraju pola, nie do końca pewny, czy ośmieli się to zrobić. Z tej odległości zobaczył jej rozmazaną sylwetkę, patrzył, jak podeszła do okna, by zaciągnąć długie zasłony, i powoli zniknęła mu z oczu. Później zdał sobie sprawę, że właśnie wtedy najbardziej podupadł na duchu: obserwując ten prosty domowy rytuał, poczuł się tak samotny i oddzielony od innych jak nigdy wcześniej.

Szczeniaki wierciły się w wilgotnym kartonie. To tylko na chwilę, powiedział sobie, wycierając twarz drugą ręką. Do czasu, aż będzie można odstawić młode od matki i je sprzedać. Do czasu, aż stanę na nogi. Poprawił karton pod pachą i nakazując psom ciszę, przeszedł ciemnym skrajem pola, aż dotarł do drzwi drewniano-murowanej przybudówki.

Zamek był zepsuty, odkąd sięgał pamięcią, drewno wokół spróchniało i ledwo utrzymywało żeliwną zasuwę. Otworzył drzwi po cichu. Z domu dobiegł go odległy dźwięk skrzypiec i czyjś podniesiony głos, który zaraz ucichł. Wślizgnął się do środka i zszedł po kamiennych schodach. Pachniało tu olejem i siarką, ale przynajmniej było sucho i o kilka stopni cieplej niż na zewnątrz: nocne powietrze nadal przenikał chłód zimy. W tle słyszał monotonne dudnienie bojlera, ale dopiero gdy zamknął za sobą drzwi, odważył się włączyć latarkę.

Właśnie tak Byron zapamiętał to miejsce: kotłownia w piwnicy miała kształt litery L, w odległym kącie znajdował się stary bojler, a przy drzwiach leżała sterta drewna, na tyle wysoka, by mógł się za nią ukryć. Do tego brudna stara umywalka dla robotników i drzwi prowadzące do kuchni tylnymi schodami, zamknięte na kłódkę. Nie istniało ryzyko, że któreś z dzieci będzie tędy przechodzić, nie było powodu, by ktokolwiek tu zaglądał. Nie zdziwiłby się, gdyby Isabel w ogóle nie wiedziała o istnieniu tego pomieszczenia.

Postawił pudło ze szczeniakami na podłodze i rozwinął ściągacz. Meg położyła się i z miną wyrażającą zarówno zadowolenie, jak i wyczerpanie, zaczęła karmić młode. Jutro Byron miał zamiar pójść po resztę swoich rzeczy. Wyłożył jedzenie dla psów, napełnił miskę wodą i próbował się umyć nad umywalką. W końcu wyłączył latarkę i usiadł w kącie, przy kracie odsłaniającej skrawek nocnego nieba, słuchając psów i starając się nie myśleć o tym, gdzie się znajduje. Starał się nie myśleć o niczym. To była umiejętność, którą nabył dawno temu.

Już miał wejść do śpiwora, kiedy kątem oka złowił błysk metalu. Jasnego i nowego, w przeciwieństwie do rdzewiejących, matowych zasuw i śrubek, których pełno w starym domu. Byron sięgnął po latarkę i włączył ją, kierując promień w tamto miejsce. W kącie, przy drzwiach wiodących do kuchni, stał transporter dla zwierząt. Nowy, druciany, z metalowym dnem, w sam raz dla niewielkiego kota.

Gdy go podniósł, zauważył w jego rogu szczurze bobki. To nie kota w nim zatem przenoszono. A zamek w drzwiach prowadzących do korytarza kuchennego był wyłamany.

Byron usiadł, na chwilę zapominając o swoim trudnym położeniu. Jego myśli zaprzętał teraz niespodziewany gość składający wizyty w kuchni.

Mówiono jej, że dla tak dużego, zniszczonego i odosobnionego domu sprawdzianem okaże się zima. Że przez nieszczelny dach będą przenikać chłód, deszcz i wiatr, a od ziemi będzie ciągnąć wilgoć z jeziora. Ale teraz, gdy nadeszło lato, zauważyła, że cieplejsza pogoda wiąże się z innymi uciążliwościami. Tak jakby natura wiedziała, że ostatni z Pottisworthów umarł i jego miejsce zajęła uzurpatorka, i sama postanowiła przejąć dom hisz-pański, cegła po cegle, centymetr po centymetrze. Skupiska dzwonek, tulipanów i hiacyntów rozprzestrzeniały się coraz bardziej, a między kostką brukową otaczającą dom zaczęły wyrastać chwasty: zielone pędy przekształciły się w kłujące osty, trujący krostawiec albo bujną gwiazdnicę. Długotrwałe deszcze sprawiły, że tynk pokrył się mchem, a oplecione bluszczem żywopłoty napęczniały. Skąpa do tej pory trawa, tworząca wydeptany dywan, zazieleniła się, wystrzeliła w górę i wdarła się na ścieżki i żwir, upstrzona mniszkami i jaskrami. Kilka starych drzew owocowych przewróciło się i leżało tak w niemym akcie oskarżenia wobec nowej właścicielki za zaniechanie ogrodu. Jakby w odpowiedzi na wezwanie natury króliki wykopały na ich terenie nory ukryte w trawie i grożące skruceniem kostki, a rozsiane tu i ówdzie kretowiska stanowiły zwieńczenie tej wywrotowej działalności natury.

W środku sprawy miały się nieco lepiej. Matt i jego pracownicy bywali u niej codziennie, wybijali dziury w ścianach i wypełniali je na nowo. W niektórych miejscach widać było poprawę: dach był szczelny, a komin nie przechylał się już niepewnie na jedną stronę. Rura odprowadzała ścieki z łazienki, eliminując ryzyko tyfusu, położono też nową podłogę i zamontowano porządny zlew w kuchni. Wymieniono kilka okien, w kranie płynęła ciepła woda, choć z przerwami, do tego zainstalowano część systemu grzewczego, który obiecywał ciepło na zimę, ale na razie ciekło z niego na nową podłogę.

Jednak Isabel dalej nie miała działającej łazienki ani prądu w kuchni, mimo że wielokrotnie o to prosiła. Miała za to stos wyciągów bankowych dokumentujących rosnące wydatki oraz zeszyt z listą prac, które według Matta McCarthy'ego były niezbędne, i wypisanymi obok potencjalnymi kosztami. Sumy z wieloma zerami za każdym razem wywoływały u niej szok.

Przez cały ranek siedziała przy stole w kuchni i porządkowała wyciągi, mając czarno na białym obraz swojej sytuacji finansowej. Od tego, co zobaczyła, zakręciło jej się w głowie, jakby stanęła nad krawędzią urwiska. Zostało tylko tyle, pomyślała. I tylko ja. Jestem za wszystko odpowiedzialna. Dzieci są ode mnie zależne. Nie brały pod uwagę, że ich matkę może to przerosnąć.

W tym momencie do kuchni wszedł Matt z torbą świeżych croissantów. Usiadł naprzeciw niej.

– Proszę – powiedział, podsuwając jej jeden. – Są przepyszne. Weź gryza.

Odczuwała dziwne skrępowanie, wiedząc, że patrzy na jej usta.

Uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze, co?

Miał masywne dłonie, suche i szorstkie od lat ciężkiej pracy. Kiedy przytaknęła, przeżuując, uśmiechnął się znowu, jakby się w czymś upewniał. Teraz często przynosił jej takie drobne podarki: dobrą kawę, którą potem dla niego parzyła, jajka, które dostał od poprzedniego zleceniodawcy, czekoladowe babeczki i ciasteczka, które ktoś z jego ekipy przywiózł z miasta. Sama nie wiedziała, czy cieszyć się z jego obecności, bo mniej jej były wtedy straszne szczury, możliwe przecieki albo awaria piecyka, czy też bać się go, bo czuła, jakby miał nad tym domem



większą władzę niż ona. Ze swoją charyzmą zawsze zdołał przekonać ją do swoich pomysłów, nawet jeśli początkowo miała zupełnie inne plany.

– Co za niesamowite dłonie! – wykrzyknął, kiedy znowu podniosła croissanta do ust.

Byron akurat stanął w drzwiach.

– Spójrz na nie, Byron. Widziałeś kiedyś takie palce?

Zarumieniła się, kiedy ujął jeden z nich.

– Zawsze je chroniałam – rzekła. – Nigdy za wiele nie robiły, nie licząc gry na skrzypcach.

– Nic po nich nie widać. Są takie gładkie. Wyglądają jak... – Odwrócił się do Byrona. –

Jak ręce posągu, co nie?

Byron mruknął, że owszem, przez co Isabel poczuła się zażenowana. Matt dopił kawę i wstał.

– Nie zjedz wszystkich naraz! – zawołał do niej na odchodne.

Isabel wpatrywała się w cienką książeczkę czekową i leżącą obok niej torbę z croissantami. Nawet takie smakołyki nie były w stanie poprawić jej nastroju. Wyciągi uparcie głosiły jedno. Zgarnęła je na stos. Za oknem widziała Matta, który nadzorował pracę koparki. Kładli właśnie kolejną rurę kanalizacyjną.

Trzeba to zakończyć, powiedziała sobie. Nieważne, w jak złym stanie jest dom, ona nie miała już pieniędzy na remont.

\*

Isabel zmierzała po trawie w ich stronę. Miała na sobie długą, szeroką spódnicę i obszerny wełniany kardigan. Włosy opadały jej luźno na ramiona, a wiatr zwiewał zabłąkane kosmyki na twarz. Matt podszedł do koparki i schował w niej plany Svena.

– Przyniosłam wam herbatę – powiedziała, trzymając w ręce dwa kubki.

Matt uśmiechnął się szeroko do Byrona.

– Pani Delancey wie, jak się o nas zatroszczyć. Nie tak jak niektórzy, co, Byron?

– Dziękuję. – Byron wziął od niej kubek. Palce miał poczerniałe od ziemi.

– Właśnie mówiliśmy, że kiedyś, zanim zawalił się ten mur, był tam ogród warzywny. –

Matt wskazał na miejsce otoczone z dwóch stron przez jasnoczerwone cegły. Wciąż miał go przed oczami, z rzędami rozpiętych na treliżu jabłoni takich odmian jak Gascoyne's Scarlet, D'Arcy Spice i Enneth's Early. – Zostało tam jeszcze parę drzew owocowych. Możesz liczyć tej jesieni na okazałe zbiory. – O ile wciąż tu będziesz, przyszło mu nagle do głowy.

Byron odstawił kubek na ziemię.

– Z tyłu jest kilka podniesionych grządek, na których kiedyś rosły warzywa. Może Thierry chciałby tam coś posiać. Moja siostrzenica lubi hodować roślinki.

To była jedna z najdłuższych wypowiedzi, jakie Matt słyszał z jego ust.

– Pokażę mu, jak się do tego zabrać, jeśli nie masz nic przeciwko – mówił dalej Byron. – Groszek jest łatwy w uprawie.

– To rzeczywiście brzmi jak coś dla niego – powiedziała Isabel, odsuwając włosy z twarzy. – Dziękuję.

Byron zrobił krok naprzód, szurając butami grubo pokrytymi błotem.

– Poza tym chciałem przeprosić za tamtą sprawę ze szczurem. Schowałem broń na strychu, gdzie nikt się na nią nie natknie.

– Dziękuję – powtórzyła.

– Myślę, że szczury już nie będą was niepokoić.

– Co do tego nie możesz mieć pewności – wtrącił się Matt.

– Myślę, że mogę – rzekł Byron stanowczym tonem, ze wzrokiem wbitym w ziemię tuż

przed stopami Matta. – Myślę, że mogę spokojnie powiedzieć, że to był pojedynczy przypadek.

– Skoro tak... to ogromna ulga – przyznała Isabel. – Po tamtej sytuacji ze szcurem miałam koszmary. Nie mogłam spać przez kilka nocy... A tak w ogóle – zwróciła się do Matta – to czy możemy zamienić kilka słów? Muszę z tobą porozmawiać o remoncie.

Byron odszedł w stronę koparki. Isabel już otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale się zawahała. Wreszcie podniosła wzrok i odgarniając włosy z twarzy, spojrzała na Matta, z miną przepaszającą i jednocześnie lekko prowokującą.

– Muszę to zakończyć.

Matt uniósł brew pytająco.

– Remont – doprecyzowała. – To, co zrobiłeś do tej pory, jest fantastyczne, ale na razie nie mogę sobie pozwolić na więcej.

– Nie możesz tego zakończyć ot tak – powiedział. – Jesteśmy w trakcie kilku różnych prac. Nie możesz ich przerwać w połowie.

– Niestety, nie mam wyjścia. Przejrzałam stan swoich finansów i nie dam rady ciągnąć tego remontu, przynajmniej na razie. Doceniam wszystko, co zrobiłeś, Matt, naprawdę, ale muszę myśleć rozsądnie. – Zarumieniła się przy tych słowach.

– Ale to przerwanie w tym momencie nie jest rozsądne. – Wskazał na koparkę. – To, co teraz robimy, to podstawa. Nie zajdziesz daleko bez podłączenia nowej kanalizacji. Do tego dopiero zaczęliśmy z łazienką. Owszem, na razie obejdiesz się bez ogrzewania na górze, ale osobiście radziłbym to skończyć. Przed samą zimą nie znajdziesz żadnej ekipy remontowej, a jeśli przyjmę teraz inne zlecenia, to tak szybko tu nie wrócę. – Dostrzegł nagle, jak zbladła.

– Nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć, Matt.

– To spróbuj mi to wytłumaczyć.

Poczuła od niego lekki zapach cytrusów.

– Dobrze. Po prostu nie miałam pojęcia, że to będzie tak kompleksowe przedsięwzięcie, i okazało się, że nie mogę sobie pozwolić na dalsze prace. Nie byłabym w stanie ci zapłacić.

Była bliska łez. Rzęsy w kącikach jej oczu lśniły jak małe czarne gwiazdki.

– Rozumiem – odparł. Zwały ziemi leżały wokół świeżo wykopanego rowu, w którym trzeba było jeszcze położyć rury. Nowa armatura łazienkowa stała w opakowaniu na tyłach domu. Wybrał ją kilka miesięcy temu. Była to żeliwna wanna w stylu wiktoriańskim z nóżkami w kształcie lwich łap oraz duża umywalka. Dokładnie to, o czym marzyła Laura. Ostatnio często zapominał, że to dom Isabel.

– Wierz mi – powiedziała cicho. – Jeśli mogłabym sobie na to pozwolić, kontynuowałabym ten remont.

– Jest aż tak źle?

– Owszem. – Unikała jego spojrzenia.

Zapadła chwila ciszy. Dobiegło ich odległe krakanie wron.

– Dobrze się czujesz, Isabel?

Pokiwała głową, przygryzając wargę.

– No nic, nie martwmy się tym teraz. Chłopaki skończą to, co już zaczęli, a potem to zostawimy.

Chciała mu przerwać, ale powstrzymał ją gestem.

– Nie martw się. Nie musisz mi płacić za wszystko od razu. Jakoś się dogadamy.

Później stwierdził, że w tej rozmowie źle dobierał słowa. Tak naprawdę mówił bez zastanowienia. Bo chociaż spodziewał się tego od miesięcy – odkąd zrozumiał, że nowa właścicielka domu o niczym nie ma pojęcia – Matt nie był w stanie się tą chwilą delektować. Byron rozproszył go tonem, jakim wspominał o szczurze. I tym, w jaki sposób spojrzał na Isabel,

gdy brał od niej kubek z herbatą. To go zupełnie wytrąciło z równowagi.

Gdy Isabel oddalała się ze spuszczoną głową, lekko skulona, by uchronić się od wiatru, Matt podszedł do Byrona.

– Powiem ci coś – rzucił mu od niechcienia.

Byron podniósł wzrok.

– Nie interesuj się zbytnio tą wdową.

Ku jego zaskoczeniu Byron nie zaprotestował. Nawet nie próbował udawać, że nie rozumie, o czym mowa. Stał wyprostowany, o dobre pół głowy wyższy od swojego pracodawcy, i ich spojrzenia się spotkały na dłużej, niż Matt się spodziewał. Wyraz twarzy Byrona był nieprzenikniony.

– Chcesz mnie od niej odstraszyć – stwierdził głosem niskim i spokojnym. A potem odszedł, ale jego mina mówiła jasno to, czego nie powiedział na głos: nawet ty możesz odstraszyć jedynie od tego, co rzeczywiście należy do ciebie.

Po południu pogoda się zepsuła, wilgotna ziemia stawiała opór, więc przemoczeni Matt i jego ludzie skończyli wcześniej. Jaskrawożółta koparka stała nieruchomo pośród błota. Isabel zerkała na nią od czasu do czasu, ale zaraz odwracała wzrok – maszyna przypominała jej o ich sytuacji finansowej. Chcąc poprawić sobie nastrój, postanowiła upiec ciastka, ale nie wiedziała, ile powinna je trzymać w tym piecu, a potem skupiła się na Schubercie i zapomniała o nich. Kiedy dzieci wróciły do domu, jej wypieki były koloru wypalanej skóry i tak samo pachniały.

Thierry rzucił plecak na krzesło, wziął jedno ciastko, powąchał i odłożył. Kitty tylko spojrzała na nie i uniosła brwi.

– Jak wam minął dzień? – spytała Isabel.

Thierry wzruszył ramionami, a Kitty nie odpowiedziała, zajęta grzebaniem w plecaku.

– Kitty? Jak ci minął dzień?

– Dzień jak co dzień – odburknęła.

Isabel zmarszczyła brwi.

– To znaczy?

Gdy Kitty się odwróciła, na jej twarzy malowała się złość.

– To, że wylądowałam w nowej szkole, gdzie nie mam żadnych znajomych, w domu, którego nienawidzę, w okolicy, której nie znam, więc wszystkie dni są dla mnie tak samo gówniane. Okej?

Isabel poczuła się, jak gdyby dostała kopniaka w brzuch. Kitty nigdy wcześniej nie odzywała się do niej w ten sposób.

– Co się stało? – spytała. – Kitty, co, u licha, w ciebie wstąpiło?

W oczach jej córki malowała się pogarda.

– Nie udawaj, że nie wiesz.

– Ale ja naprawdę nie wiem – odparła Isabel podniesionym głosem. Nie miała siły na takie rzeczy, nie po tym wszystkim, co już dzisiaj przeszła.

– Kłamiesz!

Isabel odsunęła krzesło i usiadła naprzeciwko córki. Widziała mocno zaciśnięte usta Thierry'ego, a jego wielkie, ciemne oczy biegały od siostry do matki.

– Kitty, powiedz mi, o co się tak złościś. Nie mogę nic na to zaradzić, jeśli nie wiem, o co chodzi.

– Proszę bardzo! – rzuciła Kitty jadownicę. – Ciągłe powtarzasz, jak bardzo nas kochasz, a gdy przychodzi co do czego, masz nas gdzieś. Nawet po śmierci taty ciągle jesteśmy na drugim miejscu, bo najważniejsze są te cholerne skrzypce!

– Jak możesz mówić coś takiego? Zrezygnowałam z pracy, żeby być z wami. Jestem tu

rano, gdy wychodzicie do szkoły, i czekam na was, kiedy wracacie. Od kiedy tu przyjechaliśmy, zajmuję się tylko domem.

– Nie w tym rzecz!

– Właśnie że w tym! Ty i Thierry jesteście dla mnie na pierwszym miejscu pod każdym względem! – „Nie masz pojęcia, jak mi doskwiera życie tutaj i jak mnie boli, że poświęciłam swoją karierę”, pragnęła dodać, ale nie chciała wywoływać w córce poczucia winy.

– Tyle że ja wiem! – krzyknęła Kitty. – Wiem, że pan Cartwright do ciebie dzwonił. Wiem, że mogłaś sprzedać skrzypce i zachować nasz dawny dom!

Isabel pobladła. Prawie o tym zapomniała, tak bardzo pochłonęło ją to, co działo się tutaj.

– Okłamałaś nas! – ciągnęła Kitty. – Mówiłaś, że nie możemy zatrzymać domu, chociaż go uwielbiliśmy, mieliśmy tam przyjaciół i Mary. Powiedziałaś, że musimy się tutaj przeprowadzić, a przez cały ten czas miałaś możliwość sprzedania skrzypiec, co pozwoliłoby nam tam zostać. Kłamałaś! – Wzięła głęboki wdech, a potem zadała ostateczny cios: – Tata nigdy by nas nie okłamał!

Thierry odsunął krzesło i wybiegł z pokoju.

– Thierry... Kitty... Nawet nie jestem pewna, czy gdybym...

– Przestań! Słyszałam, co powiedział pan Cartwright!

– Ale ja...

– Nigdy nie chodziło ci o to, by stworzyć w tym miejscu dom. To był dla ciebie tylko sposób, byś mogła zatrzymać swoje cenne skrzypce!

– Kitty, to...

– Zostaw mnie w spokoju!

Kitty rzuciła plecak na stół i wyszła z kuchni, ocierając twarz rękawem. Isabel chciała pójść za dziećmi, spróbować im wytłumaczyć, ale wiedziała, że to bezcelowe. Ponieważ jej córka miała rację. A ona niewiele mogła powiedzieć na swoją obronę.

Kolacja przebiegała w ponurej atmosferze. Thierry jak zwykle milczał, zjadł makaron w sosie serowym, zostawił jabłko, po czym zniknął w swoim pokoju. Kitty siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz i odpowiadała na pytania matki monosylabami.

– Przepraszam – powiedziała Isabel. – Naprawdę, Kitty. Tak bardzo mi przykro. Ale musisz wiedzieć, że ty i twój brat jesteście dla mnie najważniejsi.

– Skoro tak twierdzisz. – Dziewczyna odsunęła talerz.

Dzieci poszły do łóżka bez protestów, co samo w sobie było niepokojące, więc Isabel usiadła samotnie w salonie. Światła migotały, a za oknem hulał wiatr.

Rozpaliła ogień w kominku, wypijała – nieco za szybko – pół butelki czerwonego wina i stwierdziła, że nawet trzask płomieni nie daje jej ukojenia. Na szczęście w telewizji nadawano program komediowy. Jednak gdy tylko pojawiły się napisy początkowe, nagle coś strzeliło, obraz skurczył się do białej kropki i zniknął. Jednocześnie zgasły światła, pozostawiając ją w ciszy i ciemności. Odebrała to jako policzek, jakby sam dom z niej kpił. Przez chwilę siedziała nieruchomo na sofie w świetle kominka. Potem jej twarz się ściągnęła i Isabel zaczęła szlochać.

– Przeklęty dom! – krzyknęła. – Cholerna rudera! – Wstała i zaczęła po omacku szukać zapalek, a potem świec, które powinna była położyć gdzieś na wierzchu na wypadek takiej sytuacji. Wciąż przy tym przeklinała, a wiatr za oknem i dławiąca rozpacz w gardle tłumiły jej głos.

Matt spędził wieczór w pubie. Ostatnio unikał Theresy, która wyczuwając jego brak zainteresowania, stała się drażliwa i mało-mówna, kręciła się nerwowo za barem i spoglądała wymownie w jego stronę. Na jej gniewne spojrzenia i próby nawiązania bliższego kontaktu reagował obojętnością. Niczego tak nie znosił jak zdesperowanej kobiety, która nie umiała

odpuścić.

Poza tym jego głowę zaprzętały inne rzeczy.

Nie wrócił od razu do domu, bo wiedział, że choć Laura na wiele spraw przymykała oko, nie byłaby w stanie zignorować oczywistego niepokoju, który w nim narastał. Dręczyły go sprzeczne uczucia. Gdy tylko zamykał oczy, widział Byrona patrzącego na Isabel. Zobaczył w jego twarzy pewną tklivość i powoli docierało do niego, że wyrażała ona coś, co czuł i Matt. Kiedy zamykał oczy, nie widział Theresy ani swojej żony, lecz bladą szyję Isabel Delancey, piegi na jej dekolcie wystawionym na działanie słońca. Widział, jak podchodzi do niego z uśmiechem, kołysząc biodrami, a jej nieśmiałość topnieje pod wpływem zmysłowej przyjemności, jaką dawała jej muzyka.

Reakcja Byrona była słuszna. Ona nie należała do nikogo. W przeciwieństwie do niego nikt jej nie ograniczał. Gdy wyobraził sobie, że Byron mógłby się do niej zbliżyć, miał wrażenie, jakby piwo kwaśniało mu w ustach. Na samą myśl, że ktokolwiek inny miałby zamieszkać z nią w domu, w który włożył tyle serca, Matt mocno zaciskał szczękę.

– Zapowiada się paskudna noc – mruknął właściciel pubu ze wzrokiem wbitym w krzyżówkę.

– Mhm. – Matt wychylił piwo do dna i postawił kufel na barze. – Możesz mieć rację.

Ignorował podejmowane przez Theresę gorączkowe próby zwrócenia na siebie jego uwagi. Nie miał też pojęcia, jak wytłumaczy się Laurze z takiego spóźnienia. Jednak kierowany dziwną potrzebą, której do końca nie rozumiał, piętnaście minut przed zamknięciem pubu Matt wsiadł do swojej furgonetki i ruszył w kierunku Little Barton.

Tymczasem w kotłowni Byron przygotował legowisko dla psów, wyłączył radio i szykował się do czytania książki przy blasku świec, które kupił tego ranka. Człowiek zaskakująco szybko adaptował się do otoczenia, mając zapewnione minimum komfortu. Do swojego nowego mieszkania w piwnicy przyniósł krzesło, radio na baterie, legowiska dla psów i kuchenkę turystyczną. Gdy już się umył w wyczyszczonej umywalce, zjadł porządny posiłek i wypił kubek herbaty, poczuł się może nie radosny, ale przynajmniej spokojniejszy o swój los. Za trzy tygodnie można będzie odstawić szczeniaki od matki. Jeden z farmerów po drugiej stronie wsi już zaproponował, że zapłaci mu kilkaset funtów za najodważniejszego psa w miocie. Gdyby za wszystkie tyle dostał, byłby na dobrej drodze do zebrania pieniędzy na kaucję.

Gdy tylko jego sytuacja finansowa choć trochę się ustabilizuje, zacznie szukać pracy gdzie indziej. To, co Matt robił w tym miejscu, budziło w nim coraz większy niepokój. Nie potrafił wskazać wprost, o co chodzi, ale czuł, że coś tu nie gra i że Matt nie zrezygnował z posiadania tego domu. W pewnym momencie zrobi się z tego awantura albo Isabel będzie się musiała wyprowadzić, a Byron nie chciał patrzeć ani na jedno, ani na drugie.

Była już prawie za dziesięć jedenasta, kiedy usłyszał, że bojler się wyłączył. Zdziwiony zerknął na zegarek. Programator był ustawiony na jedenastą trzydzieści. Wyszedł ze śpiwora, ignorując pełne nadziei spojrzenia psów, i podszedł do drzwi. Wszystkie światła w domu były zgaszone.

Chwilę później usłyszał szloch.

– Przeklęty dom! – krzyczała. – Cholerna rudera!

Nie było prądu. Możliwe, że wybiło korki, ale ona pewnie nie wie, gdzie jest rozdzielnica. Byron mógłby je włączyć, ale wtedy musiałby jej wyjaśnić, dlaczego o tej porze znalazł się tak blisko jej domu.

Stał przez chwilę nieruchomo i Meg zaskomlała, wyczuwając jego napięcie. Uciszył ją.

W ciemności nasłuchiwał, jak Isabel Delancey krąży po domu, i poczuł głęboki niepokój. Potrzebowała pomocy, a on miał związane ręce. Usłyszał skrzypce: jej cierpienie przeniosło się

na struny. Nie znał się na muzyce, ale miał wrażenie, że nigdy nie słyszał niczego tak smutnego. Przypomniał sobie, jak tego dnia podchodziła do Matta ze swoim wysłużonym zeszytem z rachunkami, a na jej twarzy odbijało się niewyspanie. Zatem nawet ci, którzy wydawali się bogaci, mogli tak naprawdę być niewypłacalni. Pod pewnymi względami ona nie była w lepszej sytuacji niż on.

Właśnie ta myśl kazała mu opuścić kryjówkę – ta myśl oraz świadomość, że na miejscu Isabel mogły być jego siostra i Lily. Słyszał, jak w głębi pogrążonego w ciemności domu kobieta gra melancholijną pieśń. Postanowił, że podejdzie od strony frontowej, sprawdzi, czy świecą się światła u McCarthych, i zapuka do drzwi. Powie, że akurat tamtędy przechodził. Poczucie się lepiej, wiedząc, że ona i dzieci mają prąd.

W momencie kiedy zamykał drzwi, usłyszał chrzęst opon na żwirze. Skoro nie ma tu jego samochodu, miałyby problem z wytłumaczeniem swojej obecności. Nie mógł sobie pozwolić, by ktoś go tu zobaczył. Po cichu ponownie otworzył drzwi i wrócił do kotłowni. A potem siedział w ciemności i nasłuchiwał.

\*

W domu nie paliły się światła, więc przez głowę przemknęła mu myśl, że Isabel wyszła gdzieś wraz z dziećmi, i poczuł lekkie rozczarowanie. Potem, gdy wiatr na chwilę ucichł, usłyszał jej skrzypce i domyślił się, że wysiadł prąd. Może to była kwestia ilości wypitego piwa, a może przez ostatnie miesiące nauczył się doceniać ten rodzaj muzyki, w każdym razie Matt McCarthy pozostał w samochodzie i słuchał. Miał opuszczoną szybę, czuł na skórze chłodny wiatr, a muzyka współgrała z niespokojną pogodą i gwizdającym wiatrem. Siedział przed domem, który powinien być jego własnością, a w jego duszy dochodziły do głosu nieznane mu uczucia.

Dom wciąż był pogrążony w mroku.

Matt nie wiedział, co go tam w końcu przyciągnęło. Później pomyślał, że mogła to być chęć pomocy, sprawdzenia korków. A może to była muzyka. Ale w żadnym z tych przypadków nie był ze sobą szczery. Drzwi wejściowe, jak zwykle, nie były zaryglowane. Wszedł do środka, zamknął je delikatnie za sobą i stał przez chwilę nieruchomo, a dom skrzypiał jak stary statek na pełnym morzu. Zastanawiał się, czy jej nie zawołać, ale w głębi duszy przeczuwał, że Isabel przerwie wtedy grę, a on ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że chce, by dalej grała. Ruszył więc po cichu korytarzem, potem schodami w dół, w stronę kuchni, i w drzwiach zobaczył ją. Grała z zamkniętymi oczami, a łzy spływały jej po policzkach.

Spojrzał na nią i poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Miała lekko otwarte usta, głowę pochyloną, ramiona cofnięte. Była zatopiona w świetle, do którego nie miał dostępu. Przygryzła dolną wargę, krzywiąc się, gdy muzyka osiągnęła apogeum, jakby ten dźwięk sprawiał jej ból. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Poczuł się jak mały chłopiec, który ogląda coś, czego nie powinien widzieć, patrzy na coś, co go przerasta, coś, czego nie może mieć dla siebie, i ścisnęło go w gardle. Gdy tak stał nieruchomo, Isabel otworzyła oczy, które się rozszerzyły, gdy dostrzegła go w mroku.

Chciał się odezwać, ale ona grała dalej. Utkwiła w nim spójnienie i poruszała ręką tak, jakby nie była w stanie się zatrzymać.

– Nie macie prądu – odezwał się, gdy muzyka na chwilę przycichła.

Kiwnęła głową.

Matt patrzył jej prosto w oczy. Przysunął się bliżej, zwabiony falowaniem jej piersi i drżeniem jej ciała. A także kontrastem pomiędzy jej całkowitą niezależnością a tym, co nagle zobaczył w jej oczach – jakąś pierwotną potrzebą, fizycznym głodem.

Opuściła ręce wzdłuż ciała, a gdy jej dotknął, westchnęła cicho, jakby się poddawała.

Objął ją w pasie, lekko odginając jej ciało do tyłu, przycisnął do siebie i popchnął w głąb kuchni. Po omacku odłożyła skrzypce na stół. Jej blade, zimne dłonie zatopiły się w jego włosach, a jej wargi się rozchyliły, dotknąwszy jego ust. Jęknęła, poczuł jej dłonie na skórze, szokujące ciepło jej ud, kiedy wsunęła jego ręce pod swoją spódnicę, słodką satysfakcję z zetknięcia ich ciał. Coś w nim śpiewało, głośno i przenikliwie, wręcz ogłuszająco, gdy przywarł do jej pulsującego ciała, a z jego piersi wyrwał się niski i gardłowy dźwięk.

Osunęli się na podłogę i znalazła się pod nim, tak jak tego pragnął od dnia, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. I wiedział, że chce mieć dla siebie nie tylko ten dom, ale i tę kobietę. Ugryzł ją w szyję, zmusił do poddania się, jej zaskakująco silne palce wczepiły się w jego skórę. Jego ostatnią myślą, gdy wiatr klekotał szybami, a dom wokół nich jęczał jak żywa istota, było lekkie zdziwienie, że ona mocno zaciska powieki, podczas gdy jego oczy były otwarte, i to szeroko, jakby po raz pierwszy objawił się mu cały wszechświat.

\*

Nie miał pojęcia, jak długo spał: możliwe, że parę godzin, możliwe, że kilka minut. Kiedy otworzył oczy, czując przenikliwe zimno bijące od kamiennej podłogi, był przykryty kołdrą, pod głową miał swoje ubrania, a z okien wyglądała głęboka czerń nocy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje i co tu robi, a wtedy zobaczył ją, całkowicie ubraną, jak gdyby nic się nie wydarzyło – w mroku widział niewiele więcej niż ciemny kształt. Siedziała na krześle i wpatrywała się w niego.

Podniósł się, poczuł jej delikatny zapach na swojej skórze i to wywołało w nim podniecenie. Jego umysł zalewały obrazy, przypominał sobie ciężar jej ciała na sobie, jej objęcia, jej krzyki. Skinął dłonią.

– Podejdz do mnie – wymruczał. – Chciałbym zobaczyć twoją twarz.

– Jest prawie druga – odparła. – Musisz wracać do domu.

Dom. O Chryste, będzie musiał wymyślić jakąś dobrą wymówkę.

Wstał, kołdra opadła na podłogę. Zapiął dzinsy i pasek. Powietrze było zimne, ale ledwo zwracał na to uwagę. Czuł w środku przepływ czegoś niezwykłego, jakby jego krew została oczyszczona, odnowiona. Podeszedł do niej. Wciąż nie widział wyraźnie jej twarzy, ale dotknął jej włosów, w których wcześniej zatapiał dłonie.

Wszystko się zmieniło. I ta świadomość dawała mu dziwne zadowolenie.

– Dziękuję – powiedział. Chciał jej wyznaczyć, ile to dla niego znaczyło, jak go to zmieniło. A potem, przesuując kciukiem po jej twarzy, uświadomił sobie, że policzek miała mokry od łez, i nagle dotarło do niego, że on może temu zaradzić. – Nie martw się – rzekł miękki głosem. – Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiedziała, więc pragnąc wywołać uśmiech na jej twarzy i ulżyć cierpieniu, dodał:

– Posłuchaj, jeśli chodzi o pieniądze... Zapomnij o następnej racie. Coś wymyślimy. – Przez jedną szaloną chwilę chciał jej wyjawic, jak wszystko mogłoby się zmienić. Ale nawet w tym stanie oszołomienia nie ośmielił się na to. – Isabel?

Raczej poczuł, niż usłyszał, że cisza ma inny ciężar. Zesztywniała, cofnęła się.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłam – powiedziała zimnym głosem.

– To znaczy czego? – zapytał, próbując dojrzeć jej twarz.

– Zapłacę ci wszystko, co jestem ci winna.

Był oszołomiony, gdy dotarło do niego, jak odebrała jego słowa.

– Posłuchaj... nie przyszedłem tu dzisiaj, bo... tylko... Chryste. – Zaśmiał się, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. – Wcale nie sugerowałem... – Był zupełnie zbity z tropu. –

W całym swoim życiu nigdy nie płaciłem... za to.

– A ja nigdy nie traktowałam siebie jak towaru. – Jej ton był teraz lodowaty. – Idź już.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, na zimnie, Matt ruszył w kierunku furgonetki, a w głowie mu się kręciło. Wszystko jej wytłumaczy. Nie mógł uwierzyć: jak mogła myśleć, że chodzi o pieniądze! Ale gdy jego stopy wciąż chrzęściły na żwirze, usłyszał za plecami ciężki, kategoryczny dźwięk zamykanych na rygiel drzwi.

Po drugiej stronie Isabel opadła na podłogę, wydając z siebie cichy skowyt rozpacz i nienawiści do samej siebie. Głowa opadła jej na kolana, jej posiniaczone usta dotknęły miękkiego materiału sukienki, w której skryła twarz, zawstydzona własną zdradą.

Całe jej ciało bolało od samotności, od tęsknoty za mężem, od dzikiego zjednoczenia z mężczyzną, który nie był nim. Zupełnie otrzeźwiona, poczuła w środku pustkę – większą niż kiedykolwiek.

– Laurent! – jęknęła. – Do czego mnie doprowadziłeś? Kim się przez ciebie stałam? Dom odpowiedział jej ogłuszającym milczeniem.



Pociąg między jej nowym miejscem zamieszkania a Londynem kursował co dwie godziny, a Isabel obliczyła, że nawet gdyby ten przyjechał na czas, miała niewielkie szanse zdążyć do domu przed powrotem dzieci ze szkoły. Siedziała zrezygowana naprzeciwko mężczyzny, który metodycznie przeglądał gazetę, obok dwojga turystów rozmawiających w jakimś szorstko brzmiącym języku, zapewne skandynawskim, i pozwoliła, by ukołysał ją monotony stukot kół o szyny.

Jej myśli pobiegły w stronę Mary, z którą spotkała się na kawie. Rozmawiały między innymi o tym, jak męczące było codzienne odwożenie dzieci do szkoły. „Po prostu ciesz się, że to nie Londyn”, powiedziała Mary wesoło. „Ja pół życia spędzam w samochodzie”.

Isabel cieszyła się, że mogła ją zobaczyć, przypomnieć sobie, że kiedyś jej życie wyglądało inaczej. Mary wypytywała ją o Kitty i Thierry’ego, powiedziała, że Isabel znacznie lepiej wygląda – ta domyśliła się, że było to dyplomatyczne kłamstwo – i obiecała, że wkrótce ich odwiedzi. Ale było jasne, że jej miejsce jest teraz gdzie indziej, że jest już częścią innej rodziny. Przyproceedziła ze sobą jednego ze swoich nowych podopiecznych, maleństwo o sarnich oczach, które trzymała na kolanach pewnie i ze spokojem, jaki wykazywała w kontaktach z małymi Delanceyami.

Z rozmyślań wytrąciło ją pytanie:

– To nie pojechała pani na zakupy?

Zadała je kobieta siedząca nieco dalej, którą Isabel skądś kojarzyła. Miała na sobie schludny pastelowy płaszcz i dziwny kapeluszek.

– Nazywam się Linnet. – Kobieta się uśmiechnęła. – Deirdre Linnet. Widziałyśmy się w sklepie u kuzynów. Mieszka pani w domu hiszpańskim. – Powiedziała to tonem, jak gdyby udzielała Isabel informacji. Wskazała pod jej nogi. – Pomyślałam, że może była pani w Londynie na zakupach, ale nie ma pani żadnych toreb.

– Toreb? – powtórzyła Isabel.

– Z zakupami.

– A, nie. Nie dzisiaj.

– Ja trochę zaszalałam. Jeżdżę tam tylko dwa razy do roku i wtedy pozwalam sobie na odrobinę szaleństwa. Lubię się tak porozpieszczać. – Poklepała leżące obok jej siedzenia reklamówki z nazwami marek, które obwieszczały światu, jaką drogę przebyły oszczędności pani Linnet. – Lubię się tak porozpieszczać – powtórzyła do siebie.

Isabel nie skomentowała, tylko wróciła myślami do rozmowy z Mary.

„Niczego nie ogarniam”, powiedziała jej. „Wszystko robię nie tak. Dzieci są potwornie nieszczęśliwe i to wszystko moja wina”.

Opowiedziała jej prawie całą historię – jedną część celowo pominęła – a wtedy Mary się zaśmiała, jak gdyby żadna z tych rzeczy nie była specjalnie niepokojąca.

„To nastolatka”, odparła. „Jej zadaniem jest demonstrowanie światu swojego niezadowolenia. Jak na razie nie sprawia większych problemów. A Thierry... kiedyś znowu zacznie się odzywać. Ale dobrze im idzie w szkole. Wracają po lekcjach do domu. Jedzą. Wydaje mi się, że nieźle sobie radzą. Z waszej trójki to ty jesteś tą nieszczęśliwą”.

– Sprawy zawodowe, tak? – Kolejne pytanie pani Linnet wyrwało ją z rozmyślań.

– Słucham?

– Była pani w Londynie w sprawach zawodowych?

Isabel uśmiechnęła się niewyraźnie. Oczy ją piekły ze zmęczenia. Nie spała przez

większość poprzedniej nocy i wyczerpanie dawało jej się we znaki.

– Coś w tym rodzaju.

– Pani zawodowo gra na skrzypcach, prawda? Asad mi powiedział. Proszę sobie nie myśleć, że jest plotkarzem, ani Henry, ale pewnie już się pani domyśliła, że o większości rzeczy, które dzieją się we wsi, rozmawia się w sklepie.

Isabel zastanowiła się ze smutkiem, po jakim czasie ostatnia noc stanie się tematem rozmów.

– Widziałam pani ogłoszenie o lekcjach. Ja kiedyś śpiewałam, wie pani. Mogłam to robić zawodowo, mąż zawsze mi to powtarzał. Ale utknęłam w domu z dziećmi... – Westchnęła. – Wie pani, jak to jest.

Isabel odwróciła się w stronę okna.

– Tak, wiem.

„Musisz wrócić do pracy”, powiedziała jej Mary. Zapłaciła za kawę, co dla Isabel było niemal nieznośnym upokorzeniem. „Musisz znowu grywać z orkiestrą, zarobić kilka funtów, odzyskać spokój ducha. Możesz zostawić dzieci na jeden dzień. Kitty jest na tyle duża, że zajmie się bratem”. Uściskała Isabel, a potem odeszła, pchając wózek – wracała do jakiejś innej rodziny, dla której była nieocenioną pomocą.

Minęli ostatnią stację przed Long Barton. Pani Linnet zebrała swoje torby i ścisnęła kurczowo, już teraz gotowa do opuszczenia pociągu. Isabel dostrzegła znajome miejsca: kościół i domy, prześwitującą między drzewami ulicę, zielone żywo-płoty porastające pobocze, i zastanawiała się, co jest potrzebne, aby w jakimś miejscu poczuć się jak w domu.

Dopiero gdy pociąg wjechał na stację w Long Barton, Isabel wstała i zrobiła odruchowo to, czego miała nie robić. Sięgnęła po futerał na skrzypce, którego już tam nie było.

Kiedy wróciła do domu, dzieci siedziały przed telewizorem: Kitty na kanapie z nogami wyciągniętymi na stoliku zjadała chipsy, a Thierry rozłożył się na starym fotelu. Jego szkolny krawat leżał zwinięty na podłodze.

– Nie było cię w domu, kiedy wróciliśmy – rzuciła Kitty oskarżycielskim tonem. – Nawet Matta nie było. Musieliśmy sobie otworzyć kluczem spod wycieraczki.

Isabel położyła torebkę na stoliku.

– Thierry, zjadłeś lunch?

Chłopiec kiwnął głową, nie odrywając oczu od telewizora.

– Całą kanapkę?

Tym razem przeniósł wzrok na nią i ponownie potwierdził skinieniem głowy. W salonie panował niezwykły spokój i Isabel zdała sobie sprawę, że to z powodu braku ekipy budowlanej. Nawet gdy nie walili w ściany i niczego nie rozwalali, wyczuwało się ich obecność w powietrzu. A może to tylko Matt McCarthy tak działał? Potarła oczy.

– Idę zrobić herbatę – powiedziała.

– Gdzie byłaś?

Naturalna ciekawość Kitty przewyciężyła pragnienie, by nie odzywać się do matki. Isabel widziała, że córka dostrzega malujące się na jej twarzy zmęczenie, i poczuła, że się rumieni, jakby powód jej wyczerpania był oczywisty.

– W Londynie – odparła. – Zaraz wam wszystko wyjaśnię.

Kiedy wróciła z herbatą, telewizor był wyłączony, a oni siedzieli prosto. Odskoczyli od siebie, gdy weszła, jak gdyby szeptali coś między sobą. Choć raczej był to szeptany monolog, skoro jej syn się nie odzywał.

Isabel spojrzała im w oczy i powiedziała:

– Możemy wrócić do Londynu.

Sama nie była pewna, czego się spodziewała, może nie wiwatów, ale z pewnością jakiejś ekscytacji, może uśmiechów, radosnego ożywienia. Ale oni tylko siedzieli i wpatrywali się w nią z niezrozumieniem.

– To znaczy? – spytała Kitty, wciąż z nutą agresji w głosie.

– To, co powiedziałam – odparła Isabel. – Możemy wrócić do Londynu. Wyremontujemy to miejsce, doprowadzimy do takiego stanu, żeby dało się je sprzedać, a potem, mam nadzieję, zostanie nam jeszcze tyle pieniędzy, by kupić coś w dawnej okolicy. I blisko waszych przyjaciół. – A gdy dalej nie spotkała się z żadną reakcją, dodała: – Pewnie nie będzie tak duży jak nasz dawny dom, ale na pewno znajdziemy coś, co się nam spodoba.

– Ale... skąd weźmiemy na to pieniądze? – Kitty marszczyła brwi, skręcając pasemko włosów na palcu.

– Nie martw się o to – odparła Isabel. – Uznałam tylko, że powinniście o tym wiedzieć.

Kitty spoglądała na nią podejrzliwie.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Mówiłaś, że nie mamy pieniędzy. Że remont pochłonął wszystkie oszczędności. To co się zmieniło?

– Po prostu... przeorganizowałam nasze finanse. Po to właśnie pojechałam do Londynu.

– Ale ty się nie znasz na pieniądzach. Znam stan naszych finansów i wiem, że nic nie mamy. – Nagle zrozumiała, co się stało. Jej wzrok błędził po pokoju, po stole, po biurku. – O Boże – jęknęła cicho.

Isabel przeciwczyła wcześniej spokojny, pogodny uśmiech. Uśmiech, który nie zdradzał jej dzieciom, ile ją to kosztowało, nie mówił o udręce, jaką przeżywała, oddając skrzypce pośrednikowi. Czowała się tak, jakby rozstawała się z jednym ze swoich dzieci.

– Chyba ich nie sprzedawaś? – spytała Kitty, a gdy Isabel pokiwała głową, zaczęła szlochać histerycznie. – O nie! Tylko nie to! Zrobiłaś to przeze mnie!

Uśmiech zniknął z twarzy Isabel.

– Nie chodziło mi tak naprawdę o to, że masz je sprzedać – mówiła dalej Kitty. – Wiem, jakie były dla ciebie ważne. A teraz będziesz strasznie nieszczęśliwa i znienawidzisz mnie na zawsze. Mamo, tak bardzo mi przykro!

Isabel usiadła ciężko i przyciągnęła Kitty do siebie.

– Nie – rzekła, głaszcząc ją po włosach. – Miałaś rację. Te skrzypce były ekstrawagancją, na którą nie mogliśmy sobie pozwolić. Poza tym pan Frobisher znalazł mi inne, znacznie tańsze, ale wydające bardzo ładny dźwięk. Naprawi je i wyśle mi w przyszłym tygodniu.

– Będziesz ich nienawidzić. – Głos Kitty był przytłumiony.

– Nie, nie będę – odparła Isabel, choć wiedziała, że córka ma rację. – Kitty, popełniłam ogromny błąd i zamierzam go naprawić. Muzyka nie jest najważniejsza. Im szybciej zbierzemy gotówkę, by doprowadzić ten dom do normalnego stanu, tym szybciej wrócimy do domu.

Właśnie wtedy dostrzegła minę syna, który wcale nie wyglądał na zachwyconego.

– Wciąż chcesz wrócić, prawda, Thierry? Do Londynu?

Nastąpiła krótka chwila ciszy. A potem, powoli, jej syn pokręcił głową. Isabel wpatrywała się w niego, a potem w Kitty.

– Thierry? – powtórzyła.

Kiedy z jego ust wydobył się głos, był cichy, ale stanowczy.

– Nie – powiedział.

Isabel zwróciła wzrok w stronę Kitty, która nie była w stanie spojrzeć jej w oczy.

– Tak właściwie... – zaczęła – wcale nie jest mi tu tak źle. – Zerknęła na brata. – To znaczy nie mam nic przeciwko temu, żeby tu zostać na jakiś czas... skoro Thierry tego chce.

Isabel zastanawiała się, czy kiedykolwiek zrozumie swoje dziwne dzieci, które tak szybko

zmieniały zdanie. Wzięła głęboki oddech.

– Okej – rzekła. – Zapłacimy panu McCarthy’emu, co jesteś-my mu winni, i zobaczymy, jak nam dalej pójdzie. Ale przynajmniej mamy już jakieś opcje. A teraz – dodała – zajmę się papierkową robotą.

Za oknem zachodziło słońce, a dzieci włączyły telewizor. Isabel usiadła przy stole i zaczęła otwierać korespondencję, którą wcześniej zignorowała, oraz tworzyć listę rzeczy do zrobienia. Czuła się niemal fizycznie oszołomiona utratą przedmiotu tak bliskiego jej sercu, zniechęcona tym, co ją czekało, ale, co ciekawe, od miesięcy nie czuła się lepiej.

Powiedział „nie”, pomyślała, kiedy otwierała kolejną kopertę, przyglądając się synowi. A to już jest jakiś początek.

– Wyglądała okropnie – powiedziała pani Linnet z satysfakcją. – Błada jak upiór, do tego wielkie cienie pod oczami. Prawie się do mnie nie odzywała przez ostatnie dwie stacje.

Asad i Henry wymienili spojrzenia. Najwyraźniej nie wszyscy uznawali panią Linnet za fascynującą partnerkę do rozmów.

– Ten dom doprowadzi ją do załamania nerwowego. Wiecie, że w jednym pokoju niecałe dwa tygodnie temu zawalił się sufit? Mogło dojść do tragedii. Tam mogły być jej dzieci.

– Ale ich tam nie było – odparł Henry. – Więc nie ma sensu do tego wracać.

– Nie wiem, co sobie myśli Matt McCarthy. Fachowiec z jego doświadczeniem... Człowiek by pomyślał, że najpierw zadba o bezpieczeństwo. Zwłaszcza gdy w domu są dzieci.

– Tak właśnie by człowiek pomyślał – potwierdził Asad, który liczył banknoty w kasie.

– Jestem pewien, że to pojedynczy przypadek – wtrącił Henry.

– Może nawiedził ich duch Samuela Pottiswortha. – Kobieta wzdrygnęła się teatralnie.

– Och, chyba nie wierzy pani w duchy – zbeształ ją Henry.

– Ale przecież my wierzymy w złośliwe istoty, prawda, Henry? – Asad związał banknoty gumką.

– Wolę zobaczyć dowód, zanim w coś uwierzę, Asad. – Henry rzucił partnerowi ostre spojrzenie.

– Niektóre z nich są na to za sprytne.

– A niektórzy ludzie widzą rzeczy, których nie ma.

Pani Linnet zgubiła wątek i przyglądała im się skonsternowana. Asad zamknął kasę.

– To jedna z twoich najbardziej ujmujących cech charakteru, Henry, że wszędzie widzisz dobro, ale czasami cię to zaślepia i nie dostrzegasz, co się rzeczywiście wokół dzieje.

– Wiem dokładnie, co się dzieje, ale wierzę też, że należy chronić samego siebie.

– „Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek nic nie robił”.

– Ale nie masz żadnego dowodu.

Pani Linnet odłożyła torbę.

– Czy w którymś momencie się zgubiłam? – spytała.

Właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i cała trójka umilkła, bo do środka wszedł Anthony McCarthy. Rozmawiał z kimś przez komórkę, więc nie dostrzegł ich spłoszonych spojrzeń ani tego, że dwaj mężczyźni za ladą nagle zaczęli sobie szukać zajęcia. Pani Linnet przypomniała sobie, że musi kupić dżem, i ruszyła przeszukiwać półki na drugim końcu sklepu.

Chłopak umilkł i zamknął klapkę od telefonu. Miał wełnianą czapkę naciągniętą mocno na czoło i długie włosy, a ubrania wisiały na nim, jakby były o kilka rozmiarów za duże.

– Witaj, Anthony. – Asad się uśmiechnął. – W czym mogę pomóc?

– Yyy... – Pochylił się nad ladą chłodniczą i przygryzł wargę. – Mama kazała mi kupić oliwki, wędzonego indyka i coś jeszcze. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale zapomniałem co.

– Ech, mężczyźni – westchnęła pani Linnet. – Wszyscy jesteście tacy sami.

- Może ser? – zasugerował Asad.
- Jakież owoce? – Henry pokazał mu koszyk. – Mamy bardzo dobre winogrona.
- Chleb?

Chłopak bardzo przypomina matkę, pomyślał Henry. Ten sam nos, ten sam miły, ale powściągliwy sposób bycia. Ta sama osobliwa mieszanka defensywności i dumy, jak gdyby pokrewieństwo z Mattem było dla nich zarówno wyróżnieniem, jak i powodem do wstydu.

- Mama mnie zabije – powiedział z nutką rozbawienia.
- Położę oliwki i indyka obok siebie – rzekł Asad. – To może sobie przypomnisz.
- To na pewno coś do jedzenia? – spytała pani Linnet, której spodobała się ta zgadywanka.

- Może ciasto owocowe? Ona je lubi. – Henry wyciągnął kawałek.
- Anthony pokręcił głową.

– Mleko – odpowiedziała pani Linnet. – Ja zawsze zapominam o mleku. I o papierze toaletowym.

- Może po prostu do niej zadzwoń?
- Właśnie dzwoniłem. Włącza się automatyczna sekretarka. Musiała wyjść zaraz po mnie.

Pewnie wpadnie mi to do głowy, gdy już będę z powrotem w samochodzie.

Asad umieścił dwie owinięte w papier paczuski w torbie i podał je przez ladę.

– Wciąż pomagasz tacie przy remoncie domu hiszpańskiego? – spytał, kiedy Anthony wyjął pieniądze.

- Czasami.
- I jak postępy w pracy? – Asad zignorował zmarszczone brwi Henry’ego.
- Kazała nam przerwać – odparł Anthony. – Ale wydaje mi się, że wszystko idzie dobrze.

Zresztą co ja tam wiem. Po prostu robię to, co mi każe tata.

– Jasne – odparł Asad. Odliczył Anthony’emu resztę. – A jak tam Kitty?

Chłopak się zaczerwienił.

– Wydaje się... w porządku. Na ile ją znam – wymruczał ze spuszczoną głową.

Henry powstrzymał uśmiech.

– To miło, że ma tu paru znajomych – rzekła pani Linnet. – Młoda dziewczyna w takim wielkim domu musi być bardzo samotna. Właśnie mówiłam, że jej mama wygląda okropnie...

Anthony złowił spojrzenie Henry’ego, gdy drzwi otworzyły się ponownie i do środka wszedł Matt.

– Co się tak grzebiesz? Mieliśmy być w domu u Nixona piętnaście minut temu.

– Zapomniałem, czego chciała mama – powiedział Anthony.

– Wiesz, synu – Matt uśmiechnął się szeroko – to, czego chcą kobiety, jest jedną z największych tajemnic wszechświata. – Nagle jego uśmiech zbladł, jakby zdał sobie sprawę, do kogo się zwraca. – W każdym razie lepiej już jedźmy.

Asad się uśmiechnął.

– Panie McCarthy, właśnie miałem powiedzieć Anthony’emu, że oglądałem wczoraj wieczorem bardzo ciekawy program o ekipach remontowych.

– Naprawdę? – Matt zerkał na drzwi, jak gdyby śpieszyło mu się do wyjścia.

– Pokazywali tam przypadki, gdy budowlańcy zawyżali koszty niczego nieświadomym właścicielom domów lub wymyślali niepotrzebne prace. Okropny proceder, nie sądzi pan?

Zapadła nagle cisza. Henry zamknął oczy.

Matt cofnął się od drzwi i zamknął je za sobą.

– Nie jestem pewien, do czego zmierzasz, Asad.

Uśmiech nie schodził z twarzy sprzedawcy.

– Myślę, że wie pan więcej, niż byłby pan gotów przyznać, panie McCarthy.

Matt stanął obok syna.

– To miło, że tak się troszczysz, ale w tej wsi nic takiego się nie dzieje. Tutaj, jak wiesz, jedziemy na reputacji. I w branży budowlanej, i w handlowej.

– To prawda. W tym sklepie dobrze wiemy, jaką różni ludzie mają reputację. Ale cieszę się, że pan jest w tym względzie optymistą. Bo chyba zgodzi się pan, że każdy, kto wiedziałby o czymś takim, powinien mówić o tym głośno.

Matt posłał mu zimny uśmiech.

– Asad, chłopie, gdybym miał pojęcie, o czym mówisz, na pewno bym się z tobą zgodził. Chodź, Anthony. Musimy iść. – Drzwi zamknęły się z nieco większym impetem niż zwykle, co sprawiło, że dzwonek rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę.

Uszy Matta płonęły. Gdy wsiadł do furgonetki, nie mógł opanować emocji.

– Jasna cholera! Słyszałeś go, Ant? Słyszałeś, co insynuował? – Obawa, że ktoś mógłby się dowiedzieć o jego nocy z Isabel, wywoływała w nim jeszcze agresywniejszą reakcję. – Za kogo on się uważa?! Za takie słowa mógłbym mu wytoczyć proces o zniesławienie. Będzie mi prawili morały! Ten idiota zawsze działał mi na nerwy.

Emocje huczały w nim tak mocno, że nie usłyszał swojego telefonu. Dopiero jego syn podniósł komórkę z deski rozdzielczej i odebrał.

– To Theresa – rzucił krótko i odwrócił się od ojca.

Następnego ranka krótko przed siódmą Isabel zauważyła psy. Była sobota, więc nie musiała wcześniej wstawać, ale kiepsko teraz sypiała i uznała, że jedynym sposobem na oczyszczenie głowy jest wstanie z łóżka.

O co chodziło z tymi planami, które znalazła w koparce? Wyraźnie dotyczyły one domu hiszpańskiego: według tego projektu pracował Matt. Widać było na nich łazienkę w miejscu, które sugerował, tuż obok nowej garderoby. Matt jednak nigdy nie wspominał o planach architektonicznych. Nie mogły one też należeć do Samuela Pottiswortha, były bowiem zbyt nowe; do tego Isabel trudno było uwierzyć, że jej cioteczny dziadek planował poważny remont, skoro przez dziesięciolecia zaniedbywał dom.

Ale skoro Matt zapłacił architektowi, by je dla niej sporządził, to chyba powinna mieć na nie wpływ? Na samą myśl, że miałyby z nim o tym rozmawiać, robiło jej się słabo.

No i była jeszcze kwestia pieniędzy. Przed śmiercią Laurenta nigdy o nich nie myślała. To była jego domena, coś, co zapewniało życiowe przyjemności. Rodzinne wakacje, nowe ubrania, posiłki w restauracjach. Z obecnej perspektywy szokowała ją ich ówczesna rozrzutność.

Teraz Isabel dokładnie wiedziała, ile pieniędzy ma w portfelu i na koncie bankowym. Gdy zapłacą Mattowi ostatni rachunek, za resztę będą mogli przeżyć przez trzy miesiące bez dodatkowych dochodów. Trzy lub cztery lekcje skrzypiec tygodniowo zapewnią im utrzymanie na dłużej. Gdyby udało im się dorobić porządnej łazienki i wyremontować przynajmniej jeden pokój, mogliby go wynająć, co przyniosłoby do czterdziestu funtów tygodniowo. Ale to było jedno wielkie gdybanie. Nadal myli się nad kuchennym zlewem i korzystali z toalety na dole.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, by ktoś się skusił na takie warunki – stwierdziła Kitty.

Isabel stała, wciąż zaspana, przy oknie, obserwując kaczki i gęsi wzbijające się w powietrze, próbujące odstraszyć gęganiem jakiegoś niewidzialnego drapieżnika, kiedy po drugiej stronie jeziora zobaczyła psy goniące się w kółko.

Pod wpływem impulsu naciągnęła szlafrok i pobiegła do drzwi. Włożyła kalosze i pospieszyła w stronę jeziora, obejmując się ramionami w chłodzie poranka.

Przystanąła w miejscu, gdzie wcześniej widziała psy. Wysoka mokra trawa ocierała się o jej gołe łydki, w uszach rozbrzmiewał śpiew ptaków. Zwierzęta zniknęły.

– Byron? – krzyknęła, a jej głos poniósł się po jeziorze. Już go nie było. Pewnie przechodził tędy w drodze do pracy. Nagle niedaleko niej z wody wynurzyła się głowa. Mokra, ciemna głowa, a za nią nagi tors.

Mężczyzna był odwrócony do niej plecami, więc przez chwilę Isabel mogła mu się swobodnie przyglądać. Uderzyła ją nieoczekiwana wspaniałość tego ciała, szerokie, umięśnione ramiona i szczupła talia. Kiedy otarł wodę z twarzy, załapały ją sprzeczne emocje: zachwyt nad jego pięknem, a potem wstyd na wspomnienie ostatniego mężczyzny, z którym spała, oraz tęsknota za fizyczną bliskością, za silnym męskim ciałem w kontakcie z miękkim kobiecym oraz za przyjemnością, której spodziewała się już nigdy nie zaznać.

Na jej widok wzdrygnął się, zaskoczony, a ona odwróciła się, speszona, że przyłapała ją na gapieniu się.

– Przepraszam – rzekła. Włosy opadały jej na twarz. – Nie wiedziałam, że tu jesteś...

Dobrnął do brzegu jeziora, najwyraźniej tak samo zakłopotany jak ona.

– Często przychodzę tu rano, żeby popływać – wyjaśnił. Jego ubrania leżały ułożone w pobliżu krzewu laurowiśni. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie... oczywiście, że nie – odparła. – Gratuluję hartu ducha. Woda jest pewnie lodowata.

– Można się przyzwyczaić – powiedział. Nastąpiła krótka chwila ciszy, w czasie której psy przebiegły obok z wywieszonymi językami. A potem Byron się uśmiechnął. – Hm... Isabel... chciałbym wyjść...

Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi, i odwróciła się z płonącymi policzkami. Czy myślał, że długo tam stała? I do tego w szlafroku. Nagle zobaczyła siebie oczami kogoś innego. Czy Matt powiedział mu o tamtej nocy? Czy ona w ogóle powinna tu być? Poczula się zdolowana. Mocniej owinęła się szlafrokiem.

– Wiesz co – odezwała się – porozmawiamy innym razem. Muszę już wracać.

– Isabel, wcale nie...

– Nie, naprawdę muszę...

Wtedy właśnie zobaczyła swojego syna. Wyszedł z lasu, podtrzymując brzeg bluzy od dresu wypełnionej grzybami.

– Thierry? – Była zupełnie zaskoczona jego widokiem. – Myślałam, że ciągle śpisz.

– Zakładałem, że o tym wiedziałś. – Usłyszała zza pleców głos Byrona. – Wychodzi ze mną co rano w każdą sobotę.

Tymczasem Isabel nie miała o tym pojęcia. Mary wiedziałyby, gdyby Thierry wychodził do lasu zaraz po wschodzie słońca. Poczula, że jest jej zimno. Ten jedwabny szlafrok nie chronił przed chłodem i wilgocią.

– Przepraszam – rzekł Byron, ciągle stojąc po pas w wodzie. – Nie zabierałbym go ze sobą, gdybym wiedział.

– W porządku. Jeśli to mu sprawia radość... – powiedziała cichym głosem.

Thierry podszedł do niej i pokazał jej grzyby, od których uderzyła ostra, ziemista woń.

– Są jadalne – wyjaśnił Byron. – To pieprzniki. Zbieram je od lat. Rosną na terenie Matta, ale nie miały nic przeciwko temu.

Na dźwięk tego imienia Isabel pochyliła głowę, by włosy bardziej zasłoniły jej twarz, i wzięła grzyby od syna. Odwróciła się plecami do Byrona i usłyszała plusk, gdy ten wynurzył się z wody. Świadomość jego nagości wywoływała w niej silne zakłopotanie, więc mruknęła coś niezobowiązującego do Thierry'ego, który zwinnymi palcami przebierał swoje zbiory.

– Tak właściwie chciałam cię prosić o przysługę – odezwała się do Byrona, wciąż odwrócona do niego plecami. – Muszę wykorzystać naszą ziemię pod kątem żywieniowym.

Mówiłeś, że możesz nauczyć Thierry'ego, jak uprawiać warzywa. Może mnie też pokażesz, co mogłabym zrobić? Wiem, że pracujesz dla Matta i pewnie jesteś bardzo zajęty, ale byłabym wdzięczna za każdą radę... Nie znam nikogo innego, kogo mogłabym o to poprosić.

Próbowała wybadać jego reakcję, a potem mówiła dalej:

– Nie chcę mieć krów ani świń ani hodować innych zwierząt, nie zamierzam też orać pól. Ale na pewno są jakieś inne sposoby, żeby skorzystać z darów natury.

– Ubrudziś sobie ręce.

Odwróciła się. Miał już na sobie podkoszulek i dżinsy, ale jego skóra ciągle lśniła od wilgoci. Potem spojrzała na swoje palce, które przez trzydzieści lat nie skalały się zwykłą pracą, a teraz były umazane ziemią z grzybów.

– Przywykną do tego – odparła.

Byron wytarł głowę ręcznikiem, rozejrzał się wokół, a potem powiedział:

– Tu, na przykład, masz już śniadanie. – Wskazał na grzyby. – Możesz je zbierać do jesieni. I jeśli nie brzydzi cię byle co, dasz radę wykarmić rodzinę przez wiele miesięcy. – Umilkł na chwilę, a wokół jego ust igrał delikatny uśmiech. Kiedy się uśmiechał, wyglądał jak zupełnie inny człowiek. – Hm – odezwał się wreszcie i wskazał na jej szlafrok. – To nie jest do tego najlepszy strój.

– Och! – wykrzyknęła i roześmiała się. – Pięć minut. Daj mi pięć minut na przebranie.

Jeśli człowiek dobrze się rozejrzał, jedzenie mógł znaleźć wszędzie, odkryła Isabel. Kitty została w domu i rozmawiała przez telefon, a ona z Thierryem chodziła za Byronem po ogrodzie i wokół jeziora i starała się zapamiętać wszystko, co mówił o potencjale tej ziemi, w której teraz widziała źródło zaopatrzenia, a nie coś, co wysysało z niej energię.

– Najłatwiejsze do uprawy będą ziemniaki, pomidory, może też cebula i fasola. To dobra gleba. W tym rogu można posadzić rabarbar. Kiedyś dobrze tu rósł.

Thierry się skrzywił.

– Będzie ci smakował na cieście z kruszonką. – Byron go szturchnął.

Muszę je upiec, pomyślała Isabel, żałując, że nie poprosiła Mary o przepis.

– Przy stajni znajduje się stara szklarnia. Można tam umieścić sadzonki, póki są delikatne, a po przymrozkach wystawić na zewnątrz. Najtaniej jest zacząć uprawę z nasion, ale w tym roku chyba już na to za późno. Jeśli oczyścimy ten skrawek – wyrwał kilka chwastów przy murze z czerwonej cegły – może znajdziesz parę krzaków malin... O, są. Przytnij je mniej więcej tu – wskazał kciukiem – a powinny obrodzić. A tu wyrosną jeżyny.

Rozgadał się. Był wyraźnie w swoim żywiole, zniknął jego dystans, a na twarzy błąkał się uśmiech. Mówił głosem miękkim i niskim, jakby nie chciał przeszkadzać naturze.

– Tu masz różne odmiany jabłek. Będą dojrzałe jesienią. Musisz się zaopatrzyć w zamrażarkę do przechowywania tego, czego nie przejecie, wtedy będziesz mieć zapasy na zimę. Z jabłek zrób jak najwięcej przetworów. Te, co zostaną, najlepiej każde z osobna owinać w gazetę – zademonstrował, jak to zrobić – i trzymać w którymś z budynków gospodarczych, w chłodzie, w takim miejscu, by nie dorwały się do nich myszy. A tu rosną śliwki, gruszki, rajskie jabłuszka... – kontynuował, wskazując na kolejne drzewa owocowe.

Isabel nie była w stanie ich rozróżnić.

– Tutaj masz renklody. A na tych krzakach agrest. Uważaj na kolce, gdy będziesz go zbierał, Thierry. Możesz zrobić z owoców dżem, chutney, możesz je nawet sprzedawać. Wiele osób handluje takimi rzeczami przy drodze.

– Kto by przejechał taki szmat drogi po dżem? – spytała Isabel.

– Wystarczy, że poprosisz kuzynów, by sprzedawali je jako produkty ekologiczne. O ile pamiętam, niczego tutaj nie pryskano. – Po chwili dodał: – Będziesz mieć tylko problem z sałatą



i marchewką.

– Króliki – domyśliła się Isabel.

– Owszem. Ale jest na to sposób. A co wieczór możesz jadać gulasz z królika.

– To znaczy co, chcesz je zabijać?

– W tej okolicy to normalne.

Mówił to z taką lekkością, że aż się wzdrygnęła.

– Nie jest trudno oskórować królika – dodał. – Thierry już to robił.

Isabel była w wyraźnym szoku i Byron się zmieszał.

– Byłem ostrożny. Uważnie patrzyłem, żeby się nie skaleczył.

W osłupienie wprawiło ją nie tyle odkrycie, że jej syn miał w ręce nóż, ile malująca się na jego twarzy duma, gdy nieśmiało zerkał na Byrona; najwyraźniej czuł się doceniony.

– Nieźle ci to wychodzi, prawda, chłopcze? Masz zręcznego syna.

– Dałeś sobie z tym radę, Thierry?

Gdy tak obserwowała jego interakcję z Byronem, przeszło jej przez myśl, że może jej syn odpowie, ale on tylko skinął głową. Złowiła wzrok mężczyzny i dostrzegła w nim potwierdzenie swoich nadziei. Ale udał, że nic się nie stało, i dalej mówił tym samym spokojnym tonem:

– Są też bażanty i jelenie. Dziczyzna zapewni ci pożywienie na większość zimy. Można ją powiesić w którejś szopie. To dobre, bardzo chude mięso.

– Nie sądzę, żebym sobie z tym poradziła – powiedziała z uśmiechem.

Przez chwilę obserwowali, jak Thierry goni się z jednym z psów między drzewami.

– Zdziwiłabyś się, do czego zdolny jest człowiek przyparty do muru – odparł Byron.

Obeszli jezioro i wracali do domu, ziemia nagrzewała się od słońca, wokół nich latało kilka pszczół. Isabel czuła teraz, że ma mnóstwo możliwości. Oczami wyobraźni widziała wiszące przed domem kosze pełne cebuli i owoców z jej własnych upraw oraz plastikowe pojemniki na mleko. Poczwała nagle, że jest w stanie obierać warzywa, oprawiać zwierzęta i gotować.

– Nauczysz mnie? Strzelać?

Byron wyglądał na zakłopotanego.

– Z wiatrówki, owszem. Ale nie powinienem być używać tamtej strzelby. Nie mam na to zezwolenia. Za to znam kogoś, kto może ci udzielić lekcji.

– Nie stać mnie na to – odparła.

– Do królików możesz strzelać z wiatrówki – powiedział. – Na to nie musisz mieć zezwolenia. Mogę ci pożyczyć swoją. I pokażę ci, jak z niej korzystać.

W ciągu jednej doby Isabel przeistoczyła się z pierwszej skrzypaczki w uzbrojoną ogrodniczkę.

Siedziała na rozklekotanej ławce na tyłach domu, trzymając w rękach wiatrówkę Byrona; przed sobą miała rząd puszek ustawionych pod murkiem przed otwartym polem, żeby nikogo nie zranić. Kazał jej ćwiczyć. Podniosła strzelbę do ramienia i znalazła puszkę na celowniku. Powiedział jej, że trzeba trafić w głowę. Zabić jednym strzałem. Ranienie jest okrutne.

To nie są słodkie, puszyste króliczki, powtarzała sobie. To pożywienie dla moich dzieci. To pieniądze zaoszczędzone na ten dom. To nasza przyszłość.

Paf! Strzał rozległ się echem nad okolicą i pocisk z satysfakcjonującym brzękiem trafił w puszkę. Usłyszała kroki syna, poczuła jego dotyk na swoim ramieniu. Odwróciła się, a on uśmiechnął się do niej. Poprosiła go, żeby się odsunął.

To już koniec, Laurent – powiedziała w myślach, a jej szczupły, biały palec ponownie dotknął spustu. Czas iść do przodu.

Wydawało im się, że Anthony ich nie słyszy. Kłócili się za drzwiami gabinetu i myśleli, że ich głosy nie roznoszą się po domu, nie odbijają się echem od ścian.

– Naprawdę nie wydaje mi się, bym prosiła o zbyt wiele, Matt. Chciałabym mieć choć blade pojęcie, o której wrócisz do domu.

– Mówiłem ci już, że nie umiem tego określić. Dobrze wiesz, że nie jestem w stanie ci tego powiedzieć z dnia na dzień.

– Dawniej informowałeś mnie choćby z grubsza. A teraz wyłączasz telefon na pół dnia, a ja nie wiem, gdzie się podziewasz.

– A co, mam ci się spowiadać z każdej minuty? Nie jestem dzieckiem. Chcesz odzyskać tamten dom, prawda? To pozwól mi, do cholery, na to zarobić.

W salonie Anthony osunął się w fotelu i zastanawiał się, czy nie założyć słuchawek.

– Nie wiem, dlaczego reagujesz tak agresywnie. Proszę jedynie, żebyś mnie informował, o której mniej więcej będziesz w domu.

– A ja ci mówię, po raz chyba setny, że to nie jest możliwe. Mogę pracować w domu hiszpańskim i napotkać jakiś większy problem. Może mnie wezwać ktoś po drugiej stronie miasta w pilnej sprawie. Wiesz równie dobrze jak ja, że muszę być elastyczny. Gdzie, do cholery, jest mój rejestr rachunków?

Rozległo się trzaskanie szuflad.

– W niebieskiej teczce, jak zawsze. Tu. – Chwila ciszy. – Posłuchaj, Matt, wszystko rozumiem, tylko czemu nie możesz do mnie zadzwonić i powiedzieć tak orientacyjnie? W ten sposób mogłabym sobie zaplanować wieczór. I kolację.

– Po prostu zostaw mi jedzenie w piekarniku. Mogę zjeść letnie, o co robisz tyle hałasu?

– Bo nie chcesz mi nic powiedzieć.

– Nie, problem w tym, że chcesz mnie kontrolować. Tak samo jak wszystko wokół: ten dom, tamten dom, finanse, Anthony'ego, a teraz mnie. „Musisz to, musisz tamto”, cały czas trujesz mi głowę!

– Jak możesz tak mówić?

– Bo to prawda. I działa mi to na nerwy.

– Mam wrażenie, Matt, że wszystko, co robię, działa ci na nerwy.

To był już trzeci raz w tym tygodniu. Tata od prawie dziesięciu dni chodził zły jak osa. Nie wiedzieć czemu nie powiedział mamie, że nie pracują już w domu hiszpańskim, a on zastanawiał się, czy to dlatego, że pani Delancey skończyły się pieniądze. Kitty ciągle powtarzała, że są splukani. Możliwe, że tata próbował wymyślić, co zrobić w tej sprawie, zanim powie o tym mamie.

W każdym razie coś było nie tak. Zazwyczaj po lekcjach Matt zabierał syna ze sobą do pracy, niby żeby go szkolić i przygotowywać na dzień, kiedy przejmie firmę. A przynajmniej tak mówił, choć Anthony podejrzewał, że chodziło mu o darmową parę rąk do pracy. Ale ostatnio tego nie robił. Byron doglądał pola, więc jego też nie zabierał. Anthony nawet nie wiedział, gdzie ojciec teraz pracuje – prawdopodobnie w domu Theresy, choć tego nie można nazwać pracą. W gruncie rzeczy pasowało mu to: mógł teraz wpadać do Kitty i spędzać z nią czas. To było lepsze niż słuchanie tych kłótni. Wyciągnął z kieszeni komórkę i napisał do niej esemesa: „Myślisz, że opieka społeczna mogłaby się zająć moimi rodzicami?”.

– Nie chcę się z tobą kłócić, Matt...

– A to ciekawe. Bo wszczynasz kłótnie przy każdej okazji.

– To nie w porządku. Po prostu chciałabym czuć, że w ogóle mam męża. Bo teraz tego nie czuję. Nawet jeśli jesteś w domu, jesteś nieobecny duchem.

Telefon zabrzączał. Anthony spojrzął na wyświetlacz.

„Mnie o takie rzeczy nie pytaj. Moja matka biega wokół domu ze strzelbą. K XX”.

– Łeb mnie rozbolał od twojej paplaniny. Wychodzę.

– Matt, nie...

– Nie mam na to czasu.

– Ale dla niej masz czas.

Długa cisza. Anthony zamknął klapkę od telefonu, a potem podciągnął się na fotelu i zaczął nasłuchiwać, jak gdyby zaraz spodziewał się wybuchu bomby.

– Co ty gadasz?

Słysząc było, że matka mówi przez łyżki:

– Nie jestem głupia, Matt. Wiem o wszystkim. I nie będę tego znowu tolerować.

Głos ojca był lekceważący i zimny.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Kto to jest tym razem, Matt? Jakaś sprzedawczyni? Barmanka? Wdzięczna klientka?

A może nasza nowa sąsiadka? Spędzasz u niej całkiem sporo czasu.

Na te słowa jego ojciec eksplodował.

– A kto mnie tam wysłał? Kto mi kazał zająć się tym domem? Kto przez ostatnie dziewięć lat przynudzał, jak bardzo chce go mieć? Więc nie wyżywaj się na mnie teraz, gdy robię to, na czym tak bardzo ci zależało!

– Nie przekręcaj moich słów! Marzyłeś o tym domu tak samo jak ja!

– Nie zamierzam tego dłużej wysłuchiwać. Idę do roboty.

Anthony założył słuchawki w tym samym momencie, w którym otworzyły się drzwi od gabinetu i wyparował z niego ojciec.

– Wróć, kiedy wróć. Jasne? Anthony, a ty czemu nie jesteś w szkole, zamiast siedzieć tu i podsłuchiwać jak stara plotkara?

– Nie traktuj mnie jak idiotki, Matt! – krzyknęła matka z płaczem. – Nie mam zamiaru przyglądać się beczynie, jak posuwasz połowę okolicy. Matt! Matt?!

Furgonetka ojca odjechała, rozpryskując wokół fontannę żwiru. Gdy weszła mama, Anthony zdjął słuchawki. Zaskoczona jego widokiem, otarła oczy, próbując doprowadzić się do porządku.

– Nie wiedziałam, że ciągle tu jesteś, kochanie. Czekasz na podwózkę?

– Nie mamy dzisiaj pierwszej lekcji. Idę dopiero na dziesiątą. – Bawił się telefonem, żeby dać jej czas na poprawienie fryzury. Zawsze miała nienagannie ułożone włosy, a gdy były w takim nieładzie jak teraz, jego mama sprawiała wrażenie bezbronnej. – Chciałem się tylko upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku.

Miała zaczerwienione oczy i plamy na twarzy.

– Tak, w porządku. Naprawdę. Wiesz, jaki jest tata... czasami potrafi być trudny. –

A potem rzuciła niby od niechcenia: – Nie wspominał, gdzie teraz pracuje?

– Nie – odparł i zaraz dodał: – Ale nie pracuje już w domu hiszpańskim. Kitty mówi, że nie było go tam przez cały tydzień.

– Naprawdę?

– Ona w końcu wie najlepiej.

Matka westchnęła, jak gdyby sama nie wiedziała, czy ta wiadomość ją rozczarowała, czy przyniosła jej ulgę.

– A więc nie ma go tam – powiedziała, niemal do samej siebie. – Anthony, czy mogę cię

o coś zapytać? Czy myślisz, że... coś go łączy z panią Delancey?

Anthony cieszył się, że nie musi kłamać.

– Nie. Nie z nią. Ona jest... inna niż my. – Już chciał powiedzieć, że nie jest w typie jego ojca.

– On jest taki... – Laura wysiliła się na uśmiech, który przywoływała za każdym razem, gdy próbowała przekonać syna, że wszystko gra. – Przepraszam. Nie powinnam cię w to wszystko mieszać. Pewnie masz mnie za głupią.

Uświadomił sobie, że ma ochotę przywalić ojcu – i to tak naprawdę, z całej siły. I rzucił bez zastanowienia:

– Możemy go zostawić. – A gdy mama zrobiła wielkie oczy ze zdumienia, dodał: – Chciałem tylko powiedzieć, żebyś nie była z nim ze względu na mnie. Nie byłbym załamany ani nic takiego, gdybyśmy od niego odeszli.

– Ależ Anthony, to przecież twój ojciec!

Chłopak wzruszył ramionami i chwycił leżący koło sofy plecak. Wiedział już, że cokolwiek by teraz rzekł, i tak niczego by to nie zmieniło.

– Co wcale nie oznacza, że jest dobrym człowiekiem, prawda?

Na początku myślała, że to kuzyni. Bo kto inny mógłby zostawić im pod drzwiami dwa opakowania świeżych jajek, w które mało nie wdepnęła? Podniosła jedno pudełko, otworzyła i przyjrzała się jajkom w plamki, o różnych rozmiarach, z których część była wciąż pokryta brudną słomą i piórkami. Kiedy rozbiła jedno na patelnię, jajko się nie rozlało. Kitty zażartowała, że przypomina silikonowy implant.

– Według kuzynów znaczy to, że są naprawdę świeże.

W porze lunchu poszła do sklepu i podziękowała za niespodziewaną dostawę.

– Były absolutnie przepyszne – powiedziała. – Miały niemal mięsny posmak. Nie wiedziałam, że jajka mogą tak smakować. I co za kolor! Taki żywy!

Henry spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Moja droga, chciałbym móc powiedzieć, że mamy coś wspólnego z tak uroczą niespodzianką, ale my nie dostarczamy niczego do domów. Nawet najmilszym klientom.

Kilka dni później pojawiło się drewno opałowe. Był do niego dołączony liścik: „Musi się suszyć przez co najmniej rok. Reszta leży w stodole przy sadzie”.

Wyszła na zewnątrz i znalazła starannie ułożony stos świeżo ściętego drewna, z którego jeszcze sączył się sok. Wdychała jego zapach, przesuując dłonią po korze. Było w tym widoku coś, co dawało pierwotną satysfakcję: zapowiedź nadchodzącego ciepła.

Dwa dni później w zardzewiałej drucianej klatce znalazła sześć rozgdakanych czarnookich kur. Liścik brzmiał: „To nioski (jaja znajdziesz wkrótce). Trzeba im dawać kukurydzę lub specjalną karmę, uzupełniać żwirek i wodę. Stary kurnik przy szklarni. Zamykaj je na noc. Colin z Dorneys Farm wpadnie po stare palety z tyłu garażu w ramach zapłaty”.

Wraz z Thierryem zbudowali prowizoryczny wybieg dla kur z kawałków starej siatki ogrodzeniowej i słupków, a potem obserwowali, jak ptaki chodzą i dziobią po ogrodzie. Thierry'emu praca ta sprawiała wielką przyjemność, a po jej zakończeniu z satysfakcją szorował ręce. Kiedy znalazł pierwsze jajko, pobiegł do niej i przyłożył jej do policzka, aby poczuła jego ciepło. Isabel modliła się, żeby to był punkt zwrotny w życiu jej syna.

A potem pojawiły się króliki. Była na górze, myła zęby w niewykończonej łazience, kiedy usłyszała przeraźliwy krzyk Kitty. Zbiegła na dół w szlafroku, z ustami pełnymi piany, i zastała córkę przy tylnym wejściu obejmującą się ramionami, z pobladłą twarzą.

– O Boże, ktoś tu nas naprawdę nienawidzi!

– O co chodzi? – krzyknęła Isabel. – Co się stało?

– Sama zobacz!

Isabel otworzyła drzwi, Thierry stał obok niej. Na schodach leżały trzy martwe króliki: tylne łapki miały związane sznurkiem, a mała krwawa plama na głowie wskazywała, skąd się tu wzięły.

– To jak w tym filmie, *Uwolnienie*.

– Byron – odezwał się Thierry, uradowany.

– Co powiedziałeś? – zapytała Isabel.

Ale chłopiec nie rzekł nic więcej. Wziął króliki, wniósł je do środka i położył ostrożnie na kuchennym stole.

– Fuj! Nie kładź ich tutaj! Są zdechłe! – pisnęła Kitty, przywierając do ściany, jak gdyby króliki mogły nagle ożyć i na nią skoczyć.

– Wszystko w porządku, kochanie – uspokoiła ją Isabel. – Dostaliśmy je w ramach prezentu. Thierry je dla nas oprawi.

– Ktoś nam podrzucił rozjechane zwierzęta?

– One nie są rozjechane. A ludzie od zawsze jedzą króliki.

– Tak, a dawniej posyłali małe dzieci do czyszczenia kominów. Co nie znaczy, że to było właściwe. – Kitty była ewidentnie zbulwersowana. – Jeśli ci się wydaje, że ja to zjem, to chyba ci rozum odjęło. Ble! Oboje jesteście obrzydliwi! – I wybiegła z kuchni.

Thierry wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Isabel powiedziała:

– Pokaż mi, kochanie, czego cię nauczył Byron, i zrobimy to razem.

Tak było już od prawie dwóch tygodni. Młode ziemniaki, nieśmiałe pędy wyłaniające się z pomarszczonej skórki, koperty pełne nasion opatrzone instrukcjami, dwa worki obornika. Isabel próbowała znaleźć Byrona, żeby mu podziękować, ale nie mogła się na niego natknąć. Dom wydawał się nieco opusto-szały, była tam tylko ona i dzieci. Matt nie wrócił. Koparka i jego narzędzia leżały porzucone jak rzecz na pokładzie Mary Celeste.

Thierry rozciągnął na stole plastikowy worek i położył królika na grzbiecie z głową skierowaną w swoją stronę. Wziął mały nóż kuchenny, przyłożył go z lewej strony miękkiego białego brzucha, złapał kawałek futra między palce i zaczął ciąć. Isabel powstrzymała odruch, by zabrać mu ostre narzędzie, bo jego palce poruszały się z taką precyzją jak jej podczas gry na skrzypcach. Pracował w skupieniu, z ogromną delikatnością, a potem odłożył nóż i zdjął z królika futro, jak gdyby to było ubranie, odsłaniając różowe mięso.

Nie wiedziała, co powie Mattowi, gdy poruszy temat tamtej nocy. Nie potrafiła wytłumaczyć swojego postępowania – nie mówiąc już o jego motywach – i chociaż alkohol mógł tu odegrać pewną rolę, wiedziała, że nie był główną przyczyną. Jeśli miała być szczerą, w głębi duszy czuła się mu dłużna, choć niewygodna prawda zawarta w jego propozycji mroziła jej krew w żyłach.

Isabel była w fatalnym nastroju, gdy nagle pojawił się on, silny mężczyzna, który zawsze miał nad wszystkim kontrolę... i tam, w ciemności, pogrążona w muzyce i samotności, przekonała siebie samą, że nie jest nikim obcym. Że w ciemności i na wietrze przywołała ducha Laurenta.

Nie mogła też twierdzić, że tego nie chciała. Bo chciała.

Thierry usunął głowę królika. Isabel starała się nie skrzywić, gdy przejechał nożem po pachwinie zwierzęcia, a potem do góry, i wyszarpał wnętrzności. Chłopiec w skupieniu przygryzał dolną wargę. Przyszło jej do głowy, że jego ręce wyglądają jak wtedy, gdy był małym dzieckiem i malował palcami czerwoną i brązową farbą.

Znów pomyślała o Matcie, o wstydlivej przyjemności, jaką jej sprawiły dotyk jego dłoni, jego oddech, jego uścisk, gdy mu się poddawała. O radości odwzajemnionego czystego

pożądania. Wciąż pamiętała tę przeszywającą fizyczną rozkosz, gdy poczuła go w sobie.

A potem czar prysł, zaledwie kilka chwil później. On nie był jej mężem. Nie był kimś, kogo pożądała, kogo chciała mieć przy sobie, w sobie. Ale sprawy zaszły zbyt daleko, by Isabel mogła się zatrzymać, więc zamknęła oczy i próbowała się odciąć od tego, co się działo. Jej ciało, które najpierw ją zdradziło, przypomniawszy sobie, kim jest ten mężczyzna, i odłączyło się, zmieniając ją w istotę zimną, nieczułą i zawstydzoną. A najgorsze w tym wszystkim były jego zadowolenie po fakcie i jego czułość. Tak jakby odniósł wrażenie, że ona może chcieć przedłużyć tę chwilę, a nawet zrobić to ponownie.

Do tego wszystkiego przygniatała ją teraz poczucie winy – nie tylko z powodu jego żony, ale i dlatego, że ona, kobieta, która przez prawie rok opłakiwała męża i stale o nim myślała, z taką łatwością oddała się innemu mężczyźnie. Czuła się, jakby zdradziła to, co było między nią a Laurentem. Miała wrażenie, że ta noc z Mattem wymazała jej przeszłość.

Podskoczyła wystraszona, kiedy Thierry złamał królikowi nogi. Nie było już futra, głowy, łap, tylko kawał surowego mięsa, brutalnie nagi. Thierry umył tuskę pod kranem, stojąc na palcach, a potem z dumą podał ją matce. W miejscu, gdzie jeszcze do niedawna było serce zwierzęcia, teraz znajdowała się pusta jama.

Isabel stłumiła dreszcz.

– Wspaniale, kochanie. Dobra robota.

Mając ręce wciąż ubrudzone krwią i futrem, Thierry położył następnego królika na plastikowym worku. Isabel natomiast włożyła spreparowaną tuskę do osolonej wody, tak jak nakazał jej Byron. Podobno mięso było wtedy smaczniejsze.

Zobaczyła jego samochód, zanim dostrzegła jego samego pomiędzy drzewami na drugim brzegu jeziora. To właśnie tamto miejsce pokazała mu wtedy, kiedy się poznali. Od tamtej pory wracała tam parokrotnie, w dni, kiedy Matt zachowywał się wobec niej szczególnie okropnie. Słowa syna wciąż dzwoniły jej w uszach.

– Jesteśmy małżeństwem – odpowiedziała mu. – Możesz mi wierzyć lubi nie, ale to coś znaczy: że człowiek nie odchodzi ot tak, kiedy sytuacja robi się trudna. To znaczy, że staramy się rozwiązywać nasze problemy.

– Skoro tak twierdzisz – mruknął Anthony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że nigdy się nie ożenię, jeśli miałbym żyć jak wy. Spójrz na was. Nie ma między wami przyjaźni. Nigdy się razem nie śmiejecie. Nawet o niczym ze sobą nie rozmawiacie.

– To nie w porządku.

– Przypominacie pary z sitcomów z lat pięćdziesiątych. On cię krzywdzi. Ty mu wybaczasz. On bałagani. Ty sprzątasz. Jak dla mnie to kiepski układ.

Zaparkował samochód nieco z tyłu, tuż przy drodze, i kiedy przechodziła obok, kątem oka zobaczyła w środku mapę i porozrzucane świstki papieru. Wiedziała już, że może być tylko jeden powód, dla którego tu wrócił. Przyglądała płaszcz, ciesząc się, że przed wyjściem poprawiła makijaż.

Siedział na pnium i podniósł się na jej widok, a jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Ona również się uśmiechnęła. Ostatnio tylko czworonożne stworzenia witały ją z taką radością.

– To pani! – wykrzyknął. – Miałem nadzieję, że panią spotkam.

Miał piękny głos, niski i łagodny, choć nieco nerwowy. Podobny trochę do głosu jej ojca. Nagle ogarnęła ją nieśmiałość.

– Podziwia pan widok? – spytała speszona.

Wyciągnął rękę, by poklepać Berniego, który przywitał się z nim bez wahania.

– To niesamowite miejsce. Śniło mi się co noc od naszego... ostatniego spotkania.

Dom hiszpański był ledwo widoczny z tej odległości, przesłonięty drzewami i żywopłotem odbijał się w lśniącej wodzie. Bywało, że siadała tutaj i puszczała wodze wyobraźni: widziała siebie idącą z mężem pod ramię, jak schodzą po kamiennych schodach w stronę jeziora. Widziała przyjęcia, które mieli urządzać w ogrodzie. Eleganckie zasłony, które zamierzali zawiesić w oknach. Potem to się zmieniło: nie była w stanie zapuszczać się w te rejony, nie była w stanie patrzeć na ten dom, bo zżerały ją zazdrość i frustracja, że pomimo tylu starań nie przypadł on jej.

Dzisiaj po raz pierwszy to nie miało znaczenia. To już nie był obiekt jej pożądania ani przyczyna frustracji, tylko stary, zniszczony dom, stojący spokojnie po drugiej stronie jeziora.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, zakłócana przez kwakanie kaczek walczących w trzcinie. Nicholas drapał psa za uszami. Przypomniała sobie, co mu mówiła, kiedy się ostatnio widzieli. Może rzeczywiście łatwiej jest wyjawić sekrety obcej osobie.

– Wygląda pani... prześlicznie – odezwał się.

Mimowolnie podniosła rękę do włosów.

– Na pewno lepiej niż ostatnim razem – odparła.

– Ostatnim razem wyglądała pani cudownie. – Podniósł się. – Ma pani ochotę na kawę? Przywiozłem... dodatkowy kubek.

Roześmiali się oboje na myśl, co się za tym kryło. Laura usiadła na pniu.

– Z przyjemnością – rzekła.

W toku rozmowy zwierzyła mu się, że nie wie, kto to jest. Wiedziała, że jej mąż z kimś sypia, ale nie miała pojęcia z kim.

– Przez to życie we wsi stało się dla mnie nieznośne. – Starła się przy tym na niego nie patrzeć, wiedząc, że będzie mogła mówić dalej tylko wtedy, gdy będzie udawać, że go tu nie ma. – Gdziekolwiek pójdę, zastanawiam się: czy to ta? A może tamta? To może być w sumie każda. Dziewczyna z supermarketu. Sprzedawczyni ze sklepu z tkaninami. Kelnerka z restauracji, do której on mnie zabiera. Zawsze miał powodzenie u kobiet.

Nicholas nie komentował. Siedział tylko obok niej i słuchał.

– Nie mogę o tym z nikim porozmawiać. Ani z koleżankami, ani z sąsiadami. Wiem przynajmniej o jednej, z którą spał, chociaż się tego wyparł. Nie ma sensu go pytać. Potrafi odwrócić kota ogonem i sprawić, że człowiek uwierzy mu we wszystko. Ze mną tak było mnóstwo razy. Nawet teraz do niczego się nie przyznaje. Sprawia, że czuję się jak wariatka, w ogóle go o coś podejrzewając.

Odwrócił do niej twarz i przyjrzał się jej badawczo. Wiedziała, co sobie myśli. Co za idiotka. Ale jego mina tego nie wyrażała.

– Ostatnim razem już musiał się przyznać. Wysłał esemesa do mnie zamiast do niej. Chyba się w tym pogubił. „Spotkajmy się w Tailors’ Arms. Muszę wrócić za dwie godziny. Nakaz z góry”. Nigdy tego nie zapomnę. Nakaz z góry. Jakbym była jakimś nadzorcą.

– I co pani zrobiła?

Zaśmiała się gorzko.

– Poszłam do tego pubu. Kiedy mnie zobaczył, zbladł jak ściana.

Nicholas uśmiechnął się ze współczuciem. Laura bawiła się mankietem.

– Przyznał się do wszystkiego i przeprosił. Staraliśmy się wtedy o dziecko. Myślałam, że to nas do siebie zbliży, ale on twierdził, że czuł przez to presję i romans z tą kobietą, to znaczy z tą dziewczyną, był tego skutkiem. To było trzy lata temu.

– A teraz?

– Nie wiem. Rozmawiam z ekspedientkami, z fryzjerką, z koleżankami i sąsiadkami i... nie mam pojęcia, która z nich sypia z moim mężem. – Próbowwała zapanować nad głosem. – To

jest w tym wszystkim najtrudniejsze. Myśl, że może ona na mnie patrzy i śmieje się ze mnie. Któraś z tych ślicznych młodych dziewczyn z idealną skórą i jędrnym ciałem. Właśnie to widzę ciągle oczami wyobraźni. Jak oboje się ze mnie śmieją. – Zacisnęła szczękę. – Przepraszam – dodała po chwili. – Chciałam tylko wypić kawę, rozkoszując się pięknym widokiem, a ciągle nawijam o moim małżeństwie. Proszę mi wybaczyć.

Nie rozczulaj się nade mną, rzekła do niego w duchu, bo wtedy zupełnie się rozkleję.

Ale kiedy wpatrywała się w dom w oddali, poczuła na ręce jego dłoń. Dłoń, która była ciepła, mocna i nieznajoma. A w głosie, który usłyszała, pobrzmiwała stalowa nuta.

– Ten facet jest idiotą – powiedział.

Minęły dwie godziny, nim znowu spojrzął na zegarek.

– To jak bardzo długa przerwa na lunch! – wykrzyknęła, gdy okazało się, ile już czasu rozmawiają.

Nicholas się uśmiechnął i pokiwał głową, w kąciku jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Ale raczej trudno to było nazwać lunchem, prawda?

Oboje spojrzeli na opakowanie po czekoladzie.

Nie rozmawiali już więcej o Matcie. On uprzejmie zmienił temat: zaczął opowiadać jej o miejscu, do którego jeździł w dzieciństwie, całkiem podobnym do tego tutaj, gdzie wraz z rodzeństwem włóczyli się całymi godzinami albo budowali szałas. Rozmawiali o zwierzętach, które mieli jako dzieci, o rodzicach, za to omijali szerokim łukiem temat związków, przyczynę, dla której siedzieli samotnie tu, na skraju lasu. A potem zerknął na zegarek i wtedy okazało się, że rozmawiają już dwie godziny.

– Może kiedyś nadarzy się okazja, bym mógł to pani jakoś wynagrodzić – rzekł. – Zaproponować jakiś lepszy posiłek.

Zrozumiała, co miał na myśli. I jej uśmiech zbladł. Prawdziwy lunch. Co innego wpaść na kogoś na spacerze z psem, nawet usiąść z nim i porozmawiać, a co innego umówić się z nim w restauracji. Celowo.

To było coś, co zrobiłby Matt ze swoją zdobyczą.

Musiał odgadnąć, o czym myśli, ponieważ na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

– Przepraszam – powiedział. – Rozumiem... że sytuacja jest skomplikowana.

– Nie chodzi o pana.

Skrzywił się.

– Jest pan... bardzo miłym towarzyszem – dodała.

– I pani również, pani Lauro. – Podniósł się i podał jej rękę. – Mówię to szczerze. Nawet nie umiem wyrazić, jak przyjemnie spędziłem to popołudnie.

– E tam, słuchał pan tylko narzekań kury domowej. – Poprawiła bluzkę.

– Nie – zaprzeczył. – Wyznań płynących z serca. I pochlebia mi to. – Wciąż trzymał ją za rękę. – Od dłuższego czasu jestem samotny, częściowo z własnej woli, ale dobrze było tak po prostu z kimś porozmawiać, z kimś inteligentnym i miłym, i...

– Może już pójdę – powiedziała.

Puścił jej rękę.

– Oczywiście.

– Możliwe, że jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy – dodała. Nie mogła go o to poprosić. Nie była w stanie przyznać przed sobą, że mogłaby tego chcieć.

Nicholas sięgnął do kieszeni, wyjął długopis i napisał coś na skrawku papieru.

– To na wypadek, gdyby pani zmieniła zdanie w sprawie lunchu – rzekł.

I gdy już szła w stronę drogi, czując w kieszeni kartkę, która niemal paliła ją w dłoń, usłyszała jeszcze, jak woła za nią:



– Obiad z trzech dań albo tabliczka czekolady! Naprawdę wszystko mi jedno.

Odprowadzał ją wzrokiem. W jej chodzie było pewne skrępowanie, jakby wiedziała, że na nią patrzy. Nie odwróci się, choćby tego chciała, pomyślał. Wszystko w niej świadczyło o takcie i powściągliwości, cechach tak rzadko spotykanych w obecnych czasach. Nawet w sposobie, w jaki trzymała kubek, była elegancja. Mógłby tak na nią patrzeć jeszcze godzinami. Kiedy rozmawiali, umyślnie wbijał wzrok w dom po drugiej stronie jeziora, by nie zaniepokoiła jej intensywność jego spojrzenia. Ale mocno czuł przy sobie jej obecność, jego zmysły się wyostriły, gdy wiatr przyniósł zapach jej perfum. Oddech uwiązał mu w gardle, gdy podniosła na niego te smutne szare oczy. Teraz, gdy nie musiał się już powstrzymywać, wpatrywał się w nią tak długo, aż zniknęła za drzewami, a jej blond włosy mieniły się w promieniach słońca.

Wydawało mu się, że ją rozumie: tę piękną, delikatną kobietę, którą ledwo znał. Odkąd odeszła Diana, nikogo nie pragnął tak mocno, tak bezwarunkowo, i nie był pewien, czy kiedykolwiek czuł coś podobnego względem żony.

Idąc do samochodu, próbował się przekonywać, że nie powinien sobie robić nadziei. Tak jak w przypadku domu, prawdopodobnie będzie musiał uzbroić się w cierpliwość. Choć sam może nie był w stanie tego dostrzec, pomimo wydarzeń z ostatnich lat Nicholas Trent w głębi serca wciąż był graczem. A świadomość istnienia rywala, może i niewidzialnego, nieznanego, za to silnego, tylko wzmocniła jego pożądanie.

Tego wieczoru Byron wreszcie się pojawił. Rozległo się pukanie do drzwi kuchennych i gdy tylko Isabel zobaczyła przez szybę, że to on, od razu otworzyła. Wypełniał całą framugę i mimo wieczornego chłodu miał na sobie tylko znoszony niebieski podkoszulek.

– Cześć – przywitał ją, a jego uśmiech był tak nieoczekiwany, że odpowiedziała mu tym samym. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko: chciałbym z tobą porozmawiać.

– Wejdiesz do środka? – spytała, gestem zapraszając go do kuchni.

Thierry, który odrabiał zadanie domowe, już zeskoczył z krzesła.

– Nie, nie. Może lepiej będzie tutaj. – Wskazał głową na ogród, więc Isabel wyszła na zewnątrz, po czym zamknęła za sobą drzwi.

O Boże, pomyślała. Pewnie będzie chciał pieniędzy za to, co nam przynosił.

– Czy wszystko w porządku? – odezwała się.

– To ma związek o Thierryem – powiedział cicho.

– Coś się dzieje? – spytała zaniepokojona.

– Nic złego – wyjaśnił pospiesznie. – Chodzi o to, że już sprzedałem większość szczeniaków, to znaczy zarezerwowałem je dla paru osób, i zanim się pozbędę dwóch ostatnich, stwierdziłem, że zapytam, czy nie chciałabyś jednego. Thierry bardzo się do nich przywiązał.

Zobaczyła dwa czarno-białe pieski, które wierciły się w pudełku leżącym na ziemi.

– Za chwilę można je będzie odstawić od matki – kontynuował – i pomyślałem... Przebywanie wśród zwierząt chyba ma na niego dobry wpływ. – Zawahał się, jak gdyby się bał, że mógłby powiedzieć za dużo. – Kazałem mu na nie wołać.

– Wołać?

– Powiedziałem mu, że musi im nadać imiona, by móc je tresować. Robił to w lesie pod moim okiem.

– I woła na nie?

Byron przytaknął.

– Czasami nawet całkiem głośno.

Na myśl o dźwięcznym głosie syna Isabel poczuła w gardle gulę.

– Co takiego mówi?

– Nie za wiele. Tylko ich imiona, krzyczy: „do nogi”, „siad” albo tym podobne rzeczy.

Pomyślałem, że dobrze mu zrobi, gdy będzie wydobywał z siebie jakieś dźwięki. Chyba łatwiej mu to przychodzi w lesie.

Stali naprzeciwko siebie w milczeniu.

– Po ile je sprzedajesz? – spytała Isabel.

– Po parę stówek. – A kiedy zobaczył minę Isabel, dodał: – Ale nie tobie. Nie Thierry’emu. Nie zamierzałem...

– Czego?

– Brać od ciebie pieniędzy.

Isabel obląła się rumieńcem.

– Zapłacę ci tyle co wszyscy.

– Ale to nie dlatego...

– Lepiej będzie, gdy zapłacę. Wtedy będziemy kwita. – Skrzyżowała ręce na piersi.

– Posłuchaj, nie przyszedłem tutaj, by sprzedać ci psa. Przy-szedłem spytać, czy weźmiesz go dla Thierry’ego. Jako prezent. Ale musiałem cię najpierw zapytać o zgodę.

Dlaczego niby miałbyś nam coś dawać za darmo? – chciała go spytać, ale pytanie uwięzło jej w gardle.

– Ten jest najśłabszy w miocie – dodał, wskazując na ciemniejszego.

Podejrzewała, że to nieprawda, ale nie chciała zarzucić mu kłamstwa. Schyliła się i podniosła psiaka z pudełka. Wiercił jej się na rękach i próbował polizać ją w szyję.

– Już i tak dałeś nam ogromnie dużo – rzuciła ponuro.

– Wcale nie. Tutaj tak to działa, ludzie zwykle pomagają sobie nawzajem.

– Ale to wszystko... Drewno, kury...

– Kury nie były tak naprawdę ode mnie. Powiedziałem Colinowi, że chętnie wymienisz drewniane palety na kilka niosek. Naprawdę. To nic takiego. – Podniósł drugiego szczeniaka. – Fajnie by było, gdyby jeszcze ten mały trafił do dobrego domu.

Spojrzała na niego, na tego skrytego mężczyznę, który był teraz tak samo skrępowany jak ona. Uświadomiła sobie, że jest młodszy, niż jej się wydawało, że jego wzrost, siła i opanowanie maskowały pewnego rodzaju bezbronność. I postanowiła rozładować sytuację.

– Wobec tego dziękuję – powiedziała z uśmiechem. – Myślę... jestem pewna, że Thierry chciałby mieć swojego psa.

– Thierry jest...

Byron urwał, bo oto spomiędzy drzew wyjechała furgonetka. Isabel się zarumieniła, kiedy rozpoznała charakterystyczny odgłos diesla. Poczowała dziecięce pragnienie, by wbiec do środka i przeczekać, aż sobie pojedzie.

Ale oczywiście tego nie zrobiła. Matt wyskoczył z samochodu i skierował się lekkim krokiem do drzwi kuchennych. Gdy ich zobaczył, ruszył w ich stronę, a wtedy Isabel zauważyła, że Byron się od niej odsunął.

– Byron, czy byłeś już odebrać materiały izolacyjne? – spytał Matt.

– Tak.

– A kanalizację przetkałeś?

Byron pokiwał głową.

Uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytania, Matt odwrócił się bokiem do niego, jakby zupełnie stracił nim zainteresowanie. W postawie Byrona, jak zauważyła Isabel, wszystko się zmieniło, jakby zamknął się w swojej skorupie. Jego twarz wyglądała jak maska.

– Przepraszam, że się ostatnio nie pojawiałem – rzekł Matt, stojąc przed Isabel. – Miałem pilną robotę w Long Barton.

– Nic się nie stało – odparła. – Naprawdę.

– Ale jutro już wrócę. O tej porze co zwykle. – Wpatrywał się w nią intensywnie, jak gdyby w jego słowach ukryte było jakieś głębsze znaczenie.

Isabel przytuliła szczeniaka mocniej do piersi, zadowolona, że ma wymówkę, by nie patrzeć na Matta.

– W porządku – odparła.

Nie poruszył się. Gdy znowu na niego spojrziała, wyprostowała plecy. Wpatrywał się w jej oczy dłużej, niż to konieczne, ale najwyraźniej nie był w stanie nic z nich odczytać i wreszcie odwrócił wzrok.

– Czyj to pies? – zapytał.

– Mój – odparł Byron.

– Chyba trochę za mały na spacer, co?

Byron wziął szczeniaka od Isabel i włożył go z powrotem do pudełka.

– Zaraz jadę z nimi do domu – powiedział.

Matt nie zbierał się do odjazdu. Jego wzrok wędrował od Isabel do Byrona, aż wreszcie spoczął na tym drugim.

– Byłbym zapomniał: od jutra czeka na ciebie robota u Dawsona. Okej? Trzeba tam trochę poprzycinać. A, i mam coś dla ciebie. – Wyjął kopertę i zaczął ostentacyjnie przeliczać banknoty. – ...dwadzieścia. Oto twoja wypłata. Nie wydaj wszystkiego naraz – dodał z szerokim uśmiechem.

Byron oschle przyjął pieniądze. W jego oczach pojawiły się iskry gniewu.

– Nie będziemy zajmować pani Delancey całego wieczoru – odezwał się znowu Matt. – Podwieźć cię do wsi?

– Nie trzeba – odparł Byron. – Zaparkowałem po drugiej stronie jeziora.

Zagwizdał, jego dwa dorosłe psy podbiegły i ruszyły za nim. Isabel miała ochotę go zawołać, ale się powstrzymała.

Matt odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do niej. Jego pewność siebie wyparowała.

– Isabel – odezwał się cichym głosem. – Chciałem z tobą porozmawiać...

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich Kitty. Trzymała w ustach kosmyk włosów.

– Pomożesz mi przy kolacji? – zwróciła się do matki, szybko wyjmując włosy z ust. – Stoisz tu i stoisz.

Isabel odwróciła się do Matta z ulgą.

– Przepraszam. Nie mogę teraz rozmawiać.

Kitty wyciągnęła przed siebie durszlak.

– Większość ziemniaków wypuściła wąsy.

– Posłuchaj – rzekła nagle Isabel do Matta. – Mamy... mam już wystarczająco pieniędzy, by zapłacić za pozostałe prace, które proponowałeś. – Zauważyła, że na jego twarzy odmalowało się zadowolenie, i uświadomiła sobie, że pewnie jego zdaniem wzywa go do siebie z innego powodu. – Kanalizacja, ogrzewanie i łazienka. Łazienka to konieczność.

– Przyjadę jutro – odparł.

– Świetnie. – Wślizgnęła się do środka i z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Byron Firth nie miał wygórowanych oczekiwań, ale nawet on musiał przyznać, że dom przy Appleby Lane mocno odbiegał od jego wyobrażeń. Zakładał, że będzie to skromny bliźniak, podobny może do tego, w którym do niedawna mieszkał z siostrą, albo jakiś mały domek na uboczu z niewielkim skrawkiem zieleni.

Gdy jego siostra wspomniała o dwóch sypialniach, podejrzewał, że to mieszkanie dwupoziomowe albo komunalne. Ale to był domek kryty strzechą, położony przy cichej uliczce na kilkunastu arach, z grubymi belkami i kwietnikami, niemal parodia angielskiej sielanki.

– Podać ci coś jeszcze, Byron?

Oparł się na wygodnej pluszowej sofie.

– Nie, dziękuję. Było przepyszne.

– Jason nastawił wodę. W międzyczasie chciałby ci pokazać nasze plany na ogródek. Gdzie zasadzić żywopłot i takie tam. Może mógłbyś mu w czymś doradzić.

Wiedział, że Jasona nie interesowało jego zdanie. Nie pałali do siebie sympatią. Byron traktował wszystkich chłopaków siostry – i potencjalnych ojczymów Lily – podejrzliwie. Ale rozumiał, że Jan wie, co robi, i ze względu na ich gościnność nie podważał słów siostry.

– Jasne. Tylko powiedz kiedy.

Lato w Norfolk wybuchło gwałtownie. Las przeobraził się zupełnie, z przyciętych pni wystrzeliły zielone pędy, a po wschodniej stronie zakwitł kobierzec z kwiatów, który cieszył oczy przez wiele tygodni.

Kiedy Jan wróciła do nieskazitelnej kuchni, jego głowa opadła na poduszki i Byron zamknął oczy. Pieczeń wołowa była przepyszna. Ale ta sofa... Nigdy nie zdawał sobie sprawy, jaki to luksus, dopóki nie spędził kilku tygodni, śpiąc na betonowej podłodze. Był twardym facetem, ale teraz zastanawiał się, jak wytrzyma kolejną noc w kotłowni.

Wszystko się przedłużało. Staruszek z Catton's End nie zapłacił jeszcze za najmniejszą suczkę, a pani Dorney z centrum ogrodniczego chciała wziąć psa dopiero po przeprowadzce.

Byron znalazł mały domek pięć kilometrów stąd, będący częścią dużej farmy mlecznej. Właściciele nie mieli nic przeciwko psom, a nawet mogliby mu dać jakąś robotę, ale dopóki Byron nie sprzedał wszystkich szczeniaków, nie miał pieniędzy na kaucję. Nawet zysk z ich sprzedaży by nie wystarczył, więc musiał brać wszystkie dodatkowe zlecenia od Matta.

– Pomożesz mi złożyć to krzeselko? – Lily wspięła mu się na kolana i wręczyła mebelek z zestawu, który jej podarował. Pokazała mu swój pokój i domek dla lalek, który dostała od „wujka Jasona”. Był wysoki niemal na metr i miał dach kryty słomianą strzechą.

– Chciał, żeby poczuła się tutaj jak w domu – wyjaśniła Jan. – Sam go zrobił. To miniatura tego, w którym teraz mieszkamy.

Oschły Jason zaskoczył Byrona, nie po raz pierwszy tego wieczoru. Nic w zachowaniu tego człowieka nie wskazywało, że był zdolny do czegoś takiego.

– Podaj mi klej, Lily. – Nachylił się, ostrożnie, by z tubki nie skapnęła ani kropla.

– A skleisz mi potem mebelki do kuchni?

– Jasne.

Spojrzała na niego z filuternym uśmiechem.

– Sarah, koleżanka mamy, bardzo cię lubi. Mama powiedziała jej, że może sobie ciebie wziąć, ale razem z twoim praniem.

Jan powiedziała mu to samo wcześniej, kiedy oddawał jej swoje ubrania.

– O rany, Byron. Kiedy ostatnio robiłeś pranie? – Trzymała worek w wyciągniętej ręce,

z dala od siebie. – To do ciebie niepodobne.

– Pralka mojego kumpla się zepsuła. Trochę mi się zebrało. – Udawał, że jest czymś zajęty w ogrodzie.

To był najgorszy aspekt jego tymczasowego lokum. Najbliższa pralnia była oddalona o dwadzieścia pięć kilometrów, więc wydałby mnóstwo na paliwo. Jeśli wypłukał rzeczy w jeziorze, nadal wyglądały na brudne, a wysuszenie ich trwało kilka dni. Czasami, kiedy siedział w kotłowni i słuchał gry Isabel, wyobrażał sobie, jak się zakrada do jej suszarni i korzysta z jej pralki. Ale to by było niewłaściwe, a poza tym nie chciał robić nic za jej plecami. A gdyby znalazła zabłąkaną skarpetkę?

Teraz dochodziły go dźwięki wirującej pralki Jan. Pełny żołądek, miękka sofa i perspektywa czystych ubrań. Wręczył Lily sklezione krzesło dla lalek. Tak niewiele trzeba było człowiekowi do szczęścia, gdyby się nad tym zastanowił.

– Jest całkiem ładna – kontynuowała Lily swoją opowieść. – Ma długie włosy.

– Cześć, Byron. – Jason wszedł do pokoju i usiadł w fotelu.

Byron podciągnął się na sofie. W tamtej pozycji mógłby zaraz zasnąć.

– Niezłe mieszkanie – powiedział. – Wszystko tu jest takie... ładne.

– Wyremontowałem je z ojcem kilka lat temu.

– Ładniej tu niż w naszym starym domu. – Lily naklejała naklejki na drewniane meble. –

Chociaż tamten też mi się podobał.

Byron uśmiechnął się do niej, a do Jasona powiedział:

– Będziesz niezłą konkurencją dla Matta McCarthy'ego.

– Bez obrazy, stary, ale nie wpuściłbym tego faceta do domu. Nie po tych wszystkich historiach, które o nim krążą.

Po jakich historiach? – chciał zapytać Byron.

Lily nuciła coś pod nosem, układając mebelki dla lalek. Wreszcie Jason się odezwał:

– Lily, kochanie, pójdziesz do mamy i spytasz, czy mam wyjąć ciastka?

Usłyszawszy magiczne słowo, dziewczynka wstała i poszła do kuchni. Kiedy już nie była w stanie ich dosłyszeć, Jason mruknął:

– Posłuchaj, Byron, wiem, że nie podobało ci się, że związałem się z twoją siostrą...

Byron chciał mu przerwać, ale Jason powstrzymał go gestem.

– Nie, pozwól mi skończyć. Powiedziała mi, co ci się przytrafiło. O więzieniu i reszcie.

I chciałem cię zapewnić o jednym. – Spojrzył na niego przenikliwie i szczerze. – Nigdy nawet palcem nie tknę twojej siostry ani Lily. Nie jestem... tego rodzaju facetem. Zależało mi, żebyś o tym wiedział. I wiedz, że gdybym się znalazł na twoim miejscu, pewnie zrobiłbym to samo.

Byron przełknął ślinę.

– Wcale nie chciałem...

– Tak?

– On po prostu nieszczęśliwie upadł – dokończył wreszcie. – To było dawno temu.

– Wiem. Mówiła mi.

„Ale” zawisło w powietrzu. Byrona dobiegły przez drzwi odgłosy gotującej się w czajniku wody, szcęk kubków wyciąganych z szafki.

– W każdym razie chciałem ci powiedzieć, że pewnie się jej oświadczę, kiedy się już tutaj zdomowię.

Głowa Byrona z powrotem opadła na poduszki, kiedy próbował przetrwać ten nieoczekiwany zwrot akcji, nowe oblicze człowieka, za którym wcześniej nie przepadał. We własnym domu był inny. Być może z większością ludzi tak było.

Minęło kilka długich chwil.

– Sprawdź, co z tą herbatą – odezwał się Jason. – Pijesz z mlekiem i bez cukru, tak?

– Tak, dzięki – odparł Byron.

Wtedy z kuchni wyszła jego siostra z tacą.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodziło z tymi ciastkami – rzekła i szturchnęła Jasona, siadając obok niego. – Wiesz przecież, że herbatniki skończyły się dziś rano.

Nalała herbaty do kubka i podała go bratu.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, chociaż wręczyłeś mi pół tony prania. To kim jest ten kumpel, u którego teraz mieszkasz?

Przez trzy dni Thierry słyszał coś dziwnego. Gdy przechodził obok szopy po drugiej stronie domu, dobiegało stamtąd warczenie, skomlenie, ale stłumione, trochę jakby spod ziemi.

– To pewnie młode lisy – rzekł Byron, kiedy Thierry wskazał mu to miejsce. – Wykopają tu gdzieś nory. Chodź, musimy nakarmić bażanty.

Byron powiedział mu, że o ile nie ma ważnego powodu, by postąpić inaczej, należy zostawić dzikie zwierzęta w spokoju, zwłaszcza młode. Jeśli się weźmie takie młode albo naruszy gniazdo, rodzice mogą się przestraszyć i już nie wrócić.

Ale Byrona tu dziś nie było. Thierry stał w słońcu, przekrzywiając głowę, by namierzyć, skąd dochodził ten dźwięk. Z góry, z pokoju Kitty dobiegała muzyka: ona i mama malowały ściany. Isabel powiedziała córce, że może urządzić pokój, jak tylko chce. On zamierzał poprosić o plany na ścianach. Fajnie by było mieć Układ Słoneczny za oknem i w domu.

Słyszał też szum sosen, których zapach unosił się na ciepłym wietrze. O, a teraz znowu. Thierry wyjął ręce z kieszeni i zaczął krążyć z tej strony domu. Zatrzymał się, kiedy dotarł do starych, spróchniałych drzwi. Byron pokazał mu, jak się szuka tropów, a teraz, patrząc na ślady na ziemi, Thierry spostrzegł, że drzwi te były niedawno otwierane.

Zmarszczył brwi. Jak lis mógł otworzyć drzwi, zwłaszcza tak ciężkie jak te? Podeszedł bliżej, wsunął palce za krawędź, pociągnął i wszedł do środka. Tam odczekał chwilę, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Skomlenie ustało.

Thierry był w stanie dostrzec jedynie, że pomieszczenie ma kształt litery L. Zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodach; wtedy skomlenie i warczenie rozległo się znowu, a on podążył za nim i ujrzał coś znajomego. Schylił się i wyjął z pudełka jedno ze szceniąt Byrona, ściskając je mocno. Pewnie Byron zamknął je tu, aby były bezpieczne, podczas gdy on pracował.

Thierry usiadł na betonowej podłodze, a szczeniaki wskakiwały na niego i lizały go po twarzy, co zawsze wzbudzało w jego siostrze obrzydzenie.

Dopiero gdy się uspokoiły i zaczęły węszyć, zauważył, że w tym miejscu znajduje się coś jeszcze. W rogu stało składane krzesło, na brezentowej płachcie leżały śpiwór, plecak i kilka toreb. Obok zobaczył miski dla psów. Na brzegu małej umywalki stał kubek ze szczoteczką i pastą do zębów. Thierry wycisnął odrobinę pasty do ust. Dlaczego Byron tutaj mieszkał?

– Thierry! – Usłyszał z góry wołanie matki. – Obiad! Thierry!

Ostrożnie odłożył pastę na miejsce.

– Ciii – powiedział do psów, przykładając palec do ust. – Ciii.

Thierry znał się na tajemnicach i wiedział, że pewne rzeczy lepiej trzymać w sekrecie, a nie chciał, by Byron miał poczucie, że ktoś naruszył jego gniazdo.

Ręka pamięta muzykę na długo po tym, jak przestanie grać. W taki sam sposób palce Isabel pamiętały dotyk guarneriego na długo po jego oddaniu. Myślała o tym, gdy udawała, że gra Dvořáka: wyobrażała sobie napięcie strun, ułożenie skrzypiec pod brodą. Prawdopodobnie już nigdy nie będzie trzymała w rękach takiego instrumentu, nie usłyszy tak aksamitnego brzmienia, nie poczuje szlachetnego drgania strun, ale powtarzała sobie, że coś za coś.

Lato przyniosło pewien spokój po burzliwym końcu wiosny. Warzywnik kwitł. Isabel

kupiła dużą zamrażarkę i umieściła ją w jadalni, a od wakacji Kitty zajęła się hodowlą kur: czarnych kochinów, małych bantamek i ogromnych, masywnych orpingtonów. Jajka i pisklęta przynosiły im niewielki, ale stały dochód. Zarówno drzwi kuchenne, jak i frontowe były w ciągu dnia otwarte i Isabel często znajdowała ekstrawagancko upierzonego kogucika na sofie, skąd przyglądał jej się badawczo, albo kurę usadowioną na stercie prania. Ale nie potrafiła się o to denerwować. Uwielbiała patrzeć, jak Kitty i Thierry zajmują się pisklakami. Dobrze było widzieć, że się czymś interesują, zamiast opłakiwać to, co utracili.

Thierry większość czasu spędzał z Byronem w lesie, skąd przynosił grzyby, rośliny, z których przyrządzali sałatki, a w taczkach drewno na zimę. Isabel wyobrażała sobie, jak woła na szczeniaka, którego podarował mu Byron. Wyraz twarzy syna, kiedy zrozumiał, że pies naprawdę należy do niego, sprawił, że jej oczy zaszczyły łzami. Powiedz coś, Thierry, prosiła go w duchu. Uciesz się, krzycz z radości jak chłopcy w twoim wieku. Ale on tylko podszedł do niej i objął ją w pasie. Odwzajemniła jego uścisk, bojąc się mu pokazać, że liczyła na więcej.

– Wkrótce będzie musiał zacząć go tresować – powiedział Byron w obecności Thierry’ego i Isabel modliła się, by szczeniak nakłonił jej syna do mówienia.

Tego ranka Byron nauczył ją, jak się rąbać drewno. Najwyraźniej wszystko robiła źle. Siekiere miała za tępą. Kładła jeden koniec drewna na pieńku i próbowała przeciąć go w połowie, a to groziło utratą oka. Powinna je rąbać wzdłuż. Byron swoimi silnymi rękami schludnie rozłupał je na pół i pokazał jej, jak za pomocą młotka usunąć siekiere z drewna.

– To dobrze ci robi – powiedział, uśmiechając się szeroko, kiedy znowu wzięła zamach. – Pomaga oczyścić głowę. Działa terapeutycznie.

– Bylebym tylko nie odrąbała sobie stopy.

Ręce miała szorstkie i podrapane od rąbania drzew oraz od zbierania agrestu i malin. Skaleczyła się podczas oporządzania królików, do tego miała dłonie poplamione farbą od malowania tych powierzchni domu, które nie były pokryte folią. Bardzo jej zależało, by wnętrze wyglądało pogodniej. Pomyślała, że pewnie Laura McCarthy i jej koleżanki uznałyby to za dekoracyjny koszmar, z prymitywnie pomalowaną stolarką, prostymi kolorami i malunkami, które wiły się na piętze, zielone i żółte jak pnącza bluszczu. Nie przejmowała się tym: każdy indywidualny ślad odcisnięty w tym miejscu sprawiał, że czuła się tu bardziej jak w domu, a nie jak gdzieś, gdzie ona, Kitty i Thierry wylądowali przez przypadek.

Ale dom hiszpański miał pewną dziwną właściwość, której nie śmiała nazwać, dopóki Kitty nie zwróciła na to uwagi.

– Lubię to miejsce – stwierdziła jej córka pewnego wieczoru. – Znacznie bardziej niż na samym początku. Nawet z tymi wszystkimi dziurami i całym tym bałaganem. Ale nigdy nie ma się tu wrażenia, jakby to był prawdziwy dom, co nie?

Isabel uspokajała ją, że jest niedokończony i nie można go oceniać, dopóki nie doprowadzą go do stanu używalności. Wspomniała o nowej łazience i wymienionych oknach. Ale wiedziała, że w gruncie rzeczy jej córka miała rację.

Czy to o ciebie chodzi? – spytała w myślach Laurenta. Czy nie jesteśmy w stanie stworzyć domu bez ciebie?

Matta starała się unikać – na tyle, na ile dało się unikać kogoś, kto przebywał w jej domu przez cały dzień. Czasami było to łatwe, na przykład gdy wychodziła dawać lekcje. Opracowała różne strategie, aby nie być z nim sam na sam – kiedy przynosiła im herbatę, trzymała się blisko Byrona albo innych robotników, prosiła dzieci o pomoc w różnych zadaniach, a jeśli już musiała z nim o czymś porozmawiać, czekała na moment, kiedy pracował z nim jego syn. Matt na pozór nie zwracał na to uwagi, był tylko nieco mniej wesoły i rozmowny niż wcześniej, aż czasami udawało jej się przekonać siebie samą, że ten dystans również jemu odpowiada.

Między nim a synem coś się nie układało. Rzadko się do siebie odzywali, a Anthony spoglądał na ojca z ledwo ukrywanym niesmakiem. Gdyby nie to, że chłopak odnosił się do niej z dużą życzliwością, Isabel obawiałaby się, że odkrył prawdę. Czasami czuła na plecach intensywne spojrzenie Matta, ale na ogół udawało jej się to zignorować.

Pracowała w warzywniku, kiedy dorwał ją na osobności. Było późne popołudnie, Kitty i Thierry poszli do lasu z psem, a ona postanowiła wykopać kilka ziemniaków na kolację. Nie chciała używać do tego łopaty, by ich nie uszkodzić, więc wygrzebywała je rękami, klęcząc na starym worku, i wrzucała od razu do blaszanego wiadra, w którym miała je umyć. Czuła ogromną satysfakcję, rozpoznając pod ziemią dziwny kształt swojego trofeum, oraz zaskoczenie i radość, gdy wydobywała je na wierzch większe, niż się spodziewała. Przerwała na chwilę, by odgarnąć włosy z twarzy, i zatrzymała się na widok swoich palców. Nie były już białe, tylko pokryte piegami, pod stępionymi paznokciami widać było warstwę brudu. Och, Laurent, co byś teraz o mnie pomyślał? – przyszło jej do głowy pytanie i uśmiechnęła się do siebie. A potem uświadomiła sobie z mieszaniną ulgi i żalu, że po raz pierwszy wspomnieniu o nim nie towarzyszyło ukłucie bólu.

Wyciągnęła ostatni ziemniak, oderwała od niego pędy i zakopała dziurę po nim. Następnie otrzepała ręce z ziemi i podskoczyła, usłyszawszy głos:

– Wciąż są cudowne. – Za jej plecami stał Matt i opierał się o łopatę. – Twoje dłonie, wciąż są piękne.

Próbowała odszyfrować jego minę, a potem podniosła się i otrzepała worek.

– Jak idzie z łazienką? – spytała neutralnym tonem. – Mówiłeś, że będzie gotowa do końca tygodnia.

– Nie chcę o tym rozmawiać – rzekł Matt. – Od tygodni unikamy się nawzajem. Chcę porozmawiać o nas.

– Nie ma czegoś takiego jak „my”, Matt – odparła stanowczo, biorąc do ręki wiadro.

– Nie możesz tak mówić.

Przysunął się do niej i przebiegła jej przez głowę niespokojna myśl, czy gdzieś w pobliżu są jej dzieci albo ktokolwiek inny.

– Byłem tam z tobą, Isabel – wyszeptał. – Więc wiem, jaka byłaś, jak było między nami. To, co powiedziałem potem... to był błąd, nieporozumienie. Cały czas myślałem o tobie. O nas.

Isabel ruszyła szybkim krokiem w stronę domu.

– Matt, proszę, nie.

– Wiem, co czułem, Isabel.

Odwróciła się gwałtownie.

– Może najlepiej będzie, jeśli rozliczymy się za dotychczasową pracę i tak to zostawimy.

– Ale przecież mnie tu potrzebujesz. Nikt nie zna tego domu lepiej niż ja.

– Możliwe – rzuciła, nie patrząc na niego – ale to nie służy żadnemu z nas, nie sądzisz? Dokończmy zatem łazienkę, a potem... – Doszła do kuchni. – Muszę się zająć kolacją – powiedziała, po czym zamknęła drzwi i oparła się o nie od wewnętrznej strony.

– Isabel? Co ja takiego zrobiłem, że jesteś na mnie tak wściekła? Dlaczego taka jesteś?

Miała nadzieję, że nie będzie próbował dostać się do środka.

– Isabel, to, co powiedziałem tamtej nocy... nie miałem tego na myśli. To źle wypadło.

– Nie zamierzam o tym rozmawiać – odparła.

Minęła chwila. A potem znowu usłyszała jego głos, tuż przy drzwiach, jak gdyby oparł o nie policzek. Mówił niskim, konspiracyjnym tonem.

– Nie możesz udawać, że nic się nie zmieniło.

Czekała, po drugiej stronie dźwięczała cisza, aż wreszcie usłyszała odgłos jego



oddalających się kroków, a gdy umilkły, westchnęła ciężko. Podniosła rękę do twarzy – brudną, pokrytą ziemią, prawie nie do poznania nawet dla niej samej. Cała się trzęsła.

Matt jechał do domu sam. Byron, który ledwo się do niego odzywał cały dzień, gdzieś zniknął, a Anthony powiedział, że zostaje dłużej u Kitty.

– Mama na ciebie czeka – rzekł Matt, zazdroszcząc synowi, że jest w tym domu mile widziany.

– Nie, nie czeka. Mówiłem jej, że zostanę tu dłużej na film. Nie słuchałeś.

W innych okolicznościach Matt zrugałby go za bezczelność, ale dzisiaj jego myśli pochłaniała Isabel, która najwyraźniej nie przejęła się ich rozmową i właśnie stroiła skrzypce na górze. Słuchanie jej gry budziło w nim teraz nieprzyjemne uczucia. Wróciły do niego wspomnienia tamtej wietrznej nocy, jak jęczała, leżąc pod nim. Nie rozumiał, o co poszło: wiedział, co czuła, tylko dlaczego temu zaprzeczała?

Zajechał pod dom i trzasnął ze złością drzwiami samochodu. Bernie wyszedł mu na spotkanie, ale Matt go ominął, próbując przepędzić te myśli. Nie ma czegoś takiego jak „my”, powiedziała. Jakby to, co się wydarzyło, było pomyłką.

Otworzył drzwi od piekarnika i okazało się, że jest pusty.

– Gdzie moja kolacja? – krzyknął na górę.

Nie było odpowiedzi, więc zaczął chodzić po kuchni, podnosząc talerze i patelnie, próbując ustalić, gdzie jego żona zostawiła jedzenie.

– Gdzie jest moja kolacja? – powtórzył pytanie, gdy Laura pojawiła się w drzwiach.

– Cześć, kochanie, jak ci minął dzień? Cudownie, dziękuję – odparła zimnym tonem.

– Cześć, skarbie – rzekł Matt z przesadną słodyczą. – Chciałem tylko zapytać, gdzie moja kolacja.

– A więc tak: w zamrażalniku są kotlety, w lodówce zupa w kartonie i kawałek kurczaka. Są też ser i suchary. Co ci pasuje.

Matt wpatrywał się w nią ze zdumieniem, na co powiedziała:

– Przez długie tygodnie uparcie odmawiałeś informacji, kiedy i czy w ogóle wrócisz do domu. Więc uznałam, że lepiej sobie nie zawracać głowy. Od teraz radź sobie sam.

Matt się napreżył.

– To jakiś żart?

Na jego lodowate spojrzenie odpowiedziała tym samym.

– Nie, Matt. W ogóle nie uważam, że to zabawne być twoją kuchcią. Skoro nawet nie chce ci się ze mną przywitać, kiedy wracasz do domu, dlaczego miałabym ci robić kolację?

– Przestań mi truć. Ja tylko chcę coś zjeść.

– Już ci powiedziałam, gdzie masz jedzenie. Do wyboru, do koloru. Musisz jedynie połączyć składniki.

Podskoczyła, gdy Matt uderzył ręką o blat.

– To twoja zemsta, tak? Twoja małostkowa zemsta? A gdzie twoim zdaniem byłem cały dzień, co? W tamtym miejscu, z twoim synem, robiłem wszystko, co chciałeś, żeby w końcu zdobyć dla nas ten cholerny dom. Kładłem rury. Instalowałem wanny. Wymieniałem okna. A ty chcesz mnie zagłodzić tylko dlatego, że nie poświęcam ci całej swojej uwagi?

– Nie wyżywaj się na mnie, Matt. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Idę do pubu. Nie potrzebuję takiego powitania po ciężkim dniu pracy. – Minał ją i ruszył do drzwi. – I tam zjem kolację. Może będę milej widziany.

– Świetnie! – krzyknęła Laura, gdy wsiadał do samochodu. – Możesz tam nawet spać!

Lasagne z mikrofalówki i kilka kufli piwa nie były w stanie poprawić mu humoru. Matt siedział za barem i zbywał każdego, kto próbował nawiązać z nim rozmowę. Był pogrążony

w ponurych rozmyślaniach.

Widział, jak właściciel pubu kilka razy szturchnął Theresę, mówiąc: „Uważaj na niego”. Kilku stałych bywalców, którzy w normalnych warunkach mogliby z nim pożartować, wyczuło jego nastrój i trzymało się od niego z daleka.

– Co tam słyhać, Matt? – zagadał go Mike, agent nieruchomości. – Masz ochotę na jeszcze jedno?

Matt zdążył już opróżnić kolejny kufel.

– Tak. Dzięki.

– Spokojnie tu dzisiaj. – Mike rzucił ten komentarz w przestrzeń, najwyraźniej zdążył już wyczuć, że Matt jest w złym humorze.

– Mecz – wyjaśnił właściciel. – Zawsze tak jest. Będą koło dziesiątej, chyba że skończy się karnymi.

– Nie znoszę takich wieczorów – rzekła Theresa. – Nudno tu. Ale ja się łatwo nudzę.

– Jak idzie remont w tym wielkim domu, Matt? – Mike podsunął mu piwo. – Słyszałem, że praktycznie rozebrałeś go na części.

Matt kiwnął głową.

– Wiesz przecież, w jakim był stanie – powiedział.

– O tak, dobrze wiem. Chciałbym zobaczyć, co tam zrobiłeś, jeśli możesz mi pokazać.

– Będzie piękny – rzekł Matt, nagle unosząc głowę. – Będzie fantastyczny. Po prostu dom z marzeń. Piękniejszy, niż możesz to sobie wyobrazić.

Mike przyjrzał mu się uważnie.

– Nie mogę się doczekać, stary. Zadzwoń do ciebie w tygodniu.

Gdy wyszedł, a właściciel udał się na zaplecze, Theresa podeszła do Matta.

– Przystopuj – powiedziała. – Trochę za szybko pijesz.

Spojrzał na nią zaczepnie swoimi niebieskimi oczami.

– Chcesz mi dyktować, co mam robić, Theresa?

Jej twarz posmutniała.

– Nie chcę, żebyś wpadł w jakieś kłopoty. Jadąc po pijanemu.

Spojrzał na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Zależy ci na mnie, prawda? – wybełkotał.

Położyła ukradkiem dłoń na jego dłoni i jej palce przesunęły się po jego knykciach.

– Wiesz, że tak. Jak na niczym innym.

Wyprostował się i rozejrzał po opustoszałym lokalu.

– Spotkajmy się za pubem – rzekł cicho. – Muszę... z tobą porozmawiać. – Ujrzał na jej twarzy niepokój i radość.

Potem podeszła do właściciela i mruknęła mu coś do ucha.

– Pięć minut – odpowiedział i spojrzał na Matta spode łba.

Ten, chwytając się, wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę parkingu. Stała na podwórze, obok skrzynek, w świetle lampy halogenowej nad jej głową trzepotały ćmy. Gdy do niej podeszła, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Boże, jak ja za tobą tęskniłam – rzekła, całując go. Jej usta smakowały odświeżaczem, jakby użyła go kilka sekund wcześniej. – Mów, co chciałeś powiedzieć. Myślałam, że już ci na mnie nie zależy. – Przebiegła dłońmi pod jego podkoszulkiem. – Źle mi, gdy cię nie widuję. Kiedy nie przychodzisz, wieczory strasznie mi się dłużą.

– Więc zależy ci na mnie.

Przycisnęła pierś do jego piersi. Pachniała wanilią.

– Bardziej niż na czymkolwiek. Niż na kimkolwiek – szeptała mu do ucha. Jej palce

wędrowały po jego karku.

– Podciągnij spódnicę – powiedział chrapliwym głosem.

Jeśli zauważył jej wahanie, postanowił to zignorować. Jego ruchy stały się niezgrabne i ociężałe, ciągnął ją za bluzkę, chwycił za spódnicę i przyciskał jej plecy do skrzynek.

– Matt, sama nie wiem, czy... Nie tutaj.

Ale on nie zwracał na to uwagi. Owinął jej nogę wokół siebie, przywarł ustami do jej szyi, całował ją, pieścił jej piersi, pośladki, włosy, aż jej protesty ucichły. Potem wszedł w nią gwałtownie, z zamkniętymi oczami, zatracając się w niej, próbując doświadczyć raz jeszcze tego, co poczuł w ciemnościach tamtego domu. Jej włosów opadających mu na twarz. Pieprzył ją, posiadał, słyszał w uszach jej muzykę. To była ona. To musiała być ona. Pochłonęła go ciemność, jego ruchy były wulgarne i gorączkowe. Nie dbał o to, kto ich widzi i kto wie. Niejasno zdawał sobie sprawę, że oddech Theresy stawał się coraz cichszy i płytszy, jakby po prostu wypychał z niej powietrze. Potem, z przytłumionym jękiem, doszedł i zwałił się na nią. Wypompowany. Wstrętny.

To nie było dobre. To było koszmarnie.

Matt odetchnął głęboko i zrobił krok do tyłu, podpierając się jedną ręką.

Poprawił spodnie i zobaczył, że Theresa przygląda mu się z rezerwą, próbując zapiąć bluzkę.

– Przepraszam – powiedział, kiedy zobaczył, że brakuje jej kilku guzików.

Spodziewał się, że znów zarzuci mu ręce na szyję, spojrzy mu w oczy z uwielbieniem, na ten swój ckliwy sposób. I powie mu, że to bez znaczenia. Że cokolwiek on robi, dla niej jest w porządku. Ale ona wyglądała na oszołomioną i odepchnęła jego rękę.

– Theresa...

– Muszę wracać do środka – rzekła i zakładając drugi but, wbiegła do pubu.

Kiedy wrócił, Laura już była w łóżku. Wszedł do pogrążonego w ciszy domu, dostrzegł zasunięte zasłony, światło na podeście schodów. Było tu nieskazitelnie, przytulnie, spokojnie. Zupełnie nie tak. Nie był jeszcze gotowy, by wejść na górę, nie miał nawet pojęcia, gdzie się położyć, gdy już się tam znajdzie.

Zdjął buty, włączył telewizor, nalał sobie szklankę whisky i wypił duszkiem. Nie zrobiło mu się od tego lepiej, więc wypił kolejną, a w jego głowie panował chaos.

W końcu, kwadrans po dwunastej, podniósł słuchawkę tele-fonu i wybrał numer.

– To ja – powiedział.

\*

Tymczasem na górze Laura leżała w ich sypialni, nasłuchując, jak jej mąż hałasuje na dole. Nie miała wątpliwości, że jest pijany. Domyśliła się, że tak będzie, kiedy nie wrócił do domu po godzinie zamknięcia pubu. Zastanawiając się, czy powinna coś zrobić w tej sprawie, zadzwoniła wcześniej do Long Whistle. Odebrała jakaś dziewczyna.

– Czy Matt McCarthy był u was dziś wieczorem? – spytała i prawie dodała: „Tu jego żona”, ale nie chciała być postrzegana jako kobieta czekająca na męża z wałkiem w ręku. „Nakaz z góry”, tak to określił. Jak gdyby była jakimś nadzorcą.

Nastąpiła chwila ciszy. Laura domyśliła się, że dziewczyna próbowała chronić klienta.

– Tak – odparła. – Ale już wyszedł.

Dziesięć minut później usłyszała chrzęst opon na żwirze. Nie wiedziała, czy odczuwa ulgę, że Matt po prostu był w pubie i wrócił, czy też niepokoi się, że nie przyszedł na górę. Zresztą nie była pewna, co by zrobiła w takim wypadku. W wielu sprawach miała teraz zamęt w głowie. Pomyślała o Nicholasie, jak trzymał ją za rękę, mówiąc, że jej mąż jest idiotą.

Zakłopotana, odsunęła się wtedy od niego. Słyszała swój głos wyjawiający mu najintymniejsze sekrety jej małżeństwa i poczuła się nielojalna. Nicholas spoglądał na nią z niezwykłą intensywnością. Wiedziała, że tylko czekał na jej sygnał. Owszem, powiedziała mu za dużo, ale na tym się skończyło.

Kartka z jego numerem była na górze, w jej ogrodniczkach. Mówiła sobie, że ją wyrzuci. Ale to nie zmieniało nic w jej małżeństwie, ponieważ Matt nie miał pojęcia o jej poświęceniu. Tylko na nią nakrzyczał, poszedł do pubu i wrócił pijany.

Laura podniosła się na łóżku i objęła głowę rękami. Ta sytuacja ją przerastała, ale musiała coś z tym zrobić. Co jej powiedziała przyjaciółka? Wolisz mieć rację czy być szczęśliwa? Przeprosi go zatem. Postara się jakoś to wszystko naprostować.

Już miała otworzyć drzwi od sypialni, kiedy dotarło do niej, że Matt rozmawia przez telefon. Pewnie przez komórkowy, ponieważ aparat przy jej łóżku nie kliknął. Otworzyła więc drzwi po cichu i wyszła na korytarz, a jej stopy zanurzyły się w beżowym dywanie.

– To ja. – Głos Matta docierał aż do góry. – Muszę ci coś powiedzieć. Podnieś słuchawkę. Coś do mnie dotarło. – Umilkł, a potem nasłuchiwał, czy ma kogoś po drugiej stronie telefonu. – Musisz podnieść słuchawkę. Błagam, odbierz... Chcę ci powiedzieć, co mi leży na sercu. Wszystko, co powiedzieliśmy sobie po tamtej nocy, to była pomyłka. Bo wiem już, o co jesteś zła. Chodzi o Laurę. Nie jesteś taka jak... Nie jesteś jak te kobiety. Nigdy nie traktowałem cię w ten sposób, rozumiesz? Nie jak skok w bok... Razem możemy być szczęśliwi, ja i ty, w tamtym domu. Tylko ty się liczysz, Isabel. Tylko ty...

Świat Laury rozpadł się na kawałki. Przez chwilę myślała, że zemdleje.

– Zadzwoń do mnie – dobiegł ją głos męża, coraz bardziej bełkotliwy. – Będę czekał przy telefonie całą noc, jeśli będzie trzeba. Ale wiem...

Najwyraźniej zasnęła. Piętro wyżej Laura McCarthy weszła jak w transie do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła szlafrok, złożyła go starannie na brzegu łóżka, podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Zobaczyła między drzewami dom hiszpański, w oknie na piętrze paliło się pojedyncze światło. Laura patrzyła na nie, docierał do niej delikatny dźwięk granej muzyki. Śpiew syreny, pomyślała, a jej ciało i duszę przeszył ból. To był śpiew syreny.

Isabel nie przyznałaby się do tego nikomu, ale las wokół domu przypominał jej morze, a to z powodu jego subtelnych zmian nastroju i wyglądu: raz był źródłem lęku, a raz radości albo przyjemności. Po kilku miesiącach odkryła, że odzwierciedla on jej uczucia. W nocy, kiedy było jej źle, zdawał się mroczny i przerażający, pełen nieznanego, niewidzialnego zagrożenia. Kiedy jej dzieci z krzykiem biegały pośród drzew ze szczekającym psem, to miejsce było magiczną przystanią, w której nadal panowały niewinność i zadziwienie. Kiedy myślała o Thierryem wołającym gdzieś w głębi lasu, jego gęstwina jawiła jej się jako milcząca, czuwająca obecność, bariera chroniąca ich przed światem.

Teraz, tuż po świcie, las był źródłem spokoju, a śpiew ptaków zagłuszał jej niespokojne myśli. Przynosił uzdrowienie, ukojenie. Był miejscem, w którym mogła zapomnieć.

– Uważaj na korzeń. – Byron idący za nią wskazał na grubą, krętą narośl wystającą z ziemi.

Isabel poprawiła na biodrze koszyk z grzybami i zwolniła, podciągając broń na ramię.

– Nie rozumiem. Mam już wyćwiczone oko, całkiem sporo trenowałam na puszkach. Jestem w stanie trafić w pół cegły z odległości dziesięciu metrów. Ale za każdym razem, gdy wychodzę na polowanie, znikają, zanim podniosę broń.

– Robisz przy tym jakiś hałas? – spytał Byron po chwili namysłu. – Możesz je ostrzegać na różne sposoby, zupełnie nieświadomie.

Isabel ominęła kępkę pokrzyw.

– Nie wydaje mi się. Jestem bardzo wyczulona na dźwięki.

– I wychodzisz o odpowiedniej porze? To znaczy pokazują się?

– Późnym wieczorem, tak jak mówiłeś. Albo wcześniej rano. Nie chodzi o to, że ich nie ma, Byron. Widzę je wszędzie.

Wyciągnął do niej rękę, gdy przechodzili przez rów. Isabel ujęła ją na chwilę, choć właściwie jej nie potrzebowała. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nabrała zwinności, jej mięśnie się wzmocniły od chodzenia po nierównym terenie, od ciągnięcia, malowania i podnoszenia. Jako osoba, która nigdy nie była świadoma swojego ciała, nie licząc tego, co wiązało się z grą na skrzypcach, rozkoszowała się tym nowym doznaniem sprawności fizycznej.

– I nie zakładasz tego jasnoniebieskiego płaszcza? – zapytał.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie. Nie zakładam tego jasnoniebieskiego płaszcza.

– Od której strony wieje wiatr? Jeśli zza twoich pleców, wyczują cię na długo przed tym, jak cię zobaczą. Na nic się wtedy zdadzą wszystkie środki ostrożności.

– A po co jest to? – spytała, wskazując na cienki zielony szal, który kazał jej zawiązać wokół szyi.

– Dla osłony. Dzięki temu królik nie widzi twojej twarzy, gdy do niego mierzysz.

Roześmiała się.

– Żeby mnie nie rozpoznał? Czyli to jak kaptur na głowie kata?

– Możesz się śmiać, ale króliki są bystre. Żadne zwierzę nie jest lepiej przystosowane do rozpoznawania drapieżników.

– Nigdy wcześniej nie myślałam o sobie jako o drapieżniku – rzekła, idąc za nim w stronę lasu.

Byron nie wziął dziś ze sobą psów. Powiedział, że o tej porze są zbyt pobudzone i zaalarmowałyby każdą istotę w promieniu kilku kilometrów. Kiedy Isabel jeszcze na wpół

śpiąca wyszła kuchennymi drzwiami, najwyraźniej już na nią czekał, mimo że umówili się na piątą trzydzieści.

Towarzyszył jej już po raz trzeci, zawsze było to wcześniej rano, przed rozpoczęciem pracy u Matta. Powiedział, że tuż po świcie jest najlepsza pora dnia. Widzieli młode sarny, borsuki, lisicę i jej młode. Pokazał jej bażanty, które hodował dla miejscowego farmera – ze swoim zadziwiająco jaskrawym upierzeniem przypominały dumnie kroczących indyjskich radzów i kontrastowały mocno z brązami i przygaszoną zielenią angielskiej wsi. Zrywał zajęczą kapustę, rzeżuchę włochatą i liście głogu, opowiadając jej przy tym, jak w dzieciństwie jadł je w drodze do szkoły. Nie podał ich jej do ust, tak jak zrobiłby to Matt, tylko delikatnie włożył w dłoń. Isabel starała się nie patrzeć na jego ręce, nie chciała traktować go w ten sposób. Nie chciała zepsuć czegoś, co stało się dla niej tak cenne.

Wyznał jej też, że z wykształcenia jest nauczycielem, i uśmiechnął się, widząc na jej twarzy zaskoczenie.

– Nie spodziewałaś się tego po mnie? – spytał.

– Nie. Sama tak bardzo nienawidzę uczyć gry na skrzypcach, że jestem zdumiona, że ktokolwiek mógłby chcieć to robić. – Podniosła na niego wzrok. – Ale ty dobrze sobie radzisz z dziećmi. – Zadumała się. – Z Thierrym. Byłbyś dobrym nauczycielem.

– Tak – rzekł i dodał po chwili: – To coś dla mnie.

Nie powiedział, dlaczego nie pracuje w zawodzie, a ona nie dopytywała. Kiedy człowiek miał możliwość mieszkać tutaj, bez ograniczeń i frustracji współczesnego życia, taki wybór wydawał się całkiem zrozumiały. Isabel czuła, że Byron lubił przebywać z nią sam na sam. Jego ruchy stały się swobodniejsze, rozmowa była mniej wymuszona. Może to z powodu jego większego rozluźnienia, a może dlatego, że z niewieloma osobami mogła szczerze porozmawiać, Isabel zwierzyła mu się ze swoich problemów z domem.

– To trudna sprawa, bo już lubię tu mieszkać. Niełatwo mi sobie teraz wyobrazić, że miałabym wrócić do miasta. Ale czasami boję się, że ten dom nas zrujnuje.

Miała wrażenie, że Byron chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Nic dziwnego, pomyślała. W końcu pracuje dla Matta. Wreszcie zdobył się na ostrożny komentarz:

– To duży dom.

– I studnia bez dna – dodała. – Dosłownie pożera wszystko, co mam. Chciałabym, żeby Matt skończył remont. Wiem, że dla niego pracujesz, ale jego obecność... źle na mnie wpływa. Najchętniej sprzedałabym ten dom i przeniosła się do czegoś mniejszego, ale Matt wszystko rozgrzebał: nie ma pokoju, który byłby nieruszony. No i nadal nie mamy działającej łazienki. A nie mogę sprzedać domu w takim stanie, jeśli chcę wziąć za niego tyle, by starczyło na kupno czegoś w miarę przyzwoitego. Problem jednak w tym, że nie stać mnie już na Matta. Nawet z tym wszystkim – wskazała na grzyby – i resztą oszczędności ledwo mogę mu zapłacić za to, co zrobił do tej pory. – Pomyślała o koszmarnej wiadomości, którą zastała na sekretarce, kiedy obudziła się poprzedniego dnia. Skasowała ją pospiesznie, przerażona myślą, że jej dzieci mogłyby ją odsłuchać. „Razem możemy być szczęśliwi”, rzekł, jak gdyby cokolwiek o niej wiedział. – W każdym razie na pewno coś wymyślę. – Uśmiechnęła się z nadzieją, że Byron nie zobaczy łez, które piekły ją w oczy. – Może jeszcze pobawię się w hydraulika i sama wyremontuję łazienkę.

Był to gorzki żart i Byron się nie roześmiał. Przez chwilę szli w milczeniu, przez co Isabel zaczęła się zastanawiać, czy jakoś go nie zawstydziła. Miał zaciśniętą szczękę.

– Co za wspaniały poranek – odezwała się wreszcie, uznając, że nie powinna była mu się zwierzać z problemów z jego pracodawcą. – Czasami mam wrażenie, że mogłabym w tym lesie zamieszkać.

Byron pokiwał głową.

– Często myślę – powiedział – że kiedy człowiek przychodzi tu o świcie, może udawać, że jest jedyną osobą na świecie.

Stwierdziła, że ona też tak ma. Czasami, w takie poranki jak ten, cieszyło ją odcięcie od cywilizacji, odczuwała niemal pierwotną satysfakcję, kiedy mogła wrócić do domu z pożywieniem dla swojej rodziny. Kiedy można było zdobyć jedzenie w taki prosty sposób, życie tutaj wydawało się o wiele łatwiejsze.

Byron wyciągnął rękę.

– Tam – powiedział cicho.

Bezszelestnie odłożyła koszyk i razem z Byronem przykucnęła za drzewem. W tym miejscu las się kończył, a zaczynało się kilkunastohektarowe pole, teraz gęsto obsiane pszenicą.

– Mają dużą norę pod lasem – wyszeptał. Poślinił palec i wystawił go do góry. – A my jesteśmy pod wiatr. Podnieś broń i zachowuj się jak najciszej.

Naciągnęła szalik na twarz, ułożyła wiatrówkę na ramieniu i czekała nieporuszenie. Byron powiedział jej, że świetnie jej to wychodzi, co ona przypisała wieloletniej grze na skrzypcach. Była silna i miała doskonałe wyczucie górnej części ciała, dlatego bez problemu kontrolowała te mięśnie i potrafiła się nie ruszać.

– Tam – wyszeptał.

Przez celownik w odległości około dziesięciu metrów dojrzała króliki, trzy lub cztery, które tworzyły szarą plamę na skraju ścieżki konnej. Podskakiwały, a potem ostrożnie przeszukiwały horyzont.

– Niech się oddalą od nory o jakieś pięć metrów – wyszeptał Byron. – Pamiętaj, chcesz je zabić, nie zranić. Musisz trafić w głowę. – Wcześniej powiedział, że ma tylko jedną szansę.

Królik, którego miała na celowniku, najwyraźniej uznał, że nic mu nie grozi. Skubnął trochę trawy, schował się za kępą chwastów, po czym znowu wyskoczył na otwarty teren.

– Nie myśl o nim jako o słodkim puchatym stworzeniu – mówił Byron. – Pomyśl o nim jako o złodzieju warzyw. Pomyśl o kolacji dla Kitty i Thierry'ego. O króliku z grzybami w sosie czosnkowym.

– Ty to zrób – powiedziała, próbując oddać mu wiatrówkę.

Byron odepchnął broń w jej stronę.

– Nie.

– A co, jeśli spudłuję? – Bała się, że zada zwierzęciu ogromny ból.

Gdy znowu uniosła wiatrówkę i wycelowała, czuła za plecami obecność Byrona. Pachniał mchem i czymś słodkim, jak ziemia latem. Nie dotknął jej.

– Nie spudłujesz – odparł cicho.

Isabel zamknęła na chwilę oczy, otworzyła je i wystrzeliła.

Minęło trochę czasu od jej ostatniej wizyty w Londynie, a w podobnej restauracji była jeszcze dawniej. W domu jej płócienne spodnie i buty na niskim obcasie mogły uchodzić za eleganckie, ale tutaj zdradzały, że pochodzi z prowincji. Wyglądała jak wieśniaczka, która wystroiła się na wyjazd do miasta, pomyślała.

– Ma pani rezerwację? – spytała dziewczyna z idealnie podciętą grzywką i znudzoną miną.

– Jestem z kimś umówiona – odparła Laura.

Restauracja była pełna mężczyzn w ciemnych garniturach, odznaczających się na tle szarych granitowych ścian.

– Na jakie nazwisko? – dopytywała się dziewczyna.

Laura zawahała się, jak gdyby wypowiedzenie go na głos było przyznaniem się do winy.

– Trent. Nicholas Trent.

Był tak uradowany i wzruszony, gdy do niego zadzwoniła i powiedziała, że wypadł jej wyjazd do Londynu. Obiecał, że zorganizuje sobie ten dzień tak, by pójść z nią na lunch. „Nie pracujesz?” – spytała go, usiłując sobie przypomnieć, czym się zajmuje. Odparł wesoło, że właśnie złożył wypowiedzenie, więc może wychodzić na tak długie przerwy, jak tylko mu się podoba. Bo co mu zrobią? Wyrzucą go?

Dziewczyna ruszyła szybkim krokiem w stronę stolików pod atrium, więc Laura poszła za nią. Wszyscy w Londynie wydawali się tacy młodzi, tak modnie ubrani i zadbani. Choć sama też zadała sobie trud, by ubrać się elegancko i ułożyć odpowiednią fryzurę, czuła, że odstaje od nich wiekiem i nie tylko. Nie miała pojęcia, jak teraz wygląda w oczach innych. Nie była stara, ale nie była też już młoda. Kochana, niekochana. Pożądana... albo nie. Wzięła głęboki oddech i wstrzymała go na chwilę, gdy zobaczyła, jak Nicholas podnosi się od stolika, a jego twarz jaśniej od uśmiechu.

W tym otoczeniu wyglądał na przystojnego, jakby odzwierciedlało ono część jego osobowości. Co więcej, wydawał się pogodniejszy, bardziej pewny siebie. Może też młodszy. A może tylko na niej robił wcześniej wrażenie przygaszonego – w porównaniu z żywiołem, jakim był jej mąż, wszyscy mężczyźni wydawali się bardziej apatyczni.

– Przyszłaś – powiedział, ujmując jej dłoń.

– Tak – odparła. I dla niej to słowo było równoznaczne z przyznaniem, że może z nim pójść do łóżka. Że przekroczyła pewną granicę.

Ujmujące było to, że on patrzył na to inaczej. Nic w jej zachowaniu nie było dla niego oczywiste.

– Nie byłem tego pewny. Bałem się, że może ostatnim razem... – Urwał.

– On już mnie nie kocha – rzekła, siadając. To było zdanie, które powtarzała w głowie tak często, że mogła je teraz wypowiedzieć, jak gdyby nic nie znaczyło. – Podśledzałam jego rozmowę telefoniczną. Wiem, kim ona jest. Więc – dodała, siląc się na pogodny ton – teraz niewiele może mnie powstrzymać przed robieniem tego, na co mam ochotę.

Gdy łyż napłynęły jej do oczu, wzięła do ręki menu. Nicholas zamówił dla niej drinka i poprosił kelnera, by dał im jeszcze kilka minut. Do czasu gdy podano jej gin z tonikiem, odzyskała już panowanie nad sobą.

– Opowiem ci, co najistotniejsze, a potem już do tego nie wrócimy – powiedziała spokojnie. – Chciałabym, żebyśmy spędzili miło czas i o tym nie myśleli.

Sama nie poznawała swojego głosu: był niepewny i pełen napięcia. Nicholas położył rękę na stole, jakby chciał ująć jej dłoń, ale bał się, że ona może to odebrać jako narzucanie się.

– To kobieta, która mieszka niedaleko nas – wyjaśniła. – W domu po drugiej stronie jeziora, tym, który tak bardzo ci się podobał. – Wydawało jej się, że się wzdrygnął, i była poruszona tym dowodem empatii. – Mój mąż robi tam remont, więc przypuszczam, że oni...

– Twój mąż?

Zastanowił ją ton jego pytania, ale kontynuowała. Gdyby się zatrzymała, mogłaby nigdy nie wydobyć z siebie tych słów.

– Przez cały ten czas mówił mi, że pracuje w tym domu dla nas. Marzyliśmy o nim. Staruszek, który tam mieszkał, praktycznie nam go obiecał. Opiekowaliśmy się tym człowiekiem przez długi czas. Kiedy wprowadziła się tam ta wdowa, Matt zaproponował, że zrobi jej remont. Mówił, że nigdy nie będzie tam szczęśliwa, że nie stać jej na te wszystkie roboty, że wyniesie się stamtąd przed końcem roku. A ja uwierzyłam, że robi to wszystko dla nas. – Przerwała na chwilę, by się napić. – Tyle że podśledzałam jego rozmowę. Izgadnij co. Planuje się do niej wprowadzić. Tak więc ta kobieta nie tylko dostała mój dom, ale i zgarnie mojego męża. –



Zaśmiała się z goryczą. – Mój mąż przy tym remoncie korzysta z planów, które razem stworzyliśmy. Ze wszystkich drobiazgów, które obmyśliłam. Nawet chciał, żebym się z nią zaprzyjaźniła. Dasz wiarę?

Myślała, że Nicholas znowu weźmie ją za rękę, że będzie ją pocieszał, że znów powie, jakim idiotą jest jej mąż. Ale on najwyraźniej był pogrążony w rozmyśleniach. O Boże, zanudziłam go, zaczęła panikować. Myślał, że spotka się w restauracji z pełną życia kobietą, a tu przyszła rozgoryczona zdradzana żona.

– Przepraszam... – zaczęła.

– Nie, Lauro, to ja przepraszam. Jest coś, co muszę ci wyjaśnić. Coś, co musisz wiedzieć... Błagam, nie miej takiej przerażonej miny. Chciałem tylko... Och, na litość boską. – Odpędził ręką kelnera, który krążył obok nich.

– Nie – rzekła Laura, pragnąc opóźnić tę chwilę. Zawołała kelnera z powrotem. – Zamówimy teraz, dobrze? Dla mnie będzie dorada.

– Dla mnie to samo – powiedział Nicholas.

– Do tego poproszę wodę – dodała Laura. – Niegazowaną, bez lodu. – Bała się, co od niego usłyszy. Pewnie się okaże, że jednak jest żonaty. Albo że zmienił zdanie co do niej. Że nigdy nie był nią zainteresowany, nie w ten sposób. Że jest śmiertelnie chory.

Spojrzała na niego. Najwyraźniej przez cały ten czas nie odrywał od niej oczu.

– Co takiego mówiłeś? – zapytała uprzejmie.

– Nie chcę, żeby były między nami jakieś tajemnice, jakieś niedopowiedzenia. Zależy mi, żebyśmy byli wobec siebie otwarci – mówił Nicholas, a Laura upiła kolejny łyk drinka. – Tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w lesie, wcale się nie zgubiłem.

Zmarszczyła brwi.

– Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na dom hiszpański. Natknąłem się na niego przez przypadek kilka tygodni wcześniej, usłyszałem jego historię i pomyślałem, że świetnie się nadaje pod deweloperkę.

– Pod deweloperkę?

– Tym się właśnie zajmuję. To znaczy zajmowałem. Jestem deweloperem. Znajduję jakieś miejsce i tworzę projekt jego rozbudowy w coś piękniejszego. – Odchylił się na krześle. – I, nie ma co ukrywać, coś, co przyniesie spore zyski. Pomyślałem, że ten dom ma potencjał.

– Tyle że on nie jest na sprzedaż.

– Wiem. Ale słyszałem, w jakim jest stanie i że właścicielka nie ma zbyt dużo pieniędzy, i pomyślałem, że mógłbym jej złożyć ofertę.

Laura bawiła się serwetką, składała ją i rozkładała. Była piękna, ciężka, wykrochmalona i biała. I zaraz zostanie zabrudzona.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Chodziło o wycucie czasu. Chciałem to zrobić w odpowiednim momencie, a wcześniej jak najwięcej dowiedzieć się o domu. Pomyślałem, że jeśli poczekam, aż poczuje się przyparta do muru, zaakceptuje najniższą cenę. Brzmi to okropnie, ale tak właśnie działa ta branża.

– Zatem poznanie mnie było ci na rękę – rzekła sucho. – Kogoś, kto tyle o tym miejscu wiedział.

– Nie. – Nicholas zaprzeczył stanowczo. – Ty mnie od tego planu odciągnęłaś. Przypomnij sobie, Lauro, przecież nigdy nie rozmawialiśmy o tym domu. Nigdy nic mi o nim nie powiedziałaś. Nie miałem pojęcia, że coś cię z nim łączy. Wziąłem cię za... za wytwór mojej wyobraźni.

Uświadomiła sobie, jak bardzo stała się nieufna: do tego stopnia, że trudno jej było uwierzyć, że ktoś może być nią szczerze zainteresowany.

Teraz Nicholas wyciągnął do niej rękę, a ona ją ujęła. Nie kosztowało jej to aż tak wiele. Jego palce zacisnęły się wokół jej: delikatne, eleganckie dłonie z idealnymi paznokciami. Tak niepodobne do dłoni jej męża.

– Przez całe swoje dorosłe życie marzyłam o tym domu – wyjaśniła. – Czułam, że nigdy nie byliśmy prawdziwą rodziną, i myślałam, że kiedy tam zamieszkamy, coś się zmieni.

– Zarobię dla nas fortunę. Możemy tam zbudować nawet lepszy dom. – Gdy Laura gwałtownie uniosła głowę, dodał szybko: – Przepraszam, chyba za wcześnie na takie deklaracje. Tyle że nie czułem czegoś takiego od czasów, gdy poznałem moją żonę, to znaczy była żoną, a to było dawno temu. Chciałem być z tobą całkowicie szczery.

Była żona. Laura próbowała to przetrwać. Dlaczego miałoby ją dziwić, że był żonaty?

– Niewiele o tobie wiem, prawda? – odezwała się.

– Pytaj, o co tylko chcesz – powiedział, odchylając się na krześle. – Jestem facetem w średnim wieku, który przez lata pogrążył się w marazmie, uważając się za kompletnego nieudacznika, i w którego życiu nagle zaczęły się dziać cudowne rzeczy. Moja kariera wróciła na właściwe tory, dawno nie czułem się tak wspaniale, mam pieniądze na koncie, a do tego poznałem piękną, niedocenianą kobietę, która nie zdaje sobie sprawy, jaka jest niezwykła.

Laurze zabrakło chwilę uświadomienia sobie, że mówi o niej.

– Jesteś niesamowitą kobietą, Lauro – rzekł, unosząc jej dłoń do ust. – Jesteś inteligentna i dobra i zasługujesz na znacznie więcej. W każdej dziedzinie życia.

Musieli cofnąć ręce, bo właśnie z teatralnym rozmachem postawiono przed nimi jedzenie. Laura wpatrywała się w leżącą na zielonym szpinaku pieczoną rybę w mocno zredukowanym sosie i pojęła, że to doskwierające jej subtelnie poczucie braku nie było wywołane głodem. Brakowało jej delikatnego nacisku dłoni Nicholasasa. Spojrzała na niego, gdy dziękował kelnerowi, przyjrzała się jego wyrazistym rysom i pewności siebie malującej się na jego twarzy. A kiedy kelner się oddalił, wyciągnęła do Nicholasasa rękę.

– Powiedziałeś, że o której będziesz z powrotem w pracy? – spytała, gdy zacisnął dłoń na jej palcach. Tym razem jej głos był konkretny, znajomy.

– Nic nie mówiłem. Mogę tu spędzić tyle czasu, ile zechcesz.

Spojrzała na swój talerz, a potem na Nicholasasa. Jej wzrok zatrzymał się na nim na dłużej.

– Nie jestem głodna – oznajmiła.

Była taka podekscytowana, gdy trafiła.

– Widziałeś to? – spytała. – O mój Boże, widziałeś to? – Ścisnęła go za ramię, a potem zdarła szal z twarzy i podniosła się.

Byron również wstał.

– Czysty strzał – powiedział, podchodząc do królika. – Sam bym tego lepiej nie zrobił. Oto twój obiad. – Podniósł wciąż ciepłe zwierzę. – Teraz powinniśmy nazrywać czosnku. – Upewnił się, że królik jest martwy, a potem, trzymając go za tylne nogi, podał jej.

Wyciągnęła rękę, ale szybko ją cofnęła, kiedy poczuła ciepło futra. Jej twarz zamarkotniała.

– Jest taki piękny – rzekła.

– Nie patrzę na nie w ten sposób – odparł.

– Ale te biedne oczy... – Próbowała zamknąć królikowi powieki. – O mój Boże, ja go naprawdę zabiłam.

Gdy Byron zmarszczył brwi, dodała:

– Tak, wiem... Tylko to dziwne uczucie: mieć świadomość, że jeszcze przed chwilą żył, a teraz nie żyje przeze mnie. Nigdy wcześniej nie odebrałam życia żadnemu stworzeniu.

Byron wiedział, że to rzeczywiście mogło się zdarzyć: zranić jakąś żywą istotę,

zmienić całkowicie jej losy. Próbował szukać jakichś argumentów, by poczuła się lepiej.

– Pomyśl o kurczakach z chowu przemysłowego. A potem o tym króliku, który przez całe życie robił to, co chciał, i doświadczał wszystkiego, czego powinien doświadczać. Kim wolą-bys być?

– Wiem, że to brzmi głupio. Po prostu nienawidzę zadawać bólu.

– Śmierć przyszła tak szybko, że niczego nie poczuł. – Byron zobaczył, że Laura się wzdrygnęła. – Wszystko w porządku? – spytał, gdy przez chwilę się nie poruszyła. – Isabel?

– To samo powiedzieli o moim mężu – powiedziała ze wzrokiem wbitym w martwe zwierzę. – Jechał autostradą, spieszył się na występ syna w szkole. Pewnie podśpiewywał przy tym. – Uśmiechnęła się. – Miał okropny głos.

Wokół nich znowu rozbrzmiał śpiew ptaków. Byron słyszał w oddali kosa i natarczywe, rytmiczne gruchanie grzywacza. Oraz głos Isabel, miękki i cichy:

– Ciężarówka zjechała na przeciwległy pas i zderzyła się z nim czołowo. To właśnie powiedzieli, kiedy przyjechali mnie o tym poinformować. Niczego nie poczuł.

Przygnębienie w jej głosie było wyraźne. Byron chciał coś rzec, ale czasami miał wrażenie, że tak długo dusił wszystko w sobie, że już nie umiał znaleźć słów.

Isabel próbowała się uśmiechnąć.

– Słuchał *Requiem* Faurégo. Ratownik z karetki powiedział, że nie byli w stanie wyłączyć odtwarzacza, gdy rozcinali samo-chód i wyciągali Laurenta. To musiała być ostatnia rzecz, którą słyszał przed śmiercią... Nie wiem dlaczego, ale w jakiś sposób było mi lżej z tą świadomością. – Westchnęła głęboko. – To my czuliśmy wszystko. On nie poczuł niczego.

– Bardzo mi przykro – odezwał się wreszcie Byron.

Spojrzała na niego, a on nie potrafił stwierdzić, czy się wygłupił. Jej wzrok był pytający, badawczy. Była taka dziwna – w jednej chwili roześmiana, energiczna, pełna życia, a w następnej całkowicie inna, nie do poznania. Pogrążona w żałobie wdowa, która nieoczekiwanie wpuszcza do domu Matta w środku nocy...

Ochłonęła ze wspomnień i strząsnęła coś z buta.

– Wiesz co? Chyba jednak nie mam w sobie drapieźnika. Jestem ci wdzięczna za pomoc, ale wolę jednak zostać przy egzekucji ziemniaków. – Wręczyła mu z powrotem wiatrówkę, uroczystym gestem, trzymając ją w obu rękach. Zauważył, że jej dłonie są upstrzone farbą i zrogowaciałe na zgięciach palców. Miał ochotę przejechać po nich kciukiem.

– Lepiej już wracajmy. Niedługo zaczynasz pracę – dodała, dotykając jego ramienia, a potem minęła go i ruszyła pewnym krokiem w stronę drogi wiodącej do domu. – Chodź. Zjesz z nami śniadanie, zanim przyjedzie Matt.

„Nie wychylaj się”, ostrzegła go Jan, kiedy zwierzył jej się ze swoich podejrzeń. „Potrzebujesz każdego pensa, a o pracę nie jest łatwo”. W każdym razie nie wtedy, kiedy ma się założoną kartotekę policyjną – nie potrzebowała tego dodawać. Byron patrzył na idącą przed nim Isabel, która nuciła coś pod nosem, klucząc między drzewami. Takie były konsekwencje pobytu w więzieniu: ograniczało to człowiekowi wybór, jeszcze długo po wyjściu na wolność odbierało mu możliwość normalnego zachowania. Byron będzie musiał do końca życia tłumić swoje uczucia i ignorować zachowanie ludzi takich jak Matt McCarthy, na wypadek gdyby jego podejrzania mogły się okazać nieprawdą.

– Byron, śpisz czy co? – Mężczyzna przez cały ranek był ospały, a jego twarz przypominała maskę, jakby myślami był gdzie indziej. – Prosiłem cię, żebyś mi podał tę rurę. Nie, nie tę, plastikową. I przesun wannę pod ścianę. Gdzie się podziewa Anthony? – spytał Matt.

Z jakiegoś powodu chłopak się do niego nie odzywał. Wychodził z każdego pomieszczenia, gdy tylko ojciec do niego wchodził.

Matt zawołał go i wspomniął wizytę Isabel u jubilera w Long Barton dzień wcześniej. Wcale nie miał zamiaru jej śledzić. Po prostu kiedy wyszedł z banku, zauważył, że właśnie zaparkowała, i zaciekawiony, postanowił sprawdzić, dokąd się wybiera. Trudno ją było zgubić: w tak małym miasteczku rzucała się w oczy kolorowymi ubraniami i rozwianymi włosami. Przeszła szybko przez ulicę, ściskając w ręku aksamitną paczuszkę, a on czekał, chcąc się dowiedzieć, po co poszła do jubilera. Po jej wyjściu sam wszedł do środka. Mężczyzna trzymał w palcach aksamitne etui i sprawdzał coś przez okulary jubilerskie.

– Czy to jest na sprzedaż? – spytał Matt, siląc się na niedbały ton. Dostrzegł perłowy naszyjnik i błysk czerwonego klejnotu.

– Będzie – odparł jubiler.

Matt wziął od niego wizytówkę i wrócił do samochodu. Był pewien, że nie sprzedawała biżuterii, by zapłacić rachunki za remont. Nie, to nie była jego wina. Może po prostu chciała zacząć od nowa, uwolnić się od pamiątek po mężu, powtarzał sobie kilka razy, ale i tak chodził potem rozdrażniony.

Przez większość przedpołudnia kazał Byronowi przenosić gruz z salonu do kontenera na śmieci. Jego widok działał teraz Mattowi na nerwy, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Wolał mu przydzielić takie zadanie, by na niego nie patrzeć, a sam z Anthonym zaczął remont łazienki. Isabel tak bardzo się o to upominała, że musiał coś zacząć, choćby na pozór. Wniesienie żeliwnej wanny na górę zajęło im czterem godzinę, co tylko Matta wkurzyło. Za kilka miesięcy, kiedy wreszcie będzie właścicielem domu, trzeba ją będzie znowu przenieść.

– Kiedy będziesz kładł deski z powrotem, wbijaj gwoździe w legary, a nie w rury, bo pożałujesz – ostrzegł Anthony’ego, który miał na głowie tę idiotyczną czapkę.

Anthony już się podnosił, kiedy Matt zawołał go, by pomógł mu przesunąć wannę.

– Tam – powiedział, stękając z wysiłku. – Gdzie wystają te dwie rury.

Jego syn zaczął ciągnąć, ale zaraz się zatrzymał.

– Zaczekaj, tato. Ona nie może tam stać.

– Bo co?

– Chodzi o legary. Rury biegają tuż pod spodem. Spłaszczą się do kilku centymetrów, kiedy będzie na nich stała wanna.

– To i tak tylko na chwilę – mruknął Matt.

Jego syn zmarszczył brwi, zbity z tropu, a Matt uświadomił sobie, że nie powiedział tego tylko w myślach.

– Nie rozumiem – rzekł Anthony.

– I nie musisz niczego rozumieć – warknął Matt. – Nie jesteś tu od myślenia. Po prostu ciągnij.

Anthony ruszył wannę o kilka centymetrów, ale znowu przystanął.

– Serio, tato, jeśli pani Delancey chce mieć wannę w tym miejscu, to czy nie powinniśmy poprowadzić rur z boku?

– A ty właśnie zdobyłeś uprawnienia hydraulika, tak?

– Nie, ale wcale nie trzeba być hydraulikiem, żeby...

– Czy ja cię pytałem o zdanie? A może dostałeś awans, tylko o tym nie wiem? Z tego, co pamiętam, Anthony, zatrudniłem ciebie i Byrona do przenoszenia ciężkich rzeczy. I do sprzątnięcia. Do zadań, które nie wymagają myślenia.

Anthony wziął głęboki oddech.

– Pani Delancey nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że odwalasz taką fuszerkę.

– No co ty nie powiesz?

– Mówię poważnie.

Mattowi krew zagotowała się w żyłach. Laura nastawiła syna przeciwko niemu. To, jak mu odszczekiwał...

– Nie podoba mi się to wszystko – dodał chłopak.

– Będziesz robił, co ci każe, do cholery.

Wyszedł na środek łazienki, blokując Anthony'emu drogę do wyjścia, i zobaczył w jego oczach niepewność. Przynajmniej wiedział, kto tu rządzi.

– Matt?

Byron. Jak zwykle zjawiał się tam, gdzie nie trzeba.

– Czego chcesz?

– To chyba twoje.

Matt wziął od niego transporter dla zwierząt, zanim zdążył się zorientować, co robi. Słowa Byrona i to, co sugerowały, wywołały niezręczną ciszę.

– Znalazłem go w tym dalszym kontenerze – kontynuował Byron. – To już drugi, na jaki się natknąłem. Pani Delancey ma chyba dość nieproszonych gości.

Matt zerknął na syna i zobaczył, że Anthony nie zrozumiał, co Byron chce przez to powiedzieć. Chłopak powoli zbliżał się do drzwi, najwyraźniej planując się wymknąć.

– Idę do domu. – Anthony odpiął pas z narzędziami i rzucił go na podłogę.

Matt nie zareagował, za to zwrócił się do Byrona:

– Pani Delancey to, pani Delancey tamto. Chyba wszyscy tutaj czytają jej w myślach. Ja z kolei nie sądzę, żeby spodobała jej się twoja przeszłość, co nie? Niewielu ludzi w tej okolicy dało-by ci taką szansę jak ja, nikt przecież nie chciał cię zatrudnić.

Byron odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

– Twój problem, chłopie, polega na tym, że nie umiesz docenić tego, co masz – kontynuował Matt.

– Matt, nie chcę się z tobą kłócić, ale nie mogę patrzeć beczynn timer, jak...

Właśnie wtedy w drzwiach pojawiła się Isabel.

– Przyniosłam wam herbatę – powiedziała, wchodząc do środka. Włosy miała związane z tyłu i przebrała się w szorty, odsłaniając długie brązowe nogi. – Anthony, tu masz coś zimnego. Wiem, że nie lubisz herbaty. Aha, Byron, zostawiłeś rano kluczyki na stole w kuchni. Lepiej noś je przy sobie. Mało ich nie wyrzuciłam z resztkami po śniadaniu.

– Po śniadaniu? – powtórzył Matt. Jego mózg miał problem z przyswojeniem tej informacji. – Śniadanie z Delanceyami, co? Ale sielanka. – Gdy Isabel postawiła tacę z herbatą na skrzynce, dodał jeszcze z przekąsem: – Wygodnie się urządziłeś, Byron.

– Byron dużo mi pomaga. Przynajmniej mogę mu się odwdziżyć herbatą i tostami – wyjaśniła Isabel.

Czy ona się zarumieniła? Czy też tak mu się tylko wydawało?

Syn minął go z pogardą. Matt poczuł, jak kręci mu się w głowie.

– Nie wydaje mi się, żebyś była taka gościnna, gdybyś o wszystkim wiedziała.

Cios był celny. Byron zamknął na chwilę oczy, a jego ramiona opadły.

– Gdybym wiedziała co?

– Czyli jednak ci nie powiedział?

– Okej, rzucam tę robotę – rzekł Byron cicho. – Dłużej tego nie zniosę.

– Co tu się dzieje? – dopytywała się Isabel.

Byron sięgnął po swoje klucze, ale Matt był od niego szybszy.

– Isabel, wiesz, że zawsze miałem na względzie twoje dobro? Prawda?

– Yyy, tak... – zaczęła ostrożnie.

– Powiedziałbym ci wcześniej, ale chciałem dać Byronowi szansę. Nie wydaje mi się

jednak w porządku, abyś jako jedyna nie znała prawdy, zwłaszcza że najwyraźniej spędzasz z nim czas sam na sam. Jak ci się podoba to, że były skazany zasiada do śniadania z twoją rodziną albo przebywa w lesie z twoim synem?

Zobaczył, jak przez jej twarz przeleciał cień wątpliwości. Matt zawsze wiedział, jak uderzyć w czuły punkt.

– Nie miałaś pojęcia, że Byron siedział w więzieniu? Myślałem, że wspomniał ci o tym w czasie któregoś z tych waszych kameralnych spotkań. To ile w końcu odsiedziałeś, Byron? Prawie półtora roku za ciężkie uszkodzenie ciała? Pamiętam, że nieźle kolesia pokieraszowałeś. Wylądował na wózku inwalidzkim, dobrze kojarzę?

Nie zapytała, czy to prawda. Nie musiała: było to wypisane na twarzy Byrona. Matt zauważył nagłą nieufność w jej postawie i poczuł, że zwyciężył.

– Myślałem, że powiedziałaś pani Delancey...

– Okej – rzekł Byron. – Wychodzę.

Kiedy odbierał swoje kluczyki, nie patrzył na Isabel. Jego twarz była jak z kamienia.

– Tak, idź sobie. Trzymaj się z dala od tego domu. – W głosie Matta pobrzmiwała satysfakcja.

Odwrócił się do Isabel. Zostali tylko we dwoje. Pod nimi rozległ się trzask zamykanych drzwi.

– No i proszę – powiedział, jakby to o czymś przesądziło.

Isabel spojrzała na niego tak, jak gdyby z jej oczu spadła zasłona.

– To nie jest twój dom – wycedziła.

Gdyby się nad tym zastanowić, to wszystko było całkiem pros-te. Rozwiązanie właściwie doskonałe. Ostrożnie umieścił nową szybę w ramie i zaczął obrabiać kit palcami, aż stał się ciepły i plastyczny. Przycisnął go ostrożnie do szyby z precyzją wynikającą z wielu lat praktyki: kit był gładki, a jego krawędź odznaczała się wyraźnie. Światło odbijało się od szyby, a las, pełen ptaków i innych stworzeń, tętnił życiem. Czasami człowiek tak bardzo skupiał się na pojedynczym elemencie, że tracił z oczu cały las. Uśmiechnął się na ten swój żart.

Gdy kit schnął, Matt poprawił pas z narzędziami i przeniósł kawałek ozdobnej listwy do drugiego okna. To miał być najpiękniejszy pokój, jaki kiedykolwiek wyszedł spod jego ręki. Jeszcze nigdy w nic nie włożył tyle serca. Sypialnia miała okna na dwóch ścianach, dzięki czemu pierwszą rzeczą, jaką zobaczą po przebudzeniu, będzie jezioro zasnutę poranną mgłą i przelatujące wśród drzew ptaki. Gipsową sztukaterię zamówił w specjalistycznej włoskiej firmie, a następnie przyciął i uformował każdy element tak, aby razem tworzyły skomplikowaną trójwymiarową układankę. Sufit otynkował tak fachowo, że nie było na nim widać choćby jednego odcisku palca. Zburzenie oryginalnego stropu opłacało się choćby dla obecnej przyjemności tworzenia czegoś tak pięknego dla Isabel. Położył na nowo podłogę, deska po desce, żeby jej bosc stopy mogły chodzić po idealnie równej powierzchni. Wyobraził ją sobie, jak wkłada ten czerwony jedwabny szlafrok, zsuwając się z ich ogromnego łóża i wymiętej pościeli. Widział wyraźnie jej twarz o brzasku poranka, gdy odsłania zasłony. I gdy odwraca się do niego z uśmiechem, a przez jedwab prześwituje jej ciało.

Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? To rozwiązywało wszystkie problemy. Zamieszka z nią i będzie kontynuował rozpoczętą pracę. Gdy będą razem, nie będzie musiała za nic płacić. Skończą się jej problemy z pieniędzmi. Widać było, że sama sobie nie poradzi. Odkąd zaczął ten remont, we wszystkim zdawała się na jego osąd, musiał rozpraszać jej obawy. To miejsce będzie należało do nich. On będzie panem swojego domu z marzeń. I panem Isabel Delancey. Laura zostanie tam, gdzie mieszkają teraz, może tam sobie dalej urządzać swoje spotkania na kawę i narzekać. Miała tak samo dość tej całej sytuacji jak on. Zadziwiające, że teraz prawie o niej nie myślał. Jakby stała się zupełnie nieistotna. Isabel zepchnęła wszystko na bok. Była wszystkim. Wszystkim, na co kiedykolwiek pracował, wszystkim, co rzekomo było poza jego zasięgiem. Wszystkim, co musiał zostawić, kiedy jego ojca wyrzucono z tej posiadłości. Czasami miał problem z określeniem, gdzie kończy się ona, a zaczyna dom.

Matt z zapałem stukał w listwę, napędzany nowym wewnętrznym rytmem. Możliwe, że mógł się pozbyć tylko część-ci starej oprawy i zachować główną strukturę, ale już dawno temu nauczył się, że czasem najlepszym wyjściem jest zacząć wszystko od nowa.

Byrona obudziło walenie i dostrzegł światło pod drzwiami. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co to oznacza, a potem spojrzął na zegarek. Było wpół do ósmej. Matt już pracował.

Obok w milczeniu siedziały psy, spoglądając na niego wyczekująco. Podniósł się, przecierając ręką twarz i włosy. Ptaki na zewnątrz nie śpiewały już tak zapamiętale jak o brzasku.

– Mogłyście mnie obudzić – wymruczał do Meg i Elsie. – I jak ja mam teraz stąd wyjść?

Niewiele dziś spał. Najpierw prawie do północy chodził po lesie, a potem, po powrocie do kotłowni, leżał przez wiele godzin i próbował wymyślić, co dalej. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Jan, ale widział, jak im się żyje w nowym mieszkaniu, i nie chciał zakłócać im spokoju. Wciąż nie zbierał pieniędzy na kaucję za domek na farmie. Zastanawiał się, czy nie postąpił zbyt pochopnie, odchodząc z pracy, ale nie mógł dalej przymykać oczu na oszustwa tego człowieka. Nie był też pewny, czy przy ciągłych docinkach ze strony Matta w końcu nie

zachowałby się w sposób, którego by potem żałował.

Znowu stanęła mu przed oczami twarz Isabel, kiedy kobieta dowiedziała się o jego przeszłości. Malujące się na niej zaskoczenie, a potem niedowierzenie. Przecież wydawał się taki miły, taki normalny... Byron widział to już wcześniej wiele razy.

– Chryste. – Wcisnął się do kąta, kiedy drzwi otworzyły się i zamknęły, a do środka wszedł Thierry ze szczeniakiem, który podbiegł do Byrona i na niego wskoczył.

– Ciii! – Ze wszystkich sił próbował powstrzymać go od ujadania. Kiedy znowu podniósł wzrok, Thierry stał na jednej nodze. Byron usiadł na swoim posłaniu. – Jezu, Thierry. O mało nie dostałem... Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Thierry skinął na Peppera, szczeniaka, który obwąchiwał swoją matkę.

– A... powiedziałaś o tym komuś?

Wyszedł ze spiwora, zerkając na drzwi za plecami chłopca. Thierry pokręcił głową.

– Chryste. Myślałem, że to... – Przejechał ręką po twarzy, starając się uspokoić oddech.

Thierry najwyraźniej nie był świadomy przerażenia, jakie wywołał. Uklęknął przy psach, przytulił je i pozwolił im się lizać po twarzy.

– Ja tylko... nocuję tu chwilowo, póki moje nowe mieszkanie nie będzie gotowe. Nie mów o tym nikomu, dobrze? To mogłoby... wyglądać dziwnie. – Nie był pewien, czy Thierry go dosłyszał. – Inaczej musiałbym zostawić Meg i Elsie same. Rozumiesz, prawda?

Chłopiec pokiwał głową. Chwilę później sięgnął za koszulkę, wyjął małą kwadratową paczuszkę zawiniętą w białą serwetkę i wręczył ją Byronowi. W środku znajdowały się dwa ciepławe tosty złożone w kanapkę. Potem Thierry podał mu jeszcze wyjęty z kieszeni zgnieciony kartonik soku i uklęknął na powrót przy psach, by połaskotać Meg po brzuchu.

Byron nie miał nic w ustach od wczorajszego lunchu. Ugryzł kanapkę, która była posmarowana w środku dżemem i masłem, a potem położył rękę na ramieniu chłopca, wzruszony tym niespodziewanym gestem dobroci.

– Dziękuję – powiedział, a chłopiec uśmiechnął się szeroko. – Dziękuję, Thierry.

– Gdzie się podziewasz? Miałeś wpaść o trzeciej.

Kitty leżała na kocu nad brzegiem jeziora, słuchając cykania świerszczy i wpatrując się w nieskończony błękit nad głową. Od czasu do czasu koło jej ucha przeleciał trzmiel, ale nie wzdrygnęła się nawet wtedy, gdy jeden z nich usiadł jej na koszulce. Było tak gorąco, że człowiekowi odechciewało się ruszać. Poza tym próbowała się opalić. Przeczytała w jakimś czasopiśmie, że nogi wyglądają lepiej, gdy są brązowe. W Londynie ich malutki ogródek był zwrócony na północ i nigdy nie docierało tam słońce.

– Moja mama robi jakieś jazdy – powiedział Anthony.

Kitty żuła źdźbło trawy.

– Oni wszyscy robią jakieś jazdy. Chyba taka jest ich rola.

– Nie. Ona... Mam wrażenie, że między naszymi rodzicami są jakieś kwasy.

Kitty wyrzuciła źdźbło i czekała na wyjaśnienia, a tymczasem dochodził ją hałas z parteru, gdzie Isabel waliła młotkiem w listwy przypodłogowe. Dźwięk niósł się po wodzie, zakłócając spokój jeziora. Pomyślała, że chyba woli, gdy matka gra na skrzypcach.

– To znaczy jakie kwasy tak konkretnie? – spytała.

Anthony wydawał się zakłopotany.

– Ale nic nie mów, okej? Wdaje mi się, że mój tata strasznie zdziera z twojej mamy.

– Zdziera? – Kitty zmrużyła oczy, patrząc na chmurę, i zaczęła się bawić pasmem włosów. – Jest budowlańcem, Ant. Oni wszyscy zdzierają kasę.

– Tyle że on nieźle przegina. Naciąga ją na kosmiczne sumy. – Obniżył głos do szeptu. – Wszedłem dziś rano do jego gabinetu i była tam moja mama, przeglądała wszystkie rachunki



związane z waszym domem. Strasznie dziwnie wyglądała...

– Czy ty i tata dalej nie rozmawiacie? – spytał Anthony.

– Teraz nawet nie bardzo jest o czym – odparła Laura spokojnie. Zerknęła na kopie rachunków wystawionych na Isabel Delancey. Wzięła do ręki jeden z nich. – Wygląda na to, że twój ojciec i ja mamy bardzo różne poglądy na to, jak się powinno traktować ludzi.

– Co masz na myśli, mamó?

Podniosła wzrok, jak gdyby dopiero teraz go zobaczyła.

– Nic, kochanie. Tak tylko mówiłam do siebie. – Wstała, otrzepała spodnie, przywołała na twarz pogodny uśmiech. – Wiesz co, zrobię mrożoną herbatę. Napijesz się?

Anthony mówił do telefonu głosem cichym i pośpiesznym:

– Chyba zorientowała się, że tata naciąga twoją mamę. Ona jest dosyć staromodna. Nie lubi takich rzeczy. Kiedy poszła na dół, sam zerknąłem na kilka rachunków. Na przykład bojler... Jestem prawie pewien, że policzył twojej mamie dwa razy tyle, ile sam zapłacił.

– Czy nie doliczył sobie po prostu kosztów instalacji?

Isabel ciągle o tym mówiła.

– Moja mama nie uważa, że coś tu jest nie tak. Owszem, mówi, że ten remont kosztuje fortunę, ale kiedy spojrzeć na wszystko, co zrobił...

– Nie o to chodzi.

– Ten dom to ruina.

Anthony powoli tracił cierpliwość.

– Posłuchaj, Kitty. Mój ojciec to dupek. Robi, co mu się podoba, i nie patrzy na innych. Marzył o waszym domu od lat i pewnie dlatego tak zdziera z twojej mamy. Żeby ją wykurzyć.

Kitty podniosła się na kocu i podciągnęła kolana pod brodę. Nagle, pomimo upału, zrobiło jej się zimno.

– Marzył o naszym domu?

– Tak, zanim tu przyjechaliście. Razem z mamą. Kiedy się wprowadziliście, myślałem, że im przeszło. W końcu to tylko dom, prawda?

– Prawda – powiedziała Kitty, ale bez przekonania.

– Zwykle nie zwracam uwagi na to, co robi mój tata. W tej rodzinie człowiek uczy się nie wychylać. Ale znalazłem ten rachunek, potem zdziwiło mnie zachowanie mamy... Ogólnie to, co tata robi, pachnie przekrętem. A do tego kiedyś Asad rzucał mu jakieś dziwne aluzje.

– Asad?

Anthony chyba się domyślił, że powiedział za dużo.

– Posłuchaj, nie mów nic swojej mamie. Przynajmniej na razie. Myślę, że moja każe mu zwrócić część kasy. Ostatnio trochę jej podpadł... – Kitty usłyszała, jak coś do kogoś krzyczy. – Dobra, muszę teraz zmykać. Miałabyś może ochotę spotkać się później w pubie? Robią dziś wieczorem grilla na wolnym powietrzu i każdy może wpaść. – Po czym dodał: – Ja stawiam.

Woda przy brzegu była mętna, na jej powierzchni tworzył się błotnisty kożuch.

– Okej – odparła Kitty.

Isabel klęczała i malowała podłogę w hallu gryzącą jasnoszarą farbą.

– Nie podchodź za blisko – rzekła, kiedy Kitty stanęła w drzwiach kuchni. – Nie miałam w planie odcisków butów. – Usiadła i przyjrzała się temu, co zrobiła do tej pory. Na policzku miała plamę z farby, a jej biała koszulka zsunęła się z ramion. – I jak ci się podoba?

– Ładnie – stwierdziła Kitty.

– Nie malowałabym jej, ale każda deska była w innym kolorze i całość była taka ponura... Pomyślałam, że w ten sposób trochę rozjaśnię korytarz.

– Wychodzę – oznajmiła Kitty. – W pubie organizują grilla i wybieram się tam

z Anthonyem.

– To fajnie. A widziałaś gdzieś Thierry’ego?

– Tak, jest przy kurach.

Mówił do nich, beształ te większe za znęcanie się nad mniejszymi, ale umilkł, kiedy ją zobaczył.

– Mnie tu jeszcze chwilę zejdzie – powiedziała Isabel. – Muszę poczekać, aż wyschnie ta strona, zanim zacznę z drugą. Myślisz, że jak jest gorąco, to farba szybciej schnie?

Usłyszały kroki na schodach i ich oczom ukazał się Matt z pasem z narzędziami na biodrach i podkoszulkiem przyklejonym do torsu. Zatrzymał się na dole.

– Skończyłem. Pomyślałem, że możemy skoczyć na drinka, jeśli... – Widok Kitty zbił go z tropu, ale tylko na chwilę. – Jeśli któraś z pań ma ochotę.

– Nie, dziękuję – odparła Isabel. – Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Czy łazienka już działa?

– Pracowałem dzisiaj w sypialni. Powinnaś rzucić na nią okiem.

Jej matka posłała mu zdziwione spojrzenie.

– Ale przecież prosiłam cię, żebyś zrobił łazienkę. Łazienka jest nam potrzebna, Matt. Umówiliśmy się, że skupisz się na niej.

– Zajmę się nią jutro – powiedział. – Powinnaś zobaczyć tę sypialnię. – Zachowywał się tak, jakby nie docierały do niego jej słowa. – Spodoba ci się. Jest piękna. Idź i sama sprawdź.

Kitty zauważyła, że jej mama zaciska zęby. Miała ochotę wtrącić jakiś komentarz, ale obiecała Anthony’emu, że tego nie robi, więc rzekła tylko:

– Mam już dość tej blaszanej wanny. Podłączenie nowej nie powinno być takie trudne.

Matt jakby jej nie słyszał.

– Nigdy byś nie zgadła, że sufit się tam zawalił. Moim zdaniem sztukateria jest ładniejsza niż ta pierwotna. Idź i zobacz.

Jej matka westchnęła i odgarnęła pasmo włosów ze spoczonej twarzy. Widać było, że próbuje ukryć frustrację.

– Matt, czy mógłbyś już przejść, żebym mogła dokończyć malowanie podłogi? Kitty, kochanie, tylko wróc do domu przed zmrokiem.

– Okej – odparła Kitty, nie spuszczając wzroku z Matta.

– Anthony cię odprowadzi, prawda?

– Tak.

– Wybierasz się na grilla? Podwieź cię do drogi? – spytał Matt.

– Nie trzeba – rzuciła lekceważąco, po czym dodała pod karcącym spojrzeniem matki: –

Dziękuję.

– Jak chcesz – powiedział. – Na pewno nie dasz się skusić, Isabel?

Kitty odczekała, aż tylne światła samochodu Matta znikną jej z oczu, a potem ruszyła szybkim krokiem ocienioną ścieżką przez las, rozkoszując się wytchnieniem od upału, który jeszcze o tej porze dnia wisiał nad doliną. Nie bała się już wyimaginowanych straszycieli za drzewami ani szaleńców wywijających siekierą. Teraz już była świadoma realnych zagrożeń. Pomyślała o Matcie, jego żarcikach i zagadywaniu, o torbach z croissantami, o udawanej życzliwości. Nie tylko jego, ich wszystkich. Ile osób wiedziało, co on robi?

Kiedy wyszła z lasu, w głowie jej się kręciło. Powiedziała Anthony’emu, że spotkają się o szóstej, ale w sklepie paliło się światło, a w środku byli ludzie. Dlatego w ostatniej chwili Kitty Delancey zmieniła plany.

– Wtedy on pyta: „Jak śmiesz?” – rzekł Henry, próbując utrzymać powagę. – Nazywam się Hucker. Rudolph Hucker. – Uderzył ręką w ladę i ryknął śmiechem.

– Nie rozśmieszaj mnie tak – wykrztusił Asad, który pakował drobne do woreczka. – Bo jeszcze dostanę ataku astmy.

– Dalej nie rozumiem – powiedziała pani Linnet. – Opowiedz jeszcze raz.

– Może powinienes go przedstawić Tansy Hyde.

Pani Linnet odstawiła kubek z herbatą.

– Komu? To ta z Hyde'ów z Warburton?

Drzwi się otworzyły i do sklepu weszła Kitty, wpuszczając do środka powiew ciepłego powietrza i ryk muzyki z pubo-wego ogródka po drugiej stronie ulicy.

– O, nasza ulubiona nastolatka – przywitał ją Henry. – Rany, tak bardzo chciałbym znowu być młody.

– Nie, nie chciałbyś – powiedział Asad. – Mówiłeś mi, że to był najniezwyklejszy okres w twoim życiu.

– No to przynajmniej chciałbym mieć swoje nastoletnie ciało. Gdybym wtedy zdawał sobie sprawę, jaki jestem piękny i młody, zamiast zamartwiać się nieistniejącymi skazami, przez cały czas paradowałbym w kąpielówkach.

– A kiedy już będziecie w moim wieku – wtrąciła pani Linnet – będziecie się cieszyć, że wasze ciało w ogóle funkcjonuje.

– Możesz nosić kąpielówki teraz – rzekł Asad. – W ogóle można z tego zrobić wydarzenie cykliczne. Wywiesić kartkę: „kąpielówkowe wtorki”.

Henry pokiwał palcem.

– Zawsze uważałem, że to nieeleganckie, gdy sprzedawca pokazuje swoje śliwki.

– Chyba mówisz o śliwkach suszonych? – Asad znowu chichotał.

Henry próbował zachować kamienną twarz.

– Pewnie powinienem się cieszyć, że nie wspomniałeś o orzeszkach.

– Pani Linnet, ma pani na nas zły wpływ – stwierdził Asad. – Niech pani przestanie.

– O tak, proszę przestać, pani Linnet. Mamy tutaj młodą dziewczynę i nie chcemy jej zgorszyć. Coś podać, Kitty? Chyba że przyniosłaś nam jajka? Te z ostatniej dostawy prawie nam się kończą. – Henry pochylił się nad ladą.

– Od jak dawna wiecie, że Matt McCarthy próbuje wykurzyć nas z domu?

W sklepie zapadła cisza. Henry zerknął na Asada. Kitty złowiła jego spojrzenie.

– Czyli mam rozumieć, że od dawna? – spytała gorzko.

– Próbuje wykurzyć was z domu? – powtórzyła pani Linnet.

– Podobno strasznie z nas zdziera – oznajmiła Kitty rzeczowo. – I wygląda na to, że dowiadujemy się o tym jako ostatni.

Asad wyszedł zza lady.

– Usiądź, Kitty – powiedział. – Napijemy się herbaty i porozmawiamy.

– Nie, dziękuję. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Jestem z kimś umówiona. Chciałam tylko wiedzieć, ile osób śmiało się z nas za naszymi plecami. Z tych głupich mieszczuchów, którym wydawało się, że mogą odnowić stary duży dom.

– To nie było tak – odparł Asad. – Podejrzywałem, że coś jest nie tak, ale nie miałem dowodów.

– Asad chciał się odezwać – wtrącił Henry – ale ja stwierdziłem, że nie może rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Nie mieliśmy pojęcia, co się u was dzieje, co on tam robił.

– Ale wiedzieliście, że chciał mieć ten dom. Zanim tu przyjechaliśmy.

Mężczyźni popatrzyli na siebie bezradnie.

– Jeśli o to chodzi, to tak. Wszyscy o tym wiedzieli.

– My nie – odparła Kitty. – A bardzo by nam pomogło, gdyby ktoś nas ostrzegł, że facet,

który rozwała nam dom na kawałki i bierze od nas za to grubą kasę, wcześniej chciał ten dom mieć. Przynajmniej teraz się dowiedzieliśmy, ilu tu mamy przyjaciół. – Odwróciła się do wyjścia.

– Kitty! – zawołał za nią Asad. – Czy twoja mama wie? Czy rozmawiałaś z nią o tym? – Henry usłyszał w jego głosie astmatyczne rżenie świadczące o niewydolności oddechowej.

– Nie mam pojęcia, co wie – rzekła Kitty. – Nie chcę narobić więcej problemów. – Nagle wyszło z niej zagubione dziec-ko. – Nie wiem, co robić. Chociaż teraz to chyba bez znaczenia, bo i tak wkrótce Matt będzie musiał przerwać prace. Nie mamy już pieniędzy. Będziemy siedzieć w naszym na wpół zrujnowanym domu, liczyć straty i próbować jakoś żyć dalej.

Dziewczyna lekko dramatyzowała, ale Henry nie mógł jej za to winić.

– Kitty, proszę, zaczekaj. Pozwól mi wyjaśnić...

Zadzwęczał dzwonek i drzwi za Kitty się zamknęły.

– No proszę! – wykrzyknęła pani Linnet, przerywając ciszę. A gdy nikt się nie odezwał, powtórzyła: – No proszę.

– Ochłonie za jakiś czas, kiedy to przemyśli – powiedział Henry. – Kto wie, co ten facet zrobił z ich domem. Przepraszam, Asad – dodał, zaciągając żaluzje w sklepie. – Masz święte prawo do „a nie mówiłem”. Powinniśmy byli się odezwać, nawet jeśli mielibyśmy się opierać tylko na domysłach.

– To wiedzieliście, że on coś kombinował? – spytała pani Linnet.

– Rzecz w tym, że nie – odparł Henry, nerwowo pocierając dłonie. – I na tym polegał problem. Tylko podejrzewaliśmy. No i co mogliśmy zrobić? Przecież nie będziemy rozsiewać plotek opartych na domysłach, prawda? Zwłaszcza jeśli dotyczą kogoś takiego jak on.

– Jest teraz w pubie – oznajmiła pani Linnet. – Widziałam go, jak wchodził do środka niecałe dziesięć minut temu, jak gdyby nigdy nic. Powiem wam, że zawsze miałam wrażenie, że coś z nim jest nie tak. Przy rozbudowie domu pani Barker umieścił klamki zbyt blisko framug. Żaliła mi się, że ciągle obciera sobie ręce...

– A ty dokąd się wybierasz? – spytał Henry, widząc, że Asad zdejmuje fartuch.

– Nigdy nie było mi tak wstyd. Nigdy. – Słysząc było, że ledwo powstrzymuje emocje. – Ta dziewczyna miała rację, Henry. W każdym słowie. Wszyscy zachowaliśmy się nagannie.

– Ale dokąd idziesz?

– Porozmawiać z McCarthym – oznajmił Asad. – Zanim pani Delancey dowie się o wszystkim. Zamierzam go poprosić, żeby postąpił jak człowiek honoru. I powiedzieć mu, co o nim myślę.

– Asad, nie rób tego – rzekł Henry, zastawiając mu drogę do drzwi. – Nie mieszaj się w to. To nie nasza sprawa.

– To jest nasza sprawa. To nasz obowiązek jako przyjaciół i dobrych sąsiadów.

– Nasz obowiązek? A czy ktoś się nami przejmował, co?! – Henry już krzyczał, nie zważając na to, czy ktoś ich usłyszy. – Czy ktoś stanął w naszej obronie, kiedy po przyjeździe tutaj musieliśmy się zmierzyć z miejscową bigoterią? Kto nam pomógł, gdy wybijali nam okna? Bazgrali różne okropności na drzwiach?

– Ona jest sama, Henry.

– I my też byliśmy.

– To było wiele lat temu. – Asad pokręcił głową z niedowierzaniem. – Czego się tak obawiasz? – rzucił jeszcze na odchodne i już go nie było.

Mężczyzna stojący za grillem miał na sobie fartuch ze sztucznym biustem i nadrukiem falbaniastych majtek. Od czasu do czasu ścisnął piersi dłońmi, podnosił kielbasę w szczypcach, nieprzyzwoicie wydymając usta, albo podrygiwał sugestywnie w rytm muzyki, która rozbrzmiewała z wieży stereo ustawionej na stoliku przy drzwiach. Kitty ledwo zwróciła na

niego uwagę. Była cała roztrzęsiona. Kuzyni byli zszokowani i przejęci jej słowami, ale nie miała wątpliwości, że o wszystkim wiedzieli. Dlaczego zachowali to dla siebie?

– To ona – rzekł Anthony, gdy jakaś kobieta pojawiła się przy grillu, by coś przekazać kucharzowi. Włosy miała przetykane jasnymi i rudawymi pasemkami, upięte w celowym nieładzie. – Kobieta, którą posuwa mój ojciec.

Kitty znieruchomiała z napojem przy ustach.

– Co? – spytała, niepewna, czy się nie przesłyszała.

– Theresa Dillon. Barmanka. Mój tata posuwa ją od miesięcy. – Powiedział to tonem tak naturalnym, jak gdyby było oczywiste, że ojciec sypia z kimś innym niż matka.

Kitty odstawiła colę.

– Jesteś pewien?

– Tak. – Wpatrywał się w kobietę z pogardą. – I nie jest pierwszą.

Przez ostatni rok Kitty czasami czuła się najstarszą nastolatką na świecie. Była jedyną osobą w domu, która potrafiła podejmować rozsądne decyzje, płacić rachunki, organizować codzienność w obliczu chaosu, w którym była pogrążona mama. Bywały jednak chwile, takie jak dzisiaj, kiedy czuła, że znalazła się w rzeczywistości, która jest jej całkowicie obca. Wcześniej, gdy usiadła z Anthonym, podszedł do nich Matt i zażartował, że gdyby skorzystała z jego podwózki, mógłby jej kupić drinka. Anthony prawie na niego nie patrzył, a Kitty była zbyt wściekła, by z nim rozmawiać, więc w końcu, narzekając na współczesne nastolatki, Matt ich opuścił i przysiadł się do znajomych.

– Jeśli jesteś tego pewien – powiedziała ostrożnie – to dlaczego nie powiesz mamie?

Spojrzał na nią, jak gdyby nie miała pojęcia o życiu, a ona przypomniała sobie, jak mu opowiadała o własnych rodzicach, jak byli razem szczęśliwi i jak mama niemal zupełnie się załamała po śmierci taty. Anthony poczęstował ją chipsami.

– Nie znasz mojego ojca – rzucił pogardliwie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, ciepłe promienie chylącego się ku zachodowi słońca przenikały przez sukienkę Kitty. Wreszcie Anthony odezwał się znowu:

– Masz jeszcze ochotę na chipsy? Pójdę po octowe, zanim wszystkie wykupią. – Zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu drobnych, ale znieruchomiał. – Rety, co się tam dzieje?

Asad stał przed Mattem, który siedział na ławie po drugiej stronie pubowego ogródka. Kitty nie była w stanie dosłyszeć wszystkiego, co mówili, ale mogła wywnioskować z miny Matta i z postawy Asada, że nie była to przyjazna wymiana zdań.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz, Asad, więc nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, bo tylko zrobisz z siebie idiotę. – Głos Matta przebijał się przez muzykę.

– A ty nie masz za grosz przyzwoitości i wykorzystujesz fakt, że ludzie się ciebie boją. Ale ja się ciebie nie boję. I nie boję się powiedzieć ci prawdy.

W ogródku zrobiło się bardzo cicho, wszyscy zaczęli się przysłuchiwać.

– Prawdy? – powtórzył Matt. – Chyba raczej wiejskich plotek. Siedzisz w tym swoim sklepiku i rozsiewasz ploty jak stara baba. Razem z Henrym. Jesteście żałośni. – Roześmiał się.

Serce Kitty niemal stanęło. Zerknęła na Anthony'ego, który kręcił głową.

– Tylko nie to – jęknął.

Matt podniósł się i Kitty poderwała się z ławki, ale Anthony chwycił ją za rękę.

Henry, który właśnie wszedł do ogródka z panią Linnet, rozejrzał się w poszukiwaniu Asada, a potem pospieszył do niego, mruczając coś, czego Kitty nie była w stanie dosłyszeć.

Asad nie zwrócił na niego uwagi.

– Proszę cię tylko, byś zachował się przyzwoicie – powiedział spokojnie do Matta.

– A kim ty niby jesteś? Stróżem moralności?

– Kimś, kto nie jest w stanie przyglądać się spokojnie, jak się oszukuje uczciwą kobietę.  
– Asad, dam ci dobrą radę – odparł Matt przez zaciśnięte zęby. – Wracaj do sklepu i zajmij się swoimi sprawami.

– Tyle pieniędzy... i to od wdowy. Wstydu nie masz? – Asad mówił coraz donośniej.

– Pani Delancey jest bardzo zadowolona z remontu, który przeprowadzam w jej domu. Idź i ją zapytaj. Okej? Dowiesz się, jak bardzo jest zadowolona.

– To dlatego, że nie zna prawdy.

– Asad, daj mi święty spokój. – Matt sięgnął po piwo i mocno pociągnął z kufła. – Zaczynasz mnie już irytować.

– Ona nie ma pojęcia, że od początku z niej zdzierasz, że ją wykorzystujesz...

Henry pociągnął go za rękę.

– Asad, chodźmy już.

– Tak, Asad. Idź, zanim powiesz coś, czego będziesz żałował.

– Żałuję jedynie, że nie odezwałem się wcześniej. Dobrze wiesz, co teraz zrobię...

– Niby co, do cholery?

– Zamierzam jej powiedzieć – rzekł Asad, którego oddech mocno już świszcział. – Zamierzam pójść do pani Delancey i powiedzieć jej, co robisz.

Nagle Matt McCarthy zmienił się na twarzy, skoczył na równe nogi i zawisł groźnie nad swoim rozmówcą.

– Idź sobie – syknął ze złością, z twarzą przy twarzy Asada. – Wkurzasz mnie już.

– Nie podoba ci się myśl, że ktoś mógłby jej powiedzieć prawdę?

Matt dźgał w niego palcem.

– Nie. Ty mi się nie podobasz. Odpieprz się łaskawie od moich interesów, dobrze? Zachowaj swoje myśli dla siebie i przestań mącić.

– Matt... – Jakiś mężczyzna położył mu rękę na ramieniu, ale Matt ją strącił.

– Nie! Ten idiota od tygodni mnie prowokuje i rzuca jakieś aluzje. Ostrzegam cię, Asad. Trzymaj się z dala od moich spraw albo napytasz sobie biedy.

Kitty serce waliło jak młotem. Przy grillu jakaś matka chwyciła za rękę swoje dziecko i prowadziła w stronę bramy.

– Asad, proszę cię, chodźmy stąd. – Henry próbował go odciągnąć. – Pomyśl o swoim zdrowiu.

Ale jego partner nie chciał się ruszyć.

– Przez całe życie miałem do czynienia z ludźmi takimi jak ty, którzy lubili się znęcać nad słabszymi – powiedział zdyszonym głosem. – Liczycie na to, że zastraszcicie wszystkich wokół i nikt nie będzie miał odwagi się wychylić.

Matt uderzył go dłonią w pierś.

– Nie odpuścisz, co? Ty głupi staruchu, nie wiesz, kiedy dać sobie spokój! – Pchnął Asada na tyle mocno, że ten się zachwiał.

– Matt! – Barmanka z pasemkami zaczęła go ciągnąć za koszulę. – Przestań...

– Ciągłe wtykasz nos w nie swoje sprawy, rzucasz mi pogróżki. A nie masz o niczym pojęcia, rozumiesz? – Matt krzyczał Asadowi prosto w twarz. – O niczym!

Kitty się trzęsła, Anthony podbiegł do ojca. Ale Matt już nie słuchał niczyich protestów.

– Zamknij gębę i spadaj stąd, słyszysz? – Pchnął go. – Przestań rozsiewać te obrzydliwe plotki, stary głupcze. – Pchnął go jeszcze raz. – Rozumiesz? Stul dziób i spieprzaj. – I znowu.

W tym momencie Asad się zachwiał i słyhać było wyraźnie, jak z trudem łapie oddech.

– Nie... boję... się... ciebie – wyrzęził.

Wyraz oczu Matta sprawił, że Kitty zadrżała.

– Nie przeginaj, Asad – wycedził.

– Matt, przestań. To przecież starszy człowiek. – Mężczyzna stojący wcześniej przy grillu zbliżył się do Matta, wciąż trzymając w ręce szczypce. – Henry, zabierz stąd Asada. Matt, chyba wszyscy powinniśmy się uspokoić.

Ale Matt go wyminął i dalej szturchał Asada w pierś.

– Piśniesz choćby słowo Isabel Delancey, a już nie żyjesz, jasne?

– Wystarczy. – Kilku innych facetów również zaczęło odciągać Matta. – Weź się w garść, McCarthy. Idź do domu ochłonać.

– Nie żyjesz, słyszysz mnie? – Matt wyrwał się z ich uścisku. – Już idę. Zostawcie mnie. To jego powinniście wypieprzyć.

– Chryste Panie!

Pod Asadem, otoczonym półkolem widzów, ugięły się nogi i mężczyzna zaczął się osuwać na ziemię, przyciskając rękę do piersi.

– Potrzebny mu inhalator! – krzyczał Henry. – Niech ktoś pobiegnie po jego inhalator! – Pochylił się nad nim. – Oddychaj głęboko, kochanie.

Asad miał zamknięte oczy. Kitty dostrzegła, że jego twarz ma dziwny, purpurowy kolor. Tłum wokół gęstniał, ktoś mruknął coś o astmie. Pani Linnet potrząsnęła pękiem kluczy.

– Nie wiem, które to! – zawodziła. – Nie wiem, które są od sklepu!

W bramie Anthony toczył z ojcem nerwową rozmowę. Na grillu coś się paliło, unosiły się kłęby gryzącego dymu. Kitty patrzyła, jak wszystko się od niej oddala, jakby nie była już częścią tej sceny, ale obserwowała ją przez szklaną szybę. Ptaki, zauważyła machinalnie, nadal dawały koncert.

– Niech ktoś go potrzyma. Niech ktoś go na chwilę ode mnie weźmie, błagam... Dzwoncie po karetkę! Niech ktoś zadzwoni po karetkę! – Gdy Henry minął ją, biegnąc w stronę sklepu, usłyszała, jak mówił do siebie: – Właśnie tego... – Jego oddech rwał się, mężczyzna niemal szlochał, a jego twarz była czerwona od wysiłku. – Właśnie tego się, Asad, obawiałem.

Nicholas nie znał mężczyzny, który miałby tak nieskazitelne paznokcie jak Andreas Stephanides: równe, o idealnym kształcie, różowe niczym wnętrze morskiej muszli. To pewnie manicure, przyszło mu do głowy. Na myśl o tym, że miałby zapytać starszego mężczyznę, czy rzeczywiście chodzi regularnie na manicure, nerwowy śmiech podszedł mu do gardła i Nicholas zakaszłał, starając się to ukryć.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Nicholas machnął ręką. – Klimatyzacja. Gardło...

Andreas oparł się z powrotem na krzesło i gestem wskazał na leżące przed nim papiery.

– Wiesz co? Wyświadczyłeś mi przysługę. Moja żona jest w tym wieku, że... potrzebuje projektu. – Podniósł jedną kartkę. – Takie są teraz tendencje, prawda? Kiedyś, gdy dzieci opuszczały gniazdo, kobiety zmieniały zasłony i całą kolorystykę w domach. Czasem zajmowały się działalnością charytatywną. A teraz chcą domy przebudowywać. – Wzruszył ramionami. – Nie mam nic przeciwko temu, skoro ją to cieszy. A ten dom jej się podoba. I to nawet bardzo.

– Ma potencjał.

Nicholas założył nogę na nogę, rozkoszując się swoim nowym garniturem. Minęły lata, odkąd mógł sobie pozwolić na coś takiej jakości, ale czując na skórze dotyk delikatnej wełny, przypomniał sobie, że ubrania szyte na miarę dodają pewności siebie. Teraz nie wyobrażał sobie, że mógł przybyć do tego biura w czymś choć odrobinę gorszym. Kupił ten garnitur za pierwszą ratę od Andreeasa.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Ona jest tego samego zdania. Jak już wspomniałem, bardzo ją to cieszy. A kiedy ona jest zadowolona...

Nicholas nie skomentował. Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że w kontaktach z Andreasem nie należy mówić zbyt wiele. Ten człowiek był pokerzystą i traktował innych poważniej, jeśli pewne rzeczy pozostały niedopowiedziane. „Tylko głupiec odkrywa wszystkie karty”, mawiał. Nicholas wpatrywał się przez okno w panoramę Hyde Parku. Był to kolejny ciepły dzień, więc w porze lunchu pracownicy biurowi wylegli na zewnątrz i rozsiedli się na trawie, podwijając rękawy i podciągając spódnice powyżej kolan. Ulice były zakorkowane, samo-chody poruszały się zrywami, ale do Nicholasa docierały tylko przytłumione dźwięki klaksonów i silników. W tym biurze, z boazerią na ścianach i grubymi szybami, człowiek był odizolowany od hałasu, spalin i chaosu codziennego życia. Pieniądze zapewniały ochronę przed niemal wszystkim.

– Życzysz sobie zaliczki gotówką?

– Pięć procent powinno wystarczyć – odparł Nicholas z uśmiechem.

– A czy jest szansa na więcej takich projektów?

Nicholas wrócił uwagą do rozmowy.

– Wie pan równie dobrze jak ja, że takie okazje nie trafiają się często, zwłaszcza w tej części Londynu. Ale będę miał oczy szeroko otwarte.

Zaniżył wycenę nieruchomości, aby szybko znaleźć nabywcę, i przyjął łapówki od obu stron, działając jako niewidzialny pośrednik. Nie było to do końca zgodne z prawem, ale wiele transakcji na rynku nieruchomości znajdowało się w szarej strefie. Sprzedający, syn zmarłego właściciela, i tak był zadowolony, że nie musiał płacić prowizji agencji.

– A ty masz z tego dobry zysk?

– To drobnica, jeśli mam być szczerzy.



Andreas był przystojnym mężczyzną, skończył już sześćdziesiąt lat, ale wciąż miał gęste czarne włosy, a jego nienaganny ubiór i nonszalanckie maniery przywołały na myśl Franka Sinatrę czy Deana Martina. Spinki do mankietów miał wysadzone drobnymi diamentami. Jego wygląd i wystrój tego biura świadczyły o posiadaniu dużych pieniędzy i upodobaniu do szastania nimi.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do sekretarki.

– Shoula, przynieś nam jedzenie i wino. – Spojrzał pytająco na Nicholasa. – Masz czas?

Nicholas wzruszył ramionami, jak gdyby czas nie miał dla niego większego znaczenia. Andreas odłożył słuchawkę i zapalił papierosa.

– Więc co będziesz z tego miał? To już druga nieruchomość, którą znalazłeś dla mnie po cenie znacznie niższej od rynkowej. Nie jesteś głupi, Nicholasie. Sam jesteś deweloperem. Dlaczego wyświadczasz mi tę przysługę?

Nicholas miał nadzieję, że to pytanie padnie po winie. Wziął głęboki oddech, licząc na to, że nie będzie po nim widać, jak bardzo mu na tym zależy.

– Pomyślałem, że mógłby mi pan pomóc przy jednym projekcie... Znalazłem pewną nieruchomość... która jest dosyć wyjątkowa. Chciałem ją sam zagospodarować, ale potrzebuję wsparcia.

– A dlaczego nie zająłeś się tymi dwiema? – Andreas wskazał na plany leżące na jego biurku. – Mogłeś zarobić sześciocyfrową sumę, nawet gdybyś je po prostu sprzedał. A z dobrą ekipą budowlaną po paru miesiącach mógłbyś zgarnąć może nawet dwa razy tyle.

– Nie chciałem się rozpraszać. Tamten projekt wymaga uwagi. A muszę działać szybko.

– Nie wolałbyś, żebym razem z tobą zainwestował w tę „wyjątkową” nieruchomość? Na zasadzie partnerstwa?

Nicholas położył ręce na biurku.

– Zależałoby mi na pożyczce. Mógłbym zaproponować procentowy udział w zyskach, jeśliby panu na tym zależało. To sprawa osobista.

– Osobista?

– Jest pewna kobieta...

– Ha! Zawsze chodzi o jakąś kobietę.

Przerwali, kiedy do pokoju weszła sekretarka Andreeasa z tacą. Stało na niej kilka talerzyków ze smakołykami: chlebem pita pokrojonym w paski, humusem, sosem tzatziki, oliwkami i serem halloumi. Nalała wina, położyła dwie serwetki, po czym wyszła.

– Często się. – Andreas wskazał na jedzenie.

Nicholas był zbyt spięty, ale zmusił się do zjedzenia kilku oliwek. Andreas, popijając wino, obrócił się na krześle w stronę okna.

– Najlepszy widok w Londynie – powiedział, patrząc na zielony teren w dole.

– To prawda – potwierdził Nicholas, zastanawiając się, gdzie odłożyć pestkę.

– A ta nieruchomość... Jesteś jej właścicielem?

– Nie.

– A co z pozwoleniem na budowę?

– Nie ma.

– Nie masz prawa własności ani pozwolenia na budowę – powtórzył Andreas, jakby usłyszał jakiś żart.

– Mogę zdobyć jedno i drugie. Wiem, co robię.

Przez kilka chwil jedli w milczeniu, po czym Andreas znów się odezwał.

– Wiesz co? Byłem zaskoczony, gdy do mnie zadzwoniłeś. I to bardzo. Kiedy powinna ci się noga, wiele osób mówiło, że jesteś skończony. Że straciłeś fantazję. Mówili, że bez pieniędzy

żony jesteś nikim. – Nicholas milczał, więc Andreas kontynuował: – Będę z tobą szczery. Wciąż są ludzie, którzy uważają, że lepiej cię unikać. Co mam im powiedzieć?

Nicholas ścisnął w dłoni serwetkę. Żaden bank nie pożyczyłby mu kwoty nawet zbliżonej do tej, której potrzebował. Niewielu inwestorów poświęciłoby swój czas na spotkanie z nim. I Andreas był tego świadomy. Po chwili zastanowienia odpowiedział wreszcie:

– Ci ludzie mają rację. Na papierze nie wygląda to za dobrze.

Andreas wydał usta, ale Nicholas kontynuował.

– Nie będę marnował pańskiego czasu na próby przekonania pana do czegoś, o czym być może już pan zdecydował, ale wie pan równie dobrze jak ja, że bez ryzyka nie ma dużych zysków.

Po chwili, która wydawała się wiecznością – w każdym razie trwało to na tyle długo, że mimo klimatyzacji Nicholasowi pot wystąpił na plecach – Andreas się uśmiechnął.

– Ha! – wykrzyknął. – Dobrze widzieć, że ta twoja była żona nie zabrała ci też *archidia*... Dobrze, Nicholasie. Lubię powroty w wielkim stylu. Opowiedz mi coś więcej o tym projekcie. A potem pogadamy o pieniądzach.

Odebrała dopiero po kilku chwilach, głos miała zdyszany, jak gdyby biegła do telefonu.

– To ja – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– Wiem.

– Wpisałaś mnie do listy kontaktów? – Zaskoczyła go jej śmiałość.

– Niekoniecznie ciebie. Widniejesz u mnie w telefonie jako Sheila.

Stał na chodniku, obok niego z rykiem przejeżdżały samochody, wyrzucając z siebie kłęby dymu, a z drugiej strony atakował go smród śmieci i fast foodów. Jeśli przycisnął telefon do ucha i zatkał drugie, mógł usłyszeć w tle śpiew ptaków, wyobrazić ją sobie stojącą na skraju lasu, poczuć miodowy zapach jej włosów na swojej skórze.

– Musiałem do ciebie zadzwonić – rzekł. – Dostałem pieniądze.

Czuł się tak, jakby zdał jakiś egzamin, jakby to był ostatni krok do odrodzenia. Znów czuł się kimś. Chciał jej to wszystko powiedzieć, wiedząc, że ona to zrozumie. Chciał to zrobić dla niej. Ona dała mu powód, by się wykazać.

– Och.

– Pewnie przyjadę porozmawiać z tą kobietą po weekendzie. Zastanawiałem się, czy przy okazji dałabyś radę się ze mną spotkać.

– Złożysz jej wtedy ofertę?

– Coś w tym stylu.

Jej milczenie trwało na tyle długo, że poczuł niepokój.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Obok niego rozległ się pisk hamulców ciężarówki, więc wyteżył słuch, by ją usłyszeć.

– To dziwne. Pomyśleć, że ten dom zostanie zupełnie przebudowany.

– Wolałabyś, żeby mieszkali w nim we dwoje? – To był cios poniżej pasa i Nicholas poczuł wstyd, kiedy tylko wypowiedział te słowa. – Przepraszam – dodał, przekrzykując ruch uliczny. – Nie powinienem był tego mówić.

– Nie, masz rację. – Wyczuł w jej głosie lekkie przygnębienie. – To byłoby nie do zniesienia. Lepiej, żeby dom trafił do kogoś innego.

– Słuchaj – rzekł, nie przejmując się wścibskimi spojrzeniami przechodniów. – Znajdziemy dla nas coś lepszego. Miejsce wolne od złych wspomnień.

Nie dosłyszał jej odpowiedzi.

– Lauro, Kocham cię. – Nie wypowiadał tych słów od lat. Powtórzył je: – Kocham cię.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Ja też cię kocham – odparła.

Laura wyłączyła telefon i zanim weszła do środka, wzięła kilka głębokich oddechów, by rumieńce na jej policzkach osłabły. Trudno jej było uwierzyć, że Matt nie widzi tego, co w ostatnich dniach było wypisane na jej twarzy, co było tak widoczne w jej ruchach. Ona u niego zawsze potrafiła to rozpoznać.

Jej skóra wciąż pamiętała dotyk Nicholasa. Jego czułe słowa unosiły się w jej umyśle. Nie zniwelowały bólu, ale go złagodziły, zmniejszyły skutki zniszczeń dokonanych przez Matta na jej poczuciu własnej wartości. Ten mężczyzna ją kochał. Ten troskliwy, kulturalny mężczyzna ją kochał. Nie tylko przespała się z nim, zaledwie kilka godzin po ich spotkaniu w restauracji, ale też powiedziała mu, że go kocha. Laura McCarthy, prawie czterdziestoletnia kobieta, będąca nudnym filarem lokalnej społeczności, zawsze mająca w szafkach idealny porządek, a w zamrażarce tyle jedzenia, że mogła przygotować obiad dla dwunastu osób, nagle zaczęła się zastanawiać, kim się staje.

Matt siedział w swoim gabinecie.

– Jadę na zakupy. Nie pracujesz dzisiaj? – zapytała uprzejmie. Nie proponowała mu już herbaty. Nawet gdy mówił, że się napije, zostawiał ją i stygła. Znajdowała nietknięte kubki na blatach kredensów i stołach. – Myślałam, że będziesz dziś zajęty w domu hiszpańskim.

– Czekam na materiały.

– Nie mogłeś pojechać zamiast tego do Dawsonów?

– Odwołali zlecenie.

– Czemu? Myślałam, że są zadowoleni z wyceny.

– Nie mam pojęcia. Po prostu odwołali.

– Matt, czy to ma coś wspólnego z tym, co się wydarzyło w pubie?

Matt siedział ze wzrokiem wbitym w biurko, podnosił kartki i odkładał je z powrotem.

– Anthony niewiele mi powiedział, chętnie usłyszałabym coś więcej od ciebie. – Mówiła to spokojnym tonem. Nie chciała wywoływać kłótni. Nie wspomniała mu o sąsiadach, którzy unikali jej spojrzenia w supermarkecie, ani o tym, jak pani Linnet, mijając ją na parkingu, burknęła, że Matt powinien się wstydzić.

– Taki sam z niego plotkarz jak z całej reszty – odparł lekce-ważąco.

– Asad wylądował w szpitalu, Matt.

– To tylko astma. Nic mu nie będzie.

– To nigdy nie jest „tylko astma”. To starszy człowiek, a ty mogłeś go zabić. Co się dzieje?

Wstał, minął ją i podszedł do szafki z dokumentami, gdzie zaczął otwierać szuflady i przekładać papiery.

– Wkurzył mnie, okej? Pokłóciliśmy się. Dostał ataku astmy. Nic się nie stało.

– Nic się nie stało? A dlaczego Byron dla ciebie nie pracuje? Minęło zaledwie kilka tygodni, od kiedy postanowiłeś mu dać oficjalne zatrudnienie.

Wyglądało na to, że Matt czegoś szukał. Nagle dotarło do niej, jaki chaos panuje na biurku. Cała dokumentacja związana z różnymi pracami była pomieszana, porzucona gdzie popadnie. Matt zawsze utrzymywał porządek w papierach. Lubił dokładnie wiedzieć, na czym stoi, miał pod kontrolą każdego pensa. Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiego bałaganu. Nie obchodzi mnie to, powiedziała sobie stanowczo. Wkrótce będzie to problem kogoś innego. Wkrótce będę z kimś, kto mnie doceni. „Wolałabyś, żeby zamieszkali w nim we dwoje?”

– Matt?

Ten obcy, nieprzyjazny człowiek był jej mężem. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że ich związek rozpadł się tak definitywnie i tak szybko. Nie wiesz, dokąd to zmierza? – spytała go

w milczeniu. Ktoś inny właśnie mi powiedział, że mnie kocha. Mężczyzna, który w zeszłym tygodniu w pokoju hotelowym w Londynie przez kilka godzin wielbił moje nagie ciało. Mężczyzna, który mówi, że jego wizja rajy to budzenie się obok mnie, tylko mnie, do końca życia. Mężczyzna, który mówi, że jestem dla niego wszystkim. Wszystkim.

Ale Matta to nie obchodziło. On kochał Isabel Delancey. Twarz Laury nie wyrażała już żadnych emocji.

– Matt? Muszę wiedzieć, gdzie on jest, żebyśmy mogli uporządkować dokumentację.

– Nie chcę rozmawiać o Byronie – odparł, przeglądając księgę rachunkową. Nawet nie podniósł wzroku.

Laura stała tak jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i zeszła po schodach.

Kolejny długi gorący dzień chylił się ku końcowi. Polanę zalały nowe dźwięki: najpierw szcęk naczyń sprzątaných po kolacji, po niej gra na skrzypcach, ujadanie nadpobudliwego szczeniaka goniącego za piłką, wynurzenia nastolatki rozmawiającej przez telefon dobiegające przez otwarte okna starego, sfatygowanego domu, a od czasu do czasu przenikliwe brzęczenie komara, które cichło po zdecydowanym klepinięciu.

Byron siedział na krześle w kotłowni ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Zżył się z tymi dźwiękami – od dwóch miesięcy towarzyszyły mu co wieczór. Teraz zastanawiał się, co je zastąpi w przyszłości, i nie napawało go to optymizmem: nieustanny ryk samochodów za oknem, wrzask telewizora zza cienkiej jak papier ściany, kakofonia telefonów komórkowych. Odgłosy zbyt wielu ludzi zgromadzonych w ciasnej przestrzeni.

Kiedy przyszedł tu pierwszy raz, było mu wstyd. Teraz czuł się dziwnie zadomowiony w tej ciemnej, brudnej przybudówce. Wciąż prześladowały go odgłosy więzienia: ciągły brzęk i przesuwanie metalowych drzwi, dudniąca muzyka z innych skrzydeł, głos podniesiony w kłótni lub proteście, a wszystko to podszyte szumem zagrożenia, strachu, gniewu i żalu. W porównaniu z tamtym te spartańskie warunki kojarzyły się nie z bezdomnością, ale ze swego rodzaju wolnością, czymś cywilizowanym i ciepłym, co było na wyciągnięcie ręki. Z innym sposobem życia. Dzięki temu mógł być blisko Thierry'ego, Kitty i Isabel, słyszeć jej beztronski śmiech, gdy szła o świcie do lasu, słyszeć ją pogrążoną w muzyce, obserwować mimowolne cienie niepokoju, które nigdy całkiem nie znikwały z jej twarzy. Gdyby był w innej sytuacji i miał inną przeszłość, mógłby zaproponować jej coś więcej niż jadalne chwasty i drewno na opał.

Byron zmusił się, by wstać z krzesła. Takie rozmyślenia wywoływały tylko przygnębienie. Pochodził po kotłowni i poskładał swoje rzeczy w stosy, zwinnie poruszając się w półmroku. Usłyszał, jak drzwi się otwierają i do środka wszedł Thierry, a za nim jego psiak. Chłopiec trzymał miskę z malinami i poziomkami, śmietaną i ciastkiem domowej roboty.

– Powiedziałeś mamie, że zjesz deser w ogrodzie, tak?

Thierry uśmiechnął się szeroko. Byron wpatrywał się w niego, w to łagodne, milczące dziecko, i nagle poczuł się winny z powodu tego, co musiał mu oznajmić.

– Chodź – zaprosił go, by wszedł dalej. – Nie zostawię cię przecież bez deseru. Zjemy go na spółkę.

Tego lata miała szczęście do pogody, myślał Byron, kiedy razem z Thierryem grali potem w karty, jednocześnie próbując powstrzymać szczeniaka przed podkradaniem ich ze skrzyni, która służyła im za stół. Byron wciąż czuł w ustach smak owoców. Może Isabel miała smykałkę do uprawy roślin. Niektórzy ludzie tak mają.

– Wojna! – oznajmił.

Thierry wciąż nie mówił tego na głos, tylko sygnalizował to chrząknięciem i uderzeniem ręką w skrzynię. Po swojej wygranej Byron zebrał karty, uśmiechając się w odpowiedzi na ponurą minę chłopca. Od przeprowadzki Thierry urósł, a jego smutną bladość zastąpiły piegi,

uśmiech i promienna twarz. Ale skoro od żaloby przeszedł do radości, która aż od niego biła, gdy wychodził do lasu lub bawił się z psem, dlaczego nadal nie mówił?

Byron odkaslnął i przełknął ślinę. A potem rozdał nowe karty.

– Muszę ci coś powiedzieć, Thierry – zaczął, nie patrząc na niego. – Planuję... planuję się przeprowadzić.

Głowa chłopca gwałtownie się uniosła.

– Tutaj nie ma dla mnie pracy – tłumaczył Byron łagodnym głosem – ani odpowiedniego mieszkania, więc muszę się spakować i przenieść gdzie indziej.

Thierry nie spuszczał z niego wzroku.

– Nie wyjeżdżałbym stąd, gdybym nie musiał. Ale na tym polega bycie dorosłym. Człowiek musi mieć pracę i dach nad głową.

Chłopiec wskazał palcem do góry.

– Nie mogę się tu wiecznie ukrywać. Muszę znaleźć normalny dom, i to zanim nadejdą chłody.

Dzieciak starał się tego po sobie nie pokazać, ale Byron widział, że jest załamany tak samo jak on sam.

– Przykro mi, Thierry. Bardzo lubię twoje towarzystwo. – Zdążył się mocno zżyć z chłopcem, lubił patrzeć, jak dzieciak wspina się na drzewa, biega z psami albo ze skupieniem malującym się na twarzy sprawdza, czy smardze nie są robaczywe. Byron czuł gulę w gardle i cieszył się, że w kotłowni było na tyle ciemno, że jego twarz pozostała niewidoczna. – Przykro mi – powtórzył.

Szukając wymówki, by się odwrócić, pogłaskał po głowie Meg, która siedziała za jego plecami. Wtedy Thierry wstał, usiadł obok Byrona i oparł głowę na jego ramieniu. Siedzieli tak przez kilka chwil. Muzyka grana przez Isabel osiągnęła crescendo, a potem umilkła. Słyszał te same nuty powtarzane na nowo, jak gdyby pytająco.

– Podam ci swój adres, gdy już się przeprowadzę – powiedział cicho Byron. – Napiszę do ciebie list, jeśli chcesz. Będziesz mógł mnie odwiedzać.

Chłopiec się nie poruszył.

– Nie tracisz mnie, wiesz przecież. Ty masz Peppera, a ja mam jego mamę, więc będziemy w ten sposób połączeni. I zawsze jest telefon.

Telefon, no tak. W przypadku Thierry'ego bezużyteczne urządzenie. Byron spojrzął na czuprynę ciemnych włosów. Odczekał kilka chwil.

– Dlaczego właściwie nic nie mówisz, Thierry? Wiem, że potrafisz. Co tak trudno jest ci powiedzieć? – Byron nie był w stanie zobaczyć jego twarzy, ale coś w reakcji malca, który zastygł w bezruchu, dało mu do myślenia. Głos uwiązał mu w gardle, gdy pytał dalej: – Thierry, czy wydarzyło się coś złego?

Poczuł delikatne skinienie głowy na swoim ramieniu.

– Chodzi o coś innego niż to, co spotkało twojego tatę?

Kolejne skinienie.

– I nie chcesz o tym mówić.

Chłopiec pokręcił głową.

Byron odczekał chwilę, a potem powiedział cichym głosem:

– Wiesz, co robię, kiedy mnie przytrafi się coś złego? Mówię o tym Meg albo Elsie. – Gdy jego słowa wybrzmiały, dodał: – Psy to dobrzy towarzysze. Kiedy coś do nich mówisz, zawsze słuchają. Ale nigdy nikomu tego nie zdradzą. Może powiesz o tym Pepperowi, a ja będę tutaj siedział, ale nie będę słuchał?

Żadnej reakcji. Na zewnątrz głośno zatrzepotał skrzydłami spłoszony ptak.

– Spróbuj, Thierry. Kamień spadnie ci z serca. Zobaczysz.

Byron wpatrywał się w ścianę i czekał w milczeniu, aż wreszcie, kiedy już chciał się poddać, usłyszał niepewny szept. I drapanie pazurów szczeniaka, który wiercił się w ramionach chłopca. Kiedy Thierry umilkł, Byron zamknął oczy.

Ognistoczerwona kula słońca schowała się za drzewami, jego jaskrawe promienie przefiltrowane przez baldachim liści rzucały jedynie słabe refleksy. Isabel szła pod nimi, próbując utrzymać w głowie melodię i dotykając palcami niewidzialnych strun. Kiedyś muzyka płynęła przez jej umysł nieustannie, przerywana czasami nagabywaniem dzieci i rozmowami z mężem. Teraz była często zakłócana, rozproszona przez realia życia codziennego.

Dziś, tak jak zazwyczaj, chodziło o pieniądze. Nie przyszedł jeszcze ostatni rachunek od Matta, a jej kajecik oznajmiał, że miała do zapłacenia parę tysięcy za wynajem maszyn i nowe okna. Myślała, że sprzedaż skrzypiec zapewni jej i dzieciom poduszkę finansową, pozwoli ukończyć remont, ale wciąż było sporo do zrobienia, a teraz jeszcze Cartwright wspominał o podatku od zysków kapitałowych.

– Dlaczego mam płacić podatek od sprzedaży mojej własności? – spytała go, oburzona, kiedy poruszył ten temat przez telefon. – Ja jedynie próbuję przetrwać.

Nie potrafił na to odpowiedzieć. Sprzedała swoją biżuterię, wszystko z wyjątkiem obrączki. A mimo to jej oszczędności kurczyły się z tygodnia na tydzień.

– Brahms – powiedziała na głos. – Druga część. No dalej, skup się.

Tego wieczoru marne były na to szanse, ale odkryła, że spacer po lesie dobrze na nią działają. Nie chodziło tylko o nieustanny gwar panujący w domu: szum telewizora, odgłosy zabaw Thierry’ego ze szczeniakiem czy komórki Kitty. Prawdziwy hałas był cichy i o wiele bardziej inwazyjny. Dom nie stanowił już dla niej azylu: był źródłem nieustannych problemów, przypomnieniem o czekających ją obowiązkach, o pracy, za którą trzeba zapłacić.

Przystanąła, spoglądając między drzewami na jezioro. O tej porze dnia było ono najpiękniejsze, ostatnie promienie słońca tworzyły jasny szlak na wodzie, a ptaki prawie się nie odzywały, szykując się do snu. Myślała o tym, jakie ma opcje. Może poprosić o odroczenie płatności do czasu sprzedaży domu. Może zaciągnąć pożyczkę. Może zapłacić Mattowi z pozostałych oszczędności i mieć nadzieję, że jakoś przetrwają, dopóki ona nie znajdzie jakiejś konkretnej pracy. Isabel usiadła ciężko na pniu drzewa. Miała ochotę zwinąć się tu w kłębek i zapomnieć o wszystkim.

– Isabel?

Ujrzała pod słońce rosłą sylwetkę Byrona, czarną na tle drzew. Zerwała się na równe nogi, próbując nie pokazać po sobie, jak się wystraszyła. Ale on to dostrzegł.

– Nie słyszałam, że nadchodzisz – wyjaśniła. Nie była w stanie dostrzec jego twarzy.

– Wołałem cię.

– Nic się nie stało – powiedziała nienaturalnie pogodnym tonem.

Był taki szeroki w barkach, całe jego ciało emanowało siłą i solidnością. Teraz jednak nie mogła przestać myśleć o krzywdzie, jaką może wyrządzić ta siła, o kryjącym się w niej zagrożeniu. Odkąd kilka dni wcześniej Byron, jej nieśmiały towarzysz, opuścił jej dom, stał się dla niej obcy; słowa Matta zniszczyły jej wyobrażenie o tym człowieku.

– Właśnie wracałam do domu – dodała, siląc się na wesołość. – Chciałeś ode mnie czegoś? – Zorientowała się, że mimowolnie kieruje kroki w stronę jeziora, jak gdyby wyjście z ciemnego lasu na jasny brzeg dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy zobaczyła go z bliska, wydawał się bardziej zdenerwowany niż ona. To właśnie wtedy dostrzegła, że wyciąga w jej stronę dwa listy. Wzięła je od niego i zorientowała się, że pismo, którym były zaadresowane, jest dziwnie znajome. Obie koperty były otwarte.

– Nie czytałem ich – wyjaśnił Byron – ale Thierry owszem. Chodzi o to... on myśli... że mówienie nie jest bezpieczne.

– Słucham?

Isabel przeczytała pierwszych czternaście linijek nakreślonych pięknym pismem pełnym zawijasów. Wpatrywała się w słowa napisane przez nieznaną. Przez kobietę, która nie miała pojęcia, że Laurent zmarł, że wcale jej nie unikał. Przeczytała list ponownie, próbując zrozumieć jego treść, zmuszając się do uznania prawdy. To chyba jakiś żart, rzekła do siebie, i mało się nie roześmiała. A potem przeczytała go znowu.

To był list, który Kitty podsuwała jej kilka miesięcy temu, kiedy Cartwright wymusił na niej zajęcie się stosem korespondencji. Jeden z pierwszych listów, które otrzymała, zaledwie tydzień po śmierci Laurenta. Nie otworzyła go – tak jak i mnóstwa innych przez wiele miesięcy. Dlaczego Thierry go zabrał?

To nie mogła być prawda. Drugi list został przekierowany na ich adres domowy z biura Laurenta, a gdy Isabel przeczytała ponaglące słowa, jej serce – albo to, co z niego zostało – pogrążyło się w otchłani.

Nie, powiedziała w duchu. I muzyka ucichła. Została sama z ogłuszającą ciszą i swoją odmową uznania prawdy. Nie. Nie. Nie. Nie. Byron stał i ją obserwował. A do niej dotarło, że on wie, co zawierają te listy. Co powiedział o Thierryem? On myśli, że mówienie nie jest bezpieczne. Tu nie chodziło o jej męża. Chodziło o jej syna. I ból z powodu zdrady został wyparty przez inną emocję.

– On o tym wiedział? – zapytała drżącym głosem, wyciągając przed siebie list. – Thierry o tym wiedział? Dźwigał ten ciężar przez cały czas?

Byron pokiwał głową.

– Pierwszy list ta kobieta doręczyła osobiście. Rozpoznał ją. A potem zobaczył drugi na stosie korespondencji.

– Rozpoznał ją? O Boże. – Teraz wszystko nabierało sensu, a ją przytłoczyła nie tylko zdrada męża, ale i fakt, że sama nieświadomie zawiodła syna, który bał się mówić, bo wiedział zbyt wiele. I nic już nie zostało z rodziny mieszkającej kiedyś w przytulnym domu w Maida Vale. Bo nie było już wspomnień, niewinności, niczego, co dałoby się ocalić z tamtego wypadku. Isabel opadła z powrotem na pień drzewa. Nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, nikogo, kto mógłby tę sytuację naprostować. A ona nie mogła już nawet oplakiwać miłości męża, którego utraciła, ponieważ teraz wiedziała, że utraciła go już dawno temu.

– Isabel? Dobrze się czujesz? – Pytanie to zabrzmiało głupio, gdy już zawisło między nimi.

Thierry, pomyślała. Muszę iść do Thierry'ego. Podniosła się, drżąc lekko.

– Dziękuję – rzekła uprzejmie. Sama nie wiedziała, jak udało jej się zachować taki normalny ton. – Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Ruszyła energicznie w stronę domu, potykając się na nierównej drodze w zapadającym zmroku. Las wokół niej falował, był zamazany na krawędziach. Byron podbiegł do niej.

– Przepraszam... – zaczął.

Odwróciła się gwałtownie.

– Za co? Czy to ty spałeś z moim mężem? To ty prowadziłeś ciężarówkę, która go zabiła? Czy to ty zafundowałaś mojemu synowi traumę i to przez ciebie nie mówi? Nie. Więc się nie wygłupiaj. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Dostała zadyszki, sama słyszała, że jej głos jest piskliwy i nieprzyjemny.

– Przepraszam, że przyniosłem ci złe wieści – dokończył. – Pomyślałem tylko, że powinnaś o tym wiedzieć ze względu na Thierry'ego.

– Wielkie dzięki. – Potknęła się o przewrócony pień.

– Isabel, ja tylko...

– Kto jeszcze wie? Może powinienes podskoczyć do kuzynów i być pierwszym, który im to przekaże. I tak na pewno do rana będzie o tym wiedzieć cała wioska.

– Nikt inny nie wie.

Z tego miejsca widziała już dom. W środku był jej syn. Być może siedział na górze, pochłonięty grą komputerową. Jak mogłam tego nie zauważyć? Jak mogłam pozwolić, by tak cierpiał?

– Isabel. Zwolnij. Daj sobie chwilę, zanim z nim porozmawiasz.

Położył jej rękę na ramieniu, ale Isabel ją strząsnęła.

– Nie dotykaj mnie!

Cofnął się jak oparzony. Po krótkiej chwili ciszy odezwał się:

– Spaliłbym je, gdybym mógł. Chciałem tylko pomóc Thierry'emu.

– Nie musisz mu pomagać – odwarknęła. – Nie potrzebujemy pomocy, ani twojej, ani nikogo innego.

Przyjrzał się jej badawczo, a potem zacisnął szczękę i odszedł. Isabel odprowadziła go wzrokiem.

– Sama potrafię go ochronić! – krzyknęła za nim. Był jakieś kilkanaście metrów od niej, kiedy dodała jeszcze: – Potrafię ochronić ich oboje!

Nie zwolnił. Z jej piersi wydobył się potężny szloch.

– Dobrze – rzekła łamiącym się głosem. – Byron, powiedz mi dlaczego.

Zatrzymał się i odwrócił. Stała przy przewróconym dębie, za jej plecami majaczyło jezioro. Oparła ręce na biodrach, twarz miała całą zaczerwienioną.

– Dlaczego powiedział to wszystko tobie, a nie mnie? Dlaczego nie mógł mi się zwierzyć? Jestem jego matką, prawda? Może i mam sporo wad, ale zawsze go kochałam. Jestem wszystkim, co mu zostało. Dlaczego powiedział tobie, a nie mnie?

Zauważył cierpienie malujące się na jej twarzy, szok i smutek, które czały się pod złością. Wiedział, że zranione zwierzę rzuca się na każdego.

– Bał się – odparł.

Wyglądała, jakby to ją lekko podłamało. Podniosła oczy do nieba i zamknęła je na chwilę. Gdybym nie był tym, kim jes-tem, pomyślał nagle Byron, gdybym był jakimkolwiek innym człowiekiem na całym świecie, mógłbym do niej podejść i ją przytulić. Mógłbym zaoferować tej poranionej kobiecie odrobinę pocieszenia.

– Jego milczenie miało cię chronić.

Odczekał, aż się odwróciła i ruszyła w stronę domu, a potem poszedł spokojnie w kierunku drogi.

Nie spał, gdy weszła do jego pokoju. Nawet w przyćmionym świetle widziała, że oczy ma skierowane na nią. Podejrzewała, że na nią czekał. Musiał się domyślić, co usłyszała od Byrona. Ale gdy już się tu znalazła, nie była pewna, co ma mu powiedzieć. Nie była nawet pewna, czy w pełni pojęła znaczenie tego, czego się dowiedziała. Miała jednak świadomość, że musi zdjąć z syna to brzemię. Położyła mu rękę na głowie, na znajomych miękkich włosach.

– Wiem o wszystkim – wyszeptala – i to nic straszego. – Skupiła się na tym, by zachować spokój w głosie. – Ludzie... nie zawsze zachowują się tak, jak powinni, ale to nie ma znaczenia. Wciąż kocham twojego tatę i wiem, że on też mnie kochał.

Mała ręka wynurzyła się spod kołdry i ujęła jej dłoń, a ona pogłaskała ją po palcach.

– To, co widziałeś w tych listach, nie ma znaczenia, Thierry. Nie zmienia tego, jak bardzo kochaliśmy tatę, ani tego, jak bardzo on kochał nas. Nie musisz się o to martwić. – Zamknęła



oczy. – I chciałam ci powiedzieć coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Nie ma takiej rzeczy, która byłaby tak straszna, żebyś nie mógł mi o niej powiedzieć. Rozumiesz mnie, Thierry? Nie musisz dusić czegoś takiego w sobie. Po to masz mnie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Na zewnątrz było już zupełnie ciemno, a Isabel położyła się na łóżku obok syna. Gwiazdy za oknem wyglądały jak jasne punkciki na nocnym niebie, sugerujące, jak wielka jasność kryje się za nimi.

Jak słabą psychicznie była matką, skoro jej dzieci nie mogły na niej polegać? Jak krucha, pochłonięta sobą i samolubna musiała się wydawać, skoro oboje czuli, że powinni chronić ją?

– Możesz mi powiedzieć wszystko – dodała, teraz już niemal do siebie.

Szok i smutek tak ją znużyły, że zastanawiała się przez chwilę, czy po prostu nie usnąć tutaj. Przejście na górę wydawało się niemożliwe. Ciszę przerwał głos Thierry'ego.

– Powiedziałem mu... – wyszeptał. – Powiedziałem mu, że go nienawidzę.

Isabel momentalnie się ocknęła.

– To nie było nic złego – odparła po krótkiej chwili. – Mamy prawo mówić, co czujemy. Jestem pewna, że tata to rozumiał. Naprawdę...

– Nie.

– Thierry, kochanie, nie możesz...

– W dniu, kiedy ich zobaczyłem. Przed koncertem. Ona przyszła do naszego domu i zobaczyłem ich razem... Tata próbował udawać, że to nic takiego. Ale ja nie jestem głupi. I powiedziałem mu... Powiedziałem mu, że chciałbym, żeby umarł.

Zaczął szlochać w jej pierś, zaciskając swoje małe pięści na jej bluzce. Isabel zamknęła oczy, by odciąć się od ciemności, od tej otchłani, w której jej dziecko tkwiło przez wiele miesięcy, i przełykając szloch, który narastał jej w gardle, mocno je przytuliła.

Tego dnia wyszła z domu dwa razy, w tym raz po zieleninę do warzywnika, po którym przechadzała się z pochyloną głową i durszlakiem w ręce. Miała na sobie wyblakły podkoszulek i szorty, a włosy niedbale upięła dużą spinką, spod której wymykały się niesforne kosmyki. Od upału ubrania kleiły się do jej skóry. Przez cały dzień nad jeziorem wisiał skwar, spowalniając wszelki ruch i tłumiąc dźwięki, i tylko szept wiatru od czasu do czasu przynosił wytchnienie.

W lesie było nieco chłodniej, ale widziany między drzewami dom wydawał się drżeć od żaru. Wymienione dachówki lśniły, ale część tych sąsiadujących z nimi pokryta była mchem. Nowe deski na elewacji kontrastowały ze starymi. Z czasem miały zostać pomalowane na jeden kolor, ale już teraz znać tu było rękę fachowca. To miejsce będzie nie do poznania.

Matt McCarthy pracował przy tym domu według własnych planów architektonicznych i dlatego nie skąpił na niczym. Umiał docenić profesjonalną robotę, a przez lata nauczył się, że to, na czym próbowało się przyszczędzić – czy to tańsza armatura, czy podłoga po okazyjnej cenie – zawsze potem odbijało się czkawką. Jeśli człowiekowi zależało na pięknym wykonaniu, nie powinien żałować pieniędzy. A Matt pragnął, by jego dom był idealny.

Choć jego dobry gust i dbałość o szczegóły pochłonęły wszystkie oszczędności Isabel Delancey, nie uważał tego z początku za nic złego. To po prostu przyspieszało moment, w którym on będzie mógł wprowadzić do tego domu swoją rodzinę, a ona zabrać do Londynu swoją. Jeśli chodzi o rzeczy, o które go poprosiła, o te nieliczne zlecone przez nią zadania, wykonał je niedbale, wiedząc, że nie ma sensu skupiać się na czymś, co za parę miesięcy będzie musiał zrobić od nowa. Kiedy nie zrażała się wygórowanymi rachunkami, pozornymi zagrożeniami – czy to szczurami, czy przegniłą podłogą – wymyślał kolejne pilne prace, takie jak ściana do wyburzenia albo belki do wymiany. Sam się dziwił, że tak długo nie podważała jego decyzji.

Odpędził ręką brzęczącą muchę, która wleciała przez otwarte okno.

Po raz drugi tego dnia Isabel wyszła z domu krótko po obiedzie, przecierając oczy, jak gdyby dopiero co się obudziła. Matt miał zamiar podejść i porozmawiać z nią, ale zaraz za nią wybiegł jej syn w towarzystwie ujadającego psa. Pochyliła się i pocałowała chłopca, a Matt przypomniał sobie, jak jej usta poddały się jego ustom, jak jej ciało owinęło się wokół jego ciała.

Chyba przysnęło mu się na chwilę na rozłożonym siedzeniu furgonetki, gdy zamknął oczy, by dać im odpocząć. W nocy teraz kiepsko sypiał. Jego własny dom stał się dla niego miejscem nieprzyjaznym: prześladowały go w nim oskarżycielskie spojrzenia Laury, a gdy go o coś pytała, w jej tonie była gorzka uprzejmość. Wolał więc domu unikać. Podejrzewał, że jego żona wprowadziła się do pokoju gościnnego: drzwi były zamknięte, gdy niedawno wszedł na górę. Tak samo jak drzwi ich sypialni.

Ostatnie tygodnie były bardzo dziwne. W ciągu dnia z nieba lał się żar, przez co Matt budził się i zapadał w drzemkę o nietypowych godzinach, czuł się na przemian wyczerpany lub niemal maniakalnie pełen energii. Syn go unikał. Byron gdzieś zniknął. Matt zapomniał, że go zwolnił, i kiedy zadzwonił do niego z pytaniem, gdzie jest, był w szoku, gdy oschle mu o tym fakcie przypomniano. Wyjaśnienia, że to upał miesza mu w głowie, Byron nie skomentował. Matt perorował jeszcze przez jakiś czas, zanim dotarło do niego, że jego rozmówca się rozłączył.

Pojechał też do pubu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł porządny posiłek. Theresa na pewno coś dla niego przyrządzi, uśmiechnie się do niego przyjaźnie. Tymczasem ona oznajmiła, że już nie podają jedzenia, a po jego błaganiach zaproponowała mu suchą bułkę z szynką. Nie chciała z nim rozmawiać, nawet gdy zażartował z długości jej spódnicy. Stała przy zapleczu

z założonymi rękami, łypiąc na niego podejrzliwie, jak się patrzy na dzikiego psa. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że nikt w pubie z nim nie rozmawia.

– Czy wyrosła mi druga głowa? – spytał z irytacją, gdy miał już dość ich spojrzeń.

– Musisz poukładać sprawy w tej jednej, którą masz, stary. Zjedz tę bułkę i idź. Nie chcę tu problemów. – Właściciel pubu wziął gazetę z baru i zniknął na zapleczu.

Mike Todd podszedł do niego i ściszył głos, by nikt inny go nie dosłyszał.

– Lepiej wracaj do domu, Matt. – Poklepał go po plecach. W jego oczach było coś osobliwego, przypominającego litość. – Idź do domu i odpocznij sobie.

– To co, kiedy wpadniesz obejrzeć moją robotę? – zapytał, ale Mike jakby go nie słyszał.

– Idź do domu, Matt – powtórzył.

Łatwiej było po prostu siedzieć w samochodzie. Matt nie był pewien, jak dużo czasu tu spędził, ale na pewno trochę. Zapomniał naładować telefon komórkowy, lecz to nie miało znaczenia, bo i tak nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Wpatrując się w fasadę budynku, nie widział rusztowania z tyłu, kontenera pełnego śmieci, okna zasłoniętego plandeką; widział swój dom. Wielki dom, przywrócony do dawnej świetności, oraz siebie przechadzającego się po trawniku i zmierającego w stronę jeziora. Pamiętał, że jako chłopiec siedział w tym samym miejscu na rowerze, poprzysięgając zemstę. Jego ojca oskarżono o kradzież dwóch zapasowych kół z zabytkowych aut, a gdy odnaleziono je w warsztacie, Pottisworthowie – albo ze wstydu, albo z lenistwa – nie wycofali zarzutów, mimo że George McCarthy miał za sobą prawie piętnaście lat wzorowej pracy. Skutkiem tego Matta i jego siostrę przeniesiono z domku na terenie posiadłości do mieszkania komunalnego w Little Barton, a niefrasobliwość Pottisworthów splamiła nazwisko ich rodziny. Wtedy obiecał sobie, że ten dom kiedyś będzie jego. Chciał zetrzeć drwiący uśmiešek z twarzy starego właściciela. I pokazać rodzinie Laury – która spoglądała na jego buty i sposób, w jaki trzymał sztuce, z wyższością i niesmakiem – na co go stać.

Pragnął przejąć go dla McCarthy'ch. Udowodnić wszystkim dookoła, że liczy się nie to, skąd człowiek pochodzi, ale co może osiągnąć. Odbudować ten dom i reputację swojej rodziny.

Myślał, że to będzie dziecinnie proste: wyeliminować tę intruzkę, wdowę, która stanęła mu na drodze. Ale okazało się, że wdową tą była Isabel, kobieta pełna życia, która napelniła jego głowę muzyką, a w tamtą wietrzną wczesnoletnią noc uświadomiła mu, jak nudna, szara i pusta była jego egzystencja. Isabel, która krążyła eterycznie między drzewami, której biodra kołysały się w rytm muzyki, która patrzyła na niego wyzywająco tymi skośnymi oczami i uzmysłowiła mu, czego potrzebuje i czego brakowało mu przez cały czas, kiedy był pochłonięty swoją przyziemną pracą. Jedyna kobieta, która kiedykolwiek stanowiła dla niego wyzwanie. Wciąż pragnął tego domu – i wiedział, że kiedyś będzie jego. Ale to mu już nie wystarczało.

Matt McCarthy zamknął i otworzył oczy, próbując uspokoić hałaśliwe myśli. Przełączał przyciski w samochodowym odtwarzaczu, aż rozbrzmiała *Muzyka na wodzie* Haendla. Podkreślił dźwięk, a gdy smyczki zaczęły koić jego nerwy, wyjął ze schowka notes i zaczął metodycznie spisywać listę wszystkich prac, które musiał jeszcze wykonać, od uszczelnienia rur po zamontowanie ostatniego okna. Pamiętał każdy wbity gwóźdź, każdy położony kawałek sztukaterii. Nikt nie znał tego miejsca lepiej niż on. Siedział i pisał, nie zwracając uwagi na pociemniałe kartki, które lądowały u jego stóp, gdy słońce zachodziło za dom jego marzeń.

Przez trzy dni i dwie noce Isabel nie spała. Leżała tylko, prowadząc milion niemych kłótni ze swoim zmarłym mężem. Wściekała się na niego za jego niewierność, strofowała siebie samą za częstą nieobecność w domu, która mogła go popchnąć w obce ramiona. Odtwarzała w myślach spotkania rodzinne, święta, swoje wyjazdy, wstawiając tę kobietę w ich wspomnienia. Zwiększone wydatki, częstsze podróże służbowe Laurenta w zeszłym roku: to wszystko

zaczynało mieć sens i łączyło się w koszmarną układankę. Nic nie należało już do niej, nic nie było tylko ich. Jego romans zniszczył wszystko. A ona nienawidziła siebie za to, że skupiona na sobie, nawet nie zauważyła, co się dzieje, że była zbyt zadufana w sobie, by pomyśleć o sprawdzeniu kont bankowych i wyciągów z kart kredytowych.

O północy wrzuciła obrączkę do jeziora; nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, gdy nie usłyszała plusku. Ale przede wszystkim opłakiwała to, co zrobił, nieumyślnie, ich synowi. Przypomniała sobie, jak tamtego poranka przy śniadaniu Laurent ucałował Thierry'ego w czubek głowy i rzucił komentarz w stylu „jest już taki duży”. Czy była to jakaś zaszyfrowana wiadomość? A może ostrzeżenie skierowane do chłopca, żeby nic nie mówił? Czy utrzymanie niewierności w tajemnicy było dla Laurenta ważniejsze niż spokój ducha własnego syna? A może powiedział to po prostu, bo Thierry rzeczywiście wyrósł?

To, czego się dowiedziała, zniszczyło wszystko. W głowie jej się od tego kręciło.

Matt zjawił się rano dzień po tym, jak zdrada Laurenta wyszła na jaw, a kiedy usłyszała jego furgonetkę i pukanie do tylnych drzwi – nie trzymała już zapasowych kluczy pod wycieraczką – otworzyła mu i oznajmiła, że przyszedł nie w porę.

– Potrzebujesz działającej łazienki – rzekł wtedy. – Prosiłaś mnie o to od tygodni. Mam w samochodzie wszystko, co potrzebne.

Wyglądał okropnie. Miał kilkudniowy zarost na brodzie i brudny podkoszulek. Nie tak jak po pracy na budowie, ale pognieciony, poszarzały, jakby w nim spał.

– Nie – odparła. – To nie jest odpowiednia pora.

– Ale mówiłaś, że chcesz...

– Korzystamy z blaszanej wanny od miesiący. Możemy wytrzymać jeszcze trochę, prawda? – I zamknęła mu drzwi przed nosem, nie przejmując się tym, że to nieuprzejme ani że Kitty będzie znowu jęczeć, że żyją jak jaskiniowcy. Nienawidziła Matta za to, że jest mężczyzną. Oraz za to, że się z nią przespał, mając żonę, i że nie miał na tyle godności, by choć udawać, że jest mu przykro z tego powodu. Skrzywiła się, gdy pomyślała, jak bardzo jest dwulicowa. Czy nie zrobiła Laurze tego, co jej samej sprawiło tyle bólu?

Nikt inny do niej nie przychodził. Zignorowała kilka tele-fonów. Na zewnątrz udawała, że wszystko jest w porządku. Gotowała, zachwycała się pisklakami i z uwagą wysłuchiwała relacji Kitty i Anthony'ego z ich wizyty w szpitalu, gdzie odwiedzili Asada wracającego do zdrowia po ataku astmy. Głos Thierry'ego sprawiał jej ogromną satysfakcję. Z początku jej syn był nieśmiały, ale poprosił o śniadanie, zamiast w milczeniu przygotować sobie płatki, zawołał na szczeniaka, a później tego samego popołudnia słyszała, jak śmiał się z psa, który gonił królika w pobliżu jeziora.

Cieszyła się, że dzieci nie chcą już wracać do Londynu: dom w Maida Vale w ciągu nocy zmienił się z utraconej idylli i przytulnego gniazda w siedlisko kłamstw i sekretów.

Kiedy dzieci spały, Isabel, nie będąc w stanie grać, spacerowała po swoim niewykończonym domu przy akompaniamencie brzęku komarów, które dostawały się do środka przez nieszczelne okna, oraz odgłosów nocnych stworzeń harcujących pod podłogą lub pod okapem. Nie widziała już gołego tynku. Te odrapane ściany nie sprawiały wcale, że miejsce to było domem w większym lub mniejszym stopniu niż rzekomy azyl w Londynie. Nie chodziło o wystrój, kanapy i fotele czy liczbę brakujących desek podłogowych. Nie chodziło o pieniądze czy bezpieczeństwo.

Nie była już pewna, co sprawia, że jakieś miejsce można nazywać domem. Nie licząc tych dwóch istot śpiących spokojnie na górze.

Czosnaczek popsolity. Rzeżucha włochata. Macierzanka pias-kowa i pieprzniki. Byron obszedł skraj lasu na styku starodrzewu i pastwisk, dogładanych od lat przez kolejnych

farmerów, i w półmroku w miejscach, które znał od dziecka, zebrał dla siebie kolację. Stracił na wadze, ale podejrzewał, że wynikało to nie tyle z jakości pożywienia, ile z braku apetytu.

Ostatnie doby spędził tak, że w dzień się zaszywał i przesypiał upał, a w nocy błakał się po lasach, próbując obmyślić, co dalej.

Isabel nabrała wobec niego ostrożności. To było oczywiste. Widział, jak podskoczyła, gdy niespodziewanie ujrzała go w lesie, widział to w jej uśmiechu, zbyt szerokim, zbyt pogodnym. Słyszał to w jej zdecydowanym powitaniu, jakby nie chciała mu pokazać, jak bardzo się boi. Znał tę reakcję: widział ją u tych ludzi ze wsi, którzy znali go ze słyszenia, a nie osobiście.

Kiedy Byron pomyślał, że Isabel się go boi, że jej rodzina ma go za człowieka, który mógłby im zrobić krzywdę, czuł, jakby spowijał go ciężki całun.

Wiedział, że pozostanie tutaj nie miało sensu. Jego przeszłość, bez względu na to, jak niesprawiedliwą była etykietką, będzie się za nim wlokła jak paskudny zapach, dopóki będą tu mieszkać ludzie tacy jak Matt. A ponieważ powierzchnia lasów się kurczyła na skutek wycinki pod nowe osiedla mieszkaniowe, fabryki, magazyny i grunty orne, niewielu ludzi w okolicy mogło mu zaoferować pracę. Na takich jak on czekało wykładanie towaru na półkach, posada ochroniarza lub kierowcy. Byron czuł, jak coś w nim umiera, gdy czytał ogłoszenia i wyobrażał sobie siebie na betonowym parkingu oraz przełożonego, który płaci mu niechętnie minimalną stawkę i mówi, kiedy może sobie zrobić piętnastominutową przerwę.

Niepotrzebnie stawiałem się Mattowi, rzekł do siebie po raz setny. Trzeba było trzymać gębę na kłódkę. Ale w głębi duszy wiedział, że tego nie żałuje.

– Słucham?

Na górze listu umieściła część swojego adresu: Beaufort House 32, Witchtree Gardens. Dziwna rzecz jak na kochankę, pomyślała Isabel. Żeby być aż tak konkretnym. Jakby mógł cię pomylić z kimś innym.

Po dwóch dniach od otrzymania tych listów Isabel zadzwoniła do informacji telefonicznej i dowiedziała się, że pod tym adresem mieszka tylko jedna Karen. Karen Traynor, niszczycielka małżeństw i wspomnień. Kto by pomyślał, że dwanaście liter może mieć tak wielki wpływ na życie tylu ludzi? Isabel wyobrażała ją sobie jako osobę wysoką, o jasnej karnacji, wysportowaną, może przed trzydziestką. Pewnie nosiła nieskazitelny makijaż, jak to bezdzietne kobiety, które miały czas na obsesyjne skupianie się na sobie. Czy zajmowała się muzyką? A może Laurenta cieszyło towarzystwo kogoś, kto nie był ciągle nieobecny myślami?

Nie wiedziała, co jej powie, choć przeciwczyła w głowie setki słownych starć, tysiące trafnych ripost. Podejrzewała, że może na tę kobietę nakrzyczeć. Zażądać informacji, gdzie podziały się ich wszystkie pieniądze. Gdzie Laurent ją zabierał? W ilu byli hotelach, na ilu wycieczkach w Paryżu, na ilu drogich kolacjach, kiedy Isabel myślała, że jej mąż jest w podróży służbowej? Chciała pokazać tej kobiecie, co zrobiła, wyjaśnić jej, że w przeciwieństwie do tego, co Laurent mógł jej powiedzieć (no właśnie, co właściwie jej powiedział?), była intruzem w małżeństwie wciąż pełnym namiętności, pełnym życia. Wyprowadzi z błędu tę bezmyślną egoistyczną dziewczynę. Zmusi ją do przejrzenia na oczy.

Wtedy właśnie dzwonienie w słuchawce ustało i rozległ się w niej głos kobiety – z dobrą dykcją, niewyróżniający się niczym specjalnym, przypuszczalnie podobnej do niej:

– Słucham? – I po chwili raz jeszcze: – Słucham?

A Isabel, osoba, której życie wydawało się puste, o ile jej głowa nie była pełna niezwykłych dźwięków, stwierdziła, że słyszy w niej tylko ciszę.

\*

Po trzech dniach upałów pogoda się załamała. Niebo pociemniało gwałtownie, rozległy się grzmoty przypominające dudnienie kotłów przed wielkim finałem, a potem po niebie zaczęły się przetaczać ciemne chmury i rozpętała się ulewna burza. Zwierzęta zaczęły szukać w ziemi schronienia, bulgoczące strumienie wody spływały w kierunku rowów.

Byron siedział w kotłowni i nasłuchiwał: najpierw okrzyków Isabel i Kitty, które z piskiem pobiegły zebrać pranie ze sznurka, a potem Thierry'ego, który przechodząc obok jego kryjówki, nucił pod nosem: „Pada deszczyk, kap, kap, kap, a ty, dziadku, dalej chrap”. Bez troski śpiew chłopca wywołał uśmiech na jego twarzy. Psy podniosły się czujnie, ich oczy biegały od drzwi do Byrona – czekały na jakikolwiek sygnał od swojego pana, że i one mogą wybiec na zewnątrz, ale gdy podniósł rękę, usiadły potulnie ze skomleniem.

– Dziadek wstał, łupnął się w głowę i ból głowy już gotowy – śpiewał dalej Thierry.

Gdy kroki umilkły, Byron powoli się podniósł i spakował swoje rzeczy do dwóch toreb. Zamierzał, jak tylko deszcz zelżeje, podejść do miejsca, gdzie zostawił samochód, i odjechać.

W środku trzasnęły drzwi i dom wypełniła muzyka: dramatyczna, orkiestrowa, którą słyszał już wcześniej. Dobiegł go błagalny głos Kitty: „O nie, tylko nie to”, potem dźwięk stał się cichszy, bo ktoś zamknął pokój. Byron słyszał tylko wirujące skrzypce i coraz bardziej gorączkowe głosy.

Wyciągnął długopis, napisał krótki liścik, złożył go starannie i położył na bojlerze. Pomieszczenie pogrążało się w coraz większej ciemności, a on siedział i czekał.

\*

– Nicholas?

– Dostałaś je? – Wiedział, że to ona.

– Są piękne – rzekła miękko. – Absolutnie przepiękne. Przyszły tuż przed podwieczorkiem.

– Martwiłem się trochę. Pomyślałem, że on może się dopytywać, od kogo to. Ale mówiłaś...

– Nie ma go tu. Nie mam pojęcia, dokąd jeździ, ale rzadko bywa w domu. – Nie powiedziała mu, że widziała samochód męża zaparkowany w lesie, kiedy wyszła na spacer z psem. Dlaczego nie zaparkował przed domem wdowy? Byłoby w tym mniej zakłamania.

– Chciałem wysłać róże, ale uznałem, że będą zbyt oczywiste.

– Większość róż i tak teraz nie pachnie.

– Kwiaciarka zaproponowała lilie. Tylko czy ich zapach nie jest zbyt przytłaczający?

I czy nie kojarzą się z pogrzebem?

Chciał jej pokazać, ile wysiłku włożył w kupienie dla niej kwiatów. Wzruszyło ją to.

– Piwonie to moje ulubione – odparła. – Jesteś taki domyślny.

– Tak podejrzewałem. Chciałem, byś wiedziała... że myślę o tobie cały czas. Nie chcę na ciebie naciskać, ale...

– Podejmę decyzję, Nicholasie.

– Wiem...

– Tyle że wszystko dzieje się naprawdę szybko. Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Usiadła na łóżku i wpatrywała się w lewą rękę, na wysadzany diamentami pierścionek, który jej matka uznała za pospolity. Co by powiedziała, wiedząc, że jej córka zdradza męża?

– To skomplikowane. Z powodu Anthony'ego i nie tylko.

– Możesz się zastanawiać tak długo, jak tylko potrzebujesz.

Pragnęła, by był teraz przy niej. Jej śmiałość wzrastała w jego towarzystwie, kiedy brał ją za rękę i mogła widzieć jego szczerą twarz. Gdy była sama, czuła się nieszczęśliwa, zwłaszcza

pod nieobecność Matta, a wyobraźnia nie dawała jej spokoju. Czy on był teraz w tamtym domu? Śmiał się z niej? Kochał się z tamtą kobietą?

Ledwo mogła się pokazać we wsi. Sklep kuzynów był wciąż zamknięty. Od kłótni Matta z Asadem ludzie unikali jej wzroku, jak gdyby była współwinna. Nie mogła się spotkać z przyjaciółkami: nie była gotowa, by powiedzieć komukolwiek prawdę o tym, co się dzieje w jej małżeństwie. A właściwie: co już się wydarzyło. Znała tę wieś na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej życie jeszcze długo będzie tematem plotek.

Nieoczekiwana łza spadła jej na spodnie, zostawiając ciemną plamę, która zaczęła się powiększać.

– Czy nasze spotkanie we wtorek jest aktualne?

– Och, Nicholasie – powiedziała, wycierając twarz. – Czy naprawdę musisz o to pytać?

To był pierwszy raz, kiedy padał deszcz i nic nie przeciekało, a Isabel, dla której takie rzeczy nie były już oczywistością, uznała to za mały cud. Może jednak Matt na coś się przydał. Burza oczyściła atmosferę, przynosząc zmianę perspektywy, dzięki czemu Isabel na chwilę mogła zapomnieć o rachunkach, o zdradzie, o Laurencie, a zamiast tego delektować się szaleństwem dzieci piszczących w strugach ulewy i deszczem na skórze po wielu dniach lepkiego upału. Tego wieczoru przysłuchiwała się trajkotaniu Kitty i Thierry'ego i nie narzekała, gdy rzucali w siebie mokrymi skarpetkami, prowokując szczekanie psa. Po południu zasnęła na swoim nieposłanym łóżku, a obudziła się spokojna i chłodna, jakby minęła jej gorączka. Burza wszystkim przyniosła ulgę.

Poszła do pokoju Thierry'ego. Leżał już w łóżku, a pies na kołdrze. Nie zamierzała go za to lajać: jeśli jej syn był dzięki temu szczęśliwy, kilka odcisków psich łap nie było za to wysoką ceną. Gdy zasuwiała zasłony, dobiegł ją odległy grzmot pioruna, a niebo rozświetliło dziwnym niebieskim światłem – burza przesuwiała się na wschód. Potem Isabel pochyliła się, by pocałować Thierry'ego na dobranoc, a ten zarzucił jej ręce na szyję.

– Kocham cię, mamo – powiedział i słowa te zabrzmiały dla niej jak muzyka.

– Ja też cię kocham, Thierry.

– I kocham Peppera – dodał.

– O, ja też – rzekła stanowczo.

– Szkoda, że Byron wyjeżdża.

– A dokąd wyjeżdża? – Tuliła go teraz, jednym okiem zerkając na mapę nieba, która zasłaniała dziurę w ścianie. Kolejne niedokończone zadanie.

– Nie ma gdzie mieszkać. Musi się przenieść, żeby znaleźć nową pracę.

Wspominała ze wstydem, jak wściekła się na Byrona. Pamiętała listy w swojej dłoni, zapach ciepłego spróchniałego drewna unoszący się z przewróconego pnia. I okropny zalew adrenaliny, który towarzyszył bolesnemu odkryciu. Była tak wściekła, że nie miała nawet pewności, co mu wtedy powiedziała.

– Możesz dać mu pracę? Mógłby się opiekować naszą ziemią.

Isabel znowu go pocałowała.

– Och, kochanie, gdybyśmy mieli pieniądze... – Poszłabym do niego i go przeprosiła, pomyślała. Nie chciała, by Byron wyjeżdżał w takich okolicznościach. A już tym bardziej biorąc pod uwagę, ile zrobił dla niej i dla Thierry'ego. „Nie potrzebujemy twojej pomocy”, warknęła wtedy na niego.

– Porozmawiam z nim. Gdzie teraz mieszka?

Niektóre chwile ciszy mają większy ciężar od innych. Thierry spojrzał na nią, jak gdyby coś oceniał, a ona uświadomiła sobie z lekkim szokiem, że jej syn ukrywał przed nią nie tylko jedną tajemnicę.

– Thierry, pamiętasz, co ci mówiłam? Możesz mi powiedzieć wszystko. Nie bój się. – Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni, starając się ukryć niepokój w głosie.

Krótką chwilą zawahania. Lekki nacisk na jej dłoń.

– W kotłowni – odparł Thierry.

Isabel zeszła cicho po schodach, jej bose stopy z pluskiem stąpały po mokrych płytkach. Zorientowała się, że nie ma butów, dopiero wtedy, kiedy poczuła pod stopami żwir – tak była zszokowana tym, co usłyszała od Thierry’ego. Ale teraz nie miało to już znaczenia. Na zewnątrz było niemal całkiem ciemno, wciąż siał lekki deszczyk, choć burza już dawno minęła. Isabel obeszła dom, chowając głowę, by nie uderzyć w rusztowania, i ostrożnie stawiając stopy w miejscach, gdzie wśród kamieni wciąż mogły być odłamki szkła. W końcu dotarła do schodów prowadzących do kotłowni. Nigdy nie pomyślała, żeby sprawdzić, co tam jest.

Kiedy zobaczyła cienką smugę światła, lekko się zawahała. A potem usłyszała warczenie psa. Drzwi skrzypnęły, kiedy je otworzyła, i na początku nie była w stanie dostrzec niczego, choć jej uszy, wyczulone na dźwięk, zarejestrowały poruszenie.

Serce jej waliło. Wtedy zza chmur wyszedł księżyc i rzucił trochę światła na mężczyznę w kącie pomieszczenia. Odczekała chwilę, a gdy jej wzrok przystosował się do ciemności, ujrziała kształty psów obok jego nóg.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – spytała.

– Od paru miesięcy – odpowiedział z ciemnego kąta. A kiedy ona przetrawiała jego słowa, dodał: – Przepraszam. Zniknę o świcie. Mam kilka opcji w... – Urwał, jak gdyby nie był w stanie przekonać nawet siebie.

Z zewnątrz dobiegał delikatny szmer deszczu wśród drzew i odległy szum, gdy woda z pól spływała do rowów. Isabel czuła zapach mokrej ziemi, ciepło rozsiewało woń wilgoci w stojącym powietrzu. Przez cały ten czas był tutaj, pod nami, pomyślała.

– Wiem, jak to wygląda... Potrzebowałem dachu nad głową.

– Dlaczego mnie nie spytałeś? Dlaczego się nie przyznałeś, że nie masz gdzie się podziąć?

– Przez to, co powiedział Matt. Nie chcę, byś myślała, że byłem tu, na dole, i... Chryste. Posłuchaj, Isabel... przepraszam.

Zostawiła otwarte drzwi i weszła do kotłowni mieszczącej się pod jej domem. Nie czuła niepokoju, ale niespodziewane ukojenie, że przez te ostatnie dni zamętu nie była sama.

– Nie trzeba. Nie powinnam była słuchać Matta. To, co powiedział, było bez znaczenia. – Pokręciła głową.

– *A propos* Matta... muszę z tobą o nim porozmawiać – rzekł Byron.

– Nie – odparła stanowczo. – Nie chcę o nim mówić.

– Wobec tego muszę ci powiedzieć coś o sobie. Nie jestem agresywnym człowiekiem. Tamten mężczyzna, ten, o którym wspomniał Matt, bił moją siostrę. Nie pisnęła mi o tym ani słowem, ale Lily, moja siostrzenica, owszem. A kiedy on się dowiedział, że Lily mi o tym doniosła, uderzył i ją. – I dodał twardym głosem: – Miała wtedy cztery lata.

– Byron, wystarczy. – Isabel się skrzywiła. – Wcale nie musisz...

– Ale to był wypadek. Naprawdę. – W jego głosie wyraźnie słychać było cierpienie. – Straciłem wszystko. Dom. Przyszłość. Reputację.

Przypomniało jej się, co kiedyś jej powiedział.

– Nie mogłeś już uczyć.

– Nigdy wcześniej nikogo nie uderzyłem. W całym swoim życiu. – Jego głos zniżył się do szeptu. – Po czymś takim nic już nie jest jak dawniej, Isabel. Nic. Nie chodzi tylko o wyrzuty sumienia. Chodzi o obraz wszystkiego. O obraz samego siebie. – Umilkł na chwilę. – Człowiek



zaczyna postrzegać siebie tak, jak postrzegają go inni ludzie.

Isabel wpatrywała się w niego intensywnie.

– Ja nie patrzę na ciebie tak jak inni ludzie – powiedziała.

Stali w ciemności, żadne z nich nie widziało wyraźnie drugiego. Dwa kształty. Dwa cienie. Przez całe miesiące Isabel widziała Laurenta wszędzie, w każdym mężczyźnie. Widziała zarys jego ramion w nieznanym, słyszała jego śmiech w tłumie na ulicy. Szeptała do niego w snach i płakała, gdy nie mogła go przywołać. W przyпадку szaleństwa ujrzała go w Matcie. Teraz wreszcie wiedziała, że odszedł na zawsze. Towarzyszyła jej świadomość, że czegoś jej brakuje, ale już nie poczucie straty. Laurent przestał istnieć. Ale kim był ten mężczyzna?

– Byron? – szepnęła i uniosła dłoń, niepewna, co właściwie chce zrobić. Co te palce w ogóle wiedziały? Muzyka, którą umiały wyczarować, była fałszem, ucieczką. Pokładała zaufanie w czymś, co okazało się iluzją. – Byron? – powtórzyła.

Wyciągnęła rękę i odnalazła jego palce, które zacisnęły się na jej dłoni. Skórę miał szorstką i ciepłą. Świat wokół wirował. Jej umysł skupiał się na wilgotnym powietrzu, zapachu wiesiołka, woni siarki przenikającej kotłownię. Pies skomlał, a Isabel wpatrywała się w ciemność, dopóki nie była pewna, że jego oczy wpatrują się w nią.

– Nie musisz tu mieszkać – wyszeptała. – Chodź na górę. Chodź i zostań z nami.

Byron uniósł rękę i powoli, delikatnie otarł kciukiem jej mokrą od deszczu twarz. Ona tymczasem nachyliła głowę, oparła ją na jego dłoni i przycisnęła ją do skóry swoją drugą ręką. Lecz gdy zrobiła krok do przodu, on wyszeptał:

– Isabel... Nie mogę...

Zalana wstydem na wspomnienie dotyku Matta i swojej własnej współwiny, Isabel odskoczyła od Byrona.

– Oczywiście – odparła natychmiast. – Przepraszam.

Odwróciła się, wparowała po schodach na górę i wybiegła na zewnątrz tak szybko, że nie zdążyła nawet usłyszeć jego wybąkanych przeprosin.

Jedenaście jajek, jedno wciąż ciepłe. Kitty przycisnęła je do policzka, otaczając dłonią delikatną skorupkę. Pięć wystarczy na śniadanie, a sześć zanieś do kuzynów. Asad miał dziś rano wrócić do pracy, a ona przez kilka ostatnich dni zdążyła dla niego odłożyć całe cztery pudełka.

– Będziecie mieć mało towaru – powiedziała mu dwa dni temu, kiedy siedziała przy jego łóżku. Za plecami miała pastelowe kwieciste zasłony.

– Wobec tego będziemy przyjmować klientów tylko na rozmowy, nie na zakupy – odparł Asad. Wciąż wyglądał na zmęczonego. Podczas upadku nabawił się siniaków pod oczami i przez nie jego twarz wyglądała na wymizerowaną. Henry burknął, że to dlatego, że dopiero parę dni temu zaczął się porządnie odżywiać.

Bała się, że żaden z nich nie odezwie się do niej, biorąc pod uwagę, jaki miała udział w strasznych wydarzeniach tamtego popołudnia, ale kiedy ich przeprosiła – z zakłopotanym Anthonym u boku – Asad ścisnął jej dłoń swoimi długimi, szorstkimi palcami i rzekł:

– Nie, to ty mi wybac, Kitty. Powinienem być ci się zwierzyć ze swoich podejrzeń już dawno temu. To była dla mnie cenna lekcja. I chyba dobrze, że w tym wieku wciąż się czegoś uczę.

– A ja się nauczyłem, że powinienem nosić ze sobą duży kij. I zapasowy inhalator. – Henry poprawił mu poduszkę. – Nie może teraz niczego podnosić. Tamten człowiek...

– Czy on wciąż pracuje przy waszym domu?

– Nie widziałam go.

– Nie mam pojęcia, gdzie się teraz podziewa – odparł Anthony. – Mama widziała go kilka dni temu, ale powiedziała, że nie był zbyt rozmowny.

– Nie wiem, jak może się pokazywać ludziom na oczy. – Henry jeszcze raz klepnął poduszkę, bardzo energicznie. – Chyba właśnie dlatego trzyma się od wszystkich z daleka. Możliwe, że twoja mama nie będzie musiała mu już nic więcej płacić.

Asad zerknął na Anthony'ego.

– Przykro mi, że musisz wysłuchiwać takich rzeczy o swoim ojcu.

– To dla mnie nic nowego. – Anthony wzruszył ramionami, jakby się tym nie przejmował.

Ale Kitty wiedziała, że Anthony to przeżywa, i później, kiedy wciąż siedzieli na plastikowych krzesłach dla gości, ścisnęła jego dłoń, by mu powiedzieć, że go rozumie.

Thierry wszedł do środka przez kuchenne drzwi i zerknął jej przez ramię, gdy układała jajka w pudełkach.

– Ile?

– Jedenaście. Byłoby dwanaście, ale jedno upuściłam.

– Wiem. Na schodach. Pepper je zjadł. Zgadnij, kto jest w sypialni?

Kitty ostrożnie zamknęła pudełka.

– W której?

– W tej dużej. W tej, którą Matt wykończył. – Uśmiechnął się szeroko. – Byron.

– Co takiego? Pracuje tam?

Thierry pokręcił głową.

– Nie. Śpi.

– Dlaczego mieszka w naszym domu?

Thierry zrobił dziwną minę.

– To tylko na chwilę – powiedział. – Dopóki się nie ogarnie.

Kitty od razu zaczęła kombinować. Czysz! Może wpadnie im trochę pieniędzy. Pomyślała o swojej imprezie urodzinowej, na którą zaprosiła Asada, Henry’ego i niemal pół wsi. Nie powiedziała jeszcze mamie, jak wiele osób ma przyjść.

Byron by się wtedy przydał – mógłby pomóc poprzesuwać ciężkie meble, wynieść część na zewnątrz. Jako że jadalnia wciąż wymagała renowacji, a prognoza pogody była pomyślna, Kitty z mamą zdecydowały, że najlepiej będzie urządzić imprezę w ogrodzie. Oczami wyobraźni już widziała trzepoczący na wietrze biały obrus zastawiony smakołykami i gości podziwiających widok na jezioro. Mogą nawet popływać. Powie swoim znajomym ze szkoły, żeby zabrali kostiumy kąpielowe. Kitty objęła się ramionami, nagle czując radość, że mieszka w tym dziwnym domu. Teraz, gdy było ciepło i świeciło słońce, chaos robót budowlanych, rusztowania i zakurzone podłogi jakoś przestały jej przeszkadzać. Gdyby nie brak możliwości porządnej kąpeli, mogłaby chyba tak mieszkać już zawsze. Odezwała się jej komórka.

– Kitty?

– Słucham.

– Tu Henry. Wybacz, moja droga, że dzwonię tak wcześnie, ale nie wiesz przypadkiem, gdzie znajdę Byrona? Mamy w sklepie kilka rzeczy do zrobienia, a jakoś ciężko nam o to prosić sama wiesz kogo.

Kitty usłyszała nad głową nieznanome kroki.

– Zabawne, ale tak się składa, że wiem.

Byron leżał w miękkim szerokim łóżku i wpatrywał się w nieskazitelnie biały sufit nad głową. Przez dwa miesiące po przebudzeniu witały go widok brudnej podłogi, syk i dudnienie bojlera. Gdy otworzył oczy tego ranka, powitały go cisza, światło wpadające przez odnowione okna, śpiew ptaków i dolatujący z dołu aromat kawy. Przeszedł bosy po wycyklinowanej podłodze i przeciągnął się przy oknie, podziwiając spektakularny widok na jezioro.

Psy leżały na dywanie, najwyraźniej nie miały ochoty wstawać. Kiedy się pochylił, by pogłaskać Meg po głowie, leniwie uderzyła ogonem.

Isabel przyprowadziła go tutaj poprzedniego wieczoru – widać było, że czuje się niezręcznie w jego towarzystwie po tej niedawnej chwili intymności.

– Ten pokój jest ukończony – powiedziała. – Pościelę ci łóżko.

– Sam mogę to zrobić. – Wziął od niej stos czystej pościeli i wzdygnął się, gdy ich dłonie się zetknęły.

– Po prostu... czuj się tu jak w domu – rzekła. – Wszystko jest do twojej dyspozycji. Wiesz, gdzie się znajdują różne rzeczy.

– Zapłacę ci. Kiedy tylko znajdę pracę.

– Daj spokój. Najpierw stań na nogi, potem możemy porozmawiać o pieniądzach. – Kiedy była zakłopotana, mocno mrugała. – Możesz nam pomagać przy posiłkach. I opiekować się Thierryem, kiedy wychodzę dawać lekcje. To wystarczy. – Uśmiechnęła się cierpko, nareszcie unosząc wzrok. – Akurat w tym domu zawsze jest coś do zrobienia.

Zachowywała się tak, jakby całkowicie mu ufała. Byron usiadł na łóżku, nie dowierzając swojemu szczęściu. Isabel miała wszelkie prawo, by go oskarżyć o wtargnięcie na swój teren albo nawet o coś gorszego. Każdy inny by tak zrobił.

Tymczasem ona otworzyła przed nim swój dom, zaprosiła go do swojego stołu, powierzyła mu swoje dzieci. Byron potarł się po karku i znowu przeciągnął. A potem, gdy spojrział na dzieło Matta, które miał przed oczami, przyszło mu do głowy pytanie, co zaszło między nimi dwojgiem, szybko jednak odpędził tę myśl. Isabel uwolniła go od brzemienia jego przeszłości. Mógł więc chociaż odwdzińczyć się jej tym samym.

Poza tym gdy myślał o nich razem, czuł w ciele nieprzyjemny ścisk. Świadomość, że Matt wykorzystał ją, tak jak wszystkich innych, przywołała emocje, które od dawna próbował stłumić. Ile krzywdy może bezkarnie wyrządzić jeden człowiek?

Gdy tak wpatrywał się w sufit, uderzyło go nagle nie tyle jego piękno, ile ogromna przepaść, jaka dzieliła ten dom i jego właścicielkę oraz jego własne życie. Wpuściła go tu, owszem, ale na chwilę. Może i mieszkał teraz w tym pokoju, ale do tego miejsca nie przynależał.

Jego ponure myśli przerwało pukanie. W drzwiach pojawiła się szeroko uśmiechnięta twarz Thierry'ego. Wyglądał, co Byron uświadomił sobie z niezwykłą przyjemnością, na uradowanego, że go tu zastał.

– Mama mówi, że śniadanie gotowe. – Otarł nos rękawem. – A Kitty, żebyś zadzwonił do kuzynów. Mają dla ciebie jakąś robotę.

Niczego nie zauważył. Laura poruszała się zwinnie po sypialni, sortując ubrania – na te, które weźmie, i te, które zostawi – i zastanawiała się, jak jej mąż mógł wrócić po prawie trzech dniach nieobecności, a potem zasnąć, jak gdyby nigdy nic. Wślizgnął się do domu krótko przed świtem, a ona, wyczulona na najmniejszy hałas, jako że teraz mieszkała praktycznie sama, od razu się obudziła. Może przyszedł, bo się domyślił. Była już gotowa na konfrontację. Ale on tylko wszedł na górę, minął drzwi jej sypialni i przez ścianę usłyszała, jak wczołgał się do łóżka w pokoju obok. Nie minęło kilka chwil, a zaczął chrapać.

I do tej pory się nie obudził. Choć było już prawie południe.

Laura podniosła garsonkę, którą w zeszłym roku założyła na czyjś ślub: pastelową, markową, szytą ze skosu. Klasyczny krój, nieodslaniający zbyt wiele, taki, w jakim Matt ją lubił. Wszystko robiła pod niego, pomyślała, nasłuchując ruchu w pokoju obok. Miał decydujący głos w kwestii jedzenia, jej ciuchów, edukacji Anthony'ego, wystroju domu. I niby dla kogo to wszystko? Dla kogoś, kto potrafił zniknąć na trzy dni, a potem wrócić i bezczelnie pójść spać, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Dla kogoś, kto potrafił przelecieć ich sąsiadkę tuż pod jej nosem i nie uważać tego za nic złego.

Podjęła właściwą decyzję. Powtarzała to sobie wiele razy, a kiedy zdarzało się, że traciła tę pewność, mówił jej to Nicholas. Nicholas, który zawsze odbierał jej telefony. Nicholas, który wydawał się wniebowzięty, że słyszy jej głos. Nicholas, który trzymał ją w ramionach i wymawiał jej imię, jak gdyby sam nie wierzył we własne szczęście.

Nicholas nigdy by jej nie zdradził. Nie był tego rodzaju facetem. Cieszył się szczęściem, które spotkało go po latach, była dla niego powodem do dumy i wdzięczności wobec losu. Dlaczego ty nie byłeś wdzięczny za to, że mnie masz? – za-pytała w duchu Matta, który spał za ścianą. Dlaczego nie mog-łam ci wystarczyć?

Pomyślała, ile razy przez te lata z powodu zachowania męża przenosiła się do pokoju dla gości – w ramach protestu z powodu jego nieobecności, jego bezmyślnych okrucieństw, jego niewierności. Zawsze w końcu ją odzyskiwał. Po prostu chodził za nią, wślizgiwał się pod jej kołdrę i kochał się z nią, dopóki znowu nie była jego. Jak gdyby tamto się nie liczyło. Jak gdyby nie miało znaczenia, w którym znajduje się łóżku.

Wyrzała przez okno na dom hiszpański, nagle czując do niego awersję za to, co im uczynił. Gdyby ta wdowa się tam nie wprowadziła... Gdyby Matt tak bardzo nie pragnął go mieć... Gdyby Samuel Pottisworth nie wykorzystywał jej tak całymi latami... Gdyby nie uwierzyła, że zamieszkanie tam magicznie rozwiąże wszystkie ich problemy...

Laura wetknęła weselną garsonkę z powrotem do szafy. Ale to właśnie ten dom sprowadził do mnie Nicholasa, przypomniała sobie. A budynek sam w sobie nie jest niczemu winien. Ludzie sami tworzą swoje przeznaczenie.

Zastanawiała się, kiedy Anthony wróci do domu. To on zasugerował, że powinna

zostawić Matta. A teraz ona wcielała jego pomysł w życie.

Isabel siedziała na końcu kuchennego stołu, obserwując Byrona i Thierry'ego, którzy przygotowywali królika zapiekanego w cieście. Byron kroił cebulę i łuskał bób, a Thierry ze znanstwem patroszył zwierzę. Za oknem widać było ogród skąpany w słońcu, z kredensu dobiegało szemranie radia. Od czasu do czasu delikatny wiatr unosił białe muślinowe zasłony, wpuszczając do środka muchę lub pszczołę, które wylatywały po kilku chwilach. Psy Byrona leżały obok kuchenki, delektując się jej ciepłem. Atmosfera była spokojna i sielankowa. Nawet Kitty podchodziła teraz z większym dystansem do kwestii oprawiania mięsa i na kuchennym blacie wycinała ciasteczka na swoje urodziny.

Byron wrócił pół godziny temu od kuzynów, gdzie montował dodatkowe zamki. Wszedł do kuchni obciążony dwiema ciężkimi torbami z jedzeniem.

– Nie chciałem brać od nich pieniędzy, ale powiedzieli, że większości z tych rzeczy wkrótce mija data ważności, więc lepiej, żebym je wziął, by się nie zmarnowały. – Postawił swoją zdobycz na kredensie z cichą satysfakcją łowcy.

– Ciastka czekoladowe! – wykrzyknął Thierry, zerkając do środka.

– Zaklepuję je na imprezę. O, i paluchy serowe też. Oliwa! Ryż na risotto! Chipsy! – Kitty rzuciła się na torby.

Kiedy Isabel sprawdziła daty na zupach w puszcze i paczkach ciastek z górnej półki, okazało się, że są zdatne do spożycia jeszcze przez kilka tygodni. Stwierdziła jednak, że na wymianie zyskali zarówno kuzyni, jak i Byron, więc ciesząc się z pełnej spiżarni, postanowiła zachować tę informację dla siebie.

– Hm... myślicie, że to wystarczy? Szkoda, że nie mamy więcej pieniędzy. Wtedy moglibyśmy podać łososia albo pieczonego prosiaka, albo coś w tym stylu. – Nagle Kitty zreflektowała się i zarumieniła. – Co ja mówię, przecież jest tego mnóstwo. Pewnie nawet tego nie przejemy. – Uśmiechnęła się do Isabel, a ta, wzruszona wrażliwością córki, odwzajemniła uśmiech, marząc o tym, by przygotować jej przyjęcie z okazji szesnastych urodzin, na które nie rzucałyby cienia brak pieniędzy. Teraz patrzyła na Kitty wałkującą ciasto, z włosami zaczesanymi za uszy i skórą zaróżowioną od czasu spędzonego na świeżym powietrzu. Nie zdradziła jej, czego się dowiedziała. Thierry również o tym nie wspominał. Postanowiła ochronić wspomnienia Kitty o ojcu. To był jej prezent urodzinowy dla córki.

Na drugim końcu odrapanego sosnowego stołu Byron z nis-ko pochyloną głową słuchał opowieści Thierry'ego o ostatnich wyczynach Peppera. Wyglądało na to, że zwierzak, kiedy był w lesie z Thierryem, nabywał umiejętności superpsa – potrafił wspinać się na drzewa, prześcigał zające i wyczuwał jelenie z odległości kilku kilometrów. Byron słuchał tych niewiarygodnych opowieści z życzliwym pomrukiem.

Przez chwilę poczuła ukłucie w sercu, patrząc na syna w towarzystwie Byrona, kiedy to jego ojciec powinien być przy chłopcu. Ale Thierry znowu się otworzył. Nie był już tym wycofanym dzieckiem, którym się stał po wypadku. Wiedziała, że to tylko powód do wdzięczności.

Kiedy od czasu do czasu zerknęła na Byrona, zmuszała się do skupienia na liczbach w swoim kajeciku z rachunkami. Delikatnie odrzucił jej impulsywne awanse. Pewnie opuści ich w ciągu kilku tygodni. Przeklinała siebie za swoje pożądanie. Był przyjacielem rodziny. Lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla dzieci, by nie patrzyła na niego w inny sposób.

Telefon zadzwonił w czasie lunchu. Siedzieli w ogrodzie zapadnięci w postrzępionych leżakach, które wygrzebali z jednej z szop i wyciągnęli na trawnik niedaleko rusztowania. Stary rozłożysty parasol oparli o składaną drabinkę, by dawał trochę cienia. Thierry, leżąc na trawie, czytał na głos dowcipy z książki dla dzieci, wywołując okazjonalne jęki zażenowania

u dorosłych, którzy popijali kordiał z czarnego bzu. Byron usłyszał telefon przez otwarte okno i zniknął w środku.

– Isabel? – Gdy wrócił, na jego twarzy malowało się powściągliwe zadowolenie. – Zaproponowano mi pracę niedaleko Brancaster. Trzeba tam przyciąć las. Człowiek, z którym pracowałem kilka lat temu, właśnie go kupił i chce, bym to ogarnął. – I dodał: – Dobrze płaci.

– Och. – Ta wiadomość wywołała w niej dziwną konsternację. – Jak daleko jest Brancaster? – Osłoniła oczy dłonią, próbując lepiej dojrzeć jego twarz.

– Parę godzin jazdy stąd. Ale on chce, żebym tam nocował. Uważa, że to zajmie dwa, trzy dni, od rana do wieczora. Jest tam co robić.

Isabel wysiliła się na uśmiech.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Od razu. Chce, żebym zaczął jak najszybciej.

Widziała, że myślami jest już tam. Dlaczego niby miałyby to budzić jej obawy?

– Czy mogę jechać z tobą? – Thierry się podniósł, zostawiając książkę na ziemi.

– Nie tym razem, Thierry.

– Musisz nam pomóc przy urodzinach – powiedziała Isabel. – Wrócisz na nie, Byron? Na urodziny Kitty? – spytała niby od niechcienia.

– Będę się starał, ale to zależy od ilości pracy. Kitty, dam ci listę rzeczy, które możesz zrobić na przyjęcie. Myślałem o sorbecie z dzikiego bzu. Z zamrażarką to nie będzie trudne.

Zaczął jej pisać instrukcje i wbrew sobie Isabel poczuła radość z jego powodu. Nie lubił być zdany na innych. Perspektywa zatrudnienia, bycia potrzebnym dodała mu skrzydeł.

– Dacie tu sobie radę sami? – Byron wręczył Kitty kartkę i spojrzał na Isabel.

– Jasne, nami się nie zajmuj.

– Aha, byłbym zapomniany. Zadzwoń do rady miejskiej. Wezwij kontrolę budowlaną. Są właśnie od sprawdzania takich rzeczy. Powinnaś wiedzieć, czy Matt zrobił wszystko jak trzeba.

Isabel się skrzywiła.

– Czy muszę myśleć o tym dzisiaj? Zawsze wszystko kręci się wokół domu. A tak miło jest posiedzieć w ogrodzie...

– Możesz mieć dzięki temu lepszą kartę przetargową, gdy będziesz rozmawiać z Mattem o pieniądzach. Albo może sam do nich zadzwonię po drodze, w twoim imieniu.

– Wobec tego przygotuję ci kanapki na drogę – powiedziała, wstając i otrzepując szorty. – I od razu coś na kolację.

Ale Byron już zmierzał w stronę domu.

– Nie trzeba – rzekł, wznosząc rękę na pożegnanie. – Zjem coś tam. Do zobaczenia!

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zszokowany.

Laura uśmiechała się niepewnie. Wybrała ten moment rozważnie, odczekała, aż usłyszy, że Matt wychodzi z domu, a Anthony skończy obiad. Zrobiła mu smażonego kurczaka, sałatkę ziemniaczaną, jego ulubioną, ale sama nie miała apetytu.

Oznajmiła mu to delikatnie, przedstawiła nie jako rzecz już postanowioną, ale jako możliwość. Szansę. Coś, dzięki czemu życie ich obojga stanie się lżejsze. Starła się nie epatować swoim szczęściem, bawiła się włosami, by ukryć rumieńce, kiedy wypowiedziała imię Nicholas.

Ale Anthony był wyraźnie zbulwersowany.

Kiedy milczenie się przedłużało i stało się krępujące, odezwała się znowu, poprawiając solniczkę i pieprzniczkę na stole.

– To przecież ty, Anthony, poddałeś mi ten pomysł. To ty namawiałeś mnie do odejścia, pamiętasz?

– Ale nie chodziło mi o to, żebyś go zostawiała dla kogoś innego.

Wyciągnęła do niego rękę, ale on się odsunął.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę... Przez cały ten czas, kiedy napieprzałaś na tatę, bzykałaś się z innym facetem.

– Nie używaj tego słowa, Anthony. Ono jest takie... brzydkie.

– Za to to, co robisz, jest ładne, tak?

– Sam to powiedziałaś, Anthony. Że powinnam go zostawić.

– Ale nie dla innego kolesia.

– To co wobec tego proponujesz? Żebym została sama do końca życia?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Więc to w porządku, kiedy on robi, co chce, ale kiedy ja mam szansę na prawdziwe szczęście, na dobry związek, jestem tą złą?

Syn unikał jej spojrzenia.

– Czy masz pojęcie, jak długo byłam samotna, Anthony? – mówiła dalej. – Nawet kiedy twój ojciec mieszkał pod tym dachem? Wiesz, ile razy mnie zdradzał? Ile razy musiałam przełykać upokorzenie, wiedząc, że może właśnie rozmawiam z kobietą, która się z nim przespała? – Jej poczucie krzywdy sprawiało, że mówiła rzeczy, których nie powinna mówić. Ale dlaczego to ją teraz wytyka się palcem?

Anthony przyciągnął swoje długie, chude nogi do piersi.

– Nie wiem – rzekł. – Po prostu... nie mogę tego ogarnąć.

Z korytarza dobiegło bicie zegara. Siedzieli naprzeciwko siebie przez kilka chwil, każde z nich ze wzrokiem wbitym w stół. Był porysowany, dostrzegła to, przebiegając palcem po jego powierzchni. Nie zauważyła tego wcześniej.

Wreszcie znowu wyciągnęła rękę. Tym razem syn pozwolił jej ująć swoją dłoń. Usta miał wykrzywione w ponurym grymasie.

– Chociaż go poznaj, Anthony – poprosiła miękkiem głosem. – To dobry, życzliwy człowiek. Daj mu szansę. Daj szansę mnie. Błagam.

– Więc mam go poznać, a potem zamieszkać z wami w waszym nowym domu, tak?

– Chyba rzeczywiście ... można to tak ująć...

Podniósł na nią wzrok, a w jego twarzy, w jego spojrzeniu, które nagle stało się lodowate, Laura po raz pierwszy ujrziała jego ojca.

– Jezu – westchnął. – Jesteś tak samo popaprana jak on.

Od czterdziestu pięciu minut próbowała grać Brucknera, ale teraz opuściła rękę. Nie była w stanie zaangażować w grę ani serca, ani umysłu. Kitty wyszła po otrzymaniu pilnej wiadomości od Anthony'ego, Thierry był w lesie, skąd od czasu do czasu dobiegał ją jego głos nawołujący psa. Byron wyjechał ponad godzinę temu.

Mieszkał w ich domu tylko przez jedną noc. Nie była pewna, dlaczego jego nieobecność wywoływała w niej tak sprzeczne uczucia.

Znowu umieściła skrzypce pod brodą i wsadziła do nich nawilżacz, który chronił przed pęknięciami. *Romantyczna*, tak nazywała się czwarta symfonia Brucknera. Sam kompozytor określał jej drugą część jako „rustykalną scenę miłosną”. Co za ironia. Isabel mało się nie roześmiała.

– Przestań – ofuknęła samą siebie. – Skup się.

Ale nie szło jej. Nie była w stanie wykrzesać ze swojej gry romantyzmu. To była wina nowych skrzypiec, których wciąż nie potrafiła pokochać. A może za mało ćwiczyła. Usiadła przy pustym stole kuchennym i wyjrzała przez okno na trawnik.

Nie była pewna, jak długo tak siedziała, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Skoczyła na

równe nogi, by otworzyć. Pewnie Byron zmienił zdanie.

Ale kiedy uchyliła drzwi, zobaczyła w nich Matta trzymającego torbę z narzędziami.

– Och. – Nie była w stanie ukryć rozczarowania.

Włosy mu sterczały z boku, jak gdyby niedawno wstał, ale wydawał się spokojny, nie tak wykończony jak wtedy, gdy ostatnio go widziała, przypominał bardziej dawnego Matta.

– Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj – rzekła, zakłopotana oczywistością swojej reakcji.

– Mogę wejść? Tynkowanie, listwy przypodłogowe w jadalni i łazienka, jeśli dobrze pamiętam. – Zerknął do kartki, którą trzymał w ręce.

Isabel nie chciała go tutaj. Chciała wyrzucić z pamięci ich wspólną noc, a on emanował jej wspomnieniem. Mogłaby teraz uregulować rachunek, gdyby trzeba było. Miała go już dość.

Matt najwyraźniej wyczuł jej wahanie.

– Wciąż chcesz, żeby zainstalować wannę w łazience, prawda? Dla Kitty?

Pomyślała, że dla Kitty byłby to najwspanialszy prezent urodzinowy pod słońcem. Długa, luksusowa kąpiel w prawdziwej wannie. Kupi jej jakiś płyn do kąpieli, pachnący olejek.

– Naprawdę zamierzasz zrobić łazienkę? Dzisiaj?

– Większość roboty ogarnąłbym przed południem. Kitty by się ucieszyła, prawda?

– Te trzy rzeczy – powiedziała niechętnie. – A potem się rozliczymy. Mam dla ciebie przygotowane pieniądze.

– Och, o tym możemy porozmawiać później – powiedział i ruszył w stronę jadalni, pogwizdując. – Piję herbatę z dwiema łyżeczkami cukru. Pamiętasz?

Gdy znalazł się tu z powrotem, poczuł, jak się odpręża. Przez ostatnich kilka dni, gdy był daleko, czuł się dziwnie – niemal jakby gryzła go nostalgia. Teraz, kiedy tu wrócił, a Isabel robiła dla niego herbatę, czuł spokój. Chaos, który miał w głowie, wyciszył się. Matt się wyspał, najadł, a teraz znowu był w miejscu, w którym powinien być.

Pracował w jadalni, gdzie montował listwy przypodłogowe, a następnie maskował uszczelniaczem u góry. Pomyślał, że pasowałyby tu jasnoszare. Do tego kredowy błękit na ścianach. Ten pokój wychodził na południe, więc pewnie chłodny kolor zdałby tu egzamin.

Na dole Isabel grała na skrzypcach, więc przerwał pracę i zaczął słuchać. Wspominał tamtą noc, Isabel widoczną przez otwarte drzwi, skrzypce przyciśnięte do ramienia, gdy była zatopiona w muzyce. Podeszedł wtedy do niej, a ona spojrzała na niego i było tak, jak gdyby się go spodziewała. Nawet nie potrzebowali słów. To było spotkanie dusz. A potem ciało. Te jej splątane włosy spadające mu na twarz. Te długie, eleganc-kie palce, które go ścisnęły.

Czajnik zagwizdał i muzyka się urwała. Matt skończył pracę przy listwach i wstał, by podziwiać swoje dzieło. Pokój nigdy nie wyglądał na wykończony bez dobrze położonych listew. W sypialni zastosował do tego najdroższe części, odpowiadające wysokości sufitu i specyficznym wymiarom pokoju. Nie zauważyła tego, ale to nie była jej wina. Nie rozumiała budownictwa, architektury, tak samo jak on nie rozumiał muzyki. Po prostu człowiek wiedział instynktownie, kiedy coś było właściwe. Usłyszał cichy szmer za drzwiami, podeszedł do nich i zobaczył z rozczarowaniem, że zostawiła herbatę na korytarzu. W głębi duszy miał nadzieję, że wejdzie i pochwali jego pracę, może porozmawia z nim o tym, co zrobił. Chciałby jej wyjaśnić, jak ważne jest, by kluczowe elementy pokoju ze sobą współgrały. Ludzie nie mieli pojęcia, że zwykły budowlaniec orientuje się w takich rzeczach.

Ale ona musiała pracować, przypomniał sobie. Musiała się zająć swoją muzyką. I tak chyba było najlepiej, pomyślał, upijając herbatę z parującego kubka. Ona za bardzo go rozpraszała. Nie miał pojęcia, jak by skończył tę robotę, gdyby miał obok siebie Isabel. W gruncie rzeczy, gdy pomyślał o perspektywie przebywania tu z nią dzień w dzień, nie był pewny, czy w ogóle będzie mu się chciało pracować.



Była w kuchni, skąd dobiegało ją walenie młotkiem. Chociaż raz Matt robił to, co obiecał. Wydawał się spokojny. A kiedy jej córka zobaczy podłączoną wannę, na pewno będzie zachwycona. Więc dlaczego Isabel trawił dziwny niepokój?

To dlatego, że nie ćwiczyłaś porządnie od paru tygodni, powiedziała sobie. Przerwa od muzyki zawsze sprawiała jej niemal fizyczny dyskomfort. A łatwo było puścić wodze wyobraźni w domu tak odizolowanym jak ten, bez szumu ruchliwej ulicy, trzaskających drzwi, przechodniów i innych odgłosów, które sprowadzały człowieka na ziemię. Pocieszyła się, że skupi się na tym scherzu i zanim będzie jej ono wychodzić porządnie, Matt skończy już pracę i opuści ich życie na zawsze. Stanie się zwykłym sąsiadem pozdrawianym skinieniem głowy, gdy będą się mijać na drodze, być może Isabel po niego zadzwoni, jeśli coś w domu będzie wymagało naprawy. Ale będzie on już tylko częścią tła.

Matt na chwilę wyszedł z łazienki, by sprawdzić, jak wygląda tynk, który położył dzisiaj w pokoju Thierry'ego. Przejechał opuszkami palców po różowej powierzchni, by się upewnić, że nie ma żadnych nierówności. Ściana była chłodna jak alabaster. W pokoju leżały porozrzucane ubrania i zabawki chłopca, jakby przeszło tędy tornado. Parę klocków lego zaplątało się w piżamę, a spodnie, skarpetki i książki zostały ciśnięte w kącie.

To mu przywiódło na myśl jego syna. Kiedy był mały, Matt zrobił dla niego drewniany wielopoziomowy parking, piękną konstrukcję z ruchomą windą i małymi pachołkami, które wyznaczały miejsca do parkowania. Ale Anthony nie chciał się nim bawić, wolał lepić rzeczy z plasteliny – co według Laury było „edukacyjne” – a potem wdeptywał jej kawałki w beżowy dywan.

Matt podniósł plakat, który zdjął przed tynkowaniem, i położył go na łóżku. Następnie wziął z podłogi płachtę malarską i wyszedł na zewnątrz, aby ją wytrzeć i złożyć. Po drodze zerknął do głównej sypialni. Łóżko było pościelone.

Wpatrywał się w białą pościel. Wreszcie wprowadziła się do sypialni, którą stworzył dla niej – dla nich. Dlaczego mu nie powiedziała? To było ważne. Spała tu, w jego pokoju.

Na dole jej muzyka brzmiała płynniej, Isabel rzadziej się zatrzymywała i zaczynała od nowa. Jakiś długi, senny fragment płynął z dołu, a on zastanawiał się, czy zawiera ukrytą wiadomość dla niego. W końcu muzyka była dla niej sposobem wyrażania siebie. Matt upuścił płachtę i wszedł do sypialni, poruszając się powoli, jak gdyby pod wpływem tempa muzyki. Dostrzegł ciepło światła słonecznego, błysk lakieru na deskach podłogowych, opalizujący błękit nieba widocznego przez wykuszowe okna – było tu tak pięknie, jak to sobie wymyślił.

Wtedy jego wzrok spoczął na butach przy łóżku. Dwóch dużych, brudnych buciorach, wyblakłych od zaschniętej ziemi, których podeszwy wciąż nosiły ślady niedawnego wyjścia.

Męskich butach.

Butach Byrona.

Matt wpatrywał się w nie przez chwilę, a potem podniósł głowę i zobaczył torby w kącie. Ręcznik przewieszony przez kaloryfer, który sam zamontował. Szczoteczkę do zębów leżącą na parapecie. Coś w nim zgasło i się zapadło, pozostawiając tylko wielką czarną dziurę i pustkę w miejscu, gdzie do niedawna tliło się uczucie.

Byron i Isabel w tej sypialni. W jego sypialni.

W jego łóżku.

Matt pokręcił głową dwa razy, jak gdyby próbował wyrzucić z niej to, co zobaczył. Nie był w stanie się ruszyć. Głośny szum, który słyszał, był jego własnym oddechem. Wyszedł na korytarz, a potem powolnym, ciężkim krokiem zszedł po schodach. W stronę muzyki.

Tak wiele rzeczy uwielbiałam w graniu w orkiestrze, pomyślała Isabel, rozpoczynając ostatnie takty finału. Niektórzy muzycy twierdzili, że orkiestra przypomina fabrykę, zaś sekcja

smyczkowa to maszyna, w której wykonuje się polecenia, a skrzypek jest tylko trybikiem. Ale ona kochała być częścią zespołu, wspólne budowanie ściany dźwięku budziło w niej ekscytację, już samo harmonijne strojenie instrumentów przed dobrą publicznością mogło dawać radość. A kiedy grało się ze znakomitym dyrygentem, jego geniusz bywał źródłem inspiracji. Gdyby miała z tym kontakt choćby parę razy w miesiącu, odzyskałaby coś ważnego. Przypomniałoby jej to, że ma życie poza tym domem.

Właśnie smarowała kalafonią smyczek, gdy usłyszała dziwny dźwięk.

– Matt? – zawołała. Wydawało jej się, że słyszała go na schodach. Ale odpowiedziała jej cisza.

Isabel ponownie uniosła skrzypce do brody i odrobinę je dostroiła. Pomyślała mimowolnie, że nie miały szans brzmieć tak jak guarneri. Ktoś inny prawdopodobnie grał na nim właśnie w tej chwili, rozkoszując się głębią struny G, finezją struny A. Co natomiast mam ja? – pomyślała niemal ze śmiechem. Dwanaście metrów kwadratowych glinianych dachówek z rozbiórki i nowe szambo.

Już miała wznowić grę, gdy dobiegły ją niskie, miarowe uderzenia. Zastygła w bezruchu, sprawdzając w myślach, o co poprosiła Matta. Listwy już skończył. Tynkowanie nie generowało hałasu. W łazience, z tego, co wiedziała, trzeba było jedynie zamontować wannę. Ale to łup, łup, łup trwało dalej, po nim zaś nastąpił huk i z sufitu posypał się tynk, co sprawiło, że rzuciła się do drzwi.

– Matt? – krzyknęła.

Odpowiedziała jej cisza. A potem znowu złowieszcze: łup, łup, łup.

– Matt?

Położyła skrzypce na stole i ruszyła w stronę korytarza. Matt był na pierwszym piętrze. Gdy weszła tam po schodach, nie miała już problemu ze zidentyfikowaniem tego dźwięku: coś ciężkiego uderzało o coś twardego.

Weszła powoli do sypialni i tam go zastała: był lekko spocony z wysiłku, a w dłoniach trzymał wielki dwuręczny młot, którym miarowo uderzał w ścianę. Przez niedokończoną łazienkę przeświecała dziura o wymiarach mniej więcej półtora metra na metr.

Isabel wpatrywała się w jego twarz, na której malowała się koncentracja, i w jego silne mięśnie, kiedy znowu zamachnął się młotem. W stronę wielkiej dziury w jej ścianie.

– Co ty robisz? – odezwała się.

Matt jakby jej nie dosłyszał. Uderzył znowu, rozwalając kolejnych kilka cegieł. Kawalki gipsu spadły na białą pościel.

– Matt! – krzyknęła. – Co ty wyprawiasz?!

Mężczyzna się zatrzymał. Jego wyraz twarzy był dla niej zupełnie nieodgadniony, a jasnoniebieskie oczy wydawały się przesywać ją na wylot.

– Nie taki miał być – rzekł przeraźliwie spokojnym głosem. – Ten pokój nie taki miał być.

– Ale przecież... jest piękny – zająknęła się. – Nie rozumiem.

– Nie – odparł z grymasem na twarzy. – Zniszczyłeś go. Muszę go teraz rozebrać.

– Matt, spędziłeś przecież...

– Nie mam innego wyjścia.

W tym momencie do Isabel dotarło, że próbuje przemówić do rozsądku komuś, kto nie myśli rozsądnie. Była w swoim domu, sama, z mężczyzną trzymającym wielki młot. Zaczęła intensywnie się zastanawiać, jak go powstrzymać, bała się, czy nie zacznie tego samego w innym pokoju. Próbowała ocenić, do czego jest zdolny. Bądź stanowcza, rzekła do siebie. Nie daj mu poznać, że się boisz.

Wtedy przez okno zobaczyła, że Thierry idzie w stronę domu. Serce zaczęło jej walić.  
– Matt! Matt, wiesz co... masz rację – oznajmiła, wyciągając ręce przed siebie. – Masz absolutną rację.

Wpatrywał się w nią, jakby nie tego się spodziewał.

– Muszę od nowa to wszystko przemyśleć.

– Wszystko jest nie tak – powiedział.

– Tak. Tak, masz rację – przytaknęła. – Popełniłam parę błędów. Mnóstwo błędów.

– Ja tylko chciałem, by był wspaniały – wyjaśnił, podnosząc wzrok na sufit, a na jego twarzy odmalowało się coś, co dało jej nadzieję. Zerknęła ukradkiem w stronę okna. Thierry zniknął. Pewnie zmierzał w kierunku drzwi kuchennych.

– Powinniśmy porozmawiać – rzekła.

– Właśnie na to czekałem. By z tobą porozmawiać.

– Wiem. Ale nie teraz. Musimy oboje przemyśleć pewne rzeczy i pomówić, może jutro.

– Tylko ty i ja? – spytał.

Dziura w ścianie za jego plecami wyglądała jak wielka ziejąca rana.

– Tylko ty i ja – potwierdziła. Położyła rękę na jego ramieniu, by go uspokoić, a zarazem po to, by trzymać go na dystans. – Ale nie teraz, dobrze?

Spojrzał jej w oczy, jak gdyby próbował wyczytać w nich prawdę. Isabel nie odwróciła wzroku, ale oddech zamarł jej w piersi.

– Muszę iść, Matt. Muszę ćwiczyć. Sam wiesz...

Było tak, jakby wybudziła go z jakiegoś transu. Oderwał od niej wzrok, podrapał się po karku i pokiwał głową.

– Okej – rzekł. Sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał chaosu, jaki spowodował. – Poćwicz teraz, a potem pogadamy. Będiesz pamiętać, prawda?

Isabel pokiwała głową w milczeniu.

A potem Matt ruszył do drzwi, z młotem zwisającym mu z dłoni.

\*

Czternaście razy próbowała się połączyć z Byronem, bezskutecznie. Ale czego się spodziewała? Nigdy wcześniej nie widziała go tak szczęśliwego jak wtedy, gdy miał przed sobą perspektywę dobrze płatnej pracy, ciepłej kolacji ze starym znajomym, w miejscu, gdzie sam zarabiał na dach nad głową. Co miałyby mu powiedzieć? Że się boi? Że czuje się zagrożona? Aby mu to wyjaśnić, musiałyby opowiedzieć o tym, co zaszło między nią a Mattem. A nie chciała, żeby Byron dowiedział się, co zrobiła kilka tygodni temu. Przypomniała sobie, jak uścisnęła jej dłoń poprzedniego wieczoru, jego uprzejmą odmowę świadczącą o tym, że nie chce, by się do niego bardziej zbliżyła. Nie miała prawa prosić go o cokolwiek.

Kilka razy rozważała zadzwonienie do Laury, ale nie wiedziała, co mogłaby jej rzec. Jak miała oznajmić kobiecie, z której mężem się przespała i który teraz ją terroryzował, że podejrzuje go o załamanie nerwowe? Trudno było w takiej sytuacji oczekiwać współczucia.

Poza tym możliwe, że Laura już o tym wiedziała. Być może wyrzuciła go z domu i to przyczyniło się do jego stanu. Być może Matt powiedział jej, co zaszło między nimi. Isabel nie mogła wiedzieć, co działo się w ich małżeństwie.

Próbowała sobie wyobrazić, że Byron wciąż jest w kotłowni. Wróc, poprosiła go w duchu. A potem jej myśli same ułożyły się w słowa: wróc do domu.

Tej nocy Isabel nie pozwoliła dzieciom zostać na zewnątrz do wieczora. Znalazła pretekst, by je zwabić do domu: Kitty przekonała, że powinna upiec więcej ciasteczek na swoje urodziny, a Thierry'ego, by poczytał na głos. Starła się być pogodna, wykazywać troskę. Swoje

kompulsywne sprawdzanie, czy okna i drzwi są dobrze zaryglowane, wyjaśniła tym, że Matt zostawił na górze drogi sprzęt i prosił ją o dodatkową ostrożność.

Kiedy wreszcie niechętnie poszli do łóżek, Isabel odczekała godzinę, a potem weszła do swojej sypialni. Z niemal pustego pudełka na biżuterię wyjęła mosiężny klucz i wetknęła go do kieszeni. Byron ukrył broń na strychu, poza zasięgiem dzieci. Teraz Isabel weszła na górę, a potem dysząc z wysiłku – skrzynka była wykonana z ciężkiego drewna – zaniósła ją na dół po chwiejnej drabinie i przytaszczyła do sypialni.

Starła się nie patrzeć na dziurę w ścianie: jej znaczenie, zagrożenie z nią związane, wieczorem wydawało się jeszcze poważniejsze. Otworzyła skrzynkę, wyjęła karabin i załadowała go. Broń myśliwska Pottiswortha, którą Byron znalazł nad kredensem w kuchni.

Upewniła się, że broń jest zabezpieczona, i zerknęła przez celownik. A potem obesła cały dom, jeszcze raz sprawdziła zamki i wypuściła Peppera z jego legowiska w kuchni, żeby i on mógł patrolować pomieszczenia.

Spojrzała jeszcze na telefon, by sprawdzić, czy Byron nie oddzwonił. A gdy zrobiło się całkiem ciemno i ptaki na zewnątrz umilkły, usiadła na szczycie schodów, gdzie miała widok na drzwi wejściowe, i delikatnie położyła broń na swoich kolanach. Czekwała.

Obudziło ją gwizdanie. Otworzyła oczy, ale jeszcze przez chwilę się nie poruszyła, zerknęła tylko na zegarek – była za kwadrans siódma – i dotarło do niej, że Matt jest w łazience. Słyszała płynącą wodę, dźwięk maszynki do golenia przesuwanej się po szorstkiej skórze. Laura przypomniała sobie, że nie kupiła mu nowych ostrzy. Matt nienawidził tępych.

Usiadła na łóżku, zastanawiając się, czy wszedł tutaj, kiedy ona spała. Czy zauważył dwie spakowane walizki. Ale gdyby tak było, pewnie by nie gwizdał.

Laura wysunęła się z łóżka, wyszła po cichu z sypialni i przystanęła przy drzwiach od łazienki, patrząc na męża rozebranego do pasa – widok, który stał się jej już obcy.

– Cześć – powiedział, dostrzegłszy ją w lustrze. Było to dziwnie niezobowiązujące pozdrowienie, takie, jakim się wita sąsiada.

Owinęła się szlafrokiem i oparła się o drzwi. Od wielu tygodni nie była nawet tak blisko Matta. Jego półnagie ciało wydawało się tak samo znajome jak jej własne, a mimo to obce, jakby nie powinna była już na nie patrzeć.

Odsunęła kosmyk włosów z czoła. Ćwiczyła w myślach tę rozmowę wiele razy.

– Matt, musimy porozmawiać.

Jej mąż dalej obserwował się w lustrze.

– Nie mam czasu. Mam ważne spotkanie. – Uniósł głowę, by móc się lepiej przyjrzeć zarostowi na podbródku.

– Obawiam się, że to też jest ważne – odparła wciąż spokojnym tonem. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie mogę teraz. Muszę wyjść z domu za... – spojrzął na zegarek – ...dwadzieścia minut. Maksimum.

– Matt, musimy...

Odwrócił się, kręcąc głową.

– Nigdy mnie nie słuchasz, co nie? Nigdy do ciebie nie dociera, co mówię. Nie mogę teraz rozmawiać. Mam coś pilnego do załatwienia.

Powiedział to jakoś dziwnie, jego ton był nieco zbyt rzeczowy. Ale nie była w stanie stwierdzić, co się dzieje w jego głowie. Postanowiła tego nie komentować. Wypuściła powietrze z płuc – był to długi, drżący oddech.

– Okej. To kiedy będziesz z powrotem?

Matt wzruszył ramionami, wciąż drapiąc ostrzem po podbródku.

Czy tak się to zakończy? – spytała siebie samą. Bez prawdziwej rozmowy? Bez kłótni? Bez fajerwerków? Tylko po staremu próbuję wyegzekwować u ciebie czas na podstawowe ustalenia i patrzę przy tym, jak golisz się dla innej? Próbuję w ten swój absurdalnie ugrzeczniony sposób nakłonić cię do przyznania, że to koniec naszego małżeństwa?

Miała problem z wypowiedzeniem kolejnych słów, jakby jej gardło było obrzęknięte.

– Musimy się wreszcie zdecydować, Matt. Co się dzieje. Z nami. – Gdy nie skomentował, dodała: – Możemy porozmawiać wieczorem? Wracasz dziś do domu?

– Pewnie nie.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie będziesz? Może w domu hiszpańskim? – Nie potrafiła ukryć cierpienia w swoim głosie.

Matt minął ją w drzwiach jak powietrze i zniknął w korytarzu. Laura usłyszała, jak gwizdże, i zamknęła oczy. Kiedy je znowu otworzyła, zobaczyła, że biały ręcznik, który Matt cisnął na wieszak, jest poplamiony krwią.

– I jeszcze serwetki. Potrzebujesz serwetek. Chyba że masz takie eleganckie z błyszczącego materiału.

– Naprawdę są potrzebne, kiedy będziemy siedzieć w ogrodzie?

Henry włączył lewy kierunkowskaz i zjechał na drugi pas. Kitty siedziała z tyłu i dopisywała kolejne pozycje do swojej wydłużającej się listy. Nigdy wcześniej nie urządziła imprezy urodzinowej. Nie miała pojęcia, ile takie przygotowania wymagają zachodu.

– Mieliśmy kiedyś takie porządne – powiedziała – ale zniknęły w czasie przeprowadzki.

– Tak samo jak moje wrotki – rzekł Thierry siedzący obok. – Ich też nie znaleźliśmy.

– Znajdziecie te serwetki za dwa lata. Pewnie zaraz po tym, jak już kupicie nowe. Będą w kartonie upchniętym w jakimś kącie – oznajmił Henry.

– Nie chcę czekać dwa lata na wrotki. – Thierry podniósł stopę tak, że oparła się o tył siedzenia Henry’ego. – Będą już wtedy za małe. Czy jak już tam dojedziemy, zjemy śniadanie?

Kitty nie zamierzała brać ze sobą Thierry’ego, ale kiedy przyszła na dół, zastała mamę śpiącą na sofie we wczorajszych ubraniach. Pewnie nie spała całą noc i ćwiczyła. W przeszłości już się tak zdarzało. Gdyby zostawiła Thierry’ego i Peppera, prawdopodobnie obudziliby mamę w ciągu pięciu minut, a wyglądała, jakby potrzebowała porządnego odpoczynku.

– Do tego colę. Wszyscy młodzi ludzie piją colę. W hurtowniach mają dobre ceny – stwierdził Henry. – I sok. Można go wymieszać z wodą gazowaną.

– Chyba nie będzie mnie już stać na sok. Zrobię więcej syropu z czarnego bzu.

Asad nucił pod nosem melodię dobiegającą z samochodowego odtwarzacza, jedną ręką wybijając rytm o deskę rozdzielczą.

– Lód w kostkach – powiedział. – Duże opakowanie. Cały czas nie macie lodówki, więc możesz pożyczyć od nas turystyczną i tam go trzymać.

– A kto to będzie dźwigał? – spytał Henry. – Lód waży chyba tonę.

– My – odparł Thierry. – Urosłem o cztery centymetry przez ostatnich sześć tygodni. Mama zaznaczyła to na drzwiach.

– Musisz sobie wyznaczyć budżet – rzekł Henry. – Zobaczysz, pójdziesz ci dużo pieniędzy, ale przecież planujesz imprezę dla wielu osób. Ile masz do wydania?

– Osiemdziesiąt dwa funty – odparła. Miała mieć do dyspozycji sześćdziesiąt dwa, ale tego ranka dostała od babci z Francji czek z okazji urodzin.

– Możemy zrobić grilla – stwierdził Henry. – Co ty na to, Asad?

– Wyjdzie zbyt drogo. Wystarczą hot dogi – odparł. – I dużo pysznych sałatek z ryżem i makaronem dla wegetarian. Mogę je zrobić. Czy twoja mama dalej ma w planach deser owocowy?

To będzie najfantastyczniejsza impreza na świecie, pomyślała Kitty. Zapowiedzieli się prawie wszyscy z jej klasy. Kiedy wspomniała im o jeziorze, strasznie się nakręcili. Jeden ze znajomych Anthony’ego ma przynieść dmuchany ponton, a on sam – materac.

– W magazynie mamy jakieś stare chorągiewki – powiedział Henry. – Możemy je porozwieszać, by zakryć rusztowanie.

– Tak dawno nie robiliśmy generalnych porządków w magazynie, że pewnie pamiętają obchody srebrnego jubileuszu królowej – stwierdził Asad.

– I małe świece – wyliczał dalej Henry. – Będą wskazywać drogę do jeziora, gdy się ściemni. Moglibyśmy je włożyć do słoików po dżemie. Można ich kupić setkę za parę funtów.

Trochę jej to zajęło, ale siedząc teraz w samochodzie i słuchając rozmowy tych dwóch, Kitty stwierdziła, że już nie tęskni za Londynem. Gdyby pół roku temu ktoś jej powiedział, że wciąż będą tu mieszkać, że będzie uważać wizytę w hurtowni z dwoma starszymi gejami za świetnie spędzony czas, płakałaby przez tydzień. Teraz pomyślała, że chyba nie chciałaby już

wrócić do miasta. Wciąż tęskniła za tatą – nie sądziła, by kiedykolwiek mogła o nim myśleć bez ściśniętego gardła – ale może mama miała rację. Może rzeczywiście lepiej było zacząć od nowa tutaj, z dala od wszystkiego, co o nim przypomina.

– Może jeszcze jakiś deser typu tiramisu albo panna cotta?

– Znasz dobry przepis na panna cottę? – spytał Asad.

– Wystarczy znaleźć pana z kotem – odpowiedział Henry i wybuchnął śmiechem, a Kitty i Thierry spojrzeli na siebie z zażenowaniem.

– Ale co dokładnie powiedział? – Przytrzymał uchem telefon oparty o ramię. – Zaczekaj, zjeżdżam na poboczne. – Przeprosił gestem kierowcę, któremu niechcący zajechał drogę, nie zważając na wściekły ryk klaksonu.

– Co to był za hałas? Gdzie jesteś?

Laura powiedziała mu, że jest na tyłach ogrodu. Wyobraził ją sobie tam, jak wiatr unosi jej włosy, a ona zakrywa ręką drugie ucho.

– Jestem na autostradzie, przy zjeździe dwunastym.

– Ale Matt tu jest – wyszeptwała.

– Nie jadę się spotkać z tobą – wyjaśnił, zerkając w lusterko. Boże, ale jest ruch na drodze. – Chociaż bardzo bym chciał.

– Masz zamiar rozmówić się z nią dzisiaj?

Nicholas zwolnił, by inny samochód mógł zmienić pas, a potem zatrzymał się na poboczu, zostawiając włączony silnik.

– Nie mogę dłużej zwlekać, Lauro. Pieniądze już czekają... Lauro?

– Tak?

Długa cisza z jej strony wytrąciła go z równowagi.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak. To tylko... takie dziwne. Dziwne uczucie. Że to się jednak stanie.

Jego samochód się zatrząsł, gdy z rykiem minęła go ciężarówka.

– Posłuchaj, zmiany zawsze są...

– Wiem.

– Rozumiem, Lauro. Naprawdę. Sam przez to przechodziłem.

Milczała odrobinę zbyt długo.

– Wciąż pragniesz tego domu? W tym rzecz?

– Nie chodzi o...

– Odwołam tę inwestycję.

– Co?

Słowa te wyszły z jego ust, zanim uświadomił sobie, co powiedział.

– Odwołam ją – powtórzył – jeśli naprawdę chcesz mieć ten dom.

– Ale to twój wielki projekt. Jak bez niego pchniesz do przodu karierę? Mówiłeś mi...

– Jakoś dam radę.

– Ale te wszystkie plany... Twoi sponsorzy...

– Laura! Posłuchaj mnie! – Musiał krzyczeć do telefonu, by było go słychać ponad huk autostrady. – Jeśli naprawdę chcesz mieć to miejsce, zrobię wszystko, byś je dostała. Wciąż możemy stworzyć z niego dom twoich marzeń.

Tym razem jej milczenie miało inny wydźwięk.

– Zrobiłbyś to dla mnie.

– Czy naprawdę musisz o to pytać?

– Och, Nicholasie. – Jej głos był pełen wdzięczności, ale on nie był pewien, czego ta wdzięczność dotyczyła. Po dłuższej chwili milczenia dodała: – Wiesz, że on tam może być. Nic

mu nie powiesz, prawda?

– O nas?

– Myślę, że powinien to usłyszeć ode mnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinienem mu mówić: „Panie McCarthy, sypiam z pana żoną. Która, tak na marginesie, ma najcudowniejszy tyłeczek na świecie”?

Laura nie była w stanie powstrzymać śmiechu.

– Proszę – rzekła. – Sama z nim później porozmawiam.

– Twój mąż, Lauro, jest idiotą, i byłbym w siódmym niebie, gdybym mógł mu to powiedzieć prosto w twarz. Ale w momencie, który ty uznasz za stosowny. Posłuchaj, muszę jechać dalej. Zadzwoń do ciebie, jak już się rozmówię z całą tą Delancey.

Rozłączył się i siedział tak przez chwilę, podczas gdy obok niego przejeżdżały w pędzie samochody. Miał tylko nadzieję, że słowa Laury nie oznaczały, że będzie od niego oczekiwała tak trudnej decyzji.

Matt wyciągnął skórzane pudełeczko z wewnętrznej kieszeni i otworzył je, a pierścionek z rubinem i drobnymi perełkami zalśnił w promieniach słońca. Tak łatwo było rozpoznać to, co dawniej należało do niej.

– Ładny pierścionek – powiedział mu jubiler. – Wiktorianański. Niezwykły.

Lśnił w jego małym sklepie i wyróżniał się spośród innych klejnotów. Tak samo jak ona.

Matt podejrzewał, że zapłacił za niego dwa razy więcej, niż dostanie za niego Isabel, ale się tym nie przejmował. Chciał zobaczyć jej minę, kiedy otworzy pudełeczko. Chciał zobaczyć jej wdzięczność, kiedy ujrzy, co dla niej zrobił.

Jakie znaczenie miały teraz pieniądze? On i Laura mieli mnóstwo na koncie od lat i co im z tego przyszło? Wciąż nie udało mu się wyjaśnić Isabel, co do niej czuł. Pierścionek miał jej udowodnić, że Matt rozumie, czego pragnęła i co straciła. Cieszył go fakt, że o pierścionku nie wiedział nikt prócz niego. Rubin: kolor symbolizujący namiętność, pożądanie, seks. Trzymać go w rękach to jak obejmować ją.

Już miał wyjechać z lasu przed jej dom, kiedy zobaczył inny podjeżdżający samochód. Wysiadł z niego mężczyzna w garniturze.

Matt obserwował, jak przybysz obejmuje wzrokiem dom. Pewnie jakiś dawny znajomy. Albo urzędnik. Jego ekscytacja się ulotniła. Chciał wybrać jak najlepszą chwilę, taką, by dzieci nie było w domu. Efekt osiągnie jedynie, jeśli będą sami.

Schował pierścionek z powrotem do kieszeni. Był człowiekiem cierpliwym. Nigdzie mu się nie spieszyło.

– W czym mogę pomóc?

Przez chwilę był zbity z tropu. Pukał do drzwi przez prawie dziesięć minut, a potem stwierdził, że w środku nikogo nie ma, więc zrobił kilka kroków w tył, by przyjrzeć się w całości domowi, który zajmował jego myśli przez ostatnie tygodnie.

Od okna na piętrze po przekątnej w dół biegło duże pęknięcie – grunt osiadał albo się podnosił, co nie było zaskakujące, skoro dom graniczył z jeziorem i lasem. Nowe okno zostało źle zamontowane, między drewnem a cegłą była widoczna szczelina, której nikt nie wypełnił. Jasnoniebieska plastikowa płachta trzepotała bezładnie nad szybą. Dach był niewykończony, plastikowe rynny niezamocowane. Ściany były częściowo zasłonięte rusztowaniami, dla których nie widział oczywistego zastosowania.

Zrobił kolejny krok w tył. Na trawniku stały stare meble ogrodowe nie od kompletu, ale nawet to nie mogło umniejszyć piękna otoczenia. Jezioro rekompensowało wszystko. To zjawiskowe, spokojne miejsce emanowało coraz rzadziej spotykaną aurą – człowiek spodziewał się znaleźć taki klimat w Szkocji lub w jeszcze dalszych zakątkach kraju. A przy tym ta część



Norfolk była dobrze skomunikowana ze stolicą – tak mu powiedział Mike Todd. Oczami wyobraźni Nicholas widział błyszczącą ulotkę: „Praca w Londynie i mieszkanie w samym sercu natury”. Możliwe, że on i Laura zamieszkaliby w jednym z tych domów – to miejsce miało w sobie tak nieodparty urok.

I wtedy ją zobaczył: kobietę z potarganymi włosami, w wymiętej lnianej bluzce, patrzącą na niego przymrużonymi oczami.

– W czym mogę pomóc?

Przez chwilę zapomniał, co chciał powiedzieć. Miał od dawna przygotowaną mowę, ale niespodziewane pojawienie się Isabel zbiło go z tropu. Oto kobieta, która przysporzyła Laurze tyle cierpienia.

– Przepraszam, że panią nachodzę – odezwał się, zbliżając się do niej i wyciągając rękę.

Uścisnęła jego dłoń.

– Pewnie powinienem wcześniej zadzwonić. Przyszedłem w sprawie domu.

– O rany. Szybko działacie – powiedziała. – Która jest godzina?

Nicholas spojrział na zegarek.

– Za kwadrans dziesiąta.

To najwyraźniej ją zdziwiło.

– Nawet nie pamiętam, że przysnęłam... Muszę się napić kawy. Panu też zrobić?

Wszedł za nią do środka. Szła kilka kroków przed nim w stronę kuchni. Starał się stłumić w sobie instynktowną anty-patię do niej. Nie miał pojęcia, czego się spodziewał – ale pewnie kogoś wyglądającego mniej chaotycznie, kogoś nieco bardziej wyrachowanego.

– Proszę sobie usiąść – rzekła, gdy już znaleźli się w kuchni. – Może to zabrzmie głupio, ale widział pan dzieci wokół domu?

To pomieszczenie aż się prosiło o remont. Nie zmieniano tu nic od dziesięcioleci. Nicholas spojrział na popękane linoleum, wyblakłe ściany, które udekorowano dziwnymi fotografiami, suszonymi kwiatami i glinianymi ozdobami – próba wprowadzenia domowej atmosfery do miejsca, które on sam uznałby za nienadające się do zamieszkania. Za oknem w cieniu okapu wisiały owoce i warzywa w siatkach na pomarańcze, jak kolorowe łożki.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence, potem otworzyła spiżarnię, sięgnęła do środka i powąchała mleko w kartonie. Uznała, że wciąż się nadaje.

– Nie mamy lodówki.

– Ja poproszę czarną – powiedział Nicholas z rezerwą.

– Rozsądna decyzja – przyznała, odkładając karton na miejsce. Podała mu kawę, a potem zauważyła jego reakcję na wygląd kuchni. – To jedyne nietknięte pomieszczenie w tym domu. Pewnie wyglądało dokładnie tak samo, kiedy mieszkał tu mój cioteczny dziadek. Chciałby się pan rozejrzeć?

– Nie ma pani nic przeciwko?

– Pewnie i tak będzie pan musiał wszystko obejrzeć.

Kto ją powiadomił o jego przyjeździe? Myślał, że będzie się zachowywać defensywnie, może nawet podejrzliwie, tymczasem ona wydawała się uprzedzać każdą jego prośbę.

Podniosła kartkę leżącą na stole i przez chwilę przyglądała się temu, co było tam napisane. A potem wyjrzała przez okno na jezioro.

– Śmiało – powiedziała, upijając łyk kawy. – Zaraz do pana dołączę. Muszę zebrać myśli. – Uśmiechnęła się przepaszająco i wskazała na schody. – Proszę się nie przejmować. Nikogo nie ma w domu, więc nikomu w niczym pan nie przeszkodzi.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Nicholas wziął swój kubek i ruszył na ponowne oglądnięcie domu, który miał mu zapewnić przyszłość.

Dołączyła do niego po prawie dwudziestu minutach. Przebrała się, miała teraz na sobie świeży podkoszulek i luźną spódnicę, a włosy związała z tyłu.

Podniósł wzrok znad notatek. Stał na korytarzu i patrzył przez drzwi na pomieszczenie, które musiało być główną sypialnią.

– Wyburza pani ściany między pokojami? – spytał. Gruz i pył leżały na pościeli.

– To... to długa historia. Ale nie. Nie zamierzamy wyburzać ścian.

– Musi pani jak najszybciej zamurować tę dziurę albo wezwać kogoś do instalacji podpory. To duża wyrwa w ścianie nośnej. – Przyjrzał się pęknięciu w rogu, ale kiedy się do niej odwrócił, wyglądała przez okno. – Pani Delancey?

– Tak? Bardzo pana przepraszam. Po prostu... niewiele spałam. Może powinniśmy porozmawiać o tym wszystkim później.

– Czy możemy wyjść na zewnątrz? W środku obejrzałem już wszystko, co chciałem.

Zobaczył już wystarczająco wiele, by mieć jasny obraz sytuacji. Mąż Laury był naciągaczem. Dom miejscami był wykończony z klasą i niezwykle dbałością o szczegóły, a miejscami przypominał pobożowisko, jakby prace wykonywało dwóch różnych fachowców o sprzecznych zamiarach. Było jednak jasne, że remont będzie większym wyzwaniem, niż Laura to sobie wyobrażała. Kiedy był tu wcześniej, dom wydawał się podniszczony, jakby potrzebował tylko porządnej renowacji. To, co Nicholas zobaczył dzisiaj, utwierdziło go w przekonaniu, że budynek najlepiej wyburzyć i postawić tutaj coś nowego. Ale jak to powiedzieć Laurze?

Udał się na dół za właścicielką i wyszli przed dom. Słońce przypiekało i gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Nicholas od razu pożałował, że ma na sobie marynarkę. Podążył za Isabel pod rusztowanie, bezskutecznie opędzając się od much.

– Na tym kominie zostanie zamontowana nasada – powiedziała, wskazując na dach. – A przynajmniej wydaje mi się, że to na tym. Tutaj jest nowa rura kanalizacyjna... a może to tutaj? – Wymieniła kilka innych prac, ale o większości z nich nie była w stanie powiedzieć zbyt wiele.

Nagle Nicholasowi zrobiło się żal tej kobiety. Jej dom obracano w ruinę, a ona nie była niczego świadoma.

– Więc co pan o tym wszystkim sądzi? – spytała. Pewnie zauważyła jego poważną minę.

– Pani Delancey... – zaczął. – Rzecz w tym... – Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć.

Patrzyli na popękane cegły, stos gruzu i torby cementu. Przyjrzała mu się badawczo.

– Uważa pan, że dom jest w okropnym stanie, prawda? – Nie czekała na odpowiedź. – O Boże, tak, sama wiem, że to kompletna ruina. Tylko pewnie... pewnie kiedy człowiek żyje pośród tego na co dzień, przestaje to zauważać.

Wyglądała na załamana i Nicholas musiał stłumić chęć, by ją pocieszyć. Zrozumiał, co w niej pociągało męża Laury. To była kobieta--dziecko, jej kruchość domagała się ochrony. Nieświadomie sprawiała, że przy niej każdy mężczyzna przywdziewał rycerską zbroję.

– Więc co powinnam zrobić? – Przywołała na twarz dzielny uśmiech.

– Może na początek mógłbym pani pokazać, co moim zdaniem poszło nie tak. Jeśli chce pani o tym posłuchać.

– Tak – powiedziała twardo. – Muszę wiedzieć.

– Okej. Wobec tego zacznijmy od dachu...

Matt obserwował z samochodu, jak mężczyzna podsuwa Isabel swój notes, a następnie wskazuje na rusztowanie z tyłu domu i miejsce, w którym gąsiory dachowe stykały się z kominem. W pierwszej chwili pomyślał, że może to być muzyk, potem, że nauczyciel – niewielu bowiem mężczyzn w tych stronach nosiło garnitury – ale teraz najwyraźniej wypowiadał się o domu Matta, omawiał jego pracę. I po tym, jak kręcił głową, oraz po napięciu

malującym się na twarzy Isabel Matt wnioskował, że nie były to uwagi pozytywne.

Schowwał pudełko z pierścionkiem do kieszeni i wyszedł z samo-chodu. Zamknął po cichu drzwi i podszedł bliżej, tak by wciąż kryć się za drzewami. To nie był nikt z rady. Matt znał niemal każdego w wydziale budownictwa. Mężczyzna wyrażał się inaczej niż miejscowi. Było w nim coś uczonego.

– Struktura budynku została osłabiona – mówił, wskazując na mury. – Ani to lato nie było wyjątkowo suche, ani zima wilgotna, a pęknięcia wyglądają na świeże, więc zakładam, że to wynik prac remontowych.

– Wynik prac remontowych? – Słysząc było, że Isabel jest w szoku.

– Niestety. Czy w środku często walono w ściany? Bo wszystko na to wskazuje.

Isabel zaśmiała się gorzko.

– Widział pan, jak to wygląda. W środku dużo się działo, a ja nie wszystkiemu się przyglądałam.

Serce Matta waliło niespokojnie. O co, do diabła, chodziło temu facetowi?

– Nie mogę powiedzieć wiele o kanalizacji, choć widać od razu, że łazienka nie jest wykończona. Kuchnia wygląda jak z innej epoki. Ale to są detale. Główna sypialnia jest jedynym porządnym odnowionym pomieszczeniem, tyle że tam z kolei jest rozwalona ściana... We wschodnim skrzydle widać ślady wilgoci, a do tego drewno może być spróchniałe. Pozwoliłem sobie zdjąć fragment listwy przypodłogowej i moim zdaniem trzeba się temu przyjrzeć dokładniej. Podejrzewam, że pod schodami zagnieździły się tykotki. Instalacja ciepłej wody jest sprawna tylko częściowo, a niektóre z rur rozmieszczone są w sposób zupełnie nieprzemyślany.

– Chce pan powiedzieć, że to wszystko sprawka szefa naszej ekipy remontowej?

Mężczyzna myślał chwilę nad odpowiedzią. Wetknął notes pod ramię.

– Nie. Myślę, że już wcześniej dom był w bardzo złym stanie. Ale nic się nie poprawiło, a pani budowlaniec mógł, celowo albo nie, pogorszyć ten stan.

Isabel szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Celowo? – powtórzyła.

Tego już Matt nie wytrzymał. Wskoczył z zarośli i podszedł do mężczyzny.

– Co ty jej, do cholery, wciskasz, człowieku? Kim w ogóle jesteś? – zaczął krzyżeć. – Dlaczego opowiadasz jej kłamstwa?

Poczuł na ramieniu rękę Isabel.

– Matt, proszę...

Spojrzała w stronę tamtego z grymasem na twarzy, ale gość tego nie zauważył, tylko mierzył Matta wzrokiem, jakby go oceniał. Jak gdyby miał się za kogoś lepszego.

– Matt McCarthy to pan?

– A ty kim jesteś, do cholery? – Mężczyzna nie odpowiedział, tylko wciąż się na niego gapił, co doprowadziło Matta do jeszcze większej wściekłości. – Jakim prawem przychodzisz tu i wciskasz Isabel bzdury, co? Słyszałem, co wygadywałeś! Słyszałem każde twoje kłamstwo! Nie masz zielonego pojęcia o tym domu ani o tym, co w nim zrobiłem! Nie wiesz nic!

Mężczyzna nie wyglądał na przestraszonego, za to patrzył na Matta z wyraźną pogardą.

– Mówiłem pani Delancey prawdę o tym, co zrobiono z tym domem. A muszę panu powiedzieć, panie McCarthy, że opowieści o tym, co pan wyprawiał, dotarły do mnie na długo przed tym, zanim zobaczyłem to na własne oczy.

– Opowieści o tym, co tu wyprawiał? – powtórzyła Isabel. – Co chce pan przez to powiedzieć?

Mgła zasnuła mu oczy i teraz Matt wrzeszczał, wymachiwał rękami, szykując się do zadania ciosu temu nadętemu elegancikowi.

– Wydaje ci się, że coś wiesz? Wydaje ci się, że znasz ten dom?

Isabel błagała go, by się uspokoił. Poczł delikatny zapach jej perfum, gdy próbowała go odciągnąć, ale nawet to nie było w stanie go powstrzymać.

Laura była w ogrodzie, gdzie przycinała róże, kiedy usłyszała straszliwy ryk wściekłego Matta. A potem dużo spokojniejszy głos innego mężczyzny. I krzyk kobiety, zabarwiony strachem. Poczł ścią w żołądku. Nicholas mu powiedział.

– Mamo? – Twarz Anthony’ego, wciąż zasnana, pojawiła się w oknie. – Co się dzieje?

Laura spoglądała na niego w osłupieniu. Potem upuściła sekator i ruszyła biegiem w stronę domu hiszpańskiego, a pies podążył w ślad za nią.

Isabel Delancey stała między dwoma mężczyznami, jak gdyby czekała na kolejny cios. Nicholas przyciskał chusteczkę do nosa, krew spływała mu po twarzy i plamiła jasnoniebieską koszulę. Matt wrzeszczał na niego niemal z pianą na ustach, ale nie dało się zrozumieć jego słów. Sielankowa sceneria wokół tylko podkreślała koszmar tej sceny. O Boże, pomyślała Laura. Co ja takiego narobiłam?

– Nikt cię tu nie prosił! – ryczał Matt. – A teraz spieprzaj stąd, zanim naprawdę zrobię ci krzywdę!

– Matt? – Gdy pojawiła się Laura, cofnął się i odwrócił twarzą do niej. – O Boże, tak mi przykro. Nie chciałam, żebyś się dowiedział w ten sposób.

Jej mąż w niczym nie przypominał tego spokojnego zimnego mężczyzny, którego widziała dziś rano: emanował dziką energią, a w jego oczach czaiło się szaleństwo.

– O czym ty mówisz, do diabła? – spytał.

– Laura, nie... – zaczął Nicholas.

Ale Isabel Delancey mu przerwała.

– Czy to prawda? To, co powiedział? – zwróciła się do Matta. – Że przez cały ten czas chodziło ci o to, by przejąć mój dom? Czy to dlatego celowo go niszczyłeś?

Był to pierwszy raz, kiedy Laura widziała, jak Matt dosłownie się trzęsie.

– Nie – zaprzeczył. – Nie, to wcale nie było tak. Chciałem, żeby wyglądał pięknie.

– Też mi coś! Rozwaliłeś go na kawałki. – Nicholas przerwał mu z oburzeniem. – Zamieniłeś go w kompletną ruinę.

– Remontowałem go!

– Tu już właściwie nie zostało nic do wyremontowania! Nie mam pojęcia, jakim cudem ten cholerny budynek jeszcze stoi!

– Nie mogę w to uwierzyć. – Isabel była wyraźnie zszokowana. – Te wszystkie twoje żarty, rady, pomoc, croissantsy... i przez cały ten czas chciałeś nas stąd wykurzyć?

Matt zbladł.

– Nie, Isabel.

Laura się skrzywiła, gdy jej mąż ruszył w stronę tamtej kobiety.

– Nie... to wcale nie było tak. W każdym razie nie pod koniec. – Rozejrzał się wokół, jak gdyby szukał dowodów na poparcie swoich słów. – W remont sypialni włożyłem całe swoje serce. W tym pokoju jest prawda, jest w nim piękno. Widziałas, ile mnie kosztował wysiłek.

– Jak możesz tak mówić?! Wybiłeś w nim wielką dziurę w ścianie! Jak jakiś szaleniec! – Uczyniła gest, jakby rozwalala coś młotem. – Nie byłam w stanie cię powstrzymać.

– To wszystko przez Byrona! – wrzasnął. – Byron nie powinien spać w tym pokoju!

Laura usiłowała zrozumieć, co się dzieje, ale nic nie miało sensu.

– Okej – przerwał im Nicholas. – Może zostawmy ten temat. – Najwyraźniej już odzyskał panowanie nad sobą. Przetarł wargę zakrwawioną chusteczką. – Mamy tu do czynienia z nietypową sytuacją. Pani Delancey, moim zdaniem powinna pani jak najszybciej podjąć

decyzję, co zrobić z tym domem.

– Ale nie mamy już pieniędzy. On nam wszystko zabrał.

– To nie tylko moja wina – bronił się Matt. – Rzeczywiście, na samym początku nie byłem wobec ciebie uczciwy, ale zrobiłem wszystko, by to potem naprawić.

– Pani Delancey, proponuję...

– Nie słuchaj go, Isabel. Wynagrodzę ci wszystko, co zrobiłem nie tak. Czy nie troszczyłem się o ciebie na każdym kroku?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Laura wpatrywała się w swoją sąsiadkę, na której twarzy malowała się rozpacz.

– Doprowadziłeś nas do ruiny – powiedziała cicho Isabel. – Zaufałam ci, a ty zrujnowałeś ten dom.

Pod wpływem impulsu Laura zrobiła krok naprzód.

– Ja to naprawię – odezwała się. – Zapłacę za zniszczenia, które spowodował Matt. Osobiście pokryję wszystkie koszty przywrócenia domu do normalnego stanu. – Nie była w stanie przeprosić tej kobiety, ale nie chciała być jej nic winna.

– Jest jeszcze inna opcja – przerwał jej Nicholas. – Może pani sprzedać dom mnie. Jego stan nie jest dla mnie żadnym problemem.

– Miałabym go sprzedać? – Isabel Delancey zmarszczyła brwi.

– Tak – odparł. – Chciałbym móc o tym z panią porozmawiać.

– Ale na co radzie mój dom? – Wydawała się kompletnie zaskoczona.

– Radzie? – powtórzył, zbity z tropu.

Nikt tego nie skomentował. Wtedy Isabel się odezwała:

– A więc Byron do pana nie dzwonił?

– Kim jest Byron? – spytał zdumiony. – Nazywam się Nicholas Trent. Jestem deweloperem.

Isabel Delancey wpatrywała się w niego oszołomiona.

– Deweloperem? Więc przyjechał pan tutaj, bo chce pan mieć mój dom. – Nagle wszystko zrozumiała. – O mój Boże... Wy wszyscy chcecie go mieć. – Odwróciła się od nich, zakrywając usta rękami. – Nie do wiary... – Chciało jej się śmiać. – Kto jeszcze? Może ktoś ze wsi? Kuzyni? Mleczarz? Przez cały czas wszyscy chcieliście zdobyć ten dom!

– Tak właściwie to nie – powiedziała powoli Laura, spoglądając na Matta. A potem dodała stanowczo: – Ja go już nie chcę.

Matt zwrócił się gwałtownie w jej stronę. Laura zobaczyła, jak zaczyna do niego docierać znaczenie jej słów, jak zmarszczył czoło ze zdziwienia, kiedy Nicholas posłał w jej stronę uśmiech, który świadczył o tym, że dobrze się znają. Zobaczyła, jak jej mąż przypomina sobie jej przeprosiny i fakt, że Nicholas wypowiedział jej imię. Matt wbił w nią wzrok, a ona, nie będąc w stanie znieść intensywności jego spojrzenia, odwróciła się. Okazało się, że za nią stał Anthony i wpatrywał się w Nicholasa, ale Laura nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

Stało się, pomyślała. Teraz już nie ma odwrotu.

– Oto moja wizytówka – powiedział Nicholas uprzejmie. Wyciągnął z kieszeni marynarki kartonik i wręczył go Isabel Delancey, podchodząc jednocześnie bliżej Laury. – Zdaję sobie sprawę, że to był niecodzienny poranek. Ale proszę przemyśleć moją propozycję. Jestem pewien, że doszlibyśmy do porozumienia, które będzie korzystne dla obu stron.

Cienkie gałązki leszczyny miały nie więcej niż siedem lat – można było je wykorzystać do produkcji ogrodzeń lub krycia strzech; starsze, mocniejsze, nadawały się na laski do chodzenia lub pale podpierające żywoplot. Byron zebrał niewielki stos gałęzi kasztana, z których robiło się płoty, ale drewno leszczynowe bardziej się opłacało, dlatego zgodził się przywrócić ten stary las prawie w całości leszczynie. Chodził ostrożnie między drzewami i sprawdzał młode pędy w poszukiwaniu śladów szkodników. Ludziom wydawało się, że ta praca polega na wycinie i niszczeniu, ale niektóre drzewa i krzewy przycięte w ten sposób wypuszczały pędy, które rosły w tempie trzydziestu centymetrów tygodniowo. Taki zabieg znacznie wydłużał im życie. Byron był pewien, że można z tego wyciągnąć jakąś życiową lekcję, ale nie miał zielonego pojęcia jaką.

Ruszył pewnym krokiem z kolejnym naręczem do miejsca, gdzie las sąsiadował z drogą. Ludzie coraz częściej wracali do tradycyjnych metod uprawy i nie inaczej było z lasami niskopiennymi. Duże zyski zapewniało wykorzystanie drewna do produkcji mebli ogrodowych, powiedział rano Frank, obserwując pracę Byrona. Albo rustykalnych ogrodzeń. Były teraz hitem w centrach ogrodniczych. A jeśli zostały jakieś resztki, można je było wykorzystać do produkcji węgla drzewnego. Za przywrócenie lasów niskopiennych przyznawano też dotacje. Zachęcały do tego wszystkie organizacje zajmujące się ochroną przyrody.

Od czasu do czasu Byron myślał o Matcie, a wtedy do jego karku i ramion wkradało się napięcie, szczęka zaciskała się mocno i musiał wziąć kilka głębokich oddechów. Matt McCarthy niemal wypędził go z rodzinnych stron, a Isabel prawie wykurzył z jej domu. Byron kilka razy zastanawiał się, czy powiedzieć jej o szczurze, o bezwzględności Matta w dążeniu do celu. Ale poprzedniego dnia była taka szczęśliwa, jakby wreszcie odważyła się uwierzyć, że czeka ją w życiu coś dobrego. Nie chciał jej tego zepsuć.

Rozmyślenia przerwał mu dzwonek komórki.

– Cześć, tu Isabel.

– Cześć – odpowiedział, nie umiejąc ukryć, jaką przyjemność sprawiło mu usłyszenie jej głosu. A potem powtórzył bardziej powściągliwym tonem: – Cześć.

– Zastanawiałam się, jak ci leci. To znaczy w pracy. – I dodała po chwili: – Thierry prosił mnie, bym do ciebie zadzwoniła.

– Wszystko idzie dobrze. – Zerknął na obszar, który już obrobił. – Ciężka praca, ale... dobrze to na mnie wpływa. – Ręce miał pokryte zadrapaniami.

– No tak.

– Ładnie tu. I blisko morza. Człowiek czuje się bardziej jak na wakacjach niż w pracy.

– Na pewno.

– A Frank, właściciel lasu, jest świetnym człowiekiem. Zaproponował mi kolejne zlecenie.

– Och... to cudownie.

– Tak. Bardzo się z tego cieszę. A co u was?

Dopiero wtedy dotarło do niego, że w jej głosie słychać było napięcie. Byron doliczył się trzech przejeżdżających samochodów, zanim odezwała się znowu.

– Nie wiedziałam, czy ci o tym mówić, ale mieliśmy tutaj... niezłą awanturę. Przyjechał do mnie jakiś mężczyzna, deweloper, który chce kupić dom. A wtedy niespodziewanie zjawił się Matt i wszczął z nim bójkę.

– Nic wam się nie stało?

– Nie, nic. Tamten dostał pięścią, ale wtedy pojawiła się Laura i wszystko się uspokoiło. –

A potem dodała cicho: – Byron, wydaje mi się, że Matt przechodzi jakieś załamanie.

– Matt McCarthy?

– Zachowuje się... jakby nie był sobą.

Byron nie skomentował, więc dodała:

– Szczerze mówiąc, wydaje się... trochę niezrównoważony.

Na pewno wariuje, pomyślał Byron z goryczą. Na samą myśl, że ktoś miałby mu odebrać ten dom.

– Nie martw się o niego – rzekł tonem ostrzejszym, niż zamierzał. – Matt sobie poradzi. Isabel westchnęła.

– Mniej więcej to samo stwierdził tamten mężczyzna.

Byron zaczął powoli iść skrajem lasu, nie zwracając już uwagi na otoczenie.

– Co powiedziałaś deweloperowi?

– Na razie nic. Zresztą nie wiem nawet, co mam myśleć. Usłyszałam od niego... że Matt niszczył dom, by mnie z niego wykurzyć.

Byron zamknął oczy.

– Po twoim wyjeździe wybił wielką dziurę w ścianie w sypialni. W tej, w której nocowałeś.

Poczuł ucisk w piersi. Nie powinien był ich zostawiać. Powinien był ją ostrzec, powiedzieć jej prawdę. Powinien był powstrzymać Matta. Przygniatało go poczucie winy, brzemień niewypowiedzianych słów.

– Byron, nie wiem, co robić.

– A czy musisz coś robić? – spytał. – Nie musisz o niczym decydować teraz.

– Nie jestem w stanie dłużej tak żyć.

To było słycać w jej głosie. Podjęła decyzję.

– Zamierzasz sprzedać dom – powiedział.

– A co twoim zdaniem powinnam zrobić?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Przyglądał się beczynnemu, jak Matt pakuje ją w tarapaty. Zawsze będzie się czuł winny z tego powodu, nawet jeśli ona będzie wołała na to przymknąć oczy. I co mógł jej zaproponować? Że wróci i będzie rąbał drewno? Oprawiał króliki? Mieszkał pod jej dachem? Gdyby tak zrobił, nigdy nie czułby się jej równy, miałby jej do zaofiarowania jedynie wdzięczność. Z trudem przełknął ślinę.

– No cóż, chyba rozsądnie będzie wynieść się stamtąd przed zimą – odparł.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Aha.

– Jeśli uznasz to za najlepsze wyjście.

– Pewnie masz rację. – Odkasznęła. – Jak długo tam zostaniesz?

– Nie mam pojęcia. Posłuchaj, chciałem ci to powiedzieć po powrocie, ale możliwe, że Frank będzie miał dla mnie pracę.

– Tam? To znaczy stałą posadę?

Dotacja wystarczy na pokrycie jednej pensji, powiedział mu Frank. I miał dla niego inne zadania do wykonania, nie tylko pracę w lesie. Byron przypomniał mu, że siedział w więzieniu. „A czy przez to gorzej obsługujesz piłę?” – zapytał tamten ze spokojem.

– Mógłbym zamieszkać w przyczepie, jest tu jedna porządna do dyspozycji. Frank mówi, że w grę wchodzi przynajmniej pół roku. To dobra oferta.

– Na to wygląda. Ale wiesz... zawsze możesz mieszkać u nas. Tak długo, jak zechcesz. Nie musisz podejmować decyzji pochopnie.

– Muszę się zacząć sam utrzymywać, Isabel. Propozycje takie jak ta rzadko się trafiają. –

Kopnął kamyk na drodze. – A skoro ty i tak będziesz się przeprowadzać...

Znowu zapadła cisza.

– Jesteś zdecydowany przyjąć tę ofertę?

– Tak myślę. Wciąż mogę do was wpadać w odwiedziny. Zabierać Thierry'ego na weekendy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Próbował zinterpretować jej milczenie.

– Na pewno byłby zachwycony, mogąc dalej spędzać z tobą czas.

Byron przysiadł na pniu przy kamiennym murku, który biegł wzdłuż drogi równoległej do wybrzeża. Powietrze było przesycone solą morską. Nagle zaczęły go od niej piec oczy.

– Dasz radę wpaść na urodziny Kitty? – spytała jeszcze Isabel.

– Mam jeszcze sporo do zrobienia, ale się postaram.

Telefon mu padł. Byron wziął siekiere i z wściekłym pomrukiem cisnął nią w pole.

Isabel odłożyła słuchawkę. Dzieci wróciły ze sklepu i dekorowały na dole dom i ogród. Właśnie wbiegły na trawnik i w złotym świetle zachodzącego słońca ciągnęły sznur z chorągiewkami, śmiejąc się, gdy Pepper się w niego zaplątał.

Okazało się, że mogli znowu być szczęśliwi, że żyło im się tu nawet lepiej niż w Londynie. Nieodpowiedzialna decyzja wyszła im na dobre. Ale Isabel nie była już w stanie mieszkać tak blisko Matta i Laury – teraz, kiedy wiedziała, że od zawsze pragnęli jej domu, a obecność jej rodziny w tym miejscu miała być nieodwołalnie zatruta pretensjami McCarthych.

Poza tym wszędzie tutaj widać było rękę Matta. Nawet te części domu, które zajęli, nie wydawały się już należeć do nich.

To może wyjść im na dobre, mówiła sobie. Mogą się przeprowadzić gdzieś niedaleko, żeby Kitty i Thierry nie musieli zmieniać szkoły. Do małego domu w którejś z okolicznych wsi. Dobrze by było żyć bez długu, bez konieczności szukania pożywienia w ziemi. Czasami chciało jej się śmiać, kiedy podawała ludziom swój adres i widziała, jak zmieniają do niej nastawienie, jak spoglądają na nią z szacunkiem. Mieszkanie w takim domu wiązało się z prestiżem. Czy wciąż traktowalibyście mnie tak samo, gdybyście widzieli, jak przebieram zioła, by zaparzyć herbatę dla dzieci? – pytała ich w duchu. Albo jak moja córka sprzedaje jajka, żebyśmy mogli zapłacić za prąd? W nowym, mniejszym domu uprawa warzyw mogłaby być rozrywką, nie koniecznością. I nie musieliby już patrzeć na dziury w ścianie.

Isabel obserwowała Thierry'ego, jak wdrapywał się na drzewo, by przywiązać do niego koniec sznurka z chorągiewkami. Jemu akurat trudno będzie opuścić to miejsce. Brak porządnej łazienki nie stanowił dla niego problemu, ale utrata wolności, jaką daje las, oraz znajomości z Byronem pewnie mocno go zaboli.

Nie była pewna, czy Byron dalej będzie ich odwiedzał. Przez telefon brzmiał inaczej, teraz, kiedy ich już nie potrzebował. Był bardziej pewny siebie, zdystansowany, jakby niewiele ich już łączyło. Nie zrań mojego syna, błagała go w myślach i nie dopuszczała do siebie możliwości, że prosi o to dla siebie samej.

Odwróciła się i spojrzała na dziurę w sypialni, na tę ziejącą jamę. Ta wielka wyrwa przeraziła ją chyba bardziej niż wszystko inne, co wydarzyło się w tym domu. Przytłoczyła ją jej symbolika: perspektywa przyszłości bez niczego, dziury w miejscu, gdzie niegdyś były jej rodzina i poczucie bezpieczeństwa.

– Och, na litość boską, to tylko dom, cholerny dom! – krzyknęła Isabel i usłyszała, jak jej głos odbija się od polakierowanej podłogi pustego pokoju. Nadszedł czas, by wziąć się w garść. To nie był ich dom. Jeśli miała być ze sobą szczerą, nigdy tak naprawdę nie należał do nich.

Do dziury między sypialnią a łazienką przytasczyła wielką płytę gipsową, tak, by zakryła cały otwór. Z dołu przyniosła wiertarkę i przytwierdziła regips do ściany. A potem znalazła starą, oprawioną w ramki grafikę przedstawiającą José Carrerasa, przywiezioną



z jakiegoś hiszpańskiego festiwalu muzycznego, i oparła ją o ścianę, zakrywając płytę. W łazience w tym samym miejscu przypięła stare białe prześcieradło, drapując je delikatnie, by robiło wrażenie, jakby kryło się za nim coś pięknego.

Skontaktuje się z tym deweloperem i zapyta, jaką ma dla niej propozycję, a potem podzwoni po lokalnych agencjach, żeby mieć porównanie. Zamieszkają w zwykłym domu, a czas, jaki spędzili w tym, będą wspominać jako dziwne interludium w ich życiu. I zrobi wszystko, żeby te ostatnie tygodnie tutaj były idealne. A przyjęcie Kitty z okazji szesnastych urodzin będzie magiczne. To jest dobra decyzja. I rozsądna.

Isabel przyjrzała się swojemu dziełu z uczuciem bliskim satysfakcji, po czym zeszła lekkim krokiem do kuchni, po podręczniki majsterkowicza, które wypożyczyła kilka tygodni temu w kiepsko wyposażonej bibliotece w Long Barton. Musiała jeszcze zainstalować wannę.

Niedaleko stamtąd, w swoim garażu, Laura również podejmowała decyzję w sprawie swojej przyszłości. Przyszła tu po dużą walizkę, ale gdy zobaczyła porzucane narzędzia Matta, odruchowo zaczęła je sprzątać. Może to była siła przyzwyczajenia, a może część jej nie była w stanie opuścić tego domu, nie pozostawiając go w idealnym porządku.

Wepchnęła myjkę ciśnieniową w kąt i odtoczyła dwie puste butle po gazie, które zastawiały dawne biurko Samuela Pottiswortha. Zebrała śmieci i wrzuciła je na taczkę, by je potem spalić. Wiedziała, że najskuteczniejszym sposobem na uspokojenie zamętu w głowie są zajęcia wokół domu. Uprzątnięcie najgorszego zajęło jej prawie dwie godziny. Potem zatrzymała się, by podziwiać rzeczy starannie ułożone na półkach, puszkę z farbą opatrzone etykietami z nazwami pokoi, które nimi pomalowano, na wypadek gdyby coś wymagało poprawek. Matta, oczywiście, nie było w pobliżu. Po całej awanturze po prostu ruszył przed siebie, ignorując jej nawoływania, i nawet Anthony, chociaż był na nią wściekły, bał się pójść za nim.

– Daj mu czas, zanim z nim porozmawiasz – powiedział jej wtedy Nicholas. Jego chusteczka była niemal zupełnie przesiąknięta krwią, chociaż nos miał tylko lekko stłuczony. – Ma sporo do przyswojenia.

Nie próbowała dzwonić do męża. Nauczyła się już wiele tygodni temu, że Matt nie odbiera telefonów od niej.

Zanim Nicholas od niej wyjechał, jakąś godzinę wcześniej, siedzieli w samochodzie zaparkowanym w lesie, a on mówił jej, jak bardzo jest z niej dumny. Opowiadał o ich przyszłym wspólnym życiu, o szczęściu, które na nich czeka. Ten dom przyniesie im tyle dobrego.

– Nicholasie? – Wbiła wzrok w swoje dłonie, ułożone równo na kolanach. – Nie wykorzystalesz mnie, żeby się dowiedzieć więcej na temat tego miejsca, prawda?

Jej pytanie wzbudziło w nim przerażenie. Spoglądali na siebie i w tamtej chwili Laura dostrzegła, jak podejrzania, wzajemne oszustwa i brak zaufania doprowadziły ich do tego miejsca. Zobaczyła, ile bólu przysporzył wszystkim ten dom.

– Nie zawsze w życiu byłem uczciwy, ale przy tobie nie umiem inaczej – odpowiedział.

Laura zdjęła gumowe rękawiczki, wytarła ręce w papierowy ręcznik i wyszła z garażu. Nie była jeszcze gotowa wejść do domu. Wszystko w środku przypominało jej o tym, co ma zostawić, o rodzinie, którą rozbije na zawsze, o przysiędze, którą złamie. Jej głowę zaprzętały głupie pytania: co powinna zrobić z rodzinnymi obrazami? Albo ze srebrem, które dostała od ciotki? Czy powinna zabrać najcenniejsze rzeczy już jutro, żeby Matt nie mógł ich zniszczyć w przypływie furii? Co pomyśli Nicholas na jej widok, gdy będzie miała ze sobą kilka pudełek pamiątek rodzinnych? Czy zabranie ich będzie dolaniem oliwy do ognia? Matt wydawał się zupełnie niepodobny do siebie. Był taki opanowany, pełen dystansu, kiedy to on miał kochanki. Teraz, gdy wiedział, że ona kogoś ma, nie była w stanie przewidzieć jego reakcji. A co pomyśli jej rodzina? Chciała zapytać Nicholasa, gdzie zamieszkają, dopóki ich nowe gniazdko nie będzie

gotowe, ale gdy będzie o to za bardzo wypytywać, wyjdzie na rozkapryszoną, jak gdyby on sam jej nie wystarczał. Nawet nie widziała jego londyńskiego domu. A co, jeśli jej się nie spodoba? Co, jeśli uzna, że nie jest w stanie mieszkać w stolicy? I co, u licha, ma zrobić z Berniem? Był za stary, by się przystosować do życia w wielkim mieście, a trudno było oczekiwać, że Matt się nim zajmie. Rzadko w ogóle bywał w domu. Czy powinna uśpić psa, by zaspokoić swoje potrzeby uczuciowe? Jaki człowiek robi coś takiego? Kiedy Nicholas ją poprosił, by z nim zamieszkała, podejrzewała, że dla niego był to wielce romantyczny gest. Dla niej poniekąd też tak to wyglądało. Ale kiedy jest się niemal czterdziestoletnią matką mającą dom, psa, dowożącą dziecko do szkoły i pełniącą funkcję w radzie wsi, wyrwanie się ze swojego życia nie jest tylko kwestią wyjścia z domu z walizką.

I kiedy tak się tym zamartwiała, złapała się z goryczą na myśli: to dlatego nie pociągam Matta. Ponieważ nigdy nie potrafiłam się poddać namiętności. Jestem osobą, która wiecznie ociąga się decyzją, martwiąc się, czy ktoś nakarmi biednego starego psa.

Laura wróciła do garażu. Posegregowała śmieci do recyk-lingu, pozamiatała podłogę, a potem jej oczy spoczęły na biurku Pottiswortha. Był to sfatygowany mebel, jasny orzech z odchodzącym fornirem i uchwyty, które nie pasowały do reszty. Może potraktuje go czymś na korniki, wyczyści i wniesie do środka. Dzięki temu będzie mogła zabrać ze sobą swoje stare biurko – prezent od rodziców na osiemnastkę – z mniejszym poczuciem winy. Zresztą Matt i tak nie interesował się meblami, co najwyżej skarżył się, że są za miękkie albo za twarde.

Założyła gumowe rękawiczki i przeszukała półki. Następnie przez prawie godzinę, z dokładnością, z której słynęła wśród znajomych i sąsiadów, zdemontowała wiktoriańskie biurko, ostrożnie wyjmując jedną szufladę po drugiej, wyczyściła je gąbką, po czym nałożyła na nie preparat na drewno-jady, sięgając do każdego zakamarka. A gdy wyciągnęła ostatnią szufladę, odwróciła ją i położyła na blacie biurka, natrafiła na coś niezwykłego. Dwie kartki, złożone kilka razy i przyklejone niedbale taśmą do spodu.

Laura zdjęła rękawiczki i zamknęła pojemnik z preparatem owadobójczym, uważając, by jej palce nie miały kontaktu z toksycznym płynem. Powoli oderwała taśmę z brzegów i rozłożyła arkusze, mrużąc oczy podczas czytania w przyćmionym świetle garażu.

Przeczytała dokument raz, potem drugi, sprawdziła oficjalną pieczętkę i nieznaną adres notariusza. A potem przeczytała to samo w kopii. Zerknęła na ognisko w ogrodzie. Wreszcie przeczytała dopisek nabazgrany w późniejszym terminie niebieskim długopisem. Było to pismo Pottiswortha – tak samo ostre i trudne do odszyfrowania jak on sam.

*Zobaczmy, czy jesteś honorową osobą, pani M.*

*Podobno szlachectwo zobowiązuje, prawda?*

Jedna wiertarka, jeden stół warsztatowy, jedna torba z metalowymi narzędziami, która ważyła tyle, że wydawała się niemożliwa do udźwignięcia dla jednego człowieka, a w niej wyrzynarka, piła elektryczna, dwie poziomnice i taśma miernicza. Notes pełen nabazgranych liczb, radio tranzystorowe bez baterii i bluza, której zapach przypominał o czymś, co wolałaby wyrzucić z pamięci. Isabel przeniosła ostatnią z tych rzeczy na korytarz i wytarła zakurzone dłonie o szorty. W tym domu nie będzie po nim śladu. Po zakończeniu przyjęcia przeniesie to wszystko do jednej z szop i zostawi jego żonie wiadomość, że może tam przyjść i je odebrać.

Jedna szynka na drewnianej desce, osiem bagietek, półmisek z serami, dwie aluminiowe tacki z owocami. Karton ze składnikami na kilka sałatek, dwa hermetycznie zamknięte opakowania marynowanego mięsa i ryb, dwie duże miski z sałatką ryżową i makaronową. Jedna skrzynka soków owocowych, dwie butelki szampana.

– O mój Boże – westchnęła Kitty, gdy kuzyni wyładowali to ze swojego samochodu. – Czy to wszystko dla nas?

– Wstrzymaj się z wyrazami zachwytu, moja droga. Nie widziałas jeszcze najlepszego – powiedział Henry i z tylnej półki wyjął ostrożnie kwadratową srebrną podstawę z wielkim tortem. W środku stała marcepanowa postać z fryzurą na boba, która rozdawała srebrne kulki z cukru małym kurom. – Wszystkiego najlepszego, mała. – I uśmiechnął się szeroko.

– To – szepnęła Kitty – jest obłędne.

– A co to znaczy w młodzieżowej gwarze?

– Wydaje mi się, że jej się podoba – powiedział Asad.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiliście to dla mnie!

– Wiesz – zaczął Henry, zmierniacz powoli w stronę stołu. – Każdy zasługuje na wyjątkowe szesnaste urodziny. W końcu od tego momentu jest już z górki.

Dwie eleganckie garsonki, dwie pary dżinsów, sukienka koktajlowa, kilka kompletów nowiutkiej bielizny La Perla i zwykłe majtki na co dzień. Kozaki, botki, adidas, jedwabna koszula nocna i nowa piżama. Kosmetyczka, suszarka do włosów, album ze zdjęciami i cztery srebrne ramki z rodzinnymi fotografiami w kolorze sepia. Etui na biżuterię. Srebrny imbryk. Kubek z okazji chrztu i porcelanowy pojemniczek zawierający pierwszy ząb Anthony'ego. Teczka z certyfikatami inwestycyjnymi i akcyjnymi, danymi kont bankowych, paszportem i prawem jazdy. Akt własności domu, na wszelki wypadek. Na więcej nie starczyło już miejsca. Oto jej życie zamknięte w jednej dużej walizce.

Laura siedziała na niej w hallu, z kurtką na kolanach, bawiąc się paskiem od zegarka, gdy po raz setny sprawdzała godzinę. Pies uwiązany na smyczy leżał spokojnie u jej stóp i pochrapywał, nieświadomy czekającego go życiowego kataklizmu. Pochyliła się i pogłaskała jego miękką głowę, mruganiem próbując przegonić łyzy, które mogły mu spaść na sierść.

Anthony z nią nie jechał. Zamieszka u babci, oświadczył matce tego ranka.

– Ale myślałam, że pojedziesz ze mną.

– Owszem, ty tak myślałaś. Ja miałem inne plany.

– Ale Londyn ci się spodoba. Mówiłam ci, będzie super. Będziesz miał własny pokój...

– I mam zostawić swój dom? Swoich znajomych? Nie, mamo. Mówisz o swoim życiu.

A ja jestem na tyle dorosły, by sam o sobie decydować. I postanowiłem tu zostać.

– Nie możesz mieszkać u babci na zawsze. Doprowadzi cię do szału.

– Wobec tego zamieszka u pani Delancey. Powiedziała, że mogę zająć pokój dla gości, jeśli nie przeszkadza mi bałagan w domu. Mają tam trochę miejsca.

W domu Isabel Delancey?

– Dlaczego miałbyś tam zamieszkać? – Sama ta myśl niemal zwała ją z nóg.

– Bo ona nie truje cały czas – odparł jej syn. Miał na sobie tę swoją wełnianą czapkę, mimo że na zewnątrz było niemal dwadzieścia sześć stopni. – Potrafi odpuścić. Nie zawraca Kitty głowy. Żyje własnym życiem.

Jeśli zamierzał ją zranić tymi słowami, to mu się udało. A Laura znienawidziła tę kobietę jeszcze bardziej. Sąsiadka ukradła jej nie tylko męża, ale i syna.

– Czy wiesz, że ona sypia z twoim ojcem? – wyrzuciła z siebie, kiedy nie była już w stanie znieść tej niesprawiedliwości.

– Nie wygłupiaj się – odparł lekceważącym tonem. – Byłaś tam. Słyszałaś, co zrobił z jej domem. Ona taty nienawidzi. Możesz powiedzieć, że ją orznął, ale to co innego. – Roześmiał się gorzko.

– Anthony!

– Wiesz, zawsze było mi cię żal, kiedy tata mówił, że masz paranoję – powiedział. – A teraz myślę, że chyba miał rację.

Gdy zaczęła protestować, powstrzymał ją gestem, minął i ruszył do wyjścia.

– Zadzwoń do mnie, gdy będziesz w okolicy. Sam nie wybieram się w najbliższym czasie do Londynu.

Usłyszała na podjeździe jego oddalające się kroki i starała się stłumić szloch, który narastał jej w piersi.

Zmieni zdanie, mówiła do siebie, układając pozostałe zdjęcia na stoliku w hallu. Kilka tygodni mieszkania z babcią albo ojcem i zmieni zdanie. Nie umiała go sobie wyobrazić w domu hiszpańskim. Gdyby to zrobiła, cisnęłaby tę walizkę w las i wybiegła za nim z krzykiem.

Kiedy zadzwonił dzwonek, pies podniósł głowę. Otworzyła drzwi, nie patrząc Nicholasowi prosto w twarz, by nie zobaczył jej zaczerwienionych oczu.

– Jesteś gotowa? – Ucałował ją, a potem zerknął na walizkę. – Tylko tyle?

– Na razie – odparła. – I... jeszcze pies. Jeśli nie masz nic przeciwko. Wiem, że wcześniej nie braliśmy tego pod uwagę.

– Weź ze sobą nawet konie, jeśli tylko chcesz – powiedział lekkim tonem. – Myślę, że uda się wcisnąć dwa na patio, jeśli będzie trzeba.

Zaczęła się śmiać, ale jej śmiech przeszedł w szloch. Ukryła twarz w dłoniach.

– Hej... hej... Przepraszam. Już dobrze.

– Nie – odparła, wtulając głowę w jego pierś. – Nie jest dobrze. Mój syn mnie nienawidzi. Zamierza zamieszkać z tamtą kobietą. Nie mogę uwierzyć, że bierze to pod uwagę.

Nicholas otoczył ją ramionami.

– Nawet jeśli tak zrobi, to będzie tylko na chwilę – rzekł w końcu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mam nadzieję, że wkrótce ten dom będzie nasz. Więc w teorii będzie mieszkał pod twoim dachem. Pod naszym dachem. – Podał jej chusteczkę. Wzięła ją i wytarła oczy.

– Z materiału... to ta sama?

– Przynosi mi szczęście.

Złożyła ją równo. Starła się mówić spokojnym głosem.

– Czy to znaczy, że się zgodziła?

– Nie do końca... – Wpatrywał się uważnie w jej twarz. – Ale rozmawiałem z nią dziś rano i kiedy usłyszała, że tu przyjeżdżam, poprosiła mnie, żebym do niej wpadł porozmawiać.

– I myślisz, że chce go sprzedać?

– Nie jestem sobie w stanie wyobrazić innego powodu, dla którego chciałaby ze mną

pomówić, a ty?

– Pewnie i ciebie chce uwieść. – Pociągnęła nosem.

Nicholas odsunął jej włosy z twarzy.

– Myślę, że jestem odporny na jej urok. Ale możesz wejść ze mną, jeśli chcesz. Będiesz pilnować, żebym się właściwie zachowywał.

Podniósł jej walizkę i włożył do bagażnika. Laura zamknęła za sobą drzwi, starając się nie myśleć, co to tak naprawdę oznacza. Przywołała Berniego na tylne siedzenie, a potem sama siadła z przodu. To był inny samochód niż ten podniszczony, którym przyjechał tu w dniu, kiedy się poznali, znacznie bardziej elegancki. Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem.

– Nie zrobię tego – oznajmiła.

– To znaczy czego?

– Nie wysiądę z samochodu. Nie chcę jej widzieć. Nie chcę widzieć ich. Nawet nie chcę patrzeć na ten przeklęty dom. – Wpatrywała się w deskę rozdzielczą z nieszczęśliwą miną. – Ty z nią porozmawiaj. Ja poczekam w samochodzie.

Nicholas wziął ją za rękę. Sprawiał wrażenie, jakby nic nie było w stanie go wytrącić z równowagi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, całując jej palce. – Ten dzień zawsze będziesz wspominać jako najgorszy. Ale Anthony zmieni zdanie.

Drugą rękę Laura trzymała w kieszeni i ścisnęła dokument, który wyrzucił do góry nogami jej poczucie, co jest właściwe, i postrzeganie samej siebie. Przygryzła wargę, gdy samochód ruszył w stronę zakrętu wiodącego do domu hiszpańskiego. Pewność Nicholasa dodawała jej nieco otuchy. Ale to wcale nie oznaczało, że mężczyzna ma rację.

Kto by pomyślał, że przygotowanie kawy we własnej kuchni może sprawić człowiekowi taką przyjemność? Byron wyjął kubek z szafki, a potem z zadowoleniem rozejrzał się po wnętrzu przyczepy. Nie były to luksusy, ale było tu całkiem przestronnie, jasno i czysto, a co najważniejsze, był to jego własny kąpiel. W szufladach leżały jego ubrania, w łazience wisiało jego pranie. Gazeta czekała na niego dokładnie tam, gdzie ją zostawił. To było miejsce, które mógł nazywać swoim domem, nawet jeśli tylko przez chwilę.

Jego psy leżały na boku, wyczerpane. Potarł oczy, starając się odpędzić zmęczenie. Rozważał ucięcie sobie krótkiej drzemki, ale z doświadczenia wiedział, że pobudka bywa bolesna i chyba łatwiej obywać się zupełnie bez snu.

Kawa z dwóch łyżek powinna wystarczyć. Potrzebował sporej ilości kofeiny. Dodał do kubka mnóstwo cukru.

Kiedy już miał usiąść, rozległo się wściekłe pukanie do drzwi. Wstał ociężale i otworzył. Frank machał mu przed oczami kartką, a jego twarz była purpurowa z gniewu.

– Co to ma znaczyć?

– Nie chciałem ci przeszkadzać – wyjaśnił Byron. – Powiedziałaś, że jesteś zajęty rachunkami.

– Dopiero co się wprowadziłeś. I już odpierniczasz coś takiego?

– Frank...

– Spoufalanie się ze mną w niczym ci nie pomoże. Dałem ci szansę, dach nad głową, zaprosiłem do swojego stołu, a ty od razu to wykorzystujesz. I traktujesz mnie jak idiotę.

– Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj. Zatrudniłem cię, bo zależało mi na tym, by obrobić ten las jak najszybciej. Myślisz, że możesz mnie olewać, jeździć w tę i w tę, by się spotykać z panienkami czy Bóg wie po co, ale zapomnij o tym. – Odwrócił się i założył czapkę z powrotem na głowę. – Może powinienem był słuchać ludzi. Ale wtedy Muriel zaczęła mnie

mężycy: „Weź daj chłopakowi szansę. Nikt nigdy nie miał mu nic do zarzucenia, zanim...”. No nic. Znajdzie się ktoś inny – mruknął pod nosem i ruszył gniewnie do drzwi.

– Ale ja już skończyłem – powiedział Byron.

– Skończyłeś co?

– Przycinanie lasu.

Frank się zatrzymał.

– Całych pięciu i pół hektara?

– Tak. Tę leszczynę rosnącą za stodołą. Tak jak się umawialiśmy.

Frank zawsze nosił ten sam płaszcz, czy na zewnątrz panował dziesięciostopniowy mróz, czy trzydziestostopniowy upał, a teraz wytarte ramiona uniosły się z niedowierzania.

– Ale...

– Pracowałem przez całą noc. – Wskazał na kartkę. – Nie doczytałeś do końca. Obiecałem pewnej osobie, że będę na jej urodzinach, więc jedyną opcją było skończyć wcześniej to zadanie. Wróciłem do pracy po wczorajszej kolacji.

– Zrobiłeś to wszystko wczoraj w nocy? Niby jak, po ciemku?

Byron uśmiechnął się szeroko. Frank jeszcze raz przeczytał wiadomość i jego twarz powoli się rozjaśniła.

– Ja pierniczę! Byron, zawsze był z ciebie dziwak i nic się nie zmieniło. Jasna cholera! Pracował przez całą noc. No, no!

– Więc nie przeszkadza ci, że jadę? Wrócę w poniedziałek rano, jeśli to dla ciebie okej. I zacznę ten dziewięciohektarowy kawałek. – Byron upił łyk kawy.

– Rób, co chcesz, synu. Bylebyś tylko nie kazał mi kupować sobie baterii do latarki. No, no! Pracowałeś przez całą noc, hę? Niech no tylko powiem o tym Muriel. Chyba musiała ci coś dosypać do deseru!

Pojawili się wcześniej, tak jak Kitty się spodziewała. Jej nowi znajomi wysiadali z samochodów, którymi ich podwożono, albo wyłaniali się z lasu, po kilka osób, roześmiani. Pomachała im, ciesząc się, że znowu jest częścią jakiejś grupy. Nie wstydziła się już stanu, w jakim był jej dom; wiedziała, że wszyscy skupią się na jeziorze i na tym, by jak najszybciej do niego wskoczyć. Poprzedniego wieczoru mama powiedziała jej, że być może znowu będą się przeprowadzać. Kiedy dodała, że zostaną we wsi, że nie będzie musiała zmieniać szkoły, Kitty poczuła ogromną ulgę. Teraz czuła się częścią tego miejsca. To był jej dom.

– Wszystko w porządku? – spytała Anthony’ego, który siedział ze spuszczoną głową i dźgał apatycznie gumowy ponton. – Założę się, że wróci – dodała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie będzie w stanie cię zostawić.

– Widziałem ją – odparł. – Miała spakowaną walizkę.

Kitty wiedziała, jak to jest stracić rodzica. Ale nie miała pojęcia, jak to jest, kiedy opuszcza cię on z własnej woli, a Anthony wyglądał na tak przygnębionego, że bała się go urazić nieodpowiednim komentarzem.

Siedzieli przez kilka chwil w milczeniu, machając nogami w wodzie. Wokół nich latały motyle bielinki, a zaledwie kilka centymetrów nad ich stopami unosiła się opalizująca ważka i przyglądała im się wyłupiastymi oczami. Kiedy odleciała, Kitty odwróciła się do Anthony’ego.

– Kiedyś się poprawi – powiedziała, a on spojrzał na nią spod wełnianej czapki. – Życie. Czasami bywa naprawdę koszmarnie, a kiedy myślisz, że tak już będzie zawsze, wszystko się zmienia.

– Czy to jakiś cytat? – spytał. – Z *Domku na prerii*?

– Rok temu o tej samej porze – wyjaśniła Kitty – myślałam, że ja, mama i Thierry już nigdy nie będziemy szczęśliwi.

Anthony podążył za jej spojrzeniem – popatrzył na rozmawiającą z mężczyzną w garniturze Isabel, która miała zawieszony na szyi wieniec z przywiedłych stokrotek, i na jej brata, który wrzucał patyki do jeziora, a jego pies je aportował.

A potem Kitty objęła go w pasie, czując, że dotyk drugiego człowieka może mu poprawić nastrój. Uśmiechnęła się, a po chwili on odpowiedział jej tym samym – jak gdyby pod jej wpływem zrobił coś, na co wcześniej nie miał ochoty. Wtedy Kitty się roześmiała. Mogła wywołać uśmiech na jego twarzy. Miała szesnaście lat, mogła wszystko.

– Chodź – powiedziała, odsuwając się od niego i ściągając mu z głowy czapkę. – Idziemy popływać.

Isabel pomyślała, że przypomina jej to rozmowę z Cartwright-em. Siedziała w milczeniu, podczas gdy jej gość wyjaśniał jej wszystko cierpliwie, jakby się nie spodziewał, że go zrozumie.

– Byłaby to inwestycja przyjazna otoczeniu. Zależy mi, by zachować ogród otoczony murem i by domy wychodziły na jezioro. Żeby wszystko było wkomponowane w krajobraz.

– Ale chce pan kupić zarówno ziemię, jak i dom. Musielibyśmy się stąd wyprowadzić.

– Niekoniecznie. Gdyby była pani zainteresowana zamieszkaniem w jednym z nowo wybudowanych domów, zagwarantowalibyśmy w umowie jego zakup po preferencyjnej cenie. – Na starym stole leżał zeszyt z wyliczeniami. Jasny lniany garnitur Nicholasa Trenta kontrastował ze zniszczonymi leżakami i rdzewiejącym rusztowaniem. Mężczyzna włożył rękę do kieszeni. – Nie wiem, na ile się pani orientuje w miejscowym rynku nieruchomości, więc wyszukałem kilka podobnych projektów, które zrealizowano w tej okolicy, by zobaczyła pani, jakie kwoty wchodziły w grę. – Wręczył jej kolejną kartkę.

– I w każdym przypadku tyle była warta ziemia? – zapytała.

– W gruncie rzeczy tak. Tyle zapłacono właścicielom za dom i ziemię, ale w większości przypadków budynki, które tam stały, zostały wyburzone.

– Ale jeśli to miejsce jest tak wyjątkowe, jak pan mówi, to nie jest dobry wyznacznik.

– Trudno jest znaleźć idealne porównanie.

– I myśli pan, że będzie popyt na domy w takim miejscu? Tak daleko od miasta?

– Miejscowości w tej okolicy cieszą się coraz większą popularnością wśród osób pracujących w Londynie i skłonnych dojeżdżać. A jezioro mogłoby przyciągnąć tych, którzy szukają drugiego domu na wypoczynek. Uważam, że inwestycja ma szansę powodzenia.

Isabel spojrzała na otoczony rusztowaniami dom, którego czerwona cegła lśniła w upale przedpołudnia. Gdzieś niedaleko nich drozd śpiewał leniwie swoją melodię, a kaczki buszowały w trzcinie. Na trawniku nastolatki przebierały się w stroje kąpielowe albo ekscytowały prezentami Kitty. Możliwe, że mężczyzna dostrzegł w jej twarzy wahanie albo nawet żal, bo położył rękę na jej łokciu i rzekł pośpiesznie:

– Pani Delancey, będę z panią całkowicie szczerzy, co niekoniecznie jest mądrym posunięciem dla kogoś w moim położeniu. To miejsce, to otoczenie są dla mnie wyjątkowe. – Wyglądał na speszzonego, jakby taka otwartość była dla niego czymś nowym. – Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, od kiedy je zobaczyłem. Ale nie wydaje mi się, by dalsze pakowanie pieniędzy w ten dom w takiej postaci było warte zachodu.

– Tylko dlaczego miałabym panu wierzyć, panie Trent, skoro wygląda na to, że popełniłam błąd, wierząc komukolwiek?

Zawahał się przez chwilę.

– Bo to się pani opłaci. A jeśli sprzeda pani ten dom mnie, gwarantuję, że będzie pani miała zabezpieczenie finansowe i możliwość pozostania w tym miejscu, jeśli tego pani pragnie.

– Panie Trent, zapewne rozumie pan, że jako... samotna matka muszę zrobić wszystko, by zadbać o przyszłość swoich dzieci.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się.  
– Dlatego myślałam o kwocie takiego rzędu. – Isabel wypisała liczbę w jego zeszycie i oparła się, podczas gdy mężczyzna wpatrywał się w kartkę.  
– To... spora suma.  
– Od tego możemy zacząć negocjacje. Tak jak pan powiedział, panie Trent, to wyjątkowa okolica.

Był ewidentnie zbity z tropu, ale ona się tym nie przejmowała.

Podbiegł do niej Thierry.

– Mamo?

– Chwileczkę, synku.

– Czy mogę urządzić sobie w domu kryjówkę?

Przyciągnęła go do siebie. Przez ostatnich kilka dni próbował „bawić się w Byrona”. Przycinał las, układał gałązki w stos, zbierał jedzenie i drewno na opał, a teraz, oczywiście, chciał zamieszkać w kryjówce. Rozumiała to. Jej też brakowało tego mężczyzny.

– Nie masz ochoty popływać z innymi?

– Popływam potem.

– To idź – powiedziała. – Ale jeśli zamierzasz to zrobić w kotłowni, to nie znoś tam mojej porządnej zastawy, dobrze?

Kiedy Thierry pobiegł w swoją stronę, odwróciła się z powrotem do dewelopera.

– To moja propozycja, panie Trent. Za taką sumę mogę stąd odejść. To cena za kolejne przesiedlenie moich dzieci.

Mężczyzna nie wytrzymał:

– Pani Delancey, czy zdaje sobie pani sprawę, że odnowienie tego domu będzie panią kosztować fortunę?

– Mieszkaliśmy w takich warunkach przez wiele miesięcy. Nie przeszkadza nam to już. – Pomyślała o wannie, którą skończyła montować tego ranka. Docisnęła ostatnią nakrętkę, odkręciła krany, a potem patrzyła, jak początkowo brudna woda klaruje się i znika w odpływie. Sprawilo jej to tyle satysfakcji, co zagranie skomplikowanej symfonii.

Mężczyzna wpatrywał się w kartkę.

– Ta suma jest znacznie wyższa od ceny rynkowej.

– Z tego, co rozumiem, cena rynkowa to po prostu kwota, jaką ktoś jest gotów za coś zapłacić.

Widziała, że jest zaskoczony. Ale chciał kupić ten dom. A ona zrobiła wyliczenia. Oszacowała absolutne minimum potrzebne do kupna nowego domu o przyzwoitym standardzie i do zapewnienia jej rodzinie poduszki finansowej. A potem dodała do tej sumy co nieco.

– Poznał pan więc moje zdanie. A teraz wybacz pan, ale muszę pomóc córce przy imprezie.

To rzeczywiście przypominało sytuację z Cartwrightem, pomyślała, ale tym razem ona już rozumiała, o co chodzi. Lepiej, niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić.

– Rozejrzę się jeszcze raz po okolicy, jeśli pani pozwoli – powiedział Nicholas Trent, wydymając policzki i zbierając swoje papiery. – A potem dam pani znać, co postanowiłem.

Kitty ledwo mogła uwierzyć, kiedy mama pochwaliła się jej swoim dokonaniem.

– Sama to zrobiłaś? I naprawdę działa?

Isabel uniosła rękę.

– Tak wyglądają dłonie hydraulika – rzekła, a potem uścisnęła córkę, owiniętą w stary ręcznik i oblepioną wodorostami. Nie wspomniała, jak długo jej to zajęło, ile razy przeklinała niezrozumiałe rysunki, gdy musiała wykręcać zbyt mocno dociśnięte nakrętki albo opryskała ją



woda. – Wszystkiego najlepszego, córeczko. Kupiłam ci też płyn do kąpeli.

– O mój Boże. Prawdziwa kąpiel. Mogę iść teraz? Mamy ciepłą wodę i całą resztę?

– Teraz? – spytała Isabel. – W trakcie imprezy?

Kitty, trzęsąc się, skinęła głową w stronę swoich znajomych, który byli zajęci spychaniem się nawzajem z dmuchanych pontonów.

– Nic się nie stanie, jak zniknę na pół godziny. I z przyjemnością zmyję z siebie tę zieloną maź. O mój Boże, kąpiel! Prawdziwa kąpiel! – Podskoczyła z radości jak dziecko.

– To idź – powiedziała Isabel. – Ja nakryję do stołu.

Kitty wbiegła do domu, pokonując na schodach dwa stopnie naraz. Weźmie szybką kąpiel w pianie, umyje włosy, a potem zejdzie taka świeża i pachnąca na lunch, kiedy wszyscy wyjdą z wody. Otworzyła drzwi do łazienki i uśmiechnęła się na widok tego, co zrobiła jej mama. Na brzegu wanny stały nowiutkie butelki jej ulubionego luksusowego szamponu i odżywki. Od miesiący używali tanich kosmetyków z supermarketu. Na podłodze, owinięty czerwoną wstążką, czekał na nią francuski nawilżający płyn do kąpeli, a obok miękki biały ręcznik. Przed wanną leżała równo ułożona mata kąpielowa. Kitty podniosła butelkę, zdjęła zakrętkę i wzięła głęboki wdech, a cudowny zapach wypełnił jej nozdrza.

Następnie włożyła błyszczący mosiężny korek do otworu i odkręciła kurki. Woda buchnęła z kranu, momentalnie zaparowując lustro na szafce. Kitty zaryglowała drzwi od łazienki, po czym zdjęła kostium kąpielowy i owinęła się ręcznikiem, w którym przyszła. Nie chciała, żeby nowy pokrył się zieloną mazią. Czekając, aż wanna się napełni, podeszła do okna.

Na zewnątrz jej mama rozkładała talerze na stołach, rozmawiając z Asadem, który przygotowywał sałatkę. Henry sączył wino z kieliszka i krzyknął do grupy dziewcząt pluskających się w wodzie coś, co rozśmieszyło je wszystkie. Rzucił im piłkę, po czym odezwał się do Isabel, która również się roześmiała. Tak promiennie i beztrudnie jak wtedy, gdy żył jeszcze tata.

Kitty poczuła, że łzy szczypią ją w oczy, i otarła je. Wszystko będzie dobrze. Po raz pierwszy od śmierci ojca zaczęła wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Mama zajęła się wszystkim, więc ona, Kitty, znowu może mieć szesnaście lat. Po prostu szesnaście lat.

Zobaczyła, jak Thierry wykrada talerz z jedzeniem, po czym zmierza w stronę kotłowni, i postukała w szybę, by zwrócić jego uwagę. Zrobiła minę, by dać mu do zrozumienia, że wie, co on knuje. Thierry pokazał jej język, a ona roześmiała się głośno.

A potem odskoczyła, gdy usłyszała dziwny trzask.

Odwróciła się akurat wtedy, gdy białe prześcieradło za wanną poruszyło się, a z drugiej strony coś chrupnęło. Krzyknęła na widok Matta McCarthy'ego, który odsuwał materiał.

– Co... co pan tu robi?! – pisnęła, owijając się ciasniej ręcznikiem.

Schylił się, by przejść przez dziurę, a gdy znalazł się w łazience, podrapał się po głowie zakurzoną ręką.

– Zamierzam załatać tę dziurę – oznajmił spokojnym tonem.

Był nieogolony, przypięty do jego bioder pas z narzędziami zwiślał krzywo. Kitty mimowolnie zrobiła krok w tył.

– Proszę stąd wyjść. Zaraz będę się kąpać.

– Muszę to naprawić. Ten pokój był piękny. Nie mogę tego tak zostawić.

Serce waliło jej tak mocno, że zagłuszało szum płynącej wody. Zobaczyła na podłodze swój kostium kąpielowy i zapragnęła mieć cokolwiek pod ręcznikiem.

– Proszę, niech pan stąd wyjdzie.

– To nie zajmie mi wiele czasu. – Przykucnął i przesunął palcami po krawędzi wyrwy w ścianie. – Muszę to tylko załatać. Jaki byłby ze mnie fachowiec, gdybym zostawił tu taką

wielką dziurę, co?

Kitty ruszyła w stronę drzwi.

Matt nagle się wyprostował.

– Nie bój się, Kitty. Nie będę ci przeszkadzał – powiedział. I uśmiechnął się.

Dolna warga jej się trzęsła. Błagała w duchu, by mama weszła na górę albo Anthony – ktokolwiek. Ktoś musiał widzieć, jak Matt tu wchodził. Łazienka jakby nagle się skurczyła, a nikłe echo głosów na zewnątrz wydawało się oddalone o miliony kilometrów.

– Bardzo pana proszę – rzekła cicho, próbując powstrzymać drżenie w głosie – by pan stąd wyszedł.

Matt jakby jej nie słyszał.

– Proszę – powtórzyła. – Niech pan stąd wyjdzie.

– Wiesz – powiedział nagle – jesteś bardzo podobna do matki.

I dopiero kiedy Matt wyciągnął rękę, by dotknąć jej twarzy, Kitty rzuciła się do drzwi. Przez chwilę zmagala się z zamkiem, a potem z tłumionym piskiem zbiegła po schodach, nie mając pojęcia, czy Matt podąża za nią. Niezdarnie odsunęła zasuwę drzwi wejściowych, wybiegła na zewnątrz i ruszyła pędem przez trawnik, wciąż tłumiąc w piersi szloch.

– Mnie nie pytaj – mówił Henry. – Mam zupełnie pospolity gust muzyczny. Jeśli coś nie kończy się jakimś melodramatycznym finałem, dla mnie mogłoby nie istnieć.

– Musi być spokrewniony z Judy Garland – stwierdził Asad, usuwając folię z następnej miski. Kilkoro znajomych Kitty już wyszło z wody i wycierało się ręcznikami albo krążyło z nadzieją przy stole z jedzeniem.

– Nie sądzę, żebym znała jakieś piosenki Judy Garland – odparła Isabel, a do pozostałych powiedziała: – Tam jest więcej ręczników, gdyby ktoś potrzebował.

– Grasz tylko muzykę klasyczną? – Asad umieścił łyżki do nakładania na środku stołu, a potem włożył oliwkę do ust.

– Tak. Ale ona nie zawsze jest ponura.

– Nie sądzę, żeby muzyka klasyczna miała taką dramaturgię jak kawałki z musicali – powiedział Henry. – Raczej nie udałoby ci się sprawić, bym uronił łzę.

– Ma mniejszą dramaturgię? Panie Ross, jest pan kiepsko zorientowany.

– Co? Myślisz, że mogłabyś doprowadzić mnie do łez? Swoją grą na skrzypcach?

Isabel się roześmiała.

– Twardsi od ciebie mężczyźni miękli pod jej wpływem – odparła.

– No to spróbuj. – Henry wziął do ręki ściereczkę. – Rzucam ci wyzwanie. Proszę mnie wzruszyć, pani Delancey.

– Tyle że wyszłam z wprawy. Nie ćwiczyłam porządnie od miesiący.

– Nam to nie przeszkadza.

– Ale skrzypce leżą w kuchni.

Henry się schylił i wyjął futerał spod stołu.

– Już nie.

– Dlaczego mam wrażenie, że zostałam wrobiona?

Obaj zachichotali.

– Marzył nam się prywatny koncert – rzekł Henry. – Nie przejmuj się, przecież nie sprzedajesz na swój występ biletów. No, prosimy. Zagraj cokolwiek. Nieuprzejmie byłoby odmówić, biorąc pod uwagę, że to urodziny twojej córki.

Isabel ułożyła skrzypce pod brodą, a potem przeciągnęła smyczkiem po strunach i w południowym słońcu rozbrzmiały pierwsze takty koncertu skrzypcowego h-moll Elgara.

Zauważyła zachwyt na twarzy Asada i Henry'ego, a potem zamknęła oczy, starając się

skoncentrować, przypomnieć sobie nuty. Teraz jej skrzypce nie wydawały się już takie złe. Opowiadały o jej smutku związanym z opuszczeniem domu, o utracie męża i tego, kim myślała, że był. Śpiewały o bolesnej i zaskakującej tęsknocie za kimś nowym.

Otworzyła oczy i okazało się, że goście Kitty zaczęli wychodzić z wody i rozsiadać się na trawie. Słuchali w skupieniu, jak zahipnotyzowani. Zmieniła pozycję, a gdy skończyła pierwszą część koncertu, zobaczyła go między drzewami i przez chwilę pomyślała, że może to tylko jej wyobraźnia. Uniósł rękę, a ona posłała mu szeroki, promienny uśmiech.

Henry i Asad odwrócili się, by sprawdzić, do kogo Isabel się uśmiecha, i szturchnęli się ukradkiem.

On odpowiedział jej uśmiechem. Nie był jej mężem, ale to było w porządku.

– Jednak przyjechałeś – odezwała się, opuszczając skrzypce. Wygląda na zmęczonego, pomyślała, ale na zadowolonego. Ta praca coś mu przywróciła.

– Przywiozłem prezent dla Kitty – rzekł. – Siostra mi doradziła. Sam nie mam pojęcia, co lubią dziewczyny.

– Na pewno bardzo się ucieszy – odparła Isabel. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku. – Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać. Naprawdę.

Ta wcześniejsza niezręczność panująca między nimi gdzieś się ulotniła.

– Ja też się cieszę – powiedział. Promieniowały od niego duma i pewność siebie.

Isabel uświadomiła sobie, że od kiedy Matt przestał nad nim dominować, w postawie Byrona pojawiło coś imponującego.

Stali tak, twarzą w twarz, nie zważając na zaciekawione spojrzenia.

– No już, już. – Henry zaczął machać na Isabel. – Siadaj, Byron. Nie musiałeś jej przerywać. Czułem przy tym kawałek przyjemne przygnębienie.

Byron uśmiechnął się szeroko.

– Wybaczcie mi – powiedział. – A gdzie Thierry? – Nie spuszczał oczu z Isabel, a ona uświadomiła sobie, że się rumieni.

Uniosła skrzypce do ramienia.

– W kuchni albo w kotłowni, albo jeszcze gdzie indziej. Urządza sobie... kryjówkę.

Byron uniósł brew. Pomyślała, że teraz to jest ich wspólny żart. A nie źródło napięcia.

Usiadł na trawie, wyciągnął swoje długie nogi, a ona spojrzała na kuzynów i wznowiła grę, starając się skupić na muzyce i nie myśleć o tym, co może oznaczać jego przyjazd. Nie obchodzi mnie, kim jest ani co robił, będąc kimś innym, pomyślała. Po prostu cieszę się, że tu jest. Zamknęła oczy i poddała się melodii, bojąc się, że bez nut, za którymi mogłaby się ukryć, będzie aż nazbyt obnażona przed słuchaczami.

Uwielbiała drugą część koncertu, jego wspaniałe fluktuacje, jego refleksyjny, śpiewny ton, ale dopiero teraz, gdy przeszła do rozdzierającej serce końcówki, zrozumiała, dlaczego podświadomie wybrała ten utwór. Ta fraza – żarliwe słodko-gorzkie nuty zamykające tę część – sugerowała nabytą świadomość, że nie ma powrotu do przeszłości. Sam Elgar powiedział, że ten koncert jest „zbyt emocjonalny”, ale też, że go uwielbia.

Otworzyła oczy. Zobaczyła Asada z głową odchyloną w kontemplacji, a obok niego Henry'ego, który ukradkiem ocierał oczy. Pozwoliła, by ostatnie nuty wybrzmiały dłużej, pragnąc przeciągnąć tę chwilę.

– I to tyle – powiedziała, opuszczając skrzypce. – Mówiłam wam, że...

Niemal zapało jej dech w piersiach, gdy nagle przyskoczyła do niej córka. Kitty jedną ręką ciągnęła Isabel do siebie, a drugą ścisnęła ręcznik, którym była owinięta. Szlochała tak mocno, że ledwo była w stanie mówić.

– Kitty! – Isabel cofnęła się o pół kroku i spojrzała jej w twarz. – Co się stało?

– On tam jest. – Kitty wyrzuciła z siebie między spazmami. – Matt McCarthy. Jest w środku.

– Co? – Byron poderwał się na nogi.

Isabel spojrzała na dom. A potem, gdy dotarło do niej, że jej córka jest pod ręcznikiem naga, spytała:

– Dotknął cię?

– Nie... – odparła Kitty. – On tylko... Był w sypialni... Wszedł przez dziurę... Wystraszył mnie.

Myśli wirowały w głowie Isabel. Jej oczy napotkały spojrzenie Byrona.

– Zachowywał się bardzo dziwnie. Nie mogłam go wyprosić... – Kitty wciąż kurczowo trzymała się matki.

– Co powinniśmy z nim zrobić? – Asad stanął przy nich.

– Nie mam pojęcia – odparła.

– Co on kombinuje? – Twarz Byrona stężała, w jego ciele pojawiło się napięcie. Nagle Isabel przepełnił strach, nie z powodu jego przeszłości, ale na myśl o tym, co był zdolny zrobić dla niej.

– Mówił, że chce naprawić dziurę – powiedziała Kitty. – Załatać ją. Ale nie zachowywał się normalnie, mamó. Był..

– Thierry – przerwał jej Byron i rzucił się pędem w stronę domu.

W łazience Matt wycierał palcem zaparowaną szybę i spoglądał na zgromadzonych na dole ludzi. Zobaczył, że Isabel podnosi wzrok i przez chwilę mógłby przysiąc, że złowił jej spojrzenie. Teraz na pewno tu przyjdzie. Może wreszcie uda im się porozmawiać.

Nie zauważył, że w wannie wzrasta poziom wody, która lała się przez cały czas po ucieczce Kitty. Nie słyszał skrzypienia nadwyrężonych belek podłogowych poddanych niespodziewanemu naciskowi.

Matt McCarthy przedostał się z powrotem przez dziurę, wszedł do sypialni i usiadł na brzegu łóżka.

\*

Byron wchodził po schodach powoli i zaglądał do każdego mijanego pokoju, na wypadek gdyby chłopiec był w środku. Lata tropienia zwierzyny sprawiły, że poruszał się niemal bez-szelestnie, a po wymianie desek niewiele stopni skrzypiało.

Dotarł na półpiętro i usłyszał wodę lejącą się z kranu. Drzwi do łazienki były uchylone, a pomieszczenie najwyraźniej puste. Popchnął drzwi do sypialni i ujrzał tam Matta siedzącego na łóżku i spoglądającego przed siebie na dziurę w ścianie. Matt podniósł wzrok i zamrugał.

Spodziewał się kogoś innego, uświadomił sobie Byron. Stanął w drzwiach. Nie bał się już niczego, co mógłby zrobić Matt McCarthy.

– Gdzie jest Isabel? – spytał Matt. Jego skóra, mimo opalenizny, wyglądała na poszarzałą, nie licząc rumieńców na policzkach.

– Masz stąd wyjść – odezwał się Byron spokojnym głosem. Ale krew w żyłach dudniła mu tak mocno, że z pewnością było to słychać.

– Gdzie jest Isabel? – powtórzył Matt. – Miała wejść na górę i ze mną porozmawiać.

– Właśnie wystraszyłeś Kitty na śmierć – powiedział Byron. – Wynoś się stąd. I to już.

– Ja mam opuścić ten dom? A kim ty jesteś, żeby mnie stąd wyganiać?

– Lubisz tyranizować wszystkich wokół, prawda? – Byron czuł teraz, jak dochodzi w nim do głosu gniew, który przez lata próbował tłumić. – Jesteś nawet w stanie zastraszyć dziewczynę, by dostać ten dom. Ale ja ci mówię, Matt: koniec z tym.

W tym czasie Matt przeniósł wzrok na dziurę w ścianie i obserwował, jak woda sięga brzegów wanny, a potem zaczyna się przelewać nad krawędzią. Było tak, jakby w ogóle nie słyszał Byrona.

– Wynoś się – powtórzył Byron, szykując się, by usunąć stąd Matta siłą. – Bo inaczej...

Matt spojrział na niego.

– Bo co? Zmusisz mnie do tego? Dwa słowa, Byron. – Roześmiał się, jakby to był jakiś żart. – Dwa słowa. Przesylabizuję je dla ciebie. ZWOL-NIE-NIE WA-RUN-KO-WE.

Dudnienie w uszach Byrona stało się nie do zniesienia. Zobaczył kpiący uśmiech Matta, jego martwe spojrzenie, i dotarło do niego, że już nie dba o konsekwencje. Liczyło się tylko to, by powstrzymać tego człowieka, pokazać mu, że nie może dłużej zastraszać i oszukiwać ludzi, wykorzystywać Isabel. Uniósł pięść, cofnął rękę...

A wtedy wyssało z niego oddech, bo oto nagle z przeraźliwym chrzęstem i skrzypieniem podłoga łazienki zaczęła ustępować.

Isabel pomyślała o Byronie, biorąc do ręki skrzypce i szukając w głowie jakiegoś pogodnego utworu do zagrania. Wszystko będzie dobrze, ponieważ on tu jest. Przy nim nic złego się nie stanie. Właśnie wtedy usłyszała koszmarny łoskot, upuściła instrument i odwróciła się.

Dźwięk ten wdarł się w ciszę wczesnego popołudnia jak wystrzał, straszliwy i pełen grozy, i wessał powietrze w próżnię. Po nim przetoczył się niski pomruk, a potem rozległ się ogłuszający trzask pękającego drewna i dachówek, któremu towarzyszył chrzęst tłuczonego szkła. Dom hiszpański zapadał się od środka, jakby między dwoma skrzydłami otworzyła się w ziemi wielka szczelina. Wszystko zadrżało, kaczki z wrzaskiem poderwały się do lotu. Na oczach szokowanych Isabel, Kitty i jej gości budynek zniknął, złożył się jak domek z kart, a na jego miejscu unosiła się wielka chmura pyłu. Gdy opadła, zobaczyli na tle nieba dwie ledwo stojące ściany: rozłupane belki wystawały z nich jak połamane kości, podłogi i ściany zmieniły się w wielkie zwały gruzu, a z pękniętej rury, niczym fontanna, wyciekał cienki strumień wody.

Wszyscy stali w milczeniu, zupełnie nieruchomo. Po chwili Isabel jęknęła, przyłożyła ręce do ust, a zaraz potem rozległo się wycie Kitty – piskliwe, nieludzkie. Jej ciało trzęsło się gwałtownie, wzrok miała utkwiony w miejscu, w którym jeszcze niedawno stał jej dom. A potem, gdy wreszcie była w stanie wydusić z siebie jakieś słowo, wyrzuciła:

– Gdzie jest Thierry?

Laura siedziała w samochodzie, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zobaczyła. Skala tego wydarzenia i jego nieprawdo-podobieństwo przykuły ją do miejsca. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał dom, widniał teraz straszliwy szkielet, dwie ocalałe ściany odślaniały wnętrza pokoi: tapety, przekrzywiony obraz, pół sypialni i wciąż przypięte plakaty.

Za nią, na tylnym siedzeniu, skamlał jej pies.

Drżącymi palcami udało jej się otworzyć drzwi i wyjść z samo-chodu. Na drodze dojazdowej stała zbита w grupkę zszokowana młodzież, wciąż ściskając ręczniki. Isabel wpatrywała się w dom z niedowierzaniem, z ręką przy ustach. Za jej plecami pojawili się kuzyni, Henry z komórką przyciśniętą do ucha dawał komuś wskazówki, jak tu dojechać. Pottisworth – przyszło jej do głowy. Czuła w tym jego złowrogą obecność, słyszała jego nieprzyjemny, świszczący rechot w trzasku drewna, w brzęku tłuczonego szkła.

Wtedy podszedł do niej Nicholas, z poszarzałą twarzą, przyciskając teczkę do piersi.

– Co tu się wydarzyło? – powtarzał. – Byłem w garażu. Co tu się, do cholery, wydarzyło?

Ona była w stanie jedynie kręcić głową. Oboje ruszyli w stronę ogrodu.

– Thierry!

Kiedy wyszli z za drzew i usłyszeli ten krzyk, serce podeszło Laurze do gardła.

– Thierry! – Isabel stała kilka metrów przed nimi. Włosy miała w nieładzie, a kiedy

próbowała zrobić krok, nogi odmówiły jej posłuszeństwa i osunęła się na ziemię.

– O nie... nie – jęknęła Laura. – Tylko nie dziecko...

Nicholas wyciągnął do niej rękę, ale sparaliżowana strachem, nie była w stanie jej ścisnąć.

– To wina Matta – powiedział Nicholas. – Musiał osłabić konstrukcję budynku. Mógłbym przysiąc, że gdy widziałem ten dom po raz pierwszy, wyglądał stabilnie.

Laura nie była w stanie oderwać oczu od Isabel Delancey. Kobieta była przerażona, blada jak płótno, w jej oczach malowała się pustka. Za jej plecami szlochała jej córka.

– Mamo? – rozległo się wołanie. I ponownie: – Mamo? – Isabel odwróciła się i Laura wiedziała, że już nigdy nie zapomni widoku jej twarzy. Chłopiec wyszedł spomiędzy drzew wraz ze swoim psem. – Mamo?

Kobieta zerwała się na nogi i boszo rzuciła do biegu, złapała synka w ramiona i szlochała tak mocno, że i Laura zaczęła płakać. Patrzyła na tamtą kobietę, słyszała jej łkanie i wiedziała, że to cierpienie wywołane było po części jej żądzą posiadania.

Poczuła, że nie powinna patrzeć na tak intymną scenę, i odwróciła się w stronę domu, tej wielkiej, ziejącej dziury w środku lasu. Front przypominał teraz maskę z czerwonej cegły z dwoma pustymi oknami w miejscu oczu, a otwarte drzwi wyglądały jak zrozpaczone usta.

To właśnie stamtąd wytoczył się jej mąż, z zakrwawioną głową i zwisającą dziwacznie ręką. Nie wydawał się bardziej przejęty widokiem tej ruiny, niż gdyby patrzył na plac budowy.

– Jezu Chryste – wymruczał Nicholas.

Nagle dotarło do niej, w jakim szaleństwie pogrążył się jej mąż.

– Laura? – odezwał się Matt, deptając po cegłach, a ona pomyślała, że ten człowiek, choć znajdował się zaledwie kilka-set metrów od własnego domu, był kompletnie zagubiony.

– Dziękuję – zwracała się Isabel do nieznanego bóstwa, nie umiejąc wypuścić z ramion syna. – Och, dziękuję. Boże, myślałam... To było nie do zniesienia. Nie do zniesienia. – Wdychała zapach Thierry'ego, nie umiejąc wypuścić go z objęć, jej łzy spadały na jego skórę.

– Policzyliśmy wszystkich znajomych Kitty – rzekł Henry. – Nikomu nic się nie stało.

– Niech się nie rozchodzą – powiedział Asad i zaciągnął się inhalatorem. – Powinniśmy ich zebrać przy jeziorze.

Rozległ się kolejny niski pomruk.

– Co to był za dźwięk? – odezwała się Kitty.

Wszyscy spoglądali w przerażeniu, jak ściana zachodniego skrzydła, której wciąż trzymała się połowa sypialni, zachwiała się, a potem, jak na filmie w zwolnionym tempie, runęła w deszczu cegieł i odłamków szkła. Z piersi młodych ludzi zgromadzonych na trawniku wyrwał się krzyk, część rzuciła się w stronę jeziora. Isabel przytuliła swoje dzieci, próbując zasłonić ich twarze.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała. – Wszystko będzie dobrze. Nic wam nie grozi.

– A gdzie jest Byron? – spytała Kitty.

– Byron? – powtórzył Thierry w osłupieniu.

– Poszedł szukać Thierry'ego – powiedziała Kitty zdruzgotana i odwróciła się w stronę miejsca, gdzie do niedawna była kotłownia.

– Słodki Jezu – jęknął Henry.

Isabel rzuciła się biegiem w stronę ruin, upadła na kolana, po czym zaczęła wybierać cegły i odrzucać je za siebie.

– Tylko nie to. – Gardło miała zaciśnięte z przerażenia. – Nie znowu. Nie ty też. – Kiedy wiadomość się rozeszła, wszyscy rzucili się na pomoc i zaczęli wyciągać z ruin kawałki drewna, ich ręce były czerwone od ceglanego pyłu, podobnie jak dłonie Isabel. – Byron! – krzyczała. –

Byron!

Kuzyni zajęli się Kitty i Thierryem, otulając ich rękami mimo południowego upału. Thierry się trząsał, twarz miał pobladłą z szoku. Henry nalał mu czegoś słodkiego.

– Czy to moja wina? – Isabel usłyszała głos syna i myślała, że serce jej pęknie.

Sześć osób próbowało podnieść drewniany dach, aż wreszcie im się udało. Młodzi ludzie przeszukujący ruiny ostrzegali się nawzajem o odłamkach szkła i wystających gwoździach. Dwie dziewczyny płakały, a jedna stała na uboczu i rozmawiała przez telefon.

– Wkrótce tu będą – mówił Henry, jak gdyby chciał pocieszyć samego siebie. – Pogotowie i strażacy. Oni go odnajdą.

Isabel wypracowała sobie pewien rytm. Odrzucała cegły za siebie – jedna, druga, trzecia – próbowała dojrzeć, czy w dole pojawiła się szczelina, potem znowu – jedna, druga, trzecia – i nawoływała. Oddech miała poszarpany, serce waliło jej jak młotem.

– Nie chodźcie po niczym! – krzyknął Asad. – Jeśli Byron jest pod spodem, coś może go przygnieść. – Jakby na potwierdzenie jego słów, dwoje nastolatków pisnęło, bo załamała się pod nimi deska, ale pozostali wyciągnęli ich z dziury.

– Odejdźcie stąd! – krzyczał Asad. – Odsuńcie się! Druga ściana też może się zawalić.

To beznadziejne – pomyślała Isabel i przysiadła. Zerknęła na zegarek i zobaczyła, że przeszukiwali ruiny już prawie od dwudziestu minut, a wciąż nie mieli pojęcia, gdzie jest Byron. Wśród zgromadzonych narastały poczucie chaosu i histeria. Za jej plecami dwie osoby klóciły się o to, w jaki sposób najlepiej podnieść belkę. Henry i Asad powtarzali nastolatkom, żeby zaprzestali poszukiwań i się cofnęli. A pośród tego wszystkiego Isabel usłyszała głos córki, która próbowała zapewnić Thierry'ego, że wszystko będzie dobrze.

Ale nic na to nie wskazywało. Byron leżał gdzieś w ruinach domu. Liczyła się każda minuta. Pomóż mi, błagała go w milczeniu, odsuwając kolejny fragment gruzu i czując pot spływający jej po plecach. Pomóż mi siebie odnaleźć. Nie zniosę utraty ciebie. A potem usiadła na piętach i przycisnęła pięści do oczu.

– Bądźcie cicho! – krzyknęła. – Wszyscy się uciszcie! – I wtedy usłyszała ten dźwięk: odległe, gorączkowe ujadanie. – Thierry! – zawołała. – Gdzie są psy Byrona? Idź po nie!

Jego twarz na chwilę się rozjaśniła. Na oczach zdezorientowanych obserwatorów Thierry pobiegł wzdłuż brzegu jeziora do samochodu Byrona i wypuścił Meg i Elsie. Psy rzuciły się do biegu, kierując się od razu do odległego krańca domu.

– Cicho! Bądźcie cicho! – krzyknęła Isabel i natychmiast zapadła cisza, chyba bardziej złowieszcza niż wcześniejszy huk.

Kitty, podtrzymywana przez Henry'ego, stłumiła szloch, gdy Isabel przyskoczyła do psów, a potem zawołała znowu:

– Byron! – Jej głos był ostry, straszliwy, obcy nawet dla niej samej. – Byron!

Cisza zdawała się trwać wieki – na tyle długo, że serce Isabel zatrzymało się ze strachu – i była na tyle przenikliwa, że kobieta była w stanie dosłyszeć dzwonienie zębów córki. Ptaki umilkły, ucichł też szum sosen. W tym miejscu czas się skurczył i zatrzymał.

A kiedy w oddali rozległo się wycie syren, psy znowu się rozszczękały – najpierw zaskomlały, potem w ich ujadaniu zaczęła narastać histeria, aż wreszcie zaczęły drapać pazurami o drewno. I wtedy to usłyszeli.

Jego krzyk.

Jej imię.

Najcudowniejsza muzyka, jaką Isabel kiedykolwiek słyszała.

Ratownicy powiedzieli, że Byron wyszedł z tego niemal bez szwanku, biorąc pod uwagę okoliczności. Miał rozciętą nogę, rozległe siniaki i prawdopodobnie złamany obojczyk.

Zatrzymają go na noc w szpitalu i sprawdzą, czy nie ma obrażeń wewnętrznych. Kiedy tak leżał na noszach, obok rozmawiających sanitariuszy i policjantów z krótkofalówkami, podszedł do niego syn Isabel Delancey. Laura McCarthy obserwowała, jak chłopiec bez słowa, niezauważony przez dorosłych, kładzie głowę na dłoni Byrona, a rękę na jego piersi przykrytej prześcieradłem. Byron, zaskoczony, uniósł głowę, a potem, mrugając, wyciągnął posiniaczoną rękę, by dotknąć policzka chłopca.

– Wszystko w porządku, Thierry – odezwał się tak cicho, że Laura ledwo go dosłyszała. – Nic mi nie będzie.

To właśnie wtedy, kiedy pakowano go do karetki, Laura podeszła do niego. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej list, po czym włożyła go między zabandażowane palce Byrona.

– Nie mam pojęcia, ile to jest warte w obecnej sytuacji, ale tak czy owak powinieneś to dostać – rzekła szybko, a potem odwróciła się, zanim mógł cokolwiek powiedzieć.

– Laura? – odezwał się Matt. Obandażowany i otoczony przez policjantów, z kocem zarzuconym na ramiona, przypominał dziecko, bezradne i bezbronne. Nic z niego nie zostało, pomyślała. Jest zrujnowany jak ten dom.

W końcu okazało się to takie proste. Odwróciła się do Nicholasa i dotknęła jego policzka, poczuła pod palcami jego skórę, jego silną szczękę.

– Przepraszam – powiedziała miękko. A potem wzięła pod rękę swojego oszołomionego męża i odprowadziła go do radio-wozu.



Pierwszą noc spędzili w szpitalu razem z Byronem. Thierry nie chciał go zostawić samego, a poza tym nie mieli dokąd pójść. Pielęgniarki, kiedy dowiedziały się, co się stało, dały im do dyspozycji małą salę. Kitty i Thierry położyli się na dwóch wolnych łóżkach i zasnęli od razu, a na ich twarzach odbijały się wydarzenia całego dnia. Isabel siedziała między nimi i starała się nie myśleć, jak to wszystko mogło się skończyć.

Wokół niej rozbrzmiewały nocne dźwięki szpitala – skrzywienie gumowych podszew o linoleum, szept rozmów, pikanie maszyny zwiastujące wołanie o pomoc. Kiedy udawało jej się odpłynąć, w jej snach rozlegał się przeszywający huk, przenikliwy pisk córki i zdezorientowane pytanie Thierry’ego: „Mamo?”, przy którym nagle wracała jej przytomność.

Pół roku temu, kiedy wciąż szukała znaków, powiedziałyby, że to Laurent ich ocalił, że to on w jakiś sposób ich ochronił. Ale teraz, wpatrując się w mężczyznę leżącego w łóżku naprzeciwko, wiedziała, że to nieprawda. Próżno było szukać sensu czy znaczenia w czymkolwiek. Człowiek miał szczęście albo go nie miał. Umierał albo nie.

Zaczęło świtać przed piątą, zimne niebieskie światło za jasno-szarymi żaluzjami powoli oświetlało pogrążony w ciemności pokój. Isabel przeciągnęła się, czując napięcie w szyi i ramionach. A potem, upewniwszy się, że dzieci śpią, podeszła do krzesła przy łóżku Byrona i usiadła. We śnie jego twarz straciła czujność, wyglądała łagodniej, na jego skórze odbijały się tylko warunki pogodowe, w jakich pracował. Nie było żadnych śladów wątpliwości, gniewu czy nieufności.

Przypomniała sobie, jak bez wahania pobiegł na pomoc Thierry’emu, gdy wydawało mu się, że jej synowi grozi niebezpieczeństwo. Pomyślała o jego spokojnym, pewnym siebie uśmiechu, kiedy do nich przyjechał. Patrzył jej prosto w oczy i w jego spojrzeniu malowało się coś, czego nie był w stanie ukryć. A Isabel zobaczyła dla siebie przyszłość, chyba po raz pierwszy od śmierci Laurenta. Zobaczyła radość swojego syna, usłyszała jego dźwięczny głos. Zobaczyła swoją córkę uwolnioną od ciężaru przedwczesnej dorosłości. Zobaczyła jeśli nie szczęście, to chociaż kolejną na nie szansę.

Była pewna, że on czuł to samo. Nie działam pod wpływem impulsu, powiedziała sobie. To najbardziej przemyślana rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Powoli schyliła głowę i złożyła pocałunek na jego ustach, które okazały się niespodziewanie miękkie, smakowały szpitalem, środkami dezynfekującymi, mydłem, a pod tym wszystkim jakąś leśną nutą.

– Byron – wyszeptala i pocałowała go znowu. Pozwoliła, by jego posiniaczone palce odnalazły jej dłoń, pozwoliła, by ją trzymał, gdy budził się, wymawiając jej imię. Położyła się obok niego, a wtedy z jej oczu popłynęły łzy, łzy wdzięczności, że on tu jest, że znowu ktoś ją obejmuje, kocha i jej pragnie. Cieszyła się, że widmo Laurenta już nie stoi im na przeszkodzie, że nie słyszy echa wyrzutów sumienia. Nie było go tu już, był w tym samym miejscu co Matt.

Liczył się Byron. Tylko on.

Człowiek miał do wyboru szczęście albo jego brak.

A kiedy jakiś czas później podniosła głowę, by na niego spojrzeć, zszokowało ją zatroskanie malujące się na jego twarzy.

– Czy coś cię boli? – spytała i przejechała palcem po jego skroni, rozkoszując się przyjemnością, jaką dawał jej ten dotyk.

Byron nic nie odpowiedział. Siniak na jego czole przez noc nabrał nowych kolorów.

– Mogę ci podać jakieś środki przeciwbólowe. – Próbowała sobie przypomnieć, gdzie położyła je pielęgniarka.

– Przepraszam – powiedział cicho.

– To znaczy?

Byron pokręcił głową. Isabel się odsunęła.

– Przepraszasz za co?

– Nie mogę tego zrobić. Wybacz mi.

Nastąpiła długa, ciężka chwila ciszy.

– Nie rozumiem. – Usiadła na łóżku.

Minęło jeszcze kilka chwil, zanim się odezwał, głosem cichym i niepewnym. Za drzwiami rozległ się natarczywy dzwonek telefonu, którego nikt nie odbierał.

– To nie zadziała.

Wiem, co przed chwilą poczułam, chciała powiedzieć. I wiem, co poczułeś ty. Ale słowa te zbytnio przypominały natarczywość Matta.

– To głupie. – Próbowała się uśmiechnąć. – Czy nie możemy po prostu... zobaczyć, co się wydarzy?

– Naprawdę mogłabyś tak? Po prostu skoczyć z zamkniętymi oczami i liczyć, że wszystko się ułoży? – W jego ustach brzmiało to jak lekkomyślność.

– Nie o to mi chodziło.

– Isabel, za bardzo się różnimy. Sama dobrze o tym wiesz.

Wpatrywała się w jego zacięte usta. Wyraźnie unikał jej wzroku. Isabel ściszyła głos.

– Ty wiesz, prawda?

– O czym?

Dzieci wciąż spały.

– O Matcie.

Skrzywił się, tak jak się obawiała.

– Tak myślałam. To wszystko to tylko wymówka. Więc powiem ci o nim. To była noc, kiedy wysiadł prąd, byłam pijana, czułam się samotna i byłam w najgorszym dołku od śmierci Laurenta, i jeśli mam być absolutnie szczerą, jakaś głupia częśćka mnie myślała, że rzeczywiście tego chcę.

– Nie musisz mi opowiadać...

Przerwała mu gwałtownie.

– Owszem, muszę. Ponieważ to się wydarzyło i był to mój wielki błąd. I nie było dnia, żebym tego nie żałowała. Ale to, co wtedy zrobiłam, nie ma nic wspólnego z tym, co czuję do ciebie.

– Nie chcę słuchać...

– Ale powinienes. Bo musisz wiedzieć, że nie jestem taka. Nie podchodzę beztrąsko do spraw uczuciowych.

– Wcale nie chciałem...

– Wiesz co? Wcześniej nie spałam z nikim oprócz Laurenta. Miałam trzydzieści sześć lat i tylko jednego mężczyznę w łóżku! Bywało, że śmiałam się sama z siebie. A Matt...

– To nie ma nic wspólnego z Mattem! – wybuchnęła.

Kitty poruszyła się niespokojnie we śnie i Byron obniżył głos.

– Owszem, wiem, że przyszedł wtedy do ciebie. Mieszkałem pod twoim domem, nie pamiętasz już? Ale nigdy cię nie osądzałem. Nigdy, przenigdy cię nie osądzałem. Matt i cała ta afera z domem tylko przesłaniały prawdę.

– Jaką prawdę?

Byron westchnął głęboko.

– Że to nie zadziała.

- Jak możesz tak mówić? Skąd to niby wiesz?
- Isabel...
- Dlaczego nawet nie spróbujesz?
- Nie mam ci nic do zaoferowania. Nie mam domu. Ani stabilnej sytuacji życiowej.
- Takie rzeczy nie mają dla mnie znaczenia.
- Bo ty to wszystko masz. Łatwo się mówi z takiej perspektywy. Nie chciał spojrzeć jej w oczy. A ona czekała.
- Nie chcę, żebyś patrzyła na mnie za rok i czuła... co innego – kontynuował. –

Z powodu tego, czego nie mam.

Siedzieli w ciszy przez kilka chwil. Wreszcie Isabel się odezwała:

– Wiesz, co się wydarzyło wczoraj? Najbardziej przerażająca rzecz, jakiej doświadczyłam. Ty i Thierry mogliście zginąć. – Przybliżyła do niego twarz. – Ale nie zginęliście. Przeżyliście. Wszyscy przeżyli. I jedyną rzeczą, którą wiem na pewno, której nauczyłam się przez ten ostatni rok, jest to, że człowiek powinien korzystać z każdej okazji do szczęścia.

Usłyszała, jak za jej plecami Thierry mruczy coś przez sen, ale nie zważała na to.

– Przetwaliśmy dzięki tobie – mówiła dalej. – Thierry, Kitty też... Coś im przywróciłeś. – Była bliska łez. – Coś, czego potrzebowali. Coś, czego ja potrzebowałam. Nie rób tego, Byron. Nie odpychaj mnie. Nic innego się nie liczy.

Byron zacisnął mocno szczękę.

– Isabel... jestem realistą. Nie zmienię tego, jak funkcjonuje świat – powiedział z twarzą zwróconą w bok. – Tak będzie lepiej. Uwierz mi.

Odczekała, czy powie coś jeszcze. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wreszcie wstała z jego łóżka i w głowie jej się zakręciło, może z braku snu, a może z szoku.

– I to naprawdę tyle? Po tym wszystkim? Po tym, co razem przeszliśmy? Chcesz mnie odrzucić za posiadanie domu?

Byron pokręcił głową. A potem odwrócił się na bok ze zboląłą miną i zamknął oczy.

Kuzyni zaproponowali im pokoje nad swoim sklepem. Inni ludzie we wsi również zgłosili chęć pomocy, ale tylko u kuzynów mogli mieszkać razem. Isabel nie chciała się na razie zbliżać do domu hiszpańskiego, ale jednocześnie nie chciała się od niego zanadto oddalać. Ubezpieczenie i inne ważne dokumenty wciąż były pogrzebane pod gruzami.

Asad wręczył jej klucze do mieszkania.

– Możecie tu zostać, jak długo będzie trzeba – powiedział. – To żadne luksusy, ale przynajmniej macie pod ręką jedzenie i picie. Wynieśliśmy stąd większość towarów i wypożyczyliśmy łóżka polowe, więc chociaż jest tu trochę ciasno, macie gdzie spać i gdzie się umyć, bo jest też łazienka.

Isabel usiadła ciężko na rozkładanej sofie, Kitty i Thierry wtulili się w nią, a ona zaczęła się śmiać, jakby dostała czkawki. Łazienka. Wreszcie mieli łazienkę. Thierry spojrział na nią z nadzieją, jak gdyby mogła wszystko naprawić. W pierwszej chwili poczuła niepewność, ale zaraz wzięła się w garść i odpowiedziała mu uśmiechem. Taka była jej rola.

Opuścili szpital rano, nie mając zupełnie niczego, żadnej torby z podręcznymi rzeczami ani nawet portfela, tylko skrzypce. Ale to nie miało znaczenia, powiedziała Isabel Asadowi.

– To tylko przedmioty, prawda? A my jesteśmy rodziną, która może przeżyć, jedząc nawet chwasty i króliki – mówiła pogodnym tonem.

– Wcale nie zostaliście tak zupełnie bez niczego, jak wam się wydaje – rzekł Henry. Gdy po wsi rozniosła się wiadomość o tym, co się stało, jej mieszkańcy zaczęli im znosić rozmaite rzeczy, które uznali za przydatne: szczoteczki do zębów, rondle, koce. Wskazał na torby i pudła

stojące w rogu. – Zerknęliśmy do środka. Z tego, co tam jest, spokojnie wyżyjecie do czasu, gdy wypłacą wam ubezpieczenie.

Isabel założyła wcześniej, że to pewnie towary, które kuzyni mieli w magazynie. Teraz widziała, że był tam też sprzęt gospodarstwa domowego – rzeczy czyste, czasami nowe, a wszystko porządnie zapakowane i przyniesione specjalnie dla nich.

– Ale oni nas nawet nie znają – odezwała się zdumiona Kitty, biorąc do ręki miękki koc w kratkę.

– Wiem. Moim zdaniem życie na wsi ma niezасłużenie złą opinię – powiedział Henry. – Mieszkają tu ludzie o dobrych sercach, nawet jeśli nie zawsze rzucają się w oczy. A do tego hojni. Nie wszyscy są jak...

Kitty podniosła jedną z toreb, położyła na sofie i zaczęła z niej wyciągać kolejne rzeczy. Niektóre były tak przemyślane, że Isabel mało się nie rozplakała: mały kuferek z kosmetykami do makijażu i kremem do rąk, rozmaite płatki śniadaniowe, by zaspokoić każdy gust. Plastikowe pojemniki z jedzeniem. Ciasto biszkoptowe. Były tam też równo złożone wyprane ubrania w ich rozmiarach. Thierry rozłożył skejtowską koszulkę, nieoczekiwanie z niej ucieszony. Były tam też kartki z numerami telefonów, propozycjami pomocy i wyrazami sympatii.

– Policja znalazła twoją torebkę z portfelem – powiedział Asad – i klucze... do samochodu – dodał pośpiesznie.

– Skoro tak, to mamy chyba wszystko, czego nam trzeba – odparła Isabel. – Mamy siebie nawzajem, prawda? Cała reszta to przedmioty. To tylko przedmioty.

Nagle wybuchnęła płaczem i Asad położył jej rękę na ramieniu, mruczając coś o opóźnionym szoku. Włączył czajnik i powiedział dzieciom, żeby poszukały herbatników. Isabel, z twarzą ukrytą w dłoniach, nie protestowała, gdy się wokół niej krzatali. Nie mogła im powiedzieć, że płakała nie z powodu utraty swoich rzeczy, ale ponieważ mężczyzna, co do którego właśnie zdała sobie sprawę, że go kocha, nie kochał jej na tyle, by z nią być.

Samochód stał na polanie na brzegu jeziora, zaparkowany niedbale jakieś półtora dnia wcześniej przez właściciela spieszącego na przyjęcie urodzinowe. Zostawił nawet otwarte drzwi, byle jak najszybciej dołączyć do zgromadzonych w ogrodzie.

Byron cisnął torbę na siedzenie pasażera. Ktoś wetknął pod wycieraczkę swój numer z ofertą pomocy, a on ostrożnie wyjął kartkę, zaskoczony tym gestem. Właśnie odebrał psy od farmera, który się nimi zaopiekował, a teraz stał obok land rovera i patrzył, jak Meg i Elsie ścigają się wokół jeziora, zadowolone z powrotu do normalności.

Na drugim brzegu, między frontem a tyłem domu, rozciągnięta taśma policyjna trzepotała na wietrze, podobnie jak jeszcze dzień wcześniej powiewały chorągiewki, które teraz leżały potargane na trawie. Droga z Brancaster, siedzenie w ogrodzie w promieniach słońca, słuchanie muzyki – miał wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się całe wieki temu. Trudno mu było pojąć, jak dom i życie, które się w nim toczyło, mogły się tak nieodwracalnie zmienić praktycznie w mgnieniu oka. Miał też świadomość, że w pewien sposób ta katastrofa wcale nie stanowiła dla niego zagrożenia, jak wszyscy zakładali, ale była dla niego ocaleniem.

Przed nim samym.

Nagle Byron poczuł się potwornie zmęczony i ogarnęło go zniechęcenie na myśl o długiej drodze powrotnej do Franka. Jego siostra Jan, która przyjechała do szpitala w porze lunchu, naciskała, by zatrzymał się u niej i Jasona.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała. – Ktoś się powinien tobą zająć.

Ale Byron nie chciał przebywać wśród ludzi. Nie chciał mieszkać w cudzym domu, ocierać się o codzienne szczęście ich wspólnego życia.

– Wracam do Brancaster – odparł.

– Wiesz co – stwierdziła jego siostra – czasami jesteś swoim największym wrogiem.

Byron szedł powoli w stronę ruin, chcąc spojrzeć na nie ostatni raz przed wyjazdem. Dwadzieścia cztery godziny mieszkał tu legalnie. Rzadko doświadczał takiego uczucia lekkości jak wtedy, gdy obudził się w tamtym pokoju. Ale nie mógł zostać. A ona, nie chcąc tego dostrzec, oszukiwała samą siebie.

Zatrzymał się na samym krańcu wschodniego skrzydła domu i podniósł mały biały dzbanek z pękniętym uchem. Tak wiele rzeczy zostało tutaj pogrzebanych. Pozostałości życia rodzinnego Isabel leżały teraz pod gruzami, a potem trafią pewnie na jakieś odległe wysypisko. Trzymał dzbanek, wyobrażając go sobie w kuchni, i próbował odpędzić wspomnienie jej twarzy. W szpitalu wyglądała na tak samo zdruzgotaną jak wtedy, gdy jej dom się zawalił. Ale przecież on nie miał jej nic do zaoferowania. Mieć ją i stracić, patrzeć, jak jej miłość zmienia się w irytację, gdy kolejna jego praca nie wypali lub gdy będzie przynosił marne grosze, widzieć jej nieufność za każdym razem, gdy usłyszy jakąś starą plotkę we wsi, obserwować, jak jej namiętność gaśnie, byłoby nieskończenie bardziej bolesne niż nie mieć jej wcale.

Zostanie sam z psami. Tak będzie łatwiej.

Meg i Elsie trzeba będzie nakarmić, a źródło jego dochodu było w Brancaster. Sięgnął do kieszeni, licząc, że znajdzie tam jakieś drobne na karmę dla psów, ale wyjął stamtąd złożone kartki. Jakiś dokument w dwóch egzemplarzach. Zastanawiał się, skąd się tu wziął, i przypomniał sobie mgliście, jak Laura McCarthy wepchnęła mu go, zanim wsadzono go do karetki.

Wypowiedzenie, pomyślał. Rany, ta rodzina nie miała za grosz wyczucia. Rozłożył kartkę, rzucił okiem na wydrukowane na niej słowa i znieruchomiał. Przeczytał treść listu, podpisy świadków, nabazgraną własnoręcznie przez Pottiswortha wiadomość dla Laury McCarthy. Przeczytał ponownie, by się upewnić, czy naprawdę widnieje tam jego nazwisko. Zastanawiał się, czy to jakiś żart, a potem przypomniał sobie twarz Laury, gdy mu to wręczała – ponurą, a jednak z wyrazem dziwnej ulgi. Przywołał też w pamięci starego Pottiswortha, co mówił o McCarthyach, o ich chciwości i zadufaniu. „Nie mogą się doczekać, żeby dostać w swoje ręce ten dom”, narzekał. „Tacy jak oni uważają, że wszystko im się należy”. Byron nie był do niego w żaden sposób przywiązany. Również ze strony Pottiswortha nigdy nie wyczuł cienia sympatii, nie zaznał specjalnego traktowania. Bo niby dlaczego? W tym testamencie nie chodziło jednak o to, żeby mu coś dać, tylko żeby zagrać na nosie McCarthym. A przy okazji poddać Laurę próbie: stary dał jej oba egzemplarze dokumentu, więc jeśli chciała, mogła zniszczyć dowody. To był środkowy palec wyciągnięty w stronę Matta.

Przez cały ten czas przepraszałem za wtargnięcie na ziemię, która należała do mnie, ukrywałem się we własnej kotłowni – myślał, gdy prawda rozchodziła się ciepłem po jego ciele. Byłem właścicielem tego wszystkiego. Gdy dotarł do niego absurd tej sytuacji, roześmiał się, a jego psy nadstawiły uszu. Świadomość, że posiada taki majątek, przyprawiła go o zawrót głowy. On, Byron, pan na włościach.

Wtedy przypomniał sobie o Isabel. Dla niej to oznaczało utratę wszystkiego. Nie tylko domu, ale i oszczędności, które utopiła w tym budynku. Jego korzyść równała się jej stracie.

Usiadł na zwałonym pniu z dokumentem w rękę i wpatrywał się w jezioro. Człowiek, który, jak się okazało, wcale nie był biedakiem.

Przeszła ostatnie sto metrów wśród drzew i stanęła w pewnej odległości od wyjścia na polanę z rękami skrzyżowanymi na piersi, wpatrując się w ruiny domu. Zostawiła Kitty i Thierry’ego z kuzynami i powiedziała, że jedzie na zakupy. Ale zamiast udać się do banku czy do supermarketu, skręciła przy farmie świń i dojechała polną drogą do wciąż stojącego znaku, który ostrzegał ją poniewczasie: *Cave!*

Myślała, że już nigdy nie spojrzy na to miejsce. Ale musiała tu przyjechać. Musiała je

zobaczyć. Jadąc teraz przez las, dwa razy miała wrażenie, że się pomyliła, i chciała zawrócić. Ale ta ścieżka miała właśnie to do siebie: jeśli człowiek raz obrał kurs na ten dom, nie było już odwrotu.

Gdy zbliżała się do polany, zaskoczyła ją niespodziewana jasność. No tak, nie było już ceglanych murów, które zatrzymywałyby światło. Zwolniła i zatrzymała samochód na podjeździe w pobliżu zwał u gruzu i drewna będącego kiedyś jej domem.

Wieczór był ciepły, jednak na ten widok przeszedł ją dreszcz. Choć często powtarzała sobie, że to nigdy nie był ich dom, tylko tymczasowa siedziba, to miejsce stało się częścią ich rodziny, a ich nadzieje, marzenia, emocje i wspomnienia wniknęły w te mury. Jego widok w ruinie dotykał ją osobiście: było to tak, jakby patrzyła na nieszczęście własnej rodziny.

Isabel załkała. Nie wiedziała już, dlaczego płacze ani kogo opłakuje, ale ten dom wywoływał w niej ogromny smutek. Czuła szok, że w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna coś stało, teraz nie ma już niczego. I czuła ból z powodu końca i początku, który nie nastąpił.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała. Może wpłynął na nią spokój jeziora, a może odgłosy lasu; w każdym razie jej szok zaczął powoli ustępować miejsca rezygnacji. Dom był tylko domem i nigdy nie było to tak odczuwalne jak po jego zburzeniu. Ta sytuacja nie kryła w sobie najmniejszego podtekstu. Isabel nie musiała widzieć w ruinach żadnego znaku. To był smutny, niekochany budynek, zaledwie cegły, zaprawa murarska, drewno i szkło. Nic, czego nie dało się zastąpić.

– Może pan mieć tę ziemię – oznajmiła Nicholasowi Trentowi, kiedy zadzwonił do niej po południu, by się dowiedzieć, jak się czują.

– Nie wycofuję się z tego, co mówiłem, że stan domu nie jest dla mnie problemem...

– Może pan ją kupić po cenie, jaką pan proponował – przerwała mu. – Bylebyśmy tylko załatwili to szybko. Po prostu chcę mieć to za sobą.

Właśnie kiedy wspominała tę rozmowę, poczuła na ręce zimny psi nos.

Odwróciła się i zobaczyła, że Byron stoi na kopcu z cegieł, kilka kroków dalej, z siniakami na twarzy i na rękach, które nabierają niebieskozielonego odcienia.

Nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć. Wyglądał tak odmiennie od mężczyzny, którego pożegnała dziś rano. Ten wypadek połączył ich jakby jakąś magnetyczną siłą, ale zaraz potem coś innego ich odepchnęło. Żałowała, że się nie minęli. Ale jednocześnie cieszyła się, że tu był.

– Musiałam to zobaczyć – odezwała się, gdy poczuła, że jej obecność w tym miejscu wymaga wyjaśnienia.

W odpowiedzi skinął głową.

– Nie wygląda to tak źle, jak myślałam. – Absurd jej własnych słów wywołał u niej nieoczekiwany śmiech. – To znaczy... to znaczy: już mnie to nie przeraża.

– Mieliśmy szczęście – rzekł Byron.

– Na swój sposób. – Nie była w stanie ukryć gorczy w swoim głosie.

Pochyliła się i zaczęła powoli obchodzić skraj budynku. Wyjęła jakieś zdjęcie, szczotkę do włosów i próbowała nie rozpaczać na widok przedmiotów należących niegdyś do jej rodziny, a teraz pogrzebanych pod gruzami. Straż próbowała wczoraj odkopać wszystkie wartościowe rzeczy.

– Proszę się zbytnio nie przejmować szabrownikami – powiedział jej jeden ze strażaków. – Mało kto wie, że tu jest jakiś dom.

To był bezmyślny komentarz. Nie było już żadnego domu. Ale wmawiała sobie, że jej to nie obchodzi. Nie miała już nic wartościowego. I nie przejmowała się Byronem. Wiedziała teraz, że da sobie radę sama. To był zupełnie nowy początek. Zerknęła za siebie i zobaczyła, że Byron

wciąż na nią patrzy. Przez chwilę wydawało się, że zamierza się odezwać, ale tego nie zrobił. Isabel kontynuowała więc wędrówkę po śladach dawnego życia i czuła narastającą w środku niemą furję, gdy jego oczy przewiercały ją na wskroś.

Byron patrzył, jak spacerowała między rzeczami rozrzuconymi na trawie, obserwował, jak jej za duży podkoszulek przesuwają się wokół talii. Zauważył zadrapania na rękach i palcach, blizny nie tylko po wczorajszym dniu, ale po całym ostatnim roku. Nie wiedział, co jej rzec, jak przeprosić za to, co zrobił. Nie wiedział, co jej powiedzieć o tym, co go spotkało, jak jedno życie mogło zostać zniszczone i wskrzeszone jednocześnie. W końcu, przyciskając kilka przedmiotów do piersi, zerknęła na niego i zarumieniła się, widząc, że wciąż ją obserwuje.

– Muszę wracać do dzieci. Przyjadę tu kiedy indziej.

Nie poruszył się. Tymczasem ona stała, jakby czekała na jakieś jego słowo, a potem z wymuszonym uśmiechem powiedziała do niego:

– Zatem żegnaj. – I wetknęła kosmyk włosów za ucho.

Czuł się tak, jakby byli niemal obcymi osobami, które wpadły na siebie na ulicy.

– Isabel – odezwał się, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno. Osłoniła oczy dłonią, by go dojrzeć wyraźniej w promieniach słońca. – Znalazłem to. – Wyciągnął zmięte papiery. Podeszła, zatrzymała się w niewielkiej odległości i wzięła je od niego.

– Moje nuty – powiedziała.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

– Wiem, jak dużo dla ciebie znaczą.

– Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczą, ani one, ani cała reszta – odparła gniewnie.

Był teraz wstrząśnięty tym, co wyczytał w jej twarzy: ile bólu przysporzyła jej jego decyzja. Wszystko było na niej wyraźnie wypisane. A w jej cierpieniu, w jej wściekłości, zobaczył to, co sam czuł, co ukrywał przed sobą tygodniami, całymi miesiącami. Za kilka chwil mogła zniknąć z jego życia na zawsze. Co mam zrobić? – zapytał sam siebie. Myślałem, że mam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć.

– Powodzenia w Brancaster – powiedziała chłodno i ruszyła w stronę swojego samochodu.

Jego ciało zdawało się kurczyć z bólu, z niezaspokojonej potrzeby. Było to doznanie tak intensywne, tak dla niego obce, że aż nie do zniesienia. I właśnie wtedy podjął decyzję.

– Isabel! – zawołał za nią. Nie odwróciła się. – Isabel!

Zatrzymała się.

– Posłuchaj... myliłem się – rzekł. Przechyliła głowę. Pytająco. – A ty miałeś rację.

Podszedł do niej, mijając rozrzucone cegły i uważając, by nie potknąć się o sznur chorągiewek. Stanęli przy sobie twarzą w twarz. Odczekał chwilę, wiedząc, że to, co mu zaraz odpowie, zadecyduje o wszystkim.

– Powiedz mi, tak z ręką na sercu – odezwał się wreszcie. – Czy naprawdę wierzysz w to, co mówiłaś? Że nie ma znaczenia, co kto posiada?

Isabel wpatrywała się w niego. Ty nic nie rozumiesz, prawda? – spytała go w myślach. To ja tu jestem realistką. To ja jestem tą, która musiała się nauczyć trudnej prawdy, co jest w życiu naprawdę ważne. Pragnęłabym cię, nawet gdybyś miał nigdy niczego nie posiadać. Jego piękna twarz wydała jej się nagle niezwykle szczerą i stanęła jej w pamięci chwila, gdy leżąc pod gruzami, zawołał jej imię. Ona, tak wyczulona na każdą subtelną zmianę tonu, usłyszała prawdę w jego głosie, nawet jeśli on nie był jej świadomy. „Isabel!” – krzyknął wtedy, a wyczuwalna w tym okrzyku ulga nie miała nic wspólnego z jego położeniem.

Podniósł rękę i skrzywił się z bólu. Spojrzała na jego dłoń, a potem na jego twarz.

– No i...? – zapytał.

– Byron, to tylko dom.

Ona też podniosła rękę i jej szczupła dłoń dotknęła jego dłoni, szerokiej i silnej. Tylko nie odrzucaj mnie znowu, prosiła go w milczeniu, a jej twarz, jej oczy, jej dłoń również wyrażały to błaganie. Jeśli ja jestem w stanie podjąć ryzyko, to ty też.

– To tylko dom – powtórzyła.

Spojrzał na nią swoimi ciemnymi i poważnymi oczami, a ona poczuła, jak wszystko w niej mięknie ze strachu.

I wtedy odezwał się:

– Wiesz co? – Na jego twarz wykwitł uśmiech. – Ja też tak uważam.

Przyciągnął ją do siebie i wreszcie, po króciutkiej chwili wahania, pocałował. Najpierw ostrożnie, potem bardziej namiętnie. Wreszcie mogła wdychać zapach jego skóry, poddać się jego ramionom. Pocałował ją znowu – był to pocałunek mężczyzny, do którego należy cały świat. Isabel zaplotła ręce wokół jego szyi i całowała go, śmiejąc się jednocześnie. Stali tak przy gruzowisku, wtuleni jedno w drugie, i zatopieni w szczęściu, przestali liczyć czas, a tymczasem cienie wokół nich się wydłużały, kartki z nutami wypadały jej z dłoni i niesione podmuchami wiatru, odpływały w dal.

Słońce zdążyło się już schować za drzewami, kiedy wrócili do jej samochodu. Byron zamierzał pojechać do pracy jutro. Dzisiejszy wieczór miał spędzić z ich trójką w małym mieszkanku nad sklepem. I spać na sofie. Albo na dole. Wiedział, że w naturze na wszystko jest czas i miejsce.

Dopiero kiedy zbliżali się do auta, przypomniał sobie o czymś. Zdjął rękę z ramienia Isabel i schylił się po duży kamień. Wyjął z kieszeni dwie pomięte kartki, owinął je wokół kamienia i po chwili wahania cisnął do jeziora.

– Co to było? – spytała zdumiona, gdy usłyszała plusk.

Byron obserwował, jak po wodzie rozchodzą się zmarszczki, a potem znikają.

– Nic – odparł, a potem otrzepał kurz z rąk. – Nic takiego.



## Epilog

Matt McCarthy nigdy nie wrócił w rodzinne strony. Wraz z żoną zamieszkał gdzieś w okolicy jej rodziców. Dowiedzieliśmy się o tym kilka dni po wypadku, kiedy Anthony zadzwonił do sklepu z informacją, że się wyprowadzają. Przy ich domu pojawiła się tabliczka „Na sprzedaż” i znalazł on nabywców w ciągu tygodnia. To chyba nie była niespodzianka: wszystko w nim było w idealnym stanie.

Anthony dostał się na wyższą uczelnię – studiuje coś związanego z samochodami – i nie widuję się z nim zbyt często. Przez pewien czas był naprawdę wściekły na rodziców, ale potem powiedział, że jego tata miał załamanie nerwowe, a według jego mamy nie ma sensu karać ludzi za to, że są ludźmi. W ich dawnym domu mieszka teraz młoda rodzina z Suffolk. Mają dwójkę dzieci, których zabawki Thierry czasami znajduje w lesie. Lubi podrzucać im je wczesnym rankiem: kładzie je na parapecie lub na murku, przez co dzieci myślą, że w okolicy mieszkają wróżki.

Nicholas – zaczęliśmy mu mówić po imieniu, ponieważ widywaliśmy się z nim prawie codziennie podczas budowy nowego osiedla – nie chciał kupić domu rodziców Anthony’ego, chociaż pan Todd, agent nieruchomości, mówił, że mógłby zbić na tym świetny interes. Przez pewien czas zachowywał się dziwnie, gdy wspomniano przy nim nazwisko McCarthych, ale wielu ludzi reagowało podobnie. Teraz pracuje w Londynie i tam buduje nowe osiedla. Nowi sąsiedzi są w porządku. Nie mamy z nimi zbyt wiele do czynienia.

Przeciwko nikomu nie wniesiono oskarżenia w związku z tym, co stało się z domem hiszpańskim. Śledczy orzekli, że trudno jest stwierdzić, co spowodowało zawalenie, biorąc pod uwagę długoletnie zaniedbanie budynku. Niektóre belki były spróchniałe i znaleźli w nich ślady drewnojadów, a nam powiedzieli, że nie można ścigać nikogo za fuszerkę budowlaną. Mama nie naciskała. Powiedziała, że chce zostawić ten cały przykry epizod za sobą.

U niej wszystko się poukładało. Dwa razy w tygodniu jeździ pociągiem do Londynu, gra w orkiestrze i już nie uprawia warzyw. Kupuje je od kuzynów i mówi, że sprawia jej to ogromną przyjemność.

Byron wyprowadził się ze swojej przyczepy ubiegłej wiosny. Ma nową pracę – zarządza gruntami położonymi kilka kilometrów po drugiej stronie Long Barton – i mieszka w domku, który dostał od pracodawcy w pakiecie. W czwartki i piątki dogląda terenów wokół osiedla wybudowanego w miejsce naszego dawnego domu i zazwyczaj spędza z nami weekendy. Powiedziałam mamie, że nie mam nic przeciwko temu, żeby się do nas wprowadził (domyśliliśmy się z Thierryem wszystkiego, w końcu nie jesteśmy głupi), a poza tym pewnie w przyszłym roku wyjadę na studia, ale ona odparła, że podoba im się tak, jak jest. Poza tym, dodała, każdy potrzebuje odrobiny własnej przestrzeni, a Byron w szczególności. Kiedy nie pracuje, uczy ludzi, jak przycinać drzewa, żeby dobrze rosły, jakie rośliny można jeść i tego typu rzeczy. On i Thierry zawsze spędzają czas w ogrodzie, wykopują coś lub sadzą.

Z naszej dawnej posiadłości nie zostało już nic. Od ponad roku mieszkamy w jednym z ośmiu nowych domów nad jeziorem, zbudowanych w sporej odległości od siebie i oddzielonych cienkim żywopłotem z pnączy, które wcale nie rozrosły się tak, jak pokazywały plany architekta. Nie jest to dom szczególnie piękny. Ma cztery sypialnie i całkiem przyzwoity ogród, który Thierry i Pepper nieźle podniszczyli, goniąc za piłką, a wewnątrz nie zachwyca wystrojem – nie ma tu żadnych fantastycznych stropów czy sztukaterii. Mama mówi, że jest to dom „o przeciętnym standardzie, łatwy w utrzymaniu, zupełnie zwyczajny”, a kiedy ludzie patrzą na nią dziwnie, zastanawiając się, dlaczego mówi to z takim zadowoleniem, podczas gdy wszyscy

inni chwalą się metrażem i stylizowanymi udziwnieniami, w jej oczach pojawia się osobliwy błysk i zaczyna się śmiać.

A potem wraca do swoich spraw i zajmuje się ciekawszymi rzeczami.

## Podziękowania

Dziękuję Karin Leishman i Matthew Souterowi z Albarni Quartet, których muzyczny talent i magiczny dom zainspirowały mnie do napisania tej książki.

Jak zwykle jestem wdzięczna mojej agentce Sheili Crowley oraz Lindzie Shaughnessy, Teresie Nicholls i Robowi Kraittowi z agencji literackiej APWatt. Dziękuję Carolyn Mays za jej zdolności edytorskie i wieloletnią przyjaźń, tak jak i Lucy Hale, Auriol Bishop, Leni Fostiropoulos, Kate Howard, Jamiemu Hodder-Williamsowi oraz całej ekipie wydawnictwa Hodder, zwłaszcza działowi sprzedaży.

Dziękuję za waszą nieustającą wiarę we mnie. Jestem wdzięczna również Hazel Orme, najbardziej wnikliwemu oku w świecie wydawniczym.

Na moje podziękowania zasługują też, niekoniecznie w tej kolejności: Tony Chapman, Drew Hazell, Barbara Ralph, Fiona Turner, Chris Cheel, Hannah Collins, Jenny Colgan, Cathy Runciman i wszyscy członkowie Writersblock.

Składam podziękowania wydawnictwu Cambridge University Press za zgodę na przedrukowanie fragmentu *Letter to Lady Cynthia Asquith* D.H. Lawrence'a.

Dziękuję mojej rodzinie: Lizzie i Brianowi Sandersom oraz Jimowi i Alison Moyesom. A szczególnie Charlesowi, Saskii, Harry'emu i Lockiemu – ludziom, których uwielbiam najbardziej w świecie.

Wreszcie przekazuję wyrazy wdzięczności pracownikom Emmeline Centre przy Addenbrookes Hospital Trust – a zwłaszcza Patrickowi Axonowi – którzy w trakcie powstawania tej książki zupełnie odmienili nasze życie.

Tytuł oryginału  
*Night Music*

Copyright © 2008 by Jojo's Mojo Limited

Copyright © for the translation by Monika Bukowska

Projekt okładki  
Karolina Korbut

Projekt typograficzny okładki  
Katarzyna Borkowska  
kb-design@o2.pl

Redaktor nabywający  
Anna Steć

Redaktor prowadzący  
Dorota Trzcinka

Opracowanie tekstu  
CHAT BLANC Anna Poinc-Chrabąszcz

Opieka promocyjna  
Marta Greczka

ISBN 978-83-240-9383-0

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, Kraków 2023

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

